



OLGA GROMYKO

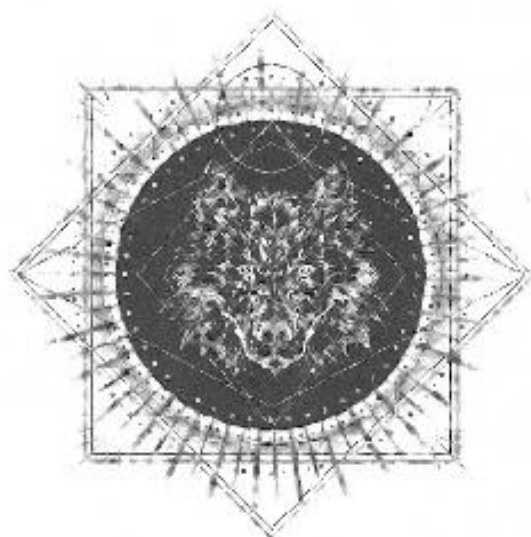
KRONIKI BELORSKIE

PAPIER  WYKSIEŻYC

OLGA GROMYKO

KRONIKI BELORSKIE

KRONIKI BELORSKIE TOM 6



Przełożyła
Marina Makarevskaya

PAPIER  WYKSIEŻYC

Słupsk 2017

Spis treści

Karta tytułowa

Gwiazdy są w porządku

Nie dla kronik

Supełek na szczęście

Jeden do dwóch

Wnyki na nekromantę

Nic osobistego

Sprawy boskie

Morowka i trójka magów

Nieźródlna moc sztuki

Proroctwa i inne takie

GWIAZDY SĄ W PORZĄDKU

- Jaśnie pan raczą spać - powtórzył po raz szósty asystent astrologa, chłopisko o gabarytach szafy, zdolny nawet bez maczugi pokazać natrętnemu klientowi gwiazdy w jasny dzień. Szlachetne pochodzenie gościa (a jeszcze bardziej jego miecz dwuręczny) wymuszało jednak uprzejmość, która z kolei skutkowałą koniecznością ciągłego drapania się, wzdychania i dreptania w miejscu, żeby przynajmniej czymś zająć mięśnie.

- Jak to spać?! Przecie się umawialiśmy! O wschodzie słońca!

- Znaczy... - Asystent ziewnął, rozdziawiając usta aż po sam żołądek. Rycerski rumak nerwowo tupnął kopytem. - Zmęczyli się byli. Caluteńką nockę w niebo patrzyli, coby nie przegapić ani jednego ruchu... hyk...! ciał niebieskich.

Gość przeniósł spojrzenie na tylne drzwi, z których akurat wyfruwało jedno ze wspomnianych ciał - zaczerwienione, rozczochrane, próbujące upchnąć okazałe piersi głębiej do stanika.

- Ale przecież ja mu dałem zaliczkę!

Opuchnięta gęba asystenta dobitnie świadczyła, że pieniądze klienta wydane zostały z pożytkiem.

- A horoskop?! Czy przynajmniej horoskop ułożył?

- No, chyba się tu było coś walało - zlitowała się nad rycerzem babulka-służąca, powoli szurająca miotełką zarówno po podłodze, jak i po krzesłach dla gości. - O tamej, na stole z brzeżku...

- Dawaj mi tu! - Gość wyciągnął rękę.

Asystent westchnął ciężko, ale ze szlachetnym panem nie ośmielił się kłócić. Szurając nogami po dopiero co zmiecionym w kupkę kurzu,

dotarł do stołu i tak samo powoli wrócił.

Rycerz niecierpliwie wyrwał mu pergamin, zdarł z niego i rzucił na podłogę złotą kokardkę. Zgadza się, to ten. W górnym lewym rogu dużymi literami ktoś wykaligrafował: „Dla w.sz.p. Melryka”, a dalej - dobre trzy łokcie drobnego maczku. „Hy.. ho-ro...skop, ułożony... sie... siódmego dnia miesiąca we... wi...”. A niech cię! Rumak przestąpił z nogi na nogę i osłona zatrzasnęła się z łoskotem. Czytanie to nie jest zajęcie dla rycerza! Szczególnie na ulicy, w siodle i jeszcze w pośpiechu.

- Czytaj - rozkazał Melryk wyniośle, wpychając pergamin w rękę asystenta, który właśnie zamierzał zatrzasnąć drzwi.

- Ale panie...

- Za te pieniądze, co żem wam, oszustom jednym, zapłacił, to powinniście mi poemat ułożyć i wykonać przy muzyce, a nie smarować coś na zgniłym skrawku skóry, jak ten kulawy kurak pazurem! - ryknął rycerz. (W sumie tu Melryk nieco przesadził, bo jednak pergamin był z tych drogich, szakkarskich, z monogramami na rogach).

Drągał wtulił głowę w ramiona, śpiesznie rozwinął pergamin, wgapił się w niego i zaczął czytać, śpiewnie, prawie że wierszem, którego sobie rycerz przed chwilą zażyczył.

- „Słońce na pana karcie astralnej znajduje się w znaku Skryby, co wskazuje na zapobiegliwość, odpowiedzialność i emocjonalną beznamiętność... W chwili pana urodzin Wilcze Oko znajdowało się w najniższym możliwym punkcie nad horyzontem, jak gdyby przechodząc od opadania do wznoszenia się, co przypuszczalnie spowodować może wykształcenie u pana manii wielkości albo, w najlepszym przypadku, skłonności do samooszukiwania się i nieposkromione dążenie do przepychu, ale jeżeli kiedykolwiek zrozumie pan konieczność służenia ludzkości w zgodności z prawami niebieskimi...”

Przez około pięć minut Melryk słuchał z uwagą, potem dotarło do niego, że do końca zostało jeszcze sporo, a on już dawno stracił wątek.

- Dobra, dobra, to ja i sam wiem - przerwał czytającemu. - Ty mi tylko weź powiedz od razu: czy dzisiaj jest szczęśliwy dzień dla dokonania bohaterskiego czynu?

- Szczęśliwy - stwierdził asystent stanowczym tonem, prześlizgnąwszy się spojrzeniem po pergaminie. - Szczególnie od dziewiątej rano do trzeciej po południu, bo w tym czasie gwiazdy ułożą się w wyjątkowo panu sprzyjający znak...

Rycerz westchnął z ulgą i z zadowoleniem zatarł ręce w pancernych rękawicach, aż zaskrzypiało. Pomocnik drgnął i śpiesznie dodał:

- Ale pana plany uwieńczone zostaną sukcesem wtedy tylko, jeżeli w myślach pana panować będą miłość i wiara w cuda!

Melryk prychnął pogardliwie - miłość i wiara nigdy go nie opuszczały, wchodząc w skład godła, wymalowanego na tarczy. Rycerz rzucił na ziemię drobną monetę, zawrócił konia i zapominając o zabraniu zwoju, ruszył kłusem w stronę miejskiej bramy.

Asystent potępiająco pokręcił głową, podniósł datek i zamknął drzwi.



Chyba jednak lepiej by było, gdyby gwiazdy poczekały ze swoimi znakami do wieczora. Słońce prażyło coraz mocniej, a rycerz nie chciał przed pojedynkiem zmęczyć konia. Tak więc czekały go jeszcze jakieś dwie godziny powolnej jazdy zakurzoną drogą.

Na skraju lasu rycerz zsiadł z konia i owinął mu kopyta szmatami, a sam zdjął hełm i wpakował go pod pachę, przyciskając łokciem

dzwoniącą osłonę. O nie, nie zamierzał podkradać się do śpiącego smoka, by zdradziecko przebić go włócznią! Melryk prędzej rzuciłby się na własny miecz, niżeli tak zbrukał cześć rycerską.

Za lasem leżała wieś, a przeklęta jaszczurka zachowywała się wyjątkowo podle! Mianowicie nie kradła owiec, tylko płaciła za nie dźwięczną błyszczącą monetą, w dodatku po cenach powyżej rynkowych. Tak więc do kompletu ze smokiem rycerz na głowie miał też problem z aspołeczną miejscową ludnością, która już zdążyła poczęstować dębowymi lagami trójkę amatorów bohaterskich czynów.

Melryk zatrzymał się w pobliżu wysokiego pagórka, śpiesznie doprowadził siebie i konia do porządku, wlaź na siodło, położył miecz w poprzek kolan, po czym wzniosł do ust róg rodowy, odmawiając w myślach modlitwę do bogów i gwiazd.

Dźwięk wyszedł mu wysoki i piskliwy - albo róg z wiekiem zawilgotniał, albo po prostu należało umieć w niego trąbić.

Zresztą to już było nieważne: z jaskini jak strumyk rtęci wypłynął smok, ciemno miedziany w złote żyłki. Niezbyt wielki, ale zależy z czym porównywać. Jeżeli z rycerzem - to był nawet całkiem spory.

- To ty jesteś wstrętne krwiożercze bydlę, które trzyma w strachu całą okolice? - zapytał sir Melryk z pogardą, jak nakazywał obyczaj rycerski.

- Nie, ja jestem cudnej urody nieskalaną panną - odezwał się smok złośliwym tonem, przeciągając się z zadowoleniem i prostując skrzydła.
- W dodatku zaczarowaną przez złego czarnoksiężnika.

Z jaskini doleciał stłumiony chichot.

- No, do boju, mój rycerzu! - dodał smok kokieteryjnie, pochylając łeb ku ziemi i z niecierpliwością poruszając ogonem, jak pies czekający na smaczny kąsek.

– Jestem cała twoja.

Sir Melryk był człowiekiem bezpośrednim i o poczuciu humoru miał pojęcie dosyć mgliste, zaś hełm zatrzaśnięty na głucho zniekształcał intonację rozmówcy do tego stopnia, że nie dawało się jej rozpoznać. A już w świetle horoskopu...

Tak więc rycerz zlął z konia, uroczyście opadł przed smokiem na jedno kolano, złapał w dłonie pokryty łuskami pysk, zamknął oczy i z namaszczeniem ucałował wprost w wargi.

Oczy gada niemal wyskoczyły z orbit. Smok odskoczył, przysiadł na ogonie i chaotycznie zaczął drapać ziemię łapami, próbując odpełznąć od zboczenia jak najdalej. Trafiwszy grzbietem na skałę, wzdrygnął się, rozejrzał dookoła i w końcu przypomniał sobie, że umie latać. Rozwinął skrzydła, podskoczył i uciekł bez spoglądania do tyłu, co chwilę spluwając czarnym płomieniem.

Z jaskini lękliwie wyjrzała panna. Już nie tak bardzo nieskalana, ale nadal niczego sobie. Ze zdumieniem zmrużyła oczy, patrząc w kierunku plamki, która zniknęła właśnie w błękitnie nieba, a jej odpowiednio przypudrowana i podmalowana we właściwych miejscach twarzyczka wykrzywiła się z wściekłości.

– Oszust! Drań! Krzywołapa jaszczurka! Żeby ci wszystko powyłaziło, albo nie, poodpadało! A... hm?

Sir Melryk nadal klęczał z zamkniętymi oczyma i wyciągniętymi rękoma, oczekując na wynik.

Panna przyjrzała mu się dokładniej, okiem zawodowca oceniła wartość miecza i rumaka czystej krwi, jak również rodowy herb na czapraku. Z namysłem przygryzła wargę, potem mściwie pogroziła pięścią w kierunku niebios, po czym zdecydowanym krokiem podeszła do rycerza i zapukała kostkami palców w jego hełm.

- O szlachetny nieznajomy! Uratowałeś mnie przed tym byd... strasliwym losem. Jak mam ci się odwdzięczyć?

Sir Melryk z nadzieją otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i jego twarz rozjaśniła się jak słońce. Sypiąc komplementami, posadził damę w siodle za sobą i mało nie pękając z dumy, poprowadził konia w kierunku miasta.

Piękna panna obejmowała go w pasie (parę razy mimochodem omsknęła się jej ręka, aby sprawdzić coś trochę niżej) i kombinowała, jakby tu bezproblemowo przeprowadzić noc poślubną.



Astrolog przypomniał sobie o sir Melryku dopiero późnym wieczorem, gdy znalazł pergamin, który w międzyczasie zleciał ze stołu i wtoczył się pod krzesło.

- Hej! A ten tam, czarniawy taki... sir Melryk...! - zawołał asystenta. - Nie przyszedł, czy jak? Przecież wczoraj zapłacił potrójną cenę za horoskop ekspresowy.

- Ano przyszedł - mruknął zapytany. - Z samiotkiego rana, jak wyście jeszcze raczyli odpoczywać.

- No to czegoś mu w takim razie nie oddał zwoju?

- Bo ja, znaczy... tego... - Pomocnik uciekł spojrzeniem w bok. Po wytrzeźwieniu poranny żarcik już nie wydawał mu się aż tak zabawny. - Słownie żem mu wszystko powiedział.

- I w jakież to, durniu, sposób? - jęknął astrolog. - Ty przecie czytać nie umiesz!

- A czego tam czytać... - Asystent wzruszył ramionami. - Mało żem ja pana w ciągu tych pięciu lat słuchał? Naplotłem mu o różnych

pozycjach, o Skrybie z niebiańskimi domami...

Astrolog wymierzył mu siarczasty policzek.

– Czy ty w ogóle, bezmózgu jeden, rozumiesz, co żeś narobił?! Jeśli wierzyć gwiazdom, ten cały Melryk dziś w ogóle nie powinien z domu wychodzić! A on się wybierał na smoka, rozumiesz, smoka! Tego właśnie, co już więcej durniów pokaleczył niż ty, paskudo, palców masz! Takiego dobrego klienta żeś nas pozbawił, kretynie! No co za duuureń...

Asystent stękał ze skruchą.

Gwiazdy złośliwie mrugały z nieboskłonu.

NIE DLA KRONIK

- Specjalnie dla was, panie i panowie, stwórz paskudny, straszliwy pomiot mroku - zdierał gardło jarmarczny naganiacz, stojący tuż przy wejściu krzywego namiotu z brudnego samodziału, niebezpiecznie chwiejącego się na wietrze.

Przechodzący obok mag skrzywił się z obrzydzeniem. Smród ze środka „atrakcji” przywodził na myśl płatny szalet dla wyjątkowo niewybrednych klientów... albo przynajmniej takich, których naprawdę przypiekło.

Mimo to znalazło się paru chętnych, by zajrzeć do środka. Najpierw za usługę przytrzymaną płachtę weszła gruba baba, która natychmiast z piskiem wyskoczyła z powrotem, bez przerwy się zegnając. Potem jej śladem weszła dwójka urwisów. Ci zamarudzili dłużej, a jednego właściciel musiał wyciągnąć za ucho, by zwolnić miejsce dla kolejnego klienta.

- Kto się odważy zobaczyć krwiożerczego potwora na wyciągnięcie ręki, splunąć w jego bezwstydną oczy?!

„Nie, jednak nie szalet - pomyślał mag z roztargnieniem, szukając potrzebnego straganu. - Pewnie złapał jakąś pomrokę i teraz pokazuje, strzygę albo trupojada. Oj długo jeszcze będziemy to piwo pili... za późno zareagowaliśmy...”. Przez wojnę namnożyło się potworów, więc magowie-praktycy mieli mrowie pracy, czasami trzeba było ściągać do pomocy nawet adeptów ze starszych roczników.

- Dobrzy ludzie, takie atrakcje tylko u nas! Nie pożałujecie! - Krzykacz dawał z siebie wszystko. - Stwórz wredny, okrutny, paskudny i przebiegły, sam się wzdragam patrząc!

Dalej mag już nie słuchał. W końcu udało mu się znaleźć stragany z nabiałem. Wybrał najbardziej czystą i budzącą sympatię babinę, bez targowania zakupił od niej garniec świeżego koziego mleka („dopierom udoiła, ciepłutkie jeszcze!”), ostrożnie przelał je do flaszki przy pasie i ruszył wprost w kierunku wyjścia, zamierzając możliwie szybko wrócić do gospody, w której godzinę temu wynajął osobny pokój na noc.

Droga powrotna przebiegała obok widzianego wcześniej śmierdzącego namiotu. W zasadzie „obok” miało być jak najbardziej dosłowne, ale naganiacz akurat wypuścił z rąk rąbek płachty, którą wiatr natychmiast uniósł nad daszek, pozwalając przypadkowemu spojrzeniu na wślizgnięcie się do środka.

Widok był tak niespodziewany, że mag zmylił krok. Odwrócił się na pięcie, gwałtownym ruchem odciągnął już opuszczoną płachtę, zignorował oburzone krzyki właściciela i zrobił krok do środka, demonstracyjnie nie patrząc na dłoń wyciągniętą po opłatę.

W niskiej klatce z połączonych na sztywno prętów - nie wyglądało, by były w niej jakiegokolwiek drzwiczki - siedział zgarbiony wampir. Nagi, brudny, pokryty siniakami i oparzeniami, umęczony do tego stopnia, że jego organizm zaprzestał regeneracji. Zresztą, o czym tu w ogóle mówić - biedak był za słaby nawet na zwinięcie skrzydeł, które zwisały wzdłuż pleców nierównymi płatami skóry. W poprzek piersi, a raczej wystających żeber, ciągnęła się szeroka karmazynowa blizna. Czyli jednak zdołał wyleczyć jedną, najgorszą ranę, a i to nie do końca. Pewnie właśnie z jej powodu trafił do niewoli.

Wojna się skończyła, ozdobiony pieczęciami traktat pokojowy został uroczyście odczytany na wszystkich placach, ale rozdrażnieni i żądni krwi ludzie żądali ciągu dalszego, nie rozumiejąc, dlaczego nie pozwolono im na dobre wytępić wszystkich przeklętych istot.

Dlatego nieszczęsny półżywy wampir siedział w szczelnie zamkniętej klatce i powoli konał bez wody i jedzenia, we własnych odchodach, stanowiąc atrakcję jarmarczną dla żadnego rozrywek tłumu. Ile on już tu tkwił? Dwa tygodnie? Miesiąc? Wampiry są bardzo żywotne, a ten może i nie miał jasnych włosów, ale stanowczo walczył. Strażnik? Chyba tak.

Mag postukał po jednym z prętów czubkiem buta, ale więzień nawet nie odwrócił głowy.

- Szanowny pan go rozżarzonym żelazem - zaproponował usłudze właściciel budy, nadal mając nadzieję na datek. - O tamoj stoi, w garze z węglami!

Czyli to stąd oparzenia.

Mag z gwizdem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, popatrzył wprost na klatkę i gwałtownie machnął rękami.

Więzień do tego stopnia osłabł, że nawet się nie poruszył, gdy pręty z jednej strony z umęczonym skrzypieniem odgięły się do góry. Jego oczy były otwarte, ale patrzyły w przestrzeń kompletnie bez wyrazu, więc mag tylko pokręcił głową, pochylił się, złapał wampira pod pachy i wyciągnął z klatki. Krzykacz wyleciał z namiotu, jakby go kto gonił. Mag z trudem powstrzymał się, by nie rzucić jego śladem tak z pięciu piorunów, ale ograniczył się do soczystego przekleństwa. Obciągnięty skórą szkielet okazał się nienaturalnie lekki, ledwo ciepły i do tego stopnia zeszywniały w skulonej pozycji, że wybawiciel musiał nieźle się wysilić, by rozłożyć go na płaszczu i szybko, póki wełna jeszcze trzymała ciepło właściciela, owinać. Żyłka na szyi wampira pulsowała słabo i nierówno, więc mag czując, że ma niewiele czasu, po prostu zarzucił długi pakunek na ramię i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.

Tam już czekał niewielki tłumek, któremu przewodził wyraźnie ośmielony wampirzy oprawca.

- Tu jest! Przeklęty czarownik co to strzygę uwolnił i teraz z nią ucieka! - wrzasnął z bezpiecznej odległości, potrząsając w kierunku planowanej ofiary kołkiem, zapewne wyciągniętym z płotu. Pozostali uczestnicy równo podzielili pomiędzy sobą lagi i kamienie, chociaż mag z pewną pogardą zauważył też dwójkę rycerzy z mieczami i jednego dajna, który co prawda w milczeniu stał sobie obok, czekając na rozwój wydarzeń. Przedstawiciele innych ras uciekali spojrzeniami i śpiesznie wymijali miejsce przyszłej bijatyki, by przypadkiem nie trafić w łapy rozwścieczonego tłumu.

Oczywiście, mag mógł skorzystać z zaklęć bojowych, co prawie na pewno skończyłoby się solidną górką trupów oraz długim procesem sądowym, a może nawet więzieniem. Mógł tchórzliwie krzyknąć „ratunku, mordują!”, ale nie spodziewał się jakichkolwiek efektów - straż miejska i bez jego pomocy widziała wydarzenia na targowym palcu, tylko jakoś nie spieszyła z interwencją. Ostatecznie mógł ze złością zrzucić swój ładunek pod nogi prowodyra, skorzystać z wynikłego zamieszania, by otworzyć pojedynczy teleport i uciec wprost do gospody, po czym możliwie szybko zniknąć z miasteczka, bo oszukany tłum natychmiast ruszyłby na jego poszukiwania, po drodze parokrotnie zwiększając rozmiary.

Szczęśliwie dla niego, do Rady Konwentu Magów nie przyjmowano idiotów.

- Faktycznie - potwierdził obojętnym tonem. - Jestem czarodziejem. I na mocy pełnomocnictwa, udzielonego mi przez Konwent i jego królewską mość Wasara VII, konfiskuję tego stwora do celów alchemicznych doświadczeń. Oczywiście, jego właścicielowi należy się

odszkodowanie oraz wyrażone przeze mnie osobiście podziękowania za udział w złapaniu monstrum.

Wyjął z kieszeni na oko przyjemnie wypchaną sakiewkę i podał ją krzykaczowi. Ciekawość i chciwość przeważyły, więc ten natychmiast pożałował, że wciągnął w swoje sprawy handlowe tyle osób, opuścił rękę z kołkiem, a drugą złapał woreczek. Niestety, gdy tylko spróbował zapoznać się z jego zawartością dno się rozpruło i pod nogi tłumu spłynęło drobne, ale przez to bynajmniej nie mniej kuszące srebro. Zebrani natychmiast zapomnieli o czarownikach i wampirach, rzucili na ziemię prowizoryczną broń i padli na kolana, zamierzając zgarnąć możliwie dużo ulicznego błocka z połyskującymi monetkami. Rozpaczliwe krzyki prawowitego właściciela nie budziły już najmniejszego współczucia, biedak został po prostu odepchnięty na tyły, tak więc mógł już tylko biegać dookoła tłumu i z rozpaczą rwać włosy z głowy.

Tymczasem mag spokojnie odwrócił się i odprowadzany chmurnym spojrzeniem dajna bez przeszkód dotarł do jarmarcznego koniowiązu, nie śpiesząc się zapłacił stajennemu, wskoczył na spokojną gniadą kobyłkę i tyle go widzieli.



Pierwsze (i chyba zarazem ostatnie) oznaki życia wampir zaczął dawać dopiero w balii z gorącą wodą - poruszył się, otworzył spękane usta w bezgłośnym jęku i spróbował złapać ciekące po twarzy strumyki. Mag odczepił od pasa flaszkę, przytrzymał biedakowi głowę i pomógł upić kilka desperackich łyków, po których wampir ponownie stracił przytomność.

Próby leczenia czy bandażowania jego ran miały się z celem, więc mag po prostu umył umierającego, owinął go kołdrą i położył na łóżku. W zamyśleniu spojrzął na przedśmiertnie zaostrzoną twarz, która kolorem niezbyt różniła się od szarego spranego samodiała, po czym z westchnieniem sięgnął do torby po krótki obrzędowy sztylet.



Tej nocy, jak zresztą i dwóch poprzednich, mag spał urywkami, nabierając coraz większego szacunku dla Katissy Łabskiej, zasłużonego bakałarza magii bojowej drugiego stopnia, która nie przerywając pracy zawodowej zdążyła trzykrotnie wyjść za mąż i wychować dwójkę dzieci. Teraz już nie dziwił się jej paskudnemu charakterowi!

Gdy o świcie w końcu udało mu się znaleźć parę minut również dla wampira, ten leżał na brzuchu, z głową odwróconą w kierunku ściany. Oddechu nie było słychać, ale mag poczuł, jak z serca spada mu ciężki kamień. Umierający nie próbują układać się wygodniej, a już tym bardziej nie rzucają na pochylonych nad łóżkiem ludzi. Co prawda ten drugi dowód żywotności wampira bynajmniej go nie ucieszył. Szczepieni mężczyźni poturlali się po podłodze. Szczęśliwie dla człowieka, jego przeciwnik był jeszcze zbyt słaby, ponieważ w przeciwnym razie z łatwością urwałby mu głowę, nie bawiąc się w duszenie. Szczęśliwie dla wampira rzucanie czarów, będąc wcale skutecznie duszonym, okazało się cokolwiek niewygodne.

Siły były w zasadzie wyrównane, ale stalowy uchwyt na gardle nieoczekiwanie osłabł i mag, nadal kopiąc na oślep, odpełził na bok, desperacko próbując skupić się na formule potrzebnego zaklęcia, które w tym momencie i tak było już nieprzydatne.

- Sssukinsssyn... niewdzięczne byyydłę... - wychrypiął człowiek, drżącą ręką obmacując gardło. Wampir siedział, oparty o przeciwległą ścianę i również ciężko dyszał. W odpowiedzi na takie epitety spojrzął na maga spode łba, po czym wykrzywił wargi w pogardliwym grymasie „dziękuj, że w ogóle puściłem”, ale nieoczekiwanie wykrztusił niechętnie:

- Przepraszam.

Nagie ciało nadal niezbyt odróżniało się od szkieletu, ale oparzeliny znikły, a po bliźnie został tylko wąski jasny ślad. Mag spojrzął na wampira, który nadal drżał, próbując otulić się skrzydłami, i cała wściekłość gdzieś uciekła.

- Wstawaj - polecił z westchnieniem, sam nie bez trudu podnosząc się z podłogi. Gardło nieco odmawiało posłuszeństwa, jak po nieudanym samobójstwie, kiedy pod ciężarem wisielca łamie się gałąź, a w dopiero co zabliznionym nadgarstku pulsował tępy ból. - I weź z mojej torby zapasowe spodnie. Nie jestem pewien co do koszuli, ale chyba też powinna być. W międzyczasie pójdę po śniadanie.



Gdy mag wrócił z pełną tacą, wampir był już ubrany i siedział na brzegu łóżka, otulony własnymi ramionami. Ale na widok jedzenia natychmiast ożywił się i rzucił w jego kierunku z wilczą żarłocznością. Mag darował sobie uwagę, że jeden z talerzy miał być dla niego, tylko ostrożnie spytał:

- Nie będzie ci potem niedobrze?

Wampir nie przerywając żucia przecząco pokręcił głową. Dopiero gdy ostatni kawałek chleba zniknął w jego wyraźnie napęczniałym pod

koszulą brzuchu, a palce zostały dokładnie oblizane, mag zaszczycony został badawczym spojrzeniem.

– Człowieku, czego ty ode mnie chcesz?

– Niczego. - Słowa te nieco mijały się z prawdą. W tej konkretnej chwili faktycznie niczego nie chciał, ale nieoczekiwanie zrządzenie losu tak idealnie współgrało z jego zamiarami, że głupio byłoby z niego nie skorzystać.

Uratowany sceptycznie uniósł brew.

– To czemu zawdzięczam tę... hm... opiekę?

– Przypadkiem przechodziłem obok.

Kolejnemu pytaniu towarzyszył gorzki uśmiech.

– No cóż, to dziękuję, że nie przeszedłeś. Jeśli nie tajemnica, to gdzie się udajesz?

– Do Dogewy. - Mag nie miał zamiaru się wykręcać.

– Po co? - Wampir natychmiast wzmógł czujność.

Ale nagle ze stojącego na krześle kosza doleciało senne chlipnięcie, a po nim - cienki niemowlęcy płacz.

– Znowu?! - jęknął człowiek tonem skazańca, ale bez chwili wahania ruszył do sprawdzania i ratowania sytuacji. - No a jak! Gdzie ja ci znajdę tyle szmat, co?!

Wampir z pewną ciekawością (nie codziennie widuje się maga bojowego, który w skupieniu wacha niemowlęce pieluchy) podszedł bliżej.

– Twój?

– Wasz. - Mag wyciągnął z torby czystą szmatę i delikatnie, chociaż cokolwiek niezręcznie, przewinął dziecko, szczególnie uważając na krótkie szare skrzydełka, które co i rusz próbowały zagiąć się pod niewłaściwym kątem.

- Ale on... - Wampir gwałtownie wciągnął powietrze i ni to usiadł, ni to padł na kolana przed koszem.

- Dokładnie.

O ile tradycyjnie niebieskie oczy niemowlaka powoli zyskiwały szary kolor, o tyle włosy już ostatecznie się zdecydowały i były złocisto-brniane.

- Władca... - szepnął wampir z nabożnym szacunkiem, ale natychmiast z pretensją rzucił się na maga: - Skąd go masz?!

- Uratowałem w czasie rzezi na przygraniczu. Przez kilka miesięcy ukrywaliśmy go w Szkole Magii, a teraz, skoro w końcu mamy pokój, uznaliśmy, że wrócimy do doliny.

- Dlaczego w takim razie od razu się tam nie teleportowałeś? - brzmiało to cokolwiek nieufnie.

- Z takim małym dzieckiem, na dokładkę nielu... - mag zająknął się - ...innej rasy? Nie byłem pewien, czy dobrze zniesie teleportację, więc uznałem, że nie będę ryzykował.

- To czemu nie dostałeś eskorty od Konwentu? - wampir nadal nic nie rozumiał. - Przecież wiedzą, jak cenne jest dla nas to dziecko!

- Ukradłem je - przyznał człowiek z prostotą. - Moi koledzy ciągle przeciągali sprawę, że niby poczekamy jeszcze z rok, póki się wszystko nie ułoży i nie uspokoi..., ale po trzech zamachach uznałem, że w dolinie będzie mu lepiej. Przynajmniej nie wpuszczacie tam ludzkich fanatyków i magów-renegatów.

- Chcesz powiedzieć, że magowie ze Starminu mieli zamiar szantażować Dogewę naszą ostatnią nadzieję?! - Wampir aż zachłysnął się z oburzenia.

Mag filozoficznie wzruszył ramionami.

- Nie przyznawali tego na głos, więc nie wydaje mi się, by Konwent miał bardzo się zezłościć na mój malutki pokaz samodzielności.

- Oficjalnie może i nie. - Z tych słów wprost tryskał jad. - Wiesz co, chyba nie będę nadużywać twojej dobroci i sam zawiozę małego do Dogewy. A jeśli chcesz otrzymać jakąś nagrodę, to opisz wszystko na papierze. Przekażę list do Rady Doliny i jeżeli twoje żądania okażą się rozsądne, w miarę sił spróbujemy je wypełnić. Osobiście tego dopilnuję.

- Nic mi nie trzeba. - Mag zdecydował się nie zdradzać, że taka odpowiedź go nieco uraziła. - Do Dogewy masz dwa dni drogi, przy czym nie bardzo będziesz mógł korzystać z traktów. Ludzie są zbyt wściekli o tę przegraną, nawet jeśli istnieje tylko na papierze, więc dowolny podejrzany mężczyzna może w każdej chwili zostać zatrzymany i poproszony o pokazanie zębów. Odmowa zakończy się ukamienowaniem. A w lasach jest pełno maruderów, którzy dla kilku monet zaatakują nawet ludzką kobietę, co dopiero wampira.

- Mogę zmienić postać.

- A dziecko? W zębach będziesz niósł? Tym bardziej że ono minimum sześć razy na dobę potrzebuje świeżego mleka. Skąd masz zamiar je brać?

Argumenty były wcale przekonywujące i po chwili namysłu wampir z rezygnacją potrząsnął głową.

- Czyli pojedę do Dogewy razem z tobą. Tak czy siak muszę możliwie szybko tam wrócić. Przy okazji dopilnuję, by dziecko dotarło gdzie powinno.

- Nie ufasz mi?

- Nie ufam. - W odpowiedzi nie było nawet cienia wstydu.

- To doskonale. - Mag nieoczekiwanie się uśmiechnął. - Uczciwie mówiąc, sam miałem zamiar cię o to prosić. Nie znam dogewskich

lasów, a nie chciałbym zacząć rozmowy ze strażnikiem od jego uprzedzającego strzału w moje plecy. Przy okazji, mam na imię Ksander.

– Oroen.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni nad koszykiem. Dziecko znowu zapiszczało - tym razem z głodu. Podczas gdy wampir z zapartym tchem karmił malca z flaszeczki, Ksander znowu zszedł na dół i ugadał się z właścicielem gospody odnośnie do wynajęcia drugiego konia, a przy okazji zapłacił za pokój i kupił trochę jedzenia na drogę. Znalazł też nieco wyświechtane, ale nadające się do noszenia buty, które udało mu się zakupić za parę srebrniaków. „Na zapas, bo moje chyba zaczęły przeciekać”.

Zadowolony z siebie wrócił na górę, ale nie śpieszył się z oddawaniem nowemu towarzyszowi „zapasowych” butów.

– W takiej postaci nie wyjdiesz z miasta. Wczoraj mi się udało oszukać tłum, ale jeśli dziś ktoś rozpozna ciebie albo mnie, to obaj mamy przesrane. Oczywiście mogę lekko zmienić twoją twarz, ale każdy mój towarzysz tak czy siak wywoła podejrzenia i zostanie dokładnie sprawdzony. Nawet mogą go zaciągnąć do świątyni w celu poświadczenia. Z dajkami od lat idziemy na noże, więc tylko się ucieszą, mogąc utopić konkurenta.

– Co proponujesz?

Mag wyjaśnił, krótko, ale treściwie.

– Dobra. - Wampir bez sprzeciwu zrzucił ubranie, przykucnął i rozwinął skrzydła.



Sytuacja okazała się jeszcze gorsza, niż Ksander sądził. Tłum dowodzony przez wczorajszego krzykacza był wyraźnie wściekły na sprytnego czarownika i już czekał pod bramą zajazdu. Tyle dobrego, że pojawił się tam dosłownie minutę przed tym, jak całkowicie spakowany mag wyszedł z budynku, więc obeszło się bez pogromu. W prawej ręce człowiek niósł pleciony kosz z piszczącym dzieckiem, a przy jego lewej nodze, na solidnej skórzanej smyczy, biegł walijski owczarek o chytrym rudym pysku i kudłatym ogonie.

Tłum wyraźnie nie spodziewał się tak sielankowego obrazka, więc zastygł w zaskoczonym milczeniu i nie przeszkadzał w spokojnym osiodłaniu obu kobył. Pies spokojnie siedział nad koszem.

- A gdzie strzyga? - padło niepewne pytanie, gdy mag już wyprowadził konie za bramę, bezczelnie wręczył wodze pierwszemu z brzegu „bojownikowi o sprawiedliwość” (który z braku lepszych pomysłów pokornie oddał swoją lagę sąsiadowi i je złapał), po czym wrócił po kosz i psa.

Ksander nawet nie zniżył się do udzielenia odpowiedzi, tylko zmierzył pytającego pogardliwym spojrzeniem, mówiąc „sam nie widzisz, że nie tutaj?”.

Na „strzygę” czy zwykłego obcego tłum rzuciłby się bez wahania, ale nikt nie miał specjalnej ochoty na walkę z magiem bojowym. Ludzie patrzyli po sobie i wymieniali komentarze, ostatecznie obrabowany krzykacz znowu musiał wziąć inicjatywę w swoje ręce: nieoczekiwanie wykonał zamach i uderzył pałką powietrze kilka dłoni nad głową psa. Owczarek przysiadł z przestachem, ale natychmiast wyszczerzył kły i ujadając rzucił się w kierunku atakującego. Mag ledwo zdążył owinać sobie smycz dookoła ręki i zaprzeć się nogami.

- Szanowny pan to do reszty rozum postradał? - spytał Ksander zimno, gdy w końcu udało mu się poradzić sobie z psem i zmusić go, by usiadł przy nodze. - Życie się znudziło?

- Kto tam was czarodziejów wie? - W głosie chłopca brzmiała obawa, ale i upór. - Wy to potraficie zwykłemu człowiekowi namieszać w głowie i ukryć tego potwora. A nuż on tu obok stoi, tyle że go nie widzimy?! No to dla pewności pojechałem pałką.

- Przekonał się pan? - Ton maga był zupełnie lodowaty. Pies nie ruszał się z miejsca, ale wyraziście szczyrzył zęby i warczał. Krzykacz podejrzliwie główkował, czując, że coś jest nie tak, ale nie rozumiejąc co by to mogło być.

- A po co ci druga kobyła?

- Zmienna - uciął Ksander, przywiązując smycz i wodze zapasowej wierzchówki do łąku swojego siodła. Włożenie na konia z ciężkim koszem w rękach okazało się niezbyt proste, ale jakoś sobie poradził. - Jeszcze jakieś pytania?

- Pokaż zęby - niepewnie zażądał ktoś z tłumu. Mag pokazał co innego, a wyraz jego twarzy był przy tym tak sugestywny, że dalsze pretensje odpadły same z siebie. Ludzie niechętnie rozstąpili się, dając drogę. Chłop, który zdążył już z powrotem odebrać swoją pałkę, w oszołomieniu patrzył na rzuconą przez maga drobną monetę.



Ksander wyjechał kawałek za miejską bramę i niedbałym ruchem dłoni zdjął iluzję. Teraz obok konia bez żadnej smyczy rześko przebierał łapami wychudzony wilk o chmurnym pysku.

- Nie miałem pojęcia, że wilki umieją szczekać - zauważył mag dobrodusznie, skręcając z drogi w zarośla leszczyny.

- Nie umieją - odburknął Oroen chwilę później, wyciągając z sakw na „zapasowym” koniu swoje ubranie. - Ale ludzie nie są psami, więc nie potrafią odróżnić prawdziwego szczekania od udawanego.

„I na nasze szczęście mało kto wie, że wampiry zmieniają się w wilki nie tylko po śmierci, ale też na życzenie” - pomyślał mag. Mimo groźnego wyglądu, kły nie były najlepszą bronią, więc obrońcy dolin ruszali do walki wyłącznie w skrzydlatej postaci.

Po krótkiej dyskusji podróżni zdecydowali się skorzystać z wiejskich drózek, gdzie można spokojnie ruszyć kłusem, ale nie wywoła się szczególnych podejrzeń u napotykanym podróżnym - w kierunku Dogewy prawie nikt nie jechał, przeważnie głównym traktem do Belorii wracali ostatni żołnierze, w jeszcze paskudniejszym i mniej przyjaznym nastroju niż zostawiony za miejską bramą tłum.

Podróż mijała w milczeniu, tylko czasami padały krótkie, rzeczowe frazy jak „podaj flaszkę”, „krótki postój”, „gdzie lepiej skręcić na rozwidleniu”?

Bo przecież nie bardzo wypadało się dowiadywać, kto i w jaki sposób uczestniczył w walce o Dogewę, z przesadną beztróską pytać o plany na przyszłość czy wyklócać, czyje kobiety są ładniejsze - żołnierze, wdzierający się do wsi, zwykle nie patrzyli ani na wygląd, ani na wiek...

Zresztą niemowlę nie pozwalało towarzyszom na nudę, gromko żądając uwagi prawie co pół godziny i przenosząc się z siodła na siodło. Więc o pełnym napięcia milczeniu też nie było mowy.

W ciągu jednego dnia bez szczególnych problemów udało im się pokonać prawie połowę drogi, zakończoną postojem na nocleg przy

rzadkim brzozowym lasku. Zdecydowali, że będą trzymać wartę po kolei: wampir do godziny po północy, a mag do świtu. Po chwili namysłu Ksander zrezygnował z wykorzystania magicznego konturu ochronnego - nie wątpił, że był poszukiwany, może i niejawnie, ale to niewiele zmieniało. Tak więc ściąganie na siebie uwagi kolegów gwałtownym rozbłyskiem magii nie było wskazane.

Dziecko chyba nie zamierzało spać w ogóle. Leżąc w koszu, darło się tak, że w lasku nie cichło echo, na rękach u Oroena - trochę ciszej i z minutowymi przerwami. Upilnowanie czegokolwiek w tej sytuacji było niemożliwe, a po paru godzinach takiego „odpoczynku” mężczyznom było już jednakowo obojętne, czy ktoś ich zaatakuje. W każdym razie zwykle środki ostrożności, takie jak cisza czy bezdymny płomień, odpadły same z siebie. Ksander poważnie zastanawiał się nad rozdzieleniem wśród podległych mu magów zasłużonych nagród i wręczeniem Katissie orderu za męstwo (nie precyzując, jakie konkretnie). Wampir cichym i łagodnym głosem, w ramach kołysanki, ze szczegółami opowiadał niemowlakowi, co konkretnie myśli o jego kompletnie niegodnym Władcy zachowaniu...

W końcu mag zasnął ciężkim nierównym snem. Obudził się w grobowej ciszy. Z niesamowitym trudem udało mu się otworzyć oczy, po czym zobaczył wampira, który siedział obok w milczeniu i wbijał w niego dziwnie nieprzyjemne, oceniające spojrzenie.

- O co chodzi?

- Tak sobie myślę, że może powinienem cię zagryźć, zakopać i ruszyć dalej sam - odparł powoli Oroen. - Do Dogewy została mniej niż setka wiorst, jakoś sobie poradzę...

- Jak już się zdecydujesz, to mnie obudź - mruknął Ksander, próbując przekręcić się na drugi bok, ale wampir ze śmiechem przytrzymał go za

ramię.

- No nie, skoro się obudziłeś, to wstawaj! Twoja kolej pilnować, właśnie miałem cię szturchnąć.

Mag z westchnieniem odrzucił koc i usiadł, czując się głupio jak rzadko kiedy. Zresztą, gdyby potrafił czytać w cudzych emocjach jak w otwartej księdze, to też nie przepuściłby szansy zażartowania z rozmówcy, który może nic po sobie nie pokazał, ale nieco się przestraszył.

Gdy tylko ustąpił wampirowi wygrzane legowisko, rozprostował nogi w trakcie niewielkiego obchodu i dorzucił parę polan do ogniska, niemowlę zdecydowało, że starczy tego dobrego i znowu wybuchło głośnym płaczem.

- Skąd w tobie tyle siły? - spytał mag z rezygnacją, biorąc je na rękę. Mały na chwilę zamilkł, nieufnie przyglądając się człowiekowi, a potem dobitnie zademonstrował, że koncert przed chwilą bynajmniej nie był szczytem jego możliwości wokalnych.

- Po co go drażnisz? - nie wytrzymał Oroen, który bezskutecznie próbował się zdrzemnąć.

- Ja? - warknął Ksander, czyniąc niepewną próbę ukołysania ciągle wydzierającego się zawiniątka. Niestety zdołał doprowadzić tylko do tego, że ryk stał się urywany i działał na nerwy jeszcze bardziej. - Sam byś spróbował go uspokoić!

- Próbowałem, trzy godziny pod rząd! - Wampir uznał, że nie będzie próbował powtórzyć tego bohaterskiego czynu i małostkowo nakrył się kocem po czubek głowy. Wynik był cokolwiek nieoczekiwany: wrzaski bez najmniejszych przeszkód przenikały przez grubą tkaninę, ale za to mag nie miał szansy zrozumieć mamrotania otulonego towarzysza. Tym bardziej że chyba już zdążył ogłuchnąć na prawe ucho, które

znajdowało się nieco bliżej źródła dźwięku. Tęsknie spojrzął na posłanie, na którym miał ochotę podrzemać w oczekiwaniu świtu i nie wytrzymał:

- Tak w zasadzie, to nadzieja twojej doliny, tak więc wstań i spróbuj ją uspokoić!

- Ale twoja kolej, by pilnować! - Wampir nie pozostał dłużny.

Mag westchnął, bez większej nadziei potrząsnął zawiniątkiem i już poważnie dodał:

- Jeśli on nie przestanie się wydzierać, za pół godziny będziemy tu mieli wszystkie okoliczne pomroki. Płacz niemowlaka działa na nie jak magnes, żaden stwór nie odmówi takiego poczęstunku.

Po takim stwierdzeniu wampir, chociaż cokolwiek niechętnie, musiał jednak porzucić swoje wątpliwe ukrycie i przyłączyć się do towarzysza niedoli. Dziecko zareagowało na to kilkoma dodatkowymi decybelami, żeby żadna z nianiek nie poczuła się przypadkiem zignorowana.

- Za mojej zmiany tak nie krzyczał - zaniepokoił się Oroen. - Może trzeba mu zmienić pieluchę?

- Sprawdziłem, wszystko jest w porządku - odparł Ksander z irytacją. - Jeść również nie chce. Z braku innych opcji próbowałem nawet go uśpić zaklęciem.

- Na jasnowłosych magia nie działa. Instynktownie ją odbijają.

- No co ty nie powiesz? - odparł mag zgryźliwie. - W życiu bym na to nie wpadł!

- A na mnie się czemu wściekasz? - obraził się wampir.

- Przecież nie na niego. Jakie jeszcze problemy może mieć wasze niemowlę?

- Takie same jak wasze. - Oroen wzruszył ramionami. - Czegoś się przestraszył, brzuch go boli...

- Brzuch? Przecież wy od dwustu lat w ogóle nie chorujecie!

- Ale to przecież nie choroba. Zwykła niemowlęca kolka, może mleko było zbyt tłuste albo kwaśne. Albo za dużo wypił.

- I co mamy z tym teraz zrobić? - Zadane pomiędzy dwoma kolejnymi wrzaskami pytanie zabrzmiało cokolwiek desperacko.

- Nic. Tu trzeba zielarki - westchnął wampir. - Jak sobie z nim wcześniej radziłeś?

- Przez pierwszy miesiąc w ogóle nie było go słycać. - W głosie maga zabrzmiała nuta tęsknoty. Potem zajmowali się nim moi pomocnicy, ja tylko wpadałem od czasu do czasu. A ty masz dzieci?

Oroen pokręcił głową. Ta ukochana i jedyna, z którą chciałby je mieć, wyszła za mąż za innego i już dawno się z tym pogodził... Co prawda w tej konkretnej chwili nie wydawało mu się to aż tak wielką stratą.

- Mam wrażenie, że ciebie nie ma co pytać?

- Mogę odpowiedzieć. I nigdy nie będę miał!

Mężczyźni tęsknie spojrzeli po sobie i w przypiływie nieoczekiwanej sympatii pomyśleli, że przepaść pomiędzy wampirami a ludźmi wcale nie jest aż tak głęboka, skoro mostkiem przez nią może stać się zwykły koszyk z niemowlęciem...



Jeszcze nie przyjaciele, ale już nie wrogowie z trudem wytrzymali do świtu i ponownie wspięli się na siodła. Gdy tylko konie ruszyły z miejsca, krzyk przeszedł w płacz, potem w rzadkie chlipnięcia, a w końcu w wytęsknioną ciszę, której ani mag, ani wampir nie naruszyli nawet szeptem, komunikując się ze sobą na migi.

Po kilku godzinach weszło słońce. Zrobiło się gorąco. Nad wypalonym, dopiero co zarastającym młodą trawą polem zabrzmiały trele skowronków. Kobyła Ksandra nadepnęła na kawałek kolczugi, zaplątała się i z przestraszeniem uciekła na bok, wlokąc za kopytem dzwoniącą koronkę. Mag spiesznie ściągnął wodze, zeskoczył i odczepił przeszkadzającą „ozdóbkę” od poluzowanej podkowy. Wypowiedział krótkie zaklęcie, żeby nie odpadła ostatecznie na samym środku drogi jako znalezisko na szczęście dla kolejnych podróżnych, po czym wsłuchał się z obawą. Nadal było cicho. Jak również po dziesięciu minutach, po godzinie, po dwóch.

Oroen nie wytrzymał jako pierwszy.

– Słuchaj, a może on już chce jeść? Ale w nocy tak zdarł gardło, że teraz nie może nawet pisnąć?

Mag zwrócił w jego kierunku wychudzoną twarz z czerwonymi od niedospania oczyma. W nocy nie pojawił się żaden potwór - pewnie bały się, że doprowadzeni do ostateczności podróżni zaprzęgą go do niewdzięcznego zadania lulania niedoszłego obiadu. Ale Ksander wolałby radzić sobie z dziesiątką strzyg niż z jednym wydzierającym się niemowlakiem!

– Jeżeli będzie czegoś chciał, dowiemy się o tym natychmiast! - powiedział z pasją.

Wampir nie śmiał nalegać. Sam dopiero co przysnął w siodle, tak że kolejne pół godziny również upłynęło w ciszy - ale niestety teraz już nie wydawała się ona aż tak błoga. Ksander z trudem powstrzymywał się od pokusy wypatroszenia obwiązanego szmatą kosza i sprawdzenia, że mały drań śpi sobie słodko, a nie umiera, czy - co gorsza! - nie został przypadkiem zapomniany w miejscu postoju.

Ostatecznie mag poddał się, przyhamował i ostrożnie zajrzał do środka.

Eksperymentu tego więcej nie powtórzono. W odróżnieniu od dorosłych, niemowlę zdążyło doskonale wypocząć, tak że przez następne cztery godziny spokojnie przekroczyło dzienną normę krzyków.

- Dlaczego mnie w nocy nie zagryzłeś?!

- Co za szczęście, że tego nie zrobiłem! - W tej chwili kosz znajdował się na siodle maga, a jego kobyła bynajmniej nie była tym zachwycona. Poprzednio wampir przez jakąś godzinę czekał na Ksandra koło wsi, do której ten poszedł po mleko, po czym nieopatrznie wrócił i już nie mógł uniknąć honorowego ciężaru.

W chwili zapadnięcia zmroku do Dogewy zostawało tylko kilka wiorst, ale towarzysze nie chcieli przeprawiać się przez pobliski las w nocy. Tym bardziej że nawet wampir nie mógł zagwarantować, iż jego krajanie przywitają nieoczekiwanych nocnych gości z otwartymi ramionami. Z otwartymi szczękami było znacznie bardziej prawdopodobne, tak więc ranek wydawał się znacznie lepszą porą na pierwszy... no niech będzie, że nie przyjacielski, ale chociażby neutralny kontakt.

Tym razem pierwszy dyżur trafił się magowi. Oroen pokręcił się przez jakieś pół godziny, ponarzekał, ale jednak usnął. Dla odmiany niemowlę również. Na wszelki wypadek nie wypuszczając go z rąk, Ksander powoli zaczął odpływać.

I parę godzin później za to zapłacił. Inkasenci wyglądali jak oddział byłych legionistów, w dzisiejszych czasach będący bandą maruderów z naładowanymi kuszami. Gdy Ksander uniósł głowę, a strażnik nawet w głębokim wampirzym śnie poczuł obecność obcych, poruszył się

niespokojnie i otworzył oczy, rozbójnicy już otoczyli obozowisko, stwierdzili, że nie napotkają poważnego oporu i zdecydowanie nabrali animuszu.

- No i tak... - Herszt pewnym siebie krokiem podszedł do ogniska i zajrzał do kociołka. - Siedzą sobie, kochasie. Grzeją w ciepełku. I patrzcie, już nawet nam obiad zrobili... A ty chłopie siedź, siedź, nie martw się, sami się obsłużymy!

Maruderzy wybuchli rechotem, niezgodnym, ale przez to nie mniej paskudnym.

- A co my tu mamy? Nie mówcie, że strzygę? - Rozbójnik końcem miecza zmusił wściekle wyszczerzonego Oroena do podniesienia głowy. - Nie no, chłopaki, dziś to dopiero mamy szczęście! Za te kły dostaniemy od znachora garść monet, do tego akurat mi brakowało jednego futra na kurtkę...

- Wojna się skończyła - powiedział mag zimno, przyciskając do siebie niemowlę, które znowu dało znać o sobie. - I w razie czego będziecie sądzeni zgodnie z regularnym prawem jako rozbójnicy i mordercy.

- Co tam gadasz? - Herszt z szyderczym uśmiechem przystawił dłoń do ucha. - Co się temu wypierdkowi skończyło? Nic nie słyszałem! Ale powiem ci, że las dookoła głuchy, królewscy heroldzi z wieściami się zawsze spóźniają, a my ludzie mali - kazali nam zabijać potwory, to służymy ojczyźnie, co nie chłopcy?!

Banda odezwała się zgodnym pomrukiem i przysunęła jeszcze bliżej. Dwóch opryszków, bynajmniej nie krępując się obecnością właściciela, grzebało w sakwach przy siodle, wyrzucając przedmioty z ich punktu widzenia niepotrzebne.

- A nie moglibyście tak zabrać pieniędzy oraz koni i się stąd zawinąć? - zaproponował Ksander. Czuł się paskudnie, poniżając w ten sposób przed tymi ludzkimi śmieciami, ale wycelowane ze wszystkich stron kusze oraz ręce zajęte niemowlakiem niwelowały wszelkie zdolności magiczne. - My jesteśmy pokojowymi lu... podróżnymi i nie będziemy wam czynić przeszkód.

- Oj nie, kochany. - Herszt pokręcił głową. - Coś mi się widzi, że ty tu próbujesz nas biednych oszukać. Myślisz, że nie widzę żeś czarownik? I że się nie rzucasz tylko póki cię mamy na celowniku? A jak będziemy głupi, weźmiemy pieniążki i odwrócimy się plecami, to zaraz dostaniemy w nie jakimś piorunem. Nic z tego, i trzeba cię biednego załatwić razem ze strzygą....

Ksander ani na chwilę nie zwątpił w powagę ich grózb. Maruderzy faktycznie nie potrzebowali świadków - mógł iść o zakład, że za jakiś tydzień czy dwa, gdy chlebne dni powojennego bałaganu się skończą, planowali wrócić do domów jako bohaterzy. Bo przecież nie powiedzą żonom i dzieciom, że przywiezione złoto nie zostało zdobyte w walce z wrogiem, tylko zdjęte z trupów jak najbardziej pokojowych... a na dokładkę w większości ludzkich...

Twarz maga wykrzywiła się z przerażenia, spróbował coś wybełkotać, ale natychmiast zbladł, przewrócił oczami i padł na wznak, wypuszczając dziecko - i to tak pechowo, że wypadło ono z kosza na ziemię. Gdyby na miejscu Oroena znajdowała się kochająca mamusia niemowlęcia, to sama by zemdląła albo, nie bacząc na kusze, rzuciła się sprawdzać, czy z ukochanym dzieciątkiem wszystko w porządku. Zaś rozbójnicy bez chwili wahania naszpikowaliby całą trójkę strzałami. Ale, dokładnie tak jak Ksander przewidywał, po drugiej stronie ogniska siedział może i oddany, ale wściekły, niewyspany i z tego powodu

wyjatkowo wkurzony wampir, który bez namysłu rzucił się w kierunku najbliższego rozbójnika, a ten zupełnym przypadkiem był hersztem. Bandyta zdążył zwolnić cięciwę, ale Oroena to nie powstrzymało - złapał człowieka za kark, po czym jednym ruchem odwrócił do jego kumpli, którzy też śpiesznie rozładowali kusze. Herszt nie zdążył nawet pisnąć, tylko wygiął się w łuk i zachrypiał, trafiony przez cztery bełty równocześnie.

Nikt nie wpadł natomiast na to, by dla pewności strzelić w nieprzytomnego maga - co również było błędem. Ksander obawiał się, że trafi wampira, więc ograniczył do zwykłej fali mocy, która uderzyła napastników w kolana, pozbawiła równowagi i wybiła z rąk broń. Przygotował się do walki mieczem, ale pozbawieni przywództwa rozbójnicy nie podjęli walki, tylko uciekli na różne strony.

- Ścierwo! - splunął mag, chowając miecz i schylając się po dziecko. Sądząc z intonacji - jeśli można zastosować to słowo do wibrującego trełu - oraz wyrazu wykrzywionej twarzyczki, mały był nie tyle przestraszony, co oburzony i zamierzał długo, okrutnie mścić się za tak bezczelne potraktowanie.

Oroen po chwili wahania puścił martwe ciało, które upadło do jego stóp jak worek. Skrzywił się, wymacał sterczący w boku bełt, wyciągnął go i wrzucił do ogniska.

- No to teraz sam go uspokajaj - powiedział do pechowego wartownika, po czym wrócił na posłanie i z głową schował się pod derką.

Ksander zaczął poważnie rozważać prawdziwe omdlenie.



Las spłonął niedawno - z góry nadal padały czarne strzępki liści, gorzkie, siwe powietrze drapało w gardle. Ocalały tylko najwyższe i zielone drzewa - te suche zajęły się aż po czubki i teraz leżały na ziemi w postaci martwych kłód, a po młodych zostały tylko zwęglone pręty.

Oroen rzucił na maga szybkie spojrzenie, które nie wyrażało wyrzutu, ale Ksander ze wstydem przygryzł wargę i wbił wzrok w ziemię. Może przyczyną pożaru nie były wcale pulsary czy inne ogniowe zaklęcia, bo nie używano ich w lesie, a magowie już miesiąc wcześniej odmówili udziału w wojnie, ale to niewiele zmieniało. Ludzie doskonale poradzili sobie przy użyciu katapult i płonących kubłów smoły.

Tak, jestem magiem. I jako pierwszy wystąpiłem na Radzie z gniewną, płomienną mową, która przekonała międzyrasowy Konwent magów, upierający się przy pozostawaniu z daleka od polityki, by przerwał wojnę, stając po stronie wampirów.

Ale jestem też człowiekiem. I nadal czuję się winny tego, że nie zadziałałem wcześniej..., że pozwoliłem, by ta wojna w ogóle się rozpoczęła...

- Orroen?! T-ta irra, kasshen!

- Trenn, insa! - odparł zapytany chętnie i machnął niewidzialnemu strażnikowi na powitanie. - Thaifletta, na rren, weris Lan Kielanna!

- Klea, dsai w'est!

Z krzaków nikt nie wyszedł, ale wampir wyraźnie się ożywił:

- Poinformuje Radę o naszym przybyciu i zadba, żebyśmy bez przeszkód dotarli do miasta.

- Doskonale. - Mag odetchnął z ulgą i w końcu pozwolił sobie na rozprostowanie ramion. Chociaż był doskonale świadom, iż strzała

naprawdę nie widzi różnicy, w jakie plecy ma trafić - proste czy zgarbione.

Jeszcze nie raz po drodze widzieli ruiny domów i wypalone kawałki lasu. Ale były również skrupulatnie oczyszczone polanki, zaorane pola i świeże, dopiero co postawione ściany z belkami pod przysze dachy. Dolina powoli się odbudowywała. A teraz, wraz z powrotem Władcy, miała zyskać prawdziwą nadzieję na odrodzenie.

Serca miasta wojna prawie nie ruszyła. Przy efektownej fontannie na środku placu stała bardzo szczupła kobieta w czarnym obcisłym stroju. Złożyła ręce na piersi i bez najmniejszego entuzjazmu patrzyła na zbliżającego się maga. Lekki wiaterek czochrał jej krótkie, nierówno ostrzyżone włosy - ni to spalone, ni to pośpiesznie obcięte nożem, by nie przeszkadzały w walce.

Ksander spojrział jej w oczy i zadrżał. Czarne, przenikliwe, głęboko zapadnięte ze zmęczenia i tak samo starej nienawiści... i kompletnie martwe. Pomyślał, że gdyby Dogewę czekała jednak decydująca, w ostatniej chwili odwołana, bitwa, to ta kobieta bez namysłu ruszyłaby na wroga nawet z gołymi rękami - by bez najmniejszej litości zemścić się za tych, których utraciła.

Nie było przy niej żadnej ochrony, ale wszystkie przechodzące przez plac wampirzyce (Ksander nie zauważył ani jednego mężczyzny, prawdopodobnie wszyscy zajęci byli odbudową Doliny, a i tak niewielu ich zostało) na wszelki wypadek zatrzymały się i czujnie obserwowały człowieka, gotowe w razie czego natychmiast ruszyć z pomocą.

A dziecko wybrało wręcz idealną chwilę, by poinformować świat, że jednak za nim nie przepada.

To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Wymęczony, ledwo trzymający się na nogach mag, który przez kilka dni przygotowywał

przemówienie dyplomatyczne, nieoczekiwanie zrozumiał, że jest mu całkowicie obojętne, co pomyśli o nim najwyższa dogewska zielarka, nieoficjalnie stojąca na czele Rady Doliny. Niechby go nawet zagryzła na miejscu, w końcu będzie miał okazję poleżeć w ciszy i spokoju!

I bez żadnych ceremonii zrobił krok do przodu, w milczeniu podając jej kosz.

Wampirzyca skrzywiła się ze wstrętem, zdziwiona, spojrzała na piszczący pakunek... Po czym nagle wytrzeszczyła oczy i ze zwierzęcym rykiem skoczyła w kierunku maga, wrywając mu niemowlę. Zaskoczony Ksander zachwiał się, a Oroen ledwo zdążył przytrzymać go za łokieć. Tymczasem zielarka wypatroszyła zawiniątko, przekonała się, że to nie był tylko wytwór jej wyobraźni, podniosła piszczące dziecko do góry i załamującym się głosem krzyknęła kilka słów w alladarze. Okrzyki zdziwienia błyskawicznie przeszły w wyrazy radości, kobiety obstały ją dokoła, gadając jedna przez drugą i próbując dotknąć chociażby pieluchy.

O mężczyznach zapomniały. Zupełnie. Procesja, gaworząca i szczebiocąca z zachwytem (ze środka dolatywały protestujące wrzaski niemowlaka, który nieco poniewczasie zrozumiał, w co się wpakował) przecięła plac i zniknęła w Domu Narad, pozostawiając bohaterów w dumnej samotności.

- Może piwko? - zaproponował nieoczekiwanie Oroen, wskazując znajdujący się niedaleko odpowiedni przybytek.

Ksander, nadal jeszcze nie wierząc w wybawienie od źródła ich wspólnej męki, popatrzył na swoje puste ręce, po czym wzniósł oczy ku niebu i z głębi serca odmówił modlitwę dziękczynną do wszystkich bogów hurtem, mimo że do dnia dzisiejszego miał wątpliwości odnośnie do istnienia chociażby jednego z nich.

– O tak, to jest zdecydowanie dobry powód do świętowania!

Wampir i człowiek, opierając się o siebie nawzajem, resztkami sił ruszyli w kierunku gospody.

Ale to już zupełnie inna historia...

SUPEŁEK NA SZCZĘŚCIE

– Gadają, żeś się zebrał przeciwko pajęczycy?

Danka zakrztusił się, opluwając piwem stół i koszulę. Nawet na spodnie co nieco trafiło. Czarownik nie pytał o pozwolenie, by usiąść na wolnym krześle. Sam jak ten czarny karaluch o suchych nogach przełazi dookoła stołu i zgarbił się naprzeciwko, z rękoma złożonymi na szczycie sękatej pałki, świdrując chłopaka głęboko zapadniętymi koralikami oczu.

Jak każdy kumaty dwudziestoletni chłopak ze wsi, Dańka szanował czarowników i nieco się ich bał. A starego, lecz nijak niechącego zejść do grobu czarnoksiężnika-nieludzia, który z palcem w nosie mógł podnieść ze wspomnianego grobu dowolnie wybrane świństwo, bał się bez żadnego „nieco”. Nie chciał mieć do czynienia nawet z jego cieniem, więc ograniczył się do niewyraźnego i kompletnie niezobowiązującego „yhym”.

Pomarszczony stary grzyb... Ha, wręcz muchomor, a nawet sromotnik - nie zamierzał ani się zabierać, ani zamawiać paru kufli, żeby „oblać spotkanie”. Skąpstwo starego czarownika znane było nawet lichwiarzom. Jeśli wierzyć plotkom, to w ciągu ostatnich pięciu lat nie wydał ani jednej zarobionej na czarowaniu monетки: we wszystkich kramach obsługiwano go za darmo, bo przy jakiegokolwiek aluzji o należności „klient”, mimo że sięgał do sakiewki, zaczynał przy tym z taką złością mamrotać coś pod nosem, że handlarze woleli ponieść niewielką stratę, niż powiedzmy radzić sobie z pożarem czy plagą szczurów.

– Pewnie się przygotowałeś jak należy?

- Aha.

Mag chwilę wiercił się na krześle, jak gdyby przypadkiem ulokował swój chudy tyłek na kupce okruszków po sucharach (oczywiście za taką niedbałość karczmarz już dawno by kumkał pod ladą).

- Zaczarowałeś miecz?

- Yhy.

Nie ma co, miecz był nie najlepszej jakości. Mówiąc otwarcie: gówno, a nie miecz. Z takim to można tylko przed pannami wypinać pierś, a wrogom należałoby raczej pokazywać plecy. Dańka ostrzył go do północy, próbując na przemian to na obgryzionym paznokciu, to na stojącym u progu pniaku. Ale czar, nałożony przez wiedźmę z chatki przy rzece, obiecywał tylko jeden celny cios i to taki, że miecz z ludowych baśni pozazdrości. A Dańka nie potrzebował więcej. Oczywiście wolałby nie machać w ogóle, ale skoro już będzie musiał, to zadać ten jeden cios, rzucić i uciekać, ile sił w butach - które, przy okazji, również zostały zaczarowane na ćwierć wiorsty nieustannego galopu.

- Bo ta pajęczycza to u drogi siedzi od zeszłego roku i co dwa tygodnie wyłazi na polowanie. - Podstępnie szeptane słowa jak wężyki wpełzały do uszu, Dańka z trudem powstrzymał się, by nie potrząsnąć głową, zrzucając natrętne gady. - Pewnie tam już sporo dobra leży, sam posag kupieckiej córki swoje wart, na trzech wozach go wieźli... A ty musisz ze sobą zabrać choćby jeden, bo jak czegoś nie zabierzesz od razu, to chętni na bezpańskie dobro migiem się znajdą.

- No a jak! - Chłopak dumnie wyprostował szerokie ramiona, każdy potwór ma szansę docenić. Szczególnie jak będzie je obgryzał...

„Staruchu, nie ucz uczonego! Mam wóz i kobyłkę myszatej maści też mam, wabi się Kapustka. Mała, łysawa, ale mocniejsza niż niejedno

pociągowe konisko. Uniesie zarówno kupieckie jedwabie, jak i krasnoludzkie tarcze srebrem okuwane, i wolmeńskie kunie futra, o ile jeszcze nie zgniły. Ale w jednym masz rację, nieludziu, pajęczyca na drodze siedzi od dawna, a droga uczęszczana”.

Co prawda Dańka oddał za wynajem kobyły z wozem swoją jedyną koszulę, nowiutką, ledwo z targu przyniesioną, a w razie niepowodzenia obiecał, że będzie u ich właściciela przez rok za figę bez maku pracował. Ale nic to, pajęczyca nie panna, można się do niej wybrać też i z gołą piersią. Zapiąć kurtkę dokładniej i ujdzie.

Tym razem czarownik zamyślił się na dłuższą chwilę.

– Ziele?

– Ehe.

„No co ty nie powiesz?! Jakim trzeba być durniem, coby się bez niego do pajęczyzny pchać?!”

Ziele, zwane też eliksirem zdrowiającym kosztowało Dańka pięć złotych. A i to po tanioci, bo od znajomego czarownika. Sam czarownik odmówił użycia produktu zgodnie z przeznaczeniem. Ze niby stawy go bolą na chłody, do pajęczego leża daleko, a jeszcze kobyła jak na złość obzarła się koniczyną, wzdęta okropnie i żeby tylko nie zdechła na dobre. Czyli stchórzył. Pięć złotych Dańka wziął od lichwiarza pod zastaw pierścionka zaręczynowego. Jak go pajęczyca wysie, to sam pierścionek opłacony trzema latami roboty niepotrzebny: złotowłosa Szarasia po rozpacza tyle co powinna i wybierze sobie innego kawalera, bardziej fortunnego. A jak Dańka wróci, to będzie miał za co wykupić pierścionek i jeszcze wesele urządzać, i nawet dom wybudować. Dwupiętrowy, o rzeźbionym dachu, jak od dzieciństwa marzył.

Chłopak pokręcił kubkiem i jednym haustem dopił przelewające się w środku resztki. Spadaj, stary pieńku na nocny cmentarz, czy gdzie

tam tacy czarnoksiężnicy jak ty łążą.

Ale gdzie tam, marzenie ściętej głowy! Czarownik pochylił się do przodu i tak wbił w Dańkę szczurze ślepka, że piwo straciło pewność, czy ma popłynąć w dół do brzucha, czy w górę.

- A o szczęście zadbałeś?

- Że co?! - Na takie stwierdzenie Dańka już nie dał rady zmilczeć. - Przecież ono się, znaczy tego... nie da wyczarować? - powiedział niepewnie. Nawet takie przysłowie jest: „Szczęścia u maga nie kupisz!”

- To domorośle więdźmy nie dadzą rady, a sensowni czarodzieje - jak najbardziej. - Czarownik zaszeleścił jak martwe jesienne liście, zasłaniając nimi zieloną trawę rozsądku. - No to jak, umowa stoi?

Mimo dopiero co wypitego piwa (trzy kufle, za ostatnie grosze, dla dodania odwagi!) chłopakowi zaschło w gardle. Bo szczęście, znaczy się, to ważna sprawa! Nawet bardziej potrzebna od miecza czy ziela: tam pod pajęczyną mieczy i buteleczek pewnie całe stosy leżą. Trzech rycerzy przeciwko pajęczycy poszło. Dwóch wiedzących, znaczy się magów bojowych. Kompan Dańki po pijaku chciał się przed pannami pochwalić - ale ten to rano wrócił, szczękając zębami. Nadal z chaty nie wyłazi. No dobra, jeszcze po ogródku do wychodka przejdzie, ale do lasu się nawet nie zbliża, mimo że do pajęczycy to prawie dzień drogi. Zobaczył z daleka, jak ona tam kogoś zjada i to mu wystarczyło.

A ile tam jeszcze było przypadkowych podróźnych? Ilu pechowych durniów i bohaterów wisi w kołyskach z pajęczyny jak te laleczki - to tylko oni sami naliczyli przed śmiercią. Dańka natomiast nadal nie określił, do której grupy zalicza siebie. Ale wiedział na pewno, że tak dalej żyć nie można. Tyrasz dla gospodarza od świtu do zmroku, ze wszystkich radości tylko zjeść i pannę w stogu przytulić, jak człowiekowi jakieś siły zostały. A życie to taka sprawa, że się człowiek

nie zdąży obejrzeć i już on ani dziewczkom, ani przyjaciołom niepotrzebny, a swojego nic nie ma. Nie, lepiej już iść w łapy pajęczycy...

- No to pokaż to swoje szczęście, jak poważnie mówisz! - zażądał Dańka, celowo nie bawiąc się w uprzejmości.

Rybka złapała haczyk. Teraz pozostawało już tylko ostrożnie podciągnąć.

Czarownik delikatnie, jak największy klejnot, wyciągnął z kieszeni kawałek cienkiego włosianego sznura i powoli, dokładnie zaciągnął na nim trzy oszukane supły. Dańka tak się bawił kiedyś z młodszą siostrą: wygląda dokładnie jak normalny supeł, a wystarczy pociągnąć za końce sznurka i już się rozplącze, tylko pstryknie cichutko.

- I co? - nie wytrzymał chłopak.

- I to. - Czarownik rzucił sznurek na stół, równiutko pomiędzy rozmówcami. - Jak będziesz potrzebował szczęścia, to sobie zażyczysz i rozwiążesz supełek.

- A ile za to chcesz? - Danką nawet na zwykłym targu nie bardzo umiał zadbać o własny interes, w jednej chwili zdradzał się błyskiem w oku.

A doświadczony staruch już mu się władował na kark jak chomąto.

- Jak użyjesz jednego supła, to oddasz mi jedną trzecią zdobyczy, dwóch - dwie, trzech - całość dla mnie.

- Aha, chytrusie! - ryknął Danką z oburzeniem, zapominając, z kim rozmawia. - A co, jak nie zadziała?!

- Jak przynajmniej jeden nie zadziała, to nie płąć - uciął czarownik sucho. - Tylko pamiętaj, jak zadziała, a ty mi skłamiesz albo coś schowasz, to się w jednej chwili dowiem. I wtedy popamiętasz, przez całą resztę życia będziesz bez szczęścia chodził!

Danka wahał się jeszcze przynajmniej pół godziny. Drapał po głowie, krzywił, udawał, że odchodzi i ponownie wracał, mając nadzieję wytargować od paskudnego nieludzia przynajmniej ćwiartkę bogactw, póki co istniejących tylko w jego wyobraźni. Ale sam od początku wiedział, że się zgodzi. Zgodzi się na cokolwiek, żeby do swej durnej, wywołanej przez desperację odwagi dołożyć przynajmniej kawałeczek szczęścia.

I się zgodził.

Przerażenie poczuł już w jarze, gęsto zasypanym jesiennymi liśćmi. Do przeciętego przez trakt lasu, w którym zamieszkiwała pajęczycza, miał jeszcze ponad pięć wiorst, ale ludzie gadali, że w tej okolicy już bywała. Dańka specjalnie celował tak, by wyjechać w okolicy obiadu, przenocować w połowie drogi i o świcie ponownie wyruszyć, docierając do pajęczego legowiska w następne południe. Po pierwsze, za dnia jednak mniej straszno, a po drugie - na drogę paskuda wypełzała tylko w nocy. A to mogło oznaczać, że boi się światła.

Mimo to Dańka nie robił sobie specjalnych nadziei. Ale nie zamierzał się wycofywać. Nie miał dokąd. Rodzice nie żyli, siostra wyszła za mąż za miastowego, chata spłonęła i chłopak jej nie odbudowywał. Chudy węzełek z rzeczami schował pod ławką w izbie parobków - jeśli Dańka nie wróci za tydzień, to kumple podzielą się zawartością i wspomną go dobrym słowem. I tyle po nim pozostanie: skórki od kiełbasy, leżące koło butelki opróżnionej na stypie...

Ale im dalej dreptała posłuszna Kapustka, tym mniej Dańka miał ochotę stawać się powodem takowej imprezy. Wystarczyło, by powiał wiatr, a drogę przebiegało stadko pokrzywionych klonowych liści, suchych i burych, jak gdyby wytopionych spod śniegu, a nie dopiero co opadłych z gałęzi. Ten jar był jakiś niedobry, nieprawidłowy. I Dańka

laźł po nim jak szczur po rynnie - nigdzie ani skrętu, ani miejsca, żeby zawrócić, a po drugiej stronie czeka tusty kocur.

Może też powinien ruszyć do miasta? Przemieszkać miesiąc czy dwa u siostry, wynająć się jako pomocnik garncarza albo kowala, w końcu natura mu ani zwinności, ani siły nie poskapiła.

A tam tylko patrzeć, może jakaś wdowa kupiecka się nawinie, w latach i przy pieniądzech... sucha decha albo baryłka z sadłem, humorzasta, będzie mu wypominać każdy kęs słodkiego ciasta.

Chłopak ze wstrętem splunął za burtę wozu i ściągnął lejce. Nie, nie po to, żeby zawrócić w kierunku miasta i swojego „szczęścia”, tylko żeby po męsku podlać krzak głogu.

Głóg miał do Dańki stosunek niezbyt przychylny - zaszeleścił gęstą zielenią, usianą czerwonymi owocami, wytrzeszczył ślepie i ze zdumieniem ryknął: no co żeś, chłopie, nie mogłeś w całym lesie innego miejsca znaleźć?! No to masz teraz za swoje!

Rozluźniona ulga nie trwała długo. Równy do chwili, gdy chłopak zrozumiał, że mimo pozornej gęstości krzaka na siedzącego za nim niedźwiedzia mimo wszystko coś trafiło.

Pierwszy wrzask Dańki wyszedł wysoki i jakiś taki babski, ale sprawy szybko wróciły do normy. Trzymając opadające spodnie, pechowiec z krzykiem uciekł w kierunku wozu.

Niedźwiedź jako mądre zwierzę nie ruszył na przełaj przez kłujące gałęzie, tylko naokoło, dając chłopakowi dwa sążnie forów.

Oczywiście Kapustka na nich nie czekała. Ale ponieważ była zwierzęciem pociągowym, a nie wyścigowym, po pół wiorsty Dańka jednak dogonił wóz i wskoczył do środka, prawie wypadając ze spodni. Strzelił biedną kobyłkę lejcami po grzbiecie, nie tyle poganiając, ile

utwierdzając w przekonaniu, że powinna galopować do ostatniego tchu. Niedźwiedź sapał z tyłu, obiecując Dańce srogą zemstę za zniewagę.

Ech, no co za pech... Ledwo przejechali połowę drogi, a już szczęście się odwróciło!

Szczęście...

Szczęście!

Gdzie?!

W lewej kieszeni - wymięta chustka i okruszki od chleba.

W prawej pustka.

Chyba nie upuścił pod krzakiem?!

A może... Ale kiedy zdążył tam władować?

Na wyjeździe z jaru droga się rozwidła. Jedna odnoga, szersza, prowadziła wprost do pajęczego lasu, a druga wąską ścieżką spływała na dół w łopiany. Dańka próbował skierować spienioną kobyłkę na równą drogę, chociaż jeśli wierzyć rozsądkowi, to powinna sama tam skręcić...

I skręciłaby, gdyby nie zdechła owca z wypatroszonym brzuchem, zadzierająca kopyta pomiędzy koleinami.

Kapustka zachrapała, skoczyła w bok i ruszyła z górki, pchana przez rozpędzony wóz, który trzeszczał, jakby miał się zaraz rozwalić. Dańka twarzą w dół padł na siano, osłonił rękoma głowę. Nad nią strzelały mechate liście, sypało się jakieś paskudztwo, z wrzaskiem trzepotały skrzydłami przepiórki czy inne jarowe ptactwo, przerażone niespodziewaną inwazją.

Wóz podskoczył na kamieniu, biorąc rozpęd wprost w niebiosa... I zatrzymał się.

Dańka nasłuchiwał, oddychając ciężko. Cisza! Ani tupotu, ani ryku, ani chrzęstu łamanych przez ciężką tuszę gałęzi. Czyżby... miał

szczęście?! No, nieludziu, stary pieńku, jednak przywabiłeś fortunę! Niech będzie, udław się tą swoją jedną trzecią... Za taką rzecz nie szkoda!

Chłopak ostrożnie schował do kieszeni magiczny sznurek z dwoma supełkami, w końcu porządnie zawiązał pas i wylazł z wozu. Ziemia mocno się chwiała, nie wierząc zapewnieniom Dańki, że ani trochę się nie przestraszył, a tylko trochę pogubił. Chłopak podrapał się po jasnej czuprynie i pokręcił głową na boki, po czym strugając chojraka smacznie sklął oblepioną rzepami kobyłę i za uzdę poprowadził ją dalej ścieżką. Wóz zamiatał tylnymi kołami, podskakując i zgrzytając na każdym wzgórk.

Jak każdy mieszkaniec wsi Danka bez trudu mógł określić kierunek według słońca, gwiazd i setki innych ludowych znaków. Więc teraz też szybko pojął, że idzie we właściwym kierunku, chociaż znosi go nieco na lewo. Żeby tylko ścieżka się nie urwała i wóz do reszty nie rozwalił. Wracanie i to po zbocz, do niedźwiedzia... brrr!

Łopiany ustąpiły miejsca powykrzywianym, tulącym się do ziemi sosnom, stojącym i leżącym. Jednym słowem: Wilczy Wygon, jak od dawien dawna nazywano ten las. Można tu było znaleźć całe polanki maślaków - krzepkich, nierobaczywych, ale nawet przed pojawieniem pajęczycy grzybiarze starali się nie zapuszczać tu samotnie, a teraz tym bardziej. Dańka odruchowo zerknął po ziemi, natychmiast dostrzegając wśród igliwia kilka śliskich brązowych kapeluszy, po czym z żalem je wyminął. „W drodze powrotnej” - pocieszył się bez przekonania.

Po chwili zrozumiał, że nie dotrze do leża pajęczycy przed południem. W najlepszym razie wyląduje na skraju lasu. Chłopak ponownie wyciągnął sznurek i wbił zamyślane spojrzenie w pozostałe supełki. Taki drobiazg, a jaką ma władzę nad szczęściem! Może

zażyczyć sobie, żeby w ogóle nie musieć walczyć z pajęczycą? Przyjść i niech ona już sobie leży zdechła: albo się i bez niego znaleźli zdolni ludzie, albo po prostu nadszedł jej czas...

Chłopak otrząsnął się. Przecież to już nie szczęście, tylko dziecięce marzenia! Szczęście to, kiedy coś może wyjść albo nie wyjść i nagle wyszło. A od pajęczycy się człowiek takiego prezentu nie doczeka! I tylko supeł się zmarnuuu...

Danka spadał przez dłuższą chwilę - aż dwa sążnie. Po czym tak walnął plecami o ziemię, że nawet nie mógł wrzasnąć. Od razu. A potem zauważył dookoła siebie kilka wbitych w dno jamy zaostrzonych kołków (na jednym akurat gniło wilcze truchło) i osłupienie mu przeszło.

Nagle uświadomił sobie, że leży na kupie liści, z tak fortunnie rozrzuconymi rękoma i nogami, że nawet gdyby specjalnie celował, to nie dałby rady równie dokładnie wylądować między kołkami bez zyskania dodatkowych dziur w ciele. A tak to nawet ubranie miał całe i jeden jedyny siniec po mieczu, który uciskał w bok.

Po chwili wrzasku i leżenia chłopak powoli uświadomił sobie, że czas spadać. Czy raczej wylazić stąd, póki nie przybiegły tu wszystkie okoliczne wilki, żeby się pośmiać z durnia. Ze stękaniem usiadł, sięgnął, by złapać się najbliższego koła, a wtedy poczuł, że coś zaciska w garści. Podniósł rękę do oczu... i zakręciło mu się w głowie. Na sznurku pozostał tylko jeden supeł. Dańka nawet nie poczuł, jak spadając do wilczej jamy pociągnął za końce. A gdyby nie zdążył?! No co za lichoo...!

Kapustka spokojnie stała na skraju dołu, czekając aż właściciel ponownie wylezie na światło dzienne. Dańka złapał ją za uzdę, ale nie śpieszył się z prowadzeniem. Myślał. Jeszcze nie zarobił nawet miedziaka, a już dwa wydał! Może wrócić, póki nie jest za późno?

Przecież go nieludź nie zabije, jak skłamię, że stchórzył... nie mówiąc już o tym, że wcale nie będzie to takie duże kłamstwo.

Chociaż... jedna trzecia z setki... dwóch setek... trzech setek złota... oho!

Jeszcze miał, po co ryzykować.



Wcale nie było tam ciemnego, ponurego boru ani uschniętego gąszczu drzew na martwej czarnej ziemi czy mchu ze sromotnikami. Zwykła polana, jasna, porośnięta trawą, na niej dęby szeroko rozkładające gałęzie... i naciągnięta pomiędzy nimi pajęczyna. Tak wielka, że owinięte nią stuletnie drzewa wydawały się krzaczkami wrzosu.

Dańka zamarł, niezdolny oderwać spojrzenia od nici gęsto udekorowanych kokonami.

Leszy wie, po co pajęczyna ściągała i owijała pajęczynami rzeczy pożartych wędrowców: ni to jak sroka dekorowała swoje gniazdo, a może chytrze kalkulowała, jak gospodyni, która wkłada obsmażoną słoninę do pułapki na myszy, żeby durnie tacy jak Dańka sami wślazili na talerz.

Ale były tam również większe, dłuższe kokony. A kiedy powiał wiatr, lekki zapaszek zmienił się w trupi odór wykręcający żołądek.

Kobyłę Dańka zostawił na skraju lasu - ładowanie się do pajęczego leża wprost na skrzypiącym wozie byłoby szczytem głupoty. Tak więc na miejsce dotarł już na własnych nogach i teraz siedział w kucki za przewróconym drzewem, wypatrując pajęczycy. Szkoda, że to już jesień i nie słyhać ani szczebiotania ptaków, ani świergotania pasikoników, które - czy raczej ich brak - mogłyby zdradzić zbliżanie się stwora...

Następnie Dańka dojrzał za pajęczyną czarną dziurę jaskini i nieco się uspokoił. Czyli to tam siedzi. Na drugim końcu polany. Ech, jednak całkiem fortunnie sturlał się z tamtej górki! Zjeżdżona droga wyprowadziłaby go akurat do nory, a z tamtej strony jest ona wyjątkowo kiepsko widoczna, więc jako żywo wpadłby pajęczycy wprost w łapy.

W trawie coś załśniło. Dańka nie spuszczać spojrzenia z pajęczego leża sięgnął i zgarnął garść opadłych liści oraz złoty łańcuszek z łezką wisiorka. A tuż obok leżał kolejny, z przypadkowo nanizanym pierścionkiem. Widać podarła się sakiewka ściąganego do leża człowieka i drogocenna zawartość ciągnęła się aż do samej pajęczyny. Dańka przemierzył całą na czworakach, z każdym kolejnym znaleziskiem coraz bardziej podniesiony na duchu. Właściwie po co on w ogóle ma zadzierać z pajęczycą? Na nowy dom już nazbierał, nawet z uwzględnieniem części nieludzia. Jeszcze przegarnąć tamtą kupę szmat, bo chyba tam też coś połyskuje - i starczy tego dobrego. Wyprzędnie kobyłę i poganiając ją akurat zdąży przed nocą minąć Wilczy Wygon i jar. A z pajęczycą niech się użerają prawdziwi bohaterowie - niechby nawet miała w norze nawet sto pudów takich błyskotek.

Dańka nawet nie zauważył, kiedy dotarł do samej pajęczyny - co prawda do jej dalszego skraju - skąd zostawało najwyżej trzydzieści sążni do nory. I już przymierzył się, żeby przetrząsnąć tę kupkę, która wpadła mu w oko, po czym odpełznąć, kiedy zrozumiał czego dotyka ramieniem.

Chłopak zapomniał o skarbach i powoli wyprostował się jak złodziej złapany przez gospodarzy na gorącym uczynku.

Twarz była jeszcze całkiem żywa, nie zniekształcona przez rozkład. Wydawało się, że ten człowiek śpi po ciężkim dniu pracy, która

wyostrzyła kości policzkowe i wymalowała ciemne cienie pod powiekami. Jeszcze młody chłop, może około trzydziestki, wyglądający na całkiem sympatycznego, żaden tam rozbójnik czy oszust. Część długich włosów pajęczyna przyciskała mu do policzka, a część zwisała luźno wzdłuż skroni. Szare, nie siwe ani blond, a jak przyprószone popiołem.

Danka z ulgą uświadomił sobie, że go nie zna. I kiedy już miał odwrócić głowę, mężczyzna nagle otworzył oczy. Błękitne, jak gdyby pociągnięte lodem nadchodzącej śmierci poruszały się nienaturalnie, urywkami, jedynie w lewo i w prawo, ale dostrzegły chłopaka. Jeniec z trudem próbował skupić na nim spojrzenie, poruszył dolną szczęką, ale z na wpół otwartych ust nie wyrwał się żaden dźwięk.

Danka poczuł, jak przymarza do ziemi.

„Nie zabija człowieka na miejscu, jak porządna strzyga czy wilkołak - gadał mocno już podchmielony wiedzący, wbijając pijane spojrzenie w jedyną lampę w karczmie. - Nie rozrywa na części, nie dusi, nie wrywa serca, nie wypruwa flaków... Nie, ona traktuje zdobycz bardzo delikatnie, jak matka wierzgającego niemowlaka, który nie rozumie, co dla niego dobre. Najpierw schludnie odziera z ubrania niby z łupiny, potem dokładnie opatula ciało nićmi, które w jednej chwili twardnieją, pozostawiając na zewnątrz tylko głowę, a na końcu przytwierdza do wolnego miejsca na pajęczynie. Przez pierwsze kilka dni ofiara nadal się rzuca, woła na pomoc, wyje z bólu, kiedy w jej brzuch wbija się puste w środku ssące żądło. Trucizna pajęczycy jest słaba, więc powolnym paraliżem rozpełza się wzdłuż ciała do piersi..., rąk..., szyi... Na trzeci dzień pajęczycy się uspokaja. Człowiek jeszcze oddycha, słyszy, jak głodny stwór pełźnie w jego kierunku, czuje, jak ostry koniuszek żądła prawie z czułością wyszukuje wygodny punkt, czuje

ból i zimno..., ale już nie żyje. I będzie tak wisiał w tym nieruchomym milczącym kokonie, póki ohydna pajęczycza nie wysie go do ostatniej kropli. A potem potwór znów ruszy na polowanie...”

W tym miejscu wiedzący ostatecznie się wyłączył i padł twarzą w talerz z panczykami po rakach, a Danka potem przez trzy noce z rzędu nie mógł normalnie usnąć: cały czas wydawało mu się, że za ścianą chaty szcękają pajęczcze stawy, a w nocnym mroku połyskują lśniące żółte oczy (biednego kota, który przyzwyczajony był do myszkowania po klitce, Danką przed snem zdecydowanie łapał za kark i wyrzucał za próg). Najbardziej przerażające w tym wszystkim było poczucie kompletnej bezradności, kiedy rozespany nie możesz ruszyć ręką ani nogą i cały czas masz złudzenie, że zaraz nad uchem zaczną szcękać pajęczcze żuwaczki... W końcu pozostali robotnicy wywalili Dańkę do sieni, żeby tam nocował razem z kotem. Mieli dość budzenia się od wrzasków.

A ktoś to wszystko naprawdę przeżył...

Chłopak nerwowo wymacał w kieszeni buteleczkę z zieleń. Jeżeli, uchwajcie bogowie, pajęczycza go dziabnie, to należy wypić eliksir nie później niż po dwóch dobach, póki trucizna nadal nie dostała się do serca i człowiek może ruszać rękoma.

A ten tutaj to już ledwo głową rusza...

Dańka cofnął się.

Przepraszam, chłopie... Już za późno, żeby cię stąd wyciągać, bez pajęczyny, która odciąga śmierć, nie przetrwasz nawet dnia. Mogę dla ciebie zrobić tylko jedno. Tylko się zbiorę na odwagę. Jeszcze nigdy nie miałem okazji, żeby człowieka...

Co tu kryć, w marzeniach Dańki występowała również piękna panna uratowana z lepkiej pułapki... Oczywiście kompletnie niewinnie, bo

Szarasia dla niego była jedną jedyną i ukochaną, ale przecież człowiek może sobie pomarzyć? Jeszcze nad ranem wyobrażanie sobie siebie samego w roli bohatera wybawiciela było przecież takie przyjemne, a teraz, patrząc na umierającego, czuł wyłącznie wstyd. I za swoje durne marzenia, i za to, że nie mógł mu w niczym pomóc, i jeszcze za to, że na jego oczach wpychał do kieszeni złote błyskotki, może właśnie do niego należące...

Mężczyzna resztkami sił pokręcił głową, pajęczyna słabo drgnęła.

- Nie bój się, dobiję cię, nie zostawię, żebyś się męczył - próbował uspokoić go chłopak, ponownie kucając i rozgrzebując szmaty. Oko go nie zawiodło, wśród strzępków jedwabiu leżała doskonale zachowana szkatułka z malutkim srebrnym zameczkiem. I sama obsypana klejnotami i jeszcze w środku coś grzechocze - zabieramy. - Zaraz... poczekaj chwilę...

Umierający kompletnie nie chciał czekać: ponownie spróbował się rzucić, zachrypiał. Jak gdyby chciał powiedzieć coś ważnego.

- No dobrze, dobrze... - Chłopak wyciągnął miecz, niezdecydowanie przestąpił z nogi na nogę. Z poczuciem winy i prośbą zajrzał w twarz jeńca, jak gdyby prosząc go o wsparcie.

Powietrze brzęknęło cicho, wchłaniając coś niewidzialnego i niewyczuwalnego.

„Obejrzyj się”.

Dańka jak zaczarowany patrzył w błękitne szklące się oczy, gdzie podwójnym odbiciem poruszało się coś czarnego, koszmarnego, zbliżającego się.

„Obejrzyj się”.

Powoli, jak gdyby wbrew własnej woli, odwrócił głowę.

Najbardziej ze wszystkich rzeczy przypominała spłaszczonego gigantycznego kleszcza, o ośmiu łapach, z malutkim łebkiem, do połowy zatopionym w tułowiu. Pajęczycy nie miała potrzeby nim kręcić - kilka par oczu pozwalało jej równocześnie obserwować wydarzenia na lewo, na prawo, z przodu i z góry. Nie siedziała w norze, paskuda jedna. Wypełzła skądś z lasu, przestawiając wielostawowe nogi zupełnie bezdźwięcznie, a nie ze szczękaniem, jakie Dańka wyobrażał sobie w koszmarach.

Nie miał już czasu na myślenie ani ucieczkę.

Mądry rycerz nigdy nie pozwoliłby pajęczycy podejść tak blisko. Mądry widzący nie wpadłby na to, by ciąć ją w poprzek żuwaczki, która siłą, ostrością i grubością nie ustępowała najmocniejszej stali. Mądry najemnik w ogóle nie wchodziłby na tę polanę i całkiem słusznie.

Ale szczęście lubi głupich. Nawet jak nie mają sznurka.

Wiedźma zaczarowała miecz naprawdę sumiennie, a i Dańka miał w sobie sporo sił - oraz przerażenia, które jeszcze powiększyło je dziesięciokroć. Klinga jak promień księżycy wślizgnęła się w szczelinę między zamykającymi się szczękami, z chrzęstem trafiła na coś twardego, potem miękkiego, z czego trysnął żółty płyn, doszła do końca i wyrwała się Dańce z rąk, pozostając w rozwalonym pajęczym łbie.

Chłopak nie zdążył nawet zrozumieć, jak wielkiego czynu właśnie dokonał: przewrócił oczami i padł nieprzytomny na ziemię. Może to i lepiej. Zdychająca pajęczycy jeszcze dobre pół godziny zataczała się po polanie i na oślep wpadała na dębowe pnie. Był to paskudny widok.



Kiedy Dańka ostrożnie otworzył lewe oko, na polanie już wszystko się uspokoiło. Pajęczycyca, z łapami przyciśniętymi do brzucha, leżała jak czarny garb przy wejściu do nory.

Otworzył również prawe... Koło przewróconej otwartej szkatułki wesoło lśniła w ostatnich promieniach słońca złota kałuża monet.

- To co, wygrałem? - zapytał tępo Dańka nie wiadomo kogo. - Wychodzi, że wygrałem?!

Miał ochotę skakać, wrzeszczeć ze szczęścia, biegać w kółko dookoła drzew i nawet wyciąłować w pysk tamtego niedźwiedzia, jeśli znowu na niego wpadnie.

- Hej! Luuudzie! Jestem bohaterem! Wielkim wojownikiem, postrachem potworów! Hej... - Chłopak urwał. Mężczyzna wisiał w pajęczynie bez cienia życia, z opuszczoną głową. Najwyraźniej nie chciał od Dańki zupełnie niczego, wyłącznie próbował go ostrzec. A on jak ten dureń jeszcze udawał miłosiernego: „Czekaj chwilę, zaraz zgarnę jeszcze trochę złota...”

Tylko o pieniądzach potrafił myśleć, a przecież są rzeczy znacznie cenniejsze - dopiero teraz to do niego dotarło.

Chłopak prędko, z rosnącym przestrachem pomacał zimne, sztywniejące gardło i mimo wszystko poczuł, jakby słabe tętno. Może jednak jeszcze nie było za późno? Przynajmniej ta jedna szansa ze stu, co?!

Dańka nie bez trudu rozwarł szczęki jeńca i wlał do jego ust całą zawartość buteleczki. Zabułgotało, ale chłopak nie wiedział, czy to przełykanie czy nie. Wyciągnął nóż i przepiłował nici, łączące pajęczynę z kokonem, po czym odciągnął go na trawę. Odrywanie pajęczyny od nagiego ciała było trudne, lepko cmokała i cały czas próbowała przykleić się do rąk. Chłopak starał się nie patrzeć na sine plamy

dookoła pajęczych ugryzień. Ile ten biedak stracił krwi? Czy starczy jej do życia, jeśli ziele jednak poradzi sobie z trucizną?

Wrócił do pajęczyny i wprost na niej rozpruł jeden z małych kokonów. Na ziemię spadło koło od wozu, Dańka ledwo zdążył odskoczyć, po czym siedmiopiętrową konstrukcją skłął biedny sprzęt za wszystkie swoje dzisiejsze przygody. Ponownie wpakował nóż w pajęczynę. Druga próba okazała się bardziej udana - znalazł kawałek niedowiezionej przez handlarza do kramu tkaniny, drogiej, jedwabistej. A co ważniejsze, cieplej i miękkiej, wystarczyło jej, by otulić rannego od stóp do głów. Dańka zostawił go leżącego pod dębem i pobiegł po kobyłkę. Kapustka wyczuła trupi odór i na skraju polany zaczęła chrapać i niespokojnie rzucać łbem, ale chłopak bezlitośnie („A ty myślisz, że mnie jest lekko?”) dzielił ją lejcami, zmuszając do podtoczenia wozu pod samą pajęczynę.

Wieczór otoczył pajęczę truchło czarnym cieniem, sprawiając, że zrobiło się dwukrotnie większe. Próbując omijać je wzrokiem, Danko ostrożnie przełożył mężczyznę na siano, zakopał w jego nogach zrzucone do worka błyskotki. Bez przyglądania się narąbał i nawrzucał do wozu pajęczych kokonów. Nie potrafił zmusić się do zanocowania tutaj i dokładnego przetrząśnięcia pajęczego „skarbcza” nad ranem. To nawet nie było takie straszne, ale czuł wstręt, jak gdyby nie zbierał swoich należnych trofeów, tylko w pogoni za łupem rozkopywał cudze groby.

Kapustka chętnie, biegiem, pociągnęła wóz precz od polany.



Musieli zanoćować na Wilczym Wygonie, mając nadzieję, że na jesieni wilki są spokojne, przez lato się spały.

Kobyłę Danką na wszelki wypadek zostawił stojącą w dyszlach, tylko odpiął wędzidło i rzucił jej naręcze siana. Zebrał naręcze suchych sosnowych gałęzi, rozpałił ognisko i wyciągnął się na wozie, z rękoma założonymi za głowę patrząc w jasne upstrzone gwiazdami niebo. Spróbował wyobrazić sobie nową chatę ze złocistych bali, mleczną krówkę i stadko owieczek, Szarasię z półmiskiem drożdżówek..., ale nic mu nie wychodziło. Przeszkadzał ciężki oddech pod bokiem, który z każdą mijającą chwilą stawał się coraz to rzadszy i słabszy. Każdy wdech stanowił dla mężczyzny ogromny wysiłek, w kącikach warg zbierała się gęsta piana.

„Nie no, przecież i tak już zrobiłem dla niego wszystko, co mogłem” - próbował przekonać się Dańka, wierząc się z boku na bok.

„Czy na pewno?” - dopytywał się z drwiną głos wewnętrzny, który nijak nie chciał ucichnąć. I w końcu wygrał.

- Słuchaj no, chłopie... ty, znaczy... masz tutaj. - Dańka w pośpiechu, póki się nie rozmyślił, włożył w bezwolne dłonie koniuszki czarodziejskiego sznurka. Zacisnął na nich garście, bez wyraźnego powodu zmrużył oczy i wypuścił na wolność szczęście, uwięzione w ostatnim supełku. Przeciągnął palcami po sznurku, żegnając się z własnym powodzeniem, które niby przycupnęło mu na ramieniu, ale już zdążyło odfrunąć, po czym pociągnął nosem i wyrzucił niepotrzebny już amulet daleko w mrok.

Ale kto powiedział, że tylko w pieniądzech szczęście?

Czyste sumienie też jest coś warte.



Wronie krakanie obudziło Dańkę akurat na czas, by ujrzał wspaniały widok: szarowłosa, przechylony przed burtę wozu, desperacko rzygał żółcią. Kiedy już skończył i ciężko dysząc legł piersią na drabince, Dańka podniósł się i za ramiona wciągnął go z powrotem na siano.

– No, chłopie, ty to dopiero masz szczęście! Przynajmniej rozumiesz cokolwiek?

Mężczyzna zachłannie upił kilka łyków z podsuniętej manierki, po czym znowu go zemdlilo, ale po złapaniu oddechu znakiem pokazał, że chce jeszcze. Oczy miał nadal kompletnie nieprzytomne i rozjeżdżające się, ale chyba pamiętał wszystko, co się z nim wydarzyło, bo nie zdziwił go ani widok Dańki, ani wóz z zebranymi łupami. Wytarł wargi drżącą ręką i ochryple zapytał, dokąd jada.

O wsi Trzy Kryniczki słyszał - skinął głową i zamknął oczy.

– Hej, a jak ty się w ogóle nazywasz? - spytał Dańka i ostrożnie potrząsnął uratowanego za ramię.

– Dar... - odpowiedział szarowłosa sennie, zwijając się w kłębek.

– Też mi się dar znalazł... nic tylko strata - uśmiechnął się Dańka bez złości, łapiąc za lejce. Czuł się niesamowicie lekko i radośnie - on żył i jego ratownik uratowany sapał sobie słodko, już nie męcząc się przy każdym oddechu. I jeszcze dookoła taka piękna jesień, że ile by człowiek nie patrzył, nie znudzi mu się. We wsi go przywitają jak bohatera, przeniosą na rękach po wszystkich ulicach, w karczmie naleją za darmo, każda dziewczka się sama uwiesi na szyi, nowo narodzonych chłopaczków jeszcze przez kolejny rok będą nazywali Dańkami...

A czarownik to pewnie pierwszy wyskoczy, żeby powitać.

Ale o tym Dańka na razie próbował nie myśleć.



Bliżej południa zatrzymali się koło pozostawionego przez kogoś ułożonego z kamieni ogniska, ugotowali potrawkę z kaszy i zebranych na Wilczym Wygonie maślaków. Czy raczej to Dańka gotował, a szarowłosa, uniesiony na łokciu, z przyjemnością wciągał do nozdrzy smakowity zapach.

Kociołek mieli jeden, tak samo jak łyżkę, i w pierwszej kolejności chłopak podsunął je Darowi. Przekonał się, że temu niepotrzebna jest pomoc przy jedzeniu, po czym gospodarnie zdeptał węgle, sprawdził uprząż i dla porządku chwilę pokręcił się po polance, by na końcu usiąść na burcie wozu, czekając na swoją kolej.

- Dziękuję. - Mężczyzna podmuchał na niezgrabnie zaciśniętą w pięści łyżkę i poprawił się: - Dziękuję za wszystko. Mam w Trzech Kryniczках znajomego kupca, myślę, że bez problemu pożycz mi pół setki złota, więc...

- Co ty takiego gadasz?! - obruszył się szczerze Danką, prawie spadając ze swojego siedziska. - Gdyby nie ty, to wisiałbym teraz w kokonie obok, na radość pajęczycy! Nawet miedziaka nie wezmę, możesz nie proponować!

- Przepraszam. - Dar się nie spierał. - Ale pozwolisz mi przynajmniej zapłacić za koszulę? Dawno takiej szukałem, szczerze.

Przez ranek Danką z podróżnej nudy przesortował swoje (byłe) zdobycze. Część zrzucił do rowu przy drodze, ale znalazło się też trochę wartościowych rzeczy. Na przykład srebrny wazon czy zawiniątko z nowiutkim ubraniem, wprost spod krawieckiej igły, z którego Dar wybrał sobie koszulę, gęsto haftowaną czarną nicią. Śliczna, chociaż Danką nigdy by się na taką nie skusił - pies go wie, co te żuczki-runy oznaczają. A do tego czarne.

Chłopak tylko machnął ręką:

- A, ona i tak nie jest moja, noś na zdrowie. Dla nieлюдzia to żadna strata.

Dar ze zdziwieniem opuścił łyżkę.

- Słuchaj, jeśli to nie tajemnica, to powiedz mi, ile ten nieładź ci obiecał za bohaterstwo i jego... hm... skutki materialne?

- Znaczy, w zasadzie... - Chłopak uciekł spojrzeniem. - To ja mu obiecałem.

W miarę opowieści Dańki mężczyzna coraz wyżej unosił brwi, zapominając o jedzeniu.

- Czekaj no, przecież szczęście nie podlega wpływowi magicznemu, w każdym traktacie masz tak napisane! Nie można go ani obliczyć, ani przepowiedzieć, ani tym bardziej wyczarować! Nieładź cię zrobił w konia, bo przecież on niczym nie ryzykował: wręczył pusty sznurek, a dalej to niech szczęście samo patrzy, kto dziś ma być na wozie, a kto... bez wozu.

- Widzę, że ty to uczony jesteś... - mruknął Danką z szacunkiem. - Tyle że ja to wszystko wiedziałem nawet bez mądrych ksiązek, ale ledwo co przypiekło i dałem się nabrać jak wiejski głupek. A teraz czy chcę, czy nie chcę, będę musiał całą zdobycz oddać, bo nieładź mi życia nie da, na pewno przeklnie albo urok rzuci. Bo przecież uroki istnieją?

- Ano istnieją - przyznał Dar ucziwie.

- No właśnie - westchnął Danką, chmurnie potrząsając lejcamy. - Dobra, jakoś sobie poradzę... Bez miecza przeżyję, na koszulę zarobię, a pierścionek... W sumie po co mnożyć durniów?

Kolejną wiorstę jechali w milczeniu. Pod kopytami i kołami szeleściły różnobarwne liście, które wydawały się cichym głosem starego nieładzia przypominać: „Dług masz!” Danką się smęcił, szarowłosa namyślał, poruszając palcami po kracie wozu, by wspomóc proces.

Pewnie skryba - w takich zadbanych cienkich palcach to tylko pióro trzymać.

Kiedy zbliżali się już do wspólnego pastwiska, na którym do wtóru leniwego klekotania dzwonek brodziły pstrokate krowy, Dar ze zdecydowaniem szturchnął Dańkę w ramię:

- Nie możemy tego tak zostawić! Niech on będzie nawet po trzykroć czarownikiem, ale przecież to ty ryzykowałeś życie, a jemu z całej pracy zostało zacieranie rąk!

Chłopak wyobraził sobie, jak nieludź z gorejącym spojrzeniem sortuje i układa w kufrze jego, Dańki, zdobycz i poczuł się do reszty parszywie.

- Tyle że teraz to już nic nie idzie zrobić... obiecałem... przecie mnie czarownik nawet spod ziemi wygrzebie... - Naiwny bohater smętnie pociągnął nosem.

Dar mocniej zacisnął rękę na jego ramieniu.

- No to idź do niego i powiedz: „Wybaczcie, dobry człowieku, ale jakoś nie chce mi się wierzyć, że to twoimi staraniami miałem takie szczęście. Do jamy wiatr naniósł liści, niedźwiedź się na zdechłą owcę skusił, a tamtemu chłopu swojego szczęścia wystarczyło z nadmiarem”.

- No coś ty, przecież on mnie po ścianie rozsmaruje! - wystraszył się Dańka.

Mężczyzna z uśmiechem uniósł dłoń, wzywając do milczenia, póki nie powie wszystkiego.

- I dodaj: „Ale jako uczciwy człowiek gotów jestem nawet teraz ci oddać całą zdobycz. Nawet wóz już stoi pod oknem, ale chciałbym się jednak przekonać, czy na pewno to kupiłem, o co się targowałem”. - Umiesz wiązać takie supełki?

- Umiem - przyznał Dańka niepewnie. - Ale, ile w tym sensu? Przecież szczęścia nie przynoszą...

- I o to właśnie chodzi! Przecież musisz tylko udowodnić, że wcale nie są gorsze od tych nieludzia. Zaciągniesz na jego oczach trzy supełki i zaproponujesz, żeby je sprawdzić. Na jakichś drobiazgach. Niby tam monetkę rzucić i założyć się, jak wypadnie, jabłko schować pod jedną z dwóch misek.

- A co jak nie zgadnę? Przecież to trzy razy po kolei...

- To oddasz wóz. - Szarowłosy wzruszył ramionami. - Teraz już niczym nie ryzykujesz.

Danka zamyślił się. Głęboko.



Stawienie czoła nieludziowi okazało się chyba nawet bardziej przerażające niż wyprawa do pajęczycy. Blady jak kreda Dańka z trudem pozbył się wrzeszczącego z zachwytem tłumu i zatrzymał kobyłę koło nieogrodzonego domku na uboczu, za którym widniała doskonale dodająca otuchy panorama cmentarza.

Chłopak desperacko przełknął ślinę i błagalnie obejrzał się na towarzysza, ale ten nieubłagalnie zmarszczył brwi i skinął głową na drzwi: no i już, bohaterze, do przodu!

Gdy tylko Dańka zniknął w sieni, szarowłosy na wpół zlazł na wpół spelzł z wozu i trzymając się ręką najpierw burty, a potem ściany domu z trudem dokuśtykał do okna i stanął z boku, żeby móc patrzeć do środka jednym okiem, a samemu nie być widocznym.

A było na co popatrzeć. Niedawny bohater plątał się i jąkał, mnąc w drżących rękach czapkę, ale lepiej lub gorzej doniósł do czarownika

pomysł swojego towarzysza. Co prawda po drodze Dar miał spore wątpliwości, czy chłopak nie wyleci z nieludziej izby jak oparzony - bo aż tak wykrzywiła się z wściekłości twarz starucha, ale Dańka już nie miał nic do stracenia. Wytrzymał.

Czarownik chyba uważał gościa za kompletnego idiotę, bo nawet nie trudził się, by swoją opinię ukryć.

- Mówisz, żeby monetkę? No dobrrrra... - warknął złowieszczo. Złapał garść powietrza jak natrętną muchę, po czym pokazał chłopakowi grubą miedzianą monetę z nieznanym wzorem. Jak kuglarz przetoczył ją między palcami i ponownie zacisnął pięść. - To jak, wianek czy runa?

Trudna sprawa. Pieniążek na pewno zaczarowany albo w ogóle magiczny - jak kręcisz, to widać dwie strony, ale tak naprawdę jest tylko jedna.

Danka nawet nie musiał być czarownikiem, żeby to zrozumieć. Zawczasu godząc się z porażką, rozpuścił supełek, rzucił na uśmiechniętego z zadowoleniem czarownika błagalne cielece spojrzenie, po czym kompletnie niespodziewanie dla siebie rzucił:

- Kant!

I poleciało jego szczęście, drżąc wirującymi bokami jak niezwykle motyl, tak samo krótko żyjące. Brzęknęło o stół, decydując się, którą stroną ma wypaść i czy dla większego efektu nie ma przypadkiem gdzieś na nim figi. Podtoczyło się do krawędzi, stuknęło o podłogę, zatoczyło krąg po izbie, schowało się pod stołem i...

Danka i czarownik równocześnie unieśli obrus.

Nawet skąpy nieludź nie powinien oszczędzać na podłogach. Cała jego magia przeciwko szczelinie w podłodze to tyle, co splunąć i rozetrzeć.

Czarownik tak mocno zgrzytnął zębami, że można by pomyśleć, iż miał ich w ustach ze trzy rzędy.

Do kolejnej próby podszedł znacznie ostrożniej: wystawił całe pięć misek, a jabłko wybrał najmniejsze i najbardziej pomarszczone, po czym w ostatniej chwili spróbował schować je do kieszeni. Ale nic z tego: owoc jak żywy wyrwał się spomiędzy palców i sam schował pod miskę, a chłopak już się odwracał.

Zgadł. Mimo że cały się spocił wybierając.

Nad wyborem trzeciej próby męczyli się długo. Danką odzyskał humor i zdecydowanie odmówił wybierania i picia tego z dwóch kielichów, który nie ma w sobie trucizny (chyba że razem z czarownikiem, ale na to już sam czarownik nie miał ochoty), stania pod zaklęciem w nadziei, że nie zadziała („To może mam jeszcze skoczyć w przepaść - a nuż polecę?”) i zgadywać, ile nieludź ma lat („E-e, a skąd mam wiedzieć, że ty mi prawdę powiesz? Może pełne dwieście dwadzieścia dwa!”).

Czarownik zrobił się zielony i Danką pożałował swojej odmowy.

Ostatecznie skończyło się na gościach. Jak do drzwi jako pierwszy zapuka chłop, to Dańka wygrał, jak baba, to kolejny supeł zaciągnie na własnej szyi, bezczel jeden!

Nieludź ponownie poweselał. Rzadko miewał gości, a dziś rano zdążył dogadać się z młynarzową, że po obiedzie wpadnie do niego, by wstrętnymi czarodziejskimi sposobami sprowadzić z tego świata parszywkę-synową.

Ale co za pech - jakiś bosonogi dzieciak przeleciał obok statecznie kroczącej drogą baby, jednym pociągnięciem otworzył drzwi nieludziej chatki, po czym z radością w głosie wypalił: „Wujku nieludziu, tam pana czarnego koguta bezpański pies złapał i już drugie skrzydło mu

odjada!” - i w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku uciekł z powrotem, sprawdzić, czy biedna psinka po takim posiłku zdechnie czy nie.

- Ach ty parszywy szczeniaku! - ryknął czarownik, wytrzeszczając oczy jak ropucha. Ale drzwi zdążyły się zatrzasnąć i dzieciak pobiegł dalej na dwóch kończynach i bez ogona.

Szarowłosa uśmiechnął się kącikami warg i cofnął spod okna. Zdążył usiąść na brzegu wozu zanim w progu pojawił się niezmiernie szczęśliwy pod każdym zresztą względem Dańka, który teraz na dokładkę był również niewyobrażalnie bogaty, szczególnie wedle wioskowych standardów.

W odróżnieniu od niego Darlaj Rudniczny, mag bojowy z dziesięcioletnim stażem, mistrz telekinezy i empatii, kompletnie nie bał się czarowników.

Ale za to nie znosił konkurencji, szczególnie zachłannej, nieuczciwej i z przerostem ego.

JEDEN DO DWÓCH

Sarna leżała na dnie wąwozu i Trij mógł jedynie bezsilnie kłać na szczycie urwiska. Wąski strumyk wyciągał z plamiastej tuszki czerwone zacieki, nienaturalnie wykręcona głowa złośliwie wlepiła w myśliwego zeszkłone oko, budząc w nim pewne wątpliwości dotyczące tego, co stało się powodem śmierci - nieuważny skok czy stercząca z boku strzała.

Delikatny szept osypującego się piasku sprawił, że Trij odskoczył do tyłu. Przeklęty stwór! Nie mogła sobie znaleźć lepszego miejsca, by zdechnąć? I tak jest cały spieniony, a teraz będzie musiał biec do domu po sznur - godzina tam, godzina z powrotem, a i to, jeśli nikt nie zaprzęgnie go do pracy dla dobra wspólnoty. Zauważalna czarno-ruda lotka nie uchroni zdobyczy przed przypadkowym przechodniem, a raczej wręcz przeciwnie. Trij i tak miał prawo tylko do piątej części tuszy, bo pozostałą część będzie musiał oddać rozplodowcom: niby że oni potrzebują więcej sił...

Po takiej stromiźnie na pewno nie zejdzie, połamię wszystkie nogi. Czas wracać.

Zarzucił łuk na ramię i potruchtał z powrotem, nie oglądając się, żeby nie psuć sobie bardziej humoru. Na ukos przeciął łąkę, złocąc pęciny lepiałym się do potu kwietnym pyłkiem i ruszył wzdłuż skraju lasu, w cieniu drzew. Szczerze mówiąc nie powinien nawet dotykać go kopytami, ale dzień był skwarny - mało prawdopodobne, by szurnięty mag miał ochotę wyłazić z chaszczy i rzucać zaklęciami. Nikt już nie pamiętał, skąd staruch wziął się w tym miejscu - chodziły pogłoski o straszliwej tragedii, która popchnęła go w szaleństwo, o uciekinierze-

renegacie, czarowniku z czasów sławetnego belorskiego Starcia, o ślubie czystości, którego najlepiej dotrzymuje się w głuszy i samotności. Była też całkiem realna teoria, zgodnie z którą został wysłany tu ze starmińskiej Szkoły Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa, ale szybko się rozpił i zdziczał.

Raz w miesiącu staruch w podartej szacie wypełzał na skraj lasu, wypuszczał parę piorunów z laski, ściągając na siebie uwagę miejscowych, straszliwie klął w kilku językach równocześnie, groził karą z nieba, ziemi, wody i swoją własną, proroczył różne świństwa, po czym wymieniał magiczne dekokty na sprzęty domowe oraz ziarno dla kur i z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku zniknął z powrotem w lesie.

Nikt nie ośmielał się odwiedzać maga w jego leżu, nawet jeśli zachodziła ku temu ostra konieczność. Przedstawiciele obu mieszkających w pobliżu ludów woleli uznać las za teren chroniony, równocześnie pozbywając się konieczności łapania świra oraz „zachowując dla potomności naturalne bogactwa ojczyzny” - jak twierdziły oficjalne papiery.

W końcu świerki zastąpiły klony i Trij odetchnął swobodniej - tu „tereny” maga się kończyły, można było głębiej wkroczyć w cień.

- No i jak tam polowanie?

Spojrzenie Trija prześlizgnęło się po wysokiej piersi uwięzionej w czarnym koronkowym gorsecie. W zestawie były również: grzywa włosów dookoła ślicznej twarzyczki o czułych liliowych oczach, cienka talia owinięta paskiem z koralików, lśniący grzbiet i niesamowity ogon sięgający prawie do samej ziemi. Kobyłka była śliczna jak górski szczyt w blasku zimowego słońca: tak samo biała, kusząca, zimna i niedostępna.

- Eeee... cześć, Knarro - odparł Trij, z wysiłkiem przełykając ślinę. Tylne nogi niezależnie od niego wykonały kilka tanecznych kroków, a ogon rozpuszył się kompletnie nieprzyzwoicie.

Kobyłka chytrze zmrużyła oczy.

- Widzę, że cieszysz się na mój widok?

„Szalenie - pomyślał ogier z goryczą. - Jak żebrak przy karczmie: z okna pachnie jedzeniem, a i tak trzeba przejść obok”.

- Co tu robisz?

- Wyszłam na spacer - mruknęła ślicznotka i na dowód nieśpiesznie okrążyła stojącego nieruchomo rozmówcę, jak gdyby przypadkiem trącając go bokiem. Trij zacisnął zęby. - Co, masz nieudany dzień?

- Normalny.

- To gdzie twoja zdobycz?

- Knarro, czego ode mnie chcesz? - Trij wolałby możliwie szybko pozbyć się straszliwie przyjemnego towarzystwa.

- A nic, tak sobie chciałam pogadać: - Klaczka niewinnie wzruszyła nagimi ramionami. - Czy może jesteś zajęty?

- Nie, to ty jesteś zajęta - uciał Trij. Co się tak przyczepiła?! Dla niej to zabawa, a jemu pozostało chyba tylko zapaść się pod ziemię.

- Ech, nie mów, że taki drobiazg powstrzyma prawdziwego ogiera? - Knarra prowokacyjnie machnęła ogonem.

Trij nie odpowiadając ruszył dalej. Nogi mu się plątały, z całych sił sprzeciwiając decyzji mózgu. Z wiekiem wyrobił w sobie szczerą nienawiść do wiosny, której słodkie prezenty były dla niego trucizną. Inne ogiery od rana do nocy walczyły o drogocenną nagrodę na piaszczystej plaży Rodowego Jeziora..., a on nie miał prawa nawet zbliżyć się do brzegu.

- Oni są tam, a ty tutaj. - Ślicznotka wydawała się czytać jego myśli. - Kto się dowie? Gitr miał w swojej linii gniadych...

Ogier przystanął w niepewności. Kobyłki na wiosnę robiły się równie ochocze jak kotki, ale na brak męskiej uwagi nie mogły narzekać nawet najstarsze i najbardziej szkaradne. Przeciwnie, najgorzej miały właśnie młode i śliczne, bo chociaż chodziły z wodzem tabunu, był w tej sytuacji jeden minus: w towarzystwie jeszcze tuzina takich samych. I teraz czekaj, aż przyjdzie twoja kolej, walcz z konkurentkami... Może ona nie żartuje, stracić taką okazję...

Knarra już przyłgnęła do jego boku, drżąca, z wygiętym grzbietem. Patrzyła gdzieś do góry na skowronka niewidocznego pod słońcem - nic nie widzę, nic nie słyszę, skąd mam wiedzieć, kto się tam podkraść od tyłu...? Trijowi zaszumiało w uszach, a oczy zasnuła czerwona mgła. Szczęknął zębami i stanął dęba, niezgrabnie podkulając przednie nogi. Ale ledwo zdążył poczuć brzuchem ciepły grzbiet kobyłki, kiedy podwójny cios w zad przewrócił go na ziemię.

Ale przybysze natychmiast pomogli mu wstać - tylko po to, by wymierzyć kolejny cios, tym razem pięścią w splot słoneczny.

- I co ty tu wyrabiasz, paskudo jedna?! - Kary Brons był wściekły. Przed trzema dniami najlepsi rozplodowcy w tabunie ścierali się w bitwie na śmierć i życie o ten biały kwiatek - i tylko po to, by ot tak sobie zerwał go jakiś karzełek?!

Dwójka innych ogierów trzymała przestępcę za ręce, a kary dobitnie uczył go życia. Przestał dopiero wtedy, gdy pod Trijem ugięły się nogi. Brons chwilę podziwiał wyniki swojej pracy, po czym złapał gniadego za grzywę na skroniach i celowo przeciągając słowa syknął wprost w jego twarz:

– Jesteś niższym ogierem i synem niższego ogiera, w tym tabunie nie ma kobył dla ciebie! Jak śmiałeś o tym zapomnieć?!

Trij bezsilnie wyszczerzył się w odpowiedzi, po podbródku ściekała mu krew. Knarra harcowała obok, chowając spuszczone oczy pod grzywką. Nikt nie pytał kobyłek o zdanie odnośnie do tego, od kogo chciałyby żrebaka, ale też nikt, nawet wódz, nie śmiał podnieść na nie ręki, nie mówiąc już o kopycie.

– A może dziewczyna sama się do niego zalecała? – Tarantowaty Wroin dostąpił zaszczytu zostania rozplodowcem już w dojrzałym wieku, więc był nastawiony bardziej przychylnie. – Przecież nawet wałach nie wytrwa w obliczu czarnej wiosennej kobyłki...

– Ja? Do niego?! - Knarra prychnęła z pogardą i odwróciła się.

Trij poczuł jak oblewa go lodowate zimno i znieruchomiał. Gdyby kobyłka przyznała, że faktycznie miała ochotę zażartować z młodego i gorącego towarzysza z tabunu, to czekało go niezłe lanie i parę tygodni przytyków. Sama Knarra mogła spodziewać się co najwyżej wymówek od starszej kobyły, ale nie miała ochoty poświęcić nawet takiego drobiazgu.

– No to wybieraj: tylne czy przednie? - odezwał się z rozbawieniem trzeci, srokaty ogier, wyciągając z torby na pasie krzywe zardzewiałe szydło.

Trij zrobił krok w tył, spod nerwowo stukających kopyt poleciały kawałki darni. Trzymające go ręce wzmocniły chwyt.

– A może od razu... - Brons zrobił wyrazisty strzygący ruch palcami.

Jeśli chciał po prostu Trija postraszyć, to zdecydowanie mu się udało. Więzień uznał, że nie ma już nic do stracenia i niespodziewanie wierzgnął, trafiając srokatego w kolano. Ten zawył i rozluźnił palce,

więc Trij natychmiast rąbnął uwolnioną ręką w nos Wroina, pozbawiając tarantowatego resztek sympatii do wygnańca.

Brons potknął się, dając Trijowi sekundę fory, po upływie której cała trójka rozplodowców z oburzoną wrzaskiem ruszyła w pogoń.

Trij doskonale rozumiał, że na łące dogonią go raz dwa i jedynym ratunkiem jest las. Dziurawiąc krzaki jak kret grządkę, zaczął kluczyć między drzewami.

Prześladowcy, więksi od niego, ale mniej zwinni, musieli zwolnić. Wrzaski były coraz rzadsze i cichsze, aż ustały całkowicie.

Kiedy Trij obejrzał się po raz kolejny, zobaczył za sobą tylko rozkołysane świerkowe gałęzie. Stał, rozglądając się niepewnie. Echo skończyło przeżuwać tupot jego kopyt i ze wstrętem splunęło w gąszcz.

Dziwne. Trij chwilę kręcił się w miejscu, trzymając w pogotowiu łuk z nałożoną strzałą. Nie, za nic nie ośmieliłby się wysłać jej w kierunku towarzysza z tabunu, ale przecież oni o tym nie wiedzą!

Rzeczywiście, nikogo. Tylko cietrzew bulgocze w krzakach, ni to pochłonięty śpiewem, ni to uznając ogiera za nieszkodliwego łosia. Nawet taki durny ptak na całego cieszy się życiem, a z niego za jedną jedyną próbę omal nie zrobili kaleki albo wałacha! Gdzie w tym wszystkim sprawiedliwość?!

Wściekły na cały świat gniadosz wierzgnął i z całych sił kopnął najbliższą sosnę. Zeschnięte i już trochę nadgniłe drzewo tylko czekało na okazję, żeby z trzaskiem paść w krzaki malin. Okazało się, że siedzi tam aż trójka cietrzewi, które przestraszone hałaśliwie wzniosły się do lotu, a z boku wrzeszcząc wypadło coś obszarpanego i brodatego, w czym Trij z przerażeniem rozpoznał sławetnego szurniętego maga.

Paskudny staruch, który cicho i spokojnie siedział sobie pod krzakiem w pozycji „medytacyjnej”, był łagodnie mówiąc

niezadowolony. Jedną ręką podtrzymując spadające spodnie, drugą wystawił do przodu, sypiąc iskrami jak kamień do ostrzenia noży, po czym wrzasnął coś niezrozumiałego.

Trij nie zdążył mu niczego wyjaśnić ani nawet przeprosić: niewidzialny wielkolud złapał go jedną ręką za pierś, drugą za zad, po czym z rozmachem walnął o kolano.

Potworny ból w grzbiecie starł wszystkie myśli, a potem również świadomość.

Ostatnim, co ogier zobaczył, był jego własny ogon, znikający w słupie światła...



Południowe słońce przesączało się między liśćmi i z ciekawością szturchnęło promieniem leżące pod drzewem ciało.

Trij z trudem rozlepił opuchnięte powieki i zobaczył pełznącego po źdźble trawy żuka.

Już nie czuł bólu.

Ani tylnych nóg.

Desperacko rzucił się do przodu. Zdołał wstać, aż nazbyt łatwo: natychmiast ponownie padł w trawę, tym razem nosem. Dotyk ziemi na piersi i równocześnie brzuchu budził dziki lęk - grzbiet ogiera w życiu by się tak nie wygiął.

Co ten stary pień z nim zrobił?!

Trij desperacko uniósł się na rękach i zobaczył odciski kopyt, prowadzące z powrotem na skraj lasu. Był tu ktoś jeszcze? W takim razie, dlaczego nie próbował mu pomóc albo dobić?

Ślady były dziwnie znajome. Nadal kiepsko kojarzący ogier spojrzął przez ramię i zobaczył czyjeś szeroko rozrzucone nogi - elfa albo człowieka, bo krasnoludy miały je znacznie krótsze, a trolle bardziej owłosione. Trij spróbował mętym spojrzeniem prześledzić, do kogo należą, i ponownie stracił przytomność - tym razem z przerażenia.



- Patrz, trup! - Głos był szorstki i ochryply.
- Gdzie?
- A tam, pod krzakiem! Jeszcze świeży, nawet nie zdążył zsinieć. Ciekawe, skąd się tu wziął?
- Mnie bardziej ciekawi, kto go załatwił - burknął drugi głos, bardziej doświadczony i ostrożny. - I zdążył obrabować?
- Nie zdążył, zobacz, tam łuk leży. Oho, centauryjski! - krzyknął pierwszy z zachwytem, ostatecznie przywracając Trija do paskudnej rzeczywistości. Palce zacisnęły się na łączysku akurat w chwili, gdy obcy złapał za broń od drugiej strony. Druga ręka wymacała rzemień kołczanu i potraktowała nim złodzieja w kark. Ten jęknął z przestraczeniem i wypuścił zdobycz. Strzały z suchym trzaskiem potoczyły się po ziemi.
- Trij otworzył oczy i jednym ruchem usiadł. W jednej chwili przypomniał sobie, co mu się przytrafiło i już nie próbował wstawać.
- Pomiędzy tabunem a ludźmi nie było wrogości, ale nie było też przyjaźni. Trij, jako niższy ogier, miał okazję spotykać się z kupcami, więc nieźle znał wspólny i mniej więcej kojarzył zwyczaje tej rasy.
- Kim jesteście? - zapytał cicho, ostrożnie dobierając słowa.

Ludzie, dwóch mężczyzn w okolicy czterdziestki, jakoś tak paskudnie spojrzeli po sobie. Trzeci, z narzuconym na głowę workiem i związanymi rękami, skorzystał z okazji, by poderwać się do biegu, ale naciągnięty sznur szybko ostudził jego zapędy.

- Spokój! - ryknął ochryply. - A z ciebie co za ghyr, hę?

Trij, przyzwyczajony do tego, że ludzie traktują ogiery, nawet te niższe, ze znacznie większym szacunkiem, nie odpowiedział na pytanie. Nieznajomi z każdą sekundą podobali mu się coraz mniej. O ile wiedział w tej chwili ludzie z nikim nie byli w stanie wojny, czyli nie mogli zgodnie z prawem brać jeńców. Och, coś tu zdecydowanie było nie tak!

Nachmurzone twarze mężczyzn, którym widocznie przez głowę przemknęła podobna myśl, świadczyły, że zdecydowanie nie cieszą się z obecności ogiera.

- Gadaj, póki cię pytają po dobroci! - ryknął drugi, wyciągając z pochwy długi i ostry kawałek żelastwa.

Trij miał jeszcze szansę, żeby coś skłamać, powołać się na maga albo udać słabego na umyśle, ale w tym momencie spod worka dobiegł przenikliwy wrzask:

- Aaa, przecież mówiłam, że nie uciekniecie przed sprawiedliwością, paskudni rozbójnicy! Mój odważny wybawco, niech pan ich szybko zabije!

Ten pomysł nie spodobał się żadnemu z obecnych. Mężczyźni groźnie sapnęli, Trij spróbował odpełznąć do tyłu, ale trafił na pień drzewa. Niestety, nie był driadą, by móc schować się w środku i przeczekać.

- Uprzedzam, będę się bronił! - uprzedził niepewnie.

Tamci po raz pierwszy szeroko się do niego uśmiechnęli. Na wpół nagi dzikus ze splątana grzywą włosów i zdartymi do krwi kolanami nie

wydał im się poważnym przeciwnikiem. Nie miał nawet miecza. W tabunie w ogóle nie lubiano broni siecznej, ale za to całkiem nieźle strzelano i rzucono kamieniami, a dłoń ogiera właśnie trafiła na odpowiedni pocisk.

Trij nie zrozumiał, co stuknęło głośniej - kamień czy może trafione nim czoło. Człowiek machnął rękoma, jak gdyby zamierzając odlecieć w ślad za głuszcami, wykonał piękny obrót dookoła własnej osi i padł w krzaki, pozwalając Trijowi skupić się na drugim przeciwniku. Pod ciosem miecza łuk się złamał, ale spełnił swoje zadanie - odbił klingę w bok. Kopanie piętą okazało się znacznie boleśniesz niż kopytem, ale prawie tak samo skuteczne. O ile oczywiście wiedzieć, gdzie kopać. Kiedy szczerze zgnębiony taką podłością przeciwnik zgiął się w pół, ogier zarzucił mu na szyję cięciwę, przekręcił i pociągnął odłamki łuku na boki. Nie zamierzał zabijać człowieka i wypuścił go od razu, gdy ten posłusznie ułożył się koło swojego kompana. Może jeszcze dojdzie do siebie.

Trzeci człowiek nadal stał pomiędzy dwiema sosnami, z głową wciągniętą w ramiona. Trij złapał oddech i spojrzał uważniej. Chyba była to samica - tylko one owijały nogi całymi płachtami materiału. Jak ją zwać...? Człowieka? Ludzka...?

- Chodź tutaj - zawołał ze zmęczeniem, wymacując na przekręconym pasie torbę i wyciągając z niej myśliwski nóż.

- Po co? - natychmiast zaniepokoiła się ofiara, na przekór robiąc parę kroków do tyłu.

- No cóż, skoro podoba ci się łożenie z workiem na głowie...

Ludzka zastanowiła się. Trij, przyzwyczajony do humorów kobyłek, spokojnie czekał.

- A nie jesteś przypadkiem strzygą?

- Nie.

- Ani trollem-ludojadem?

- Że co?

- Znaczy, jakoś zbyt łatwo sobie z nimi poradziłeś... - Ludzka z niedowierzaniem pokręciła workiem.

Trij by tego tak nie określił. Nadal czuł walenie krwi w skroniach.

- I cicho... - dokończyła podejrzliwa samiczka. - Chyba nie jesteś moim rycerzem.

- Przykro mi, ja w ogóle nie jestem rycerzem.

- Chodzi mi o tych, których wysłano na moje poszukiwania. - Ludzka zrobiła kilka kroków w kierunku jego głosu i ponownie zamarła w niepewności. - Czy ja cię w ogóle znam?

- A może jednak zdejmę ten worek i sama zobaczysz?

- Dobrze - zdecydowała się w końcu. - Gdzie jesteś?

- Pięć kroków. Jeszcze jeden. Pochyl się.

- A po co?! - Ludzka nie zdążyła odskoczyć. Trij, którego cierpliwość też miała swoje granice, złapał ją za skraj szmaty i siłą posadził na ziemi.

Spod worka wyłoniła się chudziutka, sympatyczna i bardzo poirytowana twarzyczka otoczona czarną grzywą, która mało ustępowała kobylej. Ogier i ludzka podejrzliwie spojrzeli na siebie, ale żadne nie zauważyło niczego przerażającego.

- Znaczy, dziękuję! - Zaczerwieniona ludzka pełnym gracji gestem podała Trijowi rękę.

- Znaczy proszę - burknął ogier, chowając nóż za pasem. Tamta dwójka chwilowo nie zdradzała oznak życia, ale na miejscu byłej ofiary pośpieszyłyby się, żeby stąd nawiać. O czym ją uczciwie uprzedził.

- Jak to?! - Oczy ludzki zrobiły się wielkie i okrągłe. - Nawet nie odprowadzisz mnie do najbliższej wsi? Porzucisz samą w tym ciemnym i złowieszczym lesie?!

- Nie, pokażę ci drogę w kierunku jasnego i bezpiecznego skraju. - Ogier natychmiast spełnił tę obietnicę. - tam zobaczysz trakt handlowy. Posiedzisz godzinkę na poboczu i na pewno jakiś wóz będzie jechał.

- Ale słyszałam, jak jeden rozbójnik mówi do drugiego, że tu w pobliżu mieszkają centaury! - wyznała ludzka dramatycznym szeptem.

Trij skrzywił się. Nie znosił tego głupiego słowa, którego ludzie używali do nazywania przedstawicieli jego rasy – podobno po to, by nie mylić ich ze zwykłymi końmi. Niby nic, ale słówko brzmiało bardzo podobnie do jednego z używanych w tabunie przekleństw. (Pewnie na samiućku początku usłyszał je od miejscowych pierwszy człowiek, który postawił stopę na Szakkarze).

- I co z tego? - Ogier z nienawiścią spojrział na nogi, które kokieteryjnie pomachały do niego palcami. - Zjedzą cię, czy jak?

- Nie, ale przecież mamy teraz wiosnę... - Ludzka zaczerwieniła się z wyraźnym skrępowaniem. - A oni są tacy... znaczy... porządna dziewczyna, taka jak ja, nie powinna się z nimi spotykać!

- Jak ty to sobie w ogóle wyobrażasz?! - burknął Trij. - Taką ghyrnię to mogły wymyślić tylko ludź... tylko dziewczyny, które ta ichnia porządność ciśnie w pewnym miejscu!

- Cham! - Ludzka nadeła wargi i odwróciła się. Chwilę siedziała, podziwiając komary (które z kolei nie ograniczały się tylko do patrzenia) i z jeszcze większym oburzeniem uświadomiła sobie, że przeprosin nie doczeka. - Hej, a ty czego siedzisz?!

- A co mam robić?

- Znaczy..., chociażby wstać!

- Gdybym mógł to zrobić, to tyle byś mnie widziała - odciął się Trij, ostrożnie strzepując igły z rozbitych kolan.

- Ojej... - Ton Ludzki natychmiast zmienił się na pełen zaniepokojonego współczucia. - A co ci się stało w nogi? Zraniłeś je?

- Nie - wycedził Trij przez zęby. - Uciekły ode mnie!

- Ale jak to? Przecież tu...

- Powinno ich być dwa razy więcej! - rzucił ogier z irytacją.

- A! - Ludzka coś jakby zrozumiała. - Już, już...!

Rzuciła się w kierunku zarośli leszczyny, gdzie chwilę głośno szeleściła gałęziami, by w końcu przynieść Trijowi dwa długie kije.

- Faf! Tfoje nofe kule! - rzuciła z zadowoleniem, odgryzając ostatnią wymiętoloną, ale niezłomną gałązkę. - Obrzydliwi rozbójnicy, jak oni śmieli napaść kalekę!

Ogier, który miał ochotę położyć się i umrzeć na miejscu, spojrział na nią z kompletnym niezrozumieniem.

- No już, wstawaj! - Ludzka wpakowała kije w jego ręce rozwidleniami do góry i usłużnie złapała Trija pod pachy. - Raz, dwa...

Nie zdążył się nawet opamiętać, a już stał na nogach. Desperacko złapał podpory, chwiejąc się na nich, jak dopiero narodzony żrebak.

- Biedactwo. - Dziewczyna nadal troskliwie go podtrzymywała, tylko przeszkadzając w zachowywaniu równowagi. - Czy od dawna tak masz? Od dzieciństwa, prawda? Zachorowałeś albo uderzyłeś się w plecy? A...

- Od jakichś dwóch godzin - burknął Trij, spojrzawszy na słońce.

- Ale co się stało?

- Miałem pecha i trafiłem na maga, a on mnie potraktował jakimś zaklęciem...

- To musisz szybko iść do nadwornego czarodzieja! - Ludzka zaczęła skakać dookoła niego jeszcze energiczniej, a i bez tego już

przypominała ogierowi brzęczącego zwinnego owada. - Bo co jak ono jest jakieś pełzające i do wieczora stracisz jeszcze władzę w rękach?

- A co, jak na dokładkę jest jeszcze zaraźliwe? - zasugerował podstępnie Trij. Oj tak, już zaraz ten cały czarodziej będzie mu pomagał!

- To niemożliwe - zaprzeczyła ludzka (choć mimo to ukradkiem otarła ręce o spódnicę). - Myślisz, że jesteś jeden jedyny, kto od tego maga ucierpiał? Przecież do pałacu co roku przychodzi z tuzin osób na skargę! Co prawda połowa z nich sama ma problemy z głową albo szuka łatwych pieniędzy. Król obiecuje każdemu, kto niewinnie ucierpiał darmowe leczenie i kompensację za straty moralne, bo to nadal jest tańsze niż utrzymywanie na stałe leśniczych. Zresztą mag zwykle ogranicza się do drobiazgów: na jednego czkawkę ześle, na drugiego łysienie... Aż dziwne, dlaczego się na ciebie tak wściekł? - Dziewczyna zmierzyła ogiera podejrzliwym spojrzeniem.

- Przestraszyłem go - przyznał się Trij. - Ale przypadkiem.

- Przypadkiem się nie liczy - stwierdziła ludzka zdecydowanie. - Chodźmy razem, potwierdzę, że jesteś niewinny... znaczy się jesteś ofiarą. Poza tym mnie uratowałeś i należy ci się nagroda!

- Rozbójników też opłaca król? - zdziwił się rumak.

- Nie, głuptasie! On opłaca mnie, jestem jego siostrzenicą!

- O bogowie... - Trij dobrze wiedział, że od kobył rozplodowych należy trzymać się z daleka. A tu znowu wpadł!

- Nie mów tylko, że się nie cieszysz?! - oburzyła się dziewczyna. - Przecież każdy rycerz z naszego królestwa tylko marzy o tym, żeby znaleźć się ze mną sam na sam... Hej, a gdzie masz spodnie?! Też mag ukradł?

- Yhym... - burknął ogier uznając, że paskudny staruch raczej nie wyskoczy z pretensjami, a on nie ma powodu, by zdradzać Ludźce, kim jest.

- Stary zbereźnik! - osądziła dziewczyna. - Hm... wydaje mi się, że te będą na ciebie pasować.

I natychmiast zdjęła spodnie z jednego z rozbójników, w dodatku z taką wprawą, jakby przez całe życie nic innego nie robiła.

- Wkładaj!

- Ale jak? - Trij z niezrozumieniem spojrzał na wyciągniętą w jego kierunku szmatę. Dziewczyna zrozumiała pytanie jako skierowane do obecnej sytuacji, a nie samych spodni.

- Podnieś nogę! Wyżej... jeszcze wyżej... ojej! Wiesz co, wydaje mi się, że lepiej będzie, jak zrobimy to na leżąco...

Ogier, który już i tak leżał, podniósł głowę i spojrzał na nią z maksymalnie nieprzyjaznym wyrazem twarzy, jaki był dozwolony w stosunku do kobyły.

- I koszulę też masz jakąś taką biedną - ciągnęła dziewczyna, gospodarnie łapiąc rozbójnika za ramię.

Trij chciał powiedzieć, że w swoim bezrękawniku chodził nawet zimą, ale w tym momencie zrozumiał, że istotnie jest mu dziwnie chłodno. Delikatne ludzkie ciało wymagało znacznie cieplejszego ubrania, a także obuwia. Co za koszmar - nie wspominając już o tej hańbie, którą miał teraz poniżej pasa... cały wiosenny zapał jak ręką odjął.

Ogier bez słowa skargi pozwolił założyć na siebie wszystko, co dziewczyna uznała za stosowne i ponownie postawić na nogach.

- No już, idziemy! - pogoniła go zadowolona ludzka. - Obiecuję, że nasz czarodziej raz dwa wszystko naprawi!

Trij westchnął i zrobił swój pierwszy niepewny krok w nowym ciele.



Po trzech godzinach zrozumiał, że mówiąc o wozach był zdecydowanie optymistyczny. Po trakcie nie przejechał ani jeden. Mogli więc tylko mieć nadzieję, że idą w stronę ludzkiej osady, a nie w kierunku przeciwnym.

Trij mniej więcej przyzwyczał się do kuśtykania na dwóch kończynach i czuł się znacznie większym kaleką, niż gdyby miał pozrywane więzadła. Pięty paliło, jak gdyby szedł po rozżarzonych węglach, okropnie bolał go krzyż, bo plecy też trzeba było trzymać inaczej - mimo że „staraniami” maga kręgosłup miał odpowiedni zakres ruchu, ogier cały czas zapominał się i wyginał do tyłu, za każdym razem z trudem unikając upadku.

Okazało się też, że samica człowieka mało różniła się od kobyły. Chyba tylko brakowało jej kopyt na dokładkę do krnąbrnego charakteru.

- To mówisz, że co ci się stało? - zapytał Trij z roztargnieniem, wyrwany z namysłu niespodziewaną przerwą w jej ciągłym gadaniu.

Dziewczyna, która dopiero co skończyła opowiadać swoją smutną historię obwieszoną szczegółami jak topielec rakami, w oszołomieniu zaczerpnęła powietrza. Krótka, ale emocjonalna powtórka zmieściła się w trzech słowach:

- Porwali mnie rozbójnicy!
- Nie mów? - zdziwił się ogier. - A wyglądali na takich przyzwoitych ludzi...

- Przyzwoitych?! - Ludzka uniosła się ponownie. - Nazywasz przyzwoitością narzucenie worka na głowę nic niepodejrzewającej panny, przerzucenie jej przez siodło i zabranie trzydzieści wiorst od domu?!

- Zdarzyło mi się widywać tutejszych rozbójników. - Trij z uprzejmości nie wspomniał, że zdarzyło mu się również piec z nimi szaszłyki z jelenia. Byli to bardzo towarzyscy chłopcy i przekonywali, że wcale nie są bandytami tylko znachorami puszczy - bo przecież ktoś musi wykonywać tę niewdzięczną robotę! - Wiesz, w lesie trudno o łaźnie i krawców. A twoi towarzysze wyglądali, jakby mieli się udać na proszoną kolację.

- No nie wiem... - Ludzka niechętnie spuściła z tonu. - Ale i tak mi się nie spodobał ich sposób nawiązywania znajomości! I gdzie niby zamierzali jeść tę całą kolację? U centaurów?

Trij z trudem potrafił wyobrazić sobie coś podobnego. Tabun w ogóle nie wypuściłby tego towarzystwa z lasu, wszystkie rozmowy z ludźmi prowadzone były na ich ziemi. Szczególnie na wiosnę, kiedy ogiery rozplodowe wpadały w szal nawet na widok psa zbliżającego się do ich haremu.

- To ty powinnaś wiedzieć, przecież ciebie porwali.

- Pewnie chcieli otrzymać za mnie okup - zasugerowała dziewczyna po chwili namysłu.

- Albo już otrzymali. Jako zaliczkę. - Trij nie potrafił powstrzymać się, by jej nie dociąć.

- Że co?! Ach, ty... Wujek mnie kocha! Tak w ogóle to jestem jego jedyną siostrzenicą, a dzieci nie ma.

- Ale przecież on jeszcze nie jest stary - przypomniał sobie Trij opowieści kupców o obecnym królu.

- Nie, ale nie chce się żenić drugi raz - westchnęła dziewczyna ze szczerym smutkiem. - A ciocia nie żyje od siedmiu lat...

- Czyli na dodatek jeszcze odziedziczysz tron?

- Za nic! - ucięła ludzka z pogardą w głosie. - Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż przecieranie spódnic na tronie.

- Na przykład?

- Na przykład... malować. I dobrze mi wychodzi, wozłam swoje obrazy nawet na wystawę do Starminu! - dodała dziewczyna spieszenie.

Wbrew jej podejrzaniom Trij się nie roześmiał. Malarze, zdolni zatrzymać chwilę, odwzorowując na płótnie lecącego ptaka albo kwiat kwitnący tylko jeden dzień budzili w nim szczerzy zachwyty. Niestety, w tabunie takie umiejętności uważano za zwykłe marnowanie czasu.

- A ja umiem robić łuki, chyba też niezgorsze. Szkoda, że mój złamali, bo bym ci pokazał. - Ogier ugryzł się w język, uświadamiając sobie, że nawet dziecko odróżni centauryjski łuk od ludzkiego.

- Ojej! - Dziewczyna spojrzała na niego ze znacznie większym szacunkiem. - Uwielbiam rysować broń. Wujek ma ogromną kolekcję wszystkich znanych mistrzów. Pogadaj z nim, może ci znajdzie miejsce przy opiece nad sprzętem wojskowym! A skąd jesteś?

- Stamtąd. - Trij niewyraźnie machnął ręką do tyłu.

- Z wybrzeża? - zdziwiła się jego towarzysząca, bez namysłu wykreślając ze stojącej przed oczami mapy ziemie tabunu.

- Coś w tym rodzaju...

- Przecież nie jesteś rodowitym Szakkarczykiem, prawda? Masz taki ciekawy akcent!

- O, patrz! - Zza drzew przed nimi pojawiła się wieś, która uratowała Trija przed śliską ścieżką, na którą skręciła rozmowa. W samą porę - już

zapadał zmrok i znad lasu pełzła mgła, pod osłoną której lubiły polować mantykory.

Ludzka wystudiowanym gestem poprawiła fryzurę (a raczej zrobiła gest, który świadczył o tym, że zwykle takową posiada), obciągnęła sukienkę i odważnie poszła w kierunku najbliższego domu.

- Heeej, przepraszam najmocniej!

- Hej? - Gospodarz, łysy, mocno zbudowany chłop około pięćdziesiątki był zajęty. Próbował precyzyjnie przecisnąć przed dziurę w płocie świnię, która w niej utknęła. Świnia za nic nie chciała się zmieścić i była wyjątkowo tym faktem oburzona.

- Chcielibyśmy pana prosić o pewną przysługę.

- Hej...?

- Potrzebujemy pana pomocy...

- Hej...?

- Jestem siostrzenicą króla! I chcę przenocować w tym domu!

- Hej...? - Chłop nie wytrzymał i zwyczajnie wymierzył świni kopa w zadek. Ta wyleciała z płotu jak korek, dla porządku po kwiczała jeszcze kilka sekund i zamilkła. - No to czego chcecie?

Dziewczyna, która zdążyła się spocić i ochrypnąć, spojrzała na niego z niewyobrażalną pretensją. Zanim zdążyła złapać oddech, Trij pogrzebał w torbie i podał chłopu ciężką monetę.

- Za posiłek i nocleg.

- Od tego trzeba było zaczynać. - Mężczyzna wypróbował metal na ząb i machnął ręką, zapraszając ich do domu.

Gospodarze już zdążyli zjeść, ale dla gości ponownie zastawiono stół.

- Lessa - przedstawiła się dziewczyna, kiedy pan domu wypowiedział swoje imię i pytająco uniósł brwi.

- Trij.

– Bardzo mi miło! - Towarzysze spojrzeli po sobie i wybuchnęli śmiechem, pojmując nagle, że przez kilka godzin ciągłego gadania nie znaleźli chwili, by się sobie przedstawić.

Ludzkie jedzenie było trochę mdłe i zbyt gorące. Ale zasadniczo w tabunie jedzono wszystko, a ogiery niższe rangą w ogóle nie powinny wybrzydzać. Trij był chyba najdrobniejszym i najbardziej niepokąźnym z nich - gorszym nawet od swojego ojca, któremu ostatecznie udało się zasłużyć na kobyłkę (też niezbyt urodziwą, co odbiło się na jej synu w sposób zdecydowanie nie najlepszy). Jako człowiek natomiast był całkiem wysoki, a z zachowania córek gospodarza można było wywnioskować, że również nie pozbawiony urody. Najpierw ogier pomyślał, że pewnie nie zna miejscowych zwyczajów i taka uwaga należy się każdemu gościowi, ale potem dostrzegł kwaśny wyraz twarzy Lessy i roześmiał się w duchu. Wszystkie kobiety są takie same!

Malarka, która dumnie zasiadła u szczytu stołu, z oburzeniem dostrzegła, że miejsca na ławce po obu stronach chłopaka cieszą się znacznie większym powodzeniem. Gospodarz ciągle ganiał córki do spiżarki i na dwór w jakichś sprawach, ale obie niezmiennie wracały, jak osy do miski z konfiturami.

Dziewczyna pokręciła się na krześle, rzuciła, że pod oknem jest jej zbyt gorąco, złapała miskę i przeniosła się na miejsce obok Trija. Pomogło, ale tylko w połowie: rywalki zaczęły po kolei siadać po drugiej stronie ogiera.

Wtedy Lessa zaczęła niezauważalnie, ale zdecydowanie spychać Trija w kierunku brzegu ławki, póki prawie go nie zrzuciła. Ale przynajmniej na grzędzie zabrakło miejsca dla „kurczątek”.

Teraz spochmurniały miejscowe dziewczęta.

- Miękki masz charakter, chłopcze - zauważył z naganą gospodarz, kiedy Lessa na chwilę wyszła na dwór. - Baby to trzeba trzymać krótko. U mnie to ona by uuu!

Trij filozoficznie wzruszył ramionami. Ogiery od dzieciństwa uczono traktowania kobyłek jak klęski żywiołowej w rodzaju ulewy czy huraganu, a w porównaniu z nimi Lessa była przyjemnym jesiennym deszczem. Przeciwnie, cicha i pokorna żona zdecydowanie budziłaby w Trij u niepokój.



Rano ogierowi udało się samodzielnie podnieść z łóżka i po chwili wahania zostawił kule oparte o ścianę. Czuł się tak, jakby poprzedniego dnia galopem okrążył całą Szakkarę wzdłuż wybrzeża.

- O, już się lepiej czujesz! - ucieszyła się Lessa. - To może nawet czarodziej nie będzie potrzebny?

- Będzie - wycedził Trij, walcząc ze sznurówką w bucie.

- Ty wiesz lepiej. Dogadałam się odnośnie do wozu, zawiozą nas wprost do pałacu.

Wiadomość nieco poprawiła ogierowi nastrój i z drugim butem poradził sobie znacznie prędzej.

Do stolicy dotarli bez przygód. Wręcz przeciwnie, droga była tak nudna i monotonna, że Trij kilka razy zląził z wozu i szedł obok, by rozprostować nogi. Zachowywały się przyzwoicie, ale oczywiście nie mogły równać z dawnymi czterema, zaopatrzonymi w mocne kopyta. Kiedyś truchcikiem wyprzedziłby zaprzęzonego konia, jak gdyby ten stał w miejscu, a teraz z trudem za nim nadązał.

Ogier po raz pierwszy widział ludzkie miasto i nie potrafił zdecydować, czy mu się podoba czy jednak nie. Tłum ludzi, blisko stojące domy, smród jak w śmietniku, ale poza tym tak wiele nowych i ciekawych rzeczy, że nie nadązał z obejrzeniem wszystkiego. Pałac w ogóle działał na wyobraźnię, jak biała skała wyrastając nad domami. Strażnicy przy bramie nie wpuścili wozu do środka, ale oddali Lessie honory i pomogli zejść na ziemię, nie wykazując specjalnego zdziwienia. Pewnie rozrywkowa siostrzenica króla wracała do miasta i w gorszej formie. Trija strażnicy obejrzeliby uważniej, ale razem z dziewczyną bez przeszkód wpuścili do środka.

Na spotkanie gości z radosnym szczekaniem skoczyły dwa rude psy. Lessa przykucnęła i zgarnęła je w ramiona jak ogromne puchate zabawki, pozwalając wylizać sobie twarz. Trijowi zwierzaki uprzejmie pomachały ogonami, pozwalając ostrożnie się pogłaskać.

Gdy tylko weszli na wysoki ganek, wyszkoleni służący otworzyli przed nimi drzwi. Dziewczyna nawet nie zwolniła kroku, pewnie kierując się do szerokich marmurowych schodów.

W pałacu było cicho i chłodno, posłowie i petenci już rozeszli się do domów, a dworacy do swoich komnat albo miejskich karczem. Całe ściany przy schodach zajmowały obrazy, ale nie portrety rodowe, lecz rysunki potworów, tak malownicze i wierne oryginałom, że służący schodzący po schodach ze świecą w ręku miałyby szansę dotrzeć do drzwi wejściowych z siwą, stojącą dęba czupryną.

- Co to? - Trij skinął głową w kierunku płótna, które zrobiło na nim szczególne wrażenie.

- Harpia, krążąca nad umierającym rycerzem - poinformowała dziewczyna z krwiożerczym błyskiem w oku. I z nadzieją pociągnęła ogiera za rękaw. - Podoba ci się? Trzy miesiące ją malowałam.

- Szalenie - przytaknął ogier, czując dreszcz. Lessa zdecydowanie miała talent, ale należało się do niego przyzwyczaić. - Widzę, że twój wuj też jest zachwycony?

- Aha! - Mile połączona malarka z czułością poprawiała przekrzywiony obraz. - Kiedy wisiały w jego sypialni, własnoręcznie zasłaniał je prześcieradłami, by płótno nie wyblakło. Co prawda wieczorem zawsze zapominał odsłonić, więc ostatecznie rozkazał, żeby przenieść je tutaj, by zwykli ludzie też mogli je podziwiać.

- Mądra decyzja - osądził Trij, możliwie szybko wymijając zieloną topielicę o żółtych węzowych oczach, która wydawała się wypływać z ramy.

- A chcesz to ciebie również namaluję? - spytała ucieszona dziewczyna.

- E-e... nie chcę ci zajmować czasu. Myślę, że i tak masz dużo zamówień.

- Nie, żeby jakoś wyjątkowo dużo, ale wystarczająco - przyznała Lessa z dumą. - Zwykle zamawiają na prezent dla znajomych, ale zdarza się, że ktoś chce mieć własny portret. Spójrz na tamten, w połączanej ramie! To nasz kanclerz.

- Który, niebieski czy rogaty?

- Nie, ten z płetwami. Uczciwie mówiąc - dziewczyna ściszyła głos - już nie wiedziałam, jak się go pozbyć. Nie mógł nawet pięciu minut ustać spokojnie, zaczynał wypinać pierś i gadać komplementy! A ja go potrzebowałam z profilu i w ogóle z wyszczerzonymi zębami... Więc potem wujek musiał trochę go pozować.

- A kanclerz się nie ob..., dlaczego go nie zabrał?

- Powiedział, że chce, aby jego podobizna została w naszej galerii i już zawsze mi o nim przypominała - przedrzeźniła Lessa niskim

uroczystym głosem. - Jakbym go nie widziała na żywca każdego wieczora! A jak ci się tamten elf podoba?

Elf był całkiem niczego sobie, mimo że wisiał na sośnie. Pod jego na wpół obgryzionymi nogami radośnie kłębiły się kudłaki. Szczęśliwie dziewczyna uznała, że odłoży dokładne oglądanie na później, podeszła do wysokich dwuskrzydłowych drzwi i pociągnęła za brązowe kółka.

W sali tronowej siedziało dwóch mężczyzn (jeden na tronie, a drugi na jego podłokietniku), którzy z dwóch stron badali długi upstrzony runami zwój i o coś się cicho spierali. Byli mniej więcej w tym samym wieku, typowi Szakkarczycy - ciemnowłosi i jasnoocy, a na dokładkę ubrani prawie identycznie: w ciemne, nierzucające się w oczy szaty. Słyszając skrzypienie drzwi, ten, który ulokował się na tronie, w pośpiechu z niego zeskoczył, a drugi usiadł na zwolnionym miejscu.

- Uf, Lesko, to ty! - Król odetchnął z ulgą, opadając na oparcie. - Mogłabyś przynajmniej zapukać albo co...

- Wuju! - Dziewczyna wbiegła na schodki podwyższenia tronowego, rozkładając ramiona.

Jego królewska mość gorąco ucałował Lessę w oba policzki i ze zdumieniem wyciągnął z ust rudy włos.

- Ja to dopiero mam wspaniałą siostrzenicę - zwrócił się do swojego rozmówcy. - Nie widzieliśmy się ledwo trzy dni, a tyle radości!

Dziewczyna lekko się cofnęła i ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

- Czy mnie naprawdę aż tak często porywają?

- Słoneczko, o czym ty do mnie mówisz?

Lessa zachnęła się i po chłopsku wsparła dłonie na biodrach.

- Ja myślałam, że ty całą Szakkarę postawiłeś na nogi, a tu się okazuje, że nie masz o niczym pojęcia?!

Mężczyźni ze zdumieniem spojrzeli po sobie.

- Ależ dziecko - wydukał monarcha z poczuciem winy. - Przecież ty czasem nawet przez bite dwa tygodnie nie bywasz w pałacu! Byłem pewien, że zamierzasz uszczęśliwić nas nowym arcydziełem - wyjaśnił z lekkim drżeniem w głosie.

Następnie spojrzął w zwężone oczy siostrzenicy i śpiesznie się poprawił, grzmiąc pełnym głosem:

- Kto odważył się napaść na osobę królewskiej krwi?! Podaj mi imiona tych niegodziwców i pożałuj, że w ogóle się urodzili!

- Już nie trzeba - odparła Lessa, uroczyście wskazała Trija i ogłosiła:
- Oto jest mój wybawca!

Tym razem historia Strasznej Niegodziwości uzupełniona Cudownym Uratowaniem zajęła tylko pół godziny, ale nogi Trija i tak zdążyły się zmęczyć - pod baczным spojrzeniem króla nie ważył się nawet ruszyć.

- Cóż, wygląda pan całkiem nieźle - raczył zażartować jego królewska mość. - Mam nadzieję, że szkody dla pańskiego zdrowia wcale nie są aż tak duże, jak wydaje się mojej wrażliwej siostrzenicy.

- Wujku! - obruszyła się dziewczyna. - Przecież prosiłam!

- Już, już nic nie mówię - zrejterował król i wskazał mężczyznę, stojącego obok tronu. - Przedstawiam panu mojego nadwornego czarodzieja, arcymaga-praktyka. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile czasu i pieniędzy kosztowało namówienie go do opuszczenia Starminu! Ale jest najlepszym specjalistą na Szakkarze.

- Jego królewska mość chce powiedzieć, że na razie miałem szczęście - doprecyzował z uśmiechem mag, bez cienia zadufania, zszedł z tronowego podwyższenia i podał przybyszowi rękę. - Może pan mówić do mnie Weres.

- Trij. - Ogier odpowiedział na uścisk. Nadworny mag od razu mu się spodobał: spokojny, rzeczowy i ironiczny, niemający nic wspólnego z szajbusem z lasu. - Widzę, że pan również ma psa?

- Skąd takie wrażenie? - zdziwił się Weres.

- Ma pan futro na całym ubraniu. Szare. - Trij wskazał palcem cały kłębek przyczepionych do koszuli włosów.

- Aa... - Mag niespodziewanie spuścił oczy i nieprzekonująco spróbował się otrzepać. - Znaczy tak, mam... pieska.

- Dużego? - spytał ogier grzecznie.

- Bardzo - wyznał mag i spiesznie wrócił do tematu: - No to co się szanownemu panu stało?

Trij spojrział na dziewczynę, przywabił Weresa palcem, po czym ze skrępowaniem i gubiąc słowa na ucho opowiedział mu o swoim problemie.

Mag faktycznie okazał się zawodowcem: jedynie lekko zmienił się na twarzy, a jego brwi podjechały do góry.

- Jedną chwileczkę - odparł uprzejmie. - Muszę naradzić się z jego królewską mością.

Dziewczyna z rosnącym niepokojem obserwowała jak Weres, nadal utrzymując tajemniczo zamyślony wyraz twarzy, wchodzi po schodkach i pochyła się nad monarszym uchem.

- Aha - mruknął władca, dokładnie kopiując intonację czarodzieja. - Aha... rozumiem. Proszę przyjąć moje przeprosiny i wyrazy szczerego żalu, nie przyszło mi nawet do głowy... Ale może lepiej będzie, jak porozmawiacie na osobności? Wydaje się, że to dosyć intymna sprawa...

Panna była już gotowa zemdleć, a Trij - zapaść się przed ziemię ze skrępowania.

- Chyba rzeczywiście - wymamrotał.

- Chodźmy. - Mag wskazał dłonią niezauważalne drzwi za tronem i ogier z niezgrabnym ukłonem pośpieszył, by zniknąć zebrany z oczu.

W pracowni Weresa było przestronnie i przytulnie. W kominku palił się równy płomień niedający ciepła (w taką pogodę jak znalazł!), dookoła dębowego kwadratowego stołu stało kilka głębokich foteli, na podłodze leżało sporych rozmiarów futro nieznanego zwierzęcia, a z żyrandola na trzydzieści świec zwisała czarna koronkowa koszulka, która niesamowicie wręcz pasowała do wystroju.

- Wina?

- Bardzo proszę. - Trij spodziewał się, że mag pstryknie palcami i w rękach pojawią im się wypełnione kieliszki, ale Weres zwyczajnie podszedł do kredensu i zaczął brzęczeć butelkami.

- Czyli twierdzi pan, że widział swoją uciekającą drugą połowę? - Czarodziej zapraszającym gestem wskazał fotel, ale Trij odmownie pokręcił głową. Nadal nie mógł przywyknąć do ludzkiego zwyczaju siadania przy każdej nadarzającej się okazji. W tabunie uznawano to za wstydliwą oznakę słabości. - Bardzo dobrze. Oznacza to, że miało miejsce rozdzielenie, a nie transformacja z nieodwracalną stratą.

- Ale co w tym dobrego? Jak sobie pomyślę, że moje ciało tam biega kompletnie bez głowy... - Trij wzdrygnął się.

- Przecież panu wyrosły ludzkie nogi - zauważył mag trzeźwo. - Czyli również... eee... dolna część nie została pokrzywdzona. Może nawet otrzymała kawałek pańskiego rozumu.

- Czyli wychodzi na to, że jestem też słaby na umyśle?!

- Znikła ta część, która odpowiadała za sterowanie... eee... czworonogim ciałem, niektóre prymitywne zwierzęce instynkty - uspokoił ogiera mag. - Wydaje mi się, że wyszedł z niego niezły... hm... koń.

- A czy z dwóch niezłych nas dałoby się jakoś zrobić z powrotem jednego dobrego mnie?

Weres spojrzał Trijowi w oczy, powodził dłońmi wzdłuż jego ciała, zwracając szczególną uwagę na miejsce, z którego zaczynało się niedawno nabyte „coś” i podsumował:

- Myślę, że tak. Będę potrzebował paru dni, żeby stworzyć kontrzaklęcie, a pan niech w tym czasie złapie... hm... uciekiniera i go tu przyprowadzi.

Ogier niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Nie miał pojęcia, gdzie ma szukać zbiegłego - nie było sensu bawić się w reweranse ze sobą samym - tyłka. Już ze sto razy mogły go zeżreć wilki, a nawet szurnięty mag.

- A nie da się użyć do tego innego konia?

- Niestety! - Czarodziej rozłożył ręce. - To byłoby dokładnie to samo co przyszycie panu cudzej nogi.

Trij, który zdążył już wyobrazić się jako umięśnionego przystojniaka o pięć wyższego od Bronsa, westchnął z jeszcze większym smutkiem. Mag w końcu zauważył koszulkę, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku patrzącego do środka kieliszka gościa, ściągnął ozdóbkę z żyrandola i schował do kieszeni.

Wezwany przez Weresa skryba dokładnie zanotował w zwoju wszystkie oznaki szczególne „ukochanego królewskiego rumaka rzadkiej centauryjskiej maści” i obiecał, że heroldzi ogłoszą je na wszystkich skrzyżowaniach jeszcze przed nastaniem zmroku.

- Nic to! - Czarodziej pokrzepiająco poklepał Trija po ramieniu. - Jeśli jeszcze żyje, to szybko go znajdą. Konie nie lubią samotności, więc na pewno dołączy do jakiegoś tabunu, a obiecana przez króla nagroda zmotywuje chłopów do przeszukania wszystkich lasów. Myślę, że

odzyskamy konia jeszcze przed upływem tygodnia. A pan niech się w międzyczasie przespaceruje po mieście, zabawi...

- Czyli już nie jestem potrzebny?

- W zasadzie nie. - Mag wzruszył ramionami. - Już wziąłem pomiary pańskiej aury, więc zaraz się zabieram do pracy.

- W takim razie, po co szliśmy do pańskiego gabinetu? Przecież to wszystko można było zrobić tam, w sali.

- Jak to po co? - Weres niespodziewanie uśmiechnął się psotnie. - Żeby wujek i siostrzenica mogli sobie poplotkować do woli!

- Jest stąd jakieś drugie wyjście? - zapytał Trij zrozpaczonym głosem. Wolałby po raz drugi trafić na szurniętego maga niż na rozgniewaną kobyłkę - tfu! - dziewczynę.

- Oczywiście! - Czarodziej odsunął zasłonkę i usłużnie otworzył przed ogierem tylne drzwi, wyglądające na używane znacznie częściej niż frontowe.



Trij szedł ulicą, czując się jak ostatni kretyn. Dlaczego od razu nie przyznał się Lessie, kim jest?! I tak tego dnia tyle oberwał, więc raz więcej czy raz mniej... Ale za to teraz nie musiałby się przejmować. Chociaż tak w zasadzie, co on niby złego zrobił? Przecież nigdy nie mówił, że jest człowiekiem. I zachowywał się chyba też porządnie, więc nie ma się do czego przyczepić... Leszy, ale i tak - jak on teraz ma jej spojrzeć w oczy?

Jedno pocieszało: ogier niespodziewanie odkrył, że dwie nogi mu zupełnie wystarczają i idą całkiem pewnie, już nie potrzebując świadomej kontroli. Nie wspominając o tym, że zrobił się znacznie

zwinniejszy i lepiej manewrował, bez trudu wchodząc po wąskich krętych schodach lub obracając się w miejscu. Poza tym nie musiał się już obawiać złamań, a ten lęk przez całe życie towarzyszył przedstawicielom jego gatunku. Kości nóg dorosłych osobników zrastały się tak kiepsko i powoli, że kalecy woleli rozstać się z życiem z własnej woli.

- Hej, ty!

Trij podniósł oczy i zrozumiał, że gdzieś już tego typka widział. Tylko wtedy miał on rybnie płetwy i szatę z wodorostów, a nie aksamitny kaftan ze śnieżnobiałymi mankietami i złotym haftem.

- Czyli to ty, włóczęgo, uratowałeś naszą pacykarkę? - zapytał leniwie kanclerz, niby przypadkiem trzymając rękę na misternym jelcu miecza przy pasie. Patrzył gdzieś nad ramieniem Trija, jak gdyby gardząc samym ogierem.

Trij spojrzął do tyłu: trójka ludzi przegrodziła zaułek.

- A o co chodzi?

- Zaraz ci chłopcy wszystko wyjaśnią - obiecał szlachetnie urodzony cham, cofając się i przepuszczając kolejnego pomagiera.

- Ty, obcy - odezwał się tamten nosowo i pogardliwie. - W tym mieście nie ma dla ciebie kobiet! Rozumiesz? Dlatego albo przed zachodem słońca stąd znikasz...

I w tym momencie Trij wpadł w furję. Nie dość, że w tabunie uważano go za kogoś w rodzaju wałacha, a teraz jeszcze jakieś cherlawe ludziki ośmielają się mu rozkazywać?!

- ...albo już w tej chwili wynosimy cię po kawaaa...

Jeśli istniała jakaś trzecia opcja, to ogier nie czekał, żeby o niej usłyszeć, tylko wyćwiczonym ruchem odwrócił się i kopnął podkutym butem.



Do pałacu Trij wrócił już po zmroku, brudny, zakrwawiony i w samych spodniach. W czasie walk z rozpłodowcami zdarzało mu się oberwać znacznie mocniej, więc czuł się nieźle, a uwzględniając wygraną - w ogóle wspaniale. Ogier cichutko przemknął do wskazanego mu pokoju, zamierzając szybko opłukać się nad wiadrem i paść na łóżko, ale nic z tego.

Do środka wdarła się Lessa, z poirytowaniem, jak kotka ogonem, machająca kłującym prętem - różą herbacianą, z której zdążyła w zdenerwowaniu pozrywać nie tylko liście, ale też prawie wszystkie płatki. Mało prawdopodobne, by nieruchomo siedziała przy oknie na wieży strażniczej, więc pewnie zaalarmowała ją straż przy bramie. Na ile Trij zdążył zauważyć, słudzy lubili królewską siostrzenicę - wybuchową, ale dobrą i sprawiedliwą.

Podczas gdy ogier desperacko myślał, czy ma się witać czy od razu chować pod stołem, dziewczyna wypuściła witkę i z nieudawanym przerażeniem zawołała:

- O bogowie! Co ci się stało?!

Trij natychmiast połapał się w sytuacji, zatoczył oczami i jak umierający łabędź padł na łóżko, które stało akurat w dobrym punkcie.

Po pięciu minutach dookoła jego „łóża śmierci” uwijała się horda służących z miednicami ciepłej wody, bandażami i czystymi ubraniami. Ogier z przyjemnością podziwiał widowisko przez rzęsy nie zapominając o rozdzierającym pojękiwaniu.

Spiesznie wyciągnięty z łóżka czarodziej (sądząc ze zważnego, ale i niezadowolonego wyglądu nie leżał tam bynajmniej dla snu) obejrzał

rany Trija, domyślnie puścił do niego oczko i dołączył do rozpaczliwego chóru.

Męska solidarność odniosła skutek. Do czasu, gdy każde zadrapanie było zabandażowane, a wszystkie sińce grubo nasmarowane chłodzącą maścią, Lessie nie tylko przeszła cała złość, ale i sama, załamując ręce, zdążyła z dziesięć razy przeprosić za swoje natręctwo.

Opowieść o kanclerzu, któremu zamarzył się królewski tron, wywołała burzę. Weres zdradził, że zajęty przez zwariowanego maga las jest jedynym miejscem na Szakkarze, do którego nie przenika magia poszukiwawcza. Przestępcy musieli więc tylko poczekać, aż król odkryje brak siostrzenicy i ogłosi jej poszukiwania, a wtedy nadejdzie czas na pojawienie się „odważnego rycerza”, który ją uroczyście uratuje. Następnym punktem planu była nagła śmierć króla, tak więc kanclerz (który i tak postradał w dniu dzisiejszym trzy zęby) miał przywitać świt w ciemnicy.

- I ty z nimi wygrałeś?! - dopytywała Lessa z zamierającym sercem. - Z całą piątką?

- Drobiazg - machnął ręką ogier, wygodnie ulokowany na poduszkach. - To byli tylko ludzie.

- A kim ty niby teraz jesteś?

- O tym jakoś zapomniałem - przyznał Trij. - Ale w tabunie również często musiałem walczyć z silniejszymi ogierami... czy raczej każdy z nich był silniejszy ode mnie. Więc musiałem polegać na zwinności, żeby przeżyć.

Lessa niespodziewanie pochyliła się do niego, cmoknęła go w wargi, zaczerwieniła się i czmychnęła z pokoju.

Weres z aprobatą mrugnął do Trij'a, który gapił się za nią ze zdumieniem.



Konia przyprowadzili czterej chłopci, którzy już zawczasu gorąco spierali się nad podziałem nagrody. Zwierzę żuło wędzidło, strzygło uszami i patrzyło na zebranych z chmurną pogardą.

Dokładnie jak Weres się spodziewał, koń był wspaniały: lśniący, długonogi, o jedwabistej grzywie i jasnoniebieskich oczach. Trij jak zaczarowany obszedł zwierzę dookoła, patrząc, jak z irytacją ryje kopytami ziemię. Tamta łysinka z boku to ślad po kopycie wodza, a tu chapnął go wilk, zanim ogierowi udało się zrzucić drapieżnika z kłębu i zdeptać...

Odwrócił się i zobaczył sześć par oczu, patrzących na niego z nadzieją: nadworny czarodziej bardzo chciał wypróbować nowe zaklęcie, szczęśliwi łowcy już słyszeli w myślach brzęczenie królewskiego złota, a sam monarcha dokładnie skrywał ciekawość. Natomiast Lessa z przygryzioną wargą wbijała wzrok w ziemię.

Trij ze smutkiem poklepał konia po karku i pokręcił głową:

– Niestety, zupełnie niepodobny!

WNYKI NA NEKROMANTE

Księżyc wyciągnął i połamał ślizgający się po ziemi cień do tego stopnia, że na jego widok nawet smok rzuciłby się do ucieczki.

Pies, który drzemał po części pod gankiem (bo ogon to rzecz delikatna i wymagająca szczególnej troski), a częściowo na zewnątrz (świeże powietrze, a może jeszcze zawołają jeść?), uniósł łeb, powęszył, ziewnął i skrupulatnie wlaź pod deski w całości. Nie żeby się kogokolwiek bał, ale tak na wszelki wypadek. I w ogóle, czy porządny stróż nie ma prawa zwyczajnie zmarznąć?

Przy tylnej ścianie domu, na wpół schowana w krzakach leszczyny stała drabina. Ale czterem uzbrojonym w pazury łapom lepiej wspinało się wprost po balach.

Otwarte na oścież okno pierwszego piętra ledwo słyszalnie skrzypiało okiennicami. Cienkie zasłonki uciekały zza parapetu i trzepotały na wietrze jak uwięziony duch, a w stojącym pod oknem łóżku zgodnie ze wszystkimi kanonami powinna słodko spać pomiędzy poduszkami i różanymi płatkami śliczna złotowłosa panna w koronkowej koszuli do pięt.

Poduszki były na miejscu. Róże również - półtora tuzina, niedbale wetknięte do wyszczerbionego garnca z wodą, który był dla nich za niski. Koszula wisiała na oparciu krzesła, zamiast koronek świecąc dziurami, obok na podłodze leżały buty, a w łóżku chrapał, to znaczy spoczywał, przykryty rogiem prześcieradła chudy czarnowłosy mężczyzna.

Cień wszedł przez okno za właścicielką, jak karzący miecz spadł na śpiącego i zaczął rozpełzać się po nim ze zdecydowanie niecnymi

zamiarami. Drgające niecierpliwie pazury już prawie dotknęły smagłej skóry, kiedy nagle mężczyzna przeciągnął się słodko, ostatecznie strącając prześcieradło, niespodziewanie złapał mnie za szyję i namiętnie ucałował wyszczerzony pysk.

- No, w końcu! Już zaczynało mi być zimno i samotnie w tym gigantycznym łóżku...

- Hej, co z tobą?! - Zaczęłam prychać, potrząsając głową. - Daj mi przynajmniej zmienić postać!

- Po co? Tak jest nawet oryginalniej.

- Zboczeniec! - Udało mi się wyrwać, stoczyć na podłogę i otrząsnąć z irytacją. - Cała pościel będzie zakłaczona... Kiedy wróciłeś?

- Dziś wieczorem. - Weres założył ręce za głowę, kusząc mnie zdecydowanie zbyt zachłannym spojrzeniem, jak gdyby nie tylko rozbierającym, ale też oskubującym.

- I gdzie cię nosiło przez pół nocy?

- To chyba oczywiste, zdradzałem cię z inną pomroką.

Nieuprzejmie pokazałam jego zadowolonemu wyszczerzowi ogon. Nadal nie lubiłam zmieniać postaci przy Weresie, ale już z innego powodu: pysk zmieniający się w twarz zwykle robi na widzach tak mocne wrażenie, że potem mnie samej śni się to w koszmarach. Od strony pleców jeszcze ujdzie.

- Czekaj no, zaraz złapię oddech i uduszę cię z zazdrości... - Teraz mój głos brzmiał czyściej i wkładałam w mówienie mniej wysiłku. A żeby Weres nie uznał mnie za oszustkę, faktycznie wskoczyłam na łóżko i z bojowym okrzykiem wycelowałam w jego gardło.

Przez kilka minut z tłumionym warczeniem i śmiechem tarzaliśmy się po łóżku, aż w końcu zastygliśmy objęci, całując się naprawdę. Ostatecznie ze szczęśliwym westchnieniem schowałam twarz na jego

piersi. Bogowie, ależ się stęskniłam! Mogłabym tak leżeć wiecznie, wdychając znajomy zapach i chowając się w nim przed światem zewnętrznym... Nie miałam ochoty o nic pytać, niczego opowiadać, po prostu delektować się kompletnym spokojem.

Weres również nie przechodził do aktywnych działań i chyba w ogóle zaczął zapadać w sen, mając do dyspozycji wygodną grzałkę w mojej osobie.

- Hej, a kto tu dopiero co groził, że zbecześci biedną pomrokę?! - obruszyłam się, unosząc na łokciu. Sama byłam straszliwie senna, ale podjudzenie mężczyzny było ważniejsze.

- A może rano? - zaproponował Weres z lekkim poczuciem winy, zgarniając prześcieradło i naciągając je po same pachy. - Dopiero co wróciłem z cmentarza.

Lekko ugryzłam go w ucho.

- A wyglądasz praktycznie jak żywy!

- Tylko wyglądam. Widzisz, postawiono mnie przed okrutnym wyborem: albo szybko biegam i dużo czaruję, albo korzystam z okazji do wiecznego spoczynku w jednej z lokalnych mogiłek. No to pomyślałem, że odpocząć zawsze zdążę.

- Przecież jesteś nekromantą - zauważyłam złośliwie. - Powinieneś umieć podnosić wszystko!

Koniec zdania utonął w ziewnięciu i czarodziej z uśmiechem przeciągnął dłonią po moich rozpuszczonych włosach, czule zauważając:

- Szel, jesteś złośliwa.

- Yhym - zgodziłam się, ponownie chowając nos w jego szyi. Potem lekko dotknęłam jej wargami i poczułam jak otaczająca mnie ręka zacisnęła się mocniej. Nie było to może specjalnie wygodne, ale

przyjemne. No dobra, niech trzyma, a we śnie i tak się rozsuniemy i ułożymy wygodniej...



Poranek zaczął się od jęków i przekleństw - czarodziej nie zabrał ręki, a ja się nie od turlałam. Skutek był taki, że jego robocza nekromancka kończyzna kompletnie odrętwiała, a mnie tak bolała szyja, jakby ją ktoś rąbnął polanem.

- Noc miłości, żeby ją! - syczałam z irytacją, próbując równocześnie powstrzymać się od przekleństw i śmiechu. - Nawet się wyprostować nie mogę...

- Czyli udana! - zauważył Weres, ale w tym momencie częściowo odzyskał czucie w ręce i stracił ochotę na sarkazm.

Sięgnęłam po wiszący pod „koronkową” koszulą szlafrok, ale zostałam bezceremonialnie przewrócona z powrotem na łóżko z sugestią „daj, pocałuję w pyszczek i będzie dobrze”, po czym faktycznie pocałowana, zamruczałam i jakoś tak niezauważalnie wyszło, że ręka Weresa już również nie boli, i w ogóle on się wspaniale czuje... naprawdę doskonale... można nawet powiedzieć, że magicznie... och!

- Ojej, a co tu mamusia i tatuś robią? - zabrzmiało podstępne pytanie od drzwi.

Skrępowani, zaprzestaliśmy czynności. W progu z kokieteryjnie wystawioną gołą nóżką (zresztą górę w półprzezroczystym szlafrocuku można było tylko bardzo umownie uznać za przykrytą) stała driada, która jakimś cudem wyglądała kusząco nawet z ośmiomiesięcznym dzieckiem na rękach. Zazdrości oczywiście nie poczułam, ale doceniłam widok.

- Dzień dobry! - przywitała nas radośnie Larrina, sadzając na łóżku szkraba, który aż zasapał z zachwytu. Oczywiście w pierwszej kolejności Rojm popełnił w kierunku dawno niewidzianego tatusia, lśniąc uśmiechem na całe dwadzieścia zębów - na razie była to jedyna różnica pomiędzy nim a ludzkim niemowlęciem. Mimowolnie prześledziłam synka spojrzeniem: czarnowłosa, niebieskooki, zupełnie niepodobny do mojego pierworodnego... i dzięki bogom! Był tylko samym sobą, nie potrzebowaliśmy zbędnych porównań ani wspomnień.

- O rety, ale się z ciebie duży chłop zrobił! - Weres uniósł małego na wyciągniętych rękach, pokręcił z boku na bok, a ten zapiszczał z zachwytu.

- Przecież nie widziałeś go zaledwie dwa tygodnie - przypomniałam zazdrośnie.

- No właśnie, całe dwa tygodnie!

To kłamstwo, że dzieci już po kilku dniach zapominają o człowieku, który wyjechał. Czy może Rojm za każdym razem od nowa czuł do Weresa sympatię?

Wstałam i rozejrzałam się dokoła, ale prócz róż (już lekko zwiędłych), ubrania na krześle oraz torby ze wzorzystą blachą pod nim, nie zauważyłam w pokoju żadnych nowych przedmiotów.

- Nie mów, że to wszystkie twoje rzeczy?

- Reszta jest w Szkole, dali mi pokój w skrzydle dla mistrzów. - Czarodziej pstryknął palcami i kwiaty ponownie uniosły główki. - Ksander poprosił o przeprowadzenie cyklu wykładów z magii praktycznej. Swoją drogą, ciebie również zapraszał.

- W charakterze pomocy naukowej? - spytałam złośliwie.

- Chyba nie - odparł Weres poważnie, drapiąc się po nosie. - Wyglądał, jakby miał jakąś sprawę.

Spojrzałam na niego z ciekawością.

– A coś więcej?

– Nie wiem, śpieszył się na egzamin, więc wymieniliśmy tylko parę słów. Jak go zobaczę, to zapytam.

– I kiedy zaczynasz?

– Od jutra.

Stłumiłam rozczarowane westchnienie. A już zdążyłam się rozmarzyć...

– Ale to tylko do obiadu - dodał czarodziej śpiesznie. - Dobra, jeszcze parę nocnych zajęć praktycznych.

– Dobra, dobra, nie musisz się tłumaczyć. Ale dziś jesteś u mnie?

– Jak mnie nie wygonisz. - Weres zrobił minę pewnego siebie karalucha, którego można się pozbyć tylko razem z domem.

– W takim razie posiedź z małym, a ja w tym czasie skoczę na targ - ucieszyłam się, otwierając szafę. - Bo Larrina groziła, że z rana gdzieś ucieka, a w spiżarni pusto.

– Nie ucieka, tylko idzie na sekretne i bardzo ważne zadanie zgodnie z rozkazem Władczyni Jesionowego Grodu - poprawiła driada z godnością.

Kiedy „sprawy wagi państwowej” sprowadzały Larrinę do Starminu, mieszkała u mnie, otwarcie przyznając, że szkoda jej pieniędzy na wynajęcie pokoju w zajeździe. Ja tak samo bezczelnie wykorzystywałam ją do prac domowych i wszyscy byli szczęśliwi.

– Czy przypadkiem nie to zadanie przy płocie udaje stracha na wróble?

Duszny letni poranek już zdążył zlizać rosę z trawy, zamiast tego wytapiając ją z czerwonej łysiny kręcącego się pod furtką człowieka. Miał koło czterdziestki, bogato zdobiony kubrak trzeszczał na jego

pękatym brzuchu, a spod pachy wystawały mu udekorowane kokardkami róże. Z potajemną złośliwością odnotowałam, że moje były ładniejsze.

Driada wychyliła się z okna po pas i posłała „zadaniu” całusa.

– Już, Szelli, uciekam! - W pośpiechu wyfrunęła z pokoju.

Rozwalony na łóżku czarodziej z satysfakcją obserwował, jak się ubieram. Rojm w skupieniu próbował zdjąć mu z palca jeden z pierścieni. Wiedziałam, że Weres nie nosi zwykłych błyskotek, ale skoro tak spokojnie pozwalał synowi bawić się amuletami, to widocznie nie było wśród nich niczego łatwo wybuchowego.

– Nakarmisz go za jakieś pół godziny, dobrze?

– Yhym... - Nad dłonią czarodzieja zatrzepotał skrzydłami iluzoryczny motyl. Rojm ze zdumieniem otworzył usta i spróbował go złapać obiema rączkami.

– I dasz mu mleka.

– Yhym.

– Podgrzanego, a nie wprost z garnca!

– Yhym.

– I pilnuj, żeby nie podpełzł do schodów!

– Yhym.

– I w ogóle nie spuszczaaj go z oczu!

– Yhym.

– Hej, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

– He...? - Motyl rozsypał się w świecące iskry. - Idź sobie, wszystko będzie dobrze.

Ze zważaniem pokręciłam głową. Zdaniem Weresa doskonale radził sobie z niemowlęciem, moim natomiast - dotychczas miał niesamowite szczęście. Tak w zasadzie to miałam mocne podejrzenia,

że zwracane mi dziecię zawdzięcza brak siniaków nie uwadze tatusia, tylko jego zdolnościom leczniczym.

Mimo to wyleciałam z domu jak na skrzydłach, z trudem powstrzymując się, by nie przeskoczyć przez wszystkie siedem stopni. Pomachałam ręką tyłkowi sąsiadki, który przyjaźnie sterczał z nad grządki z marchewką (już zdążyłam się przekonać, że miała na nim oczy, i to jakie!). Kobieta wyprostowała się, potarła krzyż i przywitała się półgębkiem. Chyba moja osoba stanowiła dla niej poważny problem: niezamężna, z dzieckiem, ale ładna, niezależna i jeszcze z arcymagiem w charakterze adoratora! Oczywiście sąsiadce daleko było do babki Szaliski, która plotkowała bez żadnych niskich pobudek, z czystej miłości do sztuki. Ale i tak należało na nią uważać.

Ruda dogoniła mnie już pod furtką i jako pierwsza wyskoczyła na ulicę, nie czekając, aż otworzę. Wielgachne psisko, które niespodziewanie wznosi się nad parkanem i z głośnym „bamm!” ląduje na wyłożonym deskami chodniku, z jakiegoś powodu nie podobało się przypadkowym przechodniom, co kosztowało mnie już z tuzin kładni - i to nie licząc wyciągu z serdecznika, dołożonego do każdej monety. Szkoda mi było przez cały dzień trzymać sukę na łańcuchu, więc pocieszałam się nadzieją, że z wiekiem spoważnieje. „Albo jeszcze wyrośnie - pomyślałam chmurnie - i wtedy będę musiała szczególnie wrażliwych biedaków nie poić kroplami, tylko po cichu zaciągać na tylne podwórze i zagrzebywać pod wychodkiem, żeby nie było czuć trupiego zapachu”.

– Ruda!

Psina w biegu machnęła ogonem pokazując, że przyjęła moją krytykę do wiadomości. Bardziej oryginalne imiona do niej nie przywierały, chociaż wypróbowaliśmy już parę tuzinów. Najdłużej utrzymała się

zapropowała przez Weresa Ghysza, póki znajomy troll z uśmiechem od ucha do ucha nie wyjaśnił mi, co to słowo oznacza. I tak suka znowu została zwyczajnie Rudą.

Już za pierwszym zakrętem drewniany chodnik przeszedł w bruk. Słońce jeszcze nie zdążyło pozbyć się rozwiniętych pod domami cieni i od kamieni przyjemnie ciągnęło chłodem. Długo opierałam się przed przeprowadzką do Starminu, ale Weres miał rację: po wojnie w małych miasteczkach, a już szczególnie w położonych na uboczu wsiach było niespokojnie. Maruderzy lub ukrywający się przed Konwentem czarodzieje-renegaci byli stosunkowo niewielkim problemem, ale na wolności nadal hulały zagryźnie - pogłoski o nich dolatywały na przemian z północy i z południa. I to takie, że nachodziła ochota nie tylko zamknąć się w piwnicy, ale jeszcze zakopać w beczce z kiszoną kapustą. Drużyny magów bojowych liczące po pięć albo sześć osób ciągle przeczesywały lasy, ale stwory były sprytne i nie miały ochoty zapoznawać się z łowczymi twarzą w pysk. Za to cierpliwie czekały, aż któryś straci czujność... zwykle z powodzeniem. Czasami nie widziałam Weresa nawet przez miesiąc i zaczynałam odczuwać poważny niepokój - do czego, oczywiście, nigdy się nie przyznawałam.

Na samym początku, gdy ledwo skończyłam wymiatać śmieci z kątów, czarodziej, jak gdyby przy okazji, zapytał, ile potrzebuję na życie. Oczywiście natychmiast dumnie oznajmiłam, że jego to nie dotyczy. Weres filozoficznie wzruszył ramionami i schował sakiewkę, nawet nie próbując się spierać, co mnie nieco zastanowiło i nawet uraziło. Ostatecznie był ojcem Rojma, choć uparcie powtarzałam, że była to tylko moja decyzja i czarodziej nie jest nam nic winien...

Sprawa wyjaśniła się po trzech dniach, kiedy Weres już wyjechał z miasta: z rana koło drzwi zaczęłam znajdować na przemian: krąg sera,

schludnie owinięty ręcznikiem, pęto kiełbasy czy kosz jabłek. Okazało się, że podły czarownik cichcem pracował w okolicy pobierając opłatę w naturze i powiadamiał klientów, gdzie mają ją przynieść.

I tak już zostało. Ja burczałam udając niezadowolenie, a Weres tylko uśmiechał się pod nosem, bo do jego powrotu wszystkie dary były już albo zjedzone, albo przynajmniej nadgryzione i nie można ich było demonstracyjnie zwrócić.

Tak czy siak, wszystko szło wspaniale, aż zaczynałam się martwić: czym będę musiała spłacać losowi tak szczodry kredyt?

Zamyślona i zatopiona we wspomnieniach jakoś niezauważalnie dotarłam do centrum miasta, skąd było już widać iglice wież Szkoły Magii. Do targu zostawało tyle co nic, koło bezimiennej karczmy i pod górkę. Rano z tej drogi mało kto korzystał, jednak była zbyt stroma, za to w okolicy obiadu nie szło precyzyjnie się pomiędzy ludźmi wracającymi z targu.

Karczma, odbudowana i otwarta dopiero przed miesiącem, jeszcze nie zaczęła pracy na dziś. Na przystawionej do ściany drabinie niebezpiecznie chwiało się Beznik - chudy, łysy i dobroduszny chłopina, który samodzielnie odnawiał szyld nad wejściem do swojego lokalu. Stali bywalcy, dławiąc się ze śmiechu, z przyjemnością opowiadali tę smutną historię wszystkim chętnym.

Karczmarz, na swoje nieszczęście, miał gust artystyczny, więc żaden z miejscowych malarzy mu nie podpasował. Tak więc Beznik zdecydował, że namaluje „twarz karczmy” sam. Wynik był oszałamiający: na brązowym pagórku siedziało trzech facetów cierpiących na zdecydowanego zezę połączonego z ciężkim kacem, a pomiędzy nimi wyrastał z ziemi ni to zielony wąż ni to rozłożyste konopie. Przejść koło karczmy nie robiąc znaku krzyża mógł chyba

tylko nekromanta, któremu zdarzało się widywać gorsze rzeczy (acz niezbyt często). Ale trzeba przyznać, że złośliwy chichot konkurencji bardzo szybko zmienił się w czarną zawiść - ludzie tłumnie parli do karczmy, żeby sprawdzić, co tam takiego podają, że nawet na szyldzie to widać.

Już po nawiązaniu z gospodarzem przyjacielskich stosunków ostrożnie wywiedziałam się, że rysunek przedstawia bogów przy tworzeniu chmielu. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że „pierwowzory” nigdy nie pojawią się w okolicy - w karczmie podawali naprawdę niezgorsze piwo i nie miałam ochoty tracić jej na skutek pioruna lub powodzi.

- Ach ty zara... O, dzięki! - Beznik odetchnął z ulgą i zabrał z moich rąk upuszczone wiaderko. Gdyby przechodził koło niego ktoś mniej zwinny, zezowatych typów byłoby w okolicy o jednego więcej.

Zamierzałam dobrodusznie machnąć ręką „nie ma za co!”, ale wciągnęłam łyk gorącego letniego powietrza i zmieniłam zdanie.

- A będzie na tym podziękowaniu jakaś piana?

- Oczywiście - zapewnił karczmarz, wracając do natchnionego machania pędzlem. - Wpadnij w drodze powrotnej, naleję do wierzchu.

- Nazwy pan nadal nie wymyślił? - spytałam ze współczuciem, patrząc na puste miejsce pozostawione na runy.

Beznik z rozpaczą pokręcił głową i ponownie upuścił wiaderko.

- Może coś natchnionego? W rodzaju „Chmielnych gęstwin”? - zaproponował po przekonaniu się, że ponownie zdążyłam na czas złapać wiadro. - Nie? Hm, mnie się chyba też nie bardzo widzi... A, dobra, z czasem samo przyjdzie!

Taktownie nie wspomniałam, że wśród bywalców karczmy już od dawna bytuje całe pięć nazw, ale mało prawdopodobne, by się

Beznikowi spodobały. Najmniej dosadną z nich było „Trzech Przygłupów”.

Oddałam wiadro, pożegnałam się i ruszyłam dalej. Ruda biegła wokoło jak bełt kuszy ze sprężyną zamiast drzewca, pakując nos w każdy kąt i szczelinę. Ale za to koło bramy targu położyła uszy po sobie i niemal się przykleiła do mojej nogi.

Niedaleko wejścia ktoś przywiązał byka rozplodowego, który odprowadzał wszystkich ciężkim paskudnym spojrzeniem. Właściciel zwierzęcia drzemał w cieniu pod ścianą, ze słomianym kapeluszem nasuniętym na nos, pozwalając złodziejom bydła (o ile znajdą się jacyś wystarczająco głupi) radzić sobie na własną rękę.

Nie mogłam się powstrzymać i zaczęłam od wycieczki do rzędu zielarzy, po czym przez prawie godzinę grzebałam w „wilczym sianie”, jak to żartobliwie określał Weres. Sam czarodziej wolał kupować gotowe specyfiki, a nawet jeśli warzył coś rzadkiego, to z książką w rękę, co chwila się parząc, wysypując coś i przeplatając zaklęcia trollimi przekleństwami. Ponieważ korzystał z mieszanych magiczno-ziołowych eliksirów, nie za bardzo mogłam mu pomóc, najwyżej złośliwie skomentować. Ale dentysta, u którego obecnie pracowałam, na pewno ucieszy się na widok tego oto wspaniałego korzonka cierniówki leśnej... i świeżutkiej mandragory, bo nasza się akurat skończyła... Lekarz płacił dobrze, poza tym panowały pomiędzy nami przyjacielskie stosunki, a ja nigdy nie odmawiałam wycieczek na targ ziołowy.

W końcu uświadomiłam sobie, że jak tak dalej pójdzie, to będziemy mieli na obiad same eliksiry i niechętnie przeszłam do straganów z warzywami. Ruda się ożywiła: resztki gnijące pod ladami przywabiały mnóstwo szczurów. Niedobra pani z jakiegoś powodu zabraniała polowania na nie ze szczekaniem i rozrzucaniem odpadków, ale

wąchanie z nosem możliwie głęboko wsadzonym w szczelinę też było ciekawe!

Właśnie oglądałam młodą marchew sprzedawaną nie na wagę, tylko w pęczkach po tuzinie, kiedy zauważyłam trójkę magów niespiesznie kroczących wzdłuż kramów. Uważne spojrzenia ślizgały się nad towarami, po twarzach sprzedawców i kupujących.

Poczułam się nieswojo. Oczywiście nie da się rozpoznać wilkołaka na oko, a poza tym miałam w kieszeni podpisany przez Ksandra dokument głoszący, że „okazicielka niniejszego jest honorową obywatelką Starminu i osobą nietykalną w obu postaciach”, ale nijak nie udawało mi się pokonać starej - by nie powiedzieć dosadniej - nieprzyjaźni wobec magów-praktyków.

Potem poznałam w jednym z nich Katisę Łabską i nieco się uspokoiłam. Wysoka, chuda, po męsku ubrana i ostrzyżona magiczka wiedziała, kim jestem. Nie miałam pojęcia, co o tym sądzi, ale Weres i Ksander zdawali się jej ufać.

- Się kręcą i kręcą - burknęła handlarka z niezadowoleniem, sprawnie związując kolejny pęczek. - Wszystkich klientów przestraszyli...

- A co się stało?

- Ludzie gadają, że łapią jakiegoś nekromantę - skrzywiła się kobieta. - Z tych ryno-gadów...

- Renegatów?

- Aha - potwierdziła handlarka. - Tych co to zaczęli wojnę i przegrali. A jeden sukinsyn udał swojego, nawet dołączył do drużyny magów, łowić zagryźnie. Trzy razy zdążył pójść w las, póki ichni Konwent nie zmiarkował, że coś ich stamtąd mało wraca, tylko ten jeden taki szczęściarz... No to już od dwóch tygodni go szukają, a dziś w nocy

ponoć ktoś go widział na mieście. To jak, będziesz kupowała? Jak weźmiesz dwa pęczki to odstąpię za pięć menek!

Poczułam ssanie w żołądku. Weres ruszył na kolejną wyprawę akurat dwa tygodnie temu... Wrócił ostatniej nocy, potajemnie, z na wpół pustą torbą... Kilka razy w zeszłym roku zdarzyło mu się stracić całą drużynę i bardzo nie lubił o tym opowiadać..., a on bez większych wyrzutów skłamał tylko po to, by mnie nie martwić! Nie, nie potrafiłam sobie wyobrazić Weresa zamieszanego w coś podobnego, ale już dawno straciłam wiarę w sprawiedliwość Konwentu - jak nie znajdą winnego, to jakiegoś wskażą.

- Szelena!

Ot zaraza, a już prawie uwierzyłam, że mnie wyminą.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Weres? - Magiczka z roztargnieniem zgarnęła z lady marchewkę, nadgryzła i zaczęła chrupać. Handlarka sapnęła z niezadowoleniem, ale nic nie powiedziała.

- Znaczy... e..., a czemu pytasz?

- Szukam go od wczoraj, musimy porozmawiać - twarz Katissy miała wyjątkowo pochmurny wyraz, jak gdyby zaciśnięte w pięści warzywo w jakiś sposób przypominało jej najbardziej zacieklego wroga.

- Po co? - zaniepokoiłam się. Ruda wyczuwając mój nastrój z irytacją warknęła na magiczkę. Ta przestała żuć i obrzuciła nas obie nierozumiejącym spojrzeniem.

- Ksander nam jutro ustawił wykłady jeden po drugim, więc się chciałam zamienić. On mógłby być pierwszy, prawda? Nie chcę zasnąć, mam dzisiejszej nocy w planach sabat z szaszłykami.

- Aa... - Z nerwowym śmieszkiem wyciągnęłam z wypatroszonego przez Katisę pęczka kolejną marchewkę. Magiczka zgarnęła trzecią. Ze

strony czerwonej na twarzy handlarki dolatywało coś w rodzaju stłumionego kwakania (pewnie ją skąpstwo dusiło). - Dobrze, przekażę mu. Nie sądzę, żeby miał coś przeciwno.

Czarodziej, który tak samo jak ja szedł spać późno w nocy, wstawał znacznie wcześniej, by chwilę zdrzemnąć się po obiedzie. Dla magapratyka był to najspokojniejszy okres doby.

- Po prostu życie mi ratujecie! - ucieszyła się magiczka. - Będę zobowiązana. A, i powiedz mu, żeby był ostrożniejszy: po Starminie łązi Rimar Zabłotny.

- A kto to?

- Nikt specjalny. - Katissa ponuro wypluła marchewkową natkę. - Pewien nieprzyjemny typek. Weres wie.

Magiczka skinęła mi głową na pożegnanie i poszła doganiać kolegów. Ja przełożyłam kosz do drugiej ręki i z całego serca nakreśliłam znak odpędzający złe duchy. Miałam do bogów dość sceptyczny stosunek, ale o dziwo wyuczony w dzieciństwie gest miał moc uspokajającą.

Marchewkę musiałam kupić, bo inaczej resztką pęczka oberwałabym pewnie po głowie. Handlarka z pogardliwym prychnięciem zsyłała miedziaki do kieszeni: znajomi magów i to jeszcze tak żarłoczni nie wzbudzali w niej sympatii.

Nastrój nieco mi się zepsuł i po szybkim zwiedzeniu pozostałych straganów szybkim krokiem ruszyłam do domu - upewnić się, że wszystko jest w porządku.



Weres wypełnił postawione przed nim zadanie śpiewając, a przy okazji popisał się twórczym podejściem. Na środku pokoju widniał

wykreślony pentagram, obstawiony palącymi się świecami. Pośrodku siedziało na nocniku nasze drogocenne dzieciątko, gryząc jakiś amulet. W domu mimo otwartych wszystkich okien unosił się silny swąd spalonej kaszy. Sam czarodziej siedział przy stole obłożony wytrząśniętymi z torby książkami i z upojeniem smarował coś na zwoju, ledwo nadążając z zanurzaniem pióra w kałamarzu.

Na mój widok obaj unieśli głowy i się uśmiechnęli. Znacząco pociągnęłam nosem, a Weres spuścił głowę i zaczął tłumaczyć, że to niby „porcja eksperymentalna”, którą zjadł sam, a ta druga była bardziej udana - przynajmniej z wyglądu.

- A co to jest!?! - Podeszłam do dziecka, ale nawet nie zdążyłam się pochylić, kiedy poczułam, jak coś walnęło mnie w pierś niewidzialną poduszką, odrzucając do tyłu.

Rojm roześmiał się radośnie i zaczął podskakiwać na nocniku, brzęcząc nim po podłodze.

- A, faktycznie... - Weres pochylił się, poślinił palce i zdusił knot najbliższej świecy. Pozostałe w jednej chwili zgasły same, a linie, które na pierwszy rzut oka wydawały się wykreślone kredą, zaczęły powoli zanikać.

Oszołomiona, potrząsnęłam głową i warknęłam, niedwuznacznie przypominając czarodziejowi, że takie wyjaśnienie mi nie wystarczy.

- To był tylko kontur ochronny przeciwko pomrokom - powiedział Weres szybko. - Przecież sama prosiłaś dopilnować, żeby nigdzie się nie władował!

- Dopilnować, a nie recytować nad synem zaklęcia!

- A co to za różnica? - zdziwił się szczerze. Jego męska logika była prosta jak budowa cepa: powierzone jego opiece dziecko, jedna sztuka, oddane matce żywe - i czego ta dziwna kobieta jeszcze chce?

Prychnęłam pogardliwie, wstałam i w końcu wzięłam małego na rękę. Uratowany jeniec z wdzięcznością stuknął mnie amuletem w czoło, a na próbę odebrania tego paskudztwa wybuchnął ogłuszającym rykiem.

– Co tu takiego robisz? - Popatrzyłam na leżącą przed czarodziejem kartkę, ale i tak nie udało mi się nic zrozumieć. Wyglądała, jakby zatańczył na niej pijany wróbel.

– Układam plan zajęć. Władowali mi od razu trzy roczniki - drugi, szósty i ósmy. - Weres chwilę podziwiał swoje dzieło, a potem poprawił ogonek jednej z run, po czym zaczęła ona być podobna do dwóch - zamiast siedmiu.

– A, prawie bym zapomniała... Katissa prosiła, żebyś jutro zamienił się z nią godzinami wykładów.

Weres nie miał nic przeciwko.

– Doskonale, akurat zdążę odpocząć przed następnym.

– I jeszcze uprzedzała o jakimś Rimarze, którego dziś szukali na targu.

Weres nadal pisał, ale w zalanym słońcem pokoju niespodziewanie zrobiło się zimno. Kiedy atrament na piórze się skończył i zaczęło skrzypieć po pergaminie, czarodziej chwilę w zamyśleniu kręcił je w palcach, po czym zaproponował:

– Szel, może się na jakiś tydzień przeniesiemy do Szkoły?

– Po co?! - zatkało mnie. Tam nawet ludzie niespecjalnie mają ochotę się pchać, a co dopiero wilkołaki... Dziękuję uprzejmie!

– Ponieważ w czasie wykładów chciałbym myśleć o magii praktycznej, a nie martwić się o ciebie i Rojma - przyznał Weres po chwili wahania. - Pomiędzy mną a Rimarem wystąpiły pewne... różnice opinii. A zbyt wiele osób w Starminie wie, gdzie i z kim mieszkam.

Westchnęłam ciężko.

– Co jak co, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że Rojm znajdzie się w niebezpieczeństwie dlatego, że jest twoim synem, a nie moim.

– Żałujesz swojego wyboru? - Czarodziej niby powiedział to żartem, ale zrozumiałam, że moje słowa go ubodły.

– Żałuję - zgodziłam się, przesadzając syna na kolana ojca, żeby bez większych problemów opróżnić kosz z zakupami. - Trzeba było brać paszteciki z kapustą, a nie z podrobami... Weres, nie pleć bzdur. Komu jeszcze mogłabym niby powiedzieć: „A w porównaniu z tobą to w ogóle jestem niewinną owieczką”!

Czarodziej uśmiechnął się i ucałował malucha w czubek głowy, ale problem przez to bynajmniej nie zniknął.

– Czy on naprawdę jest aż tak niebezpieczny? - zapytałam.

– Rimar jest dobrym magiem - powiedział Weres wymijająco.

– Lepszym niż ty?

– Zależy w czym. Jest ćwierć krwi elfem, więc ciemna nekromancja idzie mu lepiej.

– A co, istnieje też jasna? - zdziwiłam się.

– Nie, tylko zwykła i ciemna. - Weres skrzywił się, gdyż Rojm walnął amuletem również jego. - Ta druga jest w przeważającej części zabroniona do użycia, ale oczywiście, że sensowny nekromanta musi się na niej znać. To rytuały na cudzej krwi, tworzenie zombie ze świeżo zabitego człowieka, wrózenie z wnętrzości umierającego... - Czarodziej sięgnął po pasztecik i z apetytem zatopił w nim zęby.

– I ty to wszystko potrafisz?!

– Naprawdę chcesz znać odpowiedź na to pytanie?

– Nie - zgodziłam się. - A o co wam z tym Rimarem poszło?

- To ja naprowadziłem Konwent na jego ślad - przyznał Weres niechętnie. - Niestety, już po tym, jak spróbowałem pokonać go sam. O, marcheweczka...!

Chyba zajęcia magią wywoływały w organizmie czarodziejów ostry niedostatek marchwi - pechowy pęczek nie miał szans trafić do zupy.

- Uciekł ci?

- Raczej ja jemu. - W tej chwili Weres niesamowicie przypominał wyrazem twarzy Katisę, pochłoniętą tymi samymi myślami i warzywami. Nic dziwnego, że magowie zaczęli chodzić po troje! - Akurat była noc, las, wymieniliśmy ciosy zaklęciami bojowymi i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Ale rano niezbyt spodobała mi się polanka, która wygniła do ostatniego źdźbła trawy...

Zaczęłam podzielać jego niepokój, ale nadal nie miałam ochoty zabierać do Szkoły małego dziecka - kto wie, jaki wpływ na nie będzie miała bliskość takiej liczby magów? Zresztą, sądząc z opowieści Weresa, podstawowe niebezpieczeństwo stanowili nie bakałarze, którzy lepiej lub gorzej kontrolowali swoją moc, tylko adepci, których podstawowym celem było chyba nie wyuczenie się na magów, tylko zrównanie Szkoły z ziemią. Nie wspominając o tym, że z Rojmem trzeba zabrać całą masę rzeczy: ubranka, pieluchy, łóżeczko... I jak ja niby tam będę dla niego gotować czy prać? I gdzie potem suszyć - rozciągnąć sznury w gabinecie Ksandra?! Tutaj przynajmniej driada mi pomaga od czasu do czasu...

- Można poprosić Resta - zasugerował Weres niepewnie.

Wyobraziłam sobie kolejny pentagram, tylko krzywy. Czarodziej spojrzał na moją minę i sam wywnioskował, że pomysł nie jest najlepszy.

Na schodach ganku rozległ się taki dźwięk, jakby ktoś szurał gałęzią i dołączyła do nas Larrina - bosa, o rozczochranych włosach i tak

wyzywająco sterczącym biuście, że same piersi dla takiego efektu zdecydowanie by nie wystarczyły. Poza tym coś jej tam szeleściło. Wnioskując z zadowolonej twarzy driady, sekretne zadanie zostało z powodzeniem wykonane.

- Co się stało? - spytała, w jednej chwili wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie.

Wyjaśniłam. Weres nie przerywał, ale słuchał uważnie, gotów w razie czego coś poprawić albo dorzucić.

Larrina podeszła do złej wiadomości znacznie spokojniej.

- No to jedź do Szkoły, a małego zabiorę do Jesionowego Grodu teleportem - zaproponowała. - Władczyni już dawno zaprasza was w odwiedziny, akurat rośnie jej wnuczka, rówieśniczka Rojma. Będzie miał się z kim bawić, a nasze dziewczyny pomrą z zachwytu - on jest taki słodziutki!

- Ale... przecież nie mogę tak po prostu... - Poczułam się kompletnie zagubiona. - A kiedy wyruszasz?

Driada pogrzebała w torebce, wyciągnęła z niej coś przypominającego pędzelek do pudru, złamała go na pół, rzuciła pod nogi i beztrosko ogłosiła:

- Za jakieś trzy minuty.

- Nie, tak przecież nie można! - obruszyłam się. - Potrzebuję przynajmniej paru godzin na spakowanie! I tyle samo na zastanowienie.

- Przepraszam, Szelli, ale sama bym nie odmówiła, gdyby mi je kto zaoferował. - Larrina padła na kolana przy stole i wyciągnęła spod niego zawczasu spakowaną torbę podróżną. Weres ledwo zdążył zabrać nogi.

- A ktoś cię goni?

- Ach ty zdradziecka suko! - zagrzemiał głos z ulicy. - Podstępna pomroko!

Odskokczyłam od okna, żeby po chwili ostrożnie przez nie wyjrzeć. W stronę naszej posesji, potykając się w niezasznurowanych butach, nadciągał znajomy łysy jegomość, tyle że jeszcze bardziej czerwony na twarzy, bez kubraka i ze złożonym na pół paskiem w ręku zamiast bukietu. Tyłek sąsiadki zamarł pytająco, jak gdyby zachłannie wsłuchując się w początki awantury.

- Paskudo! Oszustko! Natychmiast oddaj moje papiery!

Driada czule pogładziła szeleszczący dekolt. Odłamki pędzelka zaczęły emitować lodowate zielone światło. Magowie Jesionowego Grodu pracowali szybko i dokładnie, otwierając portal na podstawie aktywowanego sygnału. Wspólna elfio-driadzka służba wywiadowcza nie bez powodu uznawana była za najlepszą na świecie.

- Co mu zabrałaś?

- Nic takiego. - Larrina niewinnie zatrzepotała rzęsami. - Nic takiego, co mogłoby leżeć pod poduszką porządnego asystenta ministra. Nie wspominając o tym, że byłam wystarczająco miła, by zrobić kopię, pozostawiając mu oryginały. To jak, będziesz się pakować? Chociaż, Toressa na pewno ma wszystko co potrzebne.

- A co mam z nim zrobić? - Pokazałam palcem w kierunku okna, zza którego dobiegały coraz głośniejsze wrzaski, aż zaczynały dygotać okiennice.

Larrina nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż z podwórza doleciało „Rrrr-hau-hau-hau!”, „Bamm!”, „Aaaa!”, „Buch!” i zapadła cisza. W tej kolejności.

- Leży - podsumował Weres, wyglądając na zewnątrz. - Ghysza, na miejsce!

Ruda dała sobie spokój z obwąchiwaniem leżącej przed nią zdobyczy, podkuliła ogon i wróciła pod ganek.

– Prosiłam, żebyś jej tak nie nazywał - przypomniałam nerwowo.

– Moim zdaniem to bardzo wygodne - równocześnie zawołałem i skląłem.

– A co, jak trzeba będzie zwyczajnie ją zawołać?

– Jakoś sobie nie przypominam takich okazji - odparł czarodziej.

Zielona kałuża miała już kształt idealnego kwadratu i spieniła się słupem światła. Driada zarzuciła torbę na ramię i niecierpliwie spojrzała w moim kierunku. Nadal się wahałam, ale w tym momencie Weres wstał i bez słowa oddał dziecko Larrinie. Ta wygodniej usadziła je na swoim biodrze, beztrosko pomachała nam na pożegnanie i zrobiła krok do przodu, znikając w jaskrawym rozbłysku. Weres odruchowo się odwrócił, a ja na minutę oślepiłam. Kiedy skończyłam mrugać, na podłodze nie został już nawet odłamek sygnałnego artefaktu.

I dopiero w tym momencie dotarło do mnie, co narobiliśmy.

Nigdy jeszcze nie rozstawałam się z Rojmem dłużej niż na kilka godzin. W czasie gdy inne matki beztrosko sadzały dzieci w odgrodzonym kącie izby, dawały im kilka zabawek i szły pielić ogródek, ja bałam się spuścić go z oczu nawet na minutę, ciągnąc ze sobą z pokoju do pokoju, a w pracy sadzałam w koszu koło swojego stołu. „Co, pierwszy?” - któregoś razu dobrodusznie zapytał mnie lekarz-pracodawca. „Nie, drugi”. „No to czemu się nad nim tak trzęsiesz?” - zdziwił się. „Właśnie dlatego” - odparłam sucho. Dentysta odchrząknął ze skrępowaniem i już ze mnie nie żartował. Nawet zrezygnowałam z nocnych spacerów, pozwalając sobie na chwilę rozluźnienia tylko w czasie wizyt Weresa albo Larriny - driady kochają malutkie dzieci i doskonale sobie z nimi radzą.

- Szel, wszystko będzie dobrze. - Weres objął mnie za przygarbione ramiona i wtuliłam się w niego jak w niezniszczalny mur. - Nie ma bezpieczniejszego miejsca na świecie od Jesionowego Grodu, a powietrze też jest tam znacznie lepsze niż w mieście. Wyobraź sobie, że po prostu wysłałaś małego w odwiedzinach do krewnych.

- Wiem - odpowiedziałam z rozpaczą w głosie. - Ale i tak mi źle...

Z ulicy doleciał nas przenikliwy, pełen cierpienia jęk.

- Nie tobie jednej - parsknął czarodziej, zerkając przez okno bez szczególnego współczucia.

- Może idź i sprawdź jak on się czuje? - wzięłam się w garść i uwolniłam z objęć. - A ja spakuję rzeczy, bo teraz mnie tu już kompletnie nic nie trzyma..., a poza tym nie jestem w nastroju do słuchania czyichś przekleństw.

- Zaraz - obiecał Weres, chowając do torby książki i pergamin.

- Chcesz serdecznika? - Odruchowo sięgnęłam do półki z eliksirami.

- Po co? Ja się absolutnie nie przejmuję - odparł czarodziej ze zdziwieniem i wyszedł.



Szkoła Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa stała na peryferiach miasta (na oficjalnych mapach nawet rysowano ją nieco z boku - pewnie po to, by zawczasu nie straszyć gości stolicy). Zza wysokiego kamiennego ogrodzenia sterczało kilka wież z iglicami, na jednej lśniła gigantyczna biała kula, na drugiej wisiała belorska flaga, a na trzeciej wesoło powiewały spodnie, symbolizując zwycięstwo magii nad zdrowym rozsądkiem adeptów.

Ghy... Ruda, którą z takiej okazji nawet wzięłam na smycz, zamerdała ogonem i radośnie szczeknęła. Wzdłuż szkolnego muru w naszym kierunku szedł Ksander - szybkim zamaszystym krokiem, po którym można było go rozpoznać z daleka. Również nas zauważył, zatrzymał się przy bramie i skinął na powitanie.

Ale nie zdążyliśmy nawet podejść i się przywitać, kiedy wyprzedził nas tłumek mężczyzn wyglądających na chłopów z okolicznej wsi i drepczących po drodze z tak groźnymi minami, jakby trzymali w rękach taran, wycelowany w szkolną bramę.

Ksander, raptem w roli wojownika zapomnianego za murem obronnym, poczuł się nieswojo i zamarł, nie sięgając ręką pierścienia na bramie.

W ostatniej chwili, kiedy już pomyślałam, że arcymag zostanie zmieciony z drogi wraz z przeszkodą, chłopci również przystanęli.

- Pan to tutejszy naczelnik, co? - zapytał ich prowodyr groźnym tonem.

- Można tak powiedzieć - zgodził się uprzejmie arcymag.

Weres opowiadał, że po odejściu na emeryturę poprzedniego dyrektora Konwent za nic nie potrafił się zdecydować, kogo powinni obsadzić na tym szacownym stanowisku, więc chwilowo objął je Ksander - jedyny, który go nie chciał, nawet gdyby mu mieli dopłacić. Na chwilę wyjechać nie można, bo hordy adeptów trzeba pilnować w dzień i w nocy! Może za jakieś pięćdziesiąt lat, kiedy żądzę przygód zastąpi zapalenie korzonków...

- No to pan przed nami będzie odpowiadał! - ucieszył się chłop jakoś tak nieładnie. Pozostali stanęli bliżej i wbili w arcymaga spojrzenia pszczoł w dziupli, do której właśnie zajrzał niedźwiedź.

Ksander pytająco uniósł brwi.

- Znaczy tego, wasz smok! - Przywódca wskazał palcem mur, nad którym unosiła się smuga dymu: zapach dużego zwierzęcia i siarki nie dawał się pomylić z niczym. - Był naszego przyjaciółca przełknąwszy!

- Ale jak to?! - Arcymaga zatkało.

Smoka faktycznie co jakiś czas wypuszczano, by rozprostował skrzydła (czy raczej, a kto niby miał mu zabronić?) i sama nie raz widziałam, jak powoli, majestatycznie zataczał kręgi nad Starminem. Ale żeby miał pożerać chłopów?! Przecież go w Szkole karmią wyborną baraniną!

- Kogo?!

- Ano jego! - Chłopi rozstąpili się, wypychając do przodu biedaka w pobrudzonej koszuli i spodniach z dziurami na kolanach. Zjedzony nieprzerwanie się trząsał i oglądał do tyłu, a przed ucieczką powstrzymywały go wyłącznie szerokie piersi żądnych sprawiedliwości towarzyszy.

- Eee.... ale on chyba żyje? - Ksander ostatecznie się pogubił.

- No bo smok go wypluwszy!

- Prosszę mieć na uwadze! - Nad murem uniósł się solidny gadzi łeb o rogowych łuskach i wysokim grzebieniu. - Jakbym faktycznie kogoś przełknąwsszy, to bym go najpierw przeżuwsszy!

Smok wyraźnie dobrze się bawił. Mimo sporych gabarytów zdecydowanie nie udałooby mu się połknąć człowieka w całości, a chłopina może i wyglądał na przeżutego, ale nie do tego stopnia.

Petenci cofnęli się z pełnymi obaw westchnieniami, ale niestety nie zrezygnowali ze swoich pretensji.

- On? - rzeczowo doprecyzował prowodyr.

Zjedzony kiwnął twierdząco, zatoczył oczami i zemdłał.

- O! - Chłop z pretensją wskazał „przyjaciela” palcem. Tłum zaczął hałasować głośniejsze i z większą irytacją. - Patrzta, do czego doprowadzili człowieka! Teraz, żeby podreperować zdrowie, to i dwadzieścia kładni za mało...

- Nie dam nawet menki! - oznajmił Ksander przewidująco. - Mogę zaoferować wyłącznie pochówek na koszt Szkoły.

Chłopina w jednej chwili się ocknął i odpełznął za plecy kompanów.

- To my pójdziemy do króla z petycją! - zagroził naczelny skarżący, bardziej nastawiony na bijatykę niż ugodę.

Ksander na chwilę zamknął oczy, wyraźnie licząc do tuzina, następnie uniósł je na smoka, który z ciekawością czekał na koniec dyskusji, po czym zaproponował:

- Lewarku, mógłbyś może w celach doświadczalnych połknąć i wypluć kogoś z tego tu szacownego grona? Jeśli ci się uda, to zapłacę dwadzieścia kładni pierwszej ofierze, jak nie - to wdowie drugiej.

Smok wbił w chłopów drapieżnie zwięzione oczy i wypuścił z nozdrzy po strumyku dymu.

- Leszy wie co... - mruknął Ksander patrząc na podniesiony przez łapcie tuman kurzu, po czym w końcu przypomniał sobie o nas. - Witam szanownego kolegę. Szeleno, miło cię widzieć!

- A co się stało? - poczułam niepokój. Pomiedzy mną a mistrzem Weresa nie było szczególnej przyjaźni, tyle że czasem spotykając go w mieście witałam się uprzejmie i szłam dalej. I w ogóle tego typu zachwyty ze strony magów budził we mnie obawy, bo zwykle towarzyszyły mu nieco inne słowa, w rodzaju: „No, w końcu cię mam, paskudny pomiole!”.

- Znaczy... - Ksander ponownie sięgnął do pierścienia na bramie i znowu bezskutecznie. Skrzydło otworzyło się samo i na arcymaga

skoczyło coś białego, niskiego i pulchnego, z marszu łapiąc go za kołnierz.

- Znowu! - wrzasnęło z rozpaczą, potrząsając pełniącym obowiązki dyrektora jak młodą jabłonką, która głupio obrodziła owocami. - Cały kawał słoniny, świeżutkiej, z kminkiem! Pięć łokci serdelków! Wieprzowa polędwica, dopiero co rozpoczęta! Niech pan w końcu coś z tym zrobi!

- No, to to się stało - poinformował mnie smętnie Ksander, odczepiając od siebie pochlipującą istotę, która okazała się krasnoludem o wykrzywionej z rozpaczony twarzy, ubranym w chałat i kołpak kucharza. - Ze szkolnej spiżarni ginie żywność.

- I podejrzewa pan, że to sprawa rąk czy raczej żołądków adeptów?
- doprecyzował Weres z poważnym wyrazem twarzy.

- Przecież nie wykładowców! - zachnął się dyrektor.

- Dlaczego?

- Czy potrafisz sobie wyobrazić mnie albo Katisę Łabską przy takim zajęciu?

- Potrafię - przyznał Weres uczciwie, z trudem powstrzymując śmiech. - Mam żywą wyobraźnię. Ona po jednej stronie muru, pan po drugiej, umówiony gwizd, przerzucić worek - i w długą...

Mistrz pogroził byłemu uczniowi palcem. Obecny kolega udał, że się boi.

- Czy wy naprawdę aż tak kiepsko karmicie uczniów? - spytałam podchwytliwie.

- No, karczma to to nie jest - przyznał Ksander z żalem. - Kasza, mączna zupa, ziemniaki..., ale niech dziękują, że chociaż tyle jest. Po dwóch wojnach pod rząd żywność podrożała trzykrotnie, a skarbiec

Konwentu zmniejszył się pięciokrotnie, więc nawet musieliśmy tymczasowo zrezygnować ze stypendiów dla młodszych roczników.

Starszy mag milczał chwilę, po czym dodał, patrząc wprost na Weresa:

– Chociaż adepci nigdy nie mieli nic przeciwko, by grzebać po kotłach.

Czarodziej spuścił wzrok i przestał wesołkować.

– A ile ginie na raz?

– Mniej więcej jak na pięć osób - poskarżył się kucharz, już nieco uspokojony. - Ale żeby to z kotłów! Nie, kradną mięso, kiełbasy, sery... jak złapię gadów, to posiekam na kotlety!

– I co, każdej nocy tak samo? - Weres zwrócił się do niego.

– Zależy kiedy. Bywa, że przez tydzień spokój, potem kilka dni po kolei ginie. To już trwa ponad dwa miesiące!

– A jakby postawić kontur-pułapkę?

– Kuchnia - przypomniał mu Ksander. - Pomieszczenia tego rodzaju są chronione przed magią, bo w przeciwnym razie sobie nie poradzimy w ogóle, młode talenty zaczną przełazić wprost przez ściany.

– A jak zwyczajnie posiedzieć przez noc czy dwie w spiżarni?

– Już siedzieliśmy - westchnął arcymag. - Przez całutki tydzień, a wynik żaden. Weres, ja przez to przekłete Starcie mam na trzech fakultetach tylko jedenastu wykładowców, więc jak jeszcze ich zmuszę, żeby pilnowali jedzenia.... A adeptów to tylko tam wpuścić!

– Czyli co, ja wykładów nie prowadzę, więc mam siedzieć w spiżarce? - obraziłam się. - Jak piesek w budzie?

– No coś ty, Szeleno! - Arcymag załamał ręce. - Po prostu informuję ciebie i Weresa - może zauważycie coś podejrzanego?

- Dobrze, jeśli zechcę obrabować szkolną spiżarnię i zauważę tam kogoś jeszcze, to obowiązkowo dam panu znać! - obiecałam z uśmiechem.

Kucharz nie docenił dowcipu i się zasepił.

- Przepraszam bardzo, mistrzu - zwrócił się Weres szkolnym zwyczajem do dyrektora. - Nie będzie mistrz miał nic przeciwko, jeśli Szelena przez tydzień tu pomieszka? Rimar, sam mistrz wie...

Prośenie o pozwolenie już stojąc pod drzwiami z dwiema mocno wypchanymi torbami było szczytem bezczelności. Ale za to złapany z zaskoczenia Ksander nie mógł odmówić.

- Oczywiście, jak najbardziej, żaden problem! A gdzie wasz... eee... milutki berbeć? - zapytał (odniosłam wrażenie, że wyłącznie z uprzejmości i z niemałą obawą).

- W Jesionowym Grodzie - rzuciłam chmurnie.

- To doskonale, akurat odpowiednie miejsce dla niego! - rozpromienił się mag, ale widząc, że nie podzielam jego zachwyty, a Weres na wszelki wypadek staje pomiędzy nami, spróbował złagodzić niezręczność: - W tym sensie, że w mieście w tej chwili nie jest bezpiecznie, więc postąpiliście bardzo przezornie...

I tak rozmawiając dotarliśmy do ganku. Jedna z wież Szkoły runęła w czasie Starcia i nadal była w odbudowie, opleciona żółtą koronką rusztowań, po których jak mrówki pełzali robotnicy. Podłoga w holu zasypana była piaskiem wapiennym, przerytym nachodzącymi na siebie śladami. Koło wejścia do zniszczonej części budynku leżała góra gruzu, przy której z cierpiętniczym wyrazem twarzy siedział stary odźwierny. Koło niego nieprzerwanie przemykali robotnicy z taczkami, narzędziami i długimi belkami, niwecząc wszystkie wysiłki zmierzające do zachowania czystości i porządku. Na widok dyrektora natychmiast

drapieżnie skierowało się do niego dwóch mężczyzn z naręczami zwojów i jedna gruba baba z mopem, ale dostrzegając, że jest zajęty, wszyscy z szacunkiem zamarli nieopodal.

- O, popatrzcie. - Ksander dumnie zatoczył ręką, pokazując ową wątpliwą wspaniałość. - Na parterze mamy kuchnię, jadalnię i pracownię do zajęć praktycznych, na pierwszym piętrze sale lekcyjne, trzecie i czwarte to sypialnie, po prawej stronie schodów damskie, po lewej męskie. W wieżach mieszczą się katedry badawcze, gdzie odbywają staże aspiranci i dyplomanci. Po stronie zachodniej są alchemicy, na północy...

- Mistrzu, ja to wszystko doskonale pamiętam. - Weres z uśmiechem wszedł mu w słowo. - Aż nazbyt. Chodź, Szel, nie będziemy odrywać szanownego arcymaga od jego obowiązków dyrektora.

Ksander odprowadził nas spojrzeniem umierającego legionisty rzuconego padlinożercom na rozdarcie.



Przydzielony nam pokój był niewielki i dość skromnie urządzone: stół, para krzeseł, łóżko, szafa i kilka półek. Całkiem niedawno ktoś tu mieszkał i z trudem zdławiłam chęć oznaczenia kątów, by zabić cudzy irytujący zapach.

Spanie nie słysząc w pobliżu oddechu dziecka było nie do zniesienia. Kilka razy budziłam się zalana łzami, drżąc całym ciałem i przekonując siebie, że to był tylko zły sen. Gdyby obok nie leżał Weres, to pewnie poddałabym się, wstała i zapaliła świecę, wybierając powitanie świtu przy książce nad zanurzanie się raz po raz w koszmarach z przeszłości.

Ale szkoda mi było budzić spokojnie sapiącego mężczyznę, więc tylko tuliłam się do niego mocniej uspokajając i ponownie zasypiając.

Ostatecznie Weres sam obudził się z krzykiem, prawie zrzucając mnie z łóżka.

- Koszmar mi się przyśnił - poskarżył się z zawstydzonym uśmiechem, głaszcząc Rudą, która wskoczyła na łóżko.

- Proroczy? - Do serca znowu zaczęła dobijać się nocna trwoga.

- Nieee... - Czarodziej wzdrygnął się. - Tego tylko brakowało! Szczęśliwie takie brednie zdarzają się tylko we śnie.

- Że otaczają cię tłumy pomrok, a w pochwie zamiast miecza z niewiadomego powodu masz kielbasę? - zgadłam żartobliwie, gryząc go w ramię.

- Gorzej. Że jeszcze uczę się w Szkole na ostatnim roku i jutro mam egzamin, a po raz pierwszy słyszę nazwę przedmiotu. Do tego zaliczam u Ksandra!

- No to powinieneś mu powiedzieć, że już sam jesteś arcymagiem.

- Powiedziałem! - przyznał Weres z oburzeniem. - A on na to roześmiał się złośliwie i powiedział, że w takim razie dostanę nie jeden bilet, a trzy! I pewnie w tym miejscu zacząłem wrzeszczeć...

Ja również się roześmiałam, a czarodziej odkaszlnął ze skrępowaniem, wstał i zaczął się ubierać. Jak dla mnie panowała jeszcze głęboka noc - w lesie nawet nie zaczęły śpiewać ptaki. Po wyjściu Weresa przepęłzałam na jego stronę łóżka, schowałam nos w poduszce i w końcu normalnie zasnęłam, mocno i bez snów.

Obudziło mnie gorąco, które wpełzło nawet pod zasłony, oraz orkowie, którzy urządzili na korytarzu wyścigi konne, a potem niewielką bitwę demonstracyjną. Spróbowałam znaleźć kawałek mniej przepoconego prześcieradła, ale się spóźniłam - tuż obok, z błogo

wyciągniętymi łapami i ogonem, leżała Ruda. Z oburzeniem zepchnęłam ją na podłogę, ale nie zrobiło się przez to ani odrobinę chłodniej. Nie wspominając o tym, że psica zostawiła po sobie masę sztywnego kłującego futra oraz głodną pchłę, która z braku lepszych celów ukąsiła mnie w łydkę.

Jęknęłam, usiadłam i zamordowałam paskudę. A następnie obudziłam się ostatecznie i zrozumiałam, że za drzwiami hałasują nie orkowie, tylko adepci. Nie miałam najmniejszej ochoty wychodzić na korytarz bez Weresa albo przynajmniej dwuręcznego miecza, ale Ruda już wymagająco skrobała łapą drzwi i skamlała, dając do zrozumienia, że jak się nie pośpieszę to zaraz w pokoju zrobi się jeszcze mniej przyjemnie.

W rzeczywistości wszystko okazało się nie takie straszne. Adepci wcale nie próbowali chodzić na głowach, machać mieczami, tworzyć kamienie filozoficzne wprost na środku korytarza ani wydłubywać ze ścian zwykłych. Po prostu mieli dużą przerwę, więc chcieli szybko rzucić torby z książkami w swoich pokojach, przebrać się i uciec do miasta albo nad rzekę, by się wykąpać.

Moje spojrzenie wyłapało w tłumie znajomą jasnowłosą postać, a ręka po sekundzie jej ramię.

- Szelena?! - Przez ostatnie półtora roku Rest urósł o pół łokcia, zrównując się ze mną. Nierówno ostrzyżone włosy sięgały mu niemal do ramion, a nad górną wargą widniała para draśnięć (pewnie obruszona smętną zdobyczą brzytwa pożądała krwi). - Co ty tutaj robisz?

Przywabiłam go palcem i szepnęłam w utnie nadstawione ucho:

- Namówiłam Ksandera, żeby mi pomógł z drugą postacią.

- Nie mów, że zdecydowałaś się z niej zrezygnować? - Rest wyjaśniał. Mniej więcej pogodził się z wyborem Weresa, ale moje nocne życie nadal dość mocno go denerwowało. Zresztą głównym powodem była obawa, że za moje wybryki odpowiadać będzie ukochany mistrz.

- No coś ty?! - obruszyłam się. - Przeciwnie, ma zrobić tak, żeby mi jeszcze skrzydła wyrastały! Bo mam dość tego wiecznego dreptania pod drzewami, aż zagoniona zdobycz sama spadnie.

Dzieciak wlepił we mnie oczy pełne świętego przerażenia, ale po chwili zrozumiał, że kpię sobie z niego i się naburmuszył.

- Przyjechałam z Weresem - wyjaśniłam, kiedy już skończyłam się śmiać. - Pomieszkamy tutaj, póki on ma wykłady, żeby nie biegać codziennie przez miasto. Swoją drogą, co powiesz na spacer z bestią?

Rest zmierzył mnie zszokowanym spojrzeniem.

- Znaczy..., a założysz kaganiec?

- Z Rudą, bałwanie! - Skróciłam smycz, przyciągając do nas sukę, która z zapalem obwąchiwała coś za rogiem.

Poznając chłopaka, oparła przednie łapy na jego piersi i zaczęła radośnie skamleć. Rest podrzucił głowę, próbując uniknąć oślinionego pyska, więc skorzystałam z okazji, by wręczyć mu smycz.

- A co za to dostanę? - Chłopak poniewczasie próbował się targować uświadamiając sobie, że jego przerwa właśnie poszła psu pod rudy puchaty ogon.

- Ogromne podziękowania! - obiecałam z uczuciem.

- Maleńkie proszę bardzo... - burknął Rest, owijając smycz dookoła nadgarstka. Przyczyna takiej potulności właśnie zaszła mnie od tyłu, objęła za ramiona i mentorskim tonem spytała ucznia:

- I jak się czujesz? Już się zadomowiłeś? Nikt ci krzywdy nie robi?

Rest poszedł do Szkoły dopiero parę miesięcy temu, zdając od razu na czwarty rok.

– Do dnia dzisiejszego nikt - poskarżył się, patrząc na mnie znacząco.

Czarodziej roześmiał się i zwichrzył uczniowi włosy.

– Wpadnij do nas wieczorem, pogadamy. Sprawdzę, czego się beze mnie nauczyłeś...

Groźba nie zabrzmiała przekonująco, dzieciak aż zalśnił. Weres może i nie pozwalał mu na leniuchowanie, ale uczył tak nienatrętnie i przyjemnie, że nawet robienie błędów pod okiem takiego mistrza było czystą przyjemnością. Moim zdaniem czarodziej mógł zarazić swoją miłością do magii praktycznej nawet brzozowe polano.

– Szel, pokazać ci Szkołę?

– Już jesteś wolny? - ucieszyłam się. - Tak wcześniej?

– Tak, dzisiaj miałem tylko dwa wykłady. Pewnie po to, żebym się stopniowo przyzwyczajał, a nie uciekł po pierwszym dniu śmiertelnie przerażony - odrzekł Weres z uśmiechem. - Tylko muszę wpaść do Ksandra i się odmeldować.

Rest odprowadził Rudą (czy raczej ona odciągnęła jego, z wysiłkiem skrobiąc pazurami po marmurowej podłodze), a my zeszliśmy na pierwsze piętro. Gabinet dyrektora mieścił się po lewej stronie schodów, zaś na tabliczce z imieniem nadal widniał poprzedni właściciel. Pewnie Ksander przesądnie jej nie wymieniał, bojąc się zostać tu na zawsze.

Po zapukaniu i usłyszeniu zirytowanego „Proszę!” skorzystaliśmy z niemiłego zaproszenia. Arcymag siedział za gigantycznym, sięgającym od ściany do ściany, biurkiem, zza którego można było wyjść tylko pod blatem. Chciałabym to zobaczyć!

- No i jak? - zapytał dyrektor z roztargnieniem, czytając jakiś pergamin. Sądząc z dwóch stosów zwojów, piętrzących się po lewej i prawej stronie, było to zajęcie nudne i pozbawione perspektyw. - Już się zadomowiłeś?

Parsknęłam. Weres z godnością potwierdził:

- Tak, i nikt mi krzywdy nie robi. A panu?

Umęczony arcyomag wziął pytanie za dobrą monetę.

- Popatrzcie tylko - burknął, poirytowanym pociągnięciem rozwijając zwój na całą długość (półtora łokcia!) i zwracając w naszym kierunku. Szybko przemknęłam spojrzeniem po żółtym i wyświechtanym - jakby go krowa przeżuła - pergaminie, wyłapując kilka krzywo i koso napisanych słów: „Krwiorercza jaszczórka”, „tylko ftobie obrońcy nadzieja” i „pżełknowszy”. Na dole, napisana innym atramentem, widniała lakoniczna decyzja „Sprawdzić i zameldować”, potwierdzona szybkim królewskim podpisem. - I powiedzcie, co ja do licha mam z tym zrobić?

- Wyrzucić - poradziłam obojętnie. Weres przeciwnie, pociągnął zwój do siebie i uważnie się wczytał.

- Żarty żartami, ale jeśli chłopci nie bali się pójść do samego króla, to są święcie przekonani, że mają rację.

Ksander również się zamyślił, szczypiąc krótką brodę, do której chyba nadal się nie przyzwyczał. Ot, świeżo upieczony dyrektor uznał, że tak będzie solidniej wyglądał.

- Ale przecież to kompletne brednie! Czy możesz sobie wyobrazić, żeby nasz Lewark kogoś zjadł?!

Wyjrzałam przez okno. Smok spał koło jaskini, a na oko dwunastoletni chłopaczek przywiązywał do jego ogona sznur, przeciągnięty przez ucha pół tuzina garnków. Kolejna trójka

młodzieńców siedziała w zasadzce za dużym kamieniem z tablicą pamiątkową - ni to poświęconej założycielowi szkoły, ni to nagrobka poprzednich żartownisi. Chyba tylko ja słyszałam, że chrapanie gada jest udawane.

- Hmmmm... - mruknął Weres z namysłem.

- O nie, lepiej milcz! - Dyrektor śpiesznie odzegnał się od jego nadmiernie żywej wyobraźni.

- Chce pan, żebym jutro rano pojechał do tej wsi i sprawdził? - zaproponował czarodziej.

- Przecież masz wykłady - przypomniał mu Ksander burkliwie.

- Nie szkodzi, chłopci wstają przed świtem, zdążę sobie z nimi pogadać i wrócić.

- Będę ci bardzo wdzięczny - przyznał arcymag z ciężkim westchnieniem. - Spizarnie, adepci, „petenci”... Kiedyż oni w końcu przyślą stałego dyrektora?! Natychmiast pójdę na wyprawę z drużyną łowczą na dwa... nie, trzy miesiące!

- I będzie pan tam miał komary, strzygi, zagryźnie... - odpowiedziałam usłużnie.

- Je przynajmniej można zabijać!

Ostatnie słowa Ksandera utonęły w dzikim ryku, wrzaskach i już kompletnie niezrozumiałym klekocie z pogwizdywaniem, jak gdyby ktoś testował na tylnym dziedzińcu szkoły gigantyczne miechy.

Tym razem do okna skoczyliśmy we trójkę. Ku mojemu rozczarowaniu lewy brzeg biurka dawał się podnieść do góry, więc nie miałam okazji zobaczyć arcymaga na czworakach. Ale za to podwórze tonęło w kłębiącym się płomieniu prawie po sam szczyt muru, ciesząc oko wszystkimi odcieniami czerwonego i żółtego.

Ogień szybko zmienił się w dym, z którego galopem wylecieli cali i zdrowi adepci. Za jednym z nich grzechotały wesoło garnki.

Smok leżał w tej samej pozycji co poprzednio, z zadowoleniem mrużył oczy i machał ogonem.

- Weres...! - zawołał Ksander słabym głosem. - A chcesz, to cię zarekomenduję przed Radą Konwentu?

- Lepiej niech mnie pan zabije na miejscu! - rzucił jego uczeń śpiesząc się, by zabrać mnie z gabinetu.



Kiedy zmęczeni i głodni po obejrzeniu Szkoły zbliżyliśmy się do drzwi jadalni, czas obiadu dawno minął. Weres musiał długo pukać i dowodzić, że nie jest bezczelnym adeptem, tylko wykładowcą, który ma prawo zażądać wydania kawałka swojego ciężko zarobionego chleba nawet w środku nocy. Ja zdążyłam w międzyczasie dokładnie obejrzeć donicę z cherlawym fikusem, stojącą po lewej stronie drzwi oraz niechlujnego wypchanego gryfona o rozpostartych skrzydłach i groźnie rozwartym dziobie po prawej. Do pyska zwierzaka czyjaś troskliwa ręka włożyła ogryzek jabłka.

- A to dla nadania większego realizmu? - Dotknęłam łańcucha, który łączył obrozę stwora z pierścieniem w ścianie.

- Nie. - Weres zerknął na gryfona z poczuciem winy. - Po to, żeby go adepci nie zabrali.

- Takiego giganta? - Czułam uzasadnione wątpliwości. - Przecież on się w drzwiach nie zmieści.

- Oo, za słabo ich znasz! Ci zdolni ludzie potrafią ukraść nawet smoka, dla czystej przyjemności postawienia go na korytarzu

naprzeciwko drzwi „ukochanego” wykładowcy... Tylko za mojej pamięci tego tutaj kradziono trzy razy.

- A ty też masz to na sumieniu? - spytałam złośliwie, ale w tym momencie drzwi w końcu się otworzyły.

Jadalnia, już uprzątnięta i umyta, była do naszej wyłącznej dyspozycji. Dokładnie tak samo jak gigantyczne garnki z zupą, drugim daniem i kisielem. Własnoręcznie pogrzebaliśmy w środku chochlami i siedliśmy przy stoliku dla wykładowców koło kuchni, z której dolatywało pracowite podzwanianie naczyń i głosy zmywających.

Złodziejskie zapędy adeptów dawały się zrozumieć: ledwo ciepły kotlet różnił się od puree ziemniaczanego wyłącznie kolorem, a w ogórku chręściło nie samo warzywo tylko dojrzałe nasiona. Jednak ja pomiędzy dzieckiem a pracą z trudem znajdowałam czas, by usmażyć dla siebie jajecznicę. Weres na wyjazdach całymi tygodniami musiał żywić się sucharami, więc dla nas menu szkolne było akceptowalne. Chociaż i tak oboje z nieukrywaną żądzą zerkaliśmy w kierunku drzwi spiżarni. Przenikające przez nie zapachy drażniły nos. Niestety, wisiała tam również wielka kłódka.

- Ciekawe, jak złodzieje raz za razem mogą ją otwierać? Magią?

- Ona tu nie działa, zaklęcia chroniące są wbudowane na poziomie kamiennych murów jeszcze w trakcie budowy. Nawet Ksander nie da rady ich obejść. - Weres również znudził się nad pustym talerzem, wstał i podszedł do drzwi. Z namysłem trącił paznokciem dziurkę od klucza. - Nie masz przypadkiem szpilki?

Zła droga jest nie tylko kusząca, ale też zaraźliwa. Przekonałam się, że nie widać nas z kuchni, ostrożnie zdjęłam ze ściany portret jakiegoś brodacza i jednym pociągnięciem wyrwałam gwóźdź.

- Może być?

- Może.

Po kilku chwilach natchnionego gmerania w zamku coś dźwięcznie szcęknęło, z dziurki strzeliło iskrami, a Weres został z impetem odrzucony do tyłu i rymsnął na podłogę jak długi.

- Zaczarowany - zauważył z namysłem, oglądając osmalony gwóźdź.

Z kuchni wyskoczył kucharz, z szaleńczo wytrzeszczonymi oczami i wymachując tasakiem.

- Portret wam spadł - poinformowałam go nieprzekonująco, zasłaniając się rzeczonym dziełem sztuki. Po drugiej stronie płótna widniał krzywo napisany wierszyk, z którego wynikało, że brodacz został klasykiem portretowym jeszcze za życia. A adepci zdecydowanie nie doceniali jego metod nauczania.

Nasza portretowo-podłogowa scenka rodzajowa sprawiła, że krasnolud zmieszał się i zamarł w miejscu.

- Wszystko w porządku, przeprowadzamy eksperyment śledczy - poinformował go Weres ze spokojem, wstając i wtykając gwóźdź na miejsce. - Czy mógłby pan otworzyć nam spiżarnię?

- A wcześniej nie mogliście poprosić? - burknął kucharz, niechętnie opuszczając tasak. Klucz od kuchennego skarbcza miał na pasie, zawiązany na tak chytry supeł, że trzeba go było rozplątywać przez jakieś dziesięć minut.

Spiżarnia okazała się pomieszczeniem dużym, na wpół pustym i nieco wilgotnym. Weres przespacerował się wzdłuż ścian, z jakiegoś powodu pukając w skrzynie i beczki. Do kilku nawet zajrzał. Kucharz jak cień kroczył jego śladem, na wszelki wypadek trzymając tasak w pogotowiu.

Oczywiście czarodziej nie znalazł nic ciekawego (ba, po Ksanderze!), po czym rzucił pożądlive spojrzenie na schnące pod sufitem kiełbasy,

podziękował „gościnnemu” gospodarzowi i opuścił jadalnię.

Drzwi za nami trzasnęły tak, że fikus się zachwiał.

– Doskonale! - podsumował Weres optymistycznie. - Nasz sprytny plan się udał. Póki ja odciągałem od ciebie uwagę strażnika serów, ty ukradłaś z jadalni bezcenne dzieło sztuki z własnoręcznym autografem Katissy!

Uświadomiłam sobie, że nadal trzymam w rękach portret i oparłam go o gryfona.

– Ona naprawdę nie lubiła alchemii?

– Nadal nienawidzi. Co nie przeszkodziło jej dobrać taki skład atramentu, że usunięcie tego napisu bez wytarcia w obrazie dziury jest niemożliwe.

Odźwierny, nie odrywając się od książki, przekręcił klepsydrę i zadzwonił w mosiężny dzwonek. Na korytarzu znowu zrobiło się hałaśliwie i ciasno.

– Bakałarzu Szakkarski, a będę mógł przyjść do pana na poprawkę? - Do Weresa podskoczył mniej więcej piętnastoletni ciemnowłosy chłopaczek.

– Ale przecież do sprawdzianu jeszcze dwa tygodnie? - zdziwił się czarodziej.

– Ja tylko tak pytam, na wszelki wypadek - wyjaśnił adept mgliście. - A ile razy można zdawać?

– A nie próbowałaś się „na wszelki wypadek” nauczyć? - spytałam z sarkazmem.

Adept z namysłem poskrobał się po potylicy. Widocznie taki sposób zdobywania zaliczeń był dla niego nowością.

– Bogowie, czy ja naprawdę taki byłem? - mruknął Weres w kierunku jego pleców.

- Nadal taki jesteś - pocieszyłam go. - To mi dopiero bakałarz, nie potrafił odróżnić zaczarowanej kłódki od zwykłej!

- Odróżniłem - zaprzeczył Weres ze stoickim spokojem.

- Aha, używając do tego gwoźdźcia!

- Nie, wcześniej. Ale ponieważ w kuchni nie można czarować, musiałem sprowokować zakłęcie ochronne, żeby dowiedzieć się, jak działa i jak szybko przybiegnie kucharz.

- Po co? On by ci sam wszystko opowiedział.

- A w ten sposób mi pokazał. To było znacznie bardziej pouczające. I zabawniejsze.

Gdybym znała go nieco gorzej, to uznałabym, że po prostu przypomniał sobie dzieciństwo i miał ochotę na wygłupy.

Ale właśnie za takimi na pierwszy rzut oka bezsensownymi działaniami czarodziej zwykle skrywał poważne sprawy, a bezskuteczne próby wydarcia z niego prawdy sprawiały Weresowi dodatkową przyjemność. O nie, ghyr ci!

- Szel, nie lubię dzielić się gołymi hipotezami - Weres zauważył, że z pretensją przygryzłam wargę i lekko pociągnął mnie za warkocz. - Jak tylko będę miał dowody, od razu ci powiem.

- Ale ja jestem ciekawa teraz!

- Ciekawość zgubiła wilkołaka! - Czarodziej ze śmiechem pociągnął mocniej.

Z irytacją potrząsnęłam głową, odbierając mu włosy.

- Zachowujesz się jak dzieciak! Jeszcze byś mi przyłożył w głowę torbą ze zwojami.

- Okoliczności sprzyjają - zgodził się Weres z uśmiechem, przyciągając mnie bliżej i całując w kącik ust. - Tak jestem bardziej dorosły?

- Hmm... już lepiej. - Rozpogodziłam się nieco. - Akurat jak szesnastolatek. A masz w zapasie coś bardziej dorosłego?

Czarodziej z kamiennym wyrazem twarzy wyciągnął z powietrza kubek, wypełniony czymś przezroczystym, i podał mi.

- Co to? - zdziwiłam się.

- Woda, którą ma kto na stare lata podać. Co? Już za dużo?

Bezskutecznie próbując powstrzymać śmiech trąciłam go w łokieć, ale kubek zniknął tak samo sprawnie, jak się pojawił. Nie udało mi się również sięgnąć złośliwego czarownika kolanem. Trójka idących na nasze spotkanie aspirantów miała miny wyrażające krańcowe zdziwienie, ale nie powiedzieli ani słowa.

Uspokoił się i poszliśmy dalej ramię przy ramieniu. Błogo mrużyłam oczy, czując się starą wilczycą, która w słoneczny jesienny dzień skacze za niesionymi przez wiatr liśćmi jak głupiutki wiosenny malec.

A skoro już o szczeniętach mowa. Pod drzwiami naszego pokoju, opierając się o nie bokiem, tkwił znudzony Rest, bezskutecznie próbując czytać konspekt. Ruda szczeknęła radośnie i zamerdała ogonem. Adept podniósł głowę, dostrzegł nas i z kwaśnym wyrazem twarzy podał mi koniec smyczy.

- Tak w zasadzie to już od godziny tu stoję - nie omieszkał poinformować. - Nawet na obiad nie poszedłem...

- I na ghyra takie ofiary? Przywiązałaś ją do klamki i poszedł - zdziwiłam się.

Rest rzucił mi mordercze spojrzenie. Chyba tak właśnie chciał zrobić, ale sumienie mu nie pozwoliło.

- Wpadnij do nas - zaproponował Weres gościnnie, otwierając drzwi.
- Zawsze znajdę w torbie kawałek chleba dla głodnego maga.

Szczeniak załśnił, jakby ktoś mu zaproponował pieczonego prosiaka.

- Mistrzu, a wyjaśni mi mistrz zakłęcie mrozące? Bo przesp... przegapiłem kawałek wykładu!

- Oczywiście. Szel, nie masz nic przeciwko?

- Wcale - skłamałam. - Bawcie się dobrze, a ja się przespaceruję po mieście.

Jak bardzo bym nie pragnęła, żeby Weres na całe dwa tygodnie należał wyłącznie do mnie, było to nierealne. Nie wspominając o tym, że kochałam go właśnie takiego - ciągle zajętego pracą albo uczniami.

Czarodziej spojrział na mnie i w jego oczach dostrzegłam odbicie swoich myśli. Ale na głos powiedział tylko:

- Uważaj na siebie, dobrze?

- Daj spokój. W biały dzień nawet najbardziej mściwy nekromanta nie odważy się na mnie rzucić.

- O co wam chodzi? - zaniepokoił się Rest. - Jaki nekromanta?

Ja jednak niedbale machnęłam ręką, zabrałam Rudą i poszłam w kierunku schodów.



Rozdzierający duszę jęk zmienił się w przeciągły szloch, wypełniony cierpieniem. Za zamkniętymi drzwiami i zasuniętymi zasłonami skromnego domku w głuchym zaułku bezlitośnie torturowano człowieka. I to za jego własne pieniądze.

Na kłamce wisiała tabliczka „Proszę czekać”, ale mnie to oczywiście nie dotyczyło.

- Proszę sobie spokojnie krzyczeć i się nie rozpraszać - powiedziała uprzejmie, przechodząc koło wygodnego, ale zupełnie

mnie niepociągającego fotela.

Klient skrępował się i zamilkł, natomiast lekarz uznał moje przyjście za doskonały powód, by zrobić sobie przerwę i zmienić instrument.

- Szeleno, jakim wiatrem cię przywiało? Przecież wzięłaś dwa tygodnie wolnego. - Żwawy, dobroduszny staruszek puścił do mnie oczko i dodał: - Z powodów osobistych.

- A tak, przechodziłam obok... - Wytrząsnęłam na stół zakupione wczoraj zioła. Ruda udała się wprost do kubła na śmieci i zaczęła z upojeniem w nim grzebać. - Proszę, jest pan mi winien pół kładnia.

- Wybawicielka! - ucieszył się dentysta, szperając po kieszeniach w poszukiwaniu monet. - A gdzie twój mały?

- U krewnych - odparłam krótko, mając nadzieję, że lekarz zrozumie aluzję i nie będzie dalej wypytywał. - Mam panu jakoś pomóc?

Zapomniany klient tęsknie zerkał w kierunku otwartego okna próbując ocenić, czy zdąży do niego dobiec, jeśli niespodziewanie zerwie się na nogi. No, ale czegoś, kochany, się spodziewał? U dentysty wyrywanie zębów może i jest tańsze niż u maga, ale też znacznie mniej przyjemne. Z drugiej strony, sensowni czarodzieje takimi bzdurami się nie zajmują, a po wizycie u bezsensownego może się okazać, że już do końca życia będziesz musiał sobie radzić bez zębów.

- Nie, dziękuję, na razie sobie radzę. Poza tym lepiej będzie jak się pośpieszysz. - Dentysta z natchnieniem poszczekał kleszczami, sprawiając, że klient spłynął zimnym potem. - Ledwo co o pół godziny się minęliście.

- Z kim?

- A z twoim adoratorem. - Twarz grubaska przybrała filuterny wyraz. - Całkiem przyjemny kawaler, moje gratulacje!

- Weres tu był?! - zdumiałam się jeszcze bardziej.

Szwendałyśmy się z Rudą po mieście już od jakiegoś czasu, ciesząc z ciepłego dnia i każdego napotkanego po drodze kramiku, więc czarodziej po pozbyciu się ucznia (choć zwykle siedzieli do północy, a potem w ogóle wiali na jakiś cmentarz w celu odbycia zajęć praktycznych) jak najbardziej mógł ruszyć za mną na poszukiwania. Tyle że do warsztatu dentysty zajrzałyby w ostatniej kolejności: każdy normalny człowiek po wzięciu wolnego z pracy będzie ją mijał w odległości pół wiorsty!

Czy może stało się coś na tyle poważnego, że wszystkie pozostałe miejsca już przeszukał?

- Zapoznaliśmy się, chwilę rozmawialiśmy o tobie - gadał dalej lekarz. - Taki uprzejmy, uważny... aż dziwne jak na człowieka z domieszką elfiej krwi.

- Gdzie siedział? - przerwałam mu gwałtownie.

- A wiesz, że odmówił siadania... - przyznał gospodarz po chwili namysłu, nie rozumiejąc co wywołało we mnie taką reakcję. - Powiedział, że się śpieszy, a poza tym mój fotel nie budzi w nim zaufania, He-he! I tak stał w progu, nawet nie wszedł do środka.

Ku wielkiemu zdumieniu dentysty i pacjenta, który przy takiej okazji nawet zwiesił się z fotela, natychmiast padłam na czworaki i przylgnęłam nosem do podłogi. Ruda z zachwytem dołączyła.

Nie było tu śladu Weresa - w całkiem dosłownym tego słowa znaczeniu. W ciągu dnia złowieszczy domek odwiedził tłum cierpiących, ale kilka zapachów było zdecydowanie silniejszych od innych. Jeden z nich należał do samego lekarza, a drugi do obecnego pacjenta. Natomiast trzeci, rozmyty i trudny do zapamiętania nie był mi znany. Niestety, żeby dowiedzieć się o tym człowieku czegokolwiek

więcej - jak był ubrany, skąd przyszedł, jak mniej więcej wygląda - musiałabym zmienić postać.

Szczerwie lekarz odchrząknął, a ja opamiętałam się i wstałam.

- Przepraszam, ale naprawdę czas na mnie.

- Aha... - Obaj mężczyźni z szaleństwem w oczach skinęli głowami. Dentysta opamiętał się jako pierwszy i korzystając z dogodnej chwili wsadził kleszcze od otwartych ust pacjenta. Soczyste cmoknięcie i wrzask, który nastąpił po nim oznajmiły szczęśliwie wyleczenie.

Po drodze nieco się uspokoiłam. Przecież i tak wiedzieliśmy, że ten tajemniczy Rimar kręci się po stolicy przepełniony chęcią robienia świństw. Przynajmniej Rojm jest poza jego zasięgiem!

Chyba nawet nie będę mówić Weresowi o całej sprawie. I tak nie pomoże mu to w szukaniu renegata, a jedynie zepsuje nastrój.



Oczywiście, lekcja magii praktycznej trwała w najlepsze. Rest, czerwony, spocony i zirytowany, machał rękoma nad leżącą na stole szyszką. Nie mam pojęcia, co próbował z nią zrobić, ale mimo widocznych starań adepta nie działało się kompletnie nic. Zgnębiony chłopak podnosił błagalne spojrzenie na mistrza, rozwalony na krześle czarodziej leniwie i bez szczególnego skupiania się powtarzał skomplikowany gest, a uczeń sapał z wściekłością i ponownie schylał nad szyszką.

Ulokowałam się na łóżku i otworzyłam wyblagany w bibliotece traktat o ziołach. Pobieźnie przejrzałam wprowadzenie - napisane kwieciście, jak to zwykle w tekstach tej epoki - sceptycznie

przekartkowałam delikatne strony z mnóstwem rysunków, ale stopniowo się wciągnęłam i czas do północy upłynął niezauważalnie.

Po pozbyciu się Resta i wyrzuceniu za okno nadal niezmiętej szyszki ostatecznie użyliśmy łóżka zgodnie z przeznaczeniem. Zadowolona i szczęśliwa już zaczynałam przysypiać, kiedy Weres ostrożnie uwolnił się z moich objęć, szybko ubrał i wyszedł. Byłam zbyt rozleniwiona, żeby pytać, gdzie i po co, czego wkrótce pożałowałam: czarodziej nie śpieszył się z powrotem, a pod jego nieobecność nie potrafiłam zasnąć.

Minęła nie mniej niż godzina zanim drzwi ponownie zaskrzypiały zawiasami. Weres najpierw próbował się skradać, ale zauważył moje pytające spojrzenie i dał sobie spokój, a nawet stworzył niewielki pulsar.

- Znowu biegałeś za strzygami? - zażartowałam niezręcznie.

- Za harpiami. - Leżący na stole zwój z ocenami adeptów sam wskoczył czarodziejowi do ręki. Weres rozwinął go, wyciągnął skądś pióro i zaczął przesuwać nim w dół po wierszach, stawiając w wybranych kwadracikach jakieś znaczki.

- Nie mówiłeś, że masz dziś zajęcia praktyczne.

- Nie miałem pojęcia, że mam - przyznał. - Pół godziny temu przez szkolne okno, szczęśliwie znajdujące się na korytarzu, wleciała harpia.

- Znaczą tak po prostu sobie wleciała jak ćma do światła? - spytałam ze zwątpieniem. - A co z waszą słynną ochroną przed pomrokami?

- Z jakiegoś powodu zadziałała wyłącznie jako alarm. Uczciwie mówiąc, to nie pierwszy taki przypadek - zużycie zaklęć w Szkole jest wręcz gigantyczne. A może ktoś by wymyślił ochronę przed adeptami, co?! - Czarodziej pokręcił głową i dodał: - Niepokoi mnie co innego. Oczywiście harpie są wyjątkowo tępyimi stworzeniami, ale do tej pory

nawet im starczało sprytu, żeby nie zbliżyć się do tego zamku. Co tam się teraz dzieje na korytarzu...

- Zjadła kogoś? - zaniepokoiłam się, unosząc na łokciu.

- A żeby! - Weres wcisnął pióro w pergamin tak gwałtownie, że przebił w nim dziurę. - Nie, pechowe stworzenie trafiło na tuzin adeptów szóstego roku, których akurat dziś uczyłem tworzyć pulsary bojowe. Oczywiście było to pierwsze zaklęcie, które zdołali sobie przypomnieć! I to wszyscy równocześnie. Tak że pechową pomrokę rozsmarowało równą warstwą po ścianach, podłodze, suficie i Katissie, która wyskoczyła ze swojej sypialni sekundę później. Teraz jest wściekła jak nie wiem co i zapewnia wszystkich, że celowo to zaplanowałem.

- Harpię czy adeptów?

- Mnie się wydaje, że nów - rzucił czarodziej z pretensją, celnym rzutem zwracając dziennik na miejsce. - Bo w jego trakcie nastrój pani Łabskiej gwałtownie się psuje.

- A co ci adepci robili w środku nocy na korytarzu?

Weres w końcu zgasił pulsar i się położył. Natychmiast ulokowałam głowę na jego ramieniu. W łóżku zrobiło się znacznie przytulniej i bardziej sennie.

- Zapewniają, że jakoby cierpieli na bezsenność z nadmiaru wiedzy, a spacer po żeńskim skrzydle sypialnym to sprawdzony środek na tę przypadłość. Zaś prześcieradła, które nieśli pod pachami, zostały zabrane na wypadek, gdyby podstępna choroba nagle ustąpiła i sen zmorzył ich wprost na korytarzu. Jedynym czego biedni cierpiący nie potrafili wyjaśnić, to przeznaczenie kilku pędzli i wiadra fosforyzującej farby. Ale jestem pewien, że przed nadejściem poranka i Ksandera zdecydowanie coś wymyślą. A w międzyczasie w ramach terapii

bezsensowności wręczyliśmy im szmaty, mopy i wiadra - któryś środek na pewno zadziała.

Weres żartował, ale wyczuwałam, że się niepokoi. I jedynym sposobem, w jaki mogłam mu pomóc, było przytulenie się mocniej.



Hej no, to nieuczciwe! Zaledwie tydzień temu desperacko marzyłam o tym, by się dobrze (przynajmniej do obiadu!) wyspać i resztę dnia spędzić w łóżku nic nie robiąc, a kiedy nagle mam taką możliwość, obudziłam się o wschodzie słońca i już po dwóch godzinach byłam doszczętnie znudzona.

Oczywiście po Weresie nie było już śladu. Ciekawe, czy udał się do tej swojej wsi czy jednak zasnął? Po takiej nocy bym się nie zdziwiła. Ech, gdybym wiedziała, że mi przejdzie ochota na leniuchowanie, to bym poprosiła, żeby mnie zabrał ze sobą.

Przeciągnęłam się słodko próbując wymyśleć, jak by tu spędzić czas. Wychodzenie do miasta raczej nie miało sensu (nie żeby ten cały nekromanta-renegat zdołał mnie przestraszyć, lecz ryzykowanie bez konieczności było po prostu głupie), ale za to mogłam połączyć po szkole. Zajrzeć na katedrę Ziolarstwa, chyba mieli tam kompletne herbarium ziół belorskich...

- Hau! - przypomniała Ruda, wskakując przednimi łapami na łóżko.

No tak, i ją trzeba wyprowadzić. Ubrałam się, wzięłam sukę na smycz, wyszłam z pokoju i ze zdumieniem odkryłam, że hałas, do którego już zdążyłam się przyzwyczaić, tym razem dobiega nie z korytarza, tylko z jednej z sal piętro niżej.

Tknięta niedobrym przeczuciem prawie zbiegłam po schodach. Ruda widząc, że znowu skręcam na korytarz zaskamlała z niezadowoleniem i szarpnęła smycz, ale oberwała jej końcem po lśniącym tyłku.

Znalezienie źródła hałasu nie było trudne - natężenie było takie, że pod sufitem trzęsa się pajęczyna. Przypięty do drzwi skrawek pergaminu głosił: „10.00, 2 rok, magia praktyczna, wykł. W. Szakkarski”.

„Co on tam z nimi robi?!” - zdumiałam się, otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Za katedrą było pusto. Ale za to na jej blacie siedział jakiś chłopaczek, machając nogami i drąc się, jakby go kto kroił - daremna próba zwrócenia na siebie uwagi któregoś z kolegów. Ponieważ pozostali robili mniej więcej to samo, w środku panował dziki hałas. W powietrzu latały papierowe ptaszki, prościutkie topornie sklecone iluzje oraz małe pulsary. Cuchnęło spalonym pergaminem.

Zrozumiałam, że albo za minutę czy dwie zbiegną się tu wszyscy wykładowcy na czele z Ksanderem, albo Szkoła dorobi się drugiej zniszczonej wieży i Weres będzie musiał co miesiąc oddawać na odbudowę część wypłaty, a potem emerytury.

Otworzyłam drzwi, dźwięcznie zatrzęsłam je za plecami i zdecydowanym krokiem podeszłam do stołu wykładowcy. Postukałam po nim kostkami palców.

- Hej, cisza!

Siedzący na katedrze dzieciak zerknął na mnie z niezrozumieniem, na wszelki wypadek spełził na podłogę, ale nie wrócił za swoją ławkę. Pozostali ledwo co zaszczycili obcą osobę spojrzeniem i bawili się dalej.

- Ciszaaaa! - Tym razem nie krzyknęłam tylko warknęłam.

Uczniowie zastygli. Pewnie jakby któryś akurat przeskakiwał z ławki na ławkę, to by zawisł w powietrzu.

Zgrzyt pięciu pazurów po tablicy podsumował zapadłą ciszę.

- A teraz drogie dzieci - ciągnęłam łagodnym tonem, całkiem zadowolona z wyniku - odbędziemy bardzo ciekawe i poznawcze zajęcia. Proszę wrócić na miejsca, nie musicie otwierać notatek. Wydaje mi się, że i tak wszystko zapamiętacie...



Na Weresa wpadłam już w holu. Czarodziej miał brudne buty, był nastroszony i widocznie czymś zmartwiony, uśmiechnął się do mnie z poczuciem winy i pobiegł dalej.

- Nie musisz się śpieszyć - rzuciłam niewinnie jego śladem. - Zastąpiłam cię.

- Jak to?! - Weres zahamował tak gwałtownie, że gdyby miał na obcasach podkowy, to posypałyby się spod nich iskry. - Co im naplotłaś?

- Najprawdziwszą prawdę - odparłam z urazą. - Przeprowadziłam wykład wprowadzający: klasyfikacja wilkołaków, wygląd, zwyczaje, opowiedziałam o kilku przypadkach z mojego życia... wszystko jak należy. Moim zdaniem byli zachwyceni. Nawet po dzwonku się nie ruszyli, póki nie zaproponowałam, że skoro nikt się nie śpieszy, to możemy odbyć przy okazji zajęcia praktyczne. Rezolutne dzieciaki, bardzo szybko biegają!

Czarodziejowi wypadła z rąk jego drogocenna torba.

- Szel, jesteś wręcz ucieleśnieniem dobroci!

- Wiesz, dobro powinno być straszne! - parsknęłam. - Żeby zło się go bało. A co miałam robić? Ty gdzieś zniknąłeś!

Weres ponownie spoważniał.

- Musiałem zostać dłużej - mierzyłem pozostawione przez smoka ślady i odpytywałem chłopów.

- Czyli jednak był tam smok?! - zdumiałam się. - I połknął tego chłopa?

- Aha. I jeszcze wykopał czterdzieści trzy krzaki młodych ziemniaków, naszczypał szczypiorku i ogołocił wiśnię. - Czarodziej schylił się po torbę.

- Że co?!

Ale w tym momencie zabrzmiał dzwonek na kolejny wykład, więc Weres śpiesznie cmoknął mnie w policzek i wbiegł po schodach.

Cicho zaklęłam w kierunku jego pleców. Jak gdyby słysząc (a tak naprawdę zbyt dobrze mnie znając) czarodziej bez odwracania się pogroził mi palcem. Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Ot leszy, i co on tam takiego znalazł? Teraz będę się do wieczora męczyć z ciekawości.

Puściłam sukę, by pobiegała po podwórzu i przez następne pół godziny z roztargnieniem spacerowałam tam i z powrotem wzdłuż muru, nie tyle próbując rozwiązać smoczą zagadkę, ile odganiając przy jej pomocy znacznie mniej przyjemne myśli. Żeby magowie jakoś szybciej złapali tego cholernego nekromantę...

- Hej, Ruda! - W końcu wróciłam do rzeczywistości. - Gdzie jesteś?

Na podwórzu było pusto i podejrzenie cicho.

Zagwizdałam i zawołałam, z niepokojem wyobrażając sobie, jak psica z oczami zmrużonymi z zachwytu nawozi dalej na klombie po drugiej stronie budynku. Albo podkrada się do ukochanej kotki kucharza i po paru sekundach zza szopy rozlegnie się wściekłe szczekanie, wycie i syczenie. A może (pomysł był głupi, ale natrętny) Rimar uznał (z braku lepszych opcji), że zemści się na Weresie zabijając jego ukochanego psa? Aha, i to wprost pod szkolnymi oknami!

W tym momencie w końcu dostrzegłam Rudę, co absolutnie nie poprawiło mi nastroju - psica poruszała się tyłem naprzód, z trudem

ciągnąc za sobą gigantyczny, wążący z półtora puda kawał mięsa.

- Ghysza! - ryknęłam desperacko, uświadamiając sobie, gdzie ta paskuda go zdobyła.

Ruda beztrudno pomachała ogonem - nie przejmuj się, tu starczy dla wszystkich! - i kontynuowała swoją ciężką pracę.

- Sssuka! - łapałam zwierzaka za obrozę i próbowałam oddzielić od zdobyczy.

Zadanie okazało się trudne, wręcz nie do wykonania dla zwykłego człowieka, ale w momencie, gdy Ruda zrozumiała, że w przypadku dalszego stawiania oporu koło mięsa za chwilę będzie leżała jej oderwana głowa, w końcu rozluźniła szczęki i szczeknęła z urazą.

Zabranie „trofeum” było tylko połową problemu, teraz czekało mnie podrzucenie go z powrotem... jakoś. A, i jeszcze zatarcie szerokiego krwawego śladu, który ciągnął się od samego... no tak. Już nie musiałam się nigdzie śpieszyć.

Smoczy łeb, który wyłonił się zza rogu, wisiał akurat na poziomie mojej głowy. Lewark wyglądał na bardzo zamyślnego.

- Gdzie zmierza ten śsswiat? - poskarżył się retorycznie. - W biały dzień! Wprost pod moim nossem! Moje śśśniadanie zostało posszczute... psssem!

Podłe rude stworzenie zamiast okazać skruchę, wściekle smoka obszczekało.

- To ona sasama - zaprzeczyłam bez sensu, czując się... zdecydowanie nie najmądrzejszą kobietą w Belorii. - Ja przepraszam najmocniej, to był przypadek. Zaraz je zaniosę z powrotem...

Równocześnie spojrzeliśmy na leżące pod moimi nogami mięso, szczerze doprawione ziemią i naszpikowane opiłkami.

- ...i umyję - dodałam z rezygnacją.

- Bardzo śssmieszne - syknął smok, zaczynając pachnieć dymem. Chyba nie był głodny, po prostu nie zamierzał odpuszczać „złodziejom” takiej bezczelności. - A wczoraj też sssama? A potem sssamodzielnie pożarła połowę barana?

- Co wczoraj? - Zresztą, po krótkiej chwili sama wszystko zrozumiałam. - Ach ty przekłety szczeniaku! I jeszcze udawałeś głodnego! Niech no cię tylko dorwę... Przepraszam, to nie było do pana!

Przeprosiny były spóźnione - w miejsce, gdzie przed chwilą stałam, uderzyła struga ognia. Całkiem prawdziwego, opalającego żarem nawet z odległości sążnia. Smok nie spodziewał się po bezczelnym przeciwniku ani takiej prędkości, ani wściekle wyszczerzonych kłów, więc mrugnął ze zdumieniem i zatrzasnął paszczę.

- Od kiedy to w ssszkolnej sssłużbie zatrudniają wilkołaki?!

- Nie należę do służby - zaprzeczyłam z pretensją. Po podwórzu powoli rozpełzał się aromat przypalonego pieczystego.

- A do kogo?

- Cóż... eee... można powiedzieć, że jestem wykładowcą. - Najwidoczniej nie musiałam się bać ponownego ataku, stanęłam więc prosto i wyzywająco położyłam ręce na biodrach.

- Dom wariatów - zawyrokował Lewark z niesmakiem. - Ich wszysstkich w tym miejssscu trzeba nie uczyć, tylko leczyć! - Po czym odwrócił się i zniknął w jaskini, zostawiając pechowe mięso leżące na środku podwórza. Póki ja z poczuciem winy zastanawiałam się, czy jednak powinnam oddać je smokowi, czy nie ma co narażać się powtórnie bez sensu, Ruda podskoczyła do baraniny i triumfalnie zatopiła w niej zęby.

- O, Szeleno, dzień dobry!

- Dobry - przytaknęłam chmurnie, odwracając się do Katisy.

Wesołość magiczki również była udawana: jeśli pani Łabska tej nocy spała, to na jej twarzy nie dostrzegłam nawet śladu tego faktu.

- Co tam twoja psica takiego gryzie? - Katissa ze zdziwieniem zmrużyła oczy.

- Pewnie znalazła jakąś kość - burknęłam z rezygnacją czekając na wybuch słusznego gniewu.

Ale magiczka już straciła jakiekolwiek zainteresowanie zwierzakiem.

- A ty już coś dziś jadłaś?

- Nie, akurat sobie przypomniałam, że czas najwyższy. Pójdiesz ze mną? - rzuciłam wyłącznie z zaskoczenia, bo towarzystwa Katissy na ghyr nie potrzebowałam.

Wykładowczyni ze wstrętem spojrzała na okna jadalni.

- Może pójdziemy do „Trzech Przygłupów”? - zaproponowała niespodziewanie.

Zawahałam się. Odmowa byłaby nieuprzejma..., ale Katissa nie jest dobrą przyjaciółką, z którą można sobie przyjemnie pogadać, póki kucharka przygotowuje zamówienie - a przecież do karczmy chodzi się właśnie w tym celu, zwyczajnie zjeść można w domu.

- Ja stawiam - dodała magiczka czyniąc aluzję, że temat do rozmowy jednak mamy.

- Dobrze, chodźmy - zdecydowałam się. Ruda za moimi plecami nadal mlaskała z zadowoleniem, więc ze szczerego serca życzyłam jej, by zgłodniały smok wyświadczył mi przysługę i dodał do swojego menu wyborną psinę. - Ale jednak bardzo cię przepraszam, wolę zapłacić sama. Nie lubię być nikomu dłużna.

- Ja również. I dlatego chcę cię poczęstować. W ramach zaliczki.



Trolli instrument ludowy przypominał ucięte wiosło o czterech strunach i nazywał się „bzdynn”. I mniej więcej takie dźwięki wydawał.

Oczywiście Beznik nie oszalał na tyle, żeby zapraszać do karczmy trollego minstrela. Po prostu nikt nie potrafił go wypędzić. Koło prawej ręki barczystego talentu, w poprzek stołu leżał miecz półtorak, który robił na publiczności znacznie bardziej przekonujące wrażenie niż magiczna siła sztuki. Zresztą, troll przygrywał wyłącznie dla własnej przyjemności, nie zwracając uwagi na resztę gości. Ci zaś stoicko próbowali rewanżować się tym samym, co nie szło im najlepiej: muzykowi co i rusz przynoszono kufel piwa „od wdzięcznych słuchaczy”, po czym natrętne bzdynkanie przynajmniej na parę minut cichło.

Z kuchni już całkiem mocno pachniało zamówionym przez nas kurczakiem, a Katissa, która wyszła „na minutkę, żeby coś sprawdzić”, nadal nie wracała. Dopięłam kwas i zdążyłam się znudzić, więc zaczęłam nasłuchiwać, o czym dyskutują klienci przy innych stolikach. Mimo wczesnej pory w karczmie było dość tłoczno - skutek bliskości rynku. Przy oknie siedzieli kupcy, którym udało się wyrwać na krótką przekąskę, i jeden przez drugiego klęli na kiepsko idący handel (żeby nie zapeszyć udanego dzionka). Przy sąsiednim stoliku ulokował się mężczyzna z dwoma nastoletnimi synami, świętujący zakup krowy (mali dranie domagali się, żeby im również kupić piwa, bo inaczej „mamusia się dowie, ile jałówka naprawdę kosztowała”. W dalszym rogu jadła śniadanie grupa krasnoludów-tragarzy (z tamtej strony dolatywało tylko rzeczowe mlaskanie), na środku znęcał się nad „wiosłem” już wspomniany muzyk, a koło drzwi marnowali czas i pieniądze trzej barczyści młodzieńcy o dość imprezowym wyglądzie -

już wypili po parę kufli, więc lekko podchmieleni omawiali, gdzie by tu dla pełni szczęścia znaleźć ugodową ślicznotkę.

- A tam co za dziewczka siedzi? Może do niej wystartujemy?

W plecy wbiło mi się tak maślane spojrzenie, że wzdrygnęłam się ze wstrętem.

- No coś ty, oszalałeś?! To chyba jednego z magików, nawet ma od niego bękart! - Chłopak soczyście splunął i dodał jeszcze kilka trollich przekleństw.

- Szelena! - W końcu dotarł do mnie zmartwiony głos Katissy. - Co się stało?

- Nic. - Odstawiłam pusty kufel. Faktycznie, co mnie obchodzi gadanina jakichś ludzkich śmieci? Tak czy siak, wycieczka na drugi koniec karczmy, by ukrócić czyjś parszywy język, byłaby czystą głupotą - słów, które tam padły nie słyszeli nawet siedzący przy sąsiednim stoliku. Nie mogę przecież ni z tego ni z owego rzucać się na spokojnie wypoczywającego człowieka.

- No to może schowasz kły? - Magiczka usiadła i niecierpliwie obejrzała się na drzwi kuchni, przez które akurat wynoszono naszego kurczaka.

- Co? - Przeciągnęłam językiem po zębach. - Przepraszam, zamyśliłam się. O czym chciałaś ze mną porozmawiać?

Katissa połączyła koniuszki palców, następnie lekko postukała nimi o siebie, zbierając myśli.

- W zasadzie...

Bzdynn!

- Pomyślałam sobie...

Bzdynn!

- ...że byłoby całkiem dobrze...

Bzdyyyynn!

Magiczka, nie odwracając się, dźwięcznie i z irytacją strzeliła palcami.

Bz... bac!

Obwisła struna wilgotno stuknęła w deskę. Troll oderwał natchnione spojrzenie od sufitu i ze zdumieniem poszczypał pozostałe - z tym samym skutkiem.

- Pewnie zwilgotniały od piwa - zasugerowała Katissa niewinnie.

Muzyk, który już zdążył unieść się z krzesła, na podstawie ghyr go wie jakich oznak (pewnie bardzo szerokim i miłym uśmiechu), rozpoznał w mojej towarzyszce maga bojowego, wykrzywił twarz i opadł z powrotem.

Beznik, który obsługiwał nas osobiście, postawił tacę na stole z takim wyrazem twarzy, jakby nieboszczka kura zносиła mu złote jaja, ale dla drogich gości niczego nie szkoda.

- Życzę pięknym paniom dobrego apetytu - życzył grobowym tonem, napełniając nasze kielichy winem.

- Dziękuję, na apetyt i tak nie skarżymy. A co się stało? - spytałam bez ogródek. Beznik miał jedną wadę: jeśli akurat pragnął podzielić się swoimi problemami, to zaczynał z bardzo, ale to bardzo daleka, więc długo wyczekiwany kurczak zdecydowanie miał szanse wystygnąć.

- Cały czas ta nazwa, żeby ją... - wyjęczał biedny gospodarz. - Dostałem właśnie papier od burmistrza, żebym do wieczora nazwał przybytek przynajmniej jakoś, w celu nałożenia podatków i wpisania do ksiąg. A mnie w takim upale głowa w ogóle nie działa, tylko boli coraz mocniej!

- A „Trzech Przygłupów” się panu nie podoba? - spytała pozbawiona taktu magiczka.

Beznik z oburzeniem załamał rękę.

- No co też pani mówi?! Przecież ta karczma to marzenie pierwszych czterdziestu lat mojego życia i dzieło całej reszty! Jej nazwa - oczy karczmarza zamgliły się marzycielsko - powinna być dźwięczna jak złota moneta, pojemna jak winna beczka, soczysta jak doborowa cielęcina...

- Przecież mówię, „Trzech Przygłupów” jest akurat!

Ostatecznie obrażony Beznik wpakował tacę pod pachę, zapomniał na stole butelki z winem i oddalił się, by cierpieć za ladą.

- No nie... - burknęła Katissa za nim, bez ceregieli ukręcając kurczakowi nóżkę. - Całe miasto ta nazwa urządza, a jego nie! Myślałby kto, że natchnione runy na szyldzie sprawią, że tutejsze schabowe zrobią się bardziej miękkie, a wina słodsze... Ale dość o tym. - Podniosła kielich i jednym łykiem wypłała połowę zawartości. - Szeleno, chciałabym ci poczynić nieprzyzwoitą propozycję.

Już nie byłam w wieku, w którym na takie słowa mogłam zalać się gęstym rumieńcem ani nawet w takim, by z oburzeniem odmówić. Każdy z nas ma swoje dziwactwa i reszta świata powinna je, jeśli nie szanować, to przynajmniej znosić.

- Słuchaj, Katisso... - zaczęłam, starannie dobierając słowa. - A dlaczego nie poprosisz o to kogoś z kolegów... albo chociaż koleżanek? Bo wiesz, ja jednak wolę tradycyjny sposób...

- Bo nam kompletnie nic nie wychodzi! - Magiczka zbyła mnie poirytowanym machnięciem kurzym udkiem. - Chociażby z Marenem. Czego tylko nie robiliśmy i jak nie kombinowaliśmy...! Żadnego skutku, tylko pod koniec jesteśmy zmęczeni jak psy. No chociażby wczoraj, złapaliśmy sygnał, obwiesiliśmy się amuletami jak ostatni szarlatani, wybraliśmy spokojne miejsce, ułożyliśmy się. Godzina, dwie... A potem -

takie coś, trzy ulice dalej. Biegniemy tam, ale już po temacie, ona nie żyje..., a ślady jak brzytwą uciął. Spod samego nosa nam się wywinął, drań jeden! Ksander nam rano taką awanturę zrobił, że nadal mam dreszcze, jak wspominam...

- Czekaj no... - Pogubiłam się do reszty. - Ale o co ci chodzi?

- Przecież ci mówię, Rimara łapaliśmy koło magazynów! - Katissa ugryzła kurczaka, przeżuła, niespodziewanie zakrztusiła się i wbiła we mnie podejrzliwie spojrzenie. - A ty co sobie pomyślałaś?

- Dokładnie to samo - skłamałam. - Po prostu nie znałam szczegółów.

- A... - Magiczka spochmurniała nawet bardziej. - Paskudna historia. Oszukał nas, jak szczeniaki! Zostawił w jednym z magazynów wabik: podniósł trupa na cmentarzu, już wybielonego, więc można dobrze nalepić ślad aury, jego własna już dawno się rozwiała. Magazyn spory, dwa wejścia, w środku towaru nawalone pod dach. Gdybyśmy mieli go tam łapać, to wszystko by poszło w drobny mak i król Ksanderowi brodę by wyrwał, a ten nas z kolei obłupił ze skóry. No więc siedzimy jak ci kretyni, czekamy, aż tamten się wychyli. Trup łazi po magazynie, wpada na ściany. A Rimar w tym czasie nawet się specjalnie nie ukrywając narysował pentagram w burdelu wprost na podłodze i zaszlachtował w nim zamówioną dziewczkę. Tylko sobie wyobraź, jaka bezczelność! Nawet właścicielce „Wisienki” tak powiedziała: ja poproszę, znaczy się, młodą i rumianą, żeby miała więcej sił witalnych. I jeszcze zapłacił z góry, wszystko jak należy...

- Ale po co mu to było?!

- Moc magiczna. Przecież on jej cały czas używa: na ukrywanie się przed zaklęciami poszukiwawczymi, na ucieczkę przed śledczymi, pewnie jeszcze sam nas podgląda... Rezerwa nie nadąza z regeneracją,

poszła w minus. No to Rimar ją podładował, za jednym zamachem. Pewnie jeszcze wszystkie amulety do pełna, sssukinsyn...!

Magiczka dołała sobie wina do pustego kielicha.

- To jak, zgadzasz się?

- Na co?

- No jak to, na rolę przynęty!

I w tym momencie naprawdę mnie zatkało.

- Łapanie maga na przynętę z wilkołaka?! Katisso, jak ty to sobie wyobrażasz?

- Mniej więcej tak. - Magiczka odrzuciła objedzoną kość na talerz i dokładnie wytarła palce chusteczką, nie ufając leżącej na stole szmatce. - Bliżej wieczora po zakończeniu wykładów trójka magów-praktyków z minami poważnymi jak nie wiem co tradycyjnie ruszy na poszukiwania wstrętnego nekromanty. Niby. Zresztą, niech rzeczywiście szukają - im więcej na wędce haczyków, tym lepiej. Ale ich zadaniem będzie odwrócenie uwagi Rimara. Potem wyjdę ja pod rękę z Marenem - chyba go znasz, nie? Pobjemy renegata jego własną bronią: zamkniemy się w wynajętym pokoju w jakiejś karczmie, rzucimy „kaczki”, a sami wyjdziemy tylnym wyjściem. I dopiero po jakiejś godzinie przy bramie pojawisz się ty: beztroska, zadowolona z życia, w białej, dobrze widocznej sukience, w jednej ręce bukiet kwiatów, w drugiej koszyczek...

- A nie powinnam przypadkiem jeszcze nim machać i śpiewać wesołej piosenki?

- Nie, to już będzie przesada - odparła Katisa z pełną powagą. - Udawaj, że po prostu sobie spacerujesz po ciemnych bezludnych zaułkach na skraju miasta. Założę się, że ten gad już od dawna wie o twojej przeprowadzce do Szkoły i będzie cię śledził od samej bramy.

Pewnie przez jakiś czas poobserwuje sobie z daleka i dopiero po nastaniu zmroku przejdzie do aktywnych działań...

Poczułam zimny dreszcz. Przeciągnęłam butelkę na swój koniec stołu, żałując, że w środku nie ma czegoś mocniejszego od wina.

- Wydaje mi się, że Rimar chce cię dostać żywą - ciągnęła rzeczowo Katissa. - Na pewno będzie chciał się nad Weresem poznać, przysłać najpierw kosmyk twoich włosów, potem ucho, potem palec...

- A co, jak jednak martwą? - Nie żeby poprzednia opcja jakoś specjalnie mi się podobała.

Magiczka pogardliwie machnęła ręką.

- Szeleno, przecież jesteś wilkołakiem! Co on może ci zrobić?

- Cokolwiek i nawet więcej. - Niestety, żywotność wilkołaków nie zawsze była naszą zaletą.

- Chodzi mi o to, że nie weźmie cię z zaskoczenia. No weź przyznaj, ilu magów wykiwałaś... powiedzmy w ciągu ostatnich pięciu lat?

- Nie sprawiło mi to najmniejszej przyjemności!

- Zapewniam cię, że im również. Skoro już Weresowi nie udało się ciebie położyć... w sensie załatwić, to Rimar tym bardziej nie da rady. Może chcesz, żebyśmy ci zapłacili? Ze szkolnych funduszy.

- Pogrzebowych?

- W życiu bym nie pomyślała, że jesteś takim tchórzem - skrzywiła się magiczka.

- Katisso, nie boję się - zaprzeczyłam cierpliwie. - A raczej boję, tylko nie o siebie. Jeśli zginę, to kto ochroni mojego syna?

- No to go chroń! Póki Rimar nie uznał, że jego jest łatwiej dostać niż ciebie.

- Nie! - wyrwało mi się. Nie wiem, czy w słowach magiczki była jakaś część prawdy, czy zwyczajnie próbowała namówić mnie dowolnym

sposobem, ale zdecydowanie był to cios poniżej pasa. - Nie dobierze się do niego!

- No dobrze - zgodziła się Katissa. - Jak nie do twojego drogocennego wilczka, to do dowolnego innego. Wczoraj nekromancie wystarczyła sprzedajna dziewczka, ale jeśli zaplanuje jakieś świństwo wymagające dużego wkładu mocy..., małe dzieci nadają się do tego najlepiej.

- Katisso, jesteś suką!

- O tak - zgodziła się magiczka z dumą. - I właśnie za to mnie kochają. No to jak, przyjmujesz naszą propozycję?

- A idźcie wy... smokowi pod ogon! I to mają być magowie bojowi! Sami nie mogą złapać jakiegoś tam nekromanty, więc próbują w to wciągnąć wilkołaka... Dobra, przyjmuję. Swoją drogą, a dlaczego propozycja niby nieprzyzwoita? - przypomniałam sobie.

- Ponieważ obiecałam Weresowi, że nie będę cię wciągać do tej historii, a oszukiwanie kolegów jest nieprzyzwoite - przyznała Katissa niechętnie. - I teraz on mnie zabije.

- Nie martw się, nic mu nie powiem - obiecałam. Nie z wielkoduszności, a wiedziona zwykłym instynktem samozachowawczym: miałam dziwne przeczucie, że mnie czarodziej również nie pogłuszcze po główce.

Magiczka parsknęła sceptycznie i rozlała po kielichach resztki wina ale zamiast pić wyciągnęła z kieszeni okrągły kamienny amulet, ścisnęła go w pięści i przyłożyła do skroni. Jej oczy zaszklily się, a wargi zaczęły bezdźwięcznie poruszać: pewnie meldowała współnikom, że pertraktacje zakończyły się pomyślnie.

Nie potrafiłam się powstrzymać - ponownie nastawiłam uszu, tym razem mając konkretny cel.

Tamta trójka była jeszcze bardziej podchmielona, więc straciła zainteresowanie kobietami, przełączając się na czyny bohaterskie. Zresztą, w tej chwili ograniczali się do licytacji na wspomnienia:

- ...poszedłem po worek do bruzdy, kopię dalej, a tu nagle gospodarz! Z widłami! Wycelował je w mój brzuch i jak nie ryknie: „A co ty tu robisz?!” Z przerażenia prawie mi dusza po nogach pociekła. Wszystko co mogłem wymyśleć, to pokazać mu palcem za ramię z wrzaskiem: „Patrz, smok!”

- A ja w tym czasie zaszedłem od tyłu i założyłem mu worek na głowę! - dodał drugi, podrygując ze śmiechu. - Myślałem, że póki on się będzie wyplątywał to uciekniemy, a on jak stał - tak padł na grządkę, pewnie uznał, że to koniec, jego kres przyszedł! Ostrożnie ściągnąłem woreczek, napchałem ziemniakami i w nogi. Ech, szkoda, że cię z nami nie było, byśmy unieśli dwa razy tyle...

- No to chodźmy raz jeszcze! - zaproponował zżerany zazdrością trzeci.

- A co? Można! - Panowie głośno stuknęli się kuflami. - W takim razie o północy przy południowej bramie, co nie?

Mój uśmiech spodobał się Katissie znacznie mniej niż wyszczerz.

- Szeleno, ale o co chodzi?

- Nie zwracaj uwagi, to moje sprawy... I długo planujemy go łapać?

- Wydaje mi się, że do wieczornych dzwonów - zdecydowała magiczka po chwili namysłu. - Lepiej nie ryzykować. Noc to jego czas, nie wspominając o tym, że po ciemku na ulicach nie brakuje bandytów nawet bez nekromantów, nie chciałabym z rozpędu zużyć wszystkich WJM-ów (względna jednostka magiczna, używana do mierzenia mocy magicznej) na jakiegoś złodziejaska. Ech, żebym ja wiedziała, gdzie Rimar przesiaduje za dnia! Albo przynajmniej umiała namówić

Weresa... czy chociaż Ksander, on też niezgorzej koty gotuje... w sensie zna się na nekromancji.

- A dlaczego nie możemy Ksander? - Akurat w nocy czułam się pewniej, dookoła było mniej zbędnych dźwięków i zapachów.

- No wiesz, przecież on jest dyrektorem, nie może na długo wychodzić ze Szkoły... - Z tego, jak Katissa ściszyła głos i spuściła oczy, wywnioskowałam, że Ksander planowanej afery również nie pochwalił.

- Dobra - westchnęłam, biorąc się za kurczaka. - Jak wieczorem to wieczorem.

Chyba już wiedziałam, co będę robić w nocy.

U Beznika również na całego trwała praca umysłowa. Żeby wzmocnić wysiłki twórcze, kręcił się dookoła szynkwasu, mamrocząc pod nosem i wściekle gestykułując, ale nazwa uparcie odmawiała narodzin. Ostatecznie karczmarz się poddał, z irytacją ściągnął z pustego stołu obrus i ruszył wytrząsnąć go na ganku.

Czerwona sprana płachta kilka razy zawiała na wietrze, obsypując zebrane kury okruszkami chleba, po czym niespodziewanie Beznik jęknął i odskoczył na bok. Nawet sięgnął, by zamknąć drzwi, ale nie zdążył. Upuszczony obrus malowniczo opadł na podłogę, a do karczmy z rykiem i tupotem wdarł się nowy „klient” - wielki łaciaty byk z dyndającym w nosie pierścieniem. Dokładnie ten, którego pamiętałam z targu - może ktoś go w końcu kupił, a może właściciel zrezygnował i ruszył do domu.

Po wtargnięciu do mrocznego pomieszczenia zwierzak nieco spotulniał, pochylił łeb i zaczął skrobać racicą podłogę, jak gdyby pytając siedzącego najbliżej niego trolla, czy dają tu smaczne piwo. Milczący dialog oczy w oczy trwał przynajmniej minutę. Byk sapał coraz głośniej, aż w końcu zebrał się w sobie i zamuczał,

przepowiadając, co on tu zaraz ze wszystkimi zrobi. Troll natychmiast rąbnął go przez łeb bzdynnem i póki oszołomiony zwierzak próbował zrozumieć, co to takiego (instrument niemuzyczny utknął mu pomiędzy rogami), zanurkował pod stół i postawił go na sztorc. Byk niepewnie ubódł nagle wyrosły przed nim płot, cofnął się, przewrócił parę krzeseł, uznał, że ktoś zdradziecko atakuje go od tyłu i zaczął skakać po karczmie podrzucając nogi, jak niezbyt zdolna, ale pełna zapału tancerka. Rolę ozdobnej spódnicy pełnił długi ogon z soplami nawozu. Zachwyceni widzowie tulili się do ścian, cały czas próbując prześlizgnąć się wzdłuż nich do drzwi.

W tym momencie do karczmy w końcu dotarł właściciel byka.

– Chodź no tutaj, głupie bydle! - warknął wściekle od progu.

Byk posłuchał. Chłop z jakiegoś powodu nie okazał radości, zwinnie odwrócił się w miejscu i potraktowany bzdynnem w tyłek odleciał w kierunku kałuży pod płotem. Podeschnięte struny zaśpiewały jego śladem coś żalobnie przeprasającego.

Po załatwieniu się z właścicielem byk (żeby go rzeźnik!) nie ruszył na podbój okolicznych krów, tylko solidnym krokiem zwycięzcy wrócił do karczmy. Szerokim machnięciem języka zgarnął do pyska ćwierć bochenka chleba, liznął rozlane na podłodze piwo, poczochnął się o słup nośny na środku sali - i w tym momencie zauważył mnie oraz Katisę, nadal spokojnie siedzące przy narożnym stoliku.

Nie ręczę za siebie, ale w twarzy magiczki nie drgnął żaden mięsień, a z uniesionego kielicha nie rozlała się nawet kropla.

– Jeszcze jestem w stanie zrozumieć spicie się w karczmie do bydlęcego stanu - zauważyła Katissa melancholijnie i celnie chlusnęła winem pod kopyta pięćdziesięciu pudów pędzącej w naszym kierunku wołowiny. Czerwony płyn rozwinął się na deskach w szeroką lodową

ścieżkę, przednie nogi byka uciekły na spotkanie tylnych i oszołomiony zwierzak z rozpędu padł na pierś, a potem na bok. Ostry koniuszek rogu przeszorował po podłodze o piędziesiąt centymetrów od buta magiczki. - Ale żeby już w tej postaci przychodzić?!

Byk w jednej chwili stracił cały animusz. Nawet nie próbując się podnieść, zwierzak uniósł łeb i rozpaczliwie zamuczał, przywołując bogów jako świadków krzywdy biednego małego cielaczka i zbrodni zdradzieckich ludzi.

Spod stołu powoli wylazł troll. Podeszedł do byka, pewnie złapał za gryf bzdynna i wyciągnął go spomiędzy rogów. Skrzywdzone biedactwo parsknęło, ale się nie poruszyło.

Troll chmurnie obejrzał instrument, pokazał bykowi pięść, zarzucił bzdynną na ramię i opuścił karczmę.

- Hej, gospodarzu! - Katissa rozkazująco stuknęła kielichem o stół. - Jeszcze wina!

Beznik nieśmiało wychylił się zza lady, obejrzał panujący bałagan, jęknął i spełznął z powrotem.

- I obsługę mają słabą - wymamrotała magiczka, odsuwając krzesło. - Ale trzeba przyznać, że zabawa wręcz bycza. No to jak, Szeleno, do wieczora? Dam ci znać, jak będziemy gotowi.

- Dobrze, może być. - Również nie płonęłam chęcią, by siedzieć tu dłużej i ostrożnie ominęłam byka możliwie szerokim łukiem.

Przechodząc obok lady, Katissa niedbale rzuciła na nią parę monet. Zza mebla ukazała się drżąca ręka, wymacała zapłatę i nawet zdołała parę razy niemrawo machnąć nam na pożegnanie.



Jeśli idzie o „białe sukienki”, to miałam do dyspozycji wyłącznie koszulę nocną, która niezbyt nadawała się do spacerów po stolicy. Przecież nie będę tłumaczyć każdemu napotkanemu strażnikowi, że łapię groźnego nekromantę, a nie uciekłam ze świątynnego przytułku dla wariatów (szczególnie, że z im większym uporem będę tego dowodzić, tym pewniej zostanę złapana za łokcie i tam zaprowadzona). I to nawet nie wspominając o tym, że nie miałam najmniejszego zamiaru całkowicie zdawać się na ochronę magów. Po przegrzebaniu nielicznych spakowanych w pośpiechu ubrań stanęło na luźnej koszuli, spodniach i lekkich butach, z których w razie konieczności mogłam bez problemu wyskoczyć.

Magiczka chwilę burczała, że niby będzie mnie źle widać z daleka, na co ze stoickim spokojem odparłam: „No to trzymajcie się bliżej”. Ostatecznie stanęło na tym, że wplotę w warkocz jaskrawoniebieską wstążkę. Maren zaproponował, że dodatkowo doczepi do niej magiczną „latarenkę”, ale Katissa po chwili namysłu utraciła ten pomysł - Rimar mógł rzecz wyczuć.

- Jeszcze mi tam doczepcie cegłę - poradziłam sarkastycznie. - I tak będzie miała więcej sensu niż wasze zaklęcia, wystarczy tylko machnąć głową...

Magowie się obrazili, nadęli, w pośpiechu powtórzyli zalecenia i uciekli za bramę. Oczekałam umówione pół godzinki, potem dla pewności kolejne dziesięć minut. Żeby mnie tylko Weres nie zauważył z okna! Co prawda jego aula znajdowała się po drugiej stronie budynku, ale przecież różnie może być - będzie szedł korytarzem, przypadkiem spojrzy...

- Hej, Szeleno! - Rest, który akurat wyskoczył na ganek, nie miał pojęcia, jak bardzo nie cieszę się na jego widok. - A gdzie jest Ruda?

- Czemu pytasz?

- A nic, mam teraz przerwę, mógłbym z nią wyjść... trochę ci pomóc. Prawie załkałam z wdzięczności.

- Zapytaj smoka, on ją widział jako ostatni. - Odwróciłam się w kierunku jaskini, przystawiłam dłonie do ust i krzyknęłam: - Lewaaark! Jaszczurko łysa! Tu znowu ktoś do ciebie w sprawie baraninki!

„Pomocnik” w jednej chwili stracił cały zapał do pracy i bez pożegnania zniknął z powrotem w szkolnym gmachu.

- Kocham dzieci, są takie smaczne! - wymamrotałam z uczuciem, otwierając skrzydło bramy Faktycznie nie miałam pojęcia, gdzie jest psica, ale zaledwie przed chwilą widziałam smoka odlatującego w kierunku lasu. Spasł się gad jeden na szkolnym wikcie, brzuch mu zwisał poniżej łap.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak wyklinają mnie czekający magowie i zrobiłam krok za próg.

Najpewniejszym (zdaniem ludzi) i najdurniejszym (z mojego punktu widzenia) sposobem polowania na pomroki była owieczka, przywiązana na skraju lasu. Nawet wilk z łatwością zrozumie, że ona nie tak po prostu tam beczy! Zamiana ofiary na młodą pannę (która darła się znacznie głośniej od owieczki) nieco polepszała sprawę: kudłak czy strzyga mogli stracić głowę z żądzы krwi i rzucić się na przynętę. Ale z prawdziwym wilkołakiem, takim jak ja, takie numery odpadały. Znacznie weselsze było wywączanie siedzącego w krzakach myśliwego, podkradnięcie się do niego od tyłu, zamknięcie oczu łapami i spytanie kuszącym tonem „Zgadnij kto to?” (w tym miejscu zwykle okazywało się, że wrzaski panny ofiarnej wcale nie stanowiły szczytu ludzkich możliwości).

A tutaj mieliśmy do czynienia z pomysłowym, inteligentnym i opanowanym nekromantą, na dokładkę wypełnionym magią i już od tygodnia grającym na nosie stołecznym magom. Zdecydowanie nie była to osoba, która rzuci się na mnie z okrzykiem bojowym i pulsarem w gołych rękach. Katissa również tak uważała. Rimar na pewno zastosuje coś sprytnego, rzadkiego i niepozostawiającego śladów. Ale tak skomplikowanych zaklęć nie wyplata się w jednej chwili, i właśnie na to czarodzieje liczyli.

Gdy tylko poczują ruch pola magicznego, rzucają się w tamtym kierunku, przy okazji zawiadamiając kolegów.

Czas mijał, ja sobie spacerowałam. Najpierw do centrum miasta, potem skręciłam w cichą uliczkę i ruszyłam, gdzie oczy poniosą, starając się nie włączyć w całkiem już głucho okolice czy przeciwnie, nadmiernie ludne. Trzeba jednak było wziąć ten koszyk - kupiłabym wełny w napotkanym kramie i udziergała dla Rojma ciepły kaftanik i spodenki na jesień. W końcu i tak siedzę po pół dnia sama, nudząc się jak lis w jamie. Nie miałam ochoty nieść kłębków w rękach ani rzucać ich w błoto, w razie gdybym musiała szybko uciekać.

Nogi już zaczęły mi się męczyć, a nekromanta nadal nie miał ochoty pokazywać swojego mistrzostwa i sprytu. Słońce zniknęło za dachami i chociaż niebo nad nimi nadal było jasne, pomiędzy domami zaczął zbierać się mrok, a grzebiące w śmieciach wrony ustąpiły miejsca szczurom. Od strony głównej świątyni w Starminie dobiegły dźwięki dzwonów, zwołujące wiernych na wieczorne modły. Wstyd przyznać, ale odetchnęłam z ulgą. No i już, koniec polowania! Akurat niedaleko stąd do Szkoły, jakieś piętnaście minut drogi.

Mimowolnie przyśpieszyłam kroku, chociaż czego niby miałam się bać? Co prawda ulica była długa i pusta, ale niedaleko rozbrzmiewały

głosy przechodniów, a okiennice w domach nie były jeszcze pozamykane. Albo Rimar jednak zauważył magów, albo wolał włożyć swoje bezcenne mordercze wysiłki w kogoś bardziej godnego. W sumie to nawet przykre...

W kolejnej chwili z oburzającą bezczelnością ktoś narzucił mi worek na głowę, jedną ręką zacisnął przez niego usta, drugą (czy raczej czymś podejrzanie przypominającym sztylet) groźnie ukłuł pomiędzy żebrami, odbierając ochotę na wierzganie, i jednym ruchem wciągnął pod arkadę.



Łagodnie mówiąc, sytuacja nie należała do przyjemnych. Zaułek był wąski i brudny, a ściana, do której tuliłam się łopatkami - zimna i wilgotna.

Stojący naprzeciwko nekromanta również nie wyglądał na specjalnie zadowolonego. Tak samo jak moi „obrońcy” chmurnie sapiący obok.

- Co tu robicie o tak późnej godzinie? - zapytał uprzejmie złoczyńca, przenosząc spojrzenie z jednej niezadowolonej twarzy na drugą i trzecią.

- Sam nie widzisz, czy jak? - nie wytrzymała Katissa. - Łapiemy Rimara!

Najeżyłam się wewnątrz. Oj zaraz oberwiemy wszyscy! Weres miał rację, nasz plan posiadał... eee... pewne braki, ale po co informować o tym w taki sposób?! Nadal się pode mną nogi uginały, mimo że z boku nie było tego widać. Maren w ogóle był blady jak płótno i nawet Katissa garbiła się z poczuciem winy. Jeżeli czarodziej będzie chciał nas teraz zrugać, to ja też będę miała mu coś do powiedzenia! Myślałby kto, że ja

się nie martwię, jak on znika na całutki miesiąc - w głuchych lasach, gdzie w razie czego nawet kości po nim nie znajdą! Ale przecież mu nawet słowa nie mówię, każdy ma prawo decydować za siebie...

- Aaa... - mruknął Weres z namysłem, składając worek. - W takim razie przepraszam, że przeszkodziłem. Szel, jak już..., jeśli będziesz wolna, to poczekaj na mnie w pokoju, dobrze? Za pięć minut zaczynam zajęcia praktyczne, wrócę koło północy.

Po czym uprzejmie skinął głową kolegom i ulotnił się. Och, lepiej już, żeby krzyczał!

Katissa odchrząknęła.

- Dobra - powiedziała. - Chodźmy z powrotem. Jutro... spróbujemy znowu.

- Oczywiście - przytaknęłam. - Tylko tym razem to ty robisz za przynętę!

Magiczka spochmurniała jeszcze bardziej, upodabniając się do posągu nad grobem.

- Wiesz no, Szakkarski przecież się specjalizuje w wilkołakach. - Maren spróbował pocieszyć ją i siebie przy okazji. - Wie, w jaki sposób pozbawić je węchu, i Szelenę też dobrze zna. Nie wspominając o tym, że pewnie łyknął „Łasicy” dla zwiększenia szybkości reakcji.

- Weres bez żadnych eliksirów łapie pulsara w locie - zbyła go Katissa z irytacją. - Myślał kto, że jego samego w dzieciństwie wilkołak pogryzł. Świr!

- Mam wyświadczyć ci identyczną przysługę?

Z jakiegoś powodu magiczka nie miała ochoty skorzystać z mojej uprzejmej propozycji i przyśpieszyła kroku. Maren przeciwnie, został z tyłu, więc do Szkoły wróciliśmy osobno i z dużymi przerwami.

Wszyscy doskonale rozumieliśmy: to co zrobił jeden nekromanta, drugi też da radę powtórzyć.



Na noc szkolna brama była zamykana na głucho - mysz nie przemknie. Nie zaryzykowałam proszenia odźwiernego o klucz: może i da, ale na pewno zamelduje Ksanderowi. Drzemiący w fotelu staruszek poderwał czujnie głowę, kiedy na paluszkach przekradłam się obok i złapałam za klamkę. Pewnie jeszcze nałożył na nią jakieś zaklęcie! Musiałam skłamać, że nie mogę zasnąć: martwię się o, hm, pewnego wykładowcę, który zniknął w nocy z hordą adeptów wręcz palących się z chęci, żeby zobaczyć prawdziwą cmentarną strzygę (zapewne tylko do momentu, kiedy faktycznie takową zobaczą). Więc lepiej poczekam na niego przy bramie.

Odźwierny ziewnął ze zrozumieniem i pstryknął palcami - ni to zdjął zaklęcie z drzwi, ni to po prostu strzelały w stawach ze starości i miał to być gest „no dobrze, możesz iść”.

Żeby tylko nie trafić na Weresa naprawdę! Do północy zostawało tyle co nic, położyłam się na krótką drzemkę przed wyprawą i nieco zasnęłam.

Przełazenie przez mur w zwierzęcej postaci to drobiazg, ale w takiej sytuacji na dwór wyskoczyłyby nie tylko odźwierny, ale też wszyscy magowie bojowi. W najlepszym razie mnie zrugają, w najgorszym pochowają: czarodziejów mamy dziś nerwowych, nic tylko harpie im w głowie. Weres mówił, że po wczorajszej hucpie zaklęcia strażnicze zostały odnowione i nie powinnam nawet dotykać ogrodzenia.

Ale miałam w zapasie pewien pomysł.

- Hop-hop, jest ktoś w domu? - Tym razem nie stanęłam naprzeciwko wejścia do jaskini tylko wołałam zza rogu.

- Znowu ty?! - jęknął burkliwie mrok, zapalając żółte oczy. Z niewiadomego powodu dwie pary: małe i duże.

- Hau-hau-hau! - Te mniejsze rzuciły się na moje spotkanie. Czym prędzej wystawiłam łokieć, przeszkadzając Rudej w obślinieniu pańskiej twarzy.

Za psem z jaskini wychylił się smok, odcinając mi drogę ucieczki.

- No to, jakie śsswińsstwo planujesssz tym razem?

- Dlaczego od razu świństwo? - Zachowywanie spokojnego wyrazu twarzy, kiedy z bliskiej odległości oddycha na ciebie gigantyczna, nigdy nieczyszczona paszcza, wcale nie jest łatwe. - Mam do pana niewielką prośbę.

- No przecież mówię, śsswińsstwo! - Lewark wyraźnie obudził się w podłym humorze. Zresztą, po poznaniu kilku smoków zaczynałam skłaniać się ku myśli, że jest to ich normalny stan.

- Mogę nie prosić. - Poczochrałam psicę po gęstej kryzie ciesząc się, że mam czym zająć ręce. - Bo mam pewien pomysł w kwestii ochrony pana dobrego imienia..., ale jeśli nic to dla pana nie znaczy, to przepraszam najmocniej, że przeszkodziłam.

Lewark wylazł z jaskini w całości, z zainteresowaniem wygiął grzbiet i oplótł łapy ogonem, jak kot przy mysiej norze.

- A dokładniej?

Kłamanie tak staremu smokowi nie miało sensu, zresztą nie miałam zamiaru.

Pomysł mu się spodobał. Lewark nawet raczył mruknąć z zadowoleniem i doprecyzował:

- Czego w takim razie chcesssz ode mnie? Żebyś tam zaniósssł?

- Nie, w zupełności mi wystarczy, jeśli usiądzie pan pod murem i uniesie nad nim łeb.

Smok spojrzał najpierw na ogrodzenie, potem na mnie - ze znacznie większym szacunkiem.

- A sssię nie potłuczesssz?

Wyszczrzyłam kły w uśmiechu.

- Dobra, włącz - zezwolił Lewark po chwili wahania, wystawiając przednią łapę jako schodek i skrzydło zamiast poręczy. Wspięcie się po ozdobionej grzebieniem szyi również nie było trudne.

Nie marnowałam czasu na patrzenie w dół i przymierzanie się, tylko od razu skoczyłam.

- Och!

- Co? - zaniepokoił się smok.

- Nic, nic... - Lekko się przeceniłam, obrośłam tłuszczkiem od tego spokojnego życia.

- A jak planujesssz wrócić?

- Zapukam do bramy. - Uznałam, że nie będę nadużywać jego dobroci. Za murem głośno skarżyła się Ruda, której nie zabrano na nieplanowy i na pewno wesoły spacer. - Ghysza! Cicho! Czekaj na mnie tam!

Psica wybuchnęła już kompletnie rozpaczliwym wyciem. Musiałam więc możliwie prędko zmykać spod Szkoły - w kierunku lasu, gdzie mogłam bez przeszkód zmienić postać i ruszyć w kierunku miejskiej bramy już na czterech łapach.

Na spotkanie spiskowców byłam beznadziejnie spóźniona, ale wywąchanie ich śladów nie stanowiło problemu: panowie przeszli tu mniej niż pół godziny temu. Zresztą, i tak nie zamierzałam stawać im na drodze ze łzawym: „Pokajajcie się, grzesznicy!” Może z religijnego

punktu widzenia powstrzymanie zła jest bardziej słuszne, lecz z pragmatycznego karanie go jest znacznie ciekawsze!

Kiedy dotarłam na miejsce, czyli do wioski leżącej wiorstę od Starminu, w jednym z jej ogródków prace wrzały na całego. Najbardziej robotny gospodarz nie rozwinąłby takiej prędkości jak nocni goście. Chwilę podziwiałam zorganizowanie (jeden kopie, drugi układa, trzeci w pocie czoła wydeptuje na spulchnionej ziemi „smocze” ślady), po czym przekradłam się do stojącej nieco dalej, za sadem jabłoniowym, chaty, stuknęłam w okiennicę i niezbyt głośno, ale wyraźnie warknęłam do dziurki-serca na środku:

– Hej, gospodarzu! To twoi krewni ziemniaki kopią przy dobrej pogodzie, czy może obcy kradną?

Po niespełna trzech sekundach na ganek wyskoczył wściekły chłop uzbrojony w pogrzebacz. Pokręcił głową, nie znalazł dobrego ducha, ale za to przekonał się o prawdziwości jego słów.

– Ach wy strzygi zapchlone, pryszczycie wam na tyłki! Zaraz was na placki przerobię!

Liczyłam, że złapani na gorącym uczynku złodzieje w panice rzucają worki i uciekną, a ja zadbam, żeby dotarli do miasta szybciej niż konie pocztowe. Ale z chłopców jeszcze nie do końca wywietrzała alkoholowa odwaga, a rozkład jeden na trzech wydał im się mało przekonujący. Gospodarz nie zdążył nawet wziąć zamachu pogrzebaczem, kiedy wyrwano mu broń z ręki, złapano za koszulę i przygotowano się do leczenia z bezsenności metodą ręczną.

Tak więc dobro i sprawiedliwość nie mogły tego tak zostawić.

– Wilkołak! - wrzasnął chłop i nie tylko przestał się wyrywać, a wręcz spróbował wskoczyć w objęcia trzymającego go złoczyńcy

– Znalazł sobie idiotów! - prychnął pogardliwie tamten.

- AAAA! - zaprzeczyli jego kompani, którzy patrzyli w tę samą stronę co właściciel ogródka.

- Uuu! - włączyłam się do chóru, dla zwiększenia efektu stając na tylnych łapach i rozpościerając przednie.

Po czym w ogrodzie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Zamknęłam paszczę i z namysłem spojrzałam na trzy malowniczo rozłożone na zieleninie ciała. Chłop tym razem okazał się bardziej odporny - chyba wpływ hartowania „smokiem”.

- M-m-może weźm-m-mie szanown-n-ny p-p-pan ziem-m-mniaczka?
- wydukał, wskazując palcem porzucony przez złodzieja worek.

Wyraziście pokręciłam pazurem przy skroni, ale potem niespodziewanie pomyślałam: „W sumie czemu nie? Dlaczego tylko Weres ma nosić żywność do domu?!”

Na oko w worku było coś koło puda. Zmieściłoby się więcej (przez głowę przemknęła mi podła myśl, że zbyt szybko się pośpieszyłam), ale za to łatwo było nieść - tylko zarzucić na grzbiet i przytrzymywać zębami koniec. Pozostawało mieć nadzieję, że chłop po odejściu „wybawicielki” nie zapomni, po co tam stoi i złapie złodziei. Bo wyglądał tak, jakby miał się zaraz położyć koło nich.

Nie, wszystko w porządku, z tyłu rozległy się głośne wrzaski - chyba sąsiedzi przybiegli na pomoc.

Z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku przyśpieszyłam kroku. Tylko co by tu teraz zrobić z tymi ziemniakami? Jakbym miała nieść do domu dookoła, po opłotkach - daleko.

Bezpośrednio - niebezpiecznie. Starmin to nie Wysiedlisko, tu się nie da tak po prostu biegać po ulicach: centrum jest jaskrawo oświetlone i pełno tam ludzi nawet w środku nocy. Do Szkoły? To dopiero będzie widok, jak zjawię się pod bramą z brudnym workiem wątpliwego

pochodzenia! Dobra, chwilowo schowam zdobycz na skraju lasu pod chrustem - w miejscu, gdzie obecnie leżało moje ubranie.

Na górze worka znalazła się również marchewka. Przegarnęłam ją ręką (z pięć funtów, pęczek z bazaru nie może się równać!), zawiązałam worek i wepchnęłam go głębiej w krzaki. Wyprostowałam się i wciągnęłam powietrze. Wiatr krążył po polu pomiędzy lasem a Szkołą jak zając: raz naskoczy z lewej, raz z prawej. Czarodzieje go ganiają z wieży pogodowej, czy jak? Otoczony murem budynek z trzema wieżami w mroku wydawał się twierdzą, broniącą dostępu do Starminu. Jednak miałam wrażenie, że za kilka lat rosnąca stolica pochłonie ją razem z polem, a może nawet lasem. I będzie sobie Szkoła stała pośrodku miasta, ku rozpaczki mieszkańców.

Kiedy mijałam sadzawkę, w której za dnia pluskali się ogłupiali z gorąca adepti, wiatr po raz kolejny zmienił kierunek, uderzając mnie prosto w twarz. Przyniesiony nim zapach sprawił, że z warczeniem podrzuciłam głowę i wtedy dostrzegłam zbliżający się pulsar, ciemnoniebieski z białą połyskującą obwódką. Leciał jakoś dziwnie, zbyt wysoko i powoli, ale na wszelki wypadek wskoczyłam do sadzawki, kątem oka dostrzegając, jak kulka raptem rozbłysła i wybuchła setką świecących nici.

Magiczna sieć jak kania spadła w dół, ale ja byłam już daleko. Czy raczej głęboko.

Wbrew obawom sadzawka okazała się czysta jak kryształ - pewnie magowie się o to postarali. Przez głęboką na sążęń wodę widać było nawet jaskrawą plamkę księżyca.

Jak każda porządna pomroka mogłam z pięć minut wytrzymać bez powietrza. W postaci zwierzęcej nawet dłużej, ale jak to się mówi: „lejąc z dachu kaftana nie zmieniasz”.

Niespodziewanie lustrzana powierzchnia nad głową zaiskrzyła i załśniła: nekromanta nie planował ograniczać się do jednego pulsaru. Nadzieja na przeczekanie pod wodą pękła jak uciekający z moich ust pęcherzyk powietrza. Skóra zaczęła paskudnie szczypać, a we włosach poruszało się coś jakby pluskwy. Co on teraz robi?!

Woda powoli przestała świecić, ale nie zdążyłam się ucieszyć, kiedy w mych uszach nienaturalnie zbulgotało:

– Wyłaż. - Głos spokojny i paskudnie pewny siebie.

No cóż, sadzawka duża nie była, żadnych trzcin na brzegach, więc nie miałam się gdzie podziać. Albo zdam się na wątpliwą łaskę renegata, albo jemu na złość sama zdechnę z braku powietrza już za minutę czy dwie.

Wypłynęłam i z trudem powstrzymałam kaszel. Jak umrzeć to z honorem!

– Podejdź.

Niechętnie ruszyłam w stronę stojącego na brzegu nekromanty. Ten nie poganiał, ale i nie zdejmował ze mnie skupionego spojrzenia, jak rybak podciągający do łodzi złapanego szczupaka.

W końcu zobaczyłam nieuchwytnego przestępcę w całej okazałości, w szarym długim płaszczu i wysokich butach.

Rimar wyglądał, jakby miał około trzydziestki, chociaż prawie nic nie mówiło to o jego prawdziwym wieku (po prostu nie mógł być młodszy). Domieszka elfiej krwi bardziej wpłynęła na jego figurę, wysoką i chudą, niż na rysy twarzy. Oczy wyglądały zupełnie normalnie, nos był duży, drapieżnie wygięty, wargi nieco zbyt pełne, ale skrywały to schludnie przystrzyżone wąsy. Nawet nazwałabym go przystojnym, ale sytuacja jakoś nie skłaniała do komplementów.

Nekromanta z kolei obejrzał sobie mnie, bez ceregieli pokręcił za podbródek (zachowywałam pogardliwie milczenie, starając się nawet nie oddychać bez wyjątkowej konieczności) i wydawał się całkiem zadowolony.

– Idź do Szkoły i zabij swojego kochanka Szakkarczyka - rozkazał i... cofnął się, zwalniając mi drogę.

Sarkastyczne „a sam się boisz?” utknęło mi w gardle. Czy Rimar poważnie liczył na to, że tak po prostu pójdę i wykonam jego rozkaz?! Czy może zrobił mi coś telepatycznie i rzucę się na Weresa, jak go tylko zobaczę? Ale czy to w ogóle działa na pomroki? I jeśli tak, to czemu inni magowie z tego nie korzystają? W końcu taka wygoda: złapał jedną strzygę, zaczarował i poszczuł na pozostałe...

Niepewnie zrobiłam krok, potem drugi, na próżno wyęzając słuch: nekromanta ani drgnął. Czy może zwyczajnie czekał, aż odejdę dalej? Albo miał nadzieję, że rzucę się do ucieczki jak „uwolniona” przez kota mysz i będzie miał okazję się ze mną zabawić? A ghyr ci!

Zaryzykowałam spojrzenie do tyłu dopiero pod samą bramą. Na brzegu sadzawki nie było nikogo, ale wiaterek-sojusznik podpowiedział, że mag zniknął w lesie. Żeby tylko nie znalazł moich ziemniaków... Bogowie, o czym ja w ogóle myślę?!

Sięgnęłam do mosiężnej kołatki, ale okazało się że brama była nie tylko nie zamknięta lecz wręcz uchylona! Czy może Weres zapomniał jej zamknąć po powrocie? Ale on prędeż głowy na cmentarzu zapomni, i odźwierny też by zauważył!

O ile oczywiście nadal siedział na miejscu.

Skonsternowana spojrzałam dookoła. Nie dostrzegłam śladów walki ani nikogo obcego - staruszek opuścił posterunek z własnej woli. I gdzież on łązi w środku nocy? Czy może przyparła go zwyczajna

potrzeba i szybko pognał na dwór? Ale przecież wychodek był koło ganku, a nie za bramą.

Zawołałam nieobowiązkowego, strażnika lecz nie dostałam odpowiedzi, więc wbiegłam po schodach na swoje piętro. Niestety, w pokoju czekało mnie kolejne rozczarowanie. Weres wrócił ze swoich zajęć - a przynajmniej wróciły jego kurtka, torba i łopata - po czym znowu gdzieś poszedł. Odmeldować się u Ksandra, czy jak? Naprawdę nie mógł poczekać do rana..., czy też coś się stało? To może przespaceruję się do gabinetu arcymaga? Po mojej relacji i tak wszyscy się tam zbiorą!

Skręciłam za róg i mimowolnie cofnęłam się, przestraszona. Potrząsnęłam głową, warcząc z irytacją sama na siebie.

Na środku korytarza, naprzeciwko drzwi do pokoju Katissy Babskiej, stał wypchany gryfon. Z jego obroży zwisała resztką łańcucha, tak z pięć oczek.

- Bardzo śmieszne - mruknęłam, w marszu zastanawiając się, czy powinnam uprzedzić magiczkę o kolejnym psikusie adeptów, czy sama sobie poradzi. Oczywiście nie była osobą skłoną do omdleń, ale cenny eksponat mógłby poważnie ucierpieć. Szczególnie, że pora nowego księżycy jeszcze nie minęła.

Nie, miałam w tej chwili ważniejsze sprawy od humorów Katissy. Z irytacją klepnęłam gryfona w tyłek, jak gdyby żądając, by ustąpił mi drogi.

Zwierzak drgnął i z chrzęstem odwrócił łeb w moim kierunku. W pozbawionych wyrazu szklanych oczach odbijało się światło księżycy. Dziób szczęknął jak kleszcze kowalskie i ledwo zdążyłam odskoczyć.

- Hej, co to za żarty?!

Stwór rozpostarł skrzydła, wyciągnął nastroszoną szyję, ale z jego gardła wydarł się tylko głuchy szelest. Za to cios ogonem w podłogę był jak najbardziej mocny i robił wrażenie.

Nie zadawałam już głupich pytań, tylko odwróciłam się do okna. Drugie piętro, do ziemi jakieś sześć sążni..., ale wcale nie zamierzałam skakać. A przynajmniej nie w dół. Szerokiego szkolnego korytarza starczyło na jakieś pięć kroków, akurat, żeby wziąć odpowiedni rozbieg, podskoczyć i złapać za karnisz do zasłon. Podkuliłam nogi, a po piętach smyrnęły mnie sztywne gładkie pióra, po czym usłyszałam brzęk szkła i wycie wiatru. Niestety, orzechowa żerdź była obliczona na wieszanie szmat, a nie wilkołaków. W następnej chwili złamała się w pół, wyślizgnęła z przybitych do ściany haków, a ja runęłam na podłogę.

Kiedy, nie potrafiąc powstrzymać kichania, wyplątałam się z ciężkich zakurzonych płócien, gryfona na korytarzu już nie było. Okazało się też, że nie potrafił latać: na ziemi pod oknem widniała gigantyczna żółta plama, doskonale widoczna nawet ludzkim okiem. Lekko zmrużyłam moje zwierzęce oczy i przekonałam się, że to trociny, które wysypały się z pękniętego przy upadku kadłuba. Po bokach tragicznie poniewierały się białe skrzydła.

Czyli jednak był wypchany? Ale kiego ghyra...?!

Ostatnie zdanie powiedziałam w duecie z Katissą, która przewieszała się przez parapet tuż obok. Z ubrania wierzchniego miała na sobie głównie kolczyki, cała reszta była na wskroś przezroczysta i nawet bez tego szczyliła się wyjątkowo małymi rozmiarami. Za to na nogach magiczka miała wysokie sznurowane buty - ni to w nich spała, ni to je wytresowała, by same wciągały się na nogi, kiedy tylko właścicielka spuści je z łóżka. Jeżeli wczoraj wyskoczyła z pokoju w

takim samym stroju, to adepci zdecydowanie mogli uznać, że gra była warta świeczki.

- Milutki peniuar. - Nie potrafiłam się powstrzymać. Do szczątków gryfona podskoczyła jasna plamka, która zaczęła je wściekle obszczekiwać.

- A ty sama jak wyglądasz? - Katissa skrzywiła się ze wstrętem i odsunęła.

- Na mnie tak właściwie to Rimar napadł! - poinformowałam ją mściwie.

- Gdzie?!

- Koło szkolnej sadzawki.

- Jeszcze mi powiedz, że go w niej utopiłaś - parsknęła magiczka pogardliwie. - Czy ho-ho, zlitowałaś się i puściłaś wolno?

- W zasadzie to on mnie puścił - przyznałam, nieco stropiona. - Nawet otworzył szkolną bramę.

- Własnoręcznie i z ukłonem? - zażartowała Katissa.

- Nie, ale wydawał się wiedzieć, że nie jest zamknięta!

- Jest.

- Wcale nie, dopiero co przez nią weszłam!

- Sama zobacz. - Magiczka wskazała palcem za okno. Skrzydła istotnie dokładnie przylegały do siebie, a w poprzek nawet leżała zasuwa, wyglądająca na całkiem solidną.

- I gdzie się w takim razie tak załatwiłam, co? - Demonstracyjnie rozłożyłam ręce w mokrych rękawach.

- Nie mam pojęcia - przyznała Katissa. - Może wpadłaś do smoczego poidła? Weź no chuchnij...

- Słuchaj, czarodziejko - warknęłam jej w twarz, tracąc cierpliwość. - Nie rozmawiasz ze smarkatą adeptką! Mogłabym być twoją matką, więc

zdobądź się na minimum uprzejmości!

- A ile masz lat? - spytała magiczka sceptycznie.

Powiedziałam.

- Ha! - Katissa zapalczywie rzuciła nieco większą liczbę.

- Kłamiesz, jesteś ode mnie trzy lata młodsza! - Pierwszy raz widziałam, żeby kobieta podając wiek dodała sobie lat. Ja parę odjęłam.

- Weres mi powiedział.

- Ale i tak z tą matką przesadziłaś - burknęła magiczka z niezadowoleniem. - Ale „dwie stare flądry” to będzie akurat! Dobra, włącz i opowiedz, co się tam u ciebie stało. Tylko od samego początku i po kolei.

Tym razem Katissa słuchała znacznie uważniej i zmusiła mnie do dokładnego opisanego nekromanty. Zadawała pytania: czy patrzył mi w oczy? Przez ile sekund? Mało... Nie miał przypadkiem w dłoniach jakiegoś amuletu? Nie próbował mi czegoś założyć na szyję? A w ogóle dotykał? Gdzie?

Po zbadaniu zbezczeszczonego przez Rimara podbródka magiczka z żalem przyznała, że nie zaszły w nim żadne zmiany. Cofnęła się, z roztargnieniem pomiętosiła kolczyk i niespodziewanie wybuchnęła śmiechem. Nieco histerycznym, ale szczerym:

- Oooo, tha ir... chyba rozumiem... ghyr, jak komu opowiem, to nie uwierzy!

- W co?

- Rimar nie ma pojęcia, że jesteś pomroką! Uznał, że... utonęłaś! Lśnienie wody to był efekt uboczny zaklęcia nekroekshumacji!

- Czyli on mnie wziął za...

- Za zombie! Pustogłowego truposza! Który został podniesiony jego wolą i jest mu absolutnie posłuszny! Co za wspaniały pomysł: rozerwać

wroga zębami jego ukochanej albo zmusić Weresa, żeby cię zabił, nawet już nieżywą!

- Chwilowo jestem nawet całkiem żywa - odcięłam się. Pomysł nekromanty i zachwyt Katissy nie budziły we mnie szczególnie pozytywnych uczuć. - Ale jak on mógł się tak pomylić?!

- Moja kochana, jak ktoś przez pięć minut siedzi pod wodą i potem wyłazi stamtąd nawet nie kaszląc, to naprawdę trudno zwątpić w jego śmierć!

- A może jestem magiem?

- A może jesteś rusałką? - przedrzeźniła mnie Katissa. - Pewnie stanęłaś przed nim jak teraz: twarz blada, źrenice jak szczelinki, kły w pełnej okazałości! Za kogo jeszcze on mógł cię wziąć?

Opis faktycznie brzmiał tak sobie. Poczułam dreszcze - ni to z powodu mokrego ubrania, ni to opóźnionego szoku.

- Rimar jest przekonany, że Weres nienawidzi wilkołaków - ciągnęła Katissa, bez najmniejszego skrepowania ściągając peniuar (istotnie nie było tam na co patrzeć, pani mag bojowy miała figurę jak pejcz - muskularny brzuch był bardziej wyraźny od piersi) i łapiąc ze stołu czerwoną jedwabną koszulę. - A już zdecydowanie nie będzie ich płodził. Idź, też się przebierz, bo jeszcze faktycznie zdechniesz, na przykład na zapalenie płuc.

- Chyba lepiej będzie jak zmienię postać.

- Lepiej dla kogo? - spytała podejrzliwie Katissa.

- Dla sprawy! Mam w niej ostrzejszy węch i słuch. Bo z waszych zaklęć pożytku tyle co nic: po Szkole i harpie latają, i gryfony biegają, i nekromanta wchodzi przez główną bramę jak do siebie do domu...

- Czekaj no... - W pogoni za jakimś pomysłem magiczka rozluźniła palce i już prawie założone spodnie opadły jej do kostek. - Jeżeli Rimar

faktycznie znalazł wytrych do zaklęcia stróżującego i otworzył bramę, to co przeszkodziło mu w wejściu do środka?

- W zasadzie to on szedł w kierunku lasu.

- Dobra, tylko skąd? - Katissa wyraźnie zbladła. - O bogowie... A jeśli on już od tygodnia mieszka w Szkole, u nas pod nosem?!

- Udając adepta? I sumiennie chodzi na wykłady?

- Nie, wykluczone - zaprzeczyła magiczka po chwili namysłu, znów podciągając spodnie. - Niezależnie, jak dobrą iluzję by rzucił, szkolne zaklęcia zniszczą ją w ciągu minuty albo dwóch - w przeciwnym razie adepci-prymusi zaliczaliby egzaminy po pięć razy, w imieniu połowy grupy. Ale przekraść się do Szkoły w nocy...

- Mając nadzieję, że nie spotka nikogo na swojej drodze? Chociażby odźwiernego.

- Którego, jeśli mam ci wierzyć, nie ma na posterunku.

- To w tej chwili. Ale przecież Rimara prawie codziennie widziano na mieście, a i w nocy, o ile mam ci wierzyć, nie śpi! Czyli co, łązi tam i z powrotem?

- Ghyr go wie. Ja już niczego nie jestem pewna - wymamrotała magiczka, wieszając za plecami pochwę miecza. - I nie mam pojęcia, czemu on się tak wyzywająco zachowuje. Zakradłby się do Szkoły po cichu, zabił nas...

- Wszystkich?! - Żywo wyobraziłam sobie górę trupów, na szczycie której leży Ksander i krwiożerczego nekromantę u jej podnóża kompletnie bez sił.

Zmieszana Katissa nie ciągnęła tematu, tylko rzuciła szybkie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze i burknęła:

- Dobra, chodźmy do dyrektora.



- Nie, to już nie jest śmieszne! - obruszyła się magiczka, potrząsając stłuczoną o drzwi ręką.

- A gdzie jest jego sypialnia? - Powęszyłam koło szczeliny, ale gabinet dyrektora niezbyt różnił się od ludnej ulicy. W dodatku na korytarzu niedawno działała sprzątaczką, która ostatecznie wymieszała zapachy i dodała do nich mocną woń zbutwiałej szmaty.

- Też tam, wejście jest od sekretariatu.

- Może śpi i nie słyszy? - spytałam niepewnie. Podniesiony przez Katisę raban obudziłby nawet niedźwiedzia w zaśnieżonym barłogu. Ale kompletnie nie miałam ochoty na szukanie Ksandra po całej Szkole.

Magiczka spojrzała na drzwi ze zwątpieniem.

- Jak jestem mu winna raport, to nawet na paluszkach nie da rady przejść obok gabinetu, a tu nagle i niespodziewanie ogłuchł?

- A telepatycznie nie możesz się skontaktować z dyrektorem albo z Weresem?

- Mogę. Na dystans trzech sążni. W tej przeklętej Szkole czarowanie jest jak jeżdżenie wozem po lesie. - Katissa z irytacją stuknęła obcasem.

- Za dużo zakłóceń i ograniczeń! I gdzież nosi moich kochanych kolegów, żeby ich pokręciło?!

- Może zacznijmy od bramy - zaproponowałam. - Przynajmniej się dowiemy, czy w ogóle są w Szkole.

- Dasz radę to określić? - ożywiła się magiczka.

- Spróbuję. O ile się nie teleportowali.

- Nie, z bramy muszą korzystać nawet arcymagowie - w przeciwnym razie na ghyr nam w ogóle ogrodzenie?

Skromnie nie powiedziałam ani słowa.

- Zamknij oczy, jeśli się boisz. - Katissa lewą ręką złapała mnie za kark, a wskazującym palcem prawej energicznie zakreśliła krąg nad głową.

W następnej sekundzie stałyśmy koło bramy, a pod naszymi nogami rozpełzał się niebieskawy dymek, pachnący wanilią.

- Nie mogłaś uprzedzić?! - obruszyłam się, wrywając i odbiegając na bok.

- I tak powiedziałam o dwa słowa więcej niż trzeba - odcięła się magiczka.

- To które z nich były nadmiarowe?

- Wszystkie. Zwykle mówię: „Żbyrr ftop!”- Jeżeli pani Łabska nie miała gdzieś w swoim drzewie genealogicznym trolli, to z zachwytem by ją adoptowali. - Już, wachaj!

- Stara flądra! - warknęłam, ale posłusznie pochyliłam pysk do ziemi. Wystarczyła minuta, by z całą pewnością stwierdzić:

- Są tutaj, w Szkole.

- A dlaczego masz taki chmurny głos?

- Cała trójka.

Katissa ze złością splunęła pod nogi.

- Przecież mówiłaś, że Rimar odszedł do lasu!

- Widocznie wrócił. - Stałam na tylnych łapach i powąchałam pierścień na bramie. - I zamknął za sobą. Świeżych śladów Ksandra tu w ogóle nie ma, ale za to adeptów przeszło całe stado...

- No a jak, dziś dwie grupy mają zajęcia praktyczne - nekromancja i magia bojowa. Zwykle wykładowcy się umawiają i łączą zajęcia - nekromanta podnosi trupa, a praktyk kładzie z powrotem. Ale stosunki pomiędzy Weresem a Horanem są napięte. Kiedyś się pokłócili na

radzie naukowej, więc pewnie chodzili osobno... Dobra, ghyr z nimi. Gdzie mamy szukać Rimara?

- A nie Ksandera? - W zasadzie ze znacznie większą przyjemnością poszukałabym Weresa, którego zapach kusząco łaskotał opuszczony do ziemi nos. Ech, zamiast się bawić z magiczką i jej durną teleportacją, powinnam była spróbować złapać ślad pod drzwiami naszego pokoju, może czarodziej wyszedł z niego już po przejściu wieczornej sprzątaczkii? - Dobra, Katissa, ty jak chcesz, a ja wracam do Szkoły i...

- Czekaj, a co to jest? - przerwała mi, zmuszając do odwrócenia i zadarcia pyska.

W oknie na drugim piętrze remontowanej wieży mrugał mały żółtawy płomyk.

- Pewnie budowniczkowie - powiedziałam niepewnie.

Jedyna iskierka na tle mrocznego kamiennego kolosa wyglądała wyjątkowo złowieszczo. Szczególnie jeśli się pamiętało o nieproszonym gościu.

- Jacy, na leszego, budowniczkowie w środku nocy?! Oni czekają na wieczorne dzwony z większą tęsknotą niż fanatycy religijni. Byle tylko rzucić wszystko i zwać! Chodź, sprawdzimy.

- Jeszcze na tyle nie zgłupiałam! - Kłapnęłam zębami na jej wyciągniętą rękę. - Ty tu jesteś magiem praktykiem, no to idź i praktykuj, a ja wolę chronić własną skórę.

Pani Łabska podstępnie zmrużyła oczy.

- A co, jeśli właśnie trwa tam walka na śmierć i życie pomiędzy Weresem, Ksanderem i Rimarem? I nasi akurat potrzebują pomocy?

- Coś mi to nie wygląda. - Iskierka bardziej przypominała płomień świecy, z którą ktoś powoli kroczył korytarzem. W tym momencie nocny spacerowicz skręcił za róg i zniknął. - Prędzej tam rzną w karty.

- No to przynajmniej odprowadź mnie do schodów, chyba że to za duży kłopot? - Magiczka gwałtownie zmieniła ton. - Powiesz, czy Rimar po nich wchodził czy nie i możesz spokojnie sobie tchórzyc!

- Ja się nie boję - warknęłam. - Ale nie rozumiem, dlaczego bakałarz magii bojowej zachowuje się jak zielona adeptka, która po raz pierwszy wyjechała na trakt?

- Zanim pobiegnę do dyrektora z meldunkiem, muszę dowiedzieć się czegoś bardziej wartościowego niż twój podkulony ogon - zbyła mnie Katissa z wyższością.

- A Rimar na terenie Szkoły się nie liczy? Tak, wpadł się ogrzać, wypije sobie herbaty w wieży i zniknie?

- Póki co „widziałaś” go tylko ty.

- Czyli nadal mi nie wierzysz?! - Nastroszyłam futro i z warczeniem ruszyłam w kierunku magiczki. Przez chwilę udawała stoicki spokój, ale potem nie wytrzymała i się cofnęła.

- Póki ty się tu krygujesz i jęczysz, już byśmy były na miejscu.

- Co ja słyszę?! Pani Łabska oduczyła się teleportacji?

- Za duże ryzyko - wycedziła Katissa. Widać było, że ma wielką ochotę powiedzieć mi jakieś świństwo, ale boi się do reszty rozproszyć i tak słaby duch jedności. - W czasie wojny wieża mocno ucierpiała, długo się naradzaliśmy, czy w ogóle nie odbudować jej od nowa, ale wyszło, że remont jednak będzie tańszy. I teraz tam wszędzie masz rusztowania i gruz, więc nie jestem pewna, czy dam radę się wpasować pomiędzy nie.

- W porządku. - Ja też zrobiłam gest dobrej woli. - Ale tylko do schodów! A potem idę po dyrektora.

- Oczywiście! - Wyszczierz Katissa miała nie gorszy niż wilkołak.

Nie było mnie przy szturmie Szkoły, ale odnosiłam wrażenie, że w wieżę rzucono gigantycznym kamieniem, który zdjął dach, wpadł do środka, stoczył się po schodach krusząc poręcze i zgniatając stopnie, po czym wypadł przez mur na parterze. Ostatecznie wieża zyskała drugie wejście - czy raczej gigantyczną nierówną dziurę, której na razie dla wygody nie łątano, używając do wnoszenia kamieni i belek. Budowniczowie korzystali z obu wejść - w zależności od tego, które było bliższe, budząc tym słuszny gniew sprzątaczek i odźwiernego.

Zniszczenia nie ograniczyły się do jednej wieży, ucierpiał cały róg Szkoły i magowie musieli ogrodzić go ceglany murkiem w poprzek korytarzy oraz zakłęciami ochronnymi. Schody budowniczowie odtworzyli w pierwszej kolejności i teraz większość prac trwała na pierwszym piętrze.

- Obiecali, że do jesieni skończą - poinformowała mnie sceptycznie Katissa, przechodząc nad sznurkiem z kawałkami materii. - A drugie będą robili już na wiosnę.

- A czemu nie wynajęliście krasnoludów? Przecież oni pracują pięć razy szybciej.

Pod nogami i łapami chrzęścił żwir.

- Ale za to biorą też pięć razy więcej. A jak sama wiesz, Konwent jest teraz w nie najlepszej sytuacji finansowej. Zamiast dotacji dostaliśmy cichy rozkaz, żeby przyjąć do Szkoły możliwie dużo złotonośnych dębów...

- Kogo?!

- Adeptów na płatne studia. Takich, co to nie mają za ghyra daru magicznego - a czasem nawet mózgu - ale rodzice są święcie przekonani, że za pieniądze da się kupić wszystko. Człowiek prowadzi wykład i wręcz słyszy echo w pustych dziuplach...

Katissa przerwała i śpiesznie wyszeptała zaklęcie. Myślałam, że stworzy pulsar, ale zamiast tego zaświeciły jej się źrenice. Pewnie przechodząc nad małymi przeszkodami i omijając duże, podeszła do schodów i spojrzała w górę.

- I co...?

Wyniki obwąchiwania nie były pocieszające. Mimo że pozytywne.

- Przecież tu wszystko jest przez niego zdeptane! - warknęłam z zaskoczeniem. - Słuchaj, czy on nie mógł się zamaskować pod budowniczego?

- Mało prawdopodobne - odparła Katissa niepewnie. - Przecież ciągle przychodzi tu albo Ksander, albo ktoś z wykładowców, sprawdzają, jak idzie remont. Zauważyliby.

- Ksandera też czuję - potwierdziłam. - W tym miejscu przez dłuższą chwilę stali z Rimarem obok siebie i gadali...

- Nadal chcesz szukać dyrektora? - Kuszący głos pani Łabskiej akurat pasował do gorejących oczu, a całość przypominała głodną strzygę.

- Do czego pijesz?

- Piję? Pfe! Ja mówię otwartym tekstem: nikomu nie można ufać! Szczególnie mężczyznom.

Chciałam stanowczo zaprzeczyć, ale w tym momencie trafiłam na kolejny ślad.

- A czy Rimar w tej chwili jest w wieży? - spytała zachłannie magiczka. - Zresztą, o co ja pytam, skoro wszystko tu obłąził, to może się teleportować do woli.

Z piętra doleciał lekki hałas i moje nastawione uszy w jednej chwili sprawiły, że Katissa zamilkła.

- Stój tu - szepnęła, wyciągnęła miecz z pochwy i zaczęła skradać się w górę schodów. Pogardliwie wyszczerzyłam kły i ruszyłam za nią.

Kilka razy obejrzała się z niezadowoleniem, potem zdała sobie sprawę, że nie wie, w który korytarz ma skręcić i jej spojrzenie zrobiło się błagalne. Wielkodusznie wskazałam pyskiem w lewo, siadłam na górnym schodku i na wszelki wypadek zmrużyłam oczy.

Nie minęło nawet pięć sekund, gdy w korytarzu rozległ się dziki wielogłosy wrzask, który wstrząsnął wieżą nie gorzej od wrażego zaklęcia.

Kiedy chichocząc dołączyłam do „towarzyszki broni”, w środku już palił się pulsar, a adepci - jeszcze zupełni smarkacze z pierwszego roku - drżeli i szczękali zębami.

- Co tu robicie, co?! - warczała Katissa, wisząc nad nimi jak głodny kudłak. W świetle pulsara jej oczy już nie świeciły, a „tylko” połyskiwały czerwienią.

- P-p-przechodzimy w-w-wstąpienie - wykrztusił z trudem jeden z sześciu pechowych dzieciaków.

- Do szeregów odważnych magów bojowych - doprecyzowała jakaś bezczelna dziewczynka (która jednak również bała się patrzeć na wściekłą wykładowczynię). - Jeżeli spędzimy noc w wieży z duchami...

- Precz! Wynocha mi stąd!!! - Magiczka wykonała tak impulsywny i skomplikowany gest, że jeśli nie brać pod uwagę utworzonego przy jego użyciu teleportu, wyglądał wyjątkowo nieprzyzwoicie.

- Tak jest, pani bakałarz! - Adepci na wyścigi rzucili się w kierunku lśniącego prostopadłościanu.

- Przecież mówiłaś, że nie możesz się tu teleportować? - spytałam ze zdziwieniem.

- Miałam na myśli, że dotąd. Z powrotem dobrze wiem, gdzie mam ich przerzucić... Czy ty to zrobiłaś celowo?! - Katisse nagle uderzyła pewna myśl.

- Hę? - Spojrzałam na nią niewinnym wzrokiem.
- Przecież od razu wyczułaś, że tu są adeptci! A mnie powiedziałaś, że Rimar!

- Przepraszam, kochana, ale nic ci nie mówiłam! - Wyszczrzyłam się z sarkazmem. - Sama z niezrozumiałego powodu uznałaś i pobiegłaś w górę schodów. A ja za tobą, z czystej ciekawości.

- Ja cię zaraz z ciekawości... - Katissa złowieszczo sprasowała pulsar dłońmi jak natrętnego mola. Ku naszemu zdumieniu korytarz nie wrócił do poprzedniego mrocznego stanu. Niepewnie pokręciłyśmy głowami i zamarłyśmy.

Po galerii drugiego piętra defilował łańcuszek zielonkawo świecących postaci. Szły (leciały?!) absolutnie bezszelestnie, zaś po chwili rozległo się wypełnione złowieszczą rozpaczą wycie.

Duchy już prawie zniknęły w korytarzu, kiedy Katissa niespodziewanie podskoczyła w miejscu i wrzasnęła:

- Zdejmujcie to paskudztwo! Natychmiast! Wszyscy! Co to za maskarada?!

Nadprzyrodzony szereg złamał szyk i zaczął jęczeć już zdecydowanie naturalnie. Najbliższy „duch” niechętnie zdjął pomazane farbą prześcieradło zmieniając się w naburmuszonego adepta - tego, który pytał Weresa o możliwość ponownego zaliczenia.

- Przeprowadzamy rytuał przejścia - poinformował smętnie. - Znaczą się tego, młodych uczymy prawdy czarodziejskiego życia...

- Oż wy zapchlone wagarce, ja wam pokażę, co to rdzawy żtych! Wszystkich wywalę na zbity pysk! - Przy szóstym roku Katissa się nie krępowała, słusznie uznając, że zdążyli poznać trolli język nie gorzej od niej. - Kysz mi stąd!

Ci adepci okazali się bardziej kumaci i teleportowali samodzielnie, choć pojedynczo, zadymiając galerię pod sam sufit. Z boku wyglądało to tak, jakby popękali z przerażenia.

- Nieszczęsne tumany! - syknęła magiczka, powoli się uspokajając. - Żeby na wykładach się tak starali!

- Ale wywalanie za dziecinne psoty to jednak przesada - zauważyłam ostrożnie.

- Daj spokój, nawet ich nie zapamiętałam - zbyła mnie Katissa. - Ale posiedzą do rana spłoszeni i przynajmniej przez tydzień będą grzeczni. To jak, idziemy na drugie?

- A jaki w tym sens? Jeśli Rimar nie jest zupełnym kretynem, to dawno stamtąd zwiął.

- Wątpię. W jego naturze leży akurat liczenie na to, że tak pomyślimy i siedzenie cicho.

- Tak dobrze go znasz?

- Nie - ucięła magiczka. - Okazało się, że nie znam go zupełnie. Ale co za bezczelność - schować się w Szkole! To jedyne miejsce w całym mieście, którego nie przeszukiwaliśmy, licząc na zaklęte ogrodzenie. Tu nawet impulsy poszukiwawcze często się gubią. Czemu tak na mnie patrzysz?

- Nie sądzisz przypadkiem, że głośne opowiadanie o naszych planach stojąc koło schodów jest nieco... eee... nieprzemyślane?

Katissa parsknęła pogardliwie.

- Słyszysz mnie tylko ta osoba, do której się zwracam. Kiedy magowie bojowi pracują w grupie, często używają tego zaklęcia.

- Ale ja nie jestem magiem! (Łabska uśmiechnęła się z samozadowoleniem.) Czyli co, korzystając z okazji mnie też zaklęłaś?!

- Aha. Możesz nie dziękować.

- Ależ skąd, czemu nie, zaraz ci tak podziękuję...

Dolatujące z góry trzask i łomot przeszkodziły mi we wprowadzeniu groźby, tfu, wyrazów wdzięczności, w życie.

- No dobra, tym razem to już musi być Rimar! - podsumowała Katissa z nadzieją.

Ja byłam nastawiona znacznie bardziej pesymistycznie (czy raczej optymistycznie - zależy, jak oceniać spotkanie z nekromantą).

- A ilu macie w tej chwili adeptów na stanie?

- Jakies trzy setki... Czemu pytasz?

- Czyli jeszcze dwieście osiemdziesięciu sześciu gdzieś łązi. No więc, jeśli liczymy średnio po sześć sztuk na raz..., nasze szanse na spotkanie Rimara wynoszą jeden do czterdziestu dziewięciu.

- Czterdziestu siedmiu i pół - poprawiła mnie magiczka odruchowo.
- Nieważne, to był głupi precedens! Utrzymujemy w Szkole najwyższy poziom dyscypliny i porządku!

- Co widać, słyszać i czuć. - O ile parter zamieniono w skład materiałów budowlanych, a pierwsze piętro prawie doprowadzono do porządku, to na drugim ujrzałyśmy rumowisko w jego naturalnej postaci. Przez dziurę w suficie widać było gwiazdy, a ramy okienne szczyrzyły się odłamkami szkła. Wejście do lewego korytarza było zawałone, z prawego wyraźnie ciągnęło wiatrem.

- I czego tak stoisz?

- Idziemy tam - rzuciłam z roztargnieniem, patrząc w kierunku kamiennego osypiska.

Katissa, wbrew moim oczekiwaniom wcale się nie zdziwiła. Podeszła do głazów, przytuliła ucho do największego kamienia, postukała po nim kostkami palców... i odskoczyła z okrzykiem zaskoczenia. Zrobiłam krok

do tyłu, ale tylne łapy się pode mną ugięły, owocując bolesnym lądowaniem na własnym ogonie. Przed nami stał kolejny duch. Tym razem prawdziwy, przed chwilą na naszych oczach wyszedł ze ściany - powoli, żebyśmy miały okazję dokładnie obejrzeć sobie wyłaniające się z kamienia ręce, potem bladą jak kreda twarz i na końcu korpus.

A najgorsze było to, że obie doskonale go znałyśmy.

Nie wytrzymałam i cieniutko zaskomlałam z przerażenia. Katissa odruchowo złożyła palce w znak ochronny, ale w ostatniej chwili jednak się opamiętała i wykonała zamiast niego coś skomplikowanie magicznego. Weres drgnął, otworzył oczy, które jak ognie na mokradłach świeciły nawet przez powieki i zapytał, zdziwiony:

- Dziewczyny, co się stało?

Głos miał całkiem żywy jak na ducha i jak zrozumiałam chwilę później - zapach również.

- Popatrz na siebie - odcięła się Katissa, nadal nieco drżącym głosem. - Z jakiego grobowca wylazłeś?!

- A, to... - Weres potrząsnął głową. W powietrze uniósł się tuman białego pyłu, a jego włosy nieco ściemniały. - Poślizgnąłem się na jakimś świństwie i upadłem w kupę wapna, omal sobie karku nie skręciłem.

- Czyli to ty kilka minut temu tak hałasowałeś?

Czarodziej ze skrępowaniem wzruszył ramionami.

- A to wy się darłyście na pierwszym piętrze?

- Nie do końca - spochmurniała Karissa i, ostatecznie przekonawszy się, że jej kolega nie dołączył do szeregów „klientów”, wróciła pod ścianę. - To twoje dowcipy?

- Coś ty, sam od pół godziny się nad tym zastanawiam. - Weres położył rękę na kamieniu, skupił i zaczął powoli wsuwać ją w ścianę. -

Bardzo skomplikowana iluzja, wszystko łącznie z dotykiem. Z marszu rzucić się tego nie da, ktoś pracował nad zaklęciem przynajmniej kilka dni.

- A co jest za nią?

- Ceglany mur. Trafiłem na niego i ruszyłem z powrotem.

Ale jaki jest sens chowania ściany za ścianą?!

- Może to nie ta ściana? - zastanowił się Weres. - Trzeba wziąć przedwojenny plan Szkoły i policzyć, czy długość zniszczonego korytarza odpowiada odległości od wieży do tej ściany. Może tam jest szeroka nisza?

- Czyli mało tego, że ten ktoś nałożył iluzję, do tego jeszcze mieszał zaprawę w korycie?

- Nie mam pojęcia. Ale ściana jest prawdziwa, solidna. Szel... - Czarodziej wyciągnął rękę w moim kierunku, ale wyszczerzyłam zęby i się cofnęłam.

- Co ty tu robisz?

- A wy? - Weres swoim zwyczajem uciekł od odpowiedzi.

- Przechodzimy rytuał przejścia - odparła Katissa z sarkazmem. - W szeregi świętych wykładowców. Ale faktycznie, kolego, czyżby problemy z bezsennością?

W spojrzeniu czarodzieja mogłyśmy wyczytać „a u was?”, ale po swojej stronie miałyśmy przewagę liczebną oraz wyjątkowo paskudny nastrój.

- Ot, uznałem, że przypomnę sobie młode czasy i przeszukam wieżę. Rest się wygadał, że w nocy dolatują z niej jakieś jęki i hałasy.

- I co? Za moich czasów dolatywały z piwnicy.

- A za moich - ze strychu na wydziale alchemii. Ale nie o to chodzi. Byłaś w tej piwnicy?

- No byłam - przyznała się magiczka niechętnie. - Kupa śmieci i zdziczały kot, który ganiał po niej myszy,

- A na strychu przeciekał dach i przy złej pogodzie wiatr wył w szczelinach. Czyli w obu przypadkach pogłoski miały jakieś uzasadnienie. Tak więc, dlaczego w tym roku adepci wybrali akurat wieżę?

- Ponieważ są adeptami! - parsknęła Katissa bez przekonania. - Mają w głowach tylko psoty i wymyślanie strachów!

- Ale mimo to wy też czegoś tu szukacie - przypomniał czarodziej podchwytliwie.

- Zdecydowanie nie duchów! Żebyś wiedział, my się zajmujemy ważnymi sprawami: łapiemy Rimara.

- I jak sukcesy? Dużo już złapałyście?

- A tobie tylko żarty w głowie! - rzuciłyśmy się na czarodzieja obie jednocześnie. - W dzień nam rozwaliłeś polowanie, teraz się płaczesz pod nogami...

- Rozwaliłem?! Przeciwnie, można powiedzieć, że zwieńczyłem je sukcesem, aby wam nie psuć humorów! - Przyparty do kamieni czarodziej znowu schował się w nich do połowy.

- To może tego gryfona pod moje drzwi też ty przywlokłeś?!

- Piezonego?

- Jakiego? - magiczka zamarła.

- Tego, który panią, szanowna koleżanko, dziobnął tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę? Zwykłego koguta byłoby zdecydowanie za mało dla takiego efektu. - Weres zniknął w osypisku całkowicie. „Szanowna koleżanka”, która w zapale ruszyła za nim, głucho łupnęła czołem o kamień.

- A ty czego chichoczesz?! - wściekła się na mnie, pocierając rosnącego guza.

- Słuchaj, Katisso, ty się naprawdę zachowujesz jakoś dziwnie. Może w końcu wyjaśnisz, o co chodzi?

- Elfy mają na takie przypadki cudowny specyfik - poinformował głos zza kamienia. - „Klimaksel”. Tylko naturalne składniki: leśne zioła, korzenie i jagody, mam nawet gdzieś spisany przepis. Szel, zrobiłabyś może garnuszek dla pani Łabskiej?

- Lepiej ją ugryzę. - Wyszczrzyłam kły. - Puszczanie krwi to też wypróbowana, tradycyjna metoda.

- Starczy tego pajacowania. - Katissa została w mniejszości, więc zniżyła ton. - Rimar naprawdę gdzieś tu jest!

- Czemu tak sądzisz?

- Nie ja, tylko twoja ukochana wilkołaczka. Zapewnia, że widziała Rimara koło sadzawki i wyczuwa jego ślady w wieży.

- Ale to niemożliwe! - „Duch” wynurzył się z powrotem tak gwałtownie, że magiczka z trudem zdołała odskoczyć.

- Dlaczego?

Weres zerknął za siebie, jak gdyby prosząc niewidocznego szefa o pozwolenie i przyznał:

- Naradziliśmy się z Ksanderem i uznaliśmy, że Rimar może próbować dostać się do Szkoły - zarówno sam, jak i korzystając z pomocy kogoś z wykładowców. I dlatego przedwczoraj potajemnie rozwiesiliśmy w budynku „pajęczynki”.

- Za moimi plecami?! - oburzyła się Katissa, zaciskając pięści.

- Szczególnie za twoimi - odparł czarodziej zimno. Teraz, kiedy żarty się skończyły, nawet smok nie zmusiłby go do cofnięcia się z powrotem między kamienie.

- Jak śmiesz... Oj!

Jednak spełniłam groźbę, gryząc awanturującą się magiczkę w kostkę.

- A co to jest pajęczynka? - spytałam.

- Zakłęcie. Coś w rodzaju pęczka niewidzialnych nici, specjalnie dopasowanych do futryn drzwiowych. Działa tylko jako sygnalizacja, ale za to można ją nastawić na konkretnego człowieka. Oczywiście Rimar jest doskonałym magiem, ale nie da rady wyczuć „pajęczynki” ustawionej przez dwójkę arcymagów. Rozrzuciliśmy ich po szkole ze trzydzieści sztuk, w najbardziej niespodziewanych miejscach. W wieży też jest kilka, przy obu wejściach i w poprzek schodów. Rimar tędy nie przechodził, zaręczam.

Chciałam przypomnieć mu o teleportacji, ale uświadomiłam sobie, że wyczułam ślady renegata również na progu i na stopniach.

- Mówisz, że z Ksanderem? Mhm...

- A co wy macie do niego? - westchnął czarodziej.

Musiałśmy powtórzyć opowieść wydłużoną o gryfona i adeptów. Magiczka nerwowo przygryzała wargę, zerkając w kierunku drugiego korytarza.

- Prawe skrzydło już przeszukałem, nikogo tam nie ma. - Weres spróbował ją uspokoić.

- Ze świecą?

- Słucham...?

- Czy może z pulsarem? - poprawiła Katissa z irytacją. - Takim malutkim, żółtym.

- Po co? Jeszcze przy wejściu splotłem zakłęcie nocnego widzenia. Sama tak zrobiłaś.

- Ale przecież ktoś z nim chodził!

- Może adeptci? - zasugerowałam.
- Nie, ci mali dranie mieli ze sobą zasłoniętą z boków latarnię, a większym wystarczyły prześcieradła.
- Dawno to było?
- Jakies pół godziny temu.
- Wchodziłem na strych - rzekł Weres po chwili namysłu. - Dosłownie na pięć minut, tam w ogóle nie ma na co patrzeć, gigantyczna sala bez dachu.
- Pięć minut w zupełności wystarczy, żeby dojść do końca korytarza i wrócić do schodów - oceniła Katissa.
- A jak nas wyminął? - Może magiczka i rozproszyła się na adeptów, ale przecież ja nie schodziłam ze stopni.
- Żadna sensowna teoria nie narodziła się ani od razu, ani po minucie zastanowienia.
- W każdym razie - czarodziej odwrócił się do rumowiska - jest to jedyne podejrzane miejsce w całej wieży. Może spróbujemy usunąć iluzję i obejrzymy tamtą ścianę dokładniej?
- Możemy - zgodziła się Katissa bez większego entuzjazmu. - Ale przyznam, że na razie nie rozumiem nawet, jak ty przez nią przechodzisz.
- Weres szlachetnie nie wypomniał jej, kto tu jest arcymagiem, a kto bakałarzem drugiego stopnia, tylko od razu przeszedł do wyjaśnień.
- Zobacz, kluczowe węzły są tu i tu. Jeżeli je zwyczajnie rozsuwać, to wystarcza zwyczajna „ryjówka”. A do rozplatania chyba najlepiej nada się formuła Isetra z przyłożeniem mocy w trzecim punkcie.
- Ile WJM powinnam włożyć?
- Ja dałem dwadzieścia. Ale jeśli weźmiesz poprawkę na stopień...

Zostawiłam ich podczas konwersacji w języku zrozumiałym tylko dla magów profesjonalistów i przebiegłam się do schodów oraz z powrotem, po czym chwilę stałam nasłuchując. W wieży było cicho i ciemno, ale za to na podwórzu Ruda obszczekiwała kogoś z irytacją - prawdopodobnie już nie wypchanego gryfa. Szkoda, że z drugiej strony budynku, więc nie miałam możliwości spojrzeć.

Katissa i Weres w końcu do czegoś doszli. Magiczka opadła na jedno kolano i wystawiła ręce przed siebie, prawie dotykając „kamienia”. Czarodziej przeciwnie, wyprostował się, celując rozczapierzonymi palcami w sam szczyt rumowiska.

- Już!

Na oko nic się nie stało, tylko paskudnie zaszczypało mnie w nosie - jak gdybym wciągnęła łyk mroźnego powietrza. Magowie dalej trwali w pełnych napięcia pozycjach, świdrując rumowisko spojrzeniami. Po policzku Katissy spłynęła kropla potu.

- I co? - spytałam ostrożnie.

Dokładnie w tej chwili iluzja pękła jak bańka mydlana, ujawniając krótki i ciemny ślepy zaułek.

- I już. - Weres rozluźnił się, potrząsając zeszywniałymi nadgarstkami. - No cóż, faktycznie dzieło mistrza... Było naprawdę ciężko. Hej, patrzcie!

Dokładnie jak powiedział czarodziej, ceglany mur był najprawdziwszy w świecie, równy i zagrządzający całe przejście. Za to z boku, w prawej ścianie korytarza ukazały się drzwi. Sądząc z lokalizacji i wypłowiałej, niewyraźnie podpisanej tabliczki prowadziła do sali wykładowej.

- A na plaster tu kłódka? - zdziwiła się Katissa. - Przecież wynieśliśmy z wieży wszystkie rzeczy, jeszcze kiedy myśleliśmy, że

zaraz się roz... znaczy przed remontem.

- Mogli zamknąć odruchowo. - Weres dotknął kłódki i cofnął rękę, jak gdyby go sparzyła.

- Co?

- Zaczarowana. - Czarodziej spojrział na drzwi ze znacząco większą podejrzliwością. - Dobra, moje panie, krok do tyłu...

- Będziesz zdejmował?

- Aha - potwierdził Weres ze stoickim spokojem, po czym na chwilę ogłuchłam i ośleplam z powodu hałasu i jaskrawego rozbłysku.

Kiedy wysunęłam pysk spod łap, z drzwi został tylko skobel, na którym kołysała się kłódka. Korytarz zasnuł biały tuman z tynku.

- A fe, kolego, jak topornie! - skrytykowała Katissa, co prawda bez cienia pretensji. - A co, jakby ktoś za nimi stał?

- Myślałby kto, że zaczęłabyś z nim dyskusję o pogodzie.

- Oczywiście, że nie! - Magiczka rzuciła Weresowi drapieżny uśmiech. - Ale wolę walić natychmiast, a nie czekać, aż przeciwnik wygrzebie się spod gruzów.

- Jakie to szlachetne! - zawołałam z zachwytem, a Katissa „przypadkowo” przestąpiła z nogi na nogę w butach na wysokim ostrym obcasie i ledwo zdążyłam cofnąć łapę.

- Hej, Rimaaar! Jesteś tam? - zawołała magiczka z fałszywym niepokojem.

- A jak wam się, do dupy nędzy, wydaje?! - rozległ się ze środka stłumiony wściekły głos, a potem kaszel i niezrozumiałe metalowe szczęknięcie.

Katissa zrobiła minę, jakby zadławiła się własnym językiem i zaraz miała paść zimnym trupem. Weres bezgłośnie zrobił krok w bok i przytulił plecami do muru przy futrynie, jedną ręką wyjmując z pochwy

miecz, a drugą wykonując w moim kierunku wściekłe znaki, że mam się cofnąć.

– To on? - doprecyzowałam na wszelki wypadek.

– Spadaj stąd! Katissa!

Magiczka drgnęła, ocknęła się i również ukryła za futryną.

– No już, wyłaż, draniu jeden! - zażądała histerycznie.

– Ha-ha - odparł głos chmurnie i ostatecznie przekonałam się, że go nie znam.

Czarodzieje uprzejmie odpowiedzieli w trollim, ale wkrótce zrobiło się oczywiste, że przeciwnik uparcie wymusza na nas pierwszy ruch.

– Poświecimy? - spytała Katissa szeptem.

– Chyba tak. On na pewno gdzieś zaległ i na tle wejścia będziemy dla niego zbyt dobrymi celami.

Zielone, a następnie również czerwone źrenice zgasły.

– Ty na lewo, ja na prawo. I od razu wchodzimy!

– Aha.

– A co ja mam robić?

– Leżeć dokładnie w tym oto miejscu! - Czarodziej tonem nieznoszącym sprzeciwu wskazał mieczem podłogę przed moim pyskiem.

– Hau-hau - odparłam zgryźliwie.

W mroku zalśniły dwa oślepiająco białe kwiaty, które natychmiast zerwały się z łodyg i wleciały do sali.

– Aiiii! - Przeklęta Katissa jednak przydeptała mi łapę. Tym razem naprawdę przypadkiem, próbując znaleźć się w środku przed Weresem. Sądząc ze stłumionego jęku czarodzieja, drugim obcasem trafiła jego.

Minęła minuta. Kolejna. Uparcie niechcący osiąść z powrotem wapienny kurz w dolatującym z drzwi świetle wyglądał jak dym. Kiedy

nie doczekałam się ani odgłosów walki, ani zaproszenia, by wspólnie zbeczczyć trupa pokonanego wroga, bojaźliwie zajrzałam do środka.

Sala okazała się gigantyczna, demonstracyjna - z podestem dla lektora i amfiteatralnymi stopniami, na których kiedyś stały ławki, a teraz leżały kupy odłamków, marmurowych i drewnianych. W rogu przycupnęła wielka klatka z grubych zardzewiałych prętów. Drzwiczki były otwarte.

Czarodzieje stali nieruchomo na środku podestu. Ich miecze w poczuciu zagubienia chyliły się do ziemi.

Kulejąc, podeszłam do Weresa i usiadłam przy jego stopach. Promienie wiszących pod sufitem pulsarów krzyżowały się na długowłosym, dawno niegolonym mężczyźnie w wymiętym i brudnym ubraniu, który starannie udawał, że nie dzieje się tu nic specjalnego - ot, ma taką rozrywkę, siedzenie pod ścianą z rękami przykutymi łańcuchem do ściany. Mało tego, powinniśmy się wstydzić, że zakłócamy jego przyjemną samotność!

- Kto to? - spytałam Katissy szeptem.

Ta spojrzała na mnie jak na idiotkę.

- Jak to kto? Rimar!

- TO?!

- Ano Rimar - potwierdził Weres. - Chociaż nie w najlepszej formie.

- Niemożliwe! Chociaż... - Gdyby ten nekromanta, który mnie „zabił”, spędził tydzień na łańcuchu nie goląc się, nie myjąc, nie czesząc, to pewnie dokładnie tak by wyglądał. - Ale przecież nie mogłam pomylić zapachu!

- No proszę... - Rimar oblizał wyschnięte wargi i lekko zmienił pozycję. Łańcuchy brzęknęły melodyjnie. - Teraz trzymacie w Szkole wilkołaki zamiast psów łańcuchowych?

- To, hm, żona Weresa - burknęła Katissa niechętnie. - TO?!

Czarodziej uspokajająco opuścił rękę na nastroszoną sierść na moim karku i zimnym tonem zwrócił się do renegata:

- Co ty tu robisz?

- Siedzę. - Rimar ze znudzoną miną wbił spojrzenie w popękany sufit.

- Tyle to już zauważyliśmy. Ale dlaczego?!

- Zgadnij. - Więzień przeniósł spojrzenie na magiczkę i po raz pierwszy pojawiło się w nim lekkie zainteresowanie. - Katisso, wspaniale wyglądasz. Pewnie wybiłaś wszystkie okoliczne pijawki?

- Nie korzystam z eliksirów odmładzających - wycedziła pani Łabska, odruchowo wciągając brzuch i wypinając do przodu nieistniejącą pierś.

- A, fakt, trzymasz w szafce flakonik albo dwa wyłącznie dla swojej kotki.

- I już od dawna nie mam kotki! - Katissa denerwowała się coraz bardziej, próbując zbyć Rimara krótkimi zdaniem. Ale skutek był wręcz odwrotny.

- Czyli jednak zdechła? Przynajmniej jedna dobra wiadomość.

- W ciągu jakiego czasu? - zapytał Weres niewinnie, w jednej chwili zdzierając z renegata całą butę. - Od dawna już tu... siedzisz?

- Nie twój zakichany interes - odciął się tamten, ponownie zerkając na sufit.

- A łańcuszki to masz drogie, z antaru... - zauważył czarodziej, podchodząc bliżej. - Czy to przypadkiem nie te, które w czasie wojny zniknęły ze szkolnego muzeum? Ksander nadal rozpacza z tego powodu. Nawet w królewskim więzieniu mają takich tylko jedną parę.

- A po co one dyrektorowi? - zdziwiłam się. - Na psocących adeptów?

- Nie, na szczególnie utalentowanych. Żeby nie stawali się nadmiernie pewni siebie w całości polegając na magii..., która może niespodziewanie zniknąć. - Weres włożył miecz do pochwy, Katissa w ogóle stanęła plecami do renegata i złapała się za ramiona, jak gdyby marznąc.

Ja nadal nie śpieszyłam się z rozluźnianiem, poza tym w wilczej postaci byłam przyzwyczajona do ciągłej czujności.

- I na długo ich tak sadzali?

- Na jakieś dziesięć minut. Ale wrażeń wystarczyło na resztę życia. Prawda, Rimarze?

- Cieszysz się, draniu? - szepnął tamten z nienawiścią, przyciskając kolana do piersi. - No to czemuś tak szybko zwiął z tamtej polany, co? Byśmy sobie porozmawiali jak równy z równym. Chociaż, o czym ja mówię, znęcanie się nad bezbronny wrogiem jest znacznie przyjemniejsze...

- Bynajmniej. - W głosie Weresa zabrzmiało ledwo zauważalne i przez to nawet bardziej obraźliwe współczucie. - Ale przepraszam najmocniej, zupełnie nie mam też nastroju, żeby cię żałować: zbyt wiele krwi nam napsułeś. No więc, jeśli nie masz nic przeciwko, to chwilę pocieszymy się z sukcesu i pójdziemy oddać cię w ręce Konwentu.

Ostatecznie i tak nie musieliśmy nigdzie iść: do sali z hałasem wdarła się trójka magów - sądząc z obnażonych mieczy, wszyscy byli praktykami. Na widok nas (szczególnie mnie!) zamarli zmieszani.

- Eee... Bakałarz Szakkarski... Katissa... - Jeden z przybyszów odkaszlnął, zmieszany.

- Tak, Horanie? - odezwała się magiczka bez szczególnego zachwytu.

Weres sztywno skinął głową. Czyli to z nim nie chciał prowadzić praktyk? Hm, a z wyglądu taki sympatyczny mężczyzna: nie najmłodszy,

ale też jeszcze nie stary, o okrągłej sympatycznej twarzy. Trochę podobny do dajna.

- Wszystko w porządku?

- A co mi się mogło stać? - Katissa z wyższością uniosła brew.

- No bo przecież tam - kolega wskazał kciukiem w kierunku okna - pies wie, co się dzieje (Ruda na dworze już zachrypla od szczekania, próbując wszystko wyjaśnić ze szczegółami): okno naprzeciwko pani pokoju jest wybite, na dole leżą resztki wypchanego gryfona, w wieży się okna świecą... No to wysłali nas żebyśmy sprawdzili. O bogowie! Jak wam się to udało?! - Mag w końcu rozpoznał przykutego do ściany człowieka.

Rimar odrzucił głowę i roześmiał się ochryple, z odcieniem szaleństwa.

- Weres... - Ukradkiem pociągnęłam maga zębami za nogawkę.

On z roztargnieniem potrząsnął nogą.

- Nie wiecie przypadkiem, gdzie w tej chwili jest dyrektor?

- Dopiero co był w swoim gabinecie.

Weres z niedowierzaniem uniósł brwi.

- Ksander chyba nie siedziałby za biurkiem, kiedy obok dzieje się coś dziwnego?

- W sytuacji krytycznej umiejętne kierownictwo jest cenniejsze niż osobista odwaga - zauważył Horan pompatycznie. - Stanowisko dyrektora wiele daje, ale też do wielu rzeczy zobowiązuje.

Ugryzłam mocniej.

- Szel, o co ci chodzi?!

- To on - warknęłam cichutko. - Ten co udawał Rimara przy sadzawce.

– Jesteś pewna? - Weres był doskonale opanowany, chyba tylko rzęsy mu drgnęły.

– Przynajmniej pachnie tak samo.

Mało prawdopodobne, by przybyły czarodziej usłyszał, o czym mówimy, ale sam fakt wymiany szeptanych komentarzy i spojrzeń z ukosa naprowadził go na właściwe myśli. Z demonstracyjnym spokojem schował miecz, pochylił się - jak gdyby zamierzając sprawdzić sznurówkę w bucie - i niespodziewanie uderzył z obu rąk niebieskawymi szklistymi wichrami.

Weres zdążył wystawić „tarczę”, niewidoczną, ale skuteczną: jeden potok powrócił do źródła (tak że kompani Horana z trudem zdołali uciec), a drugi odbił w bok, po drodze mimochodem skręcając pręt klatki jak słomkę dookoła palca.

Katissa oberwała samym brzegiem, za to w głowę. Siła zaklęcia obróciła magiczkę i cisnęła do tyłu, z taką mocą uderzając o podłogę, że usłyszałam wyraźny chrzęst pękającego kręgosłupa.

Czarodziej cofnął się, nie opuszczając rąk. Złapałam Katisę zębami za kostkę i pociągnęłam za osłonę jednej z hałd gruzu. Rimar nadal się śmiał, z rzadka słyszalne poprzez hałas walki dźwięki przypominały krakanie wron, przylatujących na żer. Zaklęcia ścierały się w powietrzu - czasem w połowie drogi, ale częściej w odległości paru łokci od Weresa, i z wyciem wzajemnie pochłaniały, wybuchały albo odskakiwały na boki. Widok był przerażający. Gorzej wyglądała tylko Katissa: jakby jej ktoś przyłożył w skroń rozżarzoną pogrzebaczem, zdzierając szeroki na trzy palce płat skóry. Co prawda natychmiast przypalając, więc krwi było niewiele.

Póki ja desperacko kombinowałam, jak można by jej pomóc (nie licząc modlitwy za zmarłych), kobieta jęknęła i przekręciła się na

brzuch. Wyglądało na to, że może normalnie ruszać nogami i z opóźnieniem zauważyłam w miejscu, gdzie upadła, złamaną na pół deskę.

– Hej, żyjesz?!

Magiczka powoli sięgnęła do rany, pomacała i jęki zmieniły się w przekleństwa.

– Ten śmierdzący szygabr oderwał mi pół głowy!

– Nie szkodzi, i tak jej nie używałaś. - Katissa najwyraźniej nie wybierała się na tamten świat, więc przełączyłam uwagę na sytuację ogólną.

Sądząc z napiętej twarzy Weresa, sprawy stały źle. Dopytywanie, czy na pewno tak jest, oznaczało złożony sposób na popełnienie samobójstwa: wystarczyło, by czarodziej rozproszył się choćby na chwilę, a w niebie znalazłyby się nie tylko nasze dusze, ale też pozostałe części ciał.

Katissa również to rozumiała, z trudem wstała na czworaki i niepewną ręką rzuciła w kierunku przeciwnika kilka pulsarów. Oczywiście nikogo nie trafiły, ale spełniły inną rolę: wrogowie pojęli, że przewaga liczebna nie jest tak duża jak im się wydawało i pokonanie jakości ilością nie wypali. Zaprzestali więc marnowania magii i też rozpięchli się po kryjówkach.

Weres zrobił głęboki oddech, obejrzał się na nas i aż gwizdnął.

– Potrzebujesz pomocy?

– Poradzę sobie - zbyła go magiczka, opierając się plecami o gruz. -
Co z twoją rezerwą?

– Prawie dwie trzecie zużyłem na same bloki. Zarraza, aż mi ręce drżą... Jakbym trzymał prawdziwą tarczę, a ktoś w nią walił młotem.

– Ja mam jeszcze prawie całą. Mam się podzielić?

- Na razie mi starcza. Jeszcze by z parę minut odpoczynku. Hej, hej!

Nasza osłona zadrżała, po czym gruz zaczął spełzać na lewo. Katissa spiesznie wymamrotała zaklęcie przeciwdziałające. Rumowisko zatrzymało się, chwilę jakby zastanawiało, a potem popęzło w prawo. Coraz szybciej i szybciej.

- Nie pchaj tego, tylko umocuj „ostowym korzeniem” - poradził Rimar niespodziewanie. - Bo w przeciwnym razie będziecie tak machali tam i z powrotem, aż rozwalicie ostatecznie.

Magiczka parsknęła, ale chyba posłuchała. Kupa zatrzymała się i z męczeńskim jękiem osiadła. O ile przedtem za nią kucaliśmy, to teraz musieliśmy się położyć.

- To co robimy? - spytałam szeptem.

- Tak właściwie to trzeba by stąd wiać - skrzywiła się Katissa, wyczarowując sobie kubek wody i jednym łykiem go opróżniając.

- A niewłaściwie?

- Kto nas niby wypuści... - Magiczka dostała ataku kaszlu, po którym otarła wargi rękawem. - Przecież nie są głupi, rozumieją, że chętnie użyjemy teleportacji, więc są przygotowani, żeby ją zakłócić. A muszę ci powiedzieć, że przesunięta ramka to dopiero jest farsz! Weres, mógłbyś ich rozproszyć czy coś? Bo mam tu pewien pomysł...

- Oni chyba i tak są czymś zajęci. - Czarodziej wyjrzał ostrożnie. - Słyszycie? Szepczą.

Poruszyłam uszami.

- Słyszę. „Trzeba ich szybko wykończyć, póki się cała Szkoła nie zbiegła”.

- Czyli będziemy przeciągać czas, na ile damy radę - uznał Weres na złość wrogom. - Katisso, co tam masz?

- Prawie gotowe... jeszcze sekunda... - Pomiedzy dłońmi magiczki powoli zwijały się w kłębek nitki wypełzającego spod paznokci dymu.

I w tym momencie Rimar, uważnie obserwujący obie strony, jak gdyby nigdy nic rzucił:

- Horanie, ona zaraz zaatakuje „chabrem”!

- Co, do ghyra?! - Katissa z irytacją zmięła zaklęcie. Spod cienkich palców bryznęły iskry zmarnowanej mocy. - Jesteś po naszej stronie czy po ich?

- Po żadnej - odparł więzień. - Nienawidzę was wszystkich!

- A może ich jednak trochę bardziej? - spytałam z nadzieją.

Rimar zachował pełne wyższości milczenie. Magiczka spróbowała przenieść się na lewą stronę gruzowiska, by renegat jej nie widział, ale dostrzegł ją jeden z przeciwników, i zdołała ukryć się w ostatniej chwili.

- Ot gady! Skąd oni mają tyle mocy? Horan jest bakałarzem pierwszego stopnia, tamta dwójka - trzeciego, mógłbyś ich pokonać nawet w pojedynkę!

- Bo oni używają amuletów - naskarżył Rimar z przyjemnością, nie uważając za stosowne ściszenia głosu. - Horan ma ich pełne kieszenie.

Od strony wrogich stanowisk rozległ się wściekły ryk i przyleciał piorun, który bez śladu rozplynął się w nastawionym przez więźnia łańcuchu.

- Słusznie gadają, że w każdym gównie można znaleźć swoje jasne strony - podsumował Rimar z sarkazmem. -

Możecie się, kochani nie starać, rzucanie we mnie zaklęciami nie ma sensu!

- A kamieniami? - spytałam, przetaczając łapą dość ciężki kawał marmuru.

Uśmiech renegata nieco przygasł.

- Nie - powstrzymał mnie Weres z żalem. - Jego czeka jeszcze rozprawa sądowa, przy zdrowych zmysłach i w pełnej świadomości. Lepiej będzie jak zrobimy tak... - Czarodziej pstryknął palcami i aula znowu pogrążyła się w mroku.

Rimar z rozczarowaniem szcęknął łańcuchami, od strony przeciwników doleciały nas okrzyki zadowolenia.

- Dzięki bogom - wycedziła Katissa tonem dalekim od szacunku. - Już żaden idiota nam nie przeszkodzi...

Nagle w przejściu pojawił się płomyk świecy, oświetlający gigantyczną szynkę i twarz niosącego ją człowieka. Oczy kucharza połyskiwały jak szkiełka, z kącików uchylonych ust ciągnęły się przez podbródek dwie wilgotne ścieżki. Krasnolud pewnym krokiem ruszył do klatki (patrzyliśmy na niego jak zaczarowani i miałam wrażenie, że wrogowie również), z niemałym trudem przepchnął szynkę między prętami (mimo że tuż obok miał otwarte drzwiczki), odwrócił się i ruszył z powrotem. Już podchodził do drzwi, kiedy Rimar uniósł się, ogłuszająco walnął łańcuchami w ścianę i ryknął:

- Hej, ty, bałwanie w kołpaku! Łapaj złodzieja!

Kucharz drgnął, zamrugnął, spojrzał dookoła, świecąc na wszystkie strony, dostrzegł źródło dźwięku i ryknął basem. Ogarek spadł na podłogę i ponownie zrobiło się ciemno. Co prawda nie na długo. Aulę oświetlił niezbyt jaskrawy błysk, potem kolejny. Towarzyszyło temu drganie całej wieży, gwizd powietrza i krzyki. Po podłodze zastukało coś drobnego.

To wszystko już widziałam i słyszałam, dosłownie chwilę temu. Tylko tym razem to nie my byliśmy atakowani.

- Zostańcie tu! - Weres bez namysłu wyskoczył z ukrycia.

- Czekał, to może być pułapka! - Katissa spróbowała pójść za jego przykładem. Ale kiedy w końcu udało jej się przynajmniej wyprostować, jęcząc i trzymając za bok, było już po wszystkim. Nad podwyższeniem ponownie zapłonęły pulsary, tym razem z pół tuzina. W auli zrobiło się tłumniej. Ksander z wyrazem twarzy spowiednika stał za plecami klęczącego Horana - z tym że ręka dyrektora leżała nie na ramieniu „kajającego się grzesznika” tylko lekko ścisnęła go za szyję. Weres przytrzymał drugiego zdrajcę, trzeci nieruchomo leżał obok. Obie strony miały jednakowo skonsternowane miny: przegrani byli oszołomieni takim obrotem wydarzeń, a zwycięzcy jeszcze nie wierzyli, że im się udało.

Kompozycji dopełniał sterczący ku górze tyłek kucharza: jedyne, który został na swoim miejscu, z głową przyciśniętą do podłogi i osłoniętą rękami.

- Ech, taką zabawę zmarnowali...! - mruknął Rimar z rozczarowaniem, ponownie opierając się o ścianę.

- Nie martw się, śledczy z Konwentu będą wiedzieli, jak cię rozbawić - obiecał Weres ze zmęczeniem.

- Jednak słusznie postanowiliśmy nie rozbierać wieży - zażartował Ksander z nerwowym śmiechem. - Tyle sypaliśmy zaklęciami, a ona nadal stoi!

Wieża skrzypnęła i lekko się przekrzywiła.

- Ale wydaje mi się, że wygodniej nam będzie kontynuować rozmowę gdzieś w innym miejscu - dodał dyrektor spiesznie.



Ksander i Weres wrócili z posiedzenia Rady Konwentu dopiero koło południa. Maren na ich widok prawie łkał ze szczęścia: biedny mag dwoił się i troił, próbując utrzymać w wypełnionej pogłoskami Szkole przynajmniej pozory porządku. Wziął na siebie wykłady Ksandra, grupę Weresa wcisnął któremuś z aspirantów. Katissa ku ogólnemu zdumieniu (i rozczarowaniu) zjawiła się osobiście - z obandażowaną głową i magiczną laską, którą „niewymuszenie” pomagała sobie przy chodzeniu. Ogłosiła sprawdzian ze strzyg, zarzuciła nogi na stół i tak sobie przesiedziała do dzwonka w charakterze materiału demonstracyjnego. Biedni adepci zapamiętali te zajęcia na długo: wystarczyło, by zaszeleściła ściągą, a magiczka krzywiła się cierpiętniczo, z pretensją wskazywała kolejnego biedaka laską, a on z wyciem upuszczał płonący skrawek pergaminu.

Jeśli idzie o śniadanie, to również pojawiły się pewne problemy: zszokowany własną zdradą kucharz długo jęczał i załamywał ręce żądając dla siebie kary wszystkimi znanymi sposobami równocześnie. Ponieważ nie znalazł się nikt chętny, by pomóc mu „zmyć hańbę krwią”, biedak spróbował powiesić się samodzielnie. Personelowi kuchni udało się przekonać go do rezygnacji z tego pomysłu, więc napisał podanie o zwolnienie (w formie wolnej i wyjątkowo niecenzuralnej) i zaniósł Marenowi do podpisu. Ten przeczytał, spłonął rumieńcem i stwierdził, że nie ma prawa zatwierdzać tak ważnych dokumentów, po czym zaproponował, by poczekać na powrót dyrektora. Po godzinie skruszony kucharz podał podanie i obiecał, że odkupi swoją winę uczciwą pracą, ale niestety jedzenia w garnkach od tego wszystkiego nie przybyło. Ostatecznie trzeba było rozdać adeptom po kawałku chleba i sera, obiecując nadrobienie zaległości przy obiedzie.

Pięć minut temu z kuchni przybiegła służąca, która zameldowała, że kucharz wypił dostarczone przez zielarza krople na uspokojenie, po rozcieńczeniu ich w trzech kuflach wina, więc podziały aż za dobrze. A w spiżarni nie ma już nawet sera.

Jednak Maren powstrzymał się przed przekazaniem Ksanderowi tej „dobrej” wiadomości wprost od progu z całkiem uzasadnionej obawy, że ten rzuci coś o wyjątkowo pilnych sprawach i zniknie ponownie.

- Uf, ależ jestem zmęczony! - Weres padł na fotel, wyciągnął nogi i zamknął oczy. - Zaraz teleportuję się wprost do własnego łóżka i jaaaak... - czarodziej ziewnął szeroko - ...zasnę...!

Ksander spojrzał na niego z nieukrywaną zazdrością: łóżko dyrektorskie znajdowało się znacznie bliżej, bo w sąsiednim pokoju, ale naprawdę mało prawdopodobne, by zdołał dotrzeć tam przed północą.

- Masz dziś zajęcia praktyczne z szóstym rokiem - przypomniał mściwie.

- Ależ nie szkodzi, to dopiero za kilka godzin, akurat zdążę wypocząć - mruknął pozbawiony sumienia kolega. Zaczęłam łagodnie masować mu kark i Weres ostatecznie rozpląnął się po fotelu.

- Tylko uważaj, żebyś tu na miejscu nie zasnął. Jesteś głodny?

- Jestem, ale nie mam sił, by gdziekolwiek iść. A ty?

Udało mi się trochę pospać, mimo że we śnie zwidywały mi się najróżniejsze bzdury. I jeszcze Ruda kilka razy zaczynała szczeleć - pewnie też od nowa przeżywała wczorajsze wydarzenia. Za to gryząca serce trwoga o syna zniknęła, jeśli nie bez śladu, to przynajmniej na trzy czwarte. I jak mi było bez niej dobrze! Nic tylko tańczyć.

- Pewnie pójde do karczmy. Przynieść ci coś dobrego?

Weres z wdzięcznością potarł policzkiem o moją dłoń. Teraz patrzyli na niego z nienawiścią obaj magowie.

- Dobra, a opowiecie przynajmniej, jak wszystko poszło? - zażądał Maren.

- Posiedzenie? Normalnie. - Ksander usiadł przy swoim biurku i prawie zniknął z widoku za zebranymi na blacie papierami. - Co prawda Horan nie raczył się do niczego przyznać, ale na jego kompanach komnata tortur zrobiła wrażenie, więc wkopali go w całości. Ale pomysł mieli naprawdę niesamowity: zastraszyć całe miasto Rimarem, żeby potem uroczyście przynieść do pałacu jego trupa i zostać bohaterami narodowymi!

- Jak im się w ogóle udało go złapać?

- Pierwszego dnia. Teraz ten drań twierdzi, że sam szedł się poddać, a oni oszukali go i uwięzili w wieży. Jednak myślę, że tak naprawdę już dawno się zgadali i planowali jakieś świństwo, ale Horan w ostatniej chwili zmienił plany.

- No, a jak! - przytaknął Weres. - Z jednej strony zawsze to dodatkowy zysk, a z drugiej bał się zostawić niebezpiecznego przestępcę na wolności. Skąd mógł wiedzieć, czy nie zostanie jego kolejną ofiarą? Przecież Rimar z kumplami też się nie cackał.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie potrafiliśmy go znaleźć. - Maren przypadkiem wyjrzał przez okno, przełknął ślinę i odwrócił się, zasłaniając je własnym ciałem przed Ksanderem. - Cała trójka po kolei chodziła pod postacią renegata, celowo strasząc ludzi, a jak tylko zobaczyli jakiegoś maga to zdejmowali iluzję i tyle.

- Żeby tylko chodzili! - Wzdrygnęłam się, przypominając sobie czarną wodę nad głową i brak powietrza.

- No bo przecież Rimar powinien był czatować na ciebie i Katisę. Tak więc się postarali, nie wspominając o tym, że Horan miał pretensje do Weresa.

- A dlaczego na Katisse? - spytałam ze zdumieniem. - Oni znają się z Rimarem?

- No, a jak! Przecież nieprzypadkowo tak bardzo pragnęła go osobiście złapać, nawet Szelenę oszukała!

Parsknęłam z oburzeniem i cofnęłam ręce.

- Dlaczego od razu „oszukała”? To tylko ty byłeś przeciwko pomysłowi z przynętą!

Weres parsknął bez śladu wesołości.

- Ty weź częściej słuchaj pani Łabskiej... Ksander, widząc, w jakim kierunku to wszystko zmierza, odsunął ją od poszukiwań i dalej działała na własny rachunek. Brygada łowców nie miała pojęcia, że robi za „element rozpraszający”, a Marena Katissa też potraktowała po słońsku: przecież wiedziała, że od kiedy Liara zginęła z rąk renegatów, jest sam do siebie niepodobny i robi wszystko, żeby tylko złapać znienawidzonego nekromantę.

- A ty sam? - wypomniał mu Maren z goryczą.

- Przecież ja nie mam do ciebie żadnych pretensji. A z Katissą sobie jeszcze pogadam... od serca, miecza i pulsara.

Teraz mnie też pazury zaswędziały, żeby podrychtować pani Łabskiej makijaż.

- Ale po co ona to zrobiła?

- Sama ją zapytaj - poradził czarodziej. - Ja w odróżnieniu od Katissy umiem dotrzymywać słowa.

Musiałam się z tym pogodzić, więc jako źródło informacji pozostawał mi tylko Ksander.

- A pan podejrzewał, że w Szkole zalegli się zdrajcy, czy przybiegł na odgłosy walki?

Dyrektor milczał tak długo, że już zdążyłam uznać sprawę za kolejną wielką i koszmarną tajemnicę, ale w tym momencie Ksander ze skrepowaniem wymamrotał we własną brodę:

– Nie, po prostu znudziła mi się ta głupia historia z kradzieżami ze szkolnej spiżarni i postanowiłem, że zajmę się sprawą osobiście. I nie ma co chichotać! Co jeszcze mogłem zrobić, skoro w całej szkole nie znalazł się ani jeden odpowiedzialny człowiek..., ani nawet wilkołak?

Teraz już my uciekaliśmy spojrzeniami z niewyraźnym mručeniem.

Żeby nie robić z siebie głupka całkiem publicznie, w odróżnieniu od poprzednich pilnujących, Ksander nie informował szkolnej obsługi o zasadzce. Czarowanie w szkolnej jadalni jest niewygodne, więc dyrektor po prostu odczekał, kiedy nikogo tam nie będzie i schował się za portierą.

Minęła godzina, kolejna. Co jakiś czas arcymag na paluszkach zbliżał się do świątyni kielbas i nasłuchiwał, ale ze środka nie dolatywał nawet szelest - co nie było specjalnie dziwne, bo spiżarnię wiele razy sprawdzano pod kątem śladów magii teleportacyjnej. Następnie szelest rozległ się na zewnątrz, na korytarzu, i Ksander w ostatniej chwili zdążył schować się z powrotem w swojej kryjówce.

Do jadalni wszedł kucharz. Najspokojniej w świecie otworzył drzwi kluczem, zgarnął pełne naręcze parówek, ponownie powiesił zamek i poszedł z powrotem.

Wrzący z gniewu dyrektor uznał, że jednak nie będzie łapał złodzieja wprost na miejscu przestępstwa, tylko prześledzi go do jego kryjówki (a nuż uda się odzyskać część poprzednich łupów?).

I właśnie wtedy zaczęła się najdziwniejsza część. Kucharz ruszył nie w kierunku schodów ani nawet zamieszkałych pokoi, w których mogli ukrywać się jego ewentualni wspólnicy, tylko przeciął korytarz i

zniknął za niepomalowanymi drzwiami bez tabliczki. Kiedy Ksander wyczekał jakieś dziesięć minut i w końcu zdecydował się je otworzyć, zobaczył malutką komórkę z dziesiątkiem mopów i wiader, przenikliwie śmierdzących stęchlizną.

Póki dyrektor marszczył nos próbując określić, czy lekki zapach spalenizny to kwestia wyłącznie jego wyobraźni czy jednak nie, na podłodze zaświecił się kwadrat, z którego wyrosła i rozwinęła się ramka teleportu.

Ksander odskoczył i przywarł do ściany. Kucharz, nie zwracając uwagi na dodatkowy cień przy futrynie, wyminął go i po chwili wrócił już z szynką.

Dyrektor ponownie go przepuścił, „złapał” gasnący kontur i odtworzył teleport. Zdrowy rozsądek sugerował wezwanie na pomoc kogoś z kolegów, ale instynkty łowieckie okazały się silniejsze. Mag bojowy jak zwykle zrobił krok w słupek światła... i znalazł się w wieży, od razu na drugim piętrze.

– To dlatego nie spotkaliśmy kucharza na schodach! - zrozumiałam.

Ksander skinął głową.

– Nie od razu zrozumiałem gdzie się znajduję - ciemno, cicho, przeciągi. Ale najbardziej z tego wszystkiego zaniepokoiły mnie echa zaklęć bojowych, które dopiero co ktoś zastosował gdzieś niedaleko. Kucharz zdążył odejść daleko do przodu i z jego zachowania w końcu domyśliłem się, że na biedaka nałożono jakieś zaklęcia. Normalny złodziej przez ten czas już z dziesięć razy by się obrócił, a ten tak po prostu sobie tupał, jak we własnej kuchni. Zastosowałem zaklęcie niewidzialności, dogoniłem go po cichu i ulokowałem się tuż za plecami, zostając z tyłu dopiero po wejściu do auli. Póki wszyscy patrzyli na krasnoluda zaszedłem wrogów od tyłu i...

- A jak się pan domyślił, komu pomagać? - Nie schlebiałam sobie nadzieją, że nasze twarze i pysk wydały się dyrektorowi bardziej porządne.

Ksander z zadowoleniem poskubał brodę.

- Co by ze mnie był za arcymag, gdybym nie potrafił rozpoznać ręki kolegi? Teleport stawiał Horan, więc celowałem od razu w niego.

- Ale po co mu była nasza kiełbasa? - obruszył się Maren. - Przecież mógł zwyczajnie pójść i kupić w kramie!

Po pierwsze, w takiej sytuacji bakałarz musiałby wyjaśnić, po co mu tyle jedzenia - nie mógł przenieść go przez bramę, przez mur też nie, a uczniowie mają sokoli wzrok, zwłaszcza kiedy nie trzeba. Po drugie, po co płacić, jak można wziąć za darmo? Trzymanie mięsożernej harpii to nie jest tania przyjemność.

- Czyli to ona siedziała w tej klatce? - zrozumiałam.

- Tak. Chyba Horan początkowo planował właśnie z niej zrobić nieuchwytnego straszaka, ale potem fortunnie trafił na Rimara i panowie uznali, że użyją harpii do zastraszenia pani Łabskiej. A następnie bakałarz nie zdążył - albo po prostu zapomniał - zdjąć zaklęcie nałożone na kucharza i w nocy krasnolud ruszył swoją zwykłą drogą wiedząc, że dziś spiżarni nikt nie pilnuje. To, czy w klatce jest harpia czy nie, go nie obchodziło, bo tępo słuchał rozkazu - wziąć, przynieść, położyć, wrócić do łóżka i o wszystkim zapomnieć.

- A wypchany gryfon? To też ich sprawka?

Ksander twierdząco skinął głową.

- Ale przecież Katissa jest magiem bojowym, nawet śpi w butach i z mieczem pod poduszką! Czy naprawdę przestraszyłaby się jakiegoś gryfona?

- I właśnie o to chodzi! Łabska by natychmiast zrozumiała, że to jest ten wypchany szkolny egzemplarz.

- Jest pan tak bardzo pewien jej stalowych nerwów? - spytałam sceptycznie.

- Nie wiem jak z nerwami - uśmiechnął się dyrektor - ale w czasie nauki tutaj Katissa dwa razy kradła tego przekłętego zwierzaka i powinna znać go do ostatniego piórka.

- No to jaki w tym wszystkim sens?

- A ty wyobraź sobie: pani Łabska otwiera drzwi, widzi gryfona...

- ...klnie soczyście albo nawet kopie go w bok - dokończyłam. - I w tym momencie on niespodziewanie atakuje!

- Dokładnie. Katissa by nie zdążyła niczego zrozumieć. A gdyby przypadkiem ocalała, ostatecznie utwierdziłaby się w myśli, że celem polowania jest właśnie ona i nabrała ochoty, by osobiście skrócić Rimarowi kark.

- A co się stało z odźwiernym? - przypominałam sobie. - Jego też zaczarowali?

- Nie, z tym to w ogóle jest śmieszna historia. Pewnie pamiętacie, że Horan miał tej nocy zajęcia praktyczne, a po powrocie do Szkoły uświadomił sobie, że zapomniał na cmentarzu tubusa ze zwojami. Zostawił adeptów w hallu i poszedł z powrotem. Przepętnione wrażeniami dzieciaki nie miały ochoty na sen, weszły na piętro i zaczęły głośną dyskusję o polowaniu zakończoną powtarzaniem zaklęć bojowych. Niektórym nawet wyszło. Tak więc odźwierny musiał porzucić posterunek i osobiście odeskortować adeptów do sypialni. Skrupulatny staruszek jeszcze z kwadrans stał za rogiem, żeby upewnić się, że nie wyleżą z łóżek i dopiero potem ruszył z powrotem.

Tymczasem Horan uchylił bramę i zobaczył idącą w kierunku szkoły Szelenę. Chwila była zbyt dogodna, by ją zmarnować. Czym prędzej zaatakował, na wszelki wypadek narzucił na siebie iluzję Rimara i poszedł do sadzawki. Po wydaniu „zombie” rozkazu zadowolony z siebie poszedł po tubus, a kiedy wrócił, to kompletnie nic nie podejrzewający odźwierny wpuścił go do środka. Gdybyście z Katissą wychodziły ze Szkoły normalną drogą, to dostrzegłybyście, że staruszek najspokojniej w świecie siedzi na swoim miejscu.

Spojrzałam na Weresa znacząco.

– I to ma być „najbezpieczniejsze miejsce w Starminie”?!

Czarodziej rozłożył ręce, uznając swoją porażkę.

– Ale na pewno najweselsze! Swoją drogą, mistrz korzystając z okazji wybił z Konwentu kilka dotacji: na normalny remont wieży i pilne wynajęcie nowych wykładowców, bo Szkoła straciła trzech na raz.

– Czterech - burknął Ksander. - Złożyłem podanie o zwolnienie mnie ze stanowiska dyrektora. Niech im będzie, obejmę kierownictwo nad katedrą magii praktycznej, ale wyżej nigdy w życiu! Niechaj konwent sadza na to miejsce kogokolwiek, może być nawet Rimar, nic mnie to nie obchodzi!

– To jego nie stracą?! - zdumiałam się.

Dyrektor zrobił cierpiętniczy grymas.

– Powinni. Ale ten drań poczynił aluzję, że ma jakieś cenne informacje, którymi gotów jest się podzielić, jeśli sędziowie będą dla niego łaskawi. Ma więc szansę wytargowania sobie dożywocia.

– Obawiam się, że jeśli zaproponujemy Rimarowi wybór pomiędzy więzieniem i Szkołą, to wybierze to pierwsze. - Maren nie zdołał powstrzymać sarkazmu.

- Kto by w to wątpił - westchnął Ksander. - Swoją drogą, jak ty tu sobie radziłeś beze mnie?

- Koszmarnie! - zapewnił go prędko poblady bakałarz, który już zdążył uświadomić sobie, że nie ma nic bardziej stałego niż tymczasowe stanowisko dyrektora Szkoły Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa. - Bez pana mądrego przewodnictwa wszystko natychmiast poszło nie tak: adepci broją, śniadania nie było, z powodu zapieczętowanej komórki z mopami Szkoła jest nieposprzątana...

Dyrektor groźnie zmarszczył brwi, ale perspektywa zajęcia jego zaszczytnego stanowiska przerażała Marena znacznie bardziej.

- W takim wypadku - Ksander wyprostował się i stuknął dłońmi w stół - zajmijmy się w końcu pracą.

- Cóż, nie będę was w takim razie odrywać od tak ważnych zajęć. - Weres zniknął, zanim dyrektor zdążył wyjaśnić, że miał na myśli co innego.

- Mam wykład za trzy minuty! - Maren poszedł za przykładem kolegi.

Ksander przeniósł spojrzenie na jedyną pozostałą rozmówczynię i mimo mojego czarującego uśmiechu nadzieja w nim ostatecznie zgasła.

- Dobra - rzucił chmurnie. - Pójdę, zobaczę, jak postępuje remont wieży.

Na szkolny ganek wyszliśmy razem i natychmiast zrozumiałam, co Maren dostrzegł z okna. Pod bramą przestępowało z nogi na nogę już dobrze nam znane towarzystwo, na czele którego stał nadal ten sam bojownik o prawa chłopów. Wnioskując z dumnie uniesionego podbródka trzymał w rękach kolejną petycję.

- Znowu z powodu smoka? - zapytał Ksander z rezygnacją.

- Nie. - Chłop pokręcił głową. - Pszę!

Arcymagowi uroczyście wręczono kolejny wyświechtany skrawek pergaminu.

- „...wilkołak, tylko marchewkom żem siem od niego wykupim bo by mnie kaniecznie połknom...” - odczytał dyrektor, z trudem przebijając się przez krzywe runy. - Co to za brednie?!

Na plaster wilkołakowi wasza marchewka? Czy może to był koziołak?

- Nie - odparł chłop po chwili namysłu. - Rogów ani kopyt nie miał. Ale pazury - o takie! Jak kosy.

- No to może przychodził kosić? - zapytał arcymag podchwytiliwie.

- Czarowniku, czy tyś nas masz za głupich?! - zgodnie zaatakowali go chłopci. - Czy sam taki jesteś? Jakie kosić - pszenica jeszcze całkiem zielona! Ale za to wykopać marchewki...

Z roztargnieniem uniosłam nadgarstek do oczu. Fakt, przydałoby się obciąć paznokcie, bo tłustego ogrodowego czarnoziemiu już spod nich nie wymyję...

Gest nie uciekł uwadze Ksandra.

- Szeleno! Chodź no tutaj!

Ale mnie już nie było po tej stronie muru.



Już z daleka zauważyłam, że w wyglądzie karczmy coś się zmieniło. Aha, jest! Nad wejściem widniał nowy szyld, przedstawiający byka z nadzianym na rogi bzdynnem. Beznik namalował go w swoim ukochanym stylu „natchnienie ponad talent”, ale trudno przerobić byka tak, by nie dał się rozpoznać, a bzdynn i tak jest z natury krzywy. Nad

tym nieopisanej urody dziełem sztuki widniał napis „Wesoły Bysio”. Hm... A całkiem niczego sobie nazwa. Dźwięczna. Chyba zostanie.

Co prawda przygłupów, czyli bogów z chmielem gospodarz również nie wyrzucił, tylko powiesił nad kominkiem jako obraz. Sądząc z mnóstwa dziur po nożach do rzucania, trolle-najemnicy już docenili zmianę w wystroju. Dokładnie tak samo jak reszta ciekawskich: w całej karczmie było tylko jedno wolne krzesło. A i ono stało puste tylko z powodu siedzącej obok Katisy. Kielich pani Łabskiej stał na stole, tam też tradycyjnie leżały jej nogi, a w ręku magiczka ścisnęła butelkę, korek z której robił za jedyną zakąskę.

- Siadaj. - Magiczka skinęła głową bez najmniejszego zdziwienia. Głos miała kompletnie trzeźwy i tylko oczy połyskiwały lekkim szaleństwem spod bandaży nawiniętych do samych brwi.

- Jak się czujesz? - Kompletnie straciłam ochotę na awanturę z nią.

- Nie widzisz, kwitnę i pachnę! - odcięła się, przykładając butelkę do ust. - Nasi znachorzy powiedzieli, że zostanie mi blizna na całe życie. Uraz magiczny, ghyr epp kurrat... Rimar był moim ostatnim mężem. Bo przecież tego chciałaś się dowiedzieć?

- Znaczy... - W tym momencie nie było nic, co mogłabym dodać. - Katiso...

- Przeżyliśmy razem siedem lat - ciągnęła magiczka, patrząc na obraz niewidzącym spojrzeniem. - Kochaliśmy się przez całe trzy lata, i szanowaliśmy przez kolejne dwa..., a potem coś się załamało. Dla niego gotowa byłam nawet porzucić karierę i urodzić wspólne dziecko... Tyle że on przeciwnie, pragnął władzy i zamienił na nią wszystko pozostałe. Chociaż chyba nawet nie o to chodzi. Widzisz, żeby ogrzewać się u domowego paleniska, trzeba cały czas dorzucać do niego opał. Niestety większość mężczyzn uważa, że wystarczy raz rozpalić ogień i sprawa

załatwiona, będzie płonął zawsze. Ale wszystko potrzebuje pożywienia - człowiek, ogień i miłość. Tak więc można powiedzieć, że nasze małżeństwo zdechło z głodu.

Katissa z roztargnieniem pokręciła w rękach korek i pstryczkiem wysłała go przez całą karczmę. Chyba trafił do czyjejsz miski, ale klient spojrzał na pijaną magiczkę i zdecydował się uznać niespodziewaną przyprawę za znak sympatii.

- Chyba było w tym też trochę mojej winy. Może powinnam była być lepszą żoną...? Czekać na niego w progu, udawać dobrą gospodynię i gorącą kochankę, urządzać przyjemne niespodzianki, prowadzić dyskusje o sensie życia... A może to tylko oddaliłoby to co nieuniknione o rok czy dwa... Nie wiem. Ale nie mam też pojęcia, kiedy dokonał wyboru pomiędzy Konwentem i renegatami - przed naszym rozstaniem czy po nim, na złość mnie czy z potrzeby serca? Ale tak czy siak, byliśmy małżeństwem. I czułam się odpowiedzialna za to, co on narobił.. i co jeszcze mógł zrobić.

- Głupoty.

- Oczywiście - zgodziła się Katissa. - Ale teraz, kiedy on siedzi w pierdłu, ja w końcu jestem spokojna. I miej na uwadze, że nie zamierzam przeproszać ani ciebie, ani Weresa!

- Dzięki bogom, bo jakbyś to zrobiła, to zeszedłabym na miejscu ze zdumienia - zapewniłam ją.

Katissa uśmiechnęła się krzywo, z wyraźnym trudem zdjęła nogi ze stołu i nie żegnając się ruszyła do wyjścia, zostawiając po sobie pustą butelkę i atmosferę paskudnego smutku.

Bo ja przecież nie byłam nawet żoną. Owszem, matką dziecka. Przyjaciółką na czas krótkich przyjazdów, o których nigdy nie wiedziałam zawczasu. Miną trzy lata, potem kolejne dwa i... Niestety, ja

też aż nazbyt dobrze wiedziałam, jak to bywa. Więc czy warto było w ogóle wpuszczać go do swojego życia?

– Śliczna panna pozwoli?

Podniosłam spojrzenie i mimowolnie rozjaśniłam się w uśmiechu.

– Przecież zamierzałeś spać.

– Ale potem sobie pomyślałem... - Weres powiesił torbę na oparciu krzesła, usiadł i z rozkoszą wyciągnął nogi. Faktycznie był mocno zmęczony, twarz miał wychudłą, ale w jego oczach jak zwykle tańczyły chochliki. - ...że nie należy puszczać takiej ślicznej pomroki samej do podejrzanych spelun. Bo jeszcze się do niej przyczepi jakiś pijus, a potem będę musiał go ratować. Całkiem nieźle Beznik się tu urządził! Przytulnie. - Czarodziej zaczął oglądać odnowione wnętrze.

A ja patrzyłam tylko na niego.

Było warto. Jeszcze jak!

Nic OSOBISTEGO

*...A ja powiem, że czas nie uleczy
Choć ty sądzisz, że goi on rany
Ktoś na końcu dnia widzi wieczór
Ktoś u kresu nocy - poranek*

Dziewczyna śpiewała dość cicho, jak gdyby tylko dla siebie. Ale w pełnej ludzi karczmie słyhać było szelest jesiennego deszczu za oknami. Nawet trolle starały się mlaskać i bekać możliwie cicho.

Tylko przy stoliku w rogu trwała wymiana szeptanych komentarzy: brodaty, solidny, ale z jakiegoś powodu bardzo nerwowy kupiec bez przerwy oglądając się za siebie rozmawiał ze starszym mężczyzną w płaszczu z kapturem, z którego ten starał się nie wyglądać zbyt często.

- To właśnie o niej panu mówiłem - potwierdził odczekawszy, aż karczmarz przyniesie zamówione piwo i odejdzie.

- Przecież to jakaś smarkula! - rzucił kupiec z rozczarowaniem. - Czy ona ma chociaż te półtora tuzina lat?

- Kiedy ja miałem półtora tuzina, to ona nie wyglądała dużo młodziej - burknął jego rozmówca, pstryknięciem zbijając muchę z czapki piany na piwie. - Jest półelfką.

*Gdy przed tobą stół się ugina
Dla mnie suchar stanowi zdobycz
Jeden szuka gorzkiego wina
A kto inny w nim ceni słodycz.*

*Kiedy ty pierzynę ubijasz
U mnie gwizdzą zamiecie wokół
Ktoś z łatwością serca rozbija
A ktoś będzie do grobu kochał*

- I co, ona naprawdę jest taka dobra w... ee... swoim rzemiośle? - z niedowierzaniem doprecyzował kupiec.

- Najlepsza - potwierdził z przekonaniem zakapturzony, nie spuszczać z dziewczyny oczu. Krótkie, celowo roztrzepane włosy migotały srebrem w blasku świec, jak kłosa pod księżycem. Kiedy dziewczyna potrząsała głową, spod grzywki połyskiwały jasnoniebieskie oczy. Cienkie palce zwinnie tańczyły po strunach, a one jak koty wdzięcznym mrużeniem odpowiadały na pieszczotę.

*Komuś srebro za mało warte
Gdy kto inny o miedzi marzy
Tam gdzie ja już mam dłonie starte
Liczysz ty, że się samo zdarzy*

*Jeden sądzi, a drugi uczy
Jeden pilnie, drugi niechlujnie
Jakże bardzo są śmieszni ludzie
Jakże durni są - aż podwójnie...*

Szepczący musieli przerwać: ostatni dźwięk lutni jak płatki śniegu stopniał w sercach i słuchacze zaczęli gwizdać z zachwytem, stukając kufłami po stołach.

- Niesamowita dziewczuszka, prawda? - zauważył „czarny płaszcz” z tkliwością, która była zupełnie niespodziewana, a nawet nie na miejscu dla takiego człowieka. - Już który raz słyszę tę piosenkę, a znowu mam łzy w oczach.

- Oczywiście to wspaniale. - Kupiec zgrzytnął zębami. W jego wypadku piosenki były ostatnią rzeczą, o jakiej mógł myśleć, nawet smaku piwa prawie nie czuł. - Ale czy poradzi sobie z moim... zamówieniem?

- Proszę nie wątpić - zapewnił doświadczony złodziej-negocjator zazdrośnie, jakby rozmawiali o jego własnej córce. - Wirra jest najlepszym najemnym zabójcą w mieście.



Żeby pokrzepić się na duchu, Bagura Krzywosielski musiał wysączyć jeszcze dwa kufle ciemnego. Czuł straszliwą ochotę na coś mocniejszego, ale po pijanemu takich spraw się nie załatwia. Natomiast w stanie lekko podchmielonym - akurat. Już nawet złodziej przeprosił i wyruszył w swoich nocnych interesach, dziewczyna zebrała wyrazy wdzięczności od klientów i opuściła karcznię, a kupiec nadal siedział przy stole z policzkiem opartym na dłoni i męczył się wyrzutami sumienia na wpół ze strachem. Przecież nie co dzień skazujesz człowieka na śmierć..., ale ile to można znosić?!

Półelfka mieszkała trzy domy od karczmy, w wynajętym. mieszkanke na poddaszu. Drzwi otworzyła gruba podejrzliwa kobieta, która długo wypytywała kto, do kogo i po co mu to. Skrępowany kupiec już gotów był zapomnieć o sprawie i uciec, ale gospodyni w końcu się zlitowała i wskazała mu schody.

Wypaczone stopnie jęczały pod nogami jak dusze świętych, błagając grzesznika, by się rozmyślił. Robiły to tak głośno, że gość nie musiał nawet pukać.

- Proszę! - zawołał radośnie dziewczęcy głosik, kiedy skrzypienie ustało.

Kupiec przełknął ślinę, nakreślił znak ochronny i pociągnął za klamkę.

- Wieczór dobry, szanowna. Nie przeszkodziłem pani?

- Aha... - Minstrel siedziała na łożku, ze skrzyżowanymi nogami i rozkładała monety na kupki. Najwięcej było srebra: jakby roztkliwieni słuchacze nie łkali, złota się od nich ghyr doczekasz. Ale z drugiej strony wstyd im było wykładać miedź.

Gość chwilę dreptał w miejscu, patrząc dookoła. Na jedynym krześle leżała górką zwojów przyciśnięta lutnią - strach nie tylko dotknąć, ale wręcz kichnąć w pobliżu.

- Aha - to tak czy nie?

- Zależy od tego, z czym pan przychodzi. - Półelfka w końcu raczyła spojrzeć na kupca i ten w jednej chwili cofnął wszystko, co powiedział i pomyślał o „smarkuli”. Oczy miała absolutnie dorosłe, bezlitosne i rozbawione. - Klienci mi nigdy nie przeszkadzają. Ale jakiś rabuś...

- Nie-nie, co też pani! Ja właśnie... - Kupiec spuścił wzrok i z opóźnieniem ściągnął czapkę. - Znaczący... z zamówieniem.

- Święto, stypa?

- N-nie... ja... khm... - Bagura poczuł się do reszty parszywie. A co, jak złodziej po prostu zażartował sobie z naiwniaka? Ściągnął dwie monety za pośrednictwo, wypił piwa za darmochę i wskazał palcem pierwszego lepszego człowieka: O, właśnie jej pan potrzebuje! Cudo-minstrel, każdego zamęczy brzdąkaniem.

- Aaa... - zrozumiała półelfka i tak samo rzeczowym tonem doprecyzowała: - Mężczyzna, kobieta?

- Mężczyzna - potwierdził kupiec.

- Miejscowy, czy mam gdzieś jechać?

- Nie, to jest zupełnie blisko, na sąsiedniej uli...

- Dwadzieścia kładni - przerwała mu dziewczyna i wróciła do ustawiania monet w słupki.

- I tyle?! - nie uwierzył kupiec.

- Nie. Pięć z góry.

- Ale...

- A, i jest pewne „ale”. Ma mnie pan przekonać, że pana wróg zasłużył na śmierć. Mam nadzieję, że pana o tym uprzedzono?

Pośrednik faktycznie coś podobnego mówił, ale kupiec zrozumiał jego słowa inaczej: w końcu to oczywiste, że najemniczka będzie chciała się dowiedzieć, z kim ma do czynienia i czego może się po nim spodziewać.

- A... wygląd, plan domu, zamki, ochrona?

Półelfka pogardliwie wzruszyła ramionami.

- To już moje problemy. Proszę mówić.

Bagura ponownie zerknął w kierunku krzesła, ale wredna pannica nawet nie pomyślała o tym, by schować lutnię. Ani żeby zaproponować mu miejsce na łóżku. Kupiec przestąpił z nogi na nogę, chwilę sapał, tarmosząc się za koniec brody i dobierając słowa.

- Miałem przyjaciela, Wuzię Chwatka... - zaczął niezdecydowanie.

- Wspaniale - rzekła dziewczyna. - Przyjaciele są dziś na wagę złota.

Kupiec wzdrygnął się.

- Aha, akurat na dwadzieścia kładni - zażartował niezgrabnie. - Znaczy się tego... Pochodzimy z jednej wsi. Razem wypasaliśmy krowy,

razem łapaliśmy ryby, chodziliśmy na ba... popijawy. I razem przyjechaliśmy do miasta, ja jako pomocnik jednego kupca, on - drugiego. No to najpierw wszystko szło po staremu, wieczorkiem do karczmy, w święta jeden u drugiego pierwszy gość. Potem jakoś się ścieżki rozeszły, były ważniejsze sprawy niż picie. Wuzia się ożenił z kupiecką córką, a mój gospodarz umarł nieżonaty i mi wszystko zapisał.

- Sam umarł? - doprecyzowała półelfka szybko.

- Do czego pijesz, dziewczko?! - obruszył się Bagura. - Czy ja jakiś morderca jestem?

- Jeszcze nie - odparła złowieszczo, powodując, że kupiec w jednej chwili zamilkł. - No i...?

- No i każdemu z nas sprawy coraz lepiej szły: tu kupimy, tam sprzedamy... Wcześniej się do cudzych karawan wpraszaaliśmy, teraz puszczamy własne - po pięć albo sześć wozów, z ochroną. Mamy dobre imię, koneksje tu i tam... I nagle ja patrzę, a najlepszy przyjaciel zaczyna mi w drogę wchodzić! Ja wystawię ceny na garnki trzy monety, on natychmiast daje dwie z połówką! Ja zniżam do dwóch, on przez podstawionych ludzi cały towar skupuje i odsprzedaje za pięć. Znalazłem dobre miejsce pod nowy magazyn, a on burmistrzowi sakiewkę wcisnął i sam tam wybudował! - Bagura rozpędził się i przestał jąkać na każdym słowie, jego policzki i nos poczerwieniały ze słusznego gniewu. - Co gorsza, zaczął plotki rozsiewać! Ja jak ten kretyn zrozumieć nie mogę, czemu niektórzy kramarze nie chcą ode mnie towaru brać czy nawet spojrzeć. A potem dobrzy ludzie donieśli, że ten pies kłamie na lewo i prawo: niby mam zgniłe płótno i śledzie robaczywe...

- To by z nim pan porozmawiał - doradziła dziewczyna przyjacielskim tonem. - Spytał, o co w tym wszystkim chodzi.

- Z tym draniem?! Przecież my od dwóch lat nawet sobie się nie kłaniamy! A po tym jak podpalił mój magazyn... - Bagurze wyrwał się męczeński jęk. - Dopiero co przyprowadziłem karawanę z Winessy ani jednego wora nie zdążyłem sprzedać, a towar rzadki, unikalny, za każdą cenę by wzięli.... No to wróg z zazdrości ogień podłożył!

- Jest pan pewien?

- Żebym zdechł na miejscu! - Kupiec z takim przekonaniem pociągnął się za wymiętoloną brodę, że w garści został mu solidny kłak. - Widziano go tam przy pożarze: stał z boku, patrzył i się uśmiechał. Ludzie się męczą, biegają, wiadra z wodą noszą..., a on nawet palcem nie ruszył! No dobra, towar - przyszło i poszło, ale przecież razem z nim się moja kobyłka spaliła! Ot, powiem pani, trzy dni po niej płakałem! Sam ją chowałem od źrebaka, taka kochana była, pieśczośliwa jak kotka...

- Fakt, kobyłki szkoda - przyznała dziewczyna. - Dobrze, przyjmuję pańskie zamówienie. Poproszę pieniądze.

Kupiec trzęsącymi się dłońmi odliczył do wyciągniętej dłoni pięć złotych krążków.

- I kiedy pani... zrobi?

- Sądzę, że do rana będzie po wszystkim. - Zabójczym niedbale dorzuciła zaliczkę do pozostałych monet.

- Tak szybko?! - Bagura poczuł paskudne ssanie w żołądku.

- A po co przeciągać? Czy może chciał pan, żeby jego śmierć zbiegła się z jakąś konkretną datą? Na przykład pana urodzinami? - spytała półelfka uprzejmie.

- Nie, skąd! - Brodacz z przerażeniem zamachał rękoma.

Na ghyr takie prezenty! Wołałby możliwie szybko zapomnieć o całej sprawie.

- W takim razie do jutra. - Dziewczyna dokładnie wymieszała monety, podziwiając ni to widok różnobarwnych łusek na kocu, ni to ich dzwonięcie.

W głowie Bagury zagrzemiał bezdźwięczny grom, pogardliwie zarechotały mrakobiesy.

Interes ubity.

Kupiec w mroku zszedł po schodach, mamrocząc w trakcie, jak gdyby nadal kogoś o czymś przekonując. Niestety, czuł się coraz bardziej paskudnie. Dotychczas Bagura nie potrafił nawet kurczakowi łba ukręcić, a co dopiero na człowieka rękę podnieść! Trzecią noc nie spadł, schudł o pół puda. A dla tej paskudy - jak kolejną piosenkę zaśpiewać! I tak sobie człowiek żyje, baby kocha, dzieci wychowuje, myśli jakby tu lepiej pieniędzy rozmnożyć, dom stawia dwupiętrowy, o każdą deseczkę się gryzie z budowniczym i nawet nie ma pojęcia, że jutro już tego wszystkiego kompletnie nie będzie potrzebował...

Nadaśana gospodyni zamknęła za nim drzwi i zasunęła zasuwę.

Bagura poczuł, że aż go pięty świerzbią, by rzucić się z powrotem i odwołać zamówienie. Nawet spojrzął na światelko w oknie na poddaszu, ale nie miał odwagi ponownie dyskutować z nieprzyjemną właścicielką domu. Zaskamlał cicho jak pobity pies i ruszył z powrotem do karczmy, bo i tak szanse na zaśnięcie były żadne.



Wirra sprawdziła, że klient już nie sterczy pod oknem i z psotnym uśmiechem zaciągnęła zasłonę. Wróciła do łóżka i bezbłędnie zgarnęła palcami pięć kupieckich kładni. Z namysłem potrząsnęła nimi w dłoni, jak gdyby ważąc. Złoto zdążyło wystygnać i obeschnąć po spoczonej

dłoni - ale to już nie miało znaczenia. Przecież pies też nie potrzebuje śladów w błocie, by pewnie biec za tropem.

Laine (klan najemnych zabójców) przyjęła zamówienie. Wzięła zadatek.

Naciągniętą pomiędzy nimi nić mogła teraz zerwać wyłącznie śmierć.

- Wyszedł ze świątyni na Babich Górkach. - Wirra lubiła opisywać na głos napływające obrazy, w ten sposób łatwiej je zapamiętywała. Bo już tak bywało: wymacała cel, przeszła sto kroków, potknęła się i hop - już po wiedzy. Trzeba łapać znowu i marnować czas.

Czyli Babie Górki. Idzie wzdłuż kanału, więc na zachód. Nie śpieszy się. Jeśli wyruszy teraz, to złapie go koło mostu.

Jasnowłosy wicher bezgłośnie zatańczył po pokoju, powoli zmieniając kolor na czarny: koszula, spodnie, buty, chusta na głowę... Dymek ze zdmuchniętej świecy jeszcze nie zdążył się rozpląnąć, a pokój już był pusty.

Monety zostały na łóżku. W mieście nie było idiotów, którzy by się na nie połaszczyli.

Już nie było.



Wuzia Chwatek lubił spowiadać się wieczorami, kiedy w świątyni zostawali tylko on i dajn. Po pierwsze, nikt nie poganiał, nie rozpraszał ani nie podsłuchiwał. Po drugie, potem można było wyciągnąć ogrzaną za pazuchą butelkę czerwonego arlisskiego i zwyczajnie wymienić plotki. Tajemnica spowiedzi swoją drogą, ale do świątyni docierała

masa pogłosek i wiadomości, które mądry człowiek mógł dobrze spożytkować.

Na przykład dziś baby skarżyły się, że pszenica w tym roku nie obrodziła, spichlerze wypełnione ledwo co do połowy. Czyli popyt na nią wzrośnie nie pod koniec zimy jak zwykle, a już w okolicach połowy. Trzeba szybko wysłać pomocnika do Winessy, bo oni tam mieli wspaniałe zbiory. Oddadzą po tanioci, żeby tylko sprzedać. To potem, kiedy inni kupcy tam ruszą, zrozumieją co i jak, i podniosą ceny. Jakby wziąć, powiedzmy, pięć wozów po dwadzieścia worków, każdy po sześć srebrów... Dobra, nie drożej, niż siedem i pół. A tutaj...

Kupiec zapomniał się i omal nie postawił nogi obok mostku, ale czyjaś mocna ręka złapała go za kołnierz, kierując we właściwą stronę.

- Dzień dobry - powiedziała przyjaźnie wybawicielka, nie śpiesząc się z rozluźnianiem palców. - Przepraszam najmocniej, czy pan Chwatek?

Wuzia wypiął pierś. Z chudym, wąsatym i niepokaźnym człowieczkiem z szacunkiem witało się wielu sąsiadów, ale żeby nawet minstrele go poznawali na ulicy?! Sam kupiec natychmiast przypomniał sobie jasnowłosą ślicznotkę, która brzdąkała na lutni w karczmach i na placach. Pamiętał nawet jak któregoś razu rzucił jej monetkę. Co prawda miedzianą, ale przecież dla artysty najważniejsze jest uznanie!

- Owszem, to ja - potwierdził Wuzia z wyższością... i natychmiast poczuł, jak w jego brzuch celuje coś znacznie ostrzejszego, niż lutnia.

W delikatnych panieńskich rękach wielki orczy tasak wyglądał tak bardzo nie na miejscu, że kupiec zdębiał najpierw z zaskoczenia, a dopiero potem ze strachu.

- Ja tylko bardzo proszę, żeby pan nie krzyczał - poprosiła dziewczyna uprzejmie. - Bo ludzie dookoła śpią. A i ja się mogę

zdenewnować. Odrobinę.

- Ratunku! - wychrypiał Wuzia szeptem z obawy, że morderczyni się na niego obrazi, ale równocześnie nie mając ochoty, by zostawić tego oburzającego czynu kompletnie bez odpowiedzi. - Mordują!

- W zasadzie to tak - potwierdziła minstrel-zabójczyni i ze skrzepowaniem dodała: - Ale niech pan sobie nie myśli, to nic osobistego! Pan Krzywosielski za pana obiecał mi dwadzieścia kładni.

W porównaniu do własnego bezcennego życia suma wydała się Wuzi tak niska, że zamiast przedśmiertnego wrzasku z jego gardła wyrwał się histeryczny śmiech:

- Tylko tyle?! Mnie za tego gada to nawet pięćdziesięciu nie szkoda!

- Ciekawy pomysł - przyznała dziewczyna z namysłem. Tasak zniknął jak cień pod przelatującą chmurką. - Chciałby pan może o tym porozmawiać?



- No przecież mówię, z Bagury to dopiero jest szczur! - Wuzia dawno rozpiął kubrak, po jednym guziku na każdą czarkę jałowcówki. Żona i dzieci spali na górze, służących przepędził i własnoręcznie wyciągnął butelkę ze schowka w ścianie. - Myśmy z sołtysem przyklepali interes, ja tydzień później wracam z wozami - a w spichlerzach pusto! Chłopi tylko ręce rozkładają z poczuciem winy, że niby przepraszamy, dobry człowieku, inny kupiec cię wyprzedził! „A mówiliście mu, że już zapłaciłem zadatek?” - „Mówiliśmy, ale zaproponował więcej”.

Wirra uważnie słuchała, obracając w rękach nietkniętą czarkę i co jakiś czas ze współczuciem kiwając głową.

- Zazdrości mi, gad jeden, słowo daję, przez całe życie zazdrości! I żonę mam ładniejszą, i synowie jeden w drugiego zuchy, a on to tylko córkę ma, a i to niewydarzoną! - żołądkował się Chwatek. - Handlować w ogóle ni ghyra nie umie, kupuje co popadnie i jeszcze większym głupkom sprzedaje. A wie pani, co na dniach zrobił? Napchał worki starymi szmatami, ubezpieczył, że to niby arlisski jedwab, i tej samej nocy spalił magazyny w cholere!

- Jest pan pewien?

- A jak! Dozorcy mówili, że przez całą noc się tam kręcił: raz zza rogu wyjrzy, drugi niby przypadkiem koło płotu przejdzie. Wyczekiwał, drań jeden, aż się trafi odpowiednia chwila! Nawet wiernej kobyłki nie pożałował. Ja jeszcze ze wsi tę staruszkę pamiętam, ruda, taka pieszczoszka...

- Fakt, kobyłki szkoda - zgodziła się dziewczyna z westchnieniem. - Dobrze. Poproszę zadatek.



Bagurę obudziło delikatne pukanie w stół, na którym spał. Od twardego blatu kompletnie zdrętwiało mu ucho. Delikatnie mówiąc, wino w karczmie robili bynajmniej nie z winogron. Paskudny posmak w ustach potwierdzał te podejrzenia. Kupiec musiał otworzyć oczy za pomocą palców, a potem z wysiłkiem skupić je na długiej czarnej plamie.

- Może piwa? - spytała plama ze współczuciem.

Melodyjny dziewczęcy głosik otrzeźwił biedaka znacznie szybciej i skuteczniej.

- I tyle?! - Bagura z rezygnacją poruszył wyschniętymi wargami.

- Nie do końca - przyznała dziewczyna z pewnym skrępowaniem. -
Widzi pan, mamy pewien problem...

- Problem?! - Kupiec wyprostował się ze stęknieniem. Jeśli ta kretynka tylko zraniła Wuzię, a on zdołał ją zobaczyć... Niby karczmarz-szachraj na nich nie patrzy, ale kiedy straż zacznie wypytywać...

- Nie, skąd, co też pan mówi - uspokoiła go półelfka spiesznie. -
Przecież jestem zawodowcem. Jeszcze nikt mi nie uciekł.

- W takim razie, na czym polega ten problem? - uspokoił się Bagura.

- On mnie przekupił.

- Co?!

- Ano właśnie, stanęliśmy na stu kładniach. Moim zdaniem to całkiem godna suma, prawda? Najpierw proponował pięćdziesiąt, ale pan już jest w pewnym sensie moim znajomym, więc sumienie mi nie pozwoliło wziąć mniej niż sto. Co prawda pański konkurent wysunął dodatkowy warunek...

- Jaki?!

- Ma pan umrzeć w męczarniach. - Dziewczyna z gotowością pokazała Bagurze paskudnie wyglądający nóż o zazębionym, zardzewiałym ostrzu. - Nic osobistego, sam pan rozumie... Praca to praca.

Karczmarz, którego kupiec tak wyklinał dopiero minutę temu, nagle został dla niego najdroższą osobą na ziemi. Ale za ladą już nikogo nie było.

Dziewczyna również spojrzała dookoła. Świt, mglisty i szary, jak to zwykle na jesieni, zmienił pustą karczmę w prawdziwy grobowiec: poplamione stoły, kości na podłodze, na belkach pod powałą ochłapy pajęczyn.

- Jeśli się panu tutaj nie podoba, to możemy przejść do jakiegoś zaułka - zaproponowała usłużnie półelfka.

- N-n-nie trzeba - wymamrotał kupiec, próbując odpełznąć do tyłu razem z krzesłem.

- W takim razie zaczynamy? - ucieszyła się dziewczyna, wygodniej łapiąc za nóż.

- Nieee! - Krzesło okazało się kiepskim wierzchowcem, wierzgnęło i przewróciło jeźdźca na plecy. Półelfka pomocnie wyciągnęła swobodną rękę, ale Bagura uciekł pod stół. - Nie chcę!

Dziewczyna pokrzepiająco postukała w blat.

- Ale Wuzia chce!

- Jak mogłaś ubić interes z tym draniem? Dlaczego go od razu nie zabiłaś? - Kupiec spróbował grać na zwłokę. Gdzie podział się ten przekłety karczmarz? Czy w całym mieście nie ma ani jednego pijaka, który marzyłby o tym, by zwilżyć gardło z samego rana?

- Przecież nie jestem jakąś tam strzygą! - Ślicznotka wyduła wargi. - Nie morduję, tylko informuję człowieka, o co jest obwiniony, a następnie przeprowadzam sprawiedliwy sąd.

- Ale mnie? Za co mnie? Przecież ja w życiu muchy nie skrzywdziłem!

- A Wuzia powiedział, że sprzątnął mu pan sprzed nosa intratny interes. - Zabójczynie delikatnie, koniuszkami palców uniosła róg obrusa.

- Ale przecież sprzątnąłem, a nie ukradłem! - Kupiec odpełznął dalej. - To się nazywa zdrowa konkurencja! I nie jest ci wstyd?

- Za co? - zdumiała się szczerze dziewczyna. - Jakbym panu z za rogu wbiła nóż w plecy, to by faktycznie było brzydko z mojej strony. A ja po prostu przyszłam i uczciwie powiedziałam, że umowa jest nieważna.

- Ale przecież ja cię pierwszy wynająłem!
 - A on więcej zaproponował. Jak pan to sam przed chwilą nazwał? Zdrowa konkurencja.
 - Konkurencja to jest w handlu! - próbował tłumaczyć kupiec, oblanym zimnym potem. - Jak się sprzedaje jabłka na wagę albo brody goli dwie za cenę jednej!
 - Nie widzę różnicy. - Wirra wzruszyła ramionami. - Ja również sprzedaję moje usługi i chyba oczywiste, że chcę zarobić na tym możliwie najwięcej.
 - Ale przecież wzięłaś zadatek!
 - Ojej, dobrze, że mi pan przypomniał! Zaraz oddam. - Dziewczyna prędko sięgnęła do kieszeni. - Proszę, pańskie pięć kładni i jeszcze dwa kary umownej. Mam nadzieję, że teraz już pan nie ma pretensji?
- Bagura pod stołem chlipnął, obrus zsunął się niżej i zabrzmiało rozpaczliwe:
- Dwieście kładni!
 - Przepraszam...?
 - Trzysta! A poza tym on dosypuje piasku do kaszy i moczy cukier przed sprzedażą!



Który mężczyzna nie marzy, by obudzić się od czułego dotyku na policzku i znaleźć w swoim łóżku piękną młodą pannę? Żeby jeszcze nie miała przy sobie naciągniętej kuszy...

- Przepraszam, że znowu muszę pana niepokoić. - Jasnowłosa harpia pokręciła się na nogach Wuzi, kościstych i twardych nawet przez ciepłą

kołdrę. - Naprawdę czuję się bardzo niezręcznie..., ale on znowu przebił pańską cenę.

Kupiec spiesznie odgrodził się od straszliwego widma poduszką, ale natychmiast zrozumiał, że to nic nie pomoże.

- Ile ten paskud ci obiecał?

- Trzysta.

- Ile?!

- Wspaniale, prawda? - Dziewczyna aż lśniła z radości. - Z takiej okazji nawet zaśpiewam za darmo na pana stypie. Ma pan jakieś życzenia, jeśli idzie o repertuar?

- Nie! Znaczy tak! - wrzasnął Wuzia widząc, jak jej palec napina się na spuście. - Pięćset!



W okolicy obiadu mgła się rozwiała, ale nic nie zapowiadało, że pomiędzy chmurami powstaną jakiegokolwiek prześwity. Wilgotny i wietrzny jesienny dzionek rozpędził po domach nawet natrętnych sprzedawców obnośnych - „gorące paszteciki” stygły zanim nieliczni przechodnie donosili je do ust.

Ale byli też ludzie, których na ulicę nie wywabiłoby nawet nieśmiałe słońce. Od rana Bagura zdążył pokłócić się z żoną (z niewiadomego powodu nie spodobało jej się, że małżonek wrócił do domu o świcie, zalatując alkoholem i natrętnymi elfimi perfumami), więc mimo jego rozpaczliwych błagań zabrała córkę i wyjechała na wieś do matki. I to się nazywa „na dobre i na złe”! Porzuciła ukochanego męża na łaskę morderczyni! Nie, żeby zasłonić potężną (nie każdy da radę objąć)

piersią. W domu zostali jedynie służący, od których tym bardziej nie było co się spodziewać pomocy.

Bagura nie wątpił, że przeklęta dziewczka wróci. Wuzia, ten drań, sukinsyn, łysy ghyr bez wstydu i sumienia niczego nie pożałuje, żeby tylko się z nim rozprawić! Tyle dobrego, że można się nie obawiać niespodziewanego ciosu, bo półelfka jednak miała swoje poczucie honoru - chociaż dość osobliwe. Czyli jeśli zamknie drzwi i okiennice...

- Dzień dobry!

Kupiec złapał się za serce i zaczął spełzać po ścianie.

- Musiałam poskakać po dachach - poinformowała go Wirra radosnym tonem, przestępując przez kratę kominka. - Ależ ma pan leniwych służących, pukałam i pukałam...

Dziewczyna na wszelki wypadek sprawdziła puls leżącego, ze zmartwieniem pokręciła głową, poprawiła miecz za plecami i udała się na poszukiwanie wody. Żeby ocucić kupca potrzebowała trzech kubków i pełnego namysłu: „Może lepiej będzie, jak go od razu dobiję?”

- Co, znowu? - jęknął męczeńsko Bagura widząc, że dalsze udawanie robi się niebezpieczne.

Półelfka spuściła oczy.

- Ile?

- Dużo - przyznała dziewczyna uczciwie. - Więc może po prostu skończmy targi, bo już mi się wstyd robi.

Miecz morderczyni miała długi, wąski i cienki, takim z łatwością szło przeciąć człowieka na pół.

- A co jeśli dam tysiąc?! - Bagura miał całkiem żywą wyobraźnię.

Wirra twardo pokręciła głową.

- Dziesięć tysięcy - zaryzykował kupiec, mrużąc oczy.

- A ma pan tyle? - zaciekawiała się półelfka.

Bagura miał dokładnie tyle - gdyby sprzedał wszystkie towary, unieważnił umowy i zebrał długi. Ale przecież życie jest warte więcej!

- Interesy z panem to jednak czysta przyjemność - rozpromieniła się dziewczyna i po minucie o jej obecności przypominały wyłącznie drobinki sadzy na dywanie.



Psów bał się nawet służący, który ich doglądał. Duże, szare bydlaki o obwisłych wargach z warczeniem rzucały się na każdy cień, doskakując prawie do szczytu głuchego muru. Z klatki wypuszczano je tylko w nocy i zwabiano z powrotem wołową wątrową, zatrzaszkując drzwiczki przy pomocy sznurka przeciągniętego do domku wartownika. Z cudzych rąk nie brały nic. Nie z powodu wielkiego oddania właścicielowi, ale po prostu rozumiały, że jeśli chwilę poczekają, to dostaną obcego w całości.

Dlatego kiedy Wuzia bez żadnych wyjaśnień rozkazał, by psy zostawiono w obejściu na dzień, domownicy urządzili mały bunt. Śniadanie składało się z wczorajszego chleba i kwaśnego mleka: kucharka odmówiła wychodzenia z domu po opał do drwalki. Dzieci z nudów ciągle się biły albo z wrzaskami latały po domu, rozstrzeliwując meble z łuków-zabawek. Żona, kobieta delikatna i cicha, z mściwym uśmiechem („teraz rozumiesz, jak ja się czuję siedząc tu z nimi, kiedy ty znikasz na całe dni?”) szydełkowała w bujanym fotelu, pozwalając mężowi samodzielnie radzić sobie z potomkami.

Ostatecznie Wuzia uciekł na poddasze i zamknął się w gabinecie z jeszcze jednym schowkiem. Dla pozorów poszeleścił papierami, poskrzypiał piórem. Nalał sobie czarękę, jednym haustem ją wychylił,

powtórzył i podszedł do okna. W zasadzie dla morderców dzień nie był roboczym okresem..., ale dokładnie tak jak kupiec podejrzewał, Wirra okazała się pracowitą panną. Nawet nie próbowała się chować, tylko otwarcie podeszła do bramy i pociągnęła za dzwonek.

Oczywiście nikt jej nie odpowiedział. Półelfki to ani nie zdziwiło, ani nie zmartwiło. Pod murem rosła oszukańczo wygodna lipa (złodzieje powinni dekorować ją czarnymi wstążkami ku pamięci tych, którzy nie wrócili z drugiej strony) i dziewczyna bez wahania z niej skorzystała.

Psy, które na taką bezczelność aż na chwilę zatkało, pozwoliły jej przejść połowę ścieżki, zanim wystrzeliły z różnych narożników domu.

Półelfka nawet nie zwolniła kroku. Rozrzuciła ręce, witając zwierzaki jeszcze w powietrzu, lekko przeciągnęła palcami po wyszczerzonych pyskach i poszła dalej.

Psy jak szare szmaty upadły na trawę.

Kiedy Wirra zatrzymała się przed gankiem, przesunęła lutnię na plecy - żeby nie przeszkadzała jej w operowaniu zdobionym krasnoludzkim toporem - i podniosła do okna jasne niewinne oczy: „Ojej, a panu tu biegały wściekłe pieski, co za szczęście, że akurat przechodziłam, bo przecież mogły kogoś pogryźć”. Nerwy Wuzi nie wytrzymały.

- Wszystko! Zabieraj wszystko! Pieniądze, dom i kram! Możesz też wychodek wyczerpać przy okazji! - wrzasnął histerycznie i zatrzęsął okiennice.



Burmistrz podjął Bagurę uprzejmie: podstawił krzesło z miękkim oparciem, nalał do kielicha ciemnego krasnoludzkiego wina. No bo jak,

w końcu szanowany obywatel: tylko w tym roku oferował na budowę dróg całe pięćdziesiąt kładni i kolejny tuzin - osobiście na potrzeby burmistrza!

Kupiec ogrzał się, uspokoił i zaczął kajać. Ostrożnie i nie tak całkiem z głębi serca, skromnie przemilczając informację o tym, kto pierwszy wydłubał dziurę w tamie. Ze niby w swojej naiwności trafił w pajęczynę wrogich planów: pod groźbą śmierci żądają od niego dobytku całego życia...

Burmistrz zapłonął słusznym oburzeniem, zerwał się na nogi i zażądał podania imienia wstrętnego szantażysty. Ale niestety słysząc rzeczony imię w jednej chwili zmarkotniał. Obszedł stół dookoła, przygryzł wargę i delikatnie, po przyjacielsku doradził:

- Może niech pan odda Wirrze to, o co ona prosi, co?

- Ale przecież ona chce wszystkiego! - zapłakał nieszczęsny kupiec zrywając się z krzesła, jak ukłuty szydłem. A jeśli Wuzia okaże się bogatszy o setkę kładni albo dwie... - I jeszcze życia!

- Wyrazy współczucia - zasmucił się szczerze burmistrz. - Miasto poniesie ciężką stratę...

- Ale... ja przecież nie mogę tak po prostu umrzeć?!

Burmistrz pokrzepiająco poklepał Bagurę po ramieniu.

- Proszę się tak nie przejmować, Wirra to dobra dziewczyna! Na pewno da panu godzinę albo dwie na spisanie testamentu i pożegnanie z rodziną.

- I pan tak po prostu jej to daruje?! - Kupiec nie wierzył własnym uszom. - Niech pan rozkaże złapać tę rozbójnicę, póki nie zaszlachtowała połowy miasta!

- Nie mogę - odrzekł burmistrz z żalem. - Po pierwsze, w tym momencie jeszcze nie mam za co. Po drugie, zaczną się zamieszki: ona

jest znanym minstrelem, a tych drani tylko palcem dotknij, a już cię oskarżą o „uciszanie głosu ludu”. Po trzecie, żaden ze strażników się nie zgodzi.

– Dlaczego?!

– Przecież ona naprawdę jest najlepsza - wyjaśnił burmistrz cierpliwie. - Chodzą słuchy, że tylko spojrzysz człowiekowi w oczy i już można zbijać trumnę. Przecież nie będą jej zakuwali w łańcuchy po omacku!

– No to proszę wsadzić do tego więzienia mnie!

– Ale czym pana zdaniem zawinili strażnicy? - zauważył burmistrz z naganą. - Oni przecież też mają żony, dzieci, starszych rodziców... O nie, szanowny panie, proszę nie mieszać miasta do swoich osobistych spraw! Nie pomogą tu ani straż, ani magowie, ani...



– Słuchaj, gościu, starczy tego wiązania ghyra na supeł - skrzywił się troll-najemnik. W zaułku śmierdziało zdechłym kotem, z dachów kapało, a za tylnymi drzwiami podejrzanej speluny grały dudy i chichotały panny o wątpliwej moralności. - Kicham na to, kto z tej waszej klaczy szaszłyka zrobił! Gadaj wprost, ile dajesz i kogo mam załatwić?

Wuzia pokiwał na trolla, stanął na palcach i wyszeptał kilka słów do włochoatego ucha. Najemnik odskoczył ze wstrętem i spojrzał na kupca jak na zgniecionego karalucha.

– Myślisz, że sobie znalazłeś mzdziuka?!

– A co? Za mało?

- Gościu, czy ty słyszałeś o elfim klanie zabójców? Oni są niby jak magowie, też się rodzą z mózgiem na lewo - ale nie do czarowania, tylko do mordowania. Za co ich lud kocha i szanuje. Ze niby jak laine, kogo zaciukał to miał powody. Oni się nigdy nie podejmują niesłusznych spraw.

- A uczciwego człowieka zabijać za dwadzieścia kładni to niby słuszne?!

- O to-to: człowieka - parsknął troll. - A wiesz, jak się uszate dranie swoimi przejmują?

- Przecież ona jest półkrwi!

- I co z tego? Dobra, sama dziewczka elfów może niezbyt obchodzi, ale honor klanu to święta sprawa. Jak załatwisz jednego laine, to jutro tu ich będzie półtora tuzina - dokończyć jego zadanie, a przy okazji się zemścić, jeden mój kumpel już zaryzykował, kiedyś. Dopiero po tygodniu go znaleźli, w lesie pod świerkami. Pod jednym ucho, pod kolejnym nos... - Najemnik zdecydowanie odwrócił się w kierunku drzwi.

- Ale przecież o kontrakcie wie tylko pan! Proszę trzymać język za zębami i nikt pana nie będzie podejrzewał.

- Ja wiem, ty wiesz - burknął troll chmurnie. - Czyli wychodzi, że to już nie tajemnica. Chyba, żebym miał was oboje załatwić, a i to ciebie jako pierwszego, żebyś nie zdążył się już nikomu wygadać.

Najemnik demonstracyjnie podsunął pod nos kupca szeroki nóż w zaciekach krwi - jeszcze świeżutkiej, dopiero co pięć minut temu kroił nim niedosmażoną wołowinę.

Wuzia nieco zbladł, cofnął się i rzucił do ucieczki, podskakując wypisz wymaluj jak zając. I dopiero na tłumnym placu obejrzał się, by sprawdzić, czy najemnik nie biegnie za nim.

- Niedoczekanie, wagurcu podmokły - burknął troll, chowając nóż. -
Jeszcze bym miał za darmo robić...



Spotkali się na środku placu: obaj tak samo bladzi, drżący, o zapadniętych oczach, wyróżniający się z tłumu jak chodzące trupy. Potknęli się i zatrzymali trzy sążnie od siebie, w milczeniu patrząc na źródło swoich problemów, a potem...

- Bagurek!

- Wuzia! Kochany!

Kupcy ze skruszonym łkaniem padli sobie w ramiona.



Wieczór był jeszcze chłodniejszy niż poranek i w karczmie zebrało się tyle ludzi, że gospodarz musiał zawołać na pomoc przygłupią sprzątaczkę. Myliła zamówienia, kilka razy upuściła tacę, ale robota jakoś szła. Nikt nie śpieszył się z wychodzeniem - czekali na zapowiadany koncert, zawczasu przygotowując monety.

Gospodarz już zamierzał zamknąć drzwi: spóźnialscy co i rusz nimi trzaskali, wypuszczając ciepło, poza tym nie było już miejsc. Ale w tym momencie do karczmy bez pytania wkroczyło jeszcze dwóch gości. Obaj byli solidnie podpici i tulili się do siebie jak kochankowie.

- Ty! - wydarł się Bagura od progu, wskazując palcem spokojnie jedzącą Wirrę. - T-ty! Sss...

Dziewczyna pytająco uniosła brwi.

- Sssłuchaj t-t-tu! - kontynuował mniej pijany i jeszcze coś kojarzący Wuzia.

- M-my... co... hik! ...cofamy zamówienie! - Bagura zdecydowanie przekreślił dłonią powietrze.

- Cofamy! - Wuzia z zapalem pokiwał głową, przy okazji pomagając towarzyszowi zachować pion. - Całkiem! Obaj! No więc... tego...

- T-tu m-masz! - Dokończył myśl Bagura, wystawiając do przodu rękę. Palce kiepsko go słuchały, więc kupiec z proszącym myczeniem wyciągnął dłoń do konkurenta. Ten sumiennie uplótł z niej figę, którą wspólnie i uroczyście zaprezentowali szantażystce. - O, masz!

Półelfka filozoficznie wzruszyła ramionami.

- Zaliczki nie zwracam - przypomniała.

- A udł-ł-ław się! - zacinając się zgodnie oznajmili kupcy. - Z góry spoglądają, szystko w nosie maaają! Uch...!

Wykidajło w milczeniu złapał śpiewaków za kołnierze, wywalił za drzwi i zamknął zasuwę.

Wirra po omacku wyłowiła z sakiewki grubą, ciężką złotą monetę i rzuciła karczmarzowi.

- Piwo dla wszystkich na mój rachunek!

Poczekala, aż ucieszeni goście wezmą swoje kufle, uniosła własny i z uczuciem rzuciła:

- Wypijmy więc za solidną męską przyjaźń!

SPRAWY BOSKIE

Jurata w oknie pocięła światło księżyca na wąskie kromki, które rozsypały się po wydeptanej podłodze celi.

– ...zachowajcie nas, Błogosławieni i Najwyżsi w świetle dnia i mroku nocy, pomóżcie rozpoznać zło i dajcie sił, by się go nie obawiać...

Pod sufitem brzęczały komary, jak gdyby wtórując zamiast chóru świątynnego: „Zzzzzło... Ssssssił... Dziab!”

– Aj! - Mikoł z całej siły klepnął się w policzek. - A żeby cię...

Musiał zacząć modlitwę od początku, dodając do niej skruszoną spowiedź. Może właśnie po to bogowie stworzyli komary - żeby zsyłać na ludzi jako próbę? Kto mocny duchem, to tylko uśmiechnie się do nich z miłością... oj! A poza nimi bogowie stworzyli ziele wrotycz i powinien był się nim natrzeć przed odświętnymi modłami. I tak czy siak wychodzi, że grzeszny: zapalczywy, leniwy, nieskupiony.

– ...wybaczcie nam małe grzechy i pozwólcie odkupić duże...

Upłynęła już połowa nocy, a jemu udało się obskoczyć dopiero dwie ikony. Na trzeciej wszystko stanęło: raz się język zaplącze i zamiast: "proszę", palnie „grozę” albo komar, zlitujcie się bogowie nad jego duszą, wetknie kłujkę w słabe ciało.

Cała reszta nowicjuszy od dawna śpi po spełnieniu mnisiego obowiązku, a on, Mikoł, nijak nie może dojść do końca trzeciego boga. Czyli bez zająknięcia wyrecytować mu dwa tuziny modlitw. I dlaczego nie wolno powiesić ikon na jednej ścianie i modlić się do nich wszystkich równocześnie? Przecież i tak się zwraca do wszystkich naraz.

Nowicjusz westchnął, ukradkiem podrapał się po koniuszku oblaźłego nosa i ponownie cofnął rękę do modlitewnej pozycji na piersi. Zresztą, czy się kryjesz czy nie, bogowie wszystko widzą! Ale z nimi się prościej dogadać niż z przeorem. A przynajmniej na kredyt uwierzą, do Potoku Odkupiciela. Podczas gdy ojciec Ktian już zaraz nałoży jakąś pokutę.

– ...wskażcie słuszną drogę i powstrzymajcie przed niegodnym...

Czwarta ikona z pretensją świdrowała spojrzeniem plecy, czekając na swoją kolej.

I jeszcze szyja boli! No bo jak, dwie godziny spędzone na klęczkach. Dziwne, że jeszcze w podłogę nie wrosły. Chociaż już czuć dołki pod kolanami. W celach opactwa celowo nie kładziono podłóg, żeby widać było, kto się jak stara: ten co ma głębsze doły po kolanach, ten bardziej bogów szanuje. Mieszka tu obok stuletni dziadek, który już sam z nich wyjść nie potrafi, za każdym razem woła nowicjuszy. Niedługo w ogóle zniknie pod ziemią, ku rozpaczom mrakobiesów.

„Może też powinienem potajemnie łopata?”

Nowicjusz w pośpiechu przegonił z twarzy niechlubny uśmiech i skupił się na ogarku świecy wetkniętym w kawałek chleba pod ikoną.

–...bo tylko wyście... A żeby was!

Mikoł zatkał usta dłonią, ale było już za późno. No co dziś za paskudny dzień?! Teraz nagle wszystkie świece na raz zgasły. I skąd się ten wiatr wziął? Niby wieczór był cichy, nawet listek nie drgnie... A jakby mrakobies do celi dmuchnął!

Nowicjusz wstał, przeciągnął się z rozkoszą i podszedł do okna. Wychodziło na klasztorny ogród, oddzielony płotem od wiejskiego cmentarza. Jeszcze dalej, za laskiem, na niebie płonęła zorza nad błuźnierczą Szkołą Magii. Bo ponoć oni w nocy pogodę czarują, palą na

swoich wieżach biesowskie ognie. Tfu! Dla dobrego człowieka to nawet samo patrzenie na te bezceństwa - grzech. Podnieśli wiatr, przeklęci czarownicy, zaszkodzili słusznej sprawie!

Chłopak smętnie przytulił czoło do kraty. Nocne powietrze przyjemnie chłodziło policzki. I gdzie by tu zdobyć płomyczek? Z krzesiwem za długa robota, a poza tym Mikołowi się skończyła hubka, a wstyd budzić braci w wierze z powodu takiego drobiazgu. Chyba, żeby pójść do kapliczki, tam się olejowe lampki palą przez pełną dobę. Ale jeśli ojciec Ktian znowu cierpi na bezsenność, to Mikoł sobie dziś nie pośpi. Będzie musiał przy przeorze wygłaszać modlitwy i to z uczuciem, wyraziście, a za każde kichnięcie - po karku karzącą dłoń.

Nowicjusz drgnął i przetarł oczy: przywidział mu się jakiś ruch w cmentarnym mroku. Co za bzdury? Kto i czego tam szuka o tej porze? Grabarza na tutejszym cmentarzu nie było, mogli pilnowali mnisi - za niewielką opłatą, na którą mogła sobie pozwolić każda rodzina. Z jednej strony dochód dla klasztoru, z drugiej - pocieszenie dla krewniaków. Swoją drogą, właśnie w tamtym rogu znajdował się kawałek pod pieczę Mikoła i za dnia wszystko tam było dobrze. Może jakaś niepocieszona wdowa przyszła sobie zapłakać nad mogiłą? Ale w takim razie czemu bez świeczki?

Mikoł poczuł lekki przestrah. Chłopi już od prawie miesiąca skarżyli się przeorowi, że w okolicy grasuje jakiś nocny stwór, ni to strzygoń ni to wąż - i napadł już z tuzin obejść kradnąc... ochraniające je psy. Szkoda, że wilczarz kupca Kozeki na wiosnę zdechł - złodzieje go otruli. Bo on to by pokazał strzygoniowi, gdzie raki zimują! Ważące sześć pudów psisko któregoś razu przegryzło gardło niedźwiedziowi, ratując na polowaniu swojego pechowego pana.

Ale i tak to wszystko bajki i herezje - skąd niby tu się miał strzygoń wziąć? Wielebny przeor w zeszłym tygodniu okrążył cmentarz z kadzidłem, a nowicjusze tyle święconej wody nalali na mogiły, że potem nawet kwiatów nie trzeba było podlewać. A i sam klasztor stoi tuż obok: krzyże, ikony, święte relikwie... A że chłopci sobie gadają - no to ich przecież magowie szczują. Dranie jedne próbują zwabić do siebie wiernych, co by nie bogom świeczki stawiali, tylko czarownikom kładnie płacili.

Nie, tam się na pewno coś ruszało! Koło nagrobka Kateja Wiernego, takie bure, garbate. Czy może jakiś pies się zaplątał? Och, ale przecież tam dopiero co róże posadzone, krewni nieboszczyka je zamówili z samego Jesionowego Grodu i surowo kazali pilnować i dbać. A co, jak ten stwór teraz je paskudzi albo jeszcze gorzej zakopuje kość?!

Zamiast strachu w duszy Mikoła rozgorzał gniew, chłopak złapał przy progu ciężki drąg (nowicjuszy uczono samoobrony, bo pokorni mnisi z laskami zbyt często ściągali na siebie uwagę amatorów łatwego łupu) i udał się zaprowadzać porządek.

Sad już dawno trzeba by wykosić, bo zarósł tak, że ścieżek nie widać. Rosa smagnęła zimnem bose pięty, rąbek habitu błyskawicznie przemókł i zaczął kleić się do nóg. Za plecami nowicjusza spadło jabłko, hałaśliwie przedzierając się przez liście i zmuszając chłopaka do wygodniejszego złapania laski. Gdyby naprawdę na niego jakiś rozbójnik napadł, to Mikoł by mu ku chwale bogów - bęc! I - pobłogosławcie, Najwyżsi! - z obrotu pomiędzy oczy. Bo tak się człowiek uczy, uczy, najlepiej ze wszystkich w opactwie tą pałką kręci - i nic. Może przez całe życie będzie tylko grządki pielął i przepisywał życiorysy świętych.

Nowicjusz sam nie zauważył, jak z rozpędu przeskoczył płot, w wysoku uderzając wyimaginowanego przeciwnika piętą w nos. Widok krzyży na wzgórkach mogił w jednej chwili go otrzeźwił i Mikoł z poczuciem winy wsadził laskę pod pachę, poprawił habit. W ciągu stu lat cmentarz rozrósł się na prawie pół wiorsty, aż do samego lasu. Chowano tu nie tylko chłopów, ale i ludzi z miasta, tych bogatszych. Miejsce kawałek od zaludnionego Starminu, ale nie jakoś bardzo daleko, zadbane, nikt nie zakłóca spokoju umarłych.

Za wyjątkiem tamtych, dla których nie było w życiu nic świętego. Lepiej by było, jakby to pies paskudził!

Zresztą, pies tu również był. Malutki biały kundelek o czarnych uszach i puszystym zawiniętym ogonie, który wydawał się pożyczony od innego, większego i bardziej kudłatego psiska. Biedactwo posłusznie stało koło cmentarnego ogrodzenia z uniesioną cienką drżącą łapką, przywiązane krótkim sznurem.

Właściciel, który siedział w kucki plecami do Mikoła, z zapalem grzebał w ziemi. W wiszącej na jego ramieniu torbie przy każdym ruchu coś brzęczało. Przytoczony do pasa miecz zauważalnie przeszkadzał świętokradcy, który co chwilę go poprawiał, ale z jakiegoś powodu lenił się zdjąć. Obok leżała łopata.

- Hej, co pan tam robi? - zawołał Mikoł drżącym głosem i aż sam się zdumiał, bo wyszło wyjątkowo głupio i piskliwie.

Mężczyzna nie ruszając się z miejsca, podniósł głowę. W ręku - uf! - miał nie sztylet, tylko zwykły zaostrzony patyk.

- Pracuję - odparł przyjaznym tonem, patrząc na bladego, najeżonego chłopaczka w szarym habicie. - Czemu pytasz?

- Proszę natychmiast przestać!

- Dlaczego? - zdumiał się szczerze tamten. Wyglądał na około dwadzieścia lat: wysoki, chudy, o jaskraworudych włosach, krótkiej brodzie i sprytnych oczach. Przypominał młodego zwinnego lisa, który dopiero co zmienił szare dziecięce futerko na wytworne rude.

- To święta ziemia!

- I dobrze, łatwiej się będzie czarowało.

Mikoł na taką bezczelność aż stracił dar mowy. Mag uznał natomiast, że temat jest zakończony i ponownie zaczął grzebać w ziemi.

- Czy pan mnie nie rozumie? Proszę stąd odejść!

- W życiu.

Nowicjusz przeniósł spojrzenie na laskę. Na darmo ją taszczył, czarownik mu nie pozwoli nawet wziąć zamachu. Znaczy oczywiście, bogowie go potem ukarzą, ale chciałoby się teraz i to możliwie widowiskowo, żeby odstraszyć innych!

- Ja... ja... poskarżę się przeorowi! - zagroził niepewnie.

- Ojej, już się boję. - Mag z roztargnieniem pomlaskał językiem, sprawdzając coś w zwoju, a następnie w gwiazdach. Już stracił całe zainteresowanie Mikołem, jak gdyby ten był brzęcząca nad uchem muchą, którą można odpędzić ręką i zapomnieć.

Ale rzeczywiście, co zwykły nowicjusz mógł zrobić magowi? Przekląć? No, ale przecież dusza czarownika i bez tego spadnie wprost w ramiona mrakobiesów, bo już dawno została im oddana i sprzedana. Póki Mikoł pobiegnie po ojca Ktiana... Zresztą, przecież on tu osobiście nie pójdzie, wyśle któregoś ze starszych braci. A nim ten się obudzi, zanim ubierze, to ten drań tutaj spokojnie zakończy wszystkie swoje wstrętne bogom sprawy i zniknie.

Oczywiście można rzucić w niego kamieniem i uciec, ale to czyn niegodny sługi bożego, bo powiedziane zostało w zwojach proroczych:

„Jak nie wszędzie pszenica z nasion perzu, tak nie urodzi się dobro ze złego czynu”.

A poza tym czarownik i tak na pewno go dogoni.

Najsensowniejsze wydawało się godne odejście - czyli udanie, że Mikołowi gdzieś się śpieszy, bo w przeciwnym razie już on by temu draniowi pokazał! Jednak w tym momencie spojrzenie chłopaka padło na nieszczęsnego psiaka. Lubił zwierzęta i zawsze nosił w kieszeniach kawałki chleba dla klasztornych koni. I psa w dzieciństwie miał, tak samo małego i łagodnego. Płakał przez trzy dni, kiedy pijany chłop przetrącił psiakowi grzbiet butem.

- Proszę natychmiast uwolnić tego stwora bożego! - Głos nowicjusza nabrał pewności i w końcu zabrzmiał nie jak brzęczenie komara tylko jak klasztorny dzwon. Tym najmniejszym, jak w kapliczce..., a może nawet tym, co wzywa braci na kolację..., ale jednak!

- Słyszałeś, Bobik? - zapytał mag psiaka, drapiąc go za uchem. - Ten nudziarz nazwał cię stworem.

Głupi zwierzak zamerdał do niego ogonem, a na Mikoła szczerknął ze złością.

- To pan... to ty przeżywasz, obmierzły czarowniku! - uniósł się nowicjusz. - Natychmiast zgiń, przepadnij z cmentarza!

- Sam przepadnij! Pobiegnij do panienki czy coś, póki przeor śpi...

- Żeby ci to i owo uszło, zbereźniku! Ja mam śluby!

- A ja aspiranturę!

Mikoł na wszelki wypadek uczynił znak krzyża.

- Bronię pracy z magii bojowej - wyjaśnił rudy cierpliwie. - A jeśli dobrze oceniam, to macie tu u siebie rzadkie zjawisko, które dopiero dwa razy zostało opisane w literaturze.

- Że co?!

Mag ze smutkiem pokręcił głową i zaczął sylabizować, pomagając sobie wyrazistymi gestami:

- Ja-tu-szukać-pomrok. Ty-tam-iść-spać. Świątynia-Konwent-przyjaźń-po-grób. Twoja moja rozumieć?

Mikoł wzniósł oczy do nieba, w pośpiechu poprosił o wybaczenie grzechu bluźnierstwa, po czym na wszelki wypadek jeszcze użycia siły, westchnął do samej wątroby i dokładnie podał magowi swoją uczciwą opinię odnośnie do tego, gdzie tenże mag powinien zajrzeć, a tak w zasadzie to i pójść.

Słuchacz jego monologu zamarł z otwartymi ustami i nawet wypuścił swój kołek.

- Oho! - mruknął z prawie mistycznym zachwytem. - To się w klasztorach teraz tak modlą? A przypadkiem nie trolle wam wygłaszają kazania?

Nowicjusz wypuścił parę, zrozumiał, że dla danego grzesznika już nie ma nadziei, więc schylił się i zaczął w milczeniu odwiązywać psiaka.

Teraz to mag miał zagwozdkę. Wychowanie i chwiejna równowaga pomiędzy władzą magiczną a duchowną nie pozwalały mu atakować „skromnego mnicha”. A uczciwie mówiąc, psiak nie należał do niego, przywabił jakiegoś bezpańskiego kundla na placu targowym. Biedny zwierzak już po wielokroć przeklął otrzymany kawałek mięsa i kiedy szaleni ludzie zaczęli z warczeniem przeciągać do siebie jego zaimprovizowaną smycz, nie wytrzymał. Zakręcił się, zaskowytał, capnął najbliższego człowieka zębami za łydkę, po czym rzucił do ucieczki.

- Kretyn! - warknął mag, ze złością kopiąc łopatę. - Teraz go łap!

- Dziękuję wam, Błogosławieni i Najwyżsi - wyjęczał Mikoł, skacząc na zdrowej nodze i trzymając się za ugryzioną.

- Czy ty w ogóle rozumiesz coś narobił?!
- Uratowałem niewinną istotę przed biesowskim rytuałem!

Nowicjusz cieszył się za wcześnie. Głupi zwierzak ruszył na przełaj przez pechowe róże, zaczepił o krzak sznurem i teraz desperacko grzebał łapami, próbując wywinąć się z pętli.

- Aha! - Mag z zadowoleniem złapał za łopatę. Mikoł szturchnął go łokciem, prawie zbijając z nóg i kulejąc sam rzucił się do psiaka.

Czarownik dogonił go już koło samej mogiły. Ponownie spotkali się nos w nos: jeden miał pałkę, drugi łopatę, a na środku kwitły srebrzyste elfie róże „Delikatny Pocałunek”. Psiak przestał się wyrywać, usiadł i zawył - przenikliwie i tęsknie. Pewnie również się do kogoś modlił.

Tak więc przeciwnicy też musieli podnieść głos.

- Czy ty kretynie jeden nie rozumiesz, że jak on zeżre wszystkie psy we wsi, to z głodu się weźmie za ludzi?!

- To święta ziemia!

- Już to słyszałem!

- Nie ma w niej żadnego zła!

- A co ma piernik do wiatraka?!

- Bogowie chronią swoje owieczki!

- Zgadza się, macie tu niezgorsze tło magiczne, ale to nie przeszkadza trupiesowi w śpiączce, wręcz przeciwnie!

- Mamy tu boskie błogosławieństwo!

- Niezłe macie pojęcie o błogosławieństwach! Już dziewięć psów zginęło i tak między nami, jeszcze jeden baran! A jak co poniektórzy nie przestaną łązić po cmentarzu i przeszkadzać mądrym ludziom, to będzie tych baranów dwa!

- Sam jesteś baran! - Laska dźwięcznie skrzyżowała się z łopatą. Następnie łopata z laską: mag też co nieco potrafił. - Naczarował

jakiegoś paskudztwa, a teraz głupoty gada!

– Ja?! Nie trzeba tu było psów chować!

Mikoł zachłysnął się słusznym gniewem:

– Kogo z naszych dobrych wiernych nazywasz psem?!

– Psa!

Ziemia na mogile raptem bryznęła na boki, jak gdyby spoczywała w niej beczka z młodym winem, które przesadziło z fermentacją. Krzak róż, drżąc wszystkimi liśćmi, poleciał do góry i niczym jemioła zawisł w koronie brzozy Mikoł nie dostrzegł, gdzie zwiął uwolniony psiak, bo sam poleciał do tyłu i z takim impetem walnął o sąsiedni krzyż, że ten chyba trwale odbił mu się na plecach.

A z mroku mogiły bezdźwięcznie, nienaturalnie płynnym skokiem wydostało się ogromne zwierzę. Na piersi i karku posklejane futro zdążyło zmienić się w trójkątne rogowe łuski, po bokach dopiero co pojawiały się one wśród gnijących strzępków. Pysk, w którym nawet za życia zmieściłaby się głowa dziecka, teraz był dwukrotnie dłuższy. Kły nie urosły (inaczej się paszcza nie zamknie!) - ale za to zmieniły się nie wszystkie zęby, co do sztuki. A szyję potwora, jak biesowski żart, otaczała obroża z wygniecioną kokardą.

– Co... Bogowie, co to jest?! - wrzasnął Mikoł, odgradzając się laską, której ostatecznie nie wypuścił z rąk.

– Przecież ci mówię, durniowi, że trupies! - wrzasnął mag w imieniu Najwyższych. - Zakopali psa w poświęconej ziemi, odprawili modły jak nad człowiekiem, a potem się dziwią!

Nowicjusz pokręcił głową i huczący chór w niej ścichł do jednego całkiem ziemskiego głosu.

– Nieprawda, nie ma na mnie takiego grzechu!

- No to twój przeor! Niepocieszony kupiec dał mu z pół setki kładni, a ten uznał, że grzech nie skorzystać!

Na cmentarzu często chowano obcych w zamkniętych trumnach: jakiegoś rycerza, który miał pecha w walce ze smokiem, albo bogatego wielmożę z samej Szakkary - ponoć napisał w testamencie, że chciałby leżeć w ziemi ojczystej. Ale, żeby psy?! A Mikoł, dureń jeden, jeszcze Kozeki żałował - w jednym tygodniu ukochany pies zdechł i jeszcze kogoś z rodziny trzeba chować.

Pomroka otrząsnęła się, osypując ludzi grudkami ziemi i owiewając falą smrodu. Podejrzliwie powęszyła resztkami nosa, z którego wystawały koniuszki żółtawych kości.

Mag ostrożnie pociągnął miecz z pochwy, ale psu wystarczył ledwo słyszalny szelest. Nastroszył łuski i cofnął się z warknięciem. Dźwięk był niski i natrętny, w piersi szczypało jak po długim biegu.

- No?! - Rudy przywabił trupiesa wolną dłonią, ale ten drwiąco wyszczerzył zęby i jak cień rzucił się precz, w jednej chwili znikając pomiędzy nagrobkami.

- Ot bydlę! - Mag ze złością zwrócił się do nowicjusza: - A to wszystko twoja wina!

- Dlaczego moja? - Mikoł też na wszelki wypadek odpełznął, przecierając habit na tyłku.

- Przestraszyłeś gada! Trzeba go było załatwić jeszcze w grobie albo łapać na żywca! I gdzie on teraz jest, co? Może kolejnego psa zabija, a może człowieka!

- No to czemuś do niego nie zastosował swoich haniebnych umiejętności? - Chłopak skrzywił się, sięgnął ręką za ramię i wyciągnął z pleców wielką drzazgę.

- O magii mówisz? Przecież to pomroka, na nią tylko stał działa. Na pulsar jest za szybka, na uplecenie innego zaklęcia nie miałem czasu, i w ogóle o trupiesach prawie nie ma danych archiwalnych...

- A może magia po prostu nie działa na świętej ziemi? - przerwał mu Mikoł z satysfakcją.

- Działa! - obruszył się mag.

- Nie wierzę! Bogowie nie pozwolą na takie bluźnierstwo!

- Ghyr wie co... - wymamrotał rudy. - Masz, patrz!

Mag wsadził miecz w ziemię, rozłożył ręce i pomiędzy nimi zatańczył iskrzący się, błękitny język pioruna.

- Przekonany?

Ostatecznie rozczarowany Mikoł nie zdążył odpowiedzieć - pomiędzy nogami czarownika tupiąc jak zając przemknął biały psiak. Był tak oszalały z przerażenia, że nawet nie szczekał, tylko pędził z otwartym pyskiem i wytrzeszczonymi oczami.

Piorun wyślizgnął się rudemu z rąk i jakiś nagrobek wystrzelił kamiennymi okruchami. Mag schylił się po miecz, trupies jak dziecko bawiące się w „kozyłki” przeleciał nad jego plecami, zakapując kurtkę śliną. Spojrzenie pomroki było jak zaklęciem przykute do białej umykającej plamki - głód nieumarłego okazał się silniejszy niż ostrożność.

- Łap paskudę! - wrzasnął rudy zapominając, że ma przy sobie nie kolegę, a mnicha.

Nowicjusz również nie pomyślał i złapał. To, co zdołał.

Trupies po przebyciu kolejnych kilku sążni zatrzymał się. Rozejrzał się tępo dookoła.

Mikoł, siedzący jak ten dureń z urwanym ogonem w ręku, poczuł się bardzo niezręcznie.

- Chyba go zirytowałaś - zauważył mag z nerwowym śmieszkiem.

Kundelek gwałtownie zawrócił i ponownie przytulił się do jego nóg, dygocąc. Mikoł rzucił ogonem w wyszczerzony pysk bestii, podciągnął bliżej łaskę i zerwał się na nogi.

Wszystkie psy lubią ganiać własny ogon. Ale tylko temu wilczarzowi udało się go złapać.

Póki paszcza trupiesa była zajęta, Mikoł z całej siły trzasnął go łaską między uszy. Sądząc z dźwięku, czaszka pękła. Mało tego, kość wyjrzała z rany, ale ta nie krwawiła, a pies nawet nie pisnął. Tylko głowa mu drgnęła. Kolejny cios - w oko, pałka weszła na co najmniej trzy piędzi i prawie utknęła, po wyciągnięciu wydając paskudne cmoknięcie.

Niestety, mnichowi nie udało się rozwalić pomroce żadnego bardziej istotnego organu: przeszła do ataku, zwierając szczęki na lasce, która opowiedziała chrzęstem (Mikoła prawie zemdliło od smrodu z rozkładającego się pyska). Bestia przewróciła człowieka na ziemię, z przykrą łatwością złamała opór rąk i... położyła się obok. Habit na piersi zaczął szybko nasiąkać, skórę szczypało.

- Jak tam, jesteś cały? - Mag złapał psie truchło za nogę i ściągnął z nowicjusza. Łeb nadal wisiał na lasce, niemrawo ją żując.

- Bogowie uchowali - wydukał Mikoł nie ryzykując sprawdzać, jak daleko sięga owa łaska i czy pies przypadkiem nie zdążył odgryźć czegoś, co nie zostało nią objęte.

- Wstawaj... partnerze. - Rudy po przyjacielsku zaproponował nowicjuszowi rękę. Ten odruchowo wyciągnął własną, ale w połowie drogi cofnął i krzywiąc się z bólu w mocno nadwyrężonych plecach wstał samodzielnie. - No daj spokój! Dobrze walczysz.

- Nie jestem dla ciebie partnerem - uciał Mikoł, wrywając pęczek trawy i próbując wytrzeć nim psią krew. Ale ta, mimo że gęsta i zimna,

zdążyła się wchłonąć, beznadziejnie paskudząc habit. - Moją bronią kierowali Najwyżsi, a twoją - mrakobiesy.

- O bogowie... - westchnął rudy z rozczarowaniem. - No dobra. Niech będzie, że bogowie...

- Co tu się dzieje?!

Mikoł nabrał otuchy, a świat stał się łatwy, spójny i zrozumiały. Ku zbezczeszczoneму grobowi, pomagając sobie laską, zmierzał sam przeor, którego najpewniej obudził hałas. No to teraz czarownik zapłaci za swoje przestępstwa!

- Ktoś ty?! - zapytał groźnie ojciec Ktian, kierując karzącą dłoń w stronę rudego.

- Aaa-emmm... Mag-praktyk czwartego stopnia. - Ten lekko się zaniepokoił. - Aspirant Ksandra Perłowa.

- Pokaż znak, biesowski pomiole!

Mag bez słowa sprzeciwu rozpiął kurtkę, do podszewki której przypięta była jakaś blacha, delikatnie lśniąca w mroku: miecz i słońce albo coś w tym rodzaju. Przy okazji wyciągnął z wewnętrznej kieszeni jakiś zwój i podał przeorowi. Tamten ze wstrętem pokręcił go pomiędzy dwoma palcami, spojrzął na pieczęć i oddał z powrotem.

- To ja zabiorę truchło? - zapytał mag retorycznie, wyciągając z torby poskładany worek. - Będzie wspaniale wyglądało w muzeum wiedzy nienaturalnej.

- Zabieraj łapy, już! - nie wytrzymał Mikoł, ponownie wysuwając się naprzód. - W muzeum, akurat! Żeby stwór po tygodniu znowu tu biegał?! O nie, razem z braćmi spalimy potwora i rozrzucimy jego prochy po...

- Zabieraj to paskudztwo - przerwał Mikołowi przeor. - I natychmiast stąd znikaj.

- Ale ojcie Ktianie! - zawył nowicjusz. - Przecież to najważniejszy dowód! Trzeba wystawić go na widok publiczny i w obecności ludzi zażądać od Kozeki wyjaśnień!

Mag uśmiechał się paskudnie, ładując trupiesa do worka.

- A ten tu rudy mówił o ojcu różne świństwa! - gorączkował się Mikoł. - Ze niby kupiec ojca podkupił i psa tu zakopano za jego błogosławieństwem. Bluźnierca i kłamca! Pewnie sam wywołał tego stwora z czeluści piekielnych i poszczuł na spokojnych wiernych. Trzeba zawołać braci, związać go i zabrać do króla!

Ale ojciec przeor zachował się bardzo dziwnie.

- Synu... - powiedział delikatnie, obejmując nowicjusza za ramiona. - Dziś bogowie wystawili cię na prawdziwą próbę, którą z honorem wytrzymałeś. Ale już się zakończyła i chwała niech będzie bogom! Nie trzeba niepokoić braci o tak późnej godzinie... i w ogóle nie trzeba. Masz tu jabłuszko, zjedz je i zapomnij o tym wszystkim, jak o koszmarnej śnie.

Młodzieniec z niezrozumieniem patrzył na soczysty owoc.

- Ale ten bluźnierca zbezczeszczył cmentarz i śmiał się z naszej wiary!

- Nic nie szkodzi, zaraz poprawię krzyże, skropię je wodą święconą i mrok pierzchnie. A z kupcem sam porozmawiam, niech go bogowie osądzą...

Jabłko było duże i ciepłe. Mikoł odruchowo, zasłuchany w miękko płynący głos przeora, podniósł je do ust... I zobaczył koło cmentarnego ogrodzenia dwa ogryzki - zupełnie świeżutkie, jaskrawo widoczne pod księżycem.

- Ojcie Ktianie - szepnął, porażony straszliwą myślą. - Czyli ojciec już tu stał od dłuższej chwili?! Ale dlaczego..., dlaczego w takim razie pozwolił ojciec czarownikowi na te bezecności?

- Synu, bogowie są wyższą siłą, która objawia się cudami i znakami. - Przeor nadał się z ważności. - Jeżeli będą chcieli cię wynagrodzić, to nie nasypią złota z chmury, tylko ześlą szansę na zysk. jeżeli osądzą, to ukarzą chorobą, a nie osobiście zstąpią z niebios, by zbić różgą. No więc, kiedy modliłem się o wybawienie od potwora, to wstałem z kolan i dostrzegłem na cmentarzu konku... sprzedajnego czarownika. Co to miało być, jak nie znak sił wyższych?

Rudy pomachał im złośliwie i ruszył do furtki, uginając się pod ciężarem worka. Psiak po chwili wahania dogonił go i poszedł przy nodze.

- A może został wysłany, by wodzić ojca na pokuszenie? - burknął chłopak. - Jak w piątym wierszu z drugiego zwoju: „...i pojawił się przed Benocwałem bies z ogonem śmierdzący i zaczął kusić go i przekonywać do zawrócenia, bo święte źródło wyschło i prościej nabrać wody z moczarów”?

- Idź do swojej celi, głupie dziecko - zeźlił się przeor, zabierając Mikołowi jabłko, skrupulatnie wycierając je o habit i chowając do kieszeni. - Jesteś jeszcze za mały, by wnioskować o boskich zamiarach! Rano zamiast śniadania odmówisz dwadzieścia razy modlitwę „O sile ducha”, a nuż przybędzie mądrości w twojej głowie. I żebyś nikomu nawet nie pisnął o tym, co się tu stało! Bo wypędzę!



Poranek i dwójka adeptów na wyścigi malowali kamienny mur otaczający Szkołę Magii, Wróżbiarstwa i Zielarstwa: ten pierwszy - złocistymi promieniami, a drudzy - wapnem z wiaderka. Ich starania pilnie obserwował kierownik katedry magii bojowej Ksander Perłow i o

ile do słońca nie miał żadnych zastrzeżeń, to adepci mieli już szczerze dość smarowania każdej szczelinki pomiędzy kamieniami. Niestety, jedynym, co budziło skruchę w wychowywanych za pomocą pracy nicponiach, był fakt, że dali się złapać na niewinnym, przynajmniej z ich punktu widzenia, żarciku. Żwawa złocistoruda dziewczynka ukradkiem szturchnęła łokciem towarzysza niedoli: w kierunku bramy uparcie kulał naburmuszony chłopaczek lat około piętnastu, w brudnym, podartym habicie z krzyżem na piersi. W jednej ręce niósł chudą płócienną torbę, a w drugiej wypolerowaną dłońmi pałkę.

- Czego tu szukasz, młody człowieku? - zapytał Ksander możliwie delikatnie. Magowie i dajnowie nie dogadywali się za dobrze, więc nie należało dawać konkurencji dodatkowego powodu do awantury. Szczególnie, że Almit oddając brudnopis pracy dyplomowej przyznał, iż w nocy miał jakieś problemy ze świątynnymi. Pewnie przyszli na skargę...

Chłopaczek dziko błysnął ciemnymi oczami.

- Chcę się uczyć waszej paskudnej magii - powiedział śpiewnie łamiącym się basem. - Żeby oddać duszę mrakobiesom i przez to zostać narzędziem Pańskim!

- No... dobrze - zagubiony kierownik odsunął się.

Mikoł pociągnął nosem, mocniej złapał za laskę i przestąpił próg Szkoły.

MOROWKA I TRÓJKA MAGÓW

- No i wykrakałeś! - powiedział z pretensją Wążek do głosu wewnętrznego, kiedy za następnym dębem również nie zobaczył znajomego rozwidlenia. Jednak zabłądził. I dlaczego nie zanocewał w Olszance, chociaż karczmarz tak go namawiał? Pożałował pięciu srebrów, że niby w Żabkach biorą za łóżko z kolacją tylko trzy. I gdzie one są, te całe Żabki?

Głos milczał z poczuciem winy. Za to parsknęła kobyła - ni to z rozbawieniem, ni to Wążek był tak wściekły, że w tej chwili usłyszałyby sarkazm nawet w skrzypieniu brzozy. Chociaż... drzewa nie skrzypiały. Noc była cicha, bezksiężycowa, zadziwiająco ciepła jak na środek jesieni i słodko pachniała opadłymi liśćmi. Płynący przed jeźdźcem pulsar oświetlał leśną ścieżkę - nieznacznie, tylko żeby koń się nie potykał.

- Skoroś taka mądra, to sama szukaj noclegu! - Chłopak rzucił wodze, odczepił od siodła torbę i zaczął z irytacją w niej grzebać. Bo ciepło jak ciepło, ale jak to się mówi, wieczorkiem z nosa ciekło.

Wążek wsadził głowę w robiony na drutach bezrękawnik, zaplątał się w nim, a kiedy walczył z niesforną częścią garderoby, pulsar z klaśnięciem zgasł. Kobyła natychmiast się potknęła, torba zleciała chłopakowi z kolan i zniknęła w mroku.

Rozległ się brzęk szkła, a potem chrzęst - chyba niezgrabne bydło w dodatku nadepnęło na zgubę. Do reszty rozwścieczony mag warknął tak, że kobyła drgnęła i zatańczyła w miejscu. Spod kopyt doleciał kolejny przedśmiertny brzęk.

Wążek w końcu pokonał śmiertelną pułapkę bezrękawnika, opanował wierzchówkę i znalazł torbę, po czym przez jakąś minutę

siedział nieruchomo, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Wyczarowanie nowego świetlika to kwestia sekundy, ale czy warto? Gorszy od samotnego spaceru po nocnym lesie jest tylko samotny spacer z pochodnią. Wszyscy z daleka widzą, że obiad nadchodzi! A poza tym okoliczne lasy miały kiepską sławę. Nie żeby tak zupełnie, bo miejscowi chadzali po grzyby czy jagody. Ale za dnia. Więc słuszniej będzie zsiąść z konia i poprowadzić go za uzdę z impulem poszukiwawczym przed sobą.

Kobyła strzeliła ogonem i niespodziewanie ruszyła z miejsca. Czyżby widziała drogę? Sam Ważek miał wrażenie, jakby brodziła po kolana w czarnej wodzie na środku mokradeł. Chociaż jej łeb był niżej... Dobra, niech idzie. Może wywiedzie na jakąś polankę, a tam można będzie rozpalić ognisko.

Kobyła cały czas przyśpieszała i w którymś momencie jeździec nawet musiał ją przyhamować, żeby po ciemku nie połamala sobie nóg. Ale ona już się nie potykała tylko szła kłusem, jak po bruku. Po chwili Ważek również przyzwyczał się do mroku i dostrzegł ścieżkę, nawet bardziej wąską i zarośniętą niż poprzednio. Tak paskudnie wiła się pomiędzy krzywymi konturami krzaków, że chłopak na wszelki wypadek odwiązał pochwę z mieczem od tylnego łęku siodła i przewiesił na plecy. Nagie już czubki drzew skrobały gwiaździste niebo jak koślawe palce. W chaszczach co jakiś czas pojawiały się zielonkawe płomyczki, ale były to albo zwykłe nieszkodliwe iskierniki, albo ktoś, kto zmierzał je udawać, póki Ważek nie zaśnie.

Mag już pogodził się z myślą, że będzie musiał spać za dnia, ale w tym momencie kobyłka stanęła. Parsknęła, stuknęła kopytem. Chłopak nie wypuszczając miecza ze stęknięciem spełził z siodła i wolną ręką potarł zbolale części ciała. Las przecinała szeroka przesieka, której oba

końce ginęły w mroku. Ważek zrobił krok do przodu i potknął się o koleinę. Pochylił się, dotknął - na dnie rosła trawa. W tym roku na pewno nie jeżdżono tu za często, pewnie droga prowadziła do opustoszałego kamieniołomu albo podmokłej łąki. Teraz by jeszcze zgadnąć, w którym kierunku na pustkowia, a w którym do wsi...

W tym momencie zauważył coś lepszego: komin, a pod nim nawet cały dom. Drewniane ściany i pokryty trzcinową strzechą dach ściemniały od deszczów, rozchwiany płot sterczał na boki i mało się różnił od okolicznych krzaków. Chłopak podszedł bliżej, z namysłem dotknął złamanego pośrodku koniowiązu. Spękane, zaciągnięte pajęczynami szyby w oknach ostatecznie przekonały go, że trafił na karczmę - zwykłemu leśniczemu takie wygody niepotrzebne.

- Hej, gospodarze! - zawołał mag na wszelki wypadek, pociągając za sznur wiszącego nad gankiem dzwonka. Ten zerwał się razem z przerdzewiałą końcówką, powitalnie spadając gościowi pod nogi.

Oczywiście nikt się nie odezwał. Tylko w chaszczach zaszeleściło.

Niespodziewanie kobyłka zaparła się, zadarła pysk i zrobiła krok do tyłu. Zaniepokojony Ważek sprawdził dom impulsem - ani żywej duszy. I nie-duszy też. Może zapach się kłaczce nie spodobał? Z tamtej strony akurat zawiało stęchlizną, wilgocią i lekko padliną. Zwykłe leśne zapachy.

Mag przywiązał kobyłę do drzewa, wrócił do ganku, zdjął zasuwę i lekko pchnął drzwi. Zgrzytnęły tak, jakby miały zęby zamiast zawiasów. Pulsar oświetlił przestronny i kiedyś pewnie przytulny pokój z długim stołem, kilkoma ławami, kominkiem i wiszącą na ścianie kolekcją trofeów myśliwskich: łby jeleni, łosi, dzików. Nadgryzione przez mole i myszy wyglądały teraz jak pomoce naukowe z pracowni wiedzy o

pomrokach. Na podłodze pełno było wiórów, ale w ogólności dawało się żyć. A już tym bardziej nocować.

Ważek obejrzał dom do końca, znalazł kuchnię w przybudówce, mały pokój dla gospodarza z pojedynczym łóżkiem i kolejne trzy izby na strychu, dla ważniejszych gości. Pozostali mogli spać na podłodze przed kominkiem. Chłopak już wracał do drzwi, kiedy te ponownie skrzypnęły. Tym razem zamykając się. Wiatr? Najpewniej, bo kobyła milczała. Ale lepiej chwilę побыć tchórzem niż dłużej trupem.

Mag wysłał pulsar w daleki róg pokoju - niech ściągnie na siebie uwagę wschodzącego. Na paluszkach przekradł się do drzwi i przycaił koło futryny, wyczekując. Z drugiej strony też panowało milczenie. Słysząc było, jak kobyła z irytacją bije kopytem, próbując sięgnąć pożółkłej jesiennej trawy.

Ważek już zamierzał pchnąć drzwi nogą, kiedy ktoś w nie poskrobał - leciutko i bardzo szybko, jak gdyby mysz próbowała kopać norę. Aha, w środku drzwi!

W głowie pojawiła się wyjątkowo durna myśl o wiewiórcie cierpiącej na bezsenność. Potem o sikorce, kiedy skrobanie gwałtownie przemieściło się w lewy dolny róg..., w prawy górny...

- Pokaż się, nie bój, gościu nieproszony - wymamrotał ostatecznie zbity z pantafelki mag, cichutko wyciągając miecz z pochwy. - Jakżeś pomroka, to będziesz mi wiernym honorarium. Jakżeś zwierzem leśnym, to będziesz ukochaną czapką...

Na zewnątrz rozległ się bezczelny rechot:

- A co, jak jestem tym... znaczy przystojnym młodzieńcem?

Chłopak rozluźnił się, opuścił miecz i wyszedł zza futryny.

- Dobra, włącz i ty, konkurencie przek... znaczy się drogi kolego!

Drzwi otworzyły się. W progu stał niezbyt wysoki, szczupły chłopak ubrany w fircykowatą skórzaną kurtkę i wypłowiałe, wystrzępione płócienne spodnie, spod których wyglądały czubki butów. Wyglądał o kilka lat młodziej od Ważka, mimo że do Szkoły zdawali razem.

- I czego skrobiesz? - zapytał Ważek bez złości, odpowiadając na uścisk. - Mało żeś nie dostał pulsarem w łeb...

- Od ciebie? - roześmiał się Temar. - Przepraszam, kochany, ale znamy się od dwunastu lat. Ty nawet ze strzygą będziesz przez godzinę wymieniał uprzejmości, aby tylko się upewnić, że faktycznie jest zabryzganym krwią potworem. A jak będzie się zapierała to nawet całe dwie!

Ważek fraszobliwie podrapał się w czubek głowy.

- A co, jakby tu na przykład Ksander siedział?

- Aha, Ksander, który przyjechał na twojej kobyle! - Temar nadal uśmiechał się z zadowoleniem. - Przecież my ją razem latem kupowaliśmy. Więc sobie pomyślałem, że postraszę starego kumpla - na pewno się ucieszy!

Ważek skrzywił się i pokazał mu pięść, jednak w rzeczywistości ucieszył go widok kolegi z roku - spędzanie nocy przy rozmowie jest znacznie przyjemniejsze, niż senne gapienie się w ogień nie dowierzając zakłębionemu ochronnym. - Z kogo zdjęłeś kurtkę? Albo gdzie przepiłeś spodnie?

- Żrak mi przegryzł - przyznał przyjaciel ze smutkiem. - Dogonił i jak nie złapie za tyłek, paskuda jedna! Wydarł kłak zarówno ze spodni, jak i z gaci, tyle dobrego, że o skórę nie zaczepił.

- No to czemu żeś się do niego odwracał tyłem? - parsknął Ważek.

- Pomyślałem, że jak mnie złapie za przód, to będzie jeszcze gorzej. - Temar odruchowo potarł „ranę bojową”. - Potem oczywiście wróciłem i

go dobiłem. Wielgachny był, drań jeden! Potem przez całą drogę powrotną zasłaniałem zadek jego łbem. Chłopi nawet prawie się nie śmiali. Sołtys, dobry człowiek, dał mi swoje spodnie - pamiątkę po zmarłym dziadku albo coś w ten deseń... A ja patrzę, że ty tymczasem karczmarzem zostałeś?

- No a jak! - odrzekł Wążek wesoło. - Od półtora roku męcę nogi na traktach, czas się ustatkować. Czego sobie szanowny pan przyjezdny życzy?

- Pokój na noc, kolację, balię z gorącą wodą. - Przyjaciel chętnie podtrzymał grę. - I chyba jeszcze buteleczkę białego szakkarskiego.

- Wspaniale! To będzie sto kładni.

- Że cooo?!

- No bo wiesz, jesteś moim pierwszym klientem w tym roku, a przecież jakoś muszę sobie odbić straty! Podatki różne, remont dachu, płaca dla służącej...

- Jakiej służącej? - ożywił się Temar.

- No przecież mówię, z takimi dochodami nawet na służącą mnie nie stać!

- Słuchaj, a możesz się ustatkować jakoś trochę później? - poprosił go kolega błagalnie. - Jednak podła konkurencja jest lepsza od zachłannego karczmarza.

- Przekonałeś mnie - roześmiał się Wążek. - Właż. Też zabłądziłeś?

- Zaspałem - ziewnął Temar, mrużąc oczy w świetle pulsara. - Zeszłej nocy pracowałem, rano też się trafiła drobna sprawa..., no i zasnąłem w siodle po kolacji. A ten durny wałach gdzieś skręcił z drogi i tak sobie szedł, póki się nie ocknąłem.

- A byłeś już w tej okolicy?

- Przejazdem. Tam na końcu przesieki masz kopalnię srebra, ale już dawno nie używaną: dotarli do naturalnych jaskiń, a w nich sobie śpi stado bladych żądłowników. To znaczy spało. Kiedyś spojrzałem na to z daleka i nieee, niech szukają innego kretyna, jeszcze mi życie miłe! Widzę, że nadal nie znaleźli.

- Pokażesz mi jutro, jak się wydostać z tej głuszy?

- Nawet odprowadzę - obiecał Temar. - Mam po drodze.



Po kwadransie w kominku płonął ogień, zamknięte w szopie konie posilały się owsem z worków zawieszonych u pysków, w kubkach na stole cichutko syczało piwo, celowo rozlane z większej wysokości i cienkim strumykiem: flaszką była malutka, może na dwadzieścia łyków. A tak przynajmniej piana do brzegów, przyjemnie spojrzeć.

- Ech, życie to jednak jest piękne... - mruknął Temar marzycielsko, uwalniając nogi z pułapki butów i wyciągając w kierunku kominka. - Jeszcze by do tego płat suszonej rybki...

- I łaźnię - poparł go Ważek. - Dobrze napaloną, z brzozowymi miotełkami...

- ...i gołe panny! - dokończyli przyjaciele chórem i ze śmiechem stuknęli się kubkami.

Raptownie otwarte drzwi uderzyły o ścianę, aż obaj podskoczyli, rozlewając pianę. W progu stanęła wysoka chuda kobieta w ciemnym męskim ubraniu, z mieczem przy pasie. Krótko ostrzyżone białe włosy niemalże świeciły w mroku. Przecinająca je szrama wydawała się szczeliną w skroni.

- O bogowie - wyszeptał zszokowany Temar. - Ale po co od razu zsyłacie? Przecież żartowaliśmy!

- Oni też - odezwał się Wążek chmurnie.

Chyba tylko Ksander zaryzykowałby wyobrażenie sobie Katisy Rabskiej bez ubrania i w łaźni. A i to wyłącznie w przypadku zakładu o większą gotówkę.

- Tak-tak-tak! - wyburczała od progu. - Czyli siedzimy i pijemy? A biedna kobieta ma sama po ciemku rozsiodływać konia?!

- Ale pani Łabska... - Pod badawczym spojrzeniem byłej wykładowczynie młodzieńcy do reszty stracili rezon i próbowali schować piwo na stole za plecami. - Przepraszamy, nie słyszeliśmy, jak pani przyjechała.

- Nic dziwnego - wycodziła Katissa tonem świadczącym, że została śmiertelnie znieważona i tylko krew może to odkupić. - Przecież byliście tak zajęci swoimi ważnymi sprawami...

Temar pękł jako pierwszy i zapominając o butach wyskoczył na zewnątrz, by oporządzić konia.

- Bardzo nam miło panią widzieć. - Wążek spróbował tymczasem zacząć rozmowę, a przy okazji odzyskać trochę szacunku do siebie. - Doskonale pani wygląda.

Magiczka nie odpowiedziała. Z drugiej strony nawet trolle nauczyły się cieszyć na jej widok, a nieziemska uroda Katisy w ogóle nie ulegała wątpliwości.

- Eee... - Temar nieśmiało zajrzał przez uchylone drzwi. - Przepraszam najmocniej, a gdzie pani koń?

- Zdechł - ucięła kobieta podchodząc i bez ceregieli odpychając Wążka od stołu. - Zeszłej nocy.

- A...

- Ale przecież mogłabym go mieć, prawda? - Katissa powąchała piwo, skrzywiła się ze wstrętem i jednym łykiem osuszyła kubek.

Na twarzy Temara złość mieszała się z ulgą - strach pomyśleć, jaką awanturę magiczka urządzą, gdyby zwierzak zniknął z ich „winy”.

Katissa tymczasem wzięła drugi kubek i zasiadła na ławie. Odchyliła się na oparcie, które opowiedziało rozpaczliwym jękiem, założyła nogę na nogę i zaczęła krytycznie rozglądać się dookoła. Wyraz twarzy miała przy tym taki, że młodzi magowie odczuli przeraźliwy wstyd z powodu wszystkich pajęczyn pod sufitem razem i każdej z osobna.

- Bywało gorzej - przyznała w końcu. - To może zjemy kolację, czy coś...?

Wążek w pośpiechu pogrzebał w torbie i wyciągnął chleb. Temar - ser. Katissa wyjęła nóż, zrobiła dla siebie wielką kanapkę i zaczęła ze smakiem ją zajadać.

Młodzieńcy nadal stali, czując się jak kompletni kretyni.

W końcu magiczka nieco się udobruchała i spytała ich łaskawie:

- I jak tam wolne życie? Jak idzie praktyka?

Zaczęli jeden przez drugiego zapewniać, że wszystko jest wspaniale i to nie praca, a nieustanne święto, dzięki kochanej Szkole za naukę...

Katissa żuła w skupieniu, nie patrząc na byłych uczniów, a oni coraz bardziej czuli się jak minstrele, których wynajęto, żeby grali „do kotleta”. Potem z żalnością burknęła:

- No tak. Jeszcze młodzi, czego można od nich wymagać...

Reszta „kolacji” minęła w zupełnej ciszy. Wążek, ucziwie mówiąc, był absolutnie szczęśliwy, że więcej nie można od nich wymagać. Strach pomyśleć, czego magiczka zażądałaby od bardziej doświadczonych kolegów.



Rozumie się samo przez się, że Katissa zajęła pokój gospodarza. Młodszy koledzy rozścielili podróżne koce koło kominka. Oczywiście mogli wejść na górę, ale magiczka nieprzypadkowo zostawiła drzwi otwarte: dom kompletnie zdziczał bez ludzi i ogrzewał się powoli i niechętnie. Do strychu ciepło tym bardziej nie docierało, a oni czuli się zbyt leniwi, by rozpalać w osobnym piecu.

- Dobranoc - życzyła Katissa zawodowo władczym tonem, wytrenowanym całymi latami spędzonymi w salach wykładowych. Ważek i Temar natychmiast nabrali chęci, by naciągnąć koce po czubek nosa i posłusznie zamknąć oczy. Było już po północy, więc adepci w Szkole dawno powinni spać..., ale przecież dyplomowani magowie zasługują na jakieś przywileje! Dlatego co prawda nakryli się kocami, ale nie zaprzestali szeptania.

Na szczęście Katissa błyskawicznie zaczęła sennie posapywać i rozmowa się ożywiła. Temar nawet po cichu rozlał do kubków zapasową flaszkę. Życie powoli nabierało barw.

- ...no i wyobraź sobie, wychodzi do mnie panna. - Temar nakreślił rękami w powietrzu zalety kształtnej wieśniaczki. - I zaczyna przekonywać: „Panie magu, u nas znaczy się, z pieniędzmi kiepsko... Może się jakoś inaczej dogadamy?” I tak tyłkiem kręci. I akurat w moim guście, paskuda! Oczy błękitne, strzelają w kierunku szopy, warkocz do pasa. „Dobra - mówię. - Dawaj to swoje inaczej”. A ta się rozpromieniła, odwróciła i jak nie ryknie: „Chłopcy, dawajcie!” I na to mi dwóch barczystych młodzieńców wynosi z tej szopy o taaaką... na jakieś dwa pudy... dynię!

Ważek przygryzł rękaw, żeby nie zaśmiać się głośno.

- A najgorsze, że już odmówić nie mogłem! - żołądkował się Temar dalej. - Bo ona tam miała takich braci, że nawet smok ich ominie z daleka! I niechbym tylko zrobił aluzję odnośnie do tego, co mi do łba przyszło...

- A ile bierzesz za zdjęcie czkawki? Sześć miedziaków...? Przecież na targu za dynię właśnie tyle dostaniesz.

- Oczywiście, że bym dostał. Ale przecież ją musiałbym tam najpierw dotaszczyć! Pochodziłem chwilę wokół, splunąłem i tak zostawiłem na środku drogi. Jak już wyjeżdżałem ze wsi, to spojrzałem za siebie, a te gady ją z powrotem do szopy wnosili...

Śmianie się dalej było niebezpieczne. Wążek wstał i podszedł do zardzewiałego, ale chyba całego wiadra przy progu. Sennie rozpiął pas, tknięty przecuciem obejrzał się i natychmiast złapał za spodnie. Czy może jednak pani bakałarz śpi i to było tylko złudzenie? Aj, lepiej nie ryzykować! Przecież wiadro blaszane, będzie dźwięczeć...

Chłopak ze spodniami w garści wyszedł na dwór. Zimne powietrze owionęło zaczerwienioną od ciepła twarz i przez głowę przemknął szereg myśli o Katissie nienadających się do powtarzania przy damie.

Po załatwieniu swoich spraw Wążek już zamierzał truchtem wrócić do domu, kiedy zauważył koło bramy studnię nakrytą spadzistym daszkiem i ze skruchą przypomniał sobie, że ostatni raz poił kobyłę w okolicy obiadu. Trzeba spojrzeć, może nawet wiadro tam będzie?

No i było: stało sobie na brzegu cembrowiny, solidne, drewniane, na łańcuchu. Co prawda do środka naleciało liści, ale dach studni uchronił je przed jesiennymi deszczami i nie zapleśniało. Mag wytrząsnął śmieci i zaczął spuszczać je do studni. Łańcuch rozwinął się do końca, ale na dole nic nie plusnęło. Wążek przechylił się przez cembrowinę. Czy tam w ogóle była jakakolwiek woda? Jeżeli zwyczajnie łańcuch nie sięga, to

można zaczerpnąć magią. Strzelił zziębniętymi palcami wysyłając na dół pulsar. Uuu, głęboka! Na dnie coś błyszczało, ale ghyr wie, czy woda, czy błoto. Trzeba by rzucić kamyk, w takich sytuacjach z nich jest więcej pożytku niż z magii... Ważek zamierzał sprawdzić pod nogami, ale zamiast tego ziewnął i wygodniej oparł się o cembrowinę. Nocny chłód zastąpiła przytulna senność. A kij z tą kobyłą, wytrzyma do rana. Swoją drogą wcale nie aż tak tu zimno..., mogliby nawet na dworze zanoć, na świeżym powietrzu..., jak tu cicho, przyjemnie... i żadnej Ka...

– Czy tobie do reszty odbiło?!

Ważek poczuł się, jakby ktoś mu ściągnął worek z głowy, a potem tymże workiem trzepnął po karku. Okazało się, że już od dłuższego czasu - nawet zdążył mu zeszywnieć kręgosłup - leżał na ziemi koło studni. Klęczący obok Temar trzymał przyjaciela za kołnierz i potrząsał wściekle. W szopie jak harpie kwiczały konie, kopiąc w ściany.

– A? Co? - Ważek z trudem poruszył językiem. Kolega bez słowa złapał go za skronie i odwrócił w odpowiednim kierunku. - O w mordę...

Pomiędzy pniami drżała oddalająca się mętna biała plamka. Morowka! Podkraǳła się od tyłu, paskuda jedna, póki on zaglądał do studni, otumaniała i zaczęła powoli wpełzać do ciała, wypędzając gospodarza. Jeszcze jakieś dziesięć minut i chodzący trup byłby gotowy. Jedzenie i zabawa za jednym zamachem, bo pomroka mogłaby w nim spacerować przez kilka godzin, póki nie zacznie gnić.

– Ki leszy cię zagnał do tej studni?!

– P-p-pić ch-h-hciałem... A jak ty się zorientowałeś?

– Też mi się zachciało... pić. Ech ty, karczmarzu!

Katissa, która również wyskoczyła na dwór, tym bardziej nie okazywała współczucia. Przekonała się, że zagrożenie minęło,

skrzyżowała ręce na piersi i bujając się na obcasach przypiętowała sprawę pogardliwym:

- Co za wstyd! Dwójka magów bojowych nie dała rady zwykłej morowce!

- Trójka - poprawił Temar nieśmiało.

- Celowo się nie wtrącałam - wycodziła kobieta. - Chciałam spojrzeć, do czego się nadajecie. I kto wam dyplomy wydał?!

- Pani i Ksander - przypomniał chłopak mściwie. Jednak nie sięgnął do kieszeni po potwierdzenie - wredny babsztyl jak najbardziej mógł podrzeć cenny dokument.

- Chyba miałam chwilowe zaćmienie umysłu. - Katissa nie dała się zbić z pantałyku.

„Żeby tylko czasowe” - pomyślał Ważek, ale nie zaryzykował kłótni z babą, w obecności której zdechną nawet konie.

- Przecież wy... - Magiczka wciągnęła powietrze i wystawiła w kierunku Temara palec jak włącznię. - Piliście!

Chłopak zbladł i zapominając się zaczął desperacko kręcić głową: „Wcale nie pani bakałarz, to był zwykły kwas!”

- Pani również - odciął się Ważek, łapiąc za cembrowinę i wstając.

- Tak, ale w odróżnieniu od was ja umiem pić! - Kłótnia z Katissą była nie tylko niebezpieczna, ale też bezcelowa. - Teraz rozumiem, czemu nie użyliście „płatka” - ręce się trzęsły!

- Nieprawda - zaprzeczył Temar z urazą. - Skąd mogłem wiedzieć, może ona już wyssała Ważeka do utraty pulsu? Więc szybko ją spłoszyłem i skoczyłem ratować kolegę.

- Prawdziwy mag powinien stawiać na pierwszym miejscu obowiązek, a nie emocje - rzuciła Katissa pouczająco. - Dziś ci uciekła, a

jutro zeżre bezbronnego chłopa, tym razem do śmierci! A za miesiąc całą wieś wytnie w pień!

- A za rok w całej Belorii nie zostanie żywej duszy - burknął Wążek ochryple. Morowka zostawiła mu na pamiątkę szalone walenie serca i z jakiegoś powodu ból w karku.

- No właśnie! - potwierdziła Katissa wyzywająco. - Dlatego lepiej, jak zginie jeden dureń niż tysiące niewinnych ludzi. I uprzedzam, jeśli jeszcze raz obudzicie mnie z powodu takiej bzdury, to popamiętacie! - Po czym weszła do budynku i trzasnęła drzwiami.

- To jednak mówimy o zagrożeniu dla całego kraju czy o bzdurze? - zapytał Temar Wążka trochę niepewnie.

- W porównaniu z Łabską każde zagrożenie wyda się drobiazgiem - odparł z irytacją jego przyjaciel. - Dobra, to może postawmy kontur ochronny. Bo kto wie, co jeszcze z tego lasu wylezie.



Nastrój do opowiastek zniknął bezpowrotnie. Wążek siedział przy oknie z policzkiem opartym na dłoni i smętnie patrzył w mrok.

- Słuchaj, czy tobie się to nie wydaje dziwne? - nie wytrzymał, kiedy biała plama siódmy czy ósmy raz z rzędu przepłynęła wzdłuż przesieki.

- Co? - Jego towarzysz niedoli dawno by już zasnął, gdyby nie ciągłe chodzenie Wążka do drzwi i z powrotem. Jednak wystarczyło, by złapał za zasuwę, a morowka zniknęła bez śladu.

- Dlaczego ona nadal się tu kręci?

- Pewnie jest głodna - zasugerował Temar. W brzuchu mu smętnie burczało - brakowało tam akurat połówki zjedzonej przez Katisę kanapki.

- No to by poszła na polowanie. Przecież zwierzętami też nie gardzą.
- Wążek dalej rozpląszczał nos na szybie. - O, no popatrz, znowu się pojawiła!

- I ghyr z nią - wymruczał Temar sennie. - Niech sobie łązi. Przez kontur się i tak nie przedostanie.

- A „tysiące niewinnych ludzi”?

- Daj spokój... w lesie masz jeszcze wilki. I strzygi, jak ich dobrze poszukasz. Może nawet jakaś nacyga się znajdzie. Koniecznie musisz je wszystkie teraz już załatwić?

Wążek zerknął w stronę pokoju, w którym spała pani bakałarz (zostawiając Belorię potworom na pożarcie) i westchnął ciężko.

- Natomiast mnie - jego przyjaciel przeciągnął się słodko - zwisa i powiewa, co myśli sobie o nas pani Łabska. Myślałby kto, że ona sama nie popełnia błędów.

- Ale co Katissa ma z tym wspólnego? - obraził się Wążek. - Ostatecznie to przecież wyzwanie dla mojego profesjonalizmu! Temuś, co wiesz o morowkach?

Przyjaciel odwrócił się do kominka. Wążek zdążył już uznać, że po prostu ma dość jego i jego pomysłów, ale w tym momencie Temar odkaszlnął i zaczął recytować:

- „Morowka, mornica, morys kurwis... drapieżny niespokojny duch, który żywi się siłą witalną Ras Rozumnych oraz dużych zwierząt. - Okazało się, że chłopak sięgnął do torby po leksykon, który położył na podłodze przed kratą kominka i teraz czytał. - Atakuje zamyślane lub śpiące istoty. Daje się z łatwością zniszczyć zaklęciami destrukcji trzeciego poziomu i wyżej, przykładowo „płatkiem” lub „południowym wiatrem”. Boi się modlitw, symboli świątynnych i niektórych wiejskich rytuałów. Zdolna przywabiać małe dzieci i zwierzęta”.

- Czyli to tak się tu znaleźliśmy - zrozumiał Ważek. - Morowka przywabiła nasze konie!

Temar wsłuchał się w chrapanie Katisy.

- A ta stara kobyła co tu robi?

- To kara za nasze grzechy. Czytaj dalej.

- Dalej nic nie ma. - Temar podniósł książkę, pokazując maleńki kawałek tekstu pomiędzy winietkami. Morowka była stworem tak nieznaczącym, że nikomu nie chciało się nawet jej rysować. - Tylko klasyfikacja: siedem, al i trzy.

- Siedem, czyli „umiarkowanie niebezpieczna” - rozszyfrował Ważek z pamięci. - Al... eee...

- Rozpowszechniona.

- Dokładnie. A trzy - przywiązana do konkretnego miejsca. Zresztą jak każdy duch - domy ze zjawami, przeklęte grobowce, ogniki na moczarach...

- Czyli do miejsca, w którym zmarła? - wywnioskował chłopak. - Czyli jeśli morowka tak bardzo pragnie dostać się do obejścia...

- ...to tu jest jej mogiła?!

- Morowki boją się modlitw i krzyży - przypomniał mu Ważek. - Czyli modlitwy za umierającego nie było... może pogrzebu również. Droga jest porzucona, gospodarz mieszkał sam...

- Myślisz, że niezauważalnie umarł i nadal gdzieś tu leży? Brrrr! - wzdrygnął się Temar.

- Całkiem możliwe. Chodź poszukamy? - Ważek pochylił się i zajrzał pod ławkę.

- Mam cię już powyżej uszu! - Temar z irytacją odrzucił koc.

- Co, też jesteś ciekaw?

- Nie, ale teraz nie dam rady zasnąć! Trzeba szybko znaleźć to świństwo i wyrzucić na dwór, niech się morowka udławi.

- Lepiej spalić - poprawił Ważek. - Wtedy duch też powinien się rozwiać.



W ciągu dwóch godzin poszukiwań - mogło być szybciej, ale musieli chodzić na paluszkach i porozumiewać się na migi - magowie przeszukali podwórze, szopy i prawie cały dom, ale nie znaleźli żadnego bezpieczeństwa szkieletu.

Prawie - ponieważ w każdym porządnym domu powinna być piwnica.

W końcu Ważek wpadł na to, by położyć się na podłodze i zajrzeć pod łóżko Katissy. Wejście faktycznie było tam: kwadratowa kłapa z uchwytem, okuta żelazem i przyciśnięta jedną z nóg łóżka. Uskrzydłony nadzieją mag natychmiast zaczął splatać zaklęcie lewitacji, ale Temar walnął go w rękę, niszcząc koncentrację i syknął:

- No coś ty, przecież ona się obudzi! Nawet ja wyczuwam cudzą magię przez sen, a z jej stażem... Równie dobrze możesz jej igłę w piętę wsadzić!

- No to co? Powiemy, że nie mieliśmy wyboru.

- Dobra, ale to ty będziesz mówił.

Ważek przez chwilę stał w milczeniu, z westchnieniem schylił się i złapał łóżko za krawędź.

- Czego się gapisz? Bierz z drugiej strony!

Zgrzytając zębami z wysiłku, młodzieńcy unieśli łóżko ze śpiącą Katissą i przestawili na środek pokoju. Magiczka odwróciła się na drugi

bok i mruknęła coś z niezadowoleniem, zapewniając kolegom tuzin nieprzyjemnych sekund i tyle samo siwych włosów, ale uf! - upiekło im się.

- Czekaj, przecież on nie mógł sam zasunąć za sobą łożka - uświadomił sobie Temar.

- A co, jak piwnica ma dwa wejścia? - odparł Ważek, który sam w to nie wierzył. - Jedno stąd, drugie z kuchni, po prostu źle szukaliśmy.

- Stawiam ząb, że nie będzie tam kiszonych ogórków - przyjaciel również się niecierpliwił, by zajrzeć do tajemnego przejścia.

- A czego chcesz? Skrytki ze złotem?

- Srebro też może być!

Ważek poruszał pokrywą tam i z powrotem, by poluzować zawiasy. Kurz w szczelinach zakłębił się z irytacją, ale udało im się podnieść klapę bez większego hałasu. Świeący pulsar (który szczęśliwie wymagał tylko odrobiny magii) poleciał w dół. Młodzieńcy rozejrzeli się i po kolei zeszli do malutkiej kwadratowej piwniczki. Powietrze w środku było tak ciężkie i stęchłe, że trzeba było oddychać ustami: nie wiadomo, czym śmierdziało, ale zdecydowanie niczym przyjemnym. W rogach stały cztery skrzynie, trzy z nich otwarte i wypatroszone, podłoga zawalona była resztkami szmat, podartymi i zapaskudzonymi przez szczury. Ktoś tu albo się w pośpiechu pakował, albo próbował ukraść co lepsze rzeczy.

Złoto też się znalazło: jedna monetka, która potoczyła się pod schody. Zauważyli ją równocześnie, ale Temar złapał jako pierwszy.

- We wsi wymienimy i podzielimy - obiecał szczodrze.

- Rozgryź - zażartował Ważek widząc, że przyjaciel sprawdza trofeum na ząb i nie mając najmniejszej ochoty na grzebanie w

śmierdzących szmatach. Pełnym wstrętu kopniakiem otworzył czwartą skrzynię i odskoczył do tyłu, prawie zwalając Temara z nóg.

- A niech to...!

W środku, przyciskając kolana do piersi leżał wytęskniony trup. A raczej szkielet z przyschniętymi resztkami ciała oraz włosami oblepiającymi czaszkę. Mimo że proces rozkładu już dawno się zakończył, ze skrzyni buchnął potworny smród. Zwykłego człowieka by natychmiast zemdliło, ale dla magów widok był raczej niespodziewany niż nieprzyjemny.

- Mało prawdopodobne by sam tu wlaźł. - Wążek zacisnął nos palcami i pochylił się nad nieboszczykiem.

- I coś mi na karczmarza nie wygląda - skomentował bardziej uważny Temar. - Zobacz, czapka z kuny. W takiej niespecjalnie dasz radę się bawić w „oj-ój-ój, szanowny pan dorzuci kolejną monetkę, bo przecież poduszkę osobiście utrzęsnałem i nadmiar pluskiew do pudełka wyłapałem”...

- A po co do pudełka?

- No bo co, jak dla kolejnego gościa nie starczy? Obrazi się i nie da na kwas.

- Tfu na ciebie! Też sobie wybrałeś czas na żarty. Chodź go szybko wyciągniemy, przecież tu już nie ma czym oddychać.

- Co, tak w skrzyni?

- Jak chcesz, to go wyciągaj.

- Nie, nie chcę. - Temar krytycznie obejrzał drewniane pudło. - Idź z tyłu, jesteś silniejszy, podasz mi go w górę na schodkach.

Skrzynia okazała się nie tyle ciężka, co nieporęczna. Póki Wążek z wysiłkiem pchał ją ramieniem, Temar kalecząc palce próbował jakoś dopasować kufer do niewiele większego otworu wejściowego. Już, już

prawie..., ale w tym momencie wspólnik poślizgnął się na schodku i już nie bardzo było co dopasowywać.

Temar aż zmrużył oczy i wtulił głowę w ramiona, ale trzask był zadziwiająco cichy. Co prawda Katissa i tak drgnęła, podrapała się po łokciu i podciągnęła koc wyżej. Kiedy ponownie znieruchomiła, chłopak odetchnął głęboko i z obawą zajrzał do piwniczki, gdzie powitały go przyjacielsko wyszczerzone zęby szkieletu. Spod krzywo stojącej skrzyni sterczały ręce i nogi - Wążek odważnie wziął cios na klatę.

- Hej, jak się czujesz?

Jedna z rąk poruszyła się pokazując, że jej właściciel żyje, ale wszystko na tym świecie jest względne. Tym razem udało im się wepchnąć skrzynię do dziury za pierwszą próbą. Przez chwilę siedzieli na podłodze łapiąc oddech i cicho przeklinając. Następnie ostrożnie podnieśli „chwybną trumnę” i potaszczyli do drzwi. Serca waliły im jak szalone: żaden nie umiałby sensownie wyjaśnić Katissie, dlaczego jej łóżko stoi przy oknie, a oni skradają się na paluszkach, niosąc śmierdzącego trupa.

- Ale z gospodarza to dopiero oszust! - wysapał Temar, kiedy skrzynia została szczęśliwie wyładowana na środku podwórza. - Załatwił bogatego klienta i spłynął. Już nigdy więcej się nie odwrócę do karczmarza plecami!

- Jakby im te twoje dziurawe portki były potrzebne! - Wążek był szalenie spragniony, ale bał się zbliżyć do studni.

- A kurtka? - Przyjaciel z urazą pociągnął za kołnierz. - Kurteczkę mam wcale niczego sobie!

- Czy ty mnie próbujesz do czegoś namówić?

- Wiedziałem! - rzucił Temar z goryczą. - Wszyscy karczmarze są tacy sami! Tylko myślicie, jakby tu bliźniego wsadzić do skrzyni.

- Dość już tej zabawy - zirytował się Ważek. - Myślałby kto, że sam jesteś takim wielkim czarownikiem. Kto będzie podpalał? Żeby się nie skończyło sprzężeniem, jak walniemy równocześnie.

- A może zwyczajnie obłożymy drewnem? - zapytał Temar z wahaniem. - Jednak do domu jest całkiem blisko...

- Słuchaj, ona jest superczułym artefaktem czy zwykłą babą o paskudnym charakterze?! - Ważek z wściekłością ulepił pomiędzy dłońmi czerwony strzelający pulsar i cisnął nim w skrzynię. W ostatniej chwili opamiętał się i dwukrotnie zmniejszył moc, ale słup ognia i tak był wysoki na trzy sążnie. Podwórze zalało złowieszcze czerwone lśnienie, nawet cienie nabrały nieprzyjemnego krwawego odcienia.

- Dobrze, że zaciągnąłem zasłony w oknach - powiedział Ważek drżącym głosem.

I w tym momencie w ognisku zaczęły z trzaskiem pękać kości. Świszczały, strzelały, jęczały, wyły na różne głosy, a niektóre szczególnie uparte nawet wyskakiwały ze skrzyni i jak płonące pochodnie wirowały na ziemi. Znudzone nocne echo chętnie dołączyło do zabawy.

Minęły co najmniej trzy minuty zanim młodzieńcy uwierzyli, że nadal żyją i mogą zacząć ponownie oddychać. Jeżeli rozwścieczona magiczka nadal nie wyskoczyła z domu, to cichnące trzaskanie jej już nie obudzi.

Za to zza krzaków wypłynęła morowka. Z zadowoleniem obejrzała święto ognia do końca, zatoczyła kółko dookoła płotu i ponownie ruszyła wzdłuż przesieki.

Magowie spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

- Poleciała umierać - zasugerował Temar sarkastycznie.

- Może to nie był jej trup? - Wążek ostrożnie nadepnął na najbliższą kość, a ta z soczystym chrzęstem zmieniła się w placek popiołu. - Może karczmarz ma gdzieś schowanego jeszcze jednego trupa?

- Aha, a jak znajdziemy dziesięć sztuk to będziemy morowce po kolei wynosili czaszki na rozpoznanie: ten czy nie ten? O nie, ja pasuję! Idę spać.

- Temuś, czekaj! Chodź się jeszcze chwilę zastanowimy.

- A jaki w tym sens? Nie mamy pojęcia, jak się morowki pozbyć...

- Katissa pewnie wie.

- ...ani nie mamy kogo zapytać. Więc może jednak będziesz się chwalił swoim zawodowym uporem innym razem, kiedy będzie to znacznie bardziej potrzebne. - Temar zdecydowanie odwrócił się w kierunku domu mając nadzieję, że natchnie przyjaciela swoim przykładem.

Ale w połowie drogi zrozumiał, że Wążek jednak nie idzie za nim.

- Hej, a ty dokąd?! - Temar biegiem dogonił kolegę, który zamaszyście kroczył przesieką.

- Muszę ją zniszczyć.

- Po co?!

Wążek sam nie miałby nic przeciwko, żeby otrzymać odpowiedź na to pytanie. Ale najbliższe prawdy było „bo bardzo chcę”.

- Moim zdaniem przesieka ma dla niej jakieś znaczenie. Przecież nie bez powodu cały czas wzdłuż niej lata.

- Yhym. A my z jakiegoś powodu lubimy jeździć po drogach. Pewnie to też ma jakieś głębokie sakralne znaczenie - przytaknął Temar ironicznie.

- Ale morowce przecież drzewa nie przeszkadzają.

- Skąd wiesz? Może boi się zapachu igliwia?

- Mylisz ją z molami. Chociaż w sumie jeden ghyr: obie białe, wredne i latają.

Temar zatrzymał się i postukał przyjaciela po głowie kostkami palców.

- Czy ty bywałeś może na zajęciach praktycznych z eliksirów? „Kołysankę” przeciwko duchom robi się na ekstrakcie z igliwia.

- O to-to, właśnie, że chodziłem. Na ekstrakcie z koperku! - Wążek zwrócił pogardliwy gest. - Patrz, wraca!

Morowka nie tylko wracała, a mknęła w kierunku magów jak wichra, mimo bezcielesności odginając gałęzie na przydrożnych drzewach.

Młodzieńców zatkało tak bardzo, że przypomnieli sobie o zaklęciach dopiero kiedy pomroka była trzy sążnie od nich. A potem z wrzaskiem rzucili się pomiędzy młode świerki, które zdążyły już wyrosnąć na poboczach przesieki.

Ni to morowka faktycznie bała się świerkowych igieł, ni to zwyczajnie nie zdołała tak szybko zakręcić, ale nie zdążyła przedziurawić Temarowi drugich spodni.

- Ki ghyr?! Morowki nigdy nie atakują wprost! - rzucił zszokowany Wążek, wydostając się ze kłującej pułapki na względnie wolny teren właściwego lasu.

- A nam się trafiła morowka szlachetna - stwierdził Temar jadowicie. - Morduje złych magów i oddaje ich buty dobrym!

W tym czasie duch jak świeca uniósł się zza drzew, podstępnie wymuszając na czarodziejach otwartą walkę.

Na traktach młodzieńcy pracowali samodzielnie, ale w tym momencie natychmiast przypomnieli sobie zasady prowadzenia walki magicznej w parach. Niski Temar, jak w trakcie szkolnej praktyki, przykucnął i zaczął pleść ochronę, a Wążek wyprowadził cios nad jego

głową. Dokładnie jak powinien - „płatkiem”, nawet nie trzeciego tylko piątego poziomu.

Morowka wpadła w niego jak motyl w siatkę. Skuliła się, spadła na ziemię walcząc szaleńczo i stopniowo zmniejszając rozmiary, ostatnim wysiłkiem podskoczyła i... wyrwała się. Odrzut zniszczonego zaklęcia szerokim kołem rozdmuchnął liście, ciskając nimi magom w twarze. Jednak pomroka nie skorzystała z tak doskonałej okazji do ataku. Zawisała w jednym miejscu, lekko zmieniając zarys - człowiek by pewnie kręcił głową - po czym powoli, jak ślepa, popłynęła sążeń na prawo, a potem na lewo...

- Co stawiałeś? - wychrypiął Wążek, wypluwając osikowy listek.

- Podwójny kontur ochronny, jak dookoła domu... Przecież ona nas zwyczajnie wywabiała! - zrozumiał Temar. - Latała tam i z powrotem w nadziei, że rzucimy się za nią do lasu! A ty: trup, przesieka...

Wążek już sam zdążył ze sto razy przekląć natrętny pomysł o ściganiu pomroki. Chyba morowka umiała mącić w głowach nie tylko koniom.

- Przynajmniej kontur na nią działa - podsumował z poczuciem winy.

- I co, teraz będziemy w nim siedzieli do rana?

Młodzieńcy równocześnie unieśli oczy do gwiazd, ale zobaczyli jedynie równą połąć chmur. Niestety, większość pomrok bała się wyłącznie bezpośrednich promieni słonecznych.

- Można zawołać Katisę - zaproponował Temar z rezygnacją. - Bo chyba nie odeszliśmy daleko.

- Ale jak nawet kości jej nie obudziły...

- Będziemy krzyczeć głośno i z rozpaczą!

Wążek wyobraził sobie minę idącej im na ratunek Babskiej i dusza uciekła mu w pięty.

- Może spróbujemy jeszcze czegoś? Ostatecznie, jesteśmy magami bojowymi czy karczmarzami?!

- W tym momencie nie jestem tak do końca pewien - burknął Temar, ale rozgimnastykował palce. - Mam zdjąć tarczę?

- Czekaj chwilę, przygotuję się. - Tym razem Ważek wybrał zakłęcie szóstego poziomu, żeby mieć absolutną pewność. Nadal milcząco i dlatego jeszcze bardziej przerażającą morówkę zakręciło w wirze powietrza, wyciągnęło, zawiązało w potrójny węzeł... i wypluło nienaruszoną.

Ważek zaczął w pośpiechu wypłatać drugie zakłęcie. Potem trzecie. I czwarte... Sytuacja coraz bardziej przypominała koszmary sen, który przynajmniej raz w życiu męczył każdego czarodzieja: że niespodziewanie stracił moc i nawet najprostsze zakłęcie rozwiewa się bez skutku. „Zorzy porannej” morowka nawet nie zauważyła. Płomienna włócznia wybiła w niej dziurę, która błyskawicznie się zasklepiła. „Łowcy ptaków” starczyło na równe cztery sekundy. Pomroka uparcie atakowała, Temar ledwo nadążał z jej zatrzymywaniem i odrzucaniem do tyłu, bo zakłęcia obronne przeciwnie - pracowały dokładnie tak jak powinny.

Kiedy nie pomogło również „lodowe szkło”, które działało nawet na niesamowicie żywotną chimere jaskiniową, Temarowi puściły nerwy. Niespodziewanie wyprostował się, waląc Ważka potylicą w podbródek i z histerycznym: „Zdechnij w końcu, paskudo!”, rzucił w morówkę prościutkim zaklęciem, na dodatek przed chwilą użytym przez towarzysza. Jego „płatek” był bledszy, czwartego albo i trzeciego poziomu. Pomroka nawet nie spróbowała się uchylić tylko ruszyła wprost przez niego. I znowu sieć, kłębek, podskoki... niewyraźny błysk - i nad ziemią popłynął lekki, szybko znikający dymek.

- Zdechła? - rzucił Temar niepewnie i natychmiast wybuchnął histerycznym śmiechem. - Ep kurat, zdechłaaaa! Załatwiliśmy ją, co nie?!

Gdzieś dalej poirytowanym klekotem odezwała się jadoplujka przypominając, że w lesie jest jeszcze pełno głodnych pomrok.

- No i dzięki bogom. Chodźmy do domu. - Wążek trącił przyjaciela w łokieć.

- Chodźmy. - Temar opamiętał się, chowając drżące ręce w kieszeniach. - A gdzie on jest?



Karczmę młodzieńcy znaleźli dopiero o świcie - zmęczeni, wściekli, oblepieni igłami i pajęczynami, w na wskroś przemoczonych butach. Otulony mgłą budynek wyglądał nieszkodliwie i niewinnie, jak niewierna żona, która przed przyjściem męża zdążyła pościelić łóżko i się przebrać. Magowie określili całą tę sytuację odpowiednim słowem i weszli do środka, jednakowo potykając się w progu. Dobra, niechby się zgubili w lesie, ale żeby pięćdziesiąt sążni od płotu?! I jeszcze na pewno z dziesięć razy go okrążyli, nie wpadając na to, żeby zrobić trzy kroki w bok...

Pozostała ostatnia sprawa: postawić łóżko Katissy na miejsce. Tym razem przenosili je mniej delikatnie, z trudem powstrzymując się przed pokusą, żeby w ogóle wynieść na podwórko i podeprzeć drzwi pogrzebaczem. Ledwo zdążyli dokuśtykać do ławek i ciężko na nie paść, kiedy pani Łabska otworzyła oczy.

- Dzień dobry, chłopcy! - Wyspana Katissa była świeża i milutka jak wiosenna pokrzywa. - A czemu macie takie kwaśne miny? Pewnie całą noc gadaliście?

Wążek zdobył się na słabe skinienie głową. Na więcej nie miał siły.

- Młoodzież... - ziewnęła magiczka przeciągając się. - A zabiliście przynajmniej tę morówkę? - Oszukańczo rozluźniony ton Katissy nie dopuszczał nawet myśli o odpowiedzi odmownej.

- Yhym.

- Bez najmniejszego problemu - dodał Temar, przełykając ślinę.

- No i doskonale! - Magiczka wyciągnęła z torby wędzoną baranią nogę i woreczek sucharów. - Dziś moja kolej na częstowanie.

Suchary gościnnie przesunęła na środek stołu, a nogą zaopiekowała się sama, zwinnie operując nożem.

- Pani Łabska... - Wążek odkaslnął i odważył się odezwać. - A mogę zadać pytanie?

Kobieta z wyższością skinęła głową, nadal przeżuując.

- Co służy jako „kotwica” dla morowki?

- Człowiek, który ją zabił - odparła magiczka bez namysłu. Młodzieńcy z zastanowieniem spojrzeli po sobie.

- A nie trup?

- Nie. Morderca. - Katissa gwałtownym ciosem odcięła kolejny kawałek mięsa. - Albo jego dziedzic. Albo następcę. W ogólności ten, kto dobrowolnie zajmie jego miejsce. Morowka próbuje wykończyć go za wszelką cenę, a potem kręci się nieopodal, żywiąc przypadkowymi przechodniami.

- Karczmarz! - jęknął Temar. - Wążek, pamiętasz, jak powiedziałaś, że jesteś karczmarzem i jeszcze zażądałaś ode mnie opłaty? To dlatego morowka prawie nie reagowała na twoje zaklęcia: chroniła ją wasza mistyczna więź! Gdybyśmy wpadli na to, żeby zamienić układ przy obronie i ataku...

- Ale przecież po prostu żartowaliśmy - jęknął Ważek. - Jaki ze mnie, na ghyra, karczmarz?!

- Pomroki nie rozumieją żartów. - Katissa pouczająco podniosła nóż. - I w ogóle, jakim miejscem słuchaliście na wykładach? W rozkładzie zajęć morowkom poświęcone są całe trzy godziny!

Młodzieńcy spuścili oczy. Uczciwie mówiąc, każdy z nich opuścił znacznie więcej niż te trzy - i to każdego semestru.

- Swoją drogą... - ożywiła się magiczka. - W tych okolicach na wiosnę znaleziono jeszcze jednego trupa, a przy nim dwa worki ze złotem. Chłopi nadal wspominają tę historię i pokazują dom szczęśliwego grzybiarza. Bo wilki zdążyły rozwlec kości, a po ubraniu go nikt nie rozpoznał i nie zażądał zwrotu pieniędzy. Tak że wasz karczmarz nie cieszył się zdobyczą zbyt długo.

Katissa w końcu odsunęła baranią nogę, ale zostało na niej niewiele więcej mięsa niż po wilkach. Koledzy udawali, że przestrzegają postu i zaczęli uprzejmie chrupać sucharkami - co prawda i tu nie zdążyli wziąć więcej niż po jednym, bo Babska zgarnęła wszystkie z powrotem i wstała. Musieli więc pójść za jej przykładem.

- Ważek! - Temat skorzystał z chwili, kiedy magiczka była w jednym rogu pokoju, a oni zwijali koce w przeciwnym. - Skąd Katissa wie o „jeszcze jednym” i karczmarzu? Czy ona...

Jego przyjaciel zbladł, ale zdecydowanie potrząsnął głową.

- Lepiej się nad tym nie zastanawiać. Ani nie pytać.



Kiedy młodzieńcy siodłali konie, magiczka siedziała na ganku, robiąc makijaż. Niesamowite, jak bardzo zmienia on kobiety: ze zwyczajnie

złowieszczej Katissa zmieniła się w zdecydowanie przerażającą.

- A może naprawdę zostaniecie karczmarzami? - poradziła złośliwie podchodząc do nich i z jakiegoś powodu sprawdzając zęby Ważkowej kobyły. - Dom już macie, tylko posprzątać i naprawić płot.

- Tylko kogo pani zdaniem mamy obsługiwać? Niedźwiedzie? - spytał mag ze złością: wrażliwe zwierzę cofnęło się i nastąpiło mu na nogę.

- Nie bój nic, z klientami nie będzie problemu. Wpadłam do tutejszych kopalni, popracowałam trochę - rzuciła magiczka niedbale. - Więc niedługo droga ponownie ożyje.

Temarowi opadła szczęka.

- Do tamtych tam srebrnych...? - doprecyzował głupio, machając ręką wzdłuż przesieki.

- Aha. Nie rozumiem, czemu miejscowi magowie nadal ich nie oczyścili? Przecież tam była marna setka żądłowników. Co prawda koń zdechł, ale pies z nim. Kupisz sobie nowego.

- Eee...

Katissa pańskim ruchem poklepała kobyłę po karku, odebrała Ważekowi wodze i wskoczyła w siodło.

- Pa, chłopcy! Miło było was zobaczyć. N-no, poszła!

- Eee...hej! - oprzytomniał mag z opóźnieniem, wymachując woreczkiem, który Łabska włożyła mu do ręki. W środku było dość pieniędzy na dobrego konia, a rosły wałach Temara bez problemu uniesie dwóch, ale sam fakt! - Ona nie jest na... tfu!

Magiczka już zniknęła im z oczu. Tylko tupot przetoczył się po przesiece jak suchy groch.

- Co za kobieta... - mruknął Temar z westchnieniem.

- Ano - przytaknął Ważek. - I co za szczęście, że nie ma takich wiele!

NIEZRÓWNANA MOC SZTUKI

- I tyle - powiedział woźnica z rozczarowaniem, podnosząc się z kolan i wycierając dłonie o spodnie. - Już po osi. Dalej tylko na piechotę.

Lessa z konsternacją obrzuciła spojrzeniem przechylony wóz, na którym pod płachtą leżała robiąca wrażenie kupa jej gratów. W zasadzie wielkie i ciężkie były tylko sztalugi, a zwyczajnie wielkie - naciągnięte na ramę płótno. Malarzę zaprosił w odwiedziny właściciel dalekiego, zagubionego w lesie zamku, w celu namalowania portretu rodzinnego i obiecując za tygodniową pracę całkiem konkretną sumę.

- A na piechotę jest daleko?

- Jakies półtorej godziny. - Woźnica wzruszył ramionami. - Ale ja nie będę szedł. Wyprzęgnę koniki, wyładuję graty z wozu, przewrócę go i będę naprawiał. Bo ja tutejszych ludzi znam: do rana stracę nie tylko oś, ale nawet koła i burty.

- A długo pan go będzie naprawiał?

- Hm... - Chłopina podrapał się po potylicy z takim namaszczeniem, jakby planował dogrzebać się do mózgu i w ten sposób pobudzić go do pracy. - Póki znajdę odpowiednią osikę..., póki ostrugam... jakieś trzy czy cztery godziny i po problemie.

Lessa nie zdążyła nawet powiedzieć, że zaczeka, kiedy dodał:

- Ale to dopiero z rana. Bo już ciemno. Poza tym zmęczony jestem jak nie wiem co... - i na potwierdzenie swoich słów ziewnął szeroko.

- Ale rano powinnam już być w zamku albo pan Blizar znajdzie innego malarza! - jęknęła dziewczyna.

Woźnica w milczeniu rozłożył ręce, że niby nie jego problem. Malarka westchnęła ciężko.

- A nie zabłądzę? - doprecyzowała na wszelki wypadek.
- Gdzie tam niby błądzić? Droga prosta, akurat prowadzi do zamkowej bramy, a wilków tu nie mamy.

- A rozbójnicy?

- Na skrzyżowaniu paru wisi, jak nadal nie zgnili.

Lessa wzdrygnęła się, choć oczywiście martwych przestępców bała się mniej niż żywych.

- Proszę iść i się nie bać! - zachęcił dziewczynę woźnica, już widząc oczami wyobraźni cichy romantyczny wieczór przy ognisku sam na sam z butelką domowego wina. - A panny rzeczy to jutro dowiozę.

Lessa podjęła decyzję. Wybrała to co najważniejsze, czyli zaproszenie, sakiewkę, torbę z pędzlami i farbami oraz płótno. Odnośnie do tego ostatniego Lessa długo się namyślała, ale ostatecznie uznała, że nie zostawi go w lesie. A jeśli w nocy będzie padało? Zwilgotnieje i po ptokach. Pozostanie tylko rozpaczliwe szukanie nowego materiału.

Rama była wielka i nieporęczna. Lessa próbowała nieść ją pod pachą, w rękach, nad głową, ale za każdym razem wytrzymywała tylko parę minut. Potem musiała zatrzymywać się, odpoczywać i przekładać.

- „Póki-póki”... - burczała malarka pod nosem, wściekła na leniwego woźnicę. - Gdzie on tu widział ciemności? Przecież mamy lato! Cała noc trwa pięć godzin!

Tymczasem po krótkiej chwili ciemności się pojawiły i nawet wcale szybko zgęstniały, próbując jakością nadrobić ilość. Ale prawie natychmiast wzeszedł księżyc w pełni i rozjaśnił je niemal w połowie.

Niewysoka i chuda Lessa była zadziwiająco wytrzymała, a kiedy w grę wchodziło jej ukochane rzemiosło, to wręcz sięgała po dodatkowe

rezerwy. Jednak z powodu tej przeklętej ramy odnosiła wrażenie, że wędruje już ze trzy godziny, a zamku nadal nie było widać.

Za to na drodze przed nią od krzaków oddzielił się jakiś cień.

Dziewczyna zatrzymała się, przyglądając mu się z obawą. Lis? Pies? Przecież woźnica powiedział...

Cień ruszył szybciej, skacząc ku niej na miękkich łapach i kiedy odległość zmalała do jakichś pięciu sążni, dziewczyna zrozumiała, że chłop nie skłamał, w tych okolicach nie było wilków.

Za to były wilkołaki.

Lessa odniosła wrażenie, że jej świadomość rozszczepiła się na trzy części: jedna wrzeszczała z przerażenia, druga leżała w głębokim omdleniu, a trzecia z roztargnieniem myślała: „Jaki wspaniały model!”

- Może szanowny pan życzy sobie portrecik na pamiątkę? - wymamrotała malarka niespodziewanie dla samej siebie, tuląc naciągnięte na ramę płótno do piersi.

Wilkołak miał tępo zakończony pysk, długie łapy, a z powodu kudłatego futra wydawał się dwukrotnie masywniejszy od człowieka. Słyszając tę niespodziewaną propozycję zastopował, jakby wpadł na niewidzialny mur i z namysłem zmarszczył czoło.

- Dobrze maluję! - ciągnęła Lessa w pośpiechu, sama z trudem rozumiejąc, co za bzdury wygaduje. - Sam dajń Allod wynajmował mnie do dekorowania głównej szakkarskiej świątyni! Dobrze, nie tylko mnie, ale dolna połowa świętego Owsiuga, trzy drzewa i kawałek nieba po prawej są moje! Słowo honoru, mam naprawdę wielki talent, namaluję pana tak, że bogowie będą zazdrościć! Powiesi pan na ścianie nad kominkiem i będzie wnukom opowiadać, jaki ich dziadek był... ojej, znaczy był za młodu! Tylko niech pan przejdzie o tutaj, na polankę, pod księżyc... - Malarka cofała się, spoglądając przez ramię i nadał trzymając

płótno przed sobą. Wilkołak jak zaczarowany kroczył za nią. - Aha, nawet pieniek mamy, akurat odpowiednio wysoki... - Lessa ulokowała na nim ramię, nie mając pojęcia, jak w ogóle da radę utrzymać w ręku węgiel i jeszcze naszkicować cokolwiek sensownego. Zaraz wilkołak domyśli się, że ona go po prostu zagaduje, skoczy i zeżre ją razem z płótnem!!! Malarka spojrzała na niego oczami okrągłymi z przerażenia, jak mysz na kota i...

Światło padało Dos-ko-na-łe. W promieniach księżycy sierść wilkołaka migotała zielonkawymi fosforyzującymi falami, a cienie rzucane przez drzewa były tak gęste, że można je było malować solidnymi pociągnięciami, zanurzając pędzel w czarnej farbie. Szkarłatne iskierki źrenic bestii przyciągały, czarowały, tworzyły centralny punkt kompozycji... Najważniejsze to nie zgubić tego poczucia pierwotnego przerażenia, przekazać je widzom...

- Oho... - mruknęła Lessa, czując nasilające się swędzenie w koniuszkach palców. - Oho-ho! Dobrze, poproszę odrobinę na lewo! Stop! Pysk do mnie profilem! Nie, na trzy czwarte! Pan się wyszczerzy! Nie, nie tak mocno, dziąsła psują wrażenie, ma być widać tylko kły! Jedną łapę do tyłu! Lekko pan na niej przykucnie! I tak proszę stać!

Wilkołak zachwiał się w wyjątkowo niepewnej pozycji.

Lessa po omacku pogrzebała w torbie, szukając węgielka do szkicowania, ale nie zdążyła dotknąć nim płótna. Każdy wie, że rycerzowi można piwa nie dolać, byleby miał szansę powłóczyć się po ciemnym złowieszczym lesie w poszukiwaniu przygód. Szczególnie gdy antyczny wałach niespodziewanie zdechł pod jeźdźcem i nie ma on do dyspozycji żadnych środków transportu prócz własnych nóg. Widząc z drogi dość jednoznaczny obraz - paskudna pomroka ma zamiar zakąsić

piękną panną, rycerz wyciągnął miecz z pochwy i z wojowniczym okrzykiem rzucił się na wroga.

- Gdzie?! - Lessa wrzasnęła tak, że z gałęzi dębu zerwały się nietoperze.

Identycznie zszokowani rycerz i wilkołak spojrzeli w jej kierunku. Poirytowana rozczochrana dziewczyna wlała pomiędzy nich potrząsając rysikiem z większą wściekłością niż rycerz mieczem.

- Proszę natychmiast zostawić mojego modela w spokoju!

- Modela...? - powtórzył skołowany rycerz.

- No jak to, nie widzi pan? Pracujemy! Swoją drogą... - Olśniona nowym pomysłem Lessa złapała „wybawiciela” za rękę. - A może by pan też dołączył?! Tak będzie nawet ciekawiej: walka na śmierć i życie pomiędzy ogromnym potworem przepelnionym zwierzęcym magnetyzmem i męstwem (mile połechtany wilkołak pociągnął nosem) z odważnym wojownikiem (rycerz zaczerwienił się ze skrępowaniem)! Przesuniemy kompozycję na prawo, światło położymy tutaj... Dobrze, proszę się ustawić w tym miejscu!

Ogłupiały rycerz bez słowa sprzeciwu pozwolił ustawić się naprzeciwko wilkołaka, odwrócić głowę, unieść rękę i wygiąć do tyłu, na ile mu zbroja pozwalała.

- Ale czego pan tak stoi jak słup?! - obruszyła się Lessa, ponownie odbiegając do zaimprovizowanych sztalug. - Potrzebuję ruchu! Gry! Bitewnego szału! Proszę tylko spojrzeć, jak się pana przeciwnik stara!

Rycerz zerknął na wilkołaka, który z wysiłku wytrzeszczył oczy i spróbował skopiować jego wyszczerz. Potwór z dzikim rechotem padł na grzbiet, przyciskając łapy do owłosionego brzucha.

- Proszę wziąć zamach mieczem! - podpowiedziała z irytacją malarka, wynurzając się zza płótna. - E nieeee... Coś pan ma jakiegoś

małego, nie robi wrażenia...

- Arszyn i trzy werszki! - obraził się rycerz.

- Dobra, domaluję panu dwuręczny - obiecała Lessa. - Długi na sążeń. Tylko proszę trzymać ten, jakby był dwuręczny, potrzebna mi pozycja!

- Ale on ma zbyt krótką rękojeść, żeby dał się złapać w ten sposób!

- No to proszę drugą ręką trzymać za ostrze! Albo zacisnąć ją w pięść pod jelcem, jakby rękojeść była dłuższa!

Obie pozycje były równie niewygodne: ostrze cięło rękawicę, a jedna uniesiona ręka z mieczem błyskawicznie się męczyła. Ostatecznie stanęło na tym, że rycerz weźmie zwyczajny kij.

Obaj modele ponownie ustawili się w pozycjach wyjściowych. Wilkołak otworzył paszczę i wypuścił pazury, rycerz wziął zamach pałką i udał szal bojowy, na widok którego postronny obserwator nabierał wielkiej ochoty, żeby zawołać lekarza albo przynajmniej straż.

- Tak... aha... nie... coś mi nie gra... - Lessa zatoczyła dookoła nich z dziesięć kręgów, jak nazbyt ostrożny piskorz dookoła leżących na wodzie much. - A może tak?! - Niespodziewanie podskoczyła do wilkołaka i zaczęła mierzwić mu sierść. Ten zawarczał (bo komu by się miało podobać głaskanie pod włos?!), ale cierpiał w imię sztuki. - A pan... - Dziewczyna nerwowo gryząc paznokiec kciuka odwróciła się do rycerza. - Proszę się rozebrać!

- Co?! - obruszył się.

- Proszę się rozebrać, do pasa! Żebym widziała ruch mięśni. Poza tym - malarka nieco się zaczerwieniła - bardzo lubię rysować nagich mężczyzn z natury. To budzi natchnienie.

Natchnienie było sprawą świętą i rycerz nie próbował z nim dyskutować.

- Ale bez kolczugi potwór w jednej chwili mnie rozerwie i pożre! - protestował niepewnie, już zdejmując pancerz przez głowę.

- Ja tworzę dzieło sztuki, które przeniesie was przez stulecia! - zaproponowała dziewczyna z żarem. - I pańska kolczuga jest tam zdecydowanie niepotrzebna!

Bez ubrania rycerzowi było zimno, więc w jednej chwili pokrył się sinawą gęsią skórką. Poza tym mięśnie miał też jakieś takie niezbyt grające. Ale malarka chyba uznała, że zastosuje tę samą sztuczkę co z mieczem, ponieważ z satysfakcją stwierdziła:

- No, to teraz jest dokładnie jak trzeba! Proszę tak stać!



Minęła ponad godzina. Lessa wściekle pracowała węgielkiem, jak gdyby próbując przebić nim płótno, które aż jęczało.

- Fyfk mi frętfiał - poskarżył się wilkołak. - Nie dam fady tak fięfej tfymaf, famyka hę!

- Proszę wsadzić do środka patyk - zbyła go malarka, nadal kreśląc coś w pośpiechu na płótnie.

- Afof...

- Proszę się nie bać, po prostu go nie narysuję!

Rycerz miał łatwiej, bojowy szal nie przeszkadzał mu w zgrzytaniu zębami i robieniu min, kiedy komary atakowały zbyt aktywnie.

- Nie! - Lessa cofnęła się od płótna o krok, potrząsając głową z irytacją. - Patos, patos... zwykły bohater, zwykły potwór... To się do niczego nie nadaje!

Modele spuścili głowy z poczuciem winy.

- Potrzebuję czegoś takiego... - Dziewczyna nadal rozmyślała na głos, gestykulując rysikiem jak magiczną różdżką. - Żeby tu pomiędzy nimi... jak jaskrawa plama... jak symbol... leżała taka malutka, rozpaczliwa...

Nie dokończyła - z krzaków postępując wylazła babka z koszykiem poziomek. Chyba przygłucha i ślepawa, ponieważ zauważyła malowniczą kompozycję dopiero wówczas, kiedy prawie w nią weszła, zetknąwszy się nos w nos z wilkołakiem.

- Aj!!! - pisnęła i padła zemdlna.

- W zasadzie to miałam na myśli dziewczynkę - wymamrotała Lessa, ale prawie natychmiast jej twarz się rozjaśniła. - Z drugiej strony... zanieście ją tutaj, do tej plamy księżycowej!!!

Wilkołak i rycerz, którzy już ostatecznie stracili jakikolwiek kontakt z rzeczywistością, za ręce i nogi zawlekli babkę na środek polany i ostrożnie ułożyli na trawie.

- Nogi, nogi jej rozrzućcie! - Malarka biegła dookoła. - A lewą zegnijcie w kolanie! I poprawcie sukienkę, jak gdyby się uniosła!

- Znaczy się jak? - zapytał wilkołak, wypluwając patyczek.

- Weźcie ją do góry, ale jak gdyby się sama uniosła! I jeszcze wysypcie na nią poziomki i rzućcie koszyk kolo bezwładnej ręki!

W tym momencie babka się ocknęła - czy raczej przestała udawać, bo jak się okazało, doskonale słyszała całą poprzednią dyskusję.

- Czy wy ludzie, czy potwory?! - jęknęła, przyciskając koszyk do piersi. - Przecież ja je przez cały dzień zbierałam! Wszystkie polanki zdeptałam, łapcie na wylot przetarłam!

- Dam ci za nie dwie srebrne monety! - obiecał rycerz.

- Trzy! - Babka spróbowała się targować.

- Mam przy sobie tylko dwie i pół - przyznał „odważny wojownik” ze skrzepowaniem. - A ty? - zwrócił się do wilkołaka.

Wilkołak pokręcił łbem z poczuciem winy.

- Dobra, dawaj! - Babka dała się udobruchać, doskonale świadoma, że na targu i tak nie dostałaby więcej niż dziesięć miedziaków. Dokładnie sprawdziła każdą monetkę na swoim jedynym zębie i dopiero potem podała kosz rycerzowi - który jednak nie zdążył go odebrać.

- Nie!! - wrzasnęła malarka widząc, jak z jego twarzy spelza unikalne załamane światła. - Stój! Nie ruszaj się!!!

- A...

- Nie, babka też niech sobie leży! Potrzebuję, żeby poziomki były na niej i dookoła! Będzie to drobny, ale prawdopodobny i bardzo tkliwy detal. Niech potwór posypie! No gdzie?! Nie przewrócić nad głową, a malowniczo rozsiać! Jak gdyby dziewczynka sobie biegła, biegła, potknęła się i upadła! I koszyk koło bezwładnej ręki, boczkiem do mnie!

Wilkołak zabrał się do rozsiewania poziomek nad „dziewczynką”, niezgrabnie czerpiąc je pazurzastą łapą.

- Ale przecież owoców w mroku i tak nie widać! - połapał się rycerz z pewnym opóźnieniem, patrząc na wynik.

- Nie szkodzi - zbyła go Lessa. - a wiem, że tam są! Na obrazie będzie widać!

Malarka obrzuciła scenę kolejnym krytycznym spojrzeniem, założyła rycerzowi hełm i ponownie zabrała się do pracy.

- Czy ja mogłabym już iść do domu? - Babka uniosła głowę. - Bo tu jest dość mokro!

- Leżeć, już! - ryknęły na nią trzy głosy, więc ponownie padła na trawę bardzo przekonująco zataczając oczami i na wszelki wypadek przytrzymując „bezwładną ręką” rączkę kosza.



Niebo niezauważalnie pojaśniało i chociaż księżyc wiszący nad czubkami świerków nadal był pełen zapału, pomiędzy gałęziami drzew zaczęły odzywać się ptaki.

Niespodziewanie wilkołak wygiął się w paroksyzmie i po pięciu minutach na miejscu potwora stał na czworakach nagi chłopak lat około dwudziestu.

- Hej, co to niby ma być?! - oburzyła się malarka, gromiąc biedaka wzrokiem nie gorzej niż święconą wodą. - Już mi się zamieniać z powrotem w potwora!

- Nie dam rady! - jęknął rozpaczliwie, ledwo poruszając zeszywniałą szczęką. - To się tak samo robi! Tylko w nocy i przy pełni księżyca!

Wilkołak ze stękanieniem wyprostował się i osłonił dłońmi strategiczne miejsce.

- Ach, dobra... - Lessa niespodziewanie dała się udobruchać. - Mnie też już ręce drżą i w oczach ciemnieje. Dobra, chłopaki, dzięki za pomoc i do zobaczenia!

Mówiąc to, zarzuciła torbę na ramię, wsadziła płótno pod pachę, po czym zmęczona i zadowolona jak strzyga po wychłęptaniu miski krwi ruszyła w kierunku zamku.

- A co z obrazem?! - zakrzyknęli modele.

- Przecież ja nie jestem byle pacykarzem, żeby raz dwa i gotowe! - zachnęła się. - Teraz popracuję chwilę dla Blizzara, poza tym z własnym pomysłem już od roku chodzę... I oczywiście będziecie musieli jeszcze parę razy zapozować... Zastanę was tu za tydzień, jak będę jechała z powrotem, prawda?

Wilkołak i rycerz w szoku popatrzyli najpierw na oddalające się plecy artystki, a następnie na siebie nawzajem.

- Hej, przecież ja cię znam! - zakrzyknął rycerz ze zdumieniem. - Jesteś pomocnikiem kowala z Mysiej Góry!

- Ja ciebie też - Wilkołak również popatrzył na niego uważnie. - Przecież kupowałeś u nas w zeszłym roku ten miecz! I jeszcze wytargowałeś nóż na dodatek.

Rycerz spojrział na miecz, odkaslnął i schował go do pochwy.

- Może chodź ze mną do miasta? - zaproponował. - Znam dobrą karczmę... Należą na kredyt.

- A chodź! - Wilkołak odważnie machnął ręką i natychmiast w pośpiechu przywrócił ją na miejsce. - Tylko skoczę do domu po ubranie.

Kiedy polana opustoszała, babka uniosła głowę, przekonała się, że dookoła jest pusto i odetchnęła z ulgą:

- Trafiłam na młódkę, choć tyle dobrego! Gadają, że storowski Ogeł Czapkin dla swojego wielkodziela całutką wieś sfajczył...

Po czym trzymając się jedną ręką za zaziębiony krzyż, a drugą opierając na „dwuręcznym mieczu” pokuśtykała w kierunku domu.

PROROCTWA I INNE TAKIE

Obudził mnie dziki wrzask, co było dla mnie rzeczą powszednią, ale bynajmniej nie najprzyjemniejszą. Przetarłam oczy i spojrzałam dookoła, po czym wrzasnęłam w odpowiedzi, ponieważ jasna plamka miotająca się pod moimi nogami była bynajmniej nie białą myszką, która uciekła na wolność z laboratorium taty, tylko człowiekiem w prześcieradle, nie wiadomo czego szukającym w nocnym ogrodzie.

Ja zaś stałam na dachu rodzinnego zamku koło gargulca dekorującego gzyms. Czy raczej tuliłam się do niego.

I właśnie ten fakt mi się nie spodobał.

Po czarnym niebie płynęły postrzępione obłoki, co i rusz pokropywał deszcz, nad wysrebrzonymi przez księżyc jabłoniami przemykały nietoperze. Z lasu, doskonale widocznego z mojej obecnej pozycji, dolatywało natchnione wycie wilków. Wszystko to tworzyło niezrównane wręcz dekoracje dla tragicznej postaci na dachu: długie blond włosy malowniczo powiewają na wietrze, luźna koszula nadeła się w dzwon obnażając bosc nogi aż do kolan.

Widownia, czyli zamkowy dziedziniec, błyskawicznie zapełniał się wdzięczną publicznością. Oczywiście jako pierwsi przybiegli czeladnicy, śpiący w stodole na sianie. Natychmiast zaczęli robić zakłady, czy skoczę, czy malowniczo zrobię krok w nicość, jak również, gdzie wyląduję i w jakiej pozycji.

Chciałam pogrozić im pięścią, ale w samą porę zrozumiałam, że w takim wypadku będę musiała oderwać od gargulca jedną rękę, a dłonie na mokrym kamieniu i bez tego mi się ślizgały.

Doszła również reszta służby, która zaczęła łzawić rozpaczając nad moją przedwczesną śmiercią, a przy okazji wyliczać, czy siódmy dzień po pogrzebie nie trafi przypadkiem na Święto Wody, całkowicie je psując.

Za nimi (wolniej się nie dało?) pojawili się też kochani krewni, mieszkający na górnych piętrach zamku. Jako ostatni (i wściekły z tego powodu jak mrakobies) stoczył się ze schodów mój młodszy braciszek, w biegu naciągając kurtkę.

Honory rozpoczęcia darmowego przedstawienia jednogłośnie odstąpiono mojemu ojcu.

- Córeńko! - zakrzyknął z rozpaczą, załamując ręce, by sprostać oczekiwaniom społecznym. - Błagam cię, nie rób tego!

Otworzyłam usta nadal niepewna, czy mam przeklinać, czy żądać, by szybko mnie stąd zdjęto i z przerażeniem zrozumiałam, że wrzask na zimnym wietrze stał się dla mojego gardła tą ostatnią przysłowiową kroplą, przepełniającą czarę. Teraz nadawało się wyłącznie do syków i chrypienia.

Obecni wzięli moje milczenie za dumną pogardę i zaczęli gadać jeden przez drugiego. Po wyjściu z transu moje zmysły, w tym słuch, gwałtownie się wyczulały, więc doskonale słyszałam każde wypowiedziane na dziedzińcu słowo, o ile nie było cichym szeptem. Ale nikt nie starał się zniżyć głosu. Przeciwnie, musieli wkładać masę wysiłku w to, by przekrzyczeć pozostałych.

- Skoczy... Ja to wam mówiem, że skoczy! Tylko tego, trochem siem zbierze na odwagem!

- Jednak biedaczka nie wytrzymała...

- Rinka, przestań się wygłupiać! Złaż bo walnę pulsarem!

- Darlaju, jak ci nie wstyd! Przecież to twoja rodzona siostra!

- O to-to, jakby była kuzynką, to bym nie musiał się dzielić spadkiem!
- Może przynieść słomy ze stodoły?
- Miaaaaauuuu...!
- Kysz, zarazo! Płacze się pod nogami...
- A gdzie! Z takiej wysokości to i stogu będzie za mało...
- Ale przynajmniej nie na placek...
- Dar, przestań robić sobie żarty z babci! Mamusiu, proszę nie zwracać uwagi, mały po prostu żartuje, on bardzo kocha siostrzyczkę... Prawda, synku?!
- Ech, i już po święcie...
- Biedne dziecko... A ja przecież ją pamiętam jak jeszcze pod stół wchodziła... yyyyy...
- Riiinka, a mogę wziąć twoją szkatułkę z amuletami na pamiątkę?!
- Gdybyż moja świętej pamięci córka to słyszała! To wszystko pana kiepskie dziedzictwo! Może przy odpowiednim wychowaniu miałby szansę wyrosnąć na godnego człowieka, ale nie pozwolił mi pan nawet spró...
- Miaaaaauuuu!
- Kireinie, proszę przynieść pani jej krople uspokajające... albo lepiej ją do nich zabrać!
- A przecież mówiłam Marlice jeszcze na tamtym balu, nie wychodź za tego drania, nie będziesz z nim szczęśliwa! I miałam rację. Ledwo minął tuzin lat, a moje maleństwo wpędził do grobu. Teraz własną córkę doprowadził do samobójstwa i syna wychował na takiego samego łajdaka! Nigdzie nie idę!
- Może zawołać miejskiego maga? On by ją w jednej chwili uspokoił...
- Już po niego wysłali, Knyś pojechał na dereszu...
- Mamo, proszę zamilknąć albo za siebie nie ręczę!

– A może to nawet lepiej? Już nie miałam siły na nią patrzeć, snuła się po zamku jak ten cień...

– Hej, kto tam łuska słonecznika?! Weź mi też nasyp garść...!

– Riono, kochanie, zrobię wszystko, czego chcesz, tylko nie skacz!

Najbardziej ze wszystkiego chciałam znaleźć się bezpiecznie na dole. Ba, nawet bym sama dopłaciła, gdyby jakaś zaraza wpadła na to, żeby spuścić mi drabinę z okna wieży - nie byłam w stanie wspiąć się do niego po pochyłym i śliskim dachu.

Głosy zaczęły słabnąć, a postacie rozpląwać się - upojenie transem mijало. Zresztą i tak było widać, jak ludzie śpiesznie uciekają na boki zwalniając przejścia dla ojca Ispodego, który zamarudził w swoim pokoju, by ostrożnie włożyć odświętny, gęsto haftowany srebrem habit. Rodzina dziedzicznych magów potrzebowała dajna jak smok piątej nogi, ale był to osobisty duchowny babci, którego przywiozła ze sobą z Witiagu. Moim zdaniem sama go nie znosiła, ale trzymała, by zrobić ojcu na złość.

Ojciec Ispody spojrzał dookoła upewniając się, że stoi dokładnie na środku podwórca, złożył ręce na piersi i zaczął się głośno modlić, zbierając chwałę pańską przed tak odpowiedzialnym wydarzeniem. Czeladź chętnie przytakiwała i w odpowiednich miejscach robiła znak krzyża.

Po jakichś pięciu minutach ojciec nie wytrzymał, podszedł do zatopionego w modlitwie dajna, nieuprzejmie poklepał go po ramieniu i zaczął z irytacją coś tłumaczyć. Babcia jak jastrząb poleciała ratować „pupilka” i zięć z teściową zaczęli wrzeszczeć na siebie nawzajem, cały czas podnosząc głos. Ja zostałam na chwilę zapomniana, bo w górę już nikt nie patrzył. Ponownie zaczął kropić deszcz, więc otoczyłam

gargulca nie tylko rękoma, ale i nogami, próbując możliwie głęboko wtulić się pod jego skrzydło.

Dajn boczkiem wyślizgnął się z tłumu, przeniósł w róg podwórza możliwie daleko od walczących, odkaszlnął i zaczął przemowę od nowa, rozsądnie skracając wstęp do „z pomocą bożą niechaj usłyszy mnie ta pozbawiona rozumu panna!”.

– Pokajaj się, grzesznico! Czy wiesz, kto w tej chwili na ciebie patrzy?
- Ispody z dokładnie obliczoną prędkością uniósł ku niebiosom drżący palec, ściągając za nim spojrzenia wszystkich obecnych.

„I bogowie tacy sami, gapią się, ale nic nie robią” - pomyślałam smętnie.

– Córko moja! - Dajn rozpędzał się i wrzeszczał coraz donośniej, machając szerokimi rękawami tak, że nieomal wzleciał nad ziemią. - Najwyżsi nie po to dali ci życie, byś tak nierozsądnie z niego zrezygnowała! Czy ten, kto zwołał gości, będzie odrzucał w błoto dary, które są mu niemiłe? Czy warto przeklinać lato przez jeden pochmurny dzień? Zawstydz się z powodu chwilowej słabości, panno Riono, przyjdź w objęcia moje i obmyj się łzami skruchy, by odkupić grzech małoduszności, ofiarując naszej świątyni na budowę nowej piwniczki...

Faktycznie gotowa byłam płakać z bezsilnej złości, ale w tym momencie zaskrzybiała nade mną okiennica, a z wieżyczki wychyliła się głowa brata. Wiatr natychmiast zmierzwił jego popielate i bez tego rozczochrane włosy.

– Rinka, co się tam guzdrzesz, ja chcę spać!

Ucieszyłam się na jego widok, jakbym widziała obcą osobę - bo cała reszta bezsensownie kręcących się na dole ludzi bliskich wywoływała we mnie uczucia bardzo dalekie od przyjaznych.

- Wyciągnij mnie stąd! - wyęzając siły, udało mi się wyartykułować za drugą próbą.

- Znaczy rozmyślałaś się z tym skakaniem, czy jak? - Dar z namysłem ściągnął brwi.

- Kretynie jeden, nawet nie zamierzałam skakać! To był trans!

- Aa...! - mruknął braciszek ze zrozumieniem. - Chwila.

Przechylił się przez parapet i próbował sięgnąć mnie dłonią.

Oczywiście bez skutku, zabrakło ponad sążnia.

- Czego się tak przykleiłaś do tego gargulca! Połóż się brzuchem na dachu!

- Ja się b-b-boję!

- Jeśli komuś jest pisane zostać zaszlachtowanym, to się nie rozbije - zauważył Dar rozsądnie. - To jak?!

To mnie nieco uspokoiło - w wizjach nigdy nie objawiało mi się nic podobnego. Z drzeniem oderwałam od kamienia prawą dłoń i możliwie szybko przycisnęłam ją do dachówek.

Spróbowałam zrobić to samo z lewą, ale w ostatniej chwili zrozumiałam, że w takim wypadku będę stała na czworakach bokiem do okna.

- Daaar, a nie ma jakiegoś innego sposobu? - zajęczałam.

- Jest. Skacz! Najlepiej na babcię. - Młody krytycznie spojrział w dół. - Chociaż Ispody też się nada. I trafić w niego też łatwiej, zobacz tylko, jakie brzuszysko wyhodował.

- Kretyn!

- No właśnie też pomyślałem, że ta możliwość ci się nie spodoba. Dlatego odwróć się i pełnij tutaj - rozkazał brat rzeczowo.

Z rozpaczą spojrzałam na gargulca. Jak mi się w ogóle udało tu wejść?! Bez świecy pokonać wąskie, strome kręcone schody, wyleźć

przez okno, zjechać po pochyłych dachówkach do samej rynny...

– Czy ty tam znowu zasypiasz?

– Nie, zbieram się na odwagę! - Jak dobrze by było zamknąć oczy i otworzyć je już w swoim łóżku. Albo w stajni. Albo w piwnicy. Niech leszy weźmie taki „talent!”

Zagryzłam wargę, zmusiłam się do skupienia na bólu oraz złości (a nie kleksie na kocich łbach, który widziałam oczami wyobraźni) i odwróciłam do okna. Tak było trochę lepiej: dziesięć sążni pustki zostało za plecami, przypominając o sobie echem triumfującego głosu dajna. Chyba Ispody przypisał moją „skruchę” swojej natchnionej przemowie.

Bardzo, bardzo powoli położyłam się na dachu. Ghyr, jeśli się ześlizgnę, to nawet nie będę miała za co złapać! Przelecę koło gargulca z gwizdem, jak jabłko puszczone po rynnie.

Teraz pomiędzy koniuszkami naszych palców zostawał mniej niż łokieć, czyli przepaść nadal nie do pokonania, ale już znacznie bardziej przykra.

– Rinka, weź podpełznij jeszcze trochę!

– Nie dam rady, te przeklęte dachówki chyba są oblane olejem!

– Ale przecież jakoś się na nich trzymasz - zauważył Dar sceptycznie.

– Nogami się opieram o rynnę, ale jest wąska i się chwieje.

– No to się od niej odepchnij i podskocz.

– A się urwie?

– Strzyga z nią, służba naprawi!

Cieniutko, rozpaczliwie zawyłam. Dar westchnął, potrząsnął głową i cierpliwie wyjaśnił:

– Rinka, nawet jeśli rynna polecą w dół, to ty odrobinę podskoczysz w górę, a nam więcej nie potrzeba.

- Jesteś pewien?

- Ale z ciebie nudziara! Zaraz sobie pójdę i niech cię Ispody ratuje! - zagroził brat, co prawda nie ruszając się z miejsca.

Znacznie bardziej przekonująca była rynna, która wydała z siebie przedśmiertny zgrzyt i zaczęła powoli uciekać mi spod stóp. Pisnęłam i skoczyłam do góry, za mną coś szczęknęło, gwizdnęło i kazanie dajna zagłuszył przeraźliwy płacz bab.

Już złapałam pomocną dłoń, cienką i zimną, kiedy zrozumiałam, że mało prawdopodobne, by dwunastoletni dzieciak zdołał utrzymać dwukrotnie od siebie starszą i prawie o tyle samo cięższą dziewczynę.

- Daaar! - Ponownie rozplaszczyłam się na dachówkach, próbując przylgnąć do nich jak ślimak. - A jeśli oboje spadniemy?

- To ja będę na górze - wysapał, desperacko wczepiając wolną ręką w parapet. - Włóż tu! Na wszelki wypadek obwiązałem się sznurem.

- A nie mogłeś mi go od razu rzucić?!

- Nie, tak jest ciekawiej.

Niech no ja go dorwę! Zaczęłam przebierać nogami, już nie bojąc się, że ściągnę Dara w dół i po paru sekundach objęci spadliśmy z parapetu na podłogę. Brat wydał z siebie stłumione wycie, a ja złapałam oddech i właśnie przymierzyłam się, by wymierzyć mu szturchańca, ale w ostatniej chwili coś dostrzegłam.

- A gdzie sznur?!

- Skąd ja ci miałem wziąć sznur w środku nocy? - Dar odpowiedział niewinnym spojrzeniem. - Musiałem skłamać, bo byśmy tak do rana wisieli na tym dachu.

- Ach, ty mały dra... - zaczęłam w szoku, ale w tym momencie nad krawędzią kręconych schodów pokazały się dwie głowy jednocześnie

(jakim cudem ojcu i babci udało się zmieścić na jednym stopniu?) i już miałam pilniejsze zajęcia niż podziękowania.



Świt powoli, jak złodziej, skradał się ku zamkowym oknom. Za jego plecami darły się słowiki, warujące na skraju lasu. Dźwięczne trele bez przeszkód niosły się nad senną ziemią i miałam wrażenie, że ptaki śpiewają bezpośrednio na naszym podwórzu. Potem na dole zaczęły stukać drzwi, zaskrzypiał żuraw studni, w chlewiku niecierpliwie zakwiczały prosięta, a w powietrzu pojawił się wyczuwalny aromat brzozonego dymu - służba przygotowywała zamek do obudzenia gospodarzy.

Próba zaśnięcia już nie miała sensu. Chmurnie tonęłam w ukochanym fotelu, owinięta dwoma wełnianymi kocami i z nogami zanurzonymi w gorącej wodzie, żółtej od sproszkowanej gorczycy. Na podłodze obok siedział Dar i z apetytem wcinał bułkę z miodem, wynagradzając się za niedawne cierpienia.

Całą resztę pocieszycieli i współczujących przegoniłam. Czyli w ogóle wszystkich - mój cyniczny braciszek się do nich nie zaliczał. Byłam absolutnie pewna, że tylko on i ojciec naprawdę się o mnie martwią.

- Ale co się śniło? - zapytał Dar zachłannie.

- Nadal te same brednie. - Pomasowałam skronie, bo znacznie bardziej realne wydarzenia na dachu wypchnęły z pamięci niezbyt wyraźną wizję. - Burza, morze, czyjaś przerażająca twarz..., miecz i upadek.

- Chcesz bułeczkę? - Brat odłamał kawałek i podał mi.

Parsknęłam z irytacją:

– Przez tyle lat mógłbyś zapamiętać, że nie znoszę miodu!

– Tak, ale mówią, że on dobrze uspokaja nerwy.

– Nie jestem zdenerwowana! - syknęłam. - Znaczy z uwzględnieniem spaceru po dachu, ratowników-kretynów, rodzinnej awantury i zbliżającego się zapalenia płuc, nawet ten gargulec może mi zazdrościć spokoju!

– Tak w zasadzie zleciał jakieś pięć minut po tym, jak cię wciągnąłem - rzucił Dar melancholijnie, wrzucając wzgardzony przeze mnie kawałek bułki do ust. - Wy się tu darliście i nie słyszeliście, a ja wszystko widziałem z parapetu. I ojciec Ispody oberwał kawałkiem dachówki w czołko, trzeba było oferować mu pięć kładni za „męczeństwo w imię ratowania duszy marnotrawnej” i kolejne dziesięć, żeby cofnął słowa, które mu się przy tym wyrwały. Bo to jednak osoba duchowna, ghyr wie, jak mogłyby podzielać. Tak że, Rinka, same straty przez ciebie!

Zmieniłam zdanie w kwestii pozbywania się górnego koca i wlałam do miednicy kolejny czerpak wrzątku.

– Dzięki, braciszku, ja ciebie również bardzo Kocham!

– No a jak! Byś spróbowała traktować inaczej przysłego arcymaga!

– Mały, jak będziesz podskakiwał, to ci przepowiem przyszłość!

– Nie waż się! - zaprotestował z niepokojem Dar. Aktualnie był adeptem trzeciego roku. - I to się nazywa siostra! Niewdzięczne babsko z ciebie, nawet mi nie podziękowałaś, a ja bohatersko...

– A nie powinnam ci przypadkiem powiedzieć czegoś jeszcze?

– Możesz uklęknąć i przeprosić - pozwolił młody wielkodusznie.

– Za co?

- Przestraszyłaś mnie, raniąc mą delikatną dziecięcą psychikę. A co jeśli to wydarzenie wywarło na nią niedający się naprawić wpływ, niszcząc mi całe życie?

Chudy, blady niebieskooki dzieciak przy odrobinie starania potrafił udawać taką sierotkę, że kiedyś na zakład zebrał do czapki trzy kładnie menkami w ciągu zaledwie godziny stania pod drzwiami świątyni. Potem zauważył go znajomy strażnik i „wątłe dziecko z dzielnicy biedoty” nawiało z taką prędkością, że wytrenowany chłop nie dał rady go dogonić.

- Przecież twoją psychiką można gwoździe wbijać! I to w kamienny mur. Gdzie ty w ogóle nałapałeś takich mądrych słów?

- Oczywiście, że w Szkole - oznajmił Dar z wyższością. - Przecież w naszym domu w życiu ich nie używano.

- Lepiej byś się uczył zaklęć zamiast morałów Ksandra - burknęłam, pamiętając doskonale, jakie Mistrz potrafi urządzać przedstawienia przed złapanymi na psocie adeptami oraz komisjami z Konwentu. - Swoją drogą, poprawiłeś tamtą dwóję z zielarstwa?

- Znaczy... Jakby ci to powiedzieć... Ale za to uratowałaś honor rodziny. - Dar błyskawicznie zmienił temat, próbując wbrew oczywistej niezgodności wymiarów wsadzić resztę bułki do ust w całości.

- Znaczy się jak?

Musiałam poczekać aż podobny do chomika braciszek pokona stawiający opór wypiek.

- A widziałaś, kto pierwszy się zaczął drzeć? - zapytał po złapaniu oddechu.

- Tak, jakiś na wpół nagi kretyn z parku.

- Narzeczony Witki.

- Że coo?!

- Marwiej - potwierdził Dar z satysfakcją. - On i Witka próbowali urządzić w parkowej altance gniazdo rozpusty, ale zepsułaś gołąbkom całe gruchanie.

- A ty, skąd wiesz?

- Bo ich przyłapałem jeszcze poprzedniej nocy i chciałem postawić przy wejściu straszaka, by nie łazili tacy różni - przyznał brat ze stoickim spokojem. - Ale tak wyszło nawet lepiej. Straszaka mam tylko wizualnego, na trzy WJM, ale ty to już nawet banshee bijesz w przedbiegach!

Rzuciłam w nicponia poduszką, ale tylko miękko uderzyła o zamknięte drzwi. Na korytarzu rozległo się plaskanie bosych pięt.

- Uważaj, żeby ciebie ktoś przypadkiem nie pobił! Na przykład pasem po tyłku! - krzyknęłam za nim.

Gorszy od maga w rodzinie jest tylko świr.

Albo... ech!

Oplukałam nogi, roztarłam je ręcznikiem i włożyłam kapcie. Ale nie wstawałam, tylko myślałam, patrząc przez okno na powoli budzące się miasto.

Tak w zasadzie to naszej rodziny pytią nie przestraszysz. Pamięta gorsze przypadki.

Moja matka uznawana była za najlepszą uzdrowicielkę w Belorii - cierpiący przyjeżdżali do nas nawet z wysp. Ale, o ironio losu, jej samej nikt nie zdołał uratować. W opuszczonym pokoju mamy nadal stoją bukiety suchych kwiatów i nawet w zimie pachnie tam zalaną słońcem łąką...

Ojciec mógł w razie potrzeby wykazać się jakimś złożonym zaklęciem, ale wolał je tworzyć, a nie używać. Dziewięć jego monografii stało w każdej bibliotece magicznej, a adepci Szkoły Magii używali

naszego nazwiska jako najgorszego przekleństwa: „A żebyś musiał do egzaminu z Rudnicznego zakuwać!”

Dar przeciwnie, wybrał stronę praktyki. Tata żywił potajemną nadzieję, że przed ostatnim rokiem młody się rozmyśli, ale nie ważył się naciskać na syna: zbyt dobrze pamiętał, jak sam uciekł z prestiżowej szkoły wojskowej, by zdać na wydział magii teoretycznej i praktycznej.

Witelia - urodzona między mną a Darem - miała dość skromne zdolności. Rodzice nawet nie wysłali jej do Szkoły, tylko sami nauczyli podstaw magii. Witka nie potrzebowała więcej - używać rozgrzanego palca jako lokówki albo strząsnąć spojrzeniem paproch z sukienki... Ale za to nasza siostra z niezwykłą skutecznością potrafiła przymilać się do mężczyzn i godzinami podtrzymywać towarzyską rozmowę o różnych bzdurach. Idealna żona dla arystokraty: zbyt głupia, by snuć własne intrygi, ale wystarczająco mądra, by nie pakować się w cudze. Nic dziwnego, że nie cierpiała na niedostatek adoratorów, a teraz również narzeczonych.

Czasami straszliwie jej zazdrościłam...

Ktoś nieśmiało zapukał do drzwi.

– Dobra, wpełzaj już, pluskwo - burknęłam ugodowo. Jednak mój braciszek jest czarujący. Mimo że wyjątkowo paskudny.

Za drzwiami rozległo się niezadowolone kasznięcie, po którym wciągnęłam głowę w ramiona z poczuciem winy.

– Panno Riono, wszystkie potrawy na stole, proszą panią na dół - poinformowała mnie sucho Aniura, surowa starsza dama, którą nie bardzo dało się określać mianem służącej. Tata żartem nazywał ją gospodynią zamkową, powierzając tej granitowej kolumnie w spódnicy klucze do wszystkich bram i spichlerzy. I nie ma co, na jej pasie były bardziej bezpieczne niż w smoczym skarbcu!

- Jak to, osobiście proszą? - Nie potrafiłam się powstrzymać od delikatnej szpilki, wyobrażając sobie grobowy głos dobiegający z wazy z zupą.

- Nie, panienki ojciec i babcia - ucięła Aniura, doszczętnie pozbawiona poczucia humoru. - Raczy panienka zejść?

- Raczę - potwierdziłam niechętnie, zostawiając sobie przynajmniej iluzję wyboru. Gdybym teraz odmówiła, to gospodyni zamkowa zacznie marudzić, przekonywać mnie i besztać, potem pobiegnie na skargę do ojca i ten sam po mnie przyjdzie, a z nim oczywiście babcia. Ech, rozbestwiła nam się służba! I to tylko dlatego, że sami dajemy zły przykład...

Nastrój nadal miałam paskudny, w nosie podejrzenie świerzbiało. „Doskonała szansa, żeby oszukać przeznaczenie: złapać zapalenie płuc i umrzeć szczęśliwie dzień przed terminem” - pomyślałam chmurnie, otwierając szafę. Biała sukienka była zbyt odświętna na zwykłe śniadanie, czarnego nie znoszę..., aha, jest! Niebieska z brązowymi koronkami i paskiem. Naciągnęłam sukienkę, złapałam z toaletki szczotkę, nie patrząc przeciągnęłam nią po głowie i zawyłam. Namoczone deszczem, byle jak wysuszone włosy zmieniły się w pęk łyka, z którego sterczały wyłamane ząbki. Lustro, do którego rzuciłam się po wsparcie moralne, ukazało jeszcze mniej radosny obraz: zmizerowana twarz, mętne, opuchnięte oczy z posklejanymi rzęsami, bezbarwne wargi... Koszmar, przecież nawet w godzinę nie zdołam doprowadzić się do porządku!

A może sobie darować? Przecież nikt chyba nie oczekuje, że niedoszła nieboszczka będzie wyglądała jak wiosenna driada...

O nie!

Mocniej złapałam szczotkę, zagryzłam wargę i zaczęłam wściekle przedzierać się przez kołtun. Tego tylko brakowało, by mnie tak zapamiętali!

Na śniadanie spóźniłam się beznadziejnie, ale przynajmniej nie przypominałam już chodzącej nieboszczki, którą jakiś nekromanta podniósł z rynsztoka. A krewni i tak nie śpieszyli się z odejściem od stołu. Zaproszony dziś narzeczony Witki (matko, jak on się nazywa?) wyłaził ze skóry, żeby się wszystkim spodobać. Na przykład w tej chwili z moim ojcem żywo dyskutowali o nadchodzącym turnieju. Nadęty Dar grzebał w talerzu z miną czyściciela wychodków, szukającego kolczyka, który jakiejś damie wpadł do dziury. W jego nakryciu brakowało talerzyka deserowego, który został demonstracyjnie odsunięty przez ojca na środek stołu. Okazało się, że straszaka braciszek mimo wszystko postawił. Ale po nocnych wydarzeniach na śmierć o nim zapomniał, więc uruchomiła go babcia, która teraz na wpół leżała w fotelu z mokrym okładem na czole oraz flaszeczką soli trzeźwiących pod nosem i udawała umierającą w cierpieniach. Kiedy sądziła, że przez chwilę nikt na nią nie patrzy, błyskawicznie łapała z półmiska ciastko i pakowała je do ust, po czym wydawała z siebie rekordowo cierpiętnicze jęknięcie.

- O, jest i moja starsza córka! - Ojciec w końcu mnie zauważył. - Kochanie, doskonale dziś wyglądasz!

Niedbale skinęłam głową, nie zamierzając zdradzać, ile wysiłku mnie to kosztowało.

- Riono, poznaj Marwieja. Ten wspaniały młody człowiek przed chwilą poprosił mnie o rękę Witelii.

Bez przekonania udałam zachwyt i zdumienie. Narzeczonego Witki miałam już powyżej uszu: a to wyśpiewywał serenady w środku nocy, a

to rzucał obciążone kamykami liściki miłosne w okna wybranki i chybiał, a już ta ich altanka...

– Nie ma sprawy, zaraz urwiemy i oddamy - syknął Dar pod nosem.

Przyszły zieć wziął mój głupi chichot do siebie i spiekł raka. Tata zakaszła z pretensją. Rzuciłam bratu zirytowane spojrzenie i podałam Marwiejowi rękę do pocałunku.

– Bardzo mi miło poznać - wymamrotał kandydat na powinowatego. I co Witka w nim widzi? Niezbyt wysoki blondyn, do tego już łysiejący i wyraźnie pulchny. W okolicy czterdziestki w ogóle się zmieni w kulkę na nóżkach. - Wiele o pani słyszałem... Proszę przyjąć wyrazy mojego najszczęśliwszego współczucia.

– Z jakiej okazji? - przerwałam mu zimnym tonem.

– Znaczący, mam na myśli... - Marwiej zmieszał się. - Witelia opowiedziała mi o pani przekleństwie.

– To nie jest przekleństwo - wycedziłam. - Nie jestem śmiertelnie ani tym bardziej zaraźliwie chora, nie wyznaczono mnie na ofiarę dla smoka i nie zwolniono na parol do godziny kaźni publicznej...

– Riona! - Ojciec podniósł głos, ale ja już się rozpędziłam.

– ...dlatego absolutnie nie musi pan całować powietrza nad moją skórą równocześnie robiąc za plecami znaki ochronne!

– Riono! Natychmiast przeproś naszego gościa!

Z irytacją dosunęłam krzesło i w głębokiej, pełnej pretensji ciszy wyszłam z jadalni, a potem z domu.

Tak-tak-tak, niech to smok zagryzie, mogłam to lepiej rozegrać, ale jak ja miałam już tego dosyć! Za każdym razem obiecuję sobie, że nie będę zwracać uwagi na „współczujących”, ale im dalej, tym częściej nie wytrzymuję.

Mijając klomb, zerwałam z krzaka róż kilka pąków i teraz moją drogę po ogrodzie znaczył łańcuszek płatków. Co ten Marwiej sobie w ogóle wyobraża?! Jeśli Witka naprawdę opowiedziała mu o prorocztwie, to powinna również wspomnieć, jak bardzo nie znoszę dotykania tego tematu. Ten grubas rozdrażnił mnie celowo! Co za drań! Myślałby kto, że on jest nieśmiertelny! Zaraz się zamknę w pokoju, zapalę kadzidła, wejdem w trans i przepowiem temu Marwiejowi straszną śmierć w męczarniach, a potem mu to zrelacjonuję ze szczegółami. Albo nie: zapiszę w parudziesięciu kopiach i roześlę do wszystkich jego znajomych. Niech teraz jemu współczują!

Obmyślanie zemsty zatruwała jednak pewność, że nie będę ani niczego palić, ani pisać. Po tamtym wypadku zarzuciłam nie tylko robienie doktoratu, ale jakiegokolwiek przepowiadanie. Choć nie mogłam uniknąć wizji samorzutnych, najczęściej we śnie. Nie wspominając o tym, że Marwiej z powodzeniem mógł dożyć setki i umrzeć we własnym łóżku, w objęciach ślicznej panny służącej. I takim końcem na pewno go nie przestraszę!

Najgorsze było, że przez tę idiotyczną awanturę wcale nie straciłam apetytu, wręcz przeciwnie. Ale było już zdecydowanie za późno na powrót do jadalni - słudzy dawno zdążyli ją sprzątnąć. Może zajrzeć do kuchni? Zawsze znajdzie się tam chleb i kawałek wędzonki.

Odwróciłam się i pisałam z zaskoczenia.

- Tato?!

Ojciec, który raczej nie skradał się za mną na paluszkach i kompletnie nie oczekiwał takiej reakcji, również skoczył do tyłu.

- Znowu się zamyśliłaś?

- Aha - przyznałam, odrzucając oskubaną różę. - A co ty tu robisz?

- Szukam cię. Chodź. - Ojciec wskazał altankę. - Porozmawiamy.

Och...! Posłusznie powlekłam się za nim, wiedząc bez żadnego wchodzenia w trans, co mi zaraz powie.

Nasz ogród wydawał się zaniedbany tylko na pierwszy rzut oka: przy bardziej wnikliwym badaniu na krzakach można było odnaleźć nieznaczące ślady nożyc, a na klombach kwiaty przeważały nad chwastami. Naszym ogrodnikiem był staruszek około siedemdziesiątki, który już sam przypominał omszały pieniek. I nikt nie miał sumienia go wykarczować, żeby się natychmiast nie rozsypał. Pewnego razu babcia wyskoczyła do ojca z pretensjami, że przez tę działalność charytatywną w ogrodzie niedługo zalegną się mawki, na co on odciął się, że niby jedną już mamy i na złość teściowej podniósł ogrodnikowi pensję. Staruszek ostatecznie się rozleniwił i ogród przybrał wygląd zachwycająco dziki, z całą masą zakamarków. Altanka schowała się pod płaszczem z winorośli tak, że widać było tylko wejście.

Tato machnął dłonią nad wilgotną ławką, jak gdyby mając zamiar zetrzeć kropelki deszczu, a te natychmiast zasyczały, parując.

– Siadaj.

Z westchnieniem zebrałam sukienkę. Ojciec nadal stał na środku altanki z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Piętnaście lat temu pod jego spojrzeniem rozryczałabym się ze wstydu. Z wiekiem łzawość mi minęła, ale wstyd pozostał.

– Riono, byłaś niesprawiedliwa w stosunku do Marwieja. Ten młody człowiek chciał tylko zrobić na nas dobre wrażenie.

– O tak, dla amatora posagów jest to wyjątkowo ważne! - Czułam się jak jakaś pospolita kramarka i wściekałam z tego powodu jeszcze bardziej.

– Jego rodzina jest niemal równie dobrze sytuowana, i tak samo szlachetna - przypomniał ojciec cierpliwie.

- Dlatego że delikwent jeszcze nie przejął spadku i nie zaczął wydawać kasy rodziców na lewo i prawo! Przyjrzyj mu się, przecież ma wypisane na twarzy „hulaka i bawidamek”!

- U młodego mężczyzny w jego wieku to normalne. Nic to, ustatkuje się... W razie czego mu pomożemy. Ale dziś zupełnie niesłusznie się na niego rzuciłaś, chłopak chciał być uprzejmy i tyle.

- Też mi uprzejmość, grzebanie za życia!

- Może sądził, że ci się to spodoba? - Ojciec wzruszył ramionami. - Na przykład twój dziadek uwielbiał wysłuchiwać wyrazów współczucia i przyjmować prezenty. Któregoś razu nawet urządził próbę własnego pogrzebu. Twierdził, że martwego już go nic nie będzie obchodziło, a teraz jest najlepsza chwila, żeby się pobawić na stypie...

- Tato!

- Przepraszam - westchnął, siadając obok i ze zmęczeniem odchyłając się na oparcie ławki. - Fakt, to wątpliwe pocieszenie. Córeńko, rozumiem jak ci ciężko. Gdybym mógł, z radością zamieniłbym się z tobą miejscami, ale niestety jest to sprawa poza naszymi możliwościami...

- Nie rozumiesz nic a nic. - Mimo to przytuliłam się do ojca i położyłam głowę na jego ramieniu. - Męczy mnie nie mój los, tylko ciągłe przypomnienia o nim. Te durne zwoje z czarnymi wstążkami, bukiety żółtych róż, współczujące spojrzenia, westchnienia za plecami... Im bliżej moich dwudziestych piątych urodzin, tym gorzej! Teraz nawet nie mogę nigdzie wyjść. U znajomych patrzą na mnie jak na ducha, a u krawca jak na wariatkę. Ze niby po co jej to? Założyłaby ciemną sukienkę do ziemi i siedziała cichutko na ławeczce pod lipą, nie psując ludziom nastroju..., a najlepiej to w ogóle niech wstąpi do klasztoru i w pośpiechu modli się w intencji odpuszczenia grzechów. Mam takie

wrażenie, że jeśli się załamie i po cichu powieszę w stajni, wszyscy tylko odetchną z ulgą: „No, to biedaczka już jest w lepszym świecie!”

– Ale przecież nie zamierzasz tego robić, prawda? - Ojciec odsunął się, z niepokojem zaglądając mi w oczy. - Riono, powiedz prawdę, na pewno nie pamiętasz, jak znalazłaś się na tym dachu?

– Tato! - jęknęłam, chowając twarz w dłoniach. - I ty też?! Czy ja naprawdę wyglądam na aż taką kretynkę? Prędzej kogoś zamorduję, niż popełnię samobójstwo!

– Słoneczko, mam nadzieję, że tym kimś nie będę ja? - Ojciec żartem uniósł ręce do gardła, zachrypiał i przewrócił oczami.

Z warczeniem rzuciłam się na niego i udałam, że go duszę. Służący, który zajrzał do altanki, z szacunkiem zrobił krok w tył, znikając nam z oczu. Przez dziesięć lat służby w zamku widywał nie takie rzeczy, ale my się zawstydziliśmy i zaprzestaliśmy wygłupów. Zerwałam z winorośli wielki ciemnozielony liść i zaczęłam męczyć już jego.

– Tato, masz rację. Nie powinnam zatruwać ludziom życia tylko dlatego, że moje dobiega końca. Nie wspominając o tym, że jakiś biedak bez wahania oddałby pozostałe mu siedemdziesiąt lat za moje dwadzieścia pięć. Jestem niesamowicie szczęśliwa, że urodziłam się właśnie w tym zamku, u ciebie i mamy.... I łatwiej mi myśleć, że tylko na chwilę stąd odejdę i znowu wrócę.

– Dziecinko, to dokładnie tak będzie - potwierdził ojciec poważnie, nakrywając moją dłoń swoją. - Na pewno.

„W takim razie, czemu mam w duszy takie paskudne uczucie...?”

Ze złością przeciągnęłam po oczach rękawem.

– Kirejn, coś się stało?

– Tak, proszę panienki. - Służący ze spokojem przestąpił próg i dopiero teraz zauważyłam w jego rękach tacę, na której leżał zwój

owinięty czerwoną wstążką. - Kurier od burmistrza prosił przekazać tę wiadomość ojcu panienki.

- Dziękuję. - Ojciec odprawił służącego machnięciem ręki, złamał pieczęć i rozwinął pergamin. - Tak... „Szanowny... zapraszam... doroczny turniej magiczny... bankiet na koniec... z córką... ” Doskonale, bo już zaczynałem się martwić! - W pośpiechu zwinął list.

„...mam nadzieję, że przynajmniej odrobinę ją to rozerwie”. Udało mi się prześlizgnąć spojrzeniem po ostatniej linijce. Jednak czułam się zbyt zawstydzona, by martwić ojca kolejnym wybuchem gniewu.

- Myślałby kto, że bez tego kwitka cię nie wpuszczą. - Uśmiechnęłam się z przymusem. Burmistrz nie zaryzykowałby kłótni z moim ojcem nawet po śmierci: znamienity mag dorwałby go nawet na tamtym świecie. - Poza tym na turnieju będzie całe miasto i tyle samo przyjezdnych. Pięć menek za wejście.

- Córeńko, nie chodzi o to, czy wpuszczą. Dla ludzi z naszej sfery nieprzyzwoite jest chodzenie w miejsca, do których nie jesteśmy zapraszani. Nie wspominając o siedzeniu na jednej ławce z pospólstwem. A to - tato dumnie pomachał zwojem - jest prawo do najlepszych miejsc pod baldachimem.

- Który w zeszłym roku runął nam na głowy - nie omieszkałam przypomnieć.

- Pechowy przypadek, zakłęcie się odbiło! - Ojciec żarliwie wystąpił w obronie kolegów po fachu, którzy nadmiernie się rozpędzili. - Miejski mag przysięgał, że w tym roku zabezpieczy podpory tak, że nie ruszy ich nawet „lodowy huragan”.

- Aha, i będą jedynym, co zostanie na pustym wzgórzu. Albo w ogóle zamiast wzgórza.

- Czyli ze mną nie pójdziesz? - zmartwił się tata.

- Oczywiście że pójdę. Ja miałabym się bać jakichś tam baldachimów? - Dowcip nie był specjalnie udany, więc śpiesznie dodałam: - Nie wspominając o tym, że założyliśmy się z Darem odnośnie do wyniku turnieju i chcę zobaczyć, jaki wyraz twarzy będzie miał nasz wielki mag.

- Tak w zasadzie to twój brat został ukarany - przyznał ojciec niepewnie. - Dopiero co powiesił na altance stra... fantom wizualny czwartego poziomu. I to jeszcze taki zbereźny!

- Jaki? - teraz się zaciekawiłam.

- To nie dla uszu młodych panien - oznajmił ojciec z naciskiem i zrozumiałam, że Darowi jednak udało się namówić znajomego trolla do pozowania w celu zdjęcia matrycy w starożytnym stroju bojowym, czyli jedynie pasie z pochwą. - Babcia prawie umarła z przerażenia! - W westchnieniu ojca usłyszałam gorycz niespełnionych nadziei.

- A może z rozczarowania? - burknęłam. - Kiedy zrozumiała, że to tylko fantom...

- Tak, ale jeśli cofnę karę, będzie to niepedagogiczne! - westchnął ojciec rozpaczliwie.

- Ale wesołe. Gdzie niby znajdziemy drugiego tak złośliwego herolda?

W zeszłym roku Dar doprowadził do czkawki ze śmiechu nie tylko nas, ale też sąsiadów z ławek, głośno komentując wszystko, co działo się na arenie. Jeden z uczestników, a mianowicie słynny Weduł Szczurołap, któremu usłużnie powtórzono Darowe słowa, publicznie stwierdził, że z przyjemnością nadarłby nicponiowi uszu, ale niestety nie zdobędzie się, by podnieść rękę na dziecko i dlatego poczeka aż Dar dorośnie i zabije go w pojedynku. Mój brat wpadł w zachwyty i zamiast

poczuć skruchę na poły z przerażeniem, zaczął tym pilniej studiować magię bojową.

- Dobrze - zdecydował się ojciec. - Wołaj go. Ale nie mów, że tak od razu się zgodziłem! I w ogóle, możesz zrobić aluzję, że jestem na niego zły i oczekuję, że odkupi swoją winę przyzwoitym zachowaniem... przynajmniej w ciągu najbliższych paru godzin.

- Nie martw się, skłamię, że ze łzami pełzałam za tobą na kolanach, błagając o litość.

Tato roześmiał się, chociaż tak w zasadzie wcale nie był to żart. Miałabym przegapić taką okazję do poznęcania się nad kochanym braciszkiem?!

- W takim razie chodźmy się przygotować, do rozpoczęcia turnieju zostało niewiele czasu. I... Rin, chyba się zrozumieliśmy?

- Zrozumieliśmy - potwierdziłam smętnie, ponownie czując się małą zapłakaną dziewczynką. - Więcej żadnych głupot. No dobra, przynajmniej za dnia...



Turniej magiczny odbywał się w Belorii dopiero drugi raz, ale już był słynny na cały świat, bo dotychczas czarodzieje stawali w szranki wyłącznie w trakcie pojedynków i wojen, które zdaniem Rady Konwentu Magów mało sprzyjały „doskonaleniu i rozwojowi sztuki magicznej”. Chociażby z tego powodu, że liczba „pojedynkowiczów” zmniejszała się przynajmniej o pięćdziesiąt procent, nie licząc strat towarzyszących.

Nie mam pojęcia, jak Konwentowi udało się uzyskać od króla Nauma pozwolenie na owo epokowe wydarzenie, ale zanim zdążył wytrzeź...

się rozmyślić, stolicę wręcz zalali magowie bojowi, którzy drapieżnie zacierali ręce na widok dawnych wrogów i konkurentów. Odwołanie turnieju groziło tym, że wybuchnie znacznie bardziej groźna niekontrolowana bitwa wszystkich ze wszystkimi, więc król śpiesznie przeniósł wydarzenie do Kamieńca, którego w razie czego byłoby mniej szkoda. A sam niby w celu podreperowania zdrowia wyjechał do rezydencji nad jeziorem, czyli w kierunku przeciwnym do pechowego miasta.

Ludność Kamieńca, zahartowana mieszkaniem w sąsiedztwie wampirów, potraktowała nadchodzące wydarzenie znacznie spokojniej od monarchy. Mimo że z kramów natychmiast zniknęły sól, kasza i amulety, na ulicach tak samo sprawnie pojawiła się masa plakatów powitalnych i stoisk z pamiątkami: malowanymi talerzami oraz glinianymi medalikami z herbem Kamieńca oraz figurkami najśłynniejszych magów, kiczowato pomalowanymi w celu nadania większego podobieństwa do podpisów. Katissa Łabska, zapalczywa i skora do bijatyk magiczka, prawie zamieniła w posąg samego sprzedawcę, którego towar znacząco górował nad sąsiedzkim obecnością gwizdka w dolnej części wyrobu. Biedaka uratował przechodzący obok Kiwer Różański, który wyraził chęć zakupu tuzina tych wytworów sztuki ludowej w celu podarowania wspólnym przyjaciołom i pechowy kupiec w powstałym zamieszaniu (czy raczej łomocie, do wtóru błyskawic i gwizdu pulsarów) zdołał nawiać.

Zatwierdzone przez Konwent zasady mocno rozczarowały niektórych magów: surowo zabronione było nie tylko zabijanie, ale i kaleczenie przeciwników. Zaklęcia bojowe - wyłącznie z obowiązkowym samozniszczeniem piędź od przegranego, klątwy jedynie odwracalne, jak również żadnych huraganów, powodzi,

składania krwawych ofiar ani pomrok, które mogły nie dać się zniszczyć tak szybko, jak wzywający by sobie życzył. Na arenę przeznaczono porośniętą trawą dolinkę u zachodniej bramy Kamieńca. Burmistrz najchętniej urządziłby ją jeszcze dalej (najlepiej w Kozich Skoczuszkach (Mokradła na północy kraju. Znane z nadprzeciętnej grząskości oraz obfitości zamieszkujących je pomrok), żeby raz na zawsze rozwiązać kwestię turniejów), ale nie ważył się złamać królewskiego rozkazu. Za to w ramach zemsty kazał zbudować na zboczach ławeczki z byle jakiego drewna, wystawiając Konwentowi rachunek jak za rzeźbione krzesła z czarnego dębu.

Dzień przed zawodami miejska świątynia zebrała roczną normę ofiar, a na spowiedź trzeba było się zapisywać z aż dwutygodniowym wyprzedzeniem. Kramy były pozamykane, bydło ze zdziwieniem muczało w zamkniętych oborach. W izbach ryczały dzieci: te młodsze ze strachu, a starsze - że nie wolno im pobiec i popatrzeć na „czarowników i wiedźmy”.

W praktyce okazało się, że cała sprawa nie była taka straszna. No dobra, dom czy dwa się przekrzywiły, w bruku pojawiły nowe jamy (które przegrywały ze starymi zarówno głębokością, jak i ilością), a na nocne spacery po cmentarzu również wcześniej nie było specjalnie dużo amatorów. Ale sprytny burmistrz wysłał do pałacu tak rozpaczliwy i natchniony list, że Kamieniec na pół roku zwolniono z podatków, a nawet wypłacono trzysta kładni odszkodowania z królewskiego skarbcza.

Tak więc wyniki turnieju zadowolily wszystkich i zapadła decyzja o nadaniu mu dumnej nazwy „dorocznego”.

Kiedy ja i ojciec nobliwie, pod rękę, podeszliśmy do powozu, Dar już siedział w środku. W czarnym odświętnym ubraniu i białej koszuli,

wyczyszczonych butach, umyty i z dokładnie przylizanymi włosami wyglądał na prawdziwego arystokratę, czyli robił na znających go ludziach bardzo dołujące wrażenie.

- Synku, dobrze się czujesz? - zapytał ojciec z przestraczem, w jednej chwili zapominając o swoim „straszliwym” gniewie.

- Tak tatusiu - odparł Dar bezbarwnym głosem. - Jestem niezmiernie wręcz wdzięczny za troskę. Siostrzyczko, proszę, usiądź obok, jestem szczęśliwy móc cię zobaczyć.

Ojciec na wszelki wypadek dotknął jego czoła, mruknął coś ze zdziwieniem, usadowił się w karocy i zatrzasnął drzwiczki. Babcia nie pojechała z nami, wymawiając się migreną, a Witka wybrała towarzystwo przyjaciółek i narzeczonego.

Gdy tylko ruszyliśmy, po dachu zabębniły krople deszczu. Woźnica niezrozumiale zaklął i popędził konie. Kamieniec nie miał wieży pogodowej i burzowe chmury bez przeszkód płynęły nad miastem, tylko czasem (kiedy miejski mag akurat miał ochotę na spacer) skręcając w bok. Ale teraz nasz czarodziej nawet bez kontrolowania pogody miał pełne ręce roboty, a zebrani w mieście magowie byli zbyt prominentni, by odganiać chmury. Nie wspominając o tym, że okolica nie obfitowała w szczególnie malownicze widoki, więc goście woleli czekać na początek turnieju w karczmach i gospodach.

- Tato, a na pewno będzie tam baldachim? - dopytałam podejrzliwie.

- Oczywiście kochanie - zapewnił ojciec tak fałszywym tonem, że zrozumiałam, iż nie ma pojęcia. No cóż, zostało tylko kilka dni, jakoś wytrzymam...

Sądząc z pstrokatych, ruchliwych i hałaśliwych zboczy dolinki, widzowie zajmowali miejsca jeszcze w nocy i teraz bali się odejść nawet na chwilę, żeby ich nie stracić. Z czego beczelnie korzystali handlarze

obnośni, kręcący się pomiędzy ławkami i proponujący swoje towary trzykrotnie drożej niż w kramach.

Uczestnicy turnieju siadali w pierwszych rzędach: łatwiej się stamtąd zarówno wychodziło, jak i pomagało koledze, kiedy jakieś zakłęcie wyszło spod kontroli. Za ich plecami znajdowały się najbardziej honorowe i bezpieczne miejsca, zajmowane przez szlachtę. Trochę wyżej siedzieli mieszczenie i kupcy, a na samym szczycie wzgórza gęsto, wprost na trawie - żebracy i chłopi. Dolatujący stamtąd wiatr niósł wyraźny zapach kiełbasy czosnkowej i jajek na twardo.

Ku mojemu przyjemnemu zdumieniu w porównaniu do poprzedniego turnieju na tym panował znacznie większy porządek. Wtedy straż Kamieńca nie wiedziała, w co ręce włożyć, próbując równocześnie zbierać opłatę za wejście, pieczętować broń, przeganiać dzieciaki i interweniować przy bójkach kibiców, gdy tymczasem w opustoszałym mieście na całego panoszyli się rabusie.

Burmistrz uwzględnił zeszłoroczne błędy i tym razem zapewnił imprezie ochroniarzy. Nie trolli, którzy sami lubią się napić i pobić, ani ludzi, co kosztowałoby Kamieniec konkretną sumkę. Nie, spryciarz wysłał „uprzejmą prośbę” do najbliższych sąsiadów, do Dogewy. Ze niby nie możemy zaoferować pieniędzy, ale w celach umacniania przyjaźni międzyrasowej... Potrafię sobie wyobrazić, jak śmiał się władca wampirów czytając ten list. A potem odpowiedział własnym żartem: faktycznie przysłał do Kamieńca dwa tuziny Strażników, którzy w jednej chwili wybili widzom z głowy wszelką ochotę do awantur - mimo że byli cały czas promiennie uśmiechnięci i zachowywali się wyjątkowo uprzejmie. Poza tym odkąd naczelną wiedźmą Dogewy została zeszłoroczna absolwentka Szkoły, człowiek, stosunki z wampirami znacznie się poprawiły. Skoro ona jakoś sobie wśród nich radziła, to

wychodziło, że inni ludzie również mogą! Co prawda chodziły pogłoski, iż „z człowieka to z niej już dawno tylko ubranie zostało”, ale często odwiedzająca Kamieniec magiczka była żwawa i wygadana, więc mało kto w nie wierzył. Tak zachowują się tylko prawdziwe wiedźmy, gdzie tam do nich wampirom!

A oto i ona: obok „arystokratycznego” baldachimu stała złocistoruda dziewczyna, która z ożywieniem dyskutowała z trollem-najemnikiem - przerażającym, barczystym i wyższym od niej o głowę. Chyba byli bliscy tego, żeby skoczyć sobie do gardeł, ale w ostatniej chwili dogadali się, odwiązali od pasów sakiewki i zaczęli dzielić dźwięczącą zawartość małego czarnego woreczka. Sądząc z chytrych uśmiechów na ich twarzach pochodzenie monet nie było tak do końca zgodne z prawem.

- Panie Rudniczny, wyrazy uszanowania... Oo, panno Riono, pozwoli pani rączkę! - Burmistrz powitał nas ciepło. - Jaki miły chłopaczek, jak wyrósł... Zapraszam uprzejmie, tu są państwa miejsca, piąty rząd, trzecia ławka od przejścia... Jak to zajęta?! Hej, ty! Ty właśnie, drażalu z mieczem! Spadaj stąd! Jaka czapka...? Od wczoraj leżała i trzymała miejsce?! No to wsadź ją sobie w... ucho! - W ostatniej chwili ugryzł się w język, ścierając z czoła pot wymieszany z kroplami deszczu. - I spadaj stamtąd!

Burmistrz był tak czerwony, rozczochrany i przekonujący, że barczysty zabijaka powiedział tylko pół tuzina słów i zniknął z naszej ławki - by trzy rzędy wyżej zrzucić z innej kogoś bardziej wątego.

Ku mojej uldze baldachim, chroniący przed deszczem był. (Tata spojrzał na nas z taką dumą, jakby sam go ustawiał). Ale jeśli idzie o sąsiadów, mieliśmy pecha.

Król znowu nie zaryzykował uszczęśliwienia turnieju swoją obecnością, ale w zastępstwie troskliwie wysłał premiera, co

burmistrza raczej nie ucieszyło. Ważnego gościa należało gdzieś ulokować, nakarmić, zapewnić mu rozrywkę i zwrócić do stolicy żywego, a wrogów premier miał sporo. I teraz siedział akurat za nami. Po lewej towarzystwa dotrzymywał mu Ksander Perłow, wyglądający majestatycznie mimo lekko podmokłej w deszczu brody. Po prawej nerwowo wiercił się belorski Wszechmodliciel (naczelný kapłan), bez przerwy poruszający palcami po odświętnym srebrnym krzyżu, jak pastuch po fujarce. Taka liczba konkurentów widocznie działała mu na nerwy, ale Naum, stosunki z którym ojczulek miał dość napięte, publicznie zażartował, że skoro bogowie nie będą mieli ochoty ochronić swojego ziemskiego przedstawiciela, to na ghyr on komu potrzebny. No więc musiał jechać.

Oglądanie turnieju w takim towarzystwie było porównywalne do świętowania wesela na cmentarzu. Mimo to ojciec ciepło się przywitał i zaczął uprzejmą rozmowę.

Chwilę wierciłam się na nierównych deskach, po czym spojrzałam dookoła. Na arenie trwały ostatnie pośpieszne przygotowania - chmurni młodzieńcy w czerwonych pelerynkach sprząтали śmiecie, wyrównywali piasek grabiami i nimi też odganiaли wrony, które uparcie nie wierzyły, że dziś obejdzie się bez posiłku.

- ...to jakiś koszmar - monotennie burczał pierwszy minister. - Po zakończeniu turnieju nie zostanę w waszym mieście nawet minuty! Siedemnaście zamachów w dwa dni! Strzały i noże spadają na mnie...

- Jak grad z nieba - usłużnie podpowiedział Wszechmodliciel - Zesłany przez bogów za nasze grzechy.

Porównanie niezbyt się ministrowi spodobało, więc wydał dolną wargę z jeszcze większą urazą.

- Ale przecież powierzyłem pana opiece maga bojowego. - Burmistrz próbował go pocieszyć. - Musi pan przyznać, że to znacznie pewniejsze niż strażnicy.

- Tak, za każdym razem odważnie zasłaniała mnie własną piersią - przyznał premier. - A któregoś razu nawet starła się z mordercą wręcz - wielkim, koszmarnym trollem, całym ubranym na czarno! - szkoda, że udało mu się wyrwać i uciec. Oczywiście szczerze wynagradzam jej odwagę...

Ksander nie wtrącał się do dyskusji, tylko coraz uważniej patrzył na rudą dogewską magiczkę, która siedziała za plecami ministra. Dziewczyna uparcie nie zauważała mistrza, podziwiając proporce powiewające na tyczkach.

- ...ale przecież to nie może trwać w nieskończoność! W waszym mieście działa szajka płatnych morderców albo w ogóle cała sekta - nawet noże mają jednakowe!

- A czy mógłbym na nie spojrzeć? - zapytał arcymag z ciekawością.

- Wyrzuciłam - odparła dziewczyna błyskawicznie. - Były zatrute.

- Faktycznie, prawdziwy koszmar - westchnął Ksander.

Ku ogromnej uldze rudej rozległy się fanfary. Na środek areny wyszło trzech magów w odświętnych szatach, którzy w imieniu Rady Konwentu powitali kolegów i widzów, znacząco życzyli wszystkim powodzenia i ogłosili otwarcie turnieju. Następnie powoli przeszli z powrotem do ławek - zgodnie z zasadami w trakcie turnieju czarować mogli jedynie uczestnicy, bo pod koniec powietrze nad areną i tak iskrzyło od magii.

Pierwsze kilka pojedynków minęło spokojnie - ani z areny, ani z widowni nikogo nie trzeba było znosić. Co prawda na jednego z widzów spadła zdechła kaczka, która nieostrożnie przelatowała nad walczącymi

magami, ale wzbudziła tylko radość i została natychmiast schowana do torby.

Dar był tak cichy i smutny, że po pół godzinie zaczęło nas to poważnie niepokoić. Nawet kiedy Mikoł Kaznodzieja (Magowie zwykle otrzymują swoje przezwiska od miejsc, w których się urodzili albo stali sławni. Na przykład Mikoł spędzał dzień przed bitwą samotnie, na modlitwach, a przy spotkaniu z pomrokami zawsze pytał, czy nie chcą pokajać się, uwierzyć w Najwyższych i przyjąć komunię świętą. Na razie żadna się nie zgodziła, ale mag nie tracił nadziei) głupio wystawił „oddech zimy” przeciwko „wodnej włócznie” i mocno oberwał soplami po karku, mój brat tylko pokręcił głową z niezadowoleniem i westchnął.

– Czego się wygłupiasz? - Uszczypnęłam go w łokieć.

Dar z godnością cofnął rękę i przygładził włosy, które zaczęły wysychać i znowu sterczały na boki.

– Nie wygłupiam się. Zrozumiałem, że wasze pretensje są słuszne, zawstydzilem się, pokajałem i uznałem, że zacznę nowe, porządne życie. Więc możecie się cieszyć i dziękować bogom za tę wspaniałą zmianę.

– Dobrze sobie, cieszyć! Ojciec już prawie dostał zezna od spoglądania w twoim kierunku. Zachowuj się normalnie.

– A co z tego będę miał? - zainteresował się Dar.

– Dobrze sobie! - obruszył się tato, który podsłuchiwał. - A czego chcesz?

– Znaczący... eee... - Dar coś podliczył na palcach. - Dwa srebrzy.

– Ach ty szantażysto! Żebyśmy za twoje psoty jeszcze mieli dopłacać?!

– W takim razie możecie dalej cieszyć się mną w nowej postaci. - Brat ponownie się nadał i demonstracyjnie odwrócił w kierunku areny.

Ogłoszono kolejną parę: Karissa Łabska przeciwko Kiwerowi Różańskiemu, młodemu, ale tak bardzo obiecującemu magowi, że kiedy wkraczał do wsi, chłopci zaczęli pilnie zamykać córki w komorach, a żwawe wdówki przeciwnie, wybiegały do furtek. Zresztą czarował też nieźle, więc walka miała szansę być ciekawa.

- A może wystarczy jeden? - zaproponował ojciec po chwili wahania.

Brat majestatycznie zignorował tak poniżającą propozycję.

Dokładnie otuliłam się cienką wełnianą narzutką. Daszek podejrzenie łopotał, wydymając się na przemian do środka i na zewnątrz.

- Chmury płyną od Szakkary - z niezadowoleniem zauważył Ksander, zerkając na niebo. - Wiatr już od paru dni się nie zmieniał.

- Z tą Szakkarą ostatnio same problemy. - Pierwszy minister drgnął, jakby mu ktoś nadepnął na odcisk. - Gdybyśmy mieli normalną flotę...

- Proszę się cieszyć, że oni nie mają normalnej floty - podstępnie zauważył Wszechmodliciel.

- Proszę mnie nie rozśmieszać - parsknął premier wzgardliwie. - Szakkarczycy są handlarzami, a nie wojownikami. Na widok statków bojowych sami skoczą za burty tych swoich rybackich łupinek!

- Mają dobrych magów - przypomniał Ksander gwoli sprawiedliwości. - I dużo źródeł magicznych. Na morzu jeszcze dalibyśmy radę z nimi walczyć, ale nie sposób wylądować na wyspie bez znacznych strat.

- Bzdura! - odparł minister zapalczywie. - Zarekwirować wszystkie statki handlowe, załadować balistami, posadzić na każdym po trzy tuziny wojowników i kilku magów... Proszę tylko spojrzeć, ile ich tu marnuje czas na bzdury...

Ksander skrzywił się i ponownie spojrzął na rudą. Wnioskując z pełnego zrozumienia uśmiešku magiczki kolejny zamach czekał premiera natychmiast po wyjściu z areny.

- Wojna to zajęcie okrutne i bezsensowne, niegodne prawdziwego monarchy - stwierdził pouczająco Wszechmodliciel, wyłącznie na złość ministrowi. Wszyscy doskonale pamiętali, jak przed miesiącem ten sam święty człowiek pobłogosławił oddział rycerzy na wyprawę przeciwko rozbójnikom, którzy rozplenili się w północnych lasach. Zapędził się tak, że kilku młodych giermków zasłabło, słuchając opisu nadchodzącej bitwy. - Dobro należy szerzyć rozumem, a nie mieczem.

Duchowny ze smakiem nakreślił święty znak i spojrzął na premiera z wyższością. Ten nie zawiódł, czerwieniejąc z oburzenia:

- No to ja zapraszam uprzejmie do nastawiania drugiego policzka! Proszę tylko dopilnować, żeby Terilla pana jeszcze i w tyłek nie kopnęła!

- Królowa Szakkary faktycznie zachowuje się chamsko - przyznał Ksander. - Ale...

- To delikatnie powiedziane! Na tak jawną grabież pod postacią „cła” nie pozwalali sobie nawet piraci, a tak paskudne wina i ziela nawet kontrabandyści wstydzą się wozić!

- Ale...! - powtórzył mag z naciskiem. - Jak już niejednokrotnie było to omawiane, w chwili obecnej nic nie możemy z nią zrobić. Trzeba poczekać, aż szakkarski tron zwolni się drogą naturalną. Więc nie ma sensu ciągnąć tej dyskusji, znacznie lepiej zrobimy podziwiając turniej.

- Królowa! - parsknął premier, odwracając się w kierunku areny. - Uzurpatorka i tyranka, tak to się nazywa!

Jeżeli przyznał to nawet pupilek Nauma, to sprawy na Szakkarze faktycznie wyglądały parszywie.

Chmura, od której zaczęła się cała dyskusja, podpełzła jeszcze bliżej, ciągnąc za sobą czarny tren zasłaniający połowę nieba. Na dobrą sprawę należałoby przerwać turniej i zawrócić ją z powrotem do morza, ale w tym momencie Katissa efektownie zakończyła walkę, pod przykryciem ściany ognia wysyłając w pierś Kiwera malutki podły pulsar. Ten dokładnie zgodnie z zasadami pękł o włos od koszuli, ale fala uderzeniowa odrzuciła maga na półtora sążnia, wbijając plecami w piasek, troskliwie spulchniony przez organizatorów. Ogłuszony Kiwer mógł tylko niemrawo się na nim szamotać, bezdźwięcznie otwierając usta. Magiczka triumfalnie połączyła ręce nad głową, kąpiąc się w aplauzie.

Gwałtownie ściemniało, widzowie śpiesznie zaczęli wyciągać spod ławek zwinięte płaszcze. Teraz odganianie chmury nie miało już sensu. Równie dobrze można by szturchać włóczęgią worek z wodą zawieszony dokładnie nad twoją głową. Żeby tylko wiatr odpędził ją trochę dalej, zanim zacznie się deszcz...

Kiwer poddał się, ze zmęczeniem wyciągnął nogi, podjął drżącą rękę i pokazał Katissie nieprzyzwoity gest. Aplauz zmienił się w rechot, magiczka również się uśmiechnęła, podeszła i pomogła koledze wstać.

Nieco się ociepliło i nawet rozsunałam poły narzutki. Ale nie było się z czego cieszyć: powietrze było przedburzowo ciężkie i wprost w oczach nasiąkało wilgocią.

- Rety, jak zaraz lunie! - szepnął Dar z zachwytem, na chwilę zapominając o świeżo nabytej szlachetności. - A oni nie chcą przerywać turnieju, zobacz, już wychodzi nowa para. Będzie tak samo jak w bitwie Trzech Kiosków, kiedy magowie walczyli w trakcie burzy! Fajnie, co?

- Aaa... apsik - potwierdziłam chmurnie. W gardle czułam coraz mocniejsze pieczenie, rozpełzające się w górę i w dół. - Khy-khy...

Tymczasem na arenę wyszedł tylko jeden mag, drugi okazał się mądrzejszy i nie miał ochoty powtarzać legendarnego wyczynu. W czasie gdy organizatorzy próbowali natchnąć go wolą walki (albo pozbawić jej bardziej wytrwałego czarodzieja), ponownie zerwał się wiatr. Natychmiast dostałam dreszczy i to takich, że zauważył je ojciec.

- Dość tego dobrego, odnowiony młody człowieku - powiedział zdecydowanie, klepiąc się dłonią w kolano. - Skoro tak fortunnie nabrałeś dobrych manier, to weź siostrę pod rękę i zaprowadź ją do uzdrowicielki. Zielony namiot jest dwadzieścia sążni od wejścia.

- Sześć menek. - Dar natychmiast zszedł z ceny. - I ponownie wrócę na drogę grzechu.

- Już! Riona źle się czuje.

- Tato, to w zupełności może poczekać do przerwy - zaprzeczyłam niemrawo. Zesztywniały mi plecy i zmarzły nogi, ale miałam jeszcze mniejszą ochotę, żeby wstawać i gdziekolwiek iść.

- Na pierwszym etapie i tak nie będzie już nic ciekawego. - Tata sprawdził listę uczestników na odwrotnej stronie zaproszenia. - Ta para jest ostatnia, akurat zdążycie na początek drugiej tury. Czy mam was od razu wysłać do domu?

Niestety, musieliśmy wstać i zacząć z przeprosinami przeciskać się do końca rzędu.

- Przecież jesteś bakałarzem trzeciego stopnia - burczał Dar z irytacją, bardziej wisząc na moim łokciu, niż służąc oparciem. - Byś wzięła i sama się uleczyła.

- Jestem pytią - odcięłam się. - A ty praktykiem, czyli czarodziejem na każdą okazję. Byś wziął i wyleczył ukochaną siostrę.

- Jeszcze nie mieliśmy eliksirów uzdrawiających. - Brat chwilę milczał, po czym marzycielsko dodał: - Tylko trucizny.

Napęczniały brzuch chmury nakrył już ponad połowę areny, kiedy drugi mag w końcu zgodził się wyjść pod otwarte niebo. Dar próbował stanąć w przejściu i spojrzeć na pojedynek przynajmniej jednym okiem, ale surowo szturchnęłam go w plecy.

- Riiinka, przecież sama powiedziałaś, że możesz poczekać - zaskomlał.

- Ale przecież nie na środku schodów! - Tu nie było daszku, więc musiałam przytrzymywać trzepoczący kaptur.

- Stąd nawet lepiej widać, żadne czapki nie zasłaniają.

- Ale za to wszyscy się na nas gapią.

- Daj spokój, mają ciekawsze widoki. Patrz, patrz, jak on go...?!

Kaptur uciekł mi z palców. Sam atak przegapiłam, ale jego wynik przebił najbardziej pesymistyczne oczekiwania: przeciwnik, który zdążył wystawić tarczę, potknął się, zachwiał i odbity pulsar wystrzelił w niebo.

Na widowni zapanowała taka cisza, że zaboląły mnie zęby. Nawet magowie przerwali pojedynek i wbili pełne obaw spojrzenia w chmurę. Zakłęcie burczało w jej brzuchu, jak popity mlekiem śledź. Upiecze się? Czy zaraz lunie?

- Jaśniej - szepnął Dar z rozczarowaniem.

Chmura popełzła szybciej, jak gdyby śpiesząc się, by uciec z niegościnnych okolic. Grzmoty prawie ucichły - za to mnie zaszumiło w uszach. Złapałam się za głowę, która pękała od urywków błyskawicznie przelatujących wizji.

- Rinka?

- Chodźmy stąd! - warknęłam, odganiając stojącą przed oczami mgłę.

- Dokąd?

- Gdziekolwiek, byle szybciej i dalej!

- A co się stało?

- Nie wiem. - Pytie mogą przepowiadać zarówno oddalone wydarzenia, jak i wyczuwać nadejście tych, które czekają za rogiem. Właśnie wyczuwać: wchodzenie w trans i wieszczenie o czymś, co zdarzy się w przeciągu najbliższych pięciu minut, nie ma sensu. - Ale już mi się nie podoba.

Na ławkach znowu rozpoczęło się łuskanie słonecznika. Huk głosów narastał jak morska fala.

- Upiekło się... - westchnął siedzący z boku kupiec opuszczając skórzany worek, który na wszelki wypadek rozciągał nad głową.

- Ale Riiiiin...

Grzmot runął na ziemię jak sklepienie uroczystej jaskini krasnoludów. Z chmury wyleciał piorun i jak szczupak przynętę złapał jedyne poruszające się po zboczu postacie.

Nawet nie zdążyłam się przestraszyć, a jedynie poczuć koszmarne urazę.

Rok temu podczas obrony pracy dyplomowej ja, pytia trzeciego stopnia, wpadłam w niekontrolowany trans i wywieszczyłam własną śmierć po ciosie mieczem, który otrzymam w dniu dwudziestych piątych urodzin.

Słuszność proroctwa potwierdziła komisja złożona z sześciu najlepszych star mińskich augurów i wieszczek.

I pomyliłam się.

Umarłam cztery dni wcześniej. I to zupełnie inaczej.



Pachniało kwiatami. Czerwonymi szakkarskimi liliami, które kwitły ledwo przez tydzień - ale za to jak! Wystarczyło przenieść bukiet korytarzem, żeby delikatny gorzkawy zapach wypełniał go do wieczora. A ponieważ od Szakkary do Belorii mamy trzy dni drogi morzem, a potem kilka teleportacji do Starminu (karawana kupiecka po prostu nie zdąży!), świeża lilia kosztowała tyle, co całe rozarium. Nawet bogaci ludzie kupowali je tylko na specjalne okazje: ślub, jubileusz, urodzenie pierwszego dziecka... albo pogrzeb.

Leżałam na czymś równym i sztywnym, jak na deskach. Poczucie ściskającego pierś gorsetu zniknęło, przeziębienie również, ale bosa pięty miałam okropnie zmarznięte.

„Trumna! Jestem w trumnie...!“. W panice rzuciłam się tak, że pewnie przebiłabym głową wieko - gdyby takowe istniało. I dopiero potem wpadłam na to, by otworzyć oczy. Okazało się, że po prostu leżałam na podłodze koło drzwi - jakbym próbowała resztką sił dopełznąć do progu.

Następna myśl była jeszcze bardziej dzika: rodzina zostawiła moje zimne ciało na noc w kaplicy, ale do środka wkradli się złodzieje, którzy ukradli drogą trumnę, pogardliwie wytrząsając nieboszczkę na podłogę.

Chociaż, jaka kaplica...? Zwykły pokój z łóżkiem i dywanami, jakoś tam urządzone. Kobięcy, zrozumiałam po chwili, dostrzegając toaletkę z masą zdobionych flaszeczek i puzderek z kosmetykami. Przez nieszczelnie zasunięte portiery do środka wdzierał się promyk światła.

Ciało słuchało mnie całkiem nieźle, serce również biło - i to bardzo gwałtownie. Czyli nie zostałam strzygą. Ani duchem, bo tym zęby nie szczękają z zimna. Chwilę dreptałam w miejscu, próbując nieco się ogrzać. Co mi się stało? Gdzie ja jestem? I gdzie jest cała reszta?

Nie słyszałam ani kroków, ani szelestu sukni, ale kiedy gwałtownie się odwróciłam, czując z tyłu głowy, że coś jest nie tak, zobaczyłam przed sobą niewyraźnie znajomą babę ubraną w nocną koszulę zdobioną mnóstwem koronek i kokardek. Na głowie miała gigantyczne wałki, twarz nieprzyjemną, opuchniętą, z tak kwaśną miną, jak gdyby nie tylko łyknęła octu, a wręcz żywiła się nim przez kilka ostatnich lat. Dookoła oczu ciemniały sińce rozmazanego tuszu, na górnej wardze przycupnęła brodawka.

- Dddziiiiień ddobry... - wydukałam, cofając się. Kobieta poruszyła wargami i niemrawo machnęła ręką w odpowiedzi. Stała w gigantycznej, rzeźbionej ramie i dopiero po chwili dotarło do mnie, że to... lustro.

Panna szlchetnego rodu w takiej sytuacji powinna zemdleć, ale ta sztuka nigdy nie udawała mi się wystarczająco, prawdopodobnie więc uznałam, że nie będę się wygłupiać.

I zwyczajnie wrzasnęłam.



Jeszcze parę sekund i ochryply falset baby rozniósłby szkło w drobny mak, ale nadmiar dźwięku szczęśliwie uciekł przez otwarte drzwi.

- Moja pani raczyła się obudzić? - zapytał z szacunkiem stojący w progu chłopaczek, zginając się w tak niskim ukłonie, że powstrzymała go tylko podłoga.

„Służący” - zrozumiałam i to niespodziewanie przywróciło mi panowanie nad sobą. Histeryzować w obecności służby?! Żadna Rudniczna nie upadnie tak nisko.

- Raczyłaam - potwierdziłam z kasznięciem. - A...

- Jedną chwilę, moja pani! - Chłopaczek wyskoczył za drzwi i tam ktoś w pośpiechu wetknął mu do rąk miednicę z wodą i ręcznik.

- Ty... znaczy... - Bezradnie rozejrzałam się dookoła. Oprócz łóżka i toaletki w pokoju stały dwa miękko wyściełane krzesła o wysokich oparciach, biurko na rzeźbionych nóżkach, wykładane masą perłową, trójnog, nad którym unosiła się owiana mgłą kryształowa kula, oraz regał pełen książek wymieszanych z najprzeróżniejszymi fiolkami. Na przeciwnej ścianie chaotycznie wisiało kilka mieczy i noży o wężowatych klingach. - Znaczy... postaw, gdzie zwykle.

Chłopaczek w pośpiechu padł na kolana, zwinnie władował miednicę na swój kark, podtrzymując od dołu i zastygł jak kamienny posąg.

Zatkało mnie tak bardzo, że przez kilka sekund tworzyliśmy razem kompozycję pod tytułem „Ablucja bogatej kretynki”. Służba to służba, ale gdybym odważyła się powiedzieć takiej Aniurze, że mam ochotę użyć jej jako podstawki pod miednicę (ciekawe, co w takim razie z wanną?), to po chwili miałabym naczynie założone na własną głowę.

Tymczasem dzieciak bacznie obserwował mnie spod grzywki, gotowy złapać nawet aluzję rozkazu.

Szybko i niestarannie umyłam twarz. Na ręczniku pozostały ślady tuszu, przez co poczułam się jeszcze bardziej skrępowana.

- Eee... To wszystko, możesz iść. - Złożyłam puchatą miękką materię plamami do środka i uprzejmie odwiesiłam z powrotem na szyję służącego.

I w tym momencie po raz pierwszy udało mi się go zadziwić, choć nie wiedziałam, w jaki sposób.

- Moja pani każe mi odejść? - zapytał z niedowierzaniem.

- Tak... A co? Chcesz zostać?

Może miał jeszcze jakieś obowiązki? Na przykład potrzytać szlafrok albo pościelić łóżko?

– Cokolwiek moja pani rozkaże - odrzekł służący prędyutko, złapał miednicę i jak strzała wyleciał z pokoju.

Drzwi zachwiały się tam i z powrotem. Mrugnęłam ze zdumieniem: panna służąca w skromnej zielonej sukience pojawiła się w miejscu chłopaczka tak szybko, że gdyby nie trzymała tacy z imbryczkiem i ciastkami, to uznałabym, że dzieciak się w nią zamienił.

Kolejny pełen szacunku ukłon. Na cukiernicze brzęknęła pokrywa. Służąca w jednej chwili zbiegła z przerażenia, ale widząc, że nie mam zamiaru rugać jej za „grzech”, błyskawicznie wzięła się w garść i zakrzyknęła, nakrywając do stołu.

Picie kawy minęło w kompletnej ciszy. Dziewczyna chyba nawet nie oddychała. Na pewno się nie ruszała. Smaku napoju nie poczułam i dopiero pod koniec uświadomiłam sobie, że na tacy stały dwie filiżanki. Po co? Na wypadek, gdyby w jednym przypadku utonąła mucha? Zdecydowanie nie było tu przyjęte posilanie się w towarzystwie służących. Zresztą pokojówka jakoś dziwnie zerkała na drugą filiżankę, ale kiedy złapała moje spojrzenie, natychmiast spuściła oczy.

Oczywiście darowałam sobie straszenie biedaczki opowieściami o zamianie dusz - bo jeszcze mi zaraz umrze z przerażenia. Trzeba jakoś dotrzeć do tutejszych gospodarzy i zażądać wyjaśnień od nich.

– Pan prosił przekazać, że czeka na panią w jadalni - przypomniała służąca nieśmiało, jak gdyby czytając moje myśli. Czyli to nie było śniadanie? A ja nerwowo zjadłam całe pięć ciastek i już nie byłam głodna. Zresztą, może to lepiej, słodczyce dodały mi zarówno siłę, jak i zdecydowania. Teraz już nie miałam ochoty ryczeć, tylko kląć i żądać wyjaśnień od nieznanego przestępcy.

Dziewczyna widząc, że kieruję się w stronę szafy z ubraniami, wybiegła do przodu i usłużnie otworzyła drzwiczki. O mamusiu...! Gdybym nawet złożyła do kupy wszystkie rzeczy moje, Witki i babci, to nie zbierze się nawet połowa tego co tutaj.

- Może moja pani życzy sobie suknię z paradnej garderoby? - Służąca dobiła mnie do reszty, widząc, że się waham.

- N-nie, dziękuję. Postaram się poradzić sobie z tym, co jest. - Na chybił trafił rozsunęłam wieszaki trafiając wcale przyzwoitą ciemnoniebieską sukienkę, dekorowaną bursztynem. Służąca sprawnie zasznurowała gorset, rozprostowała każdą fałdkę i zdmuchnęła każdy pyłek kurzu. Szczęśliwie ominęło mnie wybieranie pantofli - dziewczyna sama wyciągnęła je z pobliskiej szafy. Chyba każda suknia miała przypisaną własną parę i garderobiana znała je na pamięć.

Usiadłam przed toaletką i rzuciłam spojrzenie w lustro, z trudem powstrzymując ponowny wrzask. Zawałkowana baba była w tym paskudnym wieku, kiedy nazywanie jej panną jest już nieuczciwe, a babcią nieuprzejme. Na twarzy kremy i pudry jeszcze powstrzymywały atak zmarszczek, ale szyja już padła pod naciskiem przeważających sił wroga. Czarne oczka połyskiwały spod wyskubanych brwi jak u szczura, wąskie wargi odruchowo układały się w tak paskudny uśmiezek, że sama czułam strach. Zaledwie tydzień temu przeżywałam z powodu wyprysku na czole! Oddajcie mi moje ciało i zgodzę się nawet na tuzin!

- O bogowie... jestem... stara! - Nie udało mi się powstrzymać chlipnięcia.

- Moja pani doskonale wygląda - zaprzeczyła dziewczyna pochlebco. - Większość młodych dam oddałoby połowę życia, żeby tylko zrównać się z nią urodą i sukcesami w sztuce.

- W sztuce? - spytałam z niezrozumieniem.

- W sztukach - spiesznie poprawiła się służąca, ponownie błędąc. - Zarówno magicznej, jak i wojennej. A jeśli idzie o mądrość, to moja pani nie ma sobie równych!

Coraz weselej... Dobra, niech będzie, że w magicznej - w końcu mam ten trzeci stopień. Ale wojennej?! Przecież przez całe życie nie trzymałam w ręku nic ostrzejszego od noża stołowego, a na wydziale wróżbiarstwa nie ma nawet ćwiczeń z szermierki!

Dziewczyna o coś jeszcze pytała, zwinnie operując szczotką i szpilkami do włosów, ja bezmyślnie przytakiwałam obserwując, jak na głowie stopniowo pojawia się misterna fryzura. Wieńczyła ją cienka złota... korona. To dopiero mania wielkości! Dziwne, że ma tu fotel zamiast tronu.

- Moja pani, gotowe - pisnęła służąca.

Pokręciłam głową. Włosy leżały równo, pasemko w pasemko, równocześnie robiąc wrażenie nieposkromionej fali.

- Wspaniale - przyznałam ucziwie.

- Mogę już iść? - spytała dziewczyna z nieśmiałą nadzieją.

- Oczywiście... Chociaż nie, czekaj.

Służąca upuściła szczotkę i spróbowała rozłożyć się na podłodze koło niej.

- Odprowadź mnie do jadalni.

- Tak, moja pani! - Dziewczyna ucieszyła się tak bardzo, że nawet zapomniała zdziwić. Czy może uznała, że zabieram ją, by otwierała przede mną drzwi?

Za progiem był długi korytarz, jak w starmińskim pałacu, gdzie jeździłam z ojcem na doroczne bale. Przy każdym zakręcie stali strażnicy, których najpierw wzięłam za puste zbroje - zachowywali

kompletny bezruch. Zrozumiałam, że to żywi ludzie dopiero, kiedy dotarłam do schodów, a jedna ze „zbroi” skrzypnęła kolaniem.

Jadalnia okazała się pomieszczeniem niewielkim i na swój sposób przytulnym. Co prawda nie lubię wystrojów utrzymanych w bordo i czerwieni, ale doceniłam styl. Przy długim, bogato nakrytym stole - kilkadziesiąt potraw, misternie złożone serwetki, świece w złotych lichtarzach, bukiety kwiatów i nawet pływająca w czaszy lilia - samotnie siedział mężczyzna w czerwono-złotym, niedbale narzuconym szlafroku. Najpierw wzięłam go za elfa, ale przyjrzawszy się bliżej zrozumiałam, że jest człowiekiem. Chudy, długowłose brunet o czarnych oczach i delikatnych rysach twarzy, na której zdumienie błyskawicznie zmieniło się w radosny uśmiech.

- Kochanie! - Mężczyzna śpiesznie zerwał się z krzesła, by wysunąć znacznie bardziej ozdobne na drugim końcu stołu. - Nie mogłem się doczekać. Jak moja kochana żonusia spała?

- Dziękuję, dobrze - odparłam odruchowo. I to ma być mąż tej baby?! Przecież był od niej dwu jak nie trzykrotnie młodszy! Co prawda szalenie przystojny, ale ja bym omijała takiego pięknisia o smutnych oczach i modnym kłaczku brody na odległość wiorsty. W porównaniu z nim narzeczony Witki (ghyr, znowu zapomniałam, jak ma na imię!) wydawał się wręcz szczytem uczciwości.

- Proszę mi raczej wyjaśnić, jak mam to wszystko rozumieć? - zaczęłam niepewnie.

„Mężuś” zbladł, dokładnie tak jak służący przed nim.

- O co ci chodzi, moje kociątko? Twój ukochany Laien rano wrócił z twoich komnat, padł na łóżeczko i usnął, ha-ha! Przecież jesteś taka zmyślna, że człowiek nie da rady się nudzić, hi-hi! Czemu? Coś się stało? Ktoś skrzywdził moje kochanie?

Piękniś zaczął budzić we mnie wyraźną niechęć. To jego gruchanie było zdecydowanie zbyt fałszywe, nie wspominając o tym, jak uciekał spojrzeniem. Nie wątpiłam ani trochę, że coś tu śmierdziało i w żadnym razie nie powinnam temu typkowi ufać. Ale chyba faktycznie nie miał najmniejszego pojęcia o mojej zamianie. No to w takim razie, kto tu rządził?! I gdzie powinnam go szukać?

Żeby usprawiedliwić swoje milczenie, zaczęłam przyglądać się zawartości stołu, jak gdyby próbując ocenić, od czego mam zacząć posiłek. Większość potraw nie była mi znana i kompletnie nie wzbudzała apetytu, mieniąc się wszystkimi kolorami moczarów. Resztę stanowiły patery z owocami (z których połowę również widziałam po raz pierwszy), kiełbaski na patyczkach, wielka zębata ryba, która trzymała w paszczy jabłuszko i stosiki cienko krojonego chleba z jakimiś nasionkami. Z niektórych dań sterczały łyżki, z innych - szczypcy albo po prostu pęczki patyczków.

- Pozwolisz, że cię obsłużę? - „Małzonek” ponownie podszedł bliżej i pochylił się nad moim ramieniem, jak gdyby po talerz, kusząco sapiąc mi do ucha. Tchórzliwie wtuliłam się w oparcie krzesła i spełzłam w dół.

- Proszę uprzejmię, twoje ulubione! - Laien nałożył mi kopiastą porcję jakichś morskich gadów, ni to marynowanych, ni to zwyczajnie surowych i śliskich. Troskliwie przysunął sosjerkę i jednak zdołał cmoknąć mnie w szyję. Wargi miał suche i zimne, aż się wzdrygnęłam.

- Dziękuję, ale coś słabo się czuję - skłamałam, zaglądając w talerz. Stwór na samym wierzchu w odpowiedzi wyraźnie puścił do mnie oczko, ale nie zaryzykowałam proszenia troskliwego małżonka o coś innego.

- To może odłożymy wyjazd? - W oczach męża dostrzegłam pełen satysfakcji czarny błysk. - Rozkażę...?

- Tak, gdybyś mógł... - przytaknęłam z ulgą. Absolutnie nie miałam ochoty jechać nie wiadomo gdzie, sam na sam z tym typkiem.

Leien zachichotał, jak gdybym powiedziała wykwintny żart i jednym haustem opróżnił kielich z winem.

- Chyba lepiej będzie, jak wrócę do pokoju - wymamrotałam, odkładając serwetkę.

- Oczywiście, jak najbardziej! - „Mąż” ponownie skoczył do mojego krzesła jak pies do piłeczki. - Idź, odpocznij, odzyskaj siły. A wieczorem znowu zajrzę do mojego zajączka i wesoło pokicamy sobie po puchowej łączce!

- Tylko o tym marzę - wymamrotałam, z trudem powstrzymując się, by nie uciec biegiem. Szczęśliwie tym razem Laien ograniczył się do pocałunku w rękę, a kiedy spróbował dotknąć wargami nieco wyżej wyrwałam ją z nerwowym śmieszkiem.

Służąca, która doprowadziła mnie do jadalni, już dawno zniknęła. Schody widziałam, ale gdzie powinnam skręcić potem...? Za plecami usłyszałam kroki - chyba „męża” zaniepokoiło to, że stoję w drzwiach. Czyżby chciał mnie odprowadzić na „łączkę”? tego tylko brakowało! Udałam, że nic nie słyszę i trzasnęłam drzwiami wprost przed jego nosem. Albo po nosie - dźwięk wyszedł zdecydowanie soczysty. Ale Laien nie poszedł za mną i jeśli cierpiał, to w milczeniu.

Weszłam na piętro, spojrzałam na lewo, na prawo, westchnęłam z rozpaczą i jak dziecko powróżyłam na palcach. Przecież nie będę wchodzić w trans dla takiej bzdury! Okazało się, że to jeden ghyr. Miałam równie mało szczęścia do wróżb co do prorocत्व - korytarz

wyprowadził mnie do wielkiej sali, w której wisiła masa obrazów. Po drodze do jadalni na pewno jej nie mijałyśmy.

Przeszłam wzdłuż najlepiej oświetlonej ściany, z roztargnieniem ślizgając się spojrzeniem po płótnach. Pejzaże, przeważnie morskie i chyba stare. Oho, a to dzieło wyszło spod pędzla samej Lessy, znanej szakkarskiej malarki z połowy naszego wieku. Tata również miał w zamku jeden z jej obrazów, niańka nas w dzieciństwie nim straszyla.

Zresztą, tuż obok wisiła coś znacznie bardziej przerażającego. A mianowicie już znana mi baba w obfitej brokatowej sukni z trenem i masą biżuterii. Malarz chyba niedowidział, bo nie zauważył zmarszczek, znacznie powiększył jej biust, a obwód w talii za to zmniejszył. W takiej postaci „ja” wyglądałam nawet niczego sobie, chociaż paskudny uśmiezek pozostał. Czy może portret został namalowany dwadzieścia lat temu?

Ostrożnie dotknęłam płótna. Nie, farba była świeżutka, nie zdążyła nawet popękać.

- Wasza królewska mość podziwia?

Odwróciłam się z przestraczem. Szczęśliwie za plecami miałam nie Laiena, a barczystego mężczyznę około pięćdziesiątki. Również bruneta, smagłego, ale znacznie bardziej solidnie zbudowanego. Oraz niebezpiecznego, co widać było z zimnych oczu, kompletnie niepasujących do uprzejmego uśmiechu.

- T-tak - wykrztusiłam. - Płótno robi... hm... wielkie wrażenie.

- Już wasza królewska mość żałuje?

- Czego?

- Że rozkazała powiesić tego pacykarza - wyjaśnił mężczyzna ze spokojem.

- Za co?! - palnęłam głupio.

- No jak to? Ten robak ośmielił się wspomnieć o zapłacie, zupełnie jak gdyby nie wystarczył mu honor oglądania waszej królewskiej mości. - W głosie rozmówcy usłyszałam sarkazm, ale tak delikatny, że mniej przenikliwy człowiek raczej by go nie rozpoznał. - Zresztą ma wasza królewska mość rację, nie ma sensu trzymać w głowie takich drobiazgów. Porozmawiajmy lepiej o sprawach państwowych. Ma wasza królewska mość chwilę? Już przygotowałam brudnopis listu do winesskiego króla, projekt ustawy o ziemiach zdrajców, rozkaz publicznej kaźni...

- Nie-nie, jestem bardzo zajęta! - przerwałam mu w pośpiechu. - Muszę... eee...

Zacięłam się, w końcu uświadamiając sobie, skąd znam tę babę. Z portretu, tylko nie z tego, a wiszącego w królewskim pałacu: co by tam Naum z ministrami nie myśleli o szakkarskiej królowej, ale nawet wroga trzeba znać z twarzy!

Mężczyzna cierpliwie czekał, nie spuszczał ze mnie srebrzystych rybich oczu.

- ...muszę coś zrobić - zakończyłam już kompletnie bezsensownie.

Brunet wciąż z niezmaconym spokojem skinął głową.

- Cokolwiek wasza królewska mość powie. W takim razie może wieczorem? Czy lepiej jutro z rana?

- Dokładnie, z rana! - żarliwie chwyciłam się podpowiedzi. - W tej chwili... eee... nie najlepiej się czuję.

Wymówka zadziałała również tym razem. Mężczyzna uklonił się, cofnął i zniknął. O w mordę, czyli był jeszcze magiem! Nawet arcymagiem, jeśli wnioskować ze zręczności, z jaką stworzył teleport.

Poczułam chęć, żeby usiąść, a jeszcze lepiej położyć się i umrzeć, w jednej chwili zostawiając za sobą wszystkie problemy. Niespodziewanie

zrozumiałam, że nie było żadnego przestępcy, który wyrwał mnie z mojego ciała i wepchnął do obcego. Na arenie miał miejsce „tylko” wypadek, głupia zbieżność chmury, zaklęcia, pioruna, mojego kataru i może jeszcze czegoś tak samo nieistotnego - ale z osobna. Nie miałam od kogo żądać wyjaśnień i nikt nie mógł zwrócić mnie z powrotem... Zresztą, teraz byłam królową! Mogłam zorganizować kolejny magiczny turniej i chodzić tam i z powrotem przejściem w nadziei, że piorun trafi mnie drugi raz...

Roześmiałam się histerycznie i prawie nic przed sobą nie widząc ruszyłam korytarzem w przeciwnym kierunku.

Oczywiście nie pamiętałam również tego, jak wyglądają od zewnątrz drzwi do królewskich komnat. Ale po jakimś czasie odzyskałam świadomość na łóżku, miarowo kiwając się tam i z powrotem. Ścisnęłam skronie dłońmi, a w głowie huczało mi tak, jakby zamieszkał tam rój pszczół.

Okazało się też, że do drzwi ktoś natarczywie pukał i właśnie ten dźwięk wyrwał mnie z otępienia. Zanim do reszty się opamiętałam, gość miał dosyć łomotania do niezamkniętych drzwi i w progu stanęła gruba brzydka baba o tępowej twarzy, w szarej sukience służącej i fartuszk.

- Dobry - powiedziała, pociągając nosem. - Znaczący się tego... polecili mi sprzątnąć w sypialni.

- No to sprzątaj - zgodziłam się obojętnie.

Baba weszła do środka i zaczęła rozglądać się dookoła. Z jakiegoś powodu zajrzała do jednego z kątów, następnie do szafy.

- A gdzie miotła?

- Skąd ja mam wiedzieć? Przecież jesteś sprzątaczką!

- Ale mam amnezję - odparła baba bezczelnie. - Zostałam ofiarą podłego ataku magicznego, straciłam przytomność i od tamtej pory jestem kompletnie nieswoja.

- A czyja? - Odezwało się przyzwyczajenie wymiany docinków ze złośliwymi krewnymi.

- Znaczy... - Baba po chamsku poskrobała się w głowę. - To trudne pytanie. Pierwszy raz ją widzę. Ale mam takie poczucie, że jestem kimś innym, młodszym i w ogóle mężczyzną!

Wbiłam w sprzątaczkę zszokowane spojrzenie, próbując zrozumieć, która z nas zwariowała, po czym wrzasnęłam:

- Dar?!

Baba cofnęła się z przestraszeniem.

- Hej, hej, proszę trzymać ręce przy sobie! Jeszcze nic nie odpowiedziałem!

- Przecież to ja, Riona!

- Coś jakoś nie wyglądasz. - Zapędzona w kąt baba nie śpieszyła się, by odpowiedzieć na gorące siostrzane uczucia.

- A ty sam to niby co?!

- Tak, ale wiem na pewno, że ja jestem sobą! A ty jesteś jakąś babą! Tak między nami mówiąc to wyjątkowo paskudną.

- No to zapytaj mnie o coś - zażądałam gorączkowo, szarpiąc służącą za sukienkę. - Coś co wiemy tylko ty i ja.

- Uu, chytruska, a co, jak jesteś telepatką? - Sprzątaczką osłoniła się łokciami.

- Ale za to ja, kochany braciszku, poznam cię w każdej postaci! - wrzasnęłam. - Drugiego takiego nicponia nie ma na tym świecie!

- Rinka! - chlipnęła baba i w końcu padła mi w ramiona, a sekundę później obie leżałyśmy na podłodze, bo mój chudziutki braciszek

zmienił się w bardzo soczystego... soczystą...



- Tylko spójrz na ten piegowaty chłopski pysk! - wściekał się Dar, stojąc przed lustrem. - Pewnie Terilla specjalnie szukała jej po całej Szakkarze, żeby nikt nie powiedział, że ostatnia sprzątaczką jest ładniejsza od królowej. Ależ mam tępy wyraz twarzy!

- Moim zdaniem nie gorszy niż zwykle - odparłam z roztargnieniem, wsuwając z powrotem szufladę. W biurku nie było nic ciekawego. Czy raczej może nawet było, ale na przejrzenie tej kupy pergaminów potrzebowałabym całego dnia. Za to mój brat znalazł w szafie gigantyczny miecz, z którym natychmiast zapozował przed lustrem, lecz efekt okrutnie go rozczarował. - Lepiej pomyśl, co mamy teraz zrobić.

- A co tam jest do myślenia? Trzeba iść do maga. - Brat skrzywił się i poprawił obfity biust. Potem stanął bokiem i wypiął tyłek, oglądając go sceptycznie. On również nie pamiętał, skąd ma to całe bogactwo - ocknął się w biednej piwnicznej klitce, do której prawie natychmiast wpadła jakaś kobieta, nawrzeszczała na niego, wepchnęła do ręki szmatę i wysłała sprzątać królewskie komnaty - Mądrego, silnego i o dobrym sercu.

- No to możemy skreślić nadwornych - westchnęłam smętnie. - Jednego już widziałam, męski wariant Terilli. Zaufać mu... brrrr!

Przez ostatnie trzy godziny zdążyliśmy się naryczeć, wygadać i dokładnie przeszukać pokój. Jednakże albo Terilla miała schowek w jakimś innym miejscu, albo - co było nawet bardziej prawdopodobne - magicznie osłoniła go przed czarodziejami znacznie lepszymi od nas.

Inicjatorem poszukiwań był oczywiście Dar, a interesował nas artefakt, za pośrednictwem którego królowa porozumiewała się z belorskimi magami. Niestety, nasze wysiłki nie dały żadnych wyników.

- Czyli trzeba znaleźć dzikiego maga - odparł Dar beztrąsko.

- Bierzemy sieć i biegniemy do lasu? - zażartowałam chmurnie, padając na łóżko.

- Nie, do miasta. Czuję, że mają tu jakąś opozycję!

- Przy rządach Terilli? Skoro ona niewinnego malarza wieszka ot tak sobie, to jak ktoś odważy się na poważnie podnieść głowę...

- Opozycja istnieje zawsze - powiedziała pouczająco baba, lokując się koło mnie. - Tylko poziom hałasu, jaki powoduje, jest odwrotnie proporcjonalny do jej siły. Zobacz, nasza co miesiąc urządza sobie marsze protestacyjne po Starminie, śpiewa belorskie piosenki ludowe, macha flagami..., ale zarówno król, jak i lud na to leją. A szakkarska opozycja powinna być potajemna, mądra i straszliwie wściekła!

- Ale jak w takim razie mamy ją znaleźć?

- Porozmawiamy z miejscowymi. - Dar miał gotową odpowiedź na każde pytanie i na dokładkę z pięć wersji planu. - Przecież muszą mieć jakiegoś ludowego bohatera, który czyni dobro pod osłoną nocy!

- Czy ty ostatnio czytałeś za dużo bajek?

- Nie, podsłuchałem rozmowę taty z Ksanderem. W trakcie przewrotu Terilli nie udało się zabić wszystkich królewskich magów, ale zamknęła dla nich drogi opuszczenia wyspy - ma nadzieję, że wcześniej czy później ich wyłapie. Ale przecież uczciwi ludzie nie mogą siedzieć z założonymi rękoma! Na pewno po cichutku robią władzom różne świństwa.

- Kochanie!

Podskoczyliśmy i z przestraszeniem spojrzeliśmy po sobie.

- Złotko! - Laien skrobał do drzwi jak głodny szczur. - Czy mogę wejść?

- Nie! - wykrakałam ochryple. - Ja... nie jestem ubrana!

- To doskonale! - zasapał „mąż”, napierając na drzwi. Masywna zasuwa zaskrzypiała i poruszyła się w mocowaniach.

- Wybacz, skarbie, ale nie w tej chwili! - zalotnie pisnął Dar i natychmiast zacisnął usta dłońmi, żeby nie zarechotać.

Stukanie ustało. Wyobraziłam sobie zaniepokojony wyraz twarzy mężusia, przykładającego ucho do drzwi.

- Dobrze się czujesz? - spytał podejrzliwie.

- Doskonale! - potwierdził mój psotny braciszek. - Uciekaj stąd, paskudniku!

Bezsilnie pokazałam Darowi pięść - dźwięczny policzek zaniepokoiłby Laiena jeszcze bardziej.

- A przynajmniej wyjdiesz do kolacji? - „Mąż” widać pogodził się z odmową.

- Nie!

Brat zrobił oburzoną minę i dwoma palcami przebiegł po powietrzu: „Idź!”.

- Za nic! - syknęłam z desperacją.

- Dlaczego?

- Rybeńko, przestań się dąsać! - błagalnie zawołał przystojniak, ciągnąc za klamkę. - Narzuć szlafroczek i teleportuj się bezpośrednio do jadalni, a ja zamknę drzwi od środka, żeby nikt nas nie niepokoił.

- Nie chcę! Zostaw mnie w spokoju! - warknęłam, próbując po cichu skopać Dara. Brat stawiał twardy opór. Nie wiem, co pomyślał sobie Laien, ale dźwięki brzmiały wyjątkowo intrygująco.

Mężuś nie ważył się zignorować otwartego rozkazu, drżącym głosem nazwał mnie „kobietą bez serca” i poszedł sobie.

- Głupia jesteś! - powiedział Dar zirytowany, przyciskając kolana do piersi. - Mogłabyś przy kolacji ostrożnie wypytać go co i jak.

- Sam jesteś kretyn! Chyba nie myślisz, że on mnie wołał na pogaduszki!

- Też masz kogo się bać! Zagroźisz, że zmienisz go w królika i raz dwa się odczepi.

- Myślisz?

- Oczywiście! Przecież jesteś najpotężniejszym magiem na Szakkarze, a on chyba w ogóle nie umie czarować.

- Jaaasne! Przecież mi nawet świetlny pulsar wychodzi w najlepszym razie za trzecią próbą!

- Ale przecież Laien o tym nie wie! No chodź, chodź... - Brat bezwstydnie skorzystał ze swoich nowych gabarytów, dosłownie wypychając mnie za drzwi. - Ty do jadalni, a ja zejść do kuchni i pokręcę się pomiędzy służącymi.



Na początku rzeczywiście szukałam jadalni. Potem przynajmniej schodów. W tej chwili urządzałyby mnie nawet galeria obrazów, ale chyba została w innym skrzydle. Za oknami od dawna panował mrok, a w świetle pochodni wszystkie korytarze i komnaty wyglądały identycznie. Oparłam się o ścianę łapiąc oddech i myśląc, czy nie powinnam zawołać kogoś ze służby, kiedy nagle usłyszałam męski głos dolatujący zza drzwi. Histeryczne nuty mocno go zniekształcały, ale zdecydowanie należał do Laiena.

Zaklęcia użytkowe wychodziły mi znacznie lepiej od bojowych. Pośliniłam palec i przycisnęłam go do deski, po czym kilka razy z wysiłkiem obróciłam najpierw w jedną, potem w drugą stronę, i natychmiast przywarłam okiem do mokrej plamki.

Na środku ciasnego pokoiku zastawionego przyrządami alchemicznymi stał Laien, który wydawał się niezbyt podobny do porannego gagatka - rozpięta koszula, splątane włosy rozsypane na ramionach, oczy i czoło błyszcząły jak w gorączce. Na ścianie za „mężem” widniał wykrzywiony cień, długoręki i garbaty.

- Co ty żeś mi podsunał, paskudo?! - syczał mężuś przez zgrzytające zęby. - Wsypałem do butelki cały twój proszek, a potem przez bitą godzinę jak ten kretyn udawałem szaloną namiętność, żeby starucha nie zaczęła nic podejrzewać! Kiedy rano nie wyszła z pokoju i nie odpowiedziała na pukanie, gotów byłem tańczyć z radości, ale uznałem, że poczekam do wieczora, żeby rozkaz wyważenia drzwi nikogo nie zdziwił. I co widzę?! Ta ropucha, jak gdyby nigdy nic wchodzi do jadalni, patrząc na mnie tak dziwnie, że z trudem utrzymałem obiad w żołądku!

- Panie, litośści... - sepleniał podniesiony za kołnierz i od czasu do czasu energicznie potrząsany staruszek, i bez tego wyglądający dość żałośnie. - Zapewniam, że niczego nie pomyliłem... środek był jak najbardziej działający, oba szczury zdechły jeszcze przed północą...

- A ona z jakiegoś powodu doszła do siebie! I co ja mam teraz zrobić?! - Laien wypuścił alchemika i załamując ręce zaczął biegać po pokoju, wpadając na zastawione szkłem półki. Staruszek rozsądnie wcisnął się do kąta i skulił w milczący kłębek szmat. - Jak mam udawać kochającego małżonka, skoro przy jej poczuciu humoru mogę w każdej chwili dostać na deser identyczny proszek?!

Plamka wyschła i obrazek zniknął.

- Ona wszystko zrozumiała, draniu jeden! - Rozległ się brzęk. Zapewne Laien strącił coś wielkiego i delikatnego albo z nerwów po prostu rzucił nim w alchemika. - Żebyś tylko słyszał, jak ze mną rozmawiała! Jak z obcą osobą, nawet nie wpuściła do pokoju! Oo, to mój koniec...

- A doradcy? - odezwał się staruszek nieśmiało.

- A co doradcy? Oni są tylko dobrzy w szczuciu! Gdyby Terilla zdechła, to stałbym się ich panem, niechby i tylko formalnym, ale władzy starczyłoby dla nas wszystkich. Ale nie będą mnie bronili przed jej zemstą, tylko zwyczajnie poczekają na kolejnego głupka i zwrócą się do niego z tak samo „korzystną propozycją”.

Uczciwie mówiąc, nie czułam się specjalnie lepiej. Wychodziło na to, że Terilli mieli zdecydowanie dosyć nie tylko nasi ministrowie, ale też jej własni? Co za szczęście, że nikomu nie przyznałam się do „zamiany”! Na wieść o tym, że „królowa” nie może zabić nawet myszy, załatwiliby ją na miejscu. A czy w środku jest Terilla czy Riona, to żadna różnica, wystarczy, że zwolni tron. I to mało prawdopodobne, żeby dla Laiena... Chociaż może dla magów faktycznie wygodniejszy będzie król jako wspólna marionetka niż kolejna Terilla, która znowu zmusi resztę do zgięcia karków.

„Mąż” nadal płaczliwie wyklinał los i królową, ale ja poczułam, że czas stąd zniknąć. I faktycznie, ledwo skręcałam za róg, kiedy drzwi - te albo inne - otworzyły się. Przyśpieszyłam kroku, by zostawić pomiędzy nami możliwie więcej zakrętów. Uf, no i są schody! Chyba nawet te potrzebne.

Znalezienie jadalni już nie stanowiło większego problemu, a służący uprzedzająco otworzyli drzwi ledwo się do nich odwróciłam. W środku czekał stół dwa razy wystawniejszy niż ten śniadaniowy: pewnie

założenie było takie, że noce królowej są dosyć gorące i musi w związku z tym nabrać sił.

Przed przyjściem Laiena zdążyłam oskubać z mięsa dwie przepiórki i wypić kielich wina dla dodania sobie odwagi. Okazało się niespodziewanie mocne, w moim rodzinnym domu takiego nie serwowali. Ale za to, kiedy ukochany mąż ze spuszczoną głową wpadł do jadalni i wściekle trzasnął drzwiami, czekało go ciepłe powitanie.

- Wiesz, kochanie, rozmyślałam się - zagruchałam. - Może jednak zjemy razem! Siadaj, teraz ja się tobą zaopiekuję.

Laien spojrział na mnie z niemym przerażeniem. Nadal nie rozczesał włosów ani nie zapiął koszuli i teraz w pośpiechu próbował wymacać guziki.

- Oj, daj spokój! - Machnęłam ręką. - Tu przecież są sami swoi. Może wina?

Mąż złapał się podanego kielicha jak tonący brzytwy. Chyba czuła Terilla nastraszyła Laiena nawet bardziej od groźnej. Tyle dobrego, że ja sama do reszty przestałam się go bać. Czułam się trochę tak, jak gdybyśmy razem z Darem chcieli zrobić dowcip kolejnemu adoratorowi Witki, udając rodzinę strzyg, z którymi strach siedzieć w jednym pokoju, a co dopiero spędzić całe życie!

- Jak wycieczka? - spytałam przypominając sobie, że rano Laien mówił o jakimś wyjeździe.

- D-d-dobrze. - Mąż uśmiechnął się krzywo i śpiesznie upił łyk wina. - Wszystko zabraliśmy. Co prawda musieliśmy udekorować kilka gałęzi, ale cała reszta tych chamów natychmiast przestała udawać żebraków. Rzuciliśmy im na odchodnym pochodnię na wspólną stodołę, poczekaliśmy aż strzecha się zajmie i pojechaliśmy.

- A reszta domów? - przeraziłam się, wiedząc, z jaką łatwością roznosi się ogień po słomianych dachach.

- Zgaszą - odparł Laien obojętnie, otwierając ostrygę. - Albo odbudują, bo niby co mają zrobić? Za to dobrze zapamiętaj, że podatki trzeba wozić do zamku, a nie czekać, aż ktoś po nie przyjedzie. Jeszcze mnie brudne śmiecie chciały straszyć! Ze niby niedługo już będziecie ludzi męczyli, niedługo wróci prawowity król... przy pomocy nekromanty, ha-ha!

- Swoją drogą, a jak tam się ma nasza opozycja? - rzuciłam ni z gruszki ni z pietruszki.

- Koteczku, zapytaj Wiselta. - „Mąż” zmarkotniał. - On mnie nie wtajemnicza w swoje sprawy. Ale wydaje mi się, że jakby kogoś złapał, to od razu by się pochwalił.

Z rozczarowaniem zatopiłam zęby w jabłku. Teraz mam jeszcze szukać jakiegoś Wiselta. A jeśli jest on nadwornym magiem albo sprytnym dowódcą tajnej służby, to rozgryzie mnie w pięć minut.

Laien zebrał się na odwagę, usiadł bliżej i zaczął pracowicie obmacywać moje kolano pod stołem. Odsuwałam nogę póki mogłam, aż w końcu podniosłam kielich ku świecy, chwilę podziwiałam rubinowe lśnienie i puściłam do męża oczko.

- Kochanie, jak się czujesz? Brzuch cię przypadkiem nie boli? W głowie się nie kręci? - spytałam niewinnym tonem.

Przystojniak wypuścił pusty kielich, zrobił się szary i zaczął trząść.

- Co się stało, słoneczko? - mruknęłam złośliwie, patrząc jak jedną ręką łapie za żołądek, a drugą za brzeg stołu. - Czyżby trafiła ci się zepsuta ostryga?

Laien pędem wyleciał z jadalni - przerzedzić zapasy środka wymiotnego i na wszelki wypadek także przeciw zaparciom.

- Ależ wrażliwy - mruknęłam, dopijając wino. Rola okrutnej królowej podobała mi się coraz bardziej, szczególnie z tak wdzięcznym widzem. Czy może powinnam rozkazać służącym, by zanieśli do mojej sypialni parę półmisek dla Dara i tamtą miskę z cukierkami? W ostatniej chwili się rozmyśliłam i zgarnęłam wszystko sama. Kto wie, jakie proszki trafiłyby do środka po drodze!

Tak bardzo wczułam się w rolę, że przed drzwiami sypialni zatrzymałam się i z wyższością zażądałam od pustego korytarza ich otwarcia przede mną. Natychmiast skądś pojawił się usłużny chłopaczek, wykonał rozkaz, po czym poczekał na miłościwie skinienie głową i zniknął.

- Ghyr wie co - powiedziałam z uczuciem, stawiając zdobycz na stole.

Dar nadal nie wrócił, więc musiałam sama kombinować z pulsarem. Za pierwszym razem wyszedł owalny i natychmiast pękł, za drugim z jakiegoś powodu zielony i pokój natychmiast zrobił się podobny do zapleśniałego uroczyska z ponurym kudłakiem. Ale jeśli „arcymag” poprosi służącego o świecę, będzie to kompletny imriuk. Pulsar jak gdyby się przestraszył i zbladł do odcienia seledynowego, więc uznałam, że na tym poprzestane. Może przy takim świetle młodziej wyglądam? Na Dara czekałam przez kolejną godzinę.

- Nie szanują mnie tu - poinformował mnie grobowym tonem od progu. - Traktują jak słabego na umyśle, nie odpowiadają na pytania albo wyzywają i ciągle zmuszają do pracy!

- I co, udało im się?

- Jeszcze czego! - zaprzeczył z oburzeniem. - Jak tylko kucharka poszła spać, to rzuciłem kocioł i uciekłem. Ale sam fakt wykorzystywania mojej kochającej wolność osoby...

- A czy osoba się czegoś dowiedziała? - przerwałam mu.

- Aha... Ojej, cukierki!
- Najpierw „aha”, a dopiero potem „ojej”. - Wyciągnęłam miseczkę z zasięgu zachłannych łap i schowałam za plecami. Dar z westchnieniem zebrał leżącego na stole samotnego cukierka i wpakował za policzek.
- Opofyfja faftyfnie iftnieje - wymlaskał.
- I...?!
- I kieruje nią duch. - Dar z roztargnieniem, nawet nie uświadamiając sobie, z czym ma problem pstryknął palcami, poprawiając pulsar.
- Jak to?
- W zasadzie nic z tego wszystkiego nie zrozumiałem, słudzy plotkowali, więc podsłuchałem. Terilla nie zabiła szakkarskiego króla, sam umarł ze starości, a ona skorzystała z zamieszania i objęła tron. - Brat wyciągnął dłoń. Odruchowo podałam mu kolejnego cukierka. - Król bardzo się zasmucił i powstał z grobu, żeby zebrać wojsko i strącić uzurpatorkę. Co sądzisz o takiej wersji?
- Jakieś brednie - przyznałam uczciwie. - Jeżeli dusza nie zmieniała się w ducha w chwili śmierci, to nie jest zdolna, by wrócić z tamtego świata. Nawet nekromanta zdoła przywołać ją tylko na parę minut.
- I komu ty to mówisz? - skrzywił się Dar, rozgryzając schowany w nadzieniu orzeszek. - Ale wyobraź sobie ten obrazek: wojsko powstańców z wrzaskami biegnie szturmować pałac, a z przodu na białym koniu zwycięsko macha frędzlami trumna!
- A skąd tam trumna?
- Brat skorzystał z mojego zdumienia, przejął miseczkę i zaczął wybrednie w niej grzebać.
- Z królewskiego grobowca. Odważna opozycja wykazała się niesamowitą zwinnością, zmyślnością i wytrwałością, porywając go

Terilli spod nosa i uczyniła swoim duchowym przywódcą. Bo przecież bez trumny król nie da rady, duchy są sztywno przywiązane do miejsca.

- To też usłyszałeś od służących?

- Nie, to wynik pracy mojego niesamowitego rozumu. Ale... - Dar złowieszczo ściszył głos. - Chodzą pogłoski, że królewskiej trumny faktycznie nie ma w niszy! A komu ona niby potrzebna oprócz opozycji?

- Przepraszam, braciszku, ale takimi opowiastkami można tylko dzieciaki straszyć w nocy. - Otrząsnęłam się ze zdziwienia. - Jeżeli powstańcy nie mają czegoś bardziej sensownego, to ich sprawy nie stoją najlepiej.

- Najważniejsze, że w ogóle istnieją. - Dar oceniająco poruszył palcami nad miską i złapał kulkę obsypaną okruchami orzechów. - A jak tam twój zajaczek?

- Kica po kibelku - odparłam mściwie. - Wyobraź sobie, chciał mnie otruć!

- Nic dziwnego. Wszyscy chcą. Uuu, żebyś tylko słyszała, co o tobie opowiada służba! Słowo honoru, sam nabrałem ochoty, by zostać wybawicielem ludu. Za jednym zamachem pozbędę się paskudnej królowej i jeszcze nudnej siostry, co?

- Ty sobie żartujesz, a ja chodzę po ostrzu noża! - uniosłam się. - Lepiej bym spadła z tego dachu...

- Siostrą, nie mazgaj się. - Brat z wyższością poklepał mnie po ramieniu, zostawiając na pięknej sukni ślady palców wysmarowanych czekoladą. - Jutro, gdy tylko otworzą bramę, pójdę do miasta i znajdę nam sensownego maga.

- A jak nie znajdziesz?

- Rinka, ty jesteś pytia czy banshee? - zirytował się Dar. - Lepiej byś coś pożytecznego przepowiedziała. Coś w rodzaju „widzę..., WIDZĘ...!

droga..., kałuża..., zdechły kot..., trzeci zakręt od kuźni, żółty dom z dwoma kominami, należy zapukać trzy długie, dwa krótkie, hasło „czy przyjmujecie do naprawy żarna młynarskie?“, odpowiedź „król nie żyje, niech żyje jego duch!”

Brat tak żywo odmalował tani seans spirytystyczny z gapiącą się w kulę wróżką, że mimo woli się roześmiałam.

- Może powinnam jeszcze karty rozłożyć na to, czy mag jest blondynem czy brunetem?

- Też się przyda - Dar nadgryzł kolejnego cukierka, ale wykrył w środku marmoladę, skrzywił się i odłożył go z powrotem. - No weź spróbuj transu, co ci szkodzi? Będziemy mieli przynajmniej jakąś podpowiedź.

„Weź spróbuj”! - parsknęłam. - Bułka z masłem! Żeby to było takie proste... Przecież ja nie mam pojęcia, co tam zobaczę! Jeżeli z tym magiem wszystko pójdzie gładko, to jest spora szansa, że nie uda mi się wyhaczyć tego momentu. Znowu wpadnę na jakiś węzeł: huragan, powstanie, czyjaś śmierć...

- Co to za pytia, która się boi przepowiadać?!

- Ghyrowa. I nawet tego nie ukrywam - westchnęłam. - Chodź lepiej spać, bo głowa mnie boli coraz mocniej.

- Mam nadzieję, że już nie piłaś z Laienem do towarzystwa? - zaniepokoił się brat.

- Nie, zwyczajnie piłam. - Szakkarskie wino też było patriotyczne i nie lubiło swojej królowej. - Odwróć się, zdejmę suknię.

- Po co? - Dar wygodnie ulokował się na krześle, ściskając miseczkę między kolanami. - Przecież ja teraz też jestem kobietą. Możesz zaczynać. Powoli i kusząco.

Poduszka, która trafiła młodego zbereźnika w nos, wyraźnie ochłodziła jego zapędy. Z zaskoczenia upuścił miskę ze słodyczami. Schowałam się za drzwiami szafy, po omacku rozplątałam sznurówki sukni i gorsetu, zrzuciłam pantofle i z ulgą założyłam przestronną nocną koszulę.

Dar w tym czasie zdążył pozbierać cukierki i ulokować się pod kołdrą wprost w sukni.

– Zdjąłeś przynajmniej buty?

– Pończochy również! Zobacz, leżą na twojej poduszce. Hej, hej, czemu od razu na podłogę? Przecież się zabrudzi!

„Puchowa łączka” Terilli była spora, pomiędzy nami spokojnie zmieściłyby się jeszcze trzy osoby, a poduszek starczyłoby dla dziesięciu. Braciszek przez kilka minut wygłupiał się, proponując dołączyć do naszego radosnego towarzystwa Laiena i zrobić z nim wiele fajnych rzeczy, ale potem jakoś gwałtownie się uspokoił i zasnął. Prawie natychmiast zgasł pulsar, który tak w zasadzie chciałam zostawić do rana. Ale nawet nie próbowałam tworzyć nowego.

W mroku - co za świństwo! - kompletnie przeszła mi ochota na sen, a głowa nadal bolała. Po dziedzińcu miarowo chodzili strażnicy, co jakiś czas wymieniając krótkie komentarze. Przez wysokie, zaczynające się od podłogi okna zaglądał niezwykle duży księżyc otoczony różowawą poświatą. Pokój, który i bez tego był obcy i nieprzytulny, przekreśliły cienie. Ale jeśli zasłonić kotary, to będzie tylko gorzej: kompletna ciemność i urywany, złowieszczy szelest. A tak przynajmniej widziałam bladą nocną ćmę, która na przemian pełzała po suficie i zrywała się do nierównego lotu.

Więcej nic się nie działo, ale panika narastała. W końcu nie wytrzymałam i szturchnęłam głośno sapiącego brata w ramię.

- Dar!

- Mmm... - stęknął basowo, naciągając kołdrę na głowę. Uszczypnęłam go w bosą piętę.

- Pobudka, coś niedobrego się dzieje!

- Co? - Głos brata w jednej chwili się wzmacnił, a spod kołdry błysnęły ciekawskie oczy. Ot nicpoń, do Szkoły nie sposób go dobudzić, a jak jest szansa na psotę to w jednej chwili gotów do akcji!

- Nie wiem, ale im szybciej się stąd zabierzemy, tym lepiej.

- Proponujesz wyjść na korytarz? Czy od razu skakać przez okno?

Wysłuchałam się w swoje odczucia i pokręciłam głową.

- Lepiej będzie, jak się schowamy w szafie.

- Jeżeli masz kolejny atak lunatykowania... - Dar jednak wstał i na palcach przekradł się do okna. Spojrzał w dół, następnie na wszelki wypadek w górę. - Nikogo nie ma.

- Ciiii! Chodź tu!

Zagrzebani pomiędzy sukniemi jak dwa tłuste mole dokładnie przymknęliśmy drzwiczki.

- Ho-ho! - powiedział brat z emfazą i dwoma ruchami palców wpuścił do środka parę promieni księżyca.

- Trudno ci było postawić magiczny „wizjer”? Po co psuć drzwi?

- Po pierwsze, zakłęcie przebicia jest chwilowe, a patrzyłka trwała, więc inny mag mógłby ją zauważyć. Po drugie, na zewnątrz jest zbyt ciemno, żeby zauważyć dziury. A po trzecie, nie moje i mi nie szkoda!

Promyczki zniknęły - Dar przystąpił do obserwacji. Pokręciłam się, przymierzając do drzwiczek, ale ostatecznie zrezygnowałam, z obawy, że złamię palec. Ze skrępowaniem burknęłam:

- To byś może mi też wywiercił.

- Za to cztery dziury już mogą wywołać podejrzenia - orzekł brat pouczająco, nie odrywając się od wizjerów. - W końcu to szafa, a nie ser.

- I dlaczego nie udusiłam cię w kołysce? - Demonstracyjnie, urywając kilka wieszaków, odsunęłam się do ściany i stworzyłam patrzakę. Głos wewnętrzny raczej nie wyrażał sprzeciwu. A przynajmniej nie poczułam jeszcze większego przerażenia.

- O tak! - przytaknął Dar żałośliwym tonem. - Nadal pamiętam tę wykrzywioną wściekłością twarz, pochylającą się do mnie, niewinnego bezbronniego niemowlęcia. Chyba tata cię przestraszył. Ale ta koszmarna morda nadal czasem śni mi się w koszmarach...

Spadło na nas kilka kolejnych sukien. Brata nie trafiłam, ale sam stuknął głową o ścianę, uchylając się zbyt żwawo. Jeszcze raz wychowawczo szturchnęłam miękką grudę i przylgnęłam do wywalczonych dziurek. Obok rozległo się podwójne stuknięcie: Dar, ignorując niebezpieczeństwo, stworzył nowe.

Ćma natrętnie drapała szkło, próbując wyrwać się do księżyca. Ktoś na palcach przeszedł korytarzem, trzymając świecę - jej ciekawski promyk zajrzał przez szczelinę pod drzwiami. Chyba służący po prostu nie chciał niepokoić królowej - w celu zachowania spokoju własnego.

- Patrz - zachichotał Dar. - Wydaje się, że tam ktoś leży.

- Yhym...

Zmięta kołdra imitowała zarysy ludzkiego ciała. Cień od stojącej na sztorc poduszki spokojnie można było uznać za włosy, pończochę służącej, która trochę nie doleciała do brzegu łóżka - za wiszącą rękę. - Ojej... nic nie czujesz?

Brat idąc za moim przykładem przytulił do szczeliny nos.

- Pachnie spalenizną - potwierdził z niepokojem. - Może w zamku zaczął się pożar?

- Zdecydowanie za cicho na pożar... - Nie wspominając o tym, że szafa nadal wydawała mi się najbezpieczniejszą kryjówką. - Dar! To nie spalenizna! To dym od „wyroczeni!”

- Tego ziołowego śmierdziela, którego zawsze paliłaś? Fakt, a ja tu zachodzę w głowę, czemu zapach taki znajomy! Czyli w zamku ktoś wieszczy? Próbuje dowiedzieć się, jak, ha-ha, ma cię strącić z tronu?

- Poza tym on jest lekkim środkiem nasennym - wymamrotałam stłumionym głosem, przypominając sobie kroki na korytarzu. Czyli ten ktoś podpalił pęczek od świecy i mimochodem upuścił koło drzwi, licząc na to, że dym wejdzie do środka przez szczelinę. A jak złapią, to można się wytłumaczyć, że przypadkiem, bo niósł dla siebie...

- Chcą nas uśpić?! - zrozumiał Dar, cofając się od dziurek i zasłaniając nos pierwszą z brzegu suknią.

- Nie. To znaczy „wyroczenia” pomaga zasnąć albo wejść w trans, ale tylko jeśli sam tego chcesz. Jest lekiem na bezsenność... albo nadmiernie czuły sen.

- Może to Laien tak oryginalnie życzył ci dobrej nocy? - Brat z podwójnym entuzjazmem przykleił się do wizjerów.

- Zamknęliśmy zewnętrzne drzwi?

- Tak, na obie zasuwę. Sam sprawdzałem.

- A okno?

- Nie wiem... - Dar nieco się spłoszył.

Omam nie wypadliśmy z szafy, próbując dojrzeć, czy zasuwka na zakratowanej ramie jest zatrzaśnięta. Potem olśniło mnie, że mało prawdopodobne, by nocny gość miał polegać na roztargnieniu Terilli. Ona na pewno nie zapomniała przed snem pociągnąć za wszystkie klamki, a potem postawić dookoła łóżka kontur ochronny. W przeciwnym razie zginęłaby już rok temu.

I właśnie na łóżku gość się pojawił. Nieznany mag obliczył miejsce teleportacji z dokładnością do piędzi, nawet deski nie skrzyknęły. Nie czekając ani sekundy, czarna przygarbiona postać wzięła zamach i wbiła w kołdrzaną „Terillę” lśniący dziób noża. Przy powtórnym dziobnięciu z dziury wyleciała fontanna puchu, potem dwie, trzy...

Jakoś tak po dziesiątym ciosie morderca zatrzymał się. Podświetlony przez księżyc puch fruwał dookoła jego zamyślanej postaci jak aureola dookoła męczennika. Po chwili wahania gość jednym szarpnięciem odrzucił kołdrę i zaczął wymyślnie kłąć, mieszając trolle przekleństwa z ludzkimi.

Słowo honoru, ja nie drgnęłam. Dar chyba też. Pewnie wieszak przekrzywił się w czasie naszych wcześniejszych bitew i sukienka powolutku spełzała z ramiączek - póki nie spełzała do końca.

Morderca podskoczył, jakby mu ktoś w tyłek wbił strzałę. Odwrócił się i spojrzał swoim jedynym okiem na naszą kryjówkę, szczerząc zęby jak wilk. Opaska na drugim oku wydawała się czarną raną po siekierze, falujące włosy jak grzywa kudłaka zwisały po obu stronach twarzy.

Zaczęło mi brakować powietrza. Nie to, żeby się w szafie skończyło, ale zwyczajnie nie potrafiłam zaczerpnąć go zeszywniałą z przerażenia piersią.

Powoli zlazł z łóżka. Dziur w drewnie faktycznie nie zauważył, bo nie skradałby się, mając nadzieję, że złapie źródło dźwięku z zaskoczenia. Kiedy jednooki sięgnął do gałki, obiecująco cofając drugą rękę z nożem, my nie wytrzymałyśmy i wrzeszczącą kupą wypadliśmy z szafy przez drugie drzwiczki.

Widząc ośmiołapy kłęb, mężczyzna również wrzasnął i wskoczył na stół plecami do przodu. Niestety, noża nie wypuścił.

- Dzień dobry - uprzejmie powiedział Dar, jako pierwszy wyłaząc spod szmat. Myśli mordercy na widok na wpół nagiej królowej i rozczochranej bosonogiej służącej pozostały nieprzyzwoitą tajemnicą. Ale jednooki nie był głupi - w jednej chwili zrozumiał, że skoro ktoś się przed nim chowa, to musi być wystraszony. Czyli jeszcze nie wszystko stracone.

- Żegnaj się z życiem, krwiożerczy potworze! - Nóż gwizdnął koło mojego ucha i utknął głęboko w drzwiach szafy.

- I kto tu niby jest krwiożerczy?! - Zanurkowałam pod stół, z którego morderca przed chwilą zeskoczył.

- Lud Szakkary skazał cię na śmierć, a ja jestem tylko jego narzędziem! - poinformował mnie jednooki z patosem, próbując wyrwać broń z deski. Gdyby z taką samą siłą trafiła we mnie, to przeleciałaby na wylot.

Chrzęst i triumfalny okrzyk uświadomiły mi, że morderca znowu jest uzbrojony. Do tego czasu zdążyłam wleźć pod łóżko, ale przeciwnika to nie powstrzymało. Przeciskanie się pod niskim dnem dla niego było trudniejsze, ale pełznął ze zwinnością zawodowca. Nawet udało mu się ukłuć mnie w piętę, ale okrzyk zadowolenia natychmiast przeszedł we wrzask wściekłości. Po wydostaniu się spod mebla odkryłam, że Dar w pozycji „dziadek za rzepkę” trzyma mordercę za nogę. Rzepka wierzgała i klęła.

- A może porozmawiamy? - zaproponowałam, hałaśliwie łapiąc oddech. - Czy ty, młody silny mężczyzna, naprawdę podniesiesz rękę na starą słabą kobietę?

- Z ogromną przyjemnością! - warknął morderca spod łóżka jak niedźwiedź z zaśnieżonej gawry.

- Przecież mogłabym być twoją matką!

- A jeszcze mogłabyś leżeć w grobie! - But zabójcy został Darowi w rękach. Z piskiem wskoczyłam na łóżko i przebiegłam po nim do brata.

Zanim morderca zdążył mnie dogonić, Dar zastąpił mu drogę. W pokoju zrobiło się tak jasno, że zaszczypało mnie nie tylko w oczach, ale też w nosie. Dwunastolatek jeszcze nie umiał tworzyć pulsarów bojowych, ale jeśli wystarczająco nagrzać świetlno...

- Ty, zostaw ją w spokoju! - rozkazał mój brat niskim babim głosem.

- Spadaj, grubasko! - warknął rozbójnik, próbując go wyminąć. - Przecież też będziesz miała lepiej, jak ją załatwię!

- Lepiej - zgodził się Dar. - Ale honor rodziny czasem zmusza nas do robienia dziwnych rzeczy!

„Grubaska” zwinnie zadarła spódnicę i kopnęła drania pomiędzy nogi.

Nóż w końcu wypadł: za bolące miejsce odruchowo łapie obiema rękami. Cierpienie na wykrzywionej twarzy mordercy mieszało się ze zdumieniem i wręcz dziecięcą urazą: za co?!

- Fakt, to boli - potwierdził Dar ze współczuciem.

Mężczyzna zachwiał się, gotów upaść na kolana, ale zamiast tego, z jakiegoś powodu cofnął się i trafił plecami wprost na połączenie ram okiennych. Zmrużyłam oczy, czekając na ogłuszający brzęk, ale one bez przeszkód otworzyły się na zewnątrz i pechowy morderca błysnął podszwami, znikając w mroku. Krzaki zatrzeszczały, wypuszczając uciekające z desperackim miauczeniem koty.

Wysokość była dosyć solidna - z pięć sążni. Krzaki również niegorsze, coś w rodzaju naszych bzów, ale o dużych liściach i kwiatach, całkowicie zasłaniających ziemię.

- Myślisz, że go zabiliśmy? - spytałam szeptem.

- Mam nadzieję - odparł Dar krwiożerczo. - Może dla pewności powinniśmy rzucić jego śladem coś ciężkiego?

Niestety, Terilla nie nadawała się do podnoszenia ciężarów, więc mój braciszek musiał zaspokoić swoją żądzę zemsty za pomocą pustego wazonu. Nie miało to żadnego efektu - albo nie trafił, albo zamachowiec już zdążył umrzeć.

Do drzwi już łomotano, ale jeszcze nikt nie zdecydował się, żeby je wyłamać. Pewnie bali się zdążyć z pomocą. W kierunku krzaków biegła ochrona, więc śpiesznie zatrzasnęłam okno.

- Daj spokój - zauważył brat z politowaniem. - Przecież jesteś królową, jak chcesz coś wyrzucić z okna, to po prostu wyrzucasz.

Zasunęłam też portiery. Ludzie z bronią, nawet w zbrojach strażników, zaczęli poważnie mnie niepokoić.

- Ciekawe, czy Terilla miewa codziennie dwa zamachy, czy dziś jest jakieś święto?! Rocznicą śmierci króla czy coś?

- Nie sądzę, żeby dla Laiena to był istotny powód. Za to oni mogli się zakręcić...

- Kto?

- Nasza gorąco poszukiwana opozycja - rzucił Dar ze smutkiem, podnosząc nóż. Latający mu nad głową pulsar w tej samej chwili pękł i odniosłam wrażenie, że straciłam wzrok. - Którą właśnie załatwiliśmy własnymi nogami.

- Po co to zrobiłeś?

Dar sapnął z irytacją.

- Ciebie ratowałem!

- Nie, dlaczego zgasiłeś światło!

- Ono tak samo z siebie. - Dar stworzył nowego świetlika, tym razem normalnych rozmiarów, i skinął w kierunku leżącego na stole noża: - A

ja się dziwiłem, czemu ten idiota nie zabrał ze sobą miecza? Jedno machnięcie - i po głowie. Nożem arcymaga jednym ciosem ghyr załatwisz..., o ile nie jest z antaru.

Złowieszcza broń okazała się delikatną antyczną klingą, udekorowaną kamieniami szlachetnymi. Jeden brylant mistrzowi udało się wstawić nawet u nasady ostrza, w środek królewskiego znaku.

- Niczego im dla ukochanej królowej nie szkoda - szepnął Dar tkliwie i w tym momencie drzwi bez uprzedzenia wypadły. Ratownicy uznali, że czekali już dość i w pokoju na pewno jest chociaż jeden trup.

Jeden człowiek jeszcze by potrafił powstrzymać rozczarowane westchnienie, ale dwóm tuzinom to nie wyszło. Zabrzmiało tak głośno, aż miałam ochotę przeprosić za to, że przeżyłam. Służący z tylnych rzędów błyskawicznie nawiali, zebrane z całego korytarza zbroje patrzyły na mnie pytająco, ni to czekając na rozkaz, ni to oceniając, czy dadzą radę dobić. Ale ponieważ wyglądałam w najgorszym razie na nieco wymiętą, niemrawy odganiający gest wystarczył, żeby odesłać je na miejsca.

Laien rzucił się do mnie równie żarliwie, co morderca przed chwilą - i obstawiałam, że identycznymi uczuciami.

- Kochanie, co się stało?! Tak się martwiłem!

Dar uprzejmie odkaszlnął. Mąż obrócił głowę i jak gdyby napotkał spojrzenie bazyliuszka. Ostrożnie uwolniłam się z jego skamieniałego uścisku.

- Wszystko w porządku, zajączku. Wpadł tu do mnie jeszcze jeden morderca, ale my... ja już sobie z nim poradziłam.

- A... ona?! - Laien drżącym palcem wskazał babę.

Brat przestał dłubać w uchu, złapał za rąbek spódnicy i spróbował wykonać dyg. Niedźwiedziowi pewnie wyszłoby lepiej.

- Widzisz, to... eee... moja uczennica - palnęłam pierwsze, co przyszło mi do głowy. - Można powiedzieć, że przygotowuję dla siebie godną następczynię.

- Aha! - Baba zademonstrowała szczerbaty uśmiech. - Znaczący... czarujemy po trochu. Póki chłodno i pachy się nie pocą.

- Widzę - wycedził Laien. - Czyli ja się nie nadaję do tego, żeby zostać magiem, a jakaś śmierdząca sprzątaczką...

- Ale jestem mądra, oddana i mam duży potencjał - przerwał mu Dar nieśmiało.

„Mąż” spojrzał na niego jak na gadającą wesz.

- W takim razie nie ważę się wam przeszkadzać. - Laien miał chyba szaloną ochotę trzasnąć drzwiami, ale leżały na podłodze. Więc „mężus” przeszedł się po nich, waląc obcasami.

- Oho - szepnął brat z uznaniem. - Nasz zajaczek zezłościł się nie na żarty! Aż bębni łapkami. No już, pokaż mu jego miejsce!

- Jak?

- Cóż, Terilla albo wymierzyłaby mu solidnego kopniaka, albo drwiąco roześmiała się śladem.

- Ha-ha... - powiedziała niepewnie. - A może niech odchodzi w złowieszczej ciszy?

- Niech - zgodził się Dar. - Ale nie zdziw się, jak przy następnym spotkaniu dostaniesz w pierś strzałę z kieszonkowej kuszy. Takie typki albo się boją, albo gryzą.

Póki się spieraliśmy, Laien zniknął z pola widzenia, więc było już za późno, by go straszyć.

- Lepiej powiedz mi, co Terilla zrobiłaby z drzwiami?

- Mniej więcej takie coś. - Ciężki panel zaczął powoli podnosić się, jak gdyby ciągnięty na niewidocznym sznurze. Władowanie go w

wykrzywioną futrynę było trudniejsze, brat sapał, jak gdyby nie czarował, tylko prostował deski ręcznie. W końcu jego wysiłki uwieńczone zostały sukcesem: drzwi z trzaśnięciem trafiły na swoje miejsce i wypadły już po drugiej stronie. Na korytarzu zabrzmiało huczące chóralne echo, a cichnące kroki Laiena zmieniły się w szybki tupot. - A może wezwałaby stolarza. Wyłącznie z czystej złośliwości, żeby zepsuć mu nastrój.



...Statek rozkwitł na horyzoncie jak pąk szakkarskiej lilii. Czerwone płatki jego żagli były delikatnie wygięte, nad masztami niczym chmura meszek krążyły mewy, z tyłu ciągnęła się zielona łądyga fali z woskowym nalotem piany.

- ...zwrot!

- ...kolwiek zro...

- ...się!

Pokład zachwiał się pod nogami, cienki sznur oparzył palce, rękę prawie wyrwało z ramienia. Morze przeciągnęło po mnie zachłanną dłońią, w jednej chwili mocząc do nitki, ale nie zdołało porwać.

- ...zakłęcie!

- ...się!

Urywki zdań mieszały się z okrzykami ptaków, tak samo gwałtownymi i bezsensownymi. Szczypało pod powiekami, w zielonej mgłę skakała czerwona plamka, otoczona złocistą poświatą. Szybko zmrugnąć mgłę, przeciągnąć mokrym rękawem po oczach...

Ostrość widzenia wróciła. Poświata pozostała. Na korpusie i takielunku szybko zbliżającego się statku tańczyły języki płomieni,

które wypalały kanał w rzeczywistości.

Czerwony przybysz dotykał wody tylko stępką.



- Rinka!

- Mmmm...?

- Czy naprawdę nie mogłaś mnie zwyczajnie potrząsnąć za ramię? Albo delikatnie powiedzieć: „Wstawaj, kochany braciszku, już mamy ranek?” - Sądząc z płaczliwego głosu Dara, nie doczekał się takiej radości.

Z trudem rozlepiłam powieki, pod które nawet nie tyle nalano mi morskiej wody, ile nasypano piasku. A przecież wypiałam zaledwie kielich wina, chwilę skakałam z mordercą, a potem przez dwie godziny czekałam, aż stolarz osadzi drzwi na miejscu, starając się możliwie delikatnie stukać młotkiem. Nawet nie musiałam udawać Terilli - krzywiłam się całkowicie naturalnie i to tak wyraziście, że biedak cztery razy trafił się w palec.

Mój brat, nadal pod postacią straszego babiszcza, siedział na podłodze, pocierając potylicę i świdrując mnie wściekłym spojrzeniem.

- Co tam robisz?

- I ona jeszcze pyta! Zepchnęłaś mnie!

- Jak?!

- Nogami! Wrzasnęłaś, że trzeba szybko skakać, bo wszystko zaraz wyleci w cholerę i zafundowałaś mi takiego kopa, że jeszcze sążeń przejechałem po podłodze na dywaniku!

- Kłamiesz! - powiedziałam niepewnie. - Przecież siedzisz tuż przy łóżku.

- Dlatego, że się przysunąłem z powrotem! - Dar miał odpowiedź już przygotowaną.

Przeklęta „wyrocznia”! Trzeba było dobrze wywietrzyć pokój, a nie chować się za portierami.

Brat wyczytał wszystko z wyrazu mojej twarzy.

- Co, znowu tamten sen? - zapytał już spokojniej.

- Nie - odburknęłam. - Coś nowego. Statek.

- I co w nim takiego przerażającego?

- Nie w nim, tylko na nim. - Wzdrygnęłam się, jak gdyby znowu oblano mnie słoną wodą. - Pod czerwonymi żaglami płynęła śmierć, jej zapach rozlewał się w powietrzu...

Ale na Darze chmurnie natchniony ton, którym należało wygłaszać proroctwa, zrobił doskonale odwrotne wrażenie.

- Rinka! - zawył, jak gdyby bolał go ząb. - Kiedy ty się nauczysz przepowiadać coś pozytywnego?! Na przykład święto z okazji naszego powrotu. Albo moją uroczystą koronację. W najgorszym razie Laiena w samych gaciach... Chociaż nie, śmierć ma szansę być lepsza. - Mój brat spróbował wstać, ale natychmiast jęknął i złapał się za krzyż. - Chyba mam zapalenie korzonków! A przynajmniej babcia tak to opisywała. I w piersi coś kłuje - serce, prawda? To wszystko twoja wina!

- Ty lepiej miej nadzieję, że ci się okres nie zacznie - odcięłam się z urazą.

- Okres czego? - zapytał Dar z ciekawością.

Wyjaśniłam. Brat zasmęcił się do reszty.

- I co, wszystkie baby go mają?! Co za koszmar... Trzeba się szybko stąd wydostać!

- W końcu to do ciebie dotarło!

- Po prostu nie marnuję drogocennej energii na ciągłe marudzenie jak co poniektórzy - nadał się. - I jak tylko przestaniesz burczeć i kopać, to zabiorę się za tworzenie nowego planu.

- A co ci się nie podoba w starym? - spytałam ze zdziwieniem - Przecież wczoraj go tak żarliwie broniłeś!

- Tak, ale od tamtej pory to i owo się zmieniło. - Dar zerknął na okno z poczuciem winy. - Obawiam się, że jest mało prawdopodobne, by opozycja przychylnie potraktowała zabicie jednego z jej najbardziej aktywnych członków.

- Ale to był wypadek!

- Yhym - potwierdził Dar. - Tamten gościu faktycznie wypadł był. I to dosyć pechowo.

- On pierwszy zaczął! - Odrzuciłam kołdrę i po pokoju znowu zaczął krążyć puch. - Dar, musimy znaleźć dowódcę powstania i wyjaśnić, że nie mamy o co się kłócić. Sama z przyjemnością zrzeknę się tronu na jego korzyść!

- A mąż?

- Co mąż?

- Rinko, nie możesz wyjść na balkon i wydrzeć się na całe gardło „Zrzeeekam się”! - zawył brat. - Trzeba napisać oficjalne obwieszczenie, które heroldzi równocześnie odczytają na wszystkich placach. Myślisz, że doradcy ci na coś podobnego pozwolą? Jeśli powiesz im, że masz ochotę abdykować na korzyść jakiegoś losowego gościa, to po takim stwierdzeniu nie przeżyjesz nawet godziny!

- Przecież uważana jestem za najsilniejszego maga królestwa!

- No właśnie: uważana. Dlatego, że wszyscy boją się sprawdzać. Ale groźba utraty ciepłej posadki sprawi, że połączą siły i zaryzykują.

Sytuacja zaczęła wyglądać na ostatecznie bez wyjścia.

- Ja przynajmniej tylko wróżę świństwa - powiedziałam z irytacją, złączając z łożka. - A z ciebie wylatują gotowe!

- Intelpekt to straszliwa rzecz - przytaknął mój brat smętnie. - Ciesz się, że go nie posiadasz.

Zaczynając się kłótnię przerwał chłopak z miednicą. Miednicę zabraliśmy, chłopca wyrzuciliśmy za drzwi. Z usług służącej również zrezygnowałam - gorset pomoże mi zaciągnąć Dar, a włosy jakoś zepnę sama.

O dziwo, poranne odbicie w lustrze spodobało mi się znacznie bardziej niż wieczorne. Wcale nie byłam taka stara. I zmarszczek też nie miałam aż tak dużo, tylko koło oczu i na szyi. Jeśli założyć suknię z wysokim kołnierzem, to nikt nie da mi więcej niż czterdzieści lat. A włosy Terilla w ogóle miała wspaniałe, zawsze marzyłam, żeby być brunetką...

Ktoś znowu zapukał do drzwi.

- Kto tam? - spytałam ostrożnie.

- Wiselt, wasza królewska mość. - Głos okazał się nieprzyjemnie znajomy. - Czy mogę wejść?

- Kolejny zajęczek? - szepnął Dar.

Zrobiłam przerażającą minę. Czy to uchodzi, by królowa pokazywała się doradcy na wpół ubrana i rozczochrana?

Ale skoro tak pewnie puka do królewskiej sypialni, to pewnie tak...

Mężczyzna faktycznie nie okazał zdumienia, tylko przeszedł wprost do stołu. Usiadł, skrzywił się, wstał i ze wstrętem strzepnął z krzesła okruchy cukierków. Spojrzał na nóż, nawet wyciągnął rękę, ale nie dotknął go. Antar był osobliwym metalem, który bez śladu wchłaniał aktywną magię i nie działał na zamkniętą w artefaktach. Czyli strzała magiczna nie przebija tarczy z antaru, a strzała z antaru tak samo

odbije się od magicznej zbroi. Najbardziej liczyła się ilość metalu - pierścionek na palcu potrafił odbić cudze zaklęcie, ale taki sztylet jak ten na dobre odcinał od własnej mocy. Ciekawe, jakie zaklęcia miał na sobie Wiselt - zaufanie rozmówcy, ochrona przed telepatią, maskowanie niefortunnego pryszczu? Czy może zwyczajnie bał się, że skorzystam z chwili jego bezradności?

Dalej rozczesywałam włosy, ukradkiem oglądając gościa w lustrze - aż do momentu, kiedy nasze spojrzenia się spotkały.

- Wasza królewska mość wspaniale wygląda.

Odniosłam wrażenie, że to nie komplement, tylko nieprzyjemne odkrycie. Wiselt doskonale panował nad głosem i mimiką, ale zdradzało go coś nieuchwytnego, empatycznego.

- Dziękuję. - Rozczesywanie sztywnych, gęstych i prostych kosmyków było dla mnie bardzo niezwykłym odczuciem. I po co Terilla je zawija? Ja ze swoimi lokami miałam wyłącznie problemy.

- I z tą fryzurą bardzo waszej królewskiej mości do twarzy.

Uśmiechnęłam się krzywo: na razie moje sukcesy ograniczały się do równego przedziałka. Może pasowałby dziewczynie w moim wieku - nic wymyślnego, takie włosy same z siebie są najlepszą ozdobą. Ale starzejąca się królowa potrzebowała czegoś bardziej skomplikowanego i dlatego zaczęłam splatać warkocz, który miałam zamiar owinąć dookoła głowy.

Doradca z roztargnieniem rozejrzał się po pokoju, na chwilę zatrzymując wzrok na obfitym kołyszącym się tyłku sprzątaczkii. Dar zgarnął wachlarz Terilli zamiast miotełki z piór i starannie strząsał puch z królewskich rzeczy. Ten ostatni zachowywał się dokładnie tak jak powinno każde pierze - lekko zrywał do lotu, ale pozostawiony w spokoju natychmiast osiadał z powrotem.

- Jak się wasza królewska mość dziś czuje?
- Dobrze. - Przestraszyłam się, że rozmówca zaraz znowu spróbuje podsunąć mi pod nos wyroki śmierci i śpiesznie poprawiłam: - To znaczy nieco lepiej. Wie pan, noc była niezbyt spokojna...
- No tak, właśnie, straż mi zameldowała. I w zasadzie właśnie z tym do waszej królewskiej mości przychodzę. Co wasza królewska mość rozkaże zrobić ze swoim, hm, zamachowcem?
- To on żyje?! - Upuściłam szczotkę na półeczkę z flakonikami, które z kolei poleciały na podłogę.
- A co niby miało się draniowi stać? - Doradca wzruszył ramionami. - Nieco go wyleczyliśmy..., potem pouczyliśmy..., potem znowu wyleczyliśmy i wrzuciliśmy do lochów, żeby skruszał. Przed wieczorem będzie świeżutki jak ogórek, można kisić.
- Kim on w ogóle jest?
- Wiselt paskudnie zmrużył oczy.
- Czy wasza królewska mość naprawdę go nie poznała?
- A po co miałabym mu się przyglądać? Wyrzuciłam i zasnęłam z powrotem - wywinęłam się.
- Przecież to Tien.
- Jak... ach, faktycznie, Tien! - Fałszywie pokiwałam głową. - Ciekawa jestem, na co on liczył?
- Na nic. Zwykły idiota-samobójca. - Doradca wzruszył ramionami - W kieszeniach pustka, w głowie takż. Na wszystkie pytania dumnie jęczy i obiecuje, że zemszczą się za niego. Wasza królewska mość, mamy się nim zająć? Czy wasza królewska mość sama z nim „porozmawia”?
- Eee... chyba lepiej sama. Ale nieco później. Jak on w ogóle dostał się do moich komnat?

Chyba znowu zadałam jakieś niewłaściwe pytanie. Doradca chwilę się wahał, żebym dobrze zrozumiała własną głupotę i sucho odparł:

- Teleportował się. Ktoś ze służących podał magom powstania dokładną pozycję łóżka waszej królewskiej mości i jego wysokość. Prawdopodobnie ta sama osoba, która...

- ...wpakowała pod drzwi pęczek „wyroczni”?

Teraz to mnie udało się wymierzyć doradcy pstryczka w nos.

- Nie wiedziałem, że wasza królewska mość tak dobrze zna się na ziołach - powiedział powoli, jak gdyby smakując tę wiadomość. Wręcz widziałam, jak w myśli skreśla z planu zamachów pozycję trzecią, siódmą i dwudziestą czwartą.

- Oo, nie wie pan o mnie wielu rzeczy - odparłam z goryczą. - Na przykład umiem też przepowiadać. Powiedzieć panu, kiedy pan umrze?

- Nie, dziękuję serdecznie. - Wiselt uprzejmie odmówił. - Cóż, w takim razie już nie będę waszej królewskiej mości dalej przeszkadzał.

Mag uklonił się i w końcu zniknął.

- Kto to był? - Dar natychmiast podskoczył bliżej.

- Tutejszy doradca. - Schyliłam się po flakonik ze stłuczoną szyjką, z którego wyciekało coś podobnego do bordowej kaszy. Pachniało wbrew wyglądowi fiołkami. - A przy okazji naczelnik tajnej służby.

- Nieprzyjemny typek. - Dar skrzywił się. - Aż mnie plecy zaswędziały od jego spojrzenia. Dobrze go ustawiłaś, hy-hy! Pewnie uznał, że w twoim wypadku słowo się niezbyt wyminie z czynem.

Znalazłam szkatułkę ze szpilkami i zaczęłam mocować warkocz.

- Najważniejsze, że nie zaczął się mnie czepiać z papierami.

- Z jakimi? - zaniepokoił się Dar.

- Różnymi rozkazami i innymi prawami. Wczoraj próbowali mi cały stos tego podsunąć do podpisu.

Brat z namysłem poklepał się wachlarzem po dłoni.

- Nie podoba mi się to - powiedział w końcu. - Doradca, który nawet nie przypomniał królowej, że czeka na nią masa spraw..., nie zapytał dlaczego tak dziwnie się zachowuje...

- Myślisz, że mnie podejrzewa?

- Aha. Tylko jeszcze nie wie o co i wyczekuje. Nie miałaś o co go pytać?! „Ojej, a kto to, a co to było?!” - przedrzeźnił piskliwie. - Dla twojej wiadomości, bojowy arcyomag bez problemu złapałby gasnącą ramkę teleportacji i dorwał bezczelnych powstańców wprost w ich melinie. Wiselt pewnie nie potrafi sobie odpowiedzieć na pytanie, czemu tego nie zrobiłaś.

- A może pomyślał, że urządzam mu sprawdzian? - zapytałam z nadzieją.

- Wątpię - uciął Dar bezlitośnie. - Może, może... I dlaczego królową zostałaś ty, a nie ja?! Chodziliby w równych szeregach i z nostalgią wspominali stare złe czasy! Dobra, łap swój nożyk i chodźmy.

- Dokąd?

- Do opozycji! - parsknął i dodał patetycznie: - Uwięzionej, ale nie złamanej.

- Oszalałaś? Nie będę go torturować! - przeraziłam się.

- Kretynka! Oddamy mu jego własność i przeprosimy.

Spojrzałam na nóż. Wyglądał na czysty, ale kto to mógł wiedzieć, ile królowych miał na sumieniu? I w ogóle bałam się broni.

- To może ty go weźmiesz?

Dar również spojrzał w lustro, ale jedyne, na co się zdobył, to poślinienie palca i wytarcie czekoladowej obwódki dookoła ust.

- Zapomnij. Z mojej magii jest przynajmniej jakiś pożytek, a z twoją same problemy. Tylko owiń go szmatką, żeby nikt nie zobaczył.

- Jeszcze czego, królowa spacerująca ze szmatkami - burknęłam, wytrząsając ze szkatułki pozostałe szpilki. Nóż z trudem zmieścił się na ukos. - A jak znajdziemy więzienie?

Brat rzucił na mnie litościwe spojrzenie opiekunki przygłupa, otworzył drzwi i ryknął:

- Jej królewska mość życzy sobie odwiedzić więzienie!

Od ścian natychmiast oderwała się para zbroi i ulokowała z przodu oraz z tyłu jako orszak honorowy. Kroczyli tak zgodnie, że oboje z Darem mimowolnie się dostosowaliśmy i jak naprowadzany taran przemaszerowaliśmy korytarzami. Służba z przerażeniem uciekała z drogi, bogato odziani panowie kłaniali się z szacunkiem. Ja odpowiadałam pełnymi wyższości skinieniami głowy nie zaszczycając ich nawet słowem. Nikt nie miał odwagi zatrzymać tak wyraźnie gdzieś się śpieszącej królowej.

Przecieliśmy dziedziniec. Wejście do lochów znajdowało się u podnóża wieży strażniczej, po szczycie której spacerowali łucznicy. Koło okutych podrdzewiałym żelazem drzwi nastąpiła chwila zawahania - wszyscy zakładali, że Terilla ma osobisty klucz, więc strażnicy zrobili krok w bok i zamarli na baczność.

- Czego się gapisz? - warknął Dar na jednego z nich. - Nie widzisz, że jej królewska mość ma zajęte ręce?! (Spiesznie złapałam szkatułkę w obie dłonie.) - Wiesz co tam jest?

Strażnik z przerażeniem potrząsnął głową.

- Koszmarne narzędzie tortur, które mamy zamiar wypróbować! Więc lepiej będzie, jak się zakręcisz i otworzysz ten zamek.

Strażnik z wrażenia upuścił halabardę i zdarł klucze razem z pasem. Poruszone drzwi wydały z siebie taki zestaw szczęknięć, jęków i zgrzytów, iż szczerze zwątpiłam w to, że potrzebują jakiegokolwiek

zamka - pożądamy wolności więzień wolałyby wykopać łyżką podkop na dziesięć sążni, niż z takim impetem informować wszystko i wszystkich o swojej ucieczce.

Z obawą spojrzałam na znikające w mroku schody. W naszym zamku kiedyś też były lochy, ale dziadek przerobił je na piwniczkę na wino i teraz złodzieje włązili tam z własnej woli.

Ostatecznie musieliśmy powiesić na drzwiach trzy kłódki i tabliczkę „Składzik na opał”. Niestety, złodzieje woleli wierzyć kłódkom...

- Dziękuję, dalej sobie poradzimy. - Dar usłużnie pstryknął palcami, tworząc pulsar dla „zajętej” królowej. Na nasze spotkanie już śpieszył naczelnik więzienia, łysy grubas w ciemnoszarym ubraniu i czerwonych butach z wysokimi cholewkami.

- Zapraszam, wasza królewska mość, zapraszam! Może podtrzymam za łokieć, schodki dziś mokre. - Mężczyzna zachowywał się bardzo swobodnie, więc przypuszczalnie Terilla za nim przepadała. - Nieroby jedne, zamykajcie drzwi, przecież wieje!

Moim zdaniem lepiej, by wiało. W lochach niósł się zapaszek. Nie wyraźny smród, tylko lekki odorek zgnilizny, taki jak w czasie wycieczki letnim wieczorem wzdłuż lasu, kiedy nagle rozumiesz, że gdzieś w krzakach zdechł jeź. Wąchasz i niby nic nie ma - maliny kwitną, a potem wiatr nagle zawieje - i znowu...

- Jakoś tu pusto - zauważyłam, jak gdyby z namysłem. W żadnej z zakratowanych niszy po obu stronach korytarza nie było nikogo.

- A po co niepotrzebnie karmić darmożjadów? - Naczelnik chętnie podjął temat. - Słusznie wasza królewska mość zrobiła, że ich wywieszała!

Niespodziewanie uświadomiłam sobie, że jego fircykowate buty były częścią uniformu kata. A tam wisiał czerwony kołpak, założony na

rączkę wetkniętego w kłodę topora. Postawiona na środku przejścia i dobrze widoczna ze wszystkich celi wyrazista kompozycja bardzo „ożywiła” wystrój, wzbudzając w więźniach odpowiednie odczucia.

- Ale nic to, jeszcze wasza królewska mość nałapie. - Naczelnik „pocieszył” zasmuconą władczynię. - Tydzień czy dwa i znowu nie będzie gdzie szpilki wepchnąć.

- A gdzie.... eee... nowy?

- W osobnych apartamentach. - Kat znacząco puścił oczko, zatrzymując się koło drzwi na końcu korytarza. - Przecież to ważny ptaszek, wymagający szczególnej troski.

- Czyżby?

Dar mruknął z zadowoleniem - nauczyłam się zadawać pytania w taki sposób, że nie szło zrozumieć, czy królowa pyta, czy żartuje. Ale tego przekłętogo Tiena znał chyba każdy pies w okolicy, bo kat wybuchnął bulgoczącym śmiechem, nie od razu trafiając kluczem do dziurki.

Spodziewałam się ciemnej celi, ale weszliśmy do przestronnego pokoju z zakratowanym oknem w suficie, który na pierwszy rzut oka wyglądał na pracownię - dziwne drewniane podstawy, bloki, liny, narzędzia.

- Sympatyczna sala tortur - zauważył Dar ze znajomością tematu. - Przytulna. O rety, ma pan nawet „język salamandry”! To przecież rarytas... I naprawdę działa?

Kat zarumienił się jak panienka.

- Tak, regularnie smaruję go gęsim tłuszczem. Mam go jeszcze po pradziadku - co prawda niektóre zębatki rozsypały się ze starości, ale kował wykuł dokładnie takie same, zgodnie z moimi rysunkami.

- A co to jest?

- „Wilk przy przerębli” moja pani. Proszę spojrzeć, wkłada pani paluszek tutaj...

- Ojej!

- Proszę się nie bać, nic mu się nie stanie - dziura jest duża, ona tak w zasadzie nie jest przeznaczona dla palców...

Drgnąłam i odwróciłam się od zajętej parki, podchodząc do odgrozonego kratą kąta. Na początku uznałam, że w środku również jest pusto. Potem kupa szmat na podłodze poruszyła się i spojrzało na mnie znajome czarne oko otoczone sińcem. Z jakiegoś powodu w tym spojrzeniu było chyba nawet więcej rozczarowania niż nienawiści. Morderca walnął pięścią w podłogę i zaklął, i to z taką emfazą, jakbym zniszczyła dzieło całego jego życia.

- Hej, hej, nie tak głośno! - zawołał kat, kończąc znęcanie się nad biednym wilkiem. - Wasza królewska mość, mam rozpalać?

Kat skinął głową w kierunku kominka, koło którego na podstawce zamiast szczypiec i pogrzebaczy leżały zaostrzone haki różnego kształtu i długości.

- Nie, na razie po prostu sobie porozmawiamy - odmówiłam pośpiesznie.

Więzień odpowiedział sceptycznym parsknięciem.

- A pan może iść pospacerować sobie gdzieś z pół godzinki - dodał Dar.

Kat z nadzieją spojrział na „królową”, ale zrobiłam nieprzenikniony wyraz twarzy i wyszedł zgarbiony z urazą.

- Skąd u ciebie taka wiedza? - Zatoczyłam ręką dookoła, wskazując bogatą kolekcję narzędzi tortur.

- Jak to skąd? - Brat przymierzył drewniane dyby. Bardzo mu pasowały, mógłby tak zostać. - Zapomniałaś, jak w zeszłym roku

byliśmy z ojcem w Starminie na królewskim przyjęciu?

Dorośli tam się szybciotko poprzymowali, a my się znudziliśmy i poszliśmy na spacer po pałacu.

– Tak, ale ja pamiętam reliefy i ogród zimowy...

– Glina i kwiatki są wszędzie takie same. A mądry człowiek nigdy nie przegapi okazji do poszerzenia horyzontów. - Niespodziewanie Dar stojący pod samymi drzwiami kopnął je. Nie otworzyły się ani nie zadudniły, a jakby trafiły w worek z mąką, lekko się uchylając.

– Kluczyk... upuściłem - skłamał kat nieprzekonująco i osłaniając ręką ucho w pośpiechu pokuśtykał w kierunku schodów.

Ze zdumieniem spojrzałam na brata.

– Jak się dowiedziałeś?

– Dowiedziałem? Pfe! Na jego miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Szakkarska opozycja uważnie przysłuchiwała się naszej rozmowie. Robiła wyjątkowo smętne wrażenie - brudna, rozczochrana, z gęstym zarostem na czerwonej opuchniętej twarzy (jej wyraz w ogóle pominę milczeniem). Wypisz wymaluj „pracownik z zaułków”, którego pobił i obrabował ktoś silniejszy. Na miejscu ciemzonego ludu trzy razy bym się zastanowiła, czy chcę wymienić Terillę na takie coś.

– No cóż, trzeba pracować z tym co mamy - stwierdził Dar rozsądnie i postukał po kracie. - Hej, panie szanowny! Mogę prosić o chwilę uwagi?

– Bądź przeklęta! - Więzień chętnie podtrzymał rozmowę.

– Rozumiem, że jest pan nieco poirytowany...

– Żebyś zdechła, chwybo!

– Ale proszę nas przynajmniej wysłuchać...

– I tak cię dorwiemy! - Zabójca nieprzerwanie świdrował mnie spojrzeniem, jak gdyby nie zauważając, że mówi do niego inny

człowiek.

- Szczerze podzielam pana odczucia, ale tak naprawdę ta paskudna baba wcale nie jest tą, na którą wygląda. Znacząca też jest paskudna, ale nie tak bardzo...

Nasza tragiczna historia zrobiła na więźniu takie wrażenie, że przez całe trzy minuty nie klął. Ale kiedy nieco pokrzepiony na duchu brat dotarł do zdania „...i teraz potrzebujemy dobrego maga”, Tien wybuchnął sarkastycznym śmiechem człowieka, który w końcu rozumie, gdzie tkwi pułapka.

- Terillo, do reszty ci odbiło, jeśli masz nadzieję, że uwierzę w taką bzdurę. Masz ochotę złapać maga?! No to płyń do tej „swojej” Belorii, tam masz ich od ghyra!

Odskokczyłam i wyciągnięta pomiędzy prętami ręka o włos chybiła mojego gardła. Morderca jęknął z pretensją i ponownie padł na szmaciany barłóg.

- Cóż, przypadek beznadziejny - przyznał Dar ze smutkiem. - Ale dzięki za pomysł. Dobra, Rinka, rzuć mu nóż.

- Aha, tylko co jak on go rzuci z powrotem? - Z obawą przycisnęłam szkatułkę do piersi.

- Oczywiście, że rzucę - warknął jednooki. - Przecież nie jestem takim dwulicowym draniem jak ty!

- Co za kretyn! - nie wytrzymał Dar. - Przecież chcemy tylko twojego dobra! Specjalnie przynieśliśmy nóż, żebyś na złość wrogom skończył ze sobą...

- A skąd pomysł, że zamierzam popełniać samobójstwo? - obruszył się więzień.

- Widzisz tamten drobiazg? - Dar wskazał palcem metalową dumę kata. - Odniosłem wrażenie, że on jest nieco przyciasny nawet na mały

palec.

- Nie uda wam się mnie zastraszyć! - oznajmił jednooki bez szczególnego przekonania i demonstracyjnie wbił spojrzenie w ścianę.

Przygryzłam wargę. Nawet taki kretyn nie zasługiwał na śmierć od tortur. Ani na śmierć w ogóle. No i co z tego, że chciał zabić królową? Mam teraz połowę kraju powywieszać? Ale jeśli wypuszczę go z lochów, strażnicy natychmiast zameldują o tym Wiseltowi i już po nas. Ucieczki mu też nie zorganizuję - nawet jeśli uda nam się ukraść katu klucz, pozostaje problem przejścia koło uzbrojonej po zęby straży. Chyba Dar miał rację i jedynym wyjściem dla więźnia było samobójstwo. Ale jak miałabym przekazać temu uparciuchowi nóż?!

I w tym momencie zauważyłam wiszący na ścianie zwój konopnego sznura.

Brat z ciekawością (więzień również, ale dobrze to ukrywając) patrzył, jak zdejmuję go z gwoźdźca. Do jednego końca sznura przywiązałam nóż, a drugi przepuściłam przez wielką, dla szyi, dziurę w dybach, żeby zwój rozwijał się, a nie podciągał w całości. Wyciągnęłam jakieś trzy arszyny. Sznur luźno ślizgał się przez otwór, nóż mógł utknąć ale jeśli pociągnąć go parę razy, to odwróci się i wyskoczy.

Chwilę podziwiałam dzieło swoich rąk, po czym z wyższością wrzuciłam luźny koniec do klatki. Teraz więzień będzie potrzebował przynajmniej dziesięciu sekund, żeby dostać się do broni.

- Miłej zabawy.

Mężczyzna udał, że jest głuchy i ślepy.

- Zmyślne - pochwalił Dar. - A teraz zabieramy się stąd, bo mogę iść o zakład, że doradca nie omieszka sprawdzić, co tu takiego robiliśmy.

Wystarczyło, że zatrzasnęliśmy drzwi do komnaty tortur, a w środku rozległ się bardzo szybki szelest sznura.



- Co teraz? - spytałam szeptem, wchodząc po schodach.
 - Pójdziemy za złą radą i popłyniemy do Belorii - odparł Dar radośnie.
 - Ale...
 - Rinka, tak naprawdę to jest ghyrosko dobry pomysł! - Mój brat zatrzymał się w połowie schodów, podejrzliwie zerknął w kierunku drzwi wejściowych i zniżył głos. - Bo faktycznie, na plaster nam ich szurnięta opozycja? Chodź, wsiądziemy na statek i wrócimy do Kamieńca samodzielnie. A tam niech Konwent łamie głowy, jak wepchnąć nas z powrotem do naszych własnych ciał..., o ile, oczywiście, one nadal tam są.
 - A gdzie niby jeszcze mogą być?!
 - Cóż, mógł je spalić piorun. W najlepszym wypadku. - A...
 - A w gorszym, gdzie twoim zdaniem podziały się prawdziwe Terilla i służąca?
- Ta myśl nie dawała mi spokoju od wczoraj, ale starannie ją odpędzałam. Niestety, teraz, kiedy brat potwierdził moje obawy...
- I co ona twoim zdaniem zrobi, kiedy dojdzie do siebie w cudzym ciele? - ciągnął Dar.
 - Spróbuje wrócić do domu - przyznałam niechętnie.
 - O to-to. I lepiej, żeby nas w tym domu już nie było!
- Za drzwiami rozległ się jakiś hałas, więc przerwaliśmy dyskusję i ruszyliśmy do wyjścia. Strażnicy i zbroje stali na dawnych miejscach,

kat gdzieś zniknął. Na zamkowe podwórze jeden po drugim wjeżdżały wozy zaprzężone w woły niezwyklej dla nas ciemnorudej i długorogiej rasy. Woły muczały, wozy skrzypiały, służący, którzy wybiegli im na spotkanie, nawoływali, próbując jakoś uporządkować ten bałagan. Milczeli tylko woźnice smętnie skuleni na kozłach. Nawet kiedy wozy się zatrzymały, nikt z przyjezdnych nawet nie ruszył palcem, żeby pomóc z wyładunkiem. Nie było ani powitalnych zawołań, ani żarcików, które zwykle wymieniają pomiędzy sobą goście i gospodarze. Służący sprawnie rozplątywali sznury i zabierali przywiezione zapasy do spichlerzy. Zapachniało nawozem, dymem z wędzarni, świeżym pieczywem. Po dziedzińcu przejechał Laien na czarnym rumaku. Pochylił się złapał z kosza bułkę. Ugryzł raz, upuścił i ruszył do bramy. Woźnica spojrzął za nim i splunął. Siedzący obok dzieciak ruszył się, by podnieść bułkę, ale mężczyzna przytrzymał go za ramię.

Chyba za żadną z tych rzeczy Terilla nie płaciła.

- Czego on chce? - zapytał Dar ze zdziwieniem. Spojrzałam za siebie. Kat, który wyglądał zza rogu wieży, dawał Darowi jakieś znaki. Widząc królewską uwagę, stracił animusz i schował się.

- Może chce powiedzieć o czymś ważnym? - zasugerowałam z nadzieją. - A mnie się boi?

- Gdyby miał dobre wiadomości, to pewnie by się nie bał - burknął brat, ale oczy już mu połyskiwały z ciekawości. - Wiesz co, eee, wasza królewska mość, czy mogę na chwilę odejść?

- Idź - pozwoliłam. Spojrzałam na ochronę i dodałam: - Ale tylko na chwilę! Bo ja... chcę ci coś zlecić.

Dar uśmiechnął się ze zrozumieniem - nie tchórz, siostrzyczko, przecież się na ciebie nie rzucą, jak tylko zniknę z widoku! - i szerokim męskim krokiem, od którego energicznie chwiało mu się to i owo z

przodu i z tyłu, ruszył w kierunku rogu. Strażnicy jak zaczarowani odprowadzili go spojrzzeniami.

- Wasza królewska mość.

Drgnęłam z zaskoczenia i słysząc intonację. Wiselt, który zmaterializował się za moimi plecami, jak gdyby rozważał: a czy ona na pewno nasza? I na ile królewska?

I w tym momencie poczułam przypływ złości - dokładnie jak wtedy, przy narzeczonym Witki. Niech to wszystko pójdzie z dymem, ale kto dał losowi prawo tak mnie traktować?!

Odwrociłam się gwałtownie i drżącym z wściekłości głosem syknęłam:

- Czy ciebie nikt nie uczył, jak należy stawać przed monarszym obliczem? Czy może już nie odróżniasz go od tyłka?!

Doradca zrobił krok do tyłu, a na niezmiennie beznamiętnej twarzy odmalowało się zwątpienie.

- Przepraszam waszą królewską mość. Trochę źle obliczyłem punkt wyjścia - powiedział ze skruchą.

- Ty?! - parsknęłam pogardliwie. - Masz mnie za kompletną idiotkę?

Wiselt skurczył się nawet bardziej, do pełnego szacunku półukłonu.

- Co też wasza królewska mość mówi, jakże można! Ale już drugi dzień wasza królewska mość opuszcza poranne narady, a papiery...

- Sam się tym zajmij. Mówisz jakbyś nigdy nie podrabiał mojego podpisu!

- Przysięgam, ja...

- A ja mam ważne sprawy - ucięłam. - Które kompletnie nie są twoją sprawą. Czy naprawdę nie masz lepszych rzeczy do roboty niż szpiegowanie mnie? Lochy już zwolniłam z darmozjadów, może powinnam to samo zrobić z pałacem?

- W-wasza królewska mość...
- Kysz porządkować te swoje papierki!

Chyba znalazłam właściwy ton. Doradca bez słowa zniknął, promieniując rozczarowaniem, a nawet lekką obawą. Spojrzałam w kierunku strażników. Ci przez cały ten czas wydawali się nie oddychać, a teraz również zmrużyli oczy. Wyglądało na to, że królowa miała w zwyczaju rozładowywanie gniewu na pierwszym, kto się nawinie. Ale w tym momencie ciężkim truchtem wrócił do nas zasapany i zaczerwieniony Dar, więc strażnicy odetchnęli z ulgą.

- I czego on od ciebie chciał?

- Jakiś zboczeniec - wypalił brat z oburzeniem, tak wściekle wycierając dłoń o fartuch, jak gdyby ubrudził się krowim plackiem. - Wyobraź sobie, dał mi lilię!

Wyobraziłam i paskudnie zachichotałam:

- A przynajmniej mu podziękował... aś?

- Nie, wysłałam na ghyr i walnęłam lilią - szkoda, że to nie była róża! - po zbereźnym pysku. A on się na to uśmiechnął jeszcze szerzej i powiedział, że konie, więźniowie i panny tylko zyskują od temperamentu!

Dar spojrzał do tyłu, spłonął rumieńcem i spiesznie uciekł pomiędzy mnie a strażnika. Kat ponownie wyglądał zza rogu. Na twarzy miał wypisany zachwyty.

Majestatycznie przeszliśmy z powrotem do królewskich komnat. Brat obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem, z jakiegoś powodu zmierzył piędzią i kazał się rozbierać, po czym gdzieś zwiął. Wrócił dość szybko z naręczem samodziałowych szmat tego samego myszatego koloru jak jego sukienka.

- Masz, wyjdiesz z zamku udając służącą.

Ze wstrętem pomacałam sztywną, kłującą tkaninę.

– A nikt jej nie będzie szukał?

– Nie. - Brat zbył moje obawy machnięciem ręki. - Wyjąłem z brudnego prania.

Wyjaśnienia nie były potrzebne, nos już poinformował mnie, że w tym ubraniu bardzo długo pracowano w upale, roznosząc pomyje świniom.

– Czego się krzywisz? - zapytał Dar z urazą. - Ciało i tak nie należy do ciebie, nawet jak złapiesz jakieś liszaje, to leczyła się będzie Terilla.

– Czyli jak przyładuję babie w łeb, to się na mnie nie obrazisz? - zasugerowałam z nadzieją.

– Oczywiście, że nie. - Brat usłużnie pochylił głowę. - Ale miej na uwadze, że ona może oddać. I absolutnie nie będzie to moja wina!

Wymierzyłam mu kuksańca i starając się nie oddychać założyłam sukienkę. Zakrywała kostki oraz fakt, że buty trzymały mi się na nogach tylko dzięki napchanym do środka szmatom.

– A co mam zrobić z twarzą?

– Zawiaż szal - poradził Dar, potrząsając czymś mechatym i bezkształtnym.

– W taki gorąc?!

– Czemu nie? Może cię uszy bolą.

– Aha, i przy okazji zęby, nos i gardło - burknęłam, otulając się po same oczy.

– Kretynko, zdejmij pierścionki! - Dar połapał się w ostatniej chwili. - Lśniesz jak diamentowa żyła.

Spojrzałam na ręce. Faktycznie, na każdym palcu miałam jeden albo dwa, a na środkowym nawet trzy pierścienie. Dobrane kompletnie bez gustu, jak gdyby kramarka z targu dorwała się do skarbcza i włożyła

wszystko jak leci, byle tylko możliwie grube i z jak największymi kamieniami. Ale Terilla przecież nawet sukienki miała rozwieszane według kolorów, nie wspominając o obuwiu w odpowiednim odcieniu...

- Dar, jesteśmy idiotami. Pół dnia straciliśmy szukając w sypialni schowka z artefaktami... - Wpakowałam bratu pod nos wachlarz z palców.

- Hola! - zszokowany Dar dorwał się do nich jak dziecko do zabawki.
- No rzeczywiście, aż ciepłe od magii! Nie mów, że kompletnie nic nie czułaś?!

- Nie. Pierścionki jak pierścionki, nie przyglądałam się. Jeśli królowa w nich nawet spała, to była przyzwyczajona do ciągłego magicznego tła, jak do czegoś całkowicie naturalnego. Prędzej by zauważyła, gdyby któryś spadł.

- Chodź sprawdzimy jak działają?

- Nie ma czasu. - Cofnęłam ręce. - I nie warto ich również zdejmować, możliwe, że nadal żyjemy tylko dzięki tym artefaktom. Nie wspominając o tym, że Terilla ma zbyt zadbane ręce jak na służącą, spójrz tylko na te paznokcie. Daj, raczej czymś owinę.

Na korytarz wychodziłam ze sporą obawą, ale dworacy uznawali zwracanie uwagi na służbę za rzecz poniżej swojej godności, a inni służący nie odważali się zadawać pytań na oczach państwa. Nie wspominając o tym, że po zamku już zdążyła rozejść się wieść o nowej królewskiej faworytce, więc na Dara patrzono z obawą. Mnie koło niego prawie nikt nie zauważał.

Na zewnątrz czekała nas nieprzyjemna niespodzianka: brama była zamknięta, a koło niej stali wartownicy. Nie żeby jakoś specjalnie uważni czy nie do przejścia - jeden gryzł jabłko, a drugi leniwie kręcił

mieczem, gimnastykując nadgarstek. Ale nieznanym kobiecie z zasłoniętą twarzą na pewno nie przepuszczą.

- Czyli to tak?! - szepnął Dar i pociągnął mnie na przeciwny koniec dziedzińca, do wozów. Już zostały rozładowane i teraz woźnicy czekali, aż służba wyniesie puste worki i beczki.

- Ile miałeś koszy, pięć czy sześć? - natrętnie wypytywał klucznik, próbując połapać się w notatkach na pergaminie.

- A co to za różnica? - burknął gorzko woźnica.

- Porządek musi być! Przecież dla ciebie, głupola, się staram.

- On się stara... - Mężczyzna cmoknął na woła, który próbował złapać mnie za rąbek sukienki. - Pieniądze zabrali, ale oddali sakiewkę. Łaskawcy...

- Idź się poskarż królowej - odciął się klucznik, nie patrząc woźnicy w oczy. - Ja tu tylko wykonuję rozkazy.

- Ja też wykonuję, ale nie wyhodowałem takiego brzuszyska.

- Czyli pięć - zeźlił się jego rozmówca, dał znak służącemu i przeszedł do sąsiedniego wozu.

- Matka będzie nas rugać - odezwał się nieśmiało synek woźnicy. - Przecież ładowali sześć.

- Co to za różnica? - powtórzył chłop z jeszcze większą beznadzieją w głosie. - W następnym miesiącu nie zbieramy nawet czterech.

- I co się wtedy stanie?

Woźnica w milczeniu zmierzwił synowi włosy.

- Skarbie, chcesz cukierka? - zaproponował Dar ze słodkim uśmiechem truciciela, wyciągając z kieszeni fartuszka cudem ocalałego karmelka.

Dzieciak speszył się i przytulił do ojca.

- Nie potrzebujemy waszych poczęstunków - odburknął tamten.

- Dlaczego? Przecież ja z dobrego serca, myślę sobie niech chociaż małemu radość sprawię, skoro mnie samej... - Niespodziewanie Dar wykrzywił twarz i załkał, chowając twarz w uniesionym fartuszk.

- Hej, babo, co ci? - przeraził się woźnica. - Stało się coś?

Baba zbyła go gestem, nadal rozpaczając.

- Synek, weź od niej tego cukierka! - nakazał mężczyzna w pośpiechu. Dzieciak głupi nie był i natychmiast wpakował zdobycz za policzek. - A ty, biedaczko, siadaj - tutaj, pomiędzy nami...

„Pomiędzy” nie było dobrym pomysłem - kiedy będąca mocno przy kości baba usiadła na koźle zostało tam miejsce wyłącznie dla dziecka. A potem nawet ono musiało zeskoczyć: Dar zaczął jak prawdziwa płaczka chwiać się z boku na bok rozpaczając:

- Oj bieda, oj bieeeedaaa... Moją siostrzyczkę... młodszą... królowa zazarowaaała!

- Jak to?! - jęknął zszokowany chłop.

- No a taaak... Rinka jej nocnik upuściła, a Terilla, niech będzie przeklęta, jak nie szcęknie zębami, to siostrze w tej samej chwili świński ryj wyrósł, a na nogach kopyta!

Nie wytrzymałam i kwiknęłam.

Woźnica spojrział na mnie z przerażeniem i współczuciem, a malec z zachwytem.

- Nic to, jeszcze jej się upiekło. - Chłop pokrzepiająco poklepał Dara po rękę. - Mówią, że sprzątaczkę Terilla w ogóle głowy pozbawiła, jak zobaczyła kurz w jakimś rogu.

- No gdzieeee upiekło! A jak ona teraz ma żyć z taką hańbą? Z zamku ją wypędziili, narzeczony rzucił, cała służba się śmieeeeje... Tamten wąsacz w ogóle groził, że na szaszłyk przerobi, bo ona mu kiedyś odmówiłaaaa... - Dar wskazał podbródkiem w kierunku lewego

strażnika. Ten nadal dźgał powietrze mieczem, złowieszczo uśmiechając się do jakichś swoich myśli. - Teraz się boimy do bramy podejść, a królowa nakazała, „co by przed nocą ani smrodu tu po niej nie było”!

Chłop spojrzał i zgrzytnął zębami.

- To chodź schowamy twoją siostrę pod koszem! - zaproponował z odwagą człowieka, który nie ma nic do stracenia.

- A nie będą ich przeszukiwać? - Dar nieufnie pociągnął nosem.

- Po co? I tak wszystko co mogli to zabrali... - zasmęcił się mężczyzna. - Pustych wozów nigdy nie sprawdzają. Zaraz klucznik skończy rewizję i zaczną wypuszczać. Chowaj się szybko, póki nikt nie patrzy!

Chłop pomógł mi wejść na wóz, podtrzymując pod łokcie. - Wyraźnie bał się dotykać owiniętych szmatami dłoni. Ale chęć, żeby przynajmniej jakoś dociąć Terilli i jej sługusom, przeważała.

Zgięłam się w precla, po czym założono na mnie kosz. Miałam wrażenie, że plecionka jest zbyt rzadka, ale Dar zapewnił, że z zewnątrz nic nie widać. Na dnie kosza na wszelki wypadek usiadł dzieciak.

- A ty, kochana, lepiej wyjdź na własnych nogach - zaproponował woźnica ze skrepowaniem. - Żeby nie ściągać na nas uwagi.

- Dobra - zgodził się Dar. - Skłamię, że mnie królowa wysłała. I niech tylko spróbują nie wypuścić!

Nie wątpiłam, że mój brat zdolny jest ogłupić strażników do tego stopnia, że zaczną się modlić, by w końcu zostawił ich w spokoju. Nadal pamiętam, jak zapalał „przyjaźnią” do poprzedniego narzeczonego Witki, złapał go w rogu salonu i gwałtownie kaszląc i drapiąc się zaczął litanie skarg na stołecznych medyków, którzy mało tego, że nie potrafią powiedzieć, na co jest chory, to jeszcze zakazują zabaw z przyjaciółmi.

Po dziesięciu minutach narzeczony również zaczął się drapać, a po kolejnej pół godzinie zniknął na zawsze. Co prawda Witce również się nie podobał, więc za cały spektakl zapłaciła Darowi pięć srebrów.

Wóz gwałtownie ruszył. Koła zastukały po kamieniach dziedzińca. Zaparłam się w pręty wszystkim, czym tylko mogłam, ale nadal rzucało tak, jakbym była kością do gry w kubku. Łomotanie, skrzypienie, muczenie oraz okrzyki przeszły w jednolity ogłuszający hałas. Przez szczeliny widziałam tylko burty wozu i nogi chłopaczka. Pręty najpierw smacznie, a potem mdląco zalatywały cynamonem - w życiu już go nie wezmę do ust.

Silne wstrząsy przeszły w drobną trzęsawkę, powodując, że zaszczękały mi zęby. Dużo bym dała, by móc przytrzymać szczękę ręką, ale niestety obie miałam zajęte. Chyba wóz wjechał na złożony z bali most nad fosą. Potem na odchodnym wierzgnął i ruszył płynnie jak kaczka, która w końcu dokolebała się do sadzawki. Pod kołami zaszeleściła wydeptana ziemia.

- Hej, gospodarzu, nie podrzucisz?

- Czemu miałbym nie podrzucić? - Woźnica chętnie dołączył do gry. - Siadaj, babo!

Dar gramolił się jak bajkowy niedźwiedź do bezpieczeństwa chatki. Usłyszałam skrzypienie i poczułam, że chylimy się na prawą burtę, ale wóz wytrzymał.

- Posiedź tam jeszcze trochę - syknął brat, opierając się o kosz. - Z przodu i z tyłu mamy wozy, trzeba poczekać, aż się rozjedziemy.

- A gdzie chcecie się dostać?

- Do portu - odrzekł Dar po chwili wahania.

- Nie. - Chłop potrząsnął wodzami. - Tam nie zawiozę. Daleko i żona się zmartwi. Same dojdziecie w dwie trzy godziny, mieszkam w Białej

Puszczy.

- Aha - zgodził się brat, na pewno nie mając pojęcia co to takiego i gdzie się znajduje, ale z tonu woźnicy wniosując, że chwilowo mamy po drodze.

- Pewnie uznaliście, że sobie stąd odpłyniecie i tyle? - Chłop zaśmiał się tak, jakby wyspiarze nie wierzyli w życie za granicami wyspy, uważając naszych kupców za coś w rodzaju duchów morskich albo w ogóle iluzji.

- No, weźmiemy i odpłyniemy - powiedział Dar niepewnie.

- Och, kobieto, nie wspominaj o tym nawet! Jakbym mógł, to bym sam dawno przewiózł rodzinę do Winessy. Bywałem tam za młodu, podobało mi się: ziemia urodzajna, ludzie dobrzy choć hałaśliwi. Ale z tymi łowcami... Czy ty tak na poważnie? - zapytał mężczyzna podejrzliwie, odwracając się do pasażerki.

- Nie, nasz brat mieszka w porcie - zaprzeczył Dar. - Zostawię mu siostrę i wrócę.

- Słusznie - przytaknął uspokojony woźnica. - Koło morza łatwiej się wyżywić: nałapać ryb, nazbierać muszelek, z przyjezdnymi coś wymienić na bursztyn. A tam tylko czekać, aż się stary król do Terilli dobierze...

- Duch?

- No i co z tego? Lepszy duch niż strzyga. Może on w ogóle podatki odwoła - bo na plaster duchowi złoto? - rozmarzył się chłop. - Przepiórek nie jada, stuletnich win nie pija, futer i błyskotek też mu nie trzeba ani remontu zamku, bo duchy to bardziej lubią ruiny...

- A co z gospodarką? - obruszył się Dar, zapominając, kim i gdzie jest - W sensie za co ma niby wojsko utrzymywać czy drogi mościć?

- I tak wyjdzie połowa tego, co było. - Woźnica się nie spierał. - I jedna dziesiąta dzisiejszych podatków. Gospodarka mówisz! I skąd ty jesteś taka mądra? Z Belorii czy jak?

Dar milczał, ale zgadywałam, że wyglądał na mocno zagubionego.

- Akcent masz jakiś obcy, od razu słyszeć. Jak Terilla. - Mężczyzna odkaszlnął i splunął za burtę, czyszcząc usta po przeklętym imieniu.

- To ona też jest Belorką? - zdumiał się Dar.

- Aha, Starmińska Szkoła Magii ją przysłała. Niby do pomocy królowi - nie temu obecnemu, tylko jeszcze jego ojcu. Ale on szybko tę żmiję rozgryzł i jak zaczęła pokazywać zęby, to wygonił. Wtedy jeszcze nie była z niej taka potężna czarodziejka, bała się z nowym naczelnym magiem zadzierać. A jak się ciepła posadka zwolniła, to wróciła, paskuda jedna...

Szakkarczycy faktycznie mieli akcent bardziej miękki i delikatnie przeciągali „a”. Wyobraziłam sobie, jak zareagowałby Wiselt, gdyby rodowita Szakkarka nagle dostała belorskiego akcentu i otarłam rękawem spocone czoło.

- W naszej wsi wszyscy są za królem - zapewnił nas woźnica z dumą. - Nie możemy się doczekać, aż wykończy królową. Najważniejsze to wywabić staruchę z zamku, a wtedy już sam ją znajdzie!

Ponownie kwiknęłam, tym razem z niepokojem. Dar uprzedzająco postukał w kosz.

- A co w zamku?

- Ha! Tam magów tłumi i jeszcze różne zaklęcia - wyjaśnił gadatliwy chłop. - Nawet duch się nie przekradnie. A za bramą pożyje sobie jej przeklęta mość równo do zachodu słońca!

Co do „się nie przekradnie” moglibyśmy się spierać. Chociaż w zasadzie woźnica miał rację, zwinność mordercy doprowadziła jedynie

do tego, że teraz mieliśmy w pałacu o jednego ducha więcej. Miałam nadzieję, że Tien zdążył do przyjscia kata. Czy może ten dureń wolał rzucić nożem w oprawcę tylko dodając sobie cierpień?

– Wyłaź. - Dar uniósł kosz.

Rozprostowałam plecy i z jękiem potarłam zeszywniałe nogi. Zamek nie zniknął w mglistej dali, ale zasłoniło go wzgórze, zza którego widać było tylko iglice. Wóz w dumnej samotności jechał wzdłuż szpaleru wierzb tak wysokich i gęstych, że mogłyby udawać las. Pomędzy liśćmi ćwierkały żółte, podobne do pliszek ptaki, zwinnie skaczące w górę i w dół po gałęziach. Po drugiej stronie drogi ciągnęła się łąka, niespecjalnie odmienna od belorskiej. Nawet koniczyny na niej rosły identyczne, białe i aromatyczne. Ale jeśli dobrze się przyjrzeć, to żółte kropki pomiędzy ich ziarenkami nie były mleciami tylko czymś w rodzaju niskich tulipanów. A poza tym na pewno nie mieliśmy takich motyli: niebiesko-zielonych, wielkości klonowego liścia.

Moja szara, ściśle opatulona postać natychmiast odebrała woźnicy ochotę do dalszych rozmów i kolejne pół godziny jechaliśmy w zupełnym milczeniu. Po prawej na przemian pokazywało się i chowało za wzgórzami i lasami górskie pasmo. Niskie, bez śniegowych czapek, ale ciągnące się na wiele wiorst.

– No i jesteśmy - poinformował nas chłop, hamując przy wjeździe do płytkiej dolinki, na dnie której widać było pstrokatą wieś - dwa albo trzy tuziny pomalowanych na biało domków, jaskrawe ogrody z kwiatami i mozaikę pól. - My na dół, a wy naprzód.

– Dziękujemy wam najserdeczniej! - powiedział Dar szczerze, zeskakując i podając mi rękę. Woźnica, roztkliwiony taką troską pouczająco nakazał synowi:

- Patrz, jak trzeba się dogadywać z siostrą! A wy się z Mitką tylko kłóćcie i walczycie, mam już dość ganiaania.

- Ale przecież one są obie baby - skrzywił się chłopak.

- No coś ty, kochany! - Dar uśmiechnął się słodko i rozczochrał mu włosy. - Uwierz mi, nie ma to żadnego znaczenia.



Do portu dotarliśmy już po południu. Słońce prażyło tak, jakby deszczowa Beloria zrezygnowała z jego usług na korzyść wyspy. Zdjęłam szal, ale bez niego błyskawicznie napięło mi głowę, więc musieliśmy się zatrzymać i godzinę poleżeć w cieniu. Potem spróbował do nas dołączyć gruby rudy wąż, ale nieprzyjemnie zdziwiony piskiem (a może oburzony uwagą „No daj spokój, wygląda na niejadowitego!”) uciekł pod kępkę trawy. Następnie kategorycznie odmówiłam ścinania drogi przez porośnięte wrzosami wzgórze, mimo że skrócenie jej o pół wiorsty było kuszące. Kilka razy wyprzedziły nas wozy, ale nie chcieliśmy ściągać na siebie nadmiernej uwagi i już nie prosiliśmy o podwiezienie.

- Słuchaj, braciszku, a co z tymi opowiastkami o duchu? - wysapałam. O ile suche plecy wełniana sukienka tylko lekko kłuła, o tyle spocone bezlitośnie gryzła. - Wierzysz, że on poluje na Terillę?

- Nieee. Niby co taki duch jej może zrobić? Pokazać straszną minę? Doprowadzić do zawału nudnymi jękami? Jakby to jeszcze był zombiak... Swoją drogą, doskonała teoria! Któryś z magów-powstańców podniósł króla z grobu - właśnie po to go wykradli! - i dławi przy jego użyciu wrogów ojczyzny, robiąc wrażenie na ufnych chłopach.

- W takim razie czemu wszyscy mówią właśnie o duchu?

– Cóż, „niespokojna dusza” brzmi jakoś tak szlachetniej niż „żywy trup”.

– Ale przecież nawet dziecko je od siebie odróżni!

– Drobiazg! Kilka zakłęb, żeby się nie rozkładał i włosy nie wyłaziły, popsikać perfumami, posmarować fosforem...

– Dar, zaraz mnie zemdli!

– No i sama widzisz, za duchem lud pójdzie chętniej.

Póki droga prowadziła pod górkę milczeliśmy, ale ledwo złapaliśmy trochę oddechu, rozpaczliwie doprecyzowałam:

– Czyli on jednak może mnie zabić?

– Bzdura - uciął Dar. - Niechaj najpierw znajdzie. Albo w ogóle się dowie, że uciekłaś z zamku. W każdym razie w nocy już nas tu nie będzie!

Do portu podeszliśmy od lewej strony, omijając nabrzeżną dzielnicę. Byłam tak bardzo zmęczona i spragniona, że port nie wywołał we mnie żadnych odczuć, prócz niemrawego „No w końcu!”. Szczególnie że niezbyt różnił się od belorskiego, gdzie razem z ojcem i Darem byliśmy już trzy razy, żeby popływać na żaglowcu znajomego wielmoży. W podkówcze zatoki jak mewy dryfowały łodzie rybackie, a przy nadbrzeżu tłumnie, niczym kury na grzędzie, stały statki, duże wymieszane z małymi. Po przystani biegali tragarze, kupcy i dzieciaki, od morza niósł się zapach słonej świeżości, a od portowej karczmy - smażonych ryb. Szczęśliwie przed lokalem biła malutka fontanna, z której zachłannie się napiliśmy, nieco odzyskując humor.

Nie na długo.

Wszyscy kapitanowie kategorycznie odmówili zabrania nas na pokład. Niektórzy wysyłali „pieszo po falach”, nawet nie wysłuchując do końca, inni z poczuciem winy uciekali spojrzeniem i mamrotali, że

chętnie by pomogli, ale nie mogą, jeszcze inni proponowali, że podwiozą do połowy zatoki, na co załoga wybuchała szyderczym śmiechem. A jeśli dalej nalegaliśmy, to wesołość zmieniała się w niezrozumienie, a śmiech w pogróżki. Pewien łowca wielorybów nawet zagroził, że strzeli w nas z balisty harpunowej, jak się zaraz nie zabierzemy. A na pytanie „dlaczego?” z przekleństwami skoczył ją ładować, więc musieliśmy uciekać.

– Może uważają kobiety na pokładzie za zły znak? - zasugerowałam, czując się kompletnie zagubiona.

– Aha... Boją się, że pobijemy się o kapitana - przytaknął Dar zgryźliwie.

Po jednym z pokładów spacerowała i pokrzykiwała na załogę wysoka baba w morskim ubraniu i chuście zawiązanej na piracką modłę. Na innym statku zauważyłam aż dwie, w skupieniu naprawiające sieci.

– W takim razie nie mam pojęcia. Ale wyraźnie się czegoś boją.

– Może to przemytnicy?

– Wszyscy jak jeden mąż?!

– Cóż, z taką królową...

– A może przeciwnie, to my nie budzimy w nich zaufania? - Krytycznie oceniłam nas z boku: dwie zakurzone, spocone, biednie ubrane baby nawet bez bagaży. Jakbyśmy uciekły z więzienia.

– Zaufanie powinny budzić pieniądze, a nie pyski - rozsądnie zauważył Dar. - Każdy normalny kapitan weźmie na pokład nawet i mrakobiesa, byleby tylko mu w kieszeni podzwaniało. Za jeden twój pierścionek można popłynąć do Belorii i z powrotem, a za resztę zrobić sobie rundkę dookoła wyspy. A oni tu nie chcą się nawet targować. -

Brat z namysłem przygryzł paznokcie, uparcie potrząsnął głową i dodał: - A skoro tak, to nic nie dostaną!



Struga uderzyła na łokieć do przodu i zaczęła z bulgotaniem pulsować. Na piersi Dara rozplýwała się ciemnoczerwona plama, na twarzy widniały bryzgi. Brat wydał z siebie stłumiony jęk i spróbował zacisnąć dziurę dłonią, ale dało to tylko tyle, że zamiast jednej strugi mieliśmy cztery, tryskające pomiędzy palcami.

- Przecież ci mówiłam, że tam jest płyn! - syknęłam mściwie.

- Ale przecież nie wino! Myślałem, że to zapasy wody na drogę.

- Co to za różnica, teraz niech wycieka.

- Tylko że ono pachnie! Cały dok prześmiardnie i robotnicy natychmiast zaczną szukać, skąd tak jedzie. - Dar jako tako zapieczętował dziurę zaklęciem i poszurał butem po piaszczystej podłodze, zacierając kałużę. Ze zwątpieniem spojrział na niby całą beczkę, ale nie poprawił, obawiając się, że zepsuje jeszcze bardziej.

- Idą! - pisnęłam, odbiegając od wejścia.

Ledwo zdążyliśmy schować się za stosem worków, kiedy wrócili tragarze, złapali naszą beczkę i potoczyli ją do wyjścia.

- Ot leszy! - szepnął Dar z rozczarowaniem. - Drugi rząd ominęli, a mnie się wydawało, że to wszystko na jeden statek. Teraz zostały tylko worki.

Ja również się zasmęciłam. O ile wstawić denko na miejsce i przytrzymać je rękoma każde z nas mogło samodzielnie, o tyle zapakować się w obwiązany dwoma rzemieniami worek już nie bardzo.

- Może spróbujesz wrócić sam? - Mój głos zadrżał.

- Za kogo ty mnie masz? - obruszył się brat. - Mam zostawić biedny lud, żeby marniał pod twoją tyranią?! A ghyr!

Głos Dara zagłuszyły znacznie bardziej malownicze przekleństwa. No czego panowie chcieli od trzeciego roku, przecież adept i tak się starał...

Tragarze w pośpiechu odwrócili beczkę dziurą do góry, ale zaniepokojone potrząsaniem wino dalej biło fontanną.

- Pewnie było zatkane korkiem, a od potrząsania wyleciał - zrozumiał jeden z mężczyzn. - Weź poszukaj na podłodze!

- Sam szukaj - obruszył się drugi odpychając kompana, który już przyłgnął do otworu ustami.

- Czy ty głupi jesteś, nie widzisz, że leci na ziemię?! - Tamten nie chciał poddać się bez walki. - Podstaw przynajmniej dłonie!

Ktoś w końcu wpadł na to, by przycisnąć strumień palcem, rozbijając go na dwa. Natychmiast zaczęła się dyskusja nad tym, czyj jest grubszy, ale już przygłuszona: spragnieni chcieli się nasycić, zanim błogosławione źródło przestanie bić. Z boku wydawali się całkiem podobni do strzyg, przyssanych do ofiary.

Niespodziewanie Dar pociągnął mnie za rękaw.

- Rinka, pędem!

- Gdzie?

- Na statek! Póki nikt nie patrzy!

I nie zostawiając mi czasu do namysłu, na paluszkach ruszył do wyjścia - chociaż obok zajętych tragarzy można by w tej chwili przeprowadzić nawet zapierającego się smoka. Dogoniłam brata już przy trapie, za którym przyjaźnie otwierała się gardziel ładowni. Na statku panował przedwyjazdowy zamęt, dokoła kręciło się nie mniej niż tuzin ludzi, ale żaden z nich nie zawołał: „Dokąd to?! Stój!”.

Wcisnęliśmy się w daleki kąt pomiędzy skrzyniami i workami, i przytuleni siedzieliśmy cicho jak myszki.

Zadowoleni i weseli tragarze dotarli na miejsce dopiero po kwadransie. Sądząc z wymienianych szeptem komentarzy jednak dobrali korek do beczki i oznaczyli dziurawą beczkę krzyżykiem, by ubarwić sobie drogę do Belorii. A tam to już można „wykryć”, że ktoś podsunął im dziurawą beczkę i część wina „rozlała się po ładowni”.

Ta wycieczka okazała się ostatnia, więc z workami i tak by nam nic nie wyszło. Ładunek głośno i skrupulatnie przeliczono sprawdzając z listą, pokrywa ładowni się zamknęła i otoczyła nas nieprzenikniona ciemność.

– Mieliśmy szczęście - szepnął brat z zadowoleniem. - Nie wynajęli robotników z portu tylko sami wszystko wnieśli. Inaczej by ktoś pilnował ładowania. No to teraz można się zrelaksować! Mało prawdopodobne, by przed dotarciem do belorskiego portu ktokolwiek nas znalazł.

Z zadowolonym westchnieniem odchylił się na beczkę, zakładając ręce za głowę.

– Trzeba będzie tu później pogrzebać i poszukać czegoś miękkiego. Chciałabym ja mieć jego nerwy!

– A co jak ci pijacy tu przyjdą w nocy z latarnią i nas zauważą?

– I co niby zrobią? Zawrócą statek?

– No, mogą pobić... - Taktownie przemilczałam, co jeszcze wściekli marynarze mogą zrobić dwóm kobietom.

Brat zbył mnie leniwym gestem.

– Jeszcze powiedz, że wywalą za burtę. Ja pokażę pulsar, ty pokażesz pierścień i sprawa załatwiona. Przecież i tak już jesteśmy na pokładzie,

prawda? No więc, dlaczego nie mieliby podwieźć dobrych ludzi za grubą kasę?

Statek drgnął. Plusk pod pokładem nasilił się, na górze coś zazgrzytało i załomotało.

– Odcumowaliśmy - ucieszył się Dar. - Ale Rinka, uważaj, jak znowu dostaniesz mdłości...

Ale nie zdążyłam. Po jakichś pięciu minutach na górze znowu rozpoczęła się bieganina, do wtóru zaniepokojonych, a nawet wyraźnie przerażonych okrzyków:

– Idzie!

– Na pewno?!

– Ale czego on chce?

– Może to nie do nas?

– Ale przecież w zatoce nikogo więcej nie ma!

I najgłośniejszy ryk, wyraźnie należący do kapitana:

– Przeszukać statek!

Skuliliśmy się z przestachem i dokładnie w tej samej chwili ktoś otworzył właz do ładowni. Kwadratowy otwór wyraźnie przypomniał mi ikonę: wianeczek z trzech mord w otoczce światła pochodni. Niestety wyraz twarzy „świętych” był daleki od miłosierdzia.

Marynarze jak lawina stoczyli się ze schodów. Znaleźli nas w mgnieniu oka. Dwóch natychmiast wykręciło Darowi ręce i nie zwracając uwagi na jego gniewne okrzyki powlekło do wyjścia. Trzeci złapał mnie za kołnierz, a czwarty spróbował ściągnąć szal, żeby lepiej obejrzeć zdobycz.

– Nie ważcie się - zapiszczałam, zasłaniając twarz dłońmi. - Jestem starą chorą...

– Na ospę! - usłużnie wtrącił Dar.

– ...kobietą!

Marynarz natychmiast zostawił szal w spokoju, ale chwyt na karku tylko się umocnił. Ledwo nadążałam z przesuwaniem nóg, żeby nie uderzać nimi o stopnie.

Na pokładzie koło wejścia do ładowni już zebrała się cała załoga. Na nasz widok wydali z siebie głośne westchnienie i zaczęli wymieniać komentarze. Niektórzy czynili znak krzyża, inni z taką samą ulgą klęli.

– Daleko jeszcze?

– Z półtorej wiorsty.

– Zdążyliśmy w ostatniej chwili!

– A wyście płakali, że drogo, drogo! Jakby nie krasnoludzka rura, to byśmy go zauważyli dopiero przy wyjściu z zatoki!

Ostatecznie nie zrozumiałam, na co takiego co chwila zerkają, bo zostaliśmy brutalnie wrzuceni do środka kręgu, jak dwa robaki do karmnika dla kur. Wysoki kogut, tfu, owłosiony mężczyzna w podwiniętych do kolan spodniach zmierzył nas bazylijszkowym wzrokiem z góry na dół.

– Więcej nikogo nie ma?

– Chyba nie, kapitanie! Griszak na wszelki wypadek opukuje beczki, ale i tak widzę, że one nie otwierane. Te pewnie się prześlizgnęły, kiedy chłopaki byli w doku.

– Oż paskudy! - rzucił kapitan z pasją. - Za burtę z nimi!

Naszych wyjaśnień nikt nie słuchał. W zasadzie nie zdążyliśmy ich nawet rozpocząć.

– Aaaaaa!

Upajające poczucie lotu nie trwało długo. Mimo że chłopaki bardzo się starali, bujając mnie w tuzin rąk.

Nadeszła kolej uczucia utapiającego. Chyba wylądowałam na głowie - trudno stwierdzić na pewno, bo wszystko stało się tak szybko, że świadomość dogoniła mnie dopiero na głębokości sążnia. Zaczęłam desperacko machać rękoma i nogami, nie mając pojęcia, czy wypływam, czy nurkuję, ale morze okazało się mądrzejsze i wbrew moim wysiłkom jednak wypchnęło ciało na powierzchnię. Tuż obok, jak kłęb szarych wodorostów, dryfował szal. Buty przeciwnie, poszły na dno jak kamienie.

Lewy jeszcze przez chwilę kotwicą dyndał na rozwiniętej onucy, ale kilka razy wierzgnęłam nogą i też poleciał.

Woda okazała się nawet nie tyle słona co gorzka, jak gdyby ktoś zamiast zwykłej soli wmieszał do niej alchemiczną. Ale trzymałam się na powierzchni jak korek, rzucana w górę i w dół. Kiedy fala już gotowa, by spaść mi na głowę, miękko wznosiła mnie na szczyt, widziałam statek i przechyłoną za burtę załogę, która wznosiła zadowolone okrzyki. Potem staczałam się w dołek i radośni dranie znikali z widoku. Z każdą falą odległość od statku się zwiększała: szybko wynosiło mnie na brzeg. Ale nie w kierunku przystani tylko w bok, na przybrzeżne skały.

- Daaar!

Udałam wyskakującą z wody syrenę, ale bez skutku. Nie zauważyłam brata ani nie usłyszałam odpowiedzi. Ale za to dostrzegłam co innego - przy samym horyzoncie, tam dokąd z taką obawą zerkali marynarze.

- Daaa... khy-khy-khy, tfu...

Dalsze krzyki nie miały sensu - do uszu nalała mi się woda i teraz szumiało w nich jak w morskiej muszli. Słyszać było tylko szum przypląwu, walczącego ze skałami. Nie bardzo miałam ochotę na odgrywanie roli maczugi, ale nie miałam wyboru. Pływałam nieźle,

więc po wyrównaniu oddechu zaczęłam machać rękami w przeciwnym kierunku, żeby wyszedł ze mnie przynajmniej placek, a nie naleśnik. Z przodu ukryte pod falami czerniało coś dużego, gładkiego i podobnego do rekina - ale okazało się zwykłym płaskim wierzchołkiem kamienia. Ucieszyłam się i skierowałam w tamtym kierunku, chcąc złapać oddech i ocenić otoczenie, ale w ostatniej chwili zauważyłam, że płaskie podwodne boki są obsiane czarnymi kłującymi grudkami. Czytałam gdzieś, że te stwory są trujące, ale nawet jak człowiek stanie na zwykłym leśnym jeżu, zapamięta to zdarzenie na dłuższy czas.

Kilka desperackich machnięć i udało mi się wyminąć kamień. Czarne igły musnęły rąbek sukienki i wręcz usłyszałam trzask mokrego materiału. Znowu robiło się głębiej, ale woda była już spokojniejsza. Do skały ciągnęła się równa ścieżka, otoczona drobnymi spienionymi falami. Nie zaryzykowałam szukania dna bosymi stopami, próbując płynąć, ile zdołam. Bo może pod samym brzegiem te stwory się jednak nie osiedlają.

Ale tam czekała na mnie inna pułapka: dna nie było w ogóle. Skała uciekała pionowo w dół i jeśli miałam wnioskować z ciemnej wody, to do dna było niewiele bliżej niż do góry. A sądząc z widocznych kępek muszli, w tej chwili mieliśmy odpływ! Po obu stronach nadal szalały fale, na głowę deszczem leciały bryzgi. Długo tak wisieć nie mogłam, należało albo płynąć wzdłuż skał do portu, albo wspinać się na jakiś występ i rozpaczliwie z niego wołać, ściągając na siebie uwagę rybackich łódek. Ale miałam niejasne wrażenie, że wszyscy mieszkańcy wyspy wiedzą, jak wygląda twarz królowej, więc miałam szansę na poczęstunek wiosłem...

Zaczęłam ostrożnie przesuwając rękoma po skale. Gdy tylko wyszłam spod ochrony kamienia, fale zaczęły rozdziobywać mnie jak wrona

kawałek chleba. Po dziesiątym walnięciu o skałę na lewym boku zabrakło mi miejsca na sińce, a kolano szczypało tak, jakbym zdarła je do krwi. Bałam się odpływać od skały, bo tu przynajmniej było się czego trzymać, jeśli stracę siły i zacznę tonąć.

Kolejna fala szturchnęła mnie w plecy, pomagając w wyminięciu występu i z zaskoczenia odniosłam wrażenie, że wepchnęła mnie w głąb skały. Ale była to tylko szczelina - wąska i niezbyt głęboka, ale mająca dno. Wyprostowałam się chwiejnie i stojąc po kolana w wodzie rozejrzałam na boki. Nie było stąd widać portu ani statków, pod niebem krążyły mewy, a ściany dookoła nadal były pionowe, wysokie i gładkie.

Przez kłęby wodorostów nie od razu zauważyłam, że szczelina kończy się dziurą w skale, okrągłą i równą jak gdyby wytoczoną przez wypełźnia wielkości niedźwiedzia. Muszelki wisiały zarówno nad nią, jak i w środku. W głębokiej na sążen zatoczce przed wejściem pływały resztki desek i zdechła ryba ze sterczącym z pyska kawałkiem sznurka.

Czy mogło to być leże jakiegoś potwora? I dobrze jeśli podwodnego, który przeczekiwał przyptyw na dnie jeziora w jaskini. A co jeśli wręcz przeciwnie i właśnie trafiłam na czas polowania?!

- Hej! - zawołałam do środka, sztywna ze strachu. - Jest tu ktoś żywy?

- Jeeest... - odezwała się dziura grobowym tonem. - Właaaż...

Wrzasnęłam tak, że zadrżały szczyty skał.

- Rinka, powiedz mi, dlaczego ty zawsze najpierw się drzesz, a potem myślisz? - W miarę zbliżania głos stawał się coraz mniej głuchy i bezosobowy. Dar na czworakach wypełźł z dziury i z pretensją zauważył: - Byś przynajmniej doprecyzowała, kogo właściwie szukasz!

Poczułam niesamowitą ulgę i z nerwowym śmieszkiem przyznałam:

- W zasadzie nie spodziewałam się, że ktokolwiek mi odpowie!

- No to po co pytałaś?

- Znaczy, po to, żeby się przekonać, czy w środku jest pusto....

- No jest pusto, przecież mówię, żebyś włąziła. - Brat się cofnął.

Chwilę stałam przy wejściu wzdychając, ale alternatywy nie było.

Przejsie prawie natychmiast zaczęło się rozszerzać i już po pięciu sążniach szliśmy pochyleni, a po kolejnych dwudziestu - wyprostowani na całą wysokość. Muszelki ze ścian zniknęły, pod nogami chlupało coraz ciszej.

- Podnosi się? - zrozumiałam.

- Aha. Ten tunel to coś w rodzaju zejścia do wody, akurat, żeby zepchnąć łódź.

- Myślisz, że został utworzony sztucznie?

- Wejście na pewno. Widziałaś, jakie jest równe? A jaskinie pewnie są naturalne. O, do tego miejsca doszedłem i zawróciłem. - Dar wskazał trzy równie nieprzyjazne wejścia w mrok. Lewe było trochę szersze od reszty, a prawe nieco niższe.

- O tatuniu, tu jest cały labirynt... - szepnęłam w zdumieniu.

Brat był nastawiony znacznie bardziej praktycznie.

- W którą stronę idziemy? - spytał, kręcąc głową z taką ciekawością, jakbyśmy stali nie w wilgotnych i śmierdzących podziemiach, tylko pod bramą wesołego miasteczka.

- Jesteś pewien, że w ogóle powinniśmy się tam pchać?

- Skoro jest tylne wejście, to powinno być również frontowe. Czy może wolisz docierać do brzegu wplaw?

- Znaczy... w takim razie pewnie prosto. - Niepewnie wskazałam środkowy tunel.

- Rinka, gdzie ty w ogóle widziałaś labirynt, w którym do wyjścia prowadzi prosta droga?! - obruszył się Dar. - Jestem gotów założyć się o

cokolwiek, że tam jest ślepy zaułek albo jama!

– Myślisz, że natura jest aż tak zdradliwa? A poza tym logika nie ma tu nic do rzeczy, trzeba liczyć tylko na szczęście.

– No to tym bardziej nie powinniśmy iść prosto.

– Dlaczego?

– Czy ty uważasz siebie za szczęśliwego człowieka?

– Nie, ale...

– Czyli idziemy na lewo - zdecydowanie polecił Dar, zbierając spódnice.

Zdecydowanie nie miałam ochoty bronić swojego zdania w dumnej samotności. Tylko burknęłam pod nosem: „I po co w takim razie pytał?”

Jeżeli wcześniej wydawało mi się, że w jaskini było ciemno jak w trumnie, to teraz tę trumnę spuszczone do dołu i zasypano grubą warstwą ziemi. Wystarczyło zrobić kilka kroków w głąb tunelu i mrok zgęstniał jak smoła, robiąc się tak samo lepki i paskudny. Gwałtownie zrobiło się zimniej, pod nogami zachrząściło coś podejrzanie przypominającego kości i zadzwoniło coś, co brzmiało jak łańcuchy.

– Da-a-ar... - zaszczękałam zębami.

– Co? - odezwał się niezadowolony brat gdzieś nad samym moim uchem. Po odnogach labiryntu na wyścigi popędziło echo.

– Słuchaj, tu chyba leży jakiś szkielet...

– Serio?!

Chrzęst i dzwonienie się nasiliły, tym razem bez mojego udziału.

– Dar, co ty tam wyprawiasz? To w ogóle ty?

Natychmiast przypomniały mi się „wesołe” opowiadki o Przeklętych Strażnikach, którymi nekromanci starożytności zasiedlali szlaki do swoich tajnych kryjówek. Przez wieki zmienionych w szkielety, ale nadal zdolnych do rozdarcia nieproszonych gości na włókienka...

W panice spróbowałam stworzyć pulsar. Język mi się plątał, mokre i zmarzniete palce ślizgały się i nie chciały pstrykać. Ostatecznie wyszło coś jak zwykle małego i wyblakłego, co po półtorej sekundy w ogóle zniknęło - tyle dokładnie potrzebowałam, by dojrzeć przed swoim nosem długie wyszczerzone szczęki i desperacko wrzasnąć, tracąc kontrolę nad zaklęciem.

Po kolejnych paru sekundach znowu zapaliło się światło - tym razem białe i równe.

- Psia - rzucił brat z rozczarowaniem, obracając czaszkę w rękę. - A łańcuch jest wbity w ścianę tak, że nie wydrzemy...

- Ja ci zaraz uszy wydrę, draniu jeden!

- Hej, hej! - Dar upuścił czaszkę, która po ciosie rozleciała się w szwach, i odskoczył w bok. Pulsar popłynął śladem właściciela. - Rinka, ty to jakaś nerwowa ostatnio jesteś. Zapominałaś, jak łąziliśmy razem po kopalni srebra?

- Po pierwsze, tam miałeś na każdym zakręcie strzałki z podpisami, a po drugie, zmusiłeś mnie, żebym „na wszelki wypadek” zabrała pół puda jedzenia, po trzecie, w każdej chwili mogliśmy aktywować amulet teleportacji, a po czwarte i tak udało ci się wpaść do jakiejś szczeliny i skrócić nogę!

- Nadmierna pewność siebie powoduje rozluźnienie - zauważył brat z namysłem. - Ale za to, kiedy będziemy mieli tyle zabezpieczenia co ten kawałek sznura, z broni krótki nożyk, z jedzenia jego skórzaną pochwę, a na dokładkę będzie nas goniło stado głodnych żądłogonów, to aż się zdziwisz, do jakich cudów heroizmu będziemy zdolni!

- Masz nóż? - ożywiłam się.

- Nie. Ale liczę, że nie skończy się na psim szkielecie i znajdziemy coś ciekawego - pocieszył mnie Dar. - Hola, a co to jest?

Przykucnął i wygrzebał z brudu pod nogami zwilgotniały zwój z plamami złocień i pleśni. Delikatnie rozprostował znalezisko.

- „Przewodnik po Szakkarze” - przeczytał z pewnym zdumieniem. - O co tu chodzi? Dobra, spis treści... „Historia”, „Pamiętki”, „Plan miasta”...

- A nie mają tam przypadkiem planu jaskiń? - spytałam z nadzieją.

Brat rozwinął zwój do końca i z rozczarowaniem pokręcił głową:

- Nie. Wyłącznie opis. „Nadmorskie jaskinie - odczytał natchnionym tonem - są siedliskiem reliktowych, nigdzie więcej niezachowanych pomrok jak to: chrypadło kudłate i jedwabiomorskie, dwuustkarstowy, żądłogon-plujak”... Ojej, Rinka, a o tym to nam dopiero co opowiadali na wiedzy nienaturalnej! Pluje kwasem na całe pięć sążni! Zajebicie, co nie? „Mieszka tu też największa na całym świecie kolonia nietoperzy-ludojadów, zdolna oskubać krowę w przeciągu trzydziestu, czterdziestu sekund...”

Nigdy nie sądziłam, że można równocześnie trząść się z zimna i oblewać potem.

- „...miejscowi magowie bojowi za umiarkowaną opłatą z przyjemnością urządzają państwu wycieczkę po korytarzach tego złowieszczego i magicznego labiryntu. Będzie to niesamowita okazja zdziwić się jego rozmiarami, zachwycić gigantycznymi stalaktytami i stalagmitami, jak również delektować bitwą przewodnika na śmierć i życie z mnogością potworów...”

- Wiesz co, ja chyba mam wątpliwości, czy chcę się nimi delektować - wymamrotałam drżącym głosem. Stalaktyty i stalagmity (gęste kamienne szczęki na podłodze i suficie, gotowe za chwilę się zewrzeć) z jakiegoś powodu również nie budziły we mnie najmniejszego zachwyty.

- „W jaskiniach pełno jest bezdennych szczelin i starożytnych pułapek - dalej deklamował Dar - które czasem mogą zaskoczyć nawet doświadczonego przewodnika...” Rinka, przestań jęczeć! Bo chrypadła wezmą cię za samicę w okresie godowym i na pewno tu przybiegną.

- Chodź popłyniemy! - skoczyłam do wyjścia, ale brat złapał mnie za rękę.

- Nie bądź tchórzem, za dnia wszystkie potwory śpią.

- Weź im najpierw udowodnij, że mamy teraz dzień!

Dar odrobinę powiększył pulsar.

- Przecież dotychczas jakoś nas nie zaatakowały.

- Dlatego że nie zdążyliśmy do nich dojść. Swoją drogą, znowu mamy trzy drogi - zauważyłam z drżeniem. Przeklęty labirynt rozgałęział się jak krzak porzeczek. - Co, znowu na lewo?

- Skoro to powiedziałaś, to na prawo.

- W ten sposób na pewno zabłądzimy, w labiryncie należy trzymać się jednej strony.

- Aha, szczególnie, jak masz zamiar chodzić w kółko!

- Ale będziemy przynajmniej mieli szansę wyjść z powrotem tutaj...

- No co z ciebie za tchórz! Zobacz, tam jest absolutnie bezpiecznie!

Dar podprowadził pulsar bliżej wybranego tunelu, w którym zajaśniała odbitym światłem blada twarz z dziurą ust i pojedynczego oka.

Tym razem wrzasnęliśmy razem. Brat wręcz spróbował wskoczyć mi na rękę, co nawet w normalnych ciałach nie było zbyt fortunnym pomysłem. Oczywiście magiczne światło natychmiast zgasło.

- Aaa! Zjawa!

- Zombi!

- Pulsar! Rób szybko pulsar, one się boją światła!

W końcu zapaliło się światło, ale z innego źródła i w innym miejscu. Tien nadal stał w przejściu, gapiąc się na nas z mieszanką zdumienia i wstrętu. Tyle dobrego, że po prostu stał, nie próbując rzucać we mnie ani sztyletem, ani zaciśniętą w drugiej ręce pochodnią.

Powoli się rozczepiliśmy.

- Tyyy?!

Czy u nich może cała opozycja składa się z niespokojnych duchów? Martwy król sobie zbiera wojsko?!

- A kogo się spodziewałaś? - burknął niezbyt uprzejmie „zombie”. Po dokładnym przyjrzeniu okazał się całkiem żywy i nawet pociągał nosem, demonstrując objawy przeziębienia.

- Ciebie to w ostatniej kolejności! Jak się tu znalazłeś? - Tien nie miał żadnej możliwości dostania się tu przed nami. Przecież musiał jakoś opuścić zamek, dotrzeć do gór i pokonać labirynt! I jeszcze zdążył po drodze umyć się, uczesać i znaleźć nowe ubranie, które wcale nie wyglądało na należące do kogoś obcego, pasowało idealnie.

Mężczyzna zerknął na sztylet, ale nie odpowiedział.

- Jesteś magiem? - Dar przejął inicjatywę.

- Nie. - Ze „służącą” zabójca rozmawiał nieco chętniej. - Ale kim jesteście wy?

- Przecież już ci rano tłumaczyłem!

- Yhym. Gadałeś jakieś bzdury, że bez maga się połapać nie szło.

- No to może nas do niego zaprowadzisz? - zaproponował Dar z nadzieją.

- Może zaprowadzę - zgodził się Tien niechętnie. - Jeśli ona założy tę ozdóbkę.

Nie spuszczając z nas oczu odczepił od pasa kajdanki na krótkim łańcuchu. Oczywiście antarowe. Po chwili wahania wzruszyłam

ramionami i wyciągnęłam ręce w kierunku mężczyzny. Co to za różnica, skoro wolnymi też nie jestem w stanie mu nic zrobić. Tien śpiesznie zatrzasnął na moich nadgarstkach zimne bransoletki, dokładnie sprawdził zamki i na jego opuchniętej po pobiciu twarzy odmalowała się taka złośliwa satysfakcja, że się przeraziłam. A co, jak uznał, że teraz „Terilla” zapłaci za wszystkie jego, a przy okazji ludu, cierpienia?

Ale Tien nie wziął przykładu z królewskich katów. Przynajmniej w tej chwili.

– Dobra - powiedział już nieco przyjaźniej. - Chodźcie za mną.

– Przecież mówiłem, że na lewo! - z satysfakcją szepnął Dar, ustawiając się za mną.

– Na prawo masz to samo - burknął jednooki, nie odwracając się. - I na wprost również, tyle że trochę dalej.

– A skąd wiedziałeś, że tu jesteśmy?

– Nie wiedziałem.

– To gdzie niosłeś kajdanki? - Brat nie chciał się poddać.

– Gdzieś.

– Ale w celi nie miałeś ich przy sobie!

– Ale teraz mam. - Tien wykonał ostrzegawczy gest, przycisnął się plecami do ściany i wzdłuż niej wyminął wielką, perłowo lśniąca kałużę.

– A co to takiego? - Dar spróbował przykucnąć i obejrzeć ją dokładniej, ale jednooki syknął na niego ze wściekłością:

– Nie widać, że kałuża?

– Ktoś w niej mieszka?

– Tak. Woda. Brudna, zimna i mokra.

– A potwory? - zająknęłam się nieśmiało.

Tien spojrzał na mnie jak na kretynkę.

- Kto?

- Znaczy żądłogon..., chrypadła... zgodnie z tym co piszą w przewodniku...

Mężczyzna mruknął coś dziwnego, to chyba nawet był nerwowy chichot.

- Sezon już się skończył - wycedził, pewnie krocząc dalej korytarzem. Moim zdaniem nawet nie patrzył pod nogi specjalnie uważnie.

- W sensie są teraz w śpiączce? - Poczułam się nieco raźniej.

- Uuu... - z rozczarowaniem mruknął Dar, kopnięciem wysyłając do kałuży leżący pod nogą kamień. Plusnęło tak, że nawet Tien drgnął.

- W sensie wycieczki się zaczynają dopiero w sianostawie, kiedy opada woda przy głównym wejściu. - Jednooki łaskawie udzielił odpowiedzi, ale jeśli miałam wnioskować z tonu głosu, to tylko chciał się nad nami poznęcać. - Po kiego ghyra magowie mieliby utrzymywać iluzje w pustych jaskiniach? Przyjadą bogaci durnie, to potwory się również pojawią....

- Czyli co, one w ogóle nie istnieją? - zrozumiałam po chwili myślenia, zapracowując sobie w ten sposób na kolejne pogardliwe spojrzenie.

- Ale skąd one by się tu miały na łyse rusałki wziąć, skoro muzeum płaci za wypchanego żądłogona sto kładni i miejscowi magowie przeczesali te jaskinie już z tysiąc razy? - zirytował się mężczyzna do reszty. - Pomrokami tylko straszy się dzieci, żeby nie włąziły samotnie do jaskiń.

- Ale przecież w przewodniku jest napisane... - Pogubiłam się do reszty.

Tien zbliżył pochodnię do ściany, na której kopciem ze świecy nakreślono kilka nieprzyzwoitych run i pod nimi wyjaśniający rysunek, dla niepiśmiennych.

– Ci tutaj też się starali, pisali... dla uważnych czytelników.

– I co, bezdennych jam również nie ma?

– Są. Całe dwie. Przewodnicy prowadzą gości pomiędzy nimi, po pięć, sześć razy do każdej. Ale poza sezonem są przykrywane tarczami, żeby nikt po pijaku nie zleciał do środka.

– Czyli jesteś jednym z tych przewodników? - domyślił się Dar. - Ale przecież w przewodniku jest napisane, że tylko magowie bojowi...

– Zamknijcie się, ale już - przerwał mu mężczyzna ze zniecierpliwieniem. - Bo jeśli wierzyć przewodnikowi, to mam prawo stracić do dwóch osób z każdej grupy!



Droga po labiryncie zajęła około godziny. Jego najniebezpieczniejszym kawałkiem okazała się jaskinia z mięsożernymi nietoperzami, którą trzeba było przejść na paluszkach, bo „przestraszą się i obesrają z góry do dołu”. Uwzględniając, że przedtem „objadły krowę”, groźba robiła wrażenie.

Póki co podłoga była równa, wygładzona przez czas i tłumy miłośników ostrych wrażeń, więc lepiej lub gorzej nadążałam za przewodnikiem, ale potem trzeba było przekroczyć niewielkie osypisko i tak pokłułam kamieniami nogi, że dalej mogłam już tylko kuleć, jęcząc męczeńsko. Tien zaklął pod nosem, ale zdjął i oddał mi własne buty. Dar okazał się mocniejszy, służąca chyba dość często chodziła boso. Jego

buty również utonęły, ale sądząc z czarnych pięt, podkowy też sprawiłyby się nieźle.

- Za zakrętem jest iluzja, nie drzyjcie się - uprzedził jednooki i odważnie ruszył po mglistej dziurze, która okazała się zwyczajną plamą. Spadająca w „przepaść” podziemna rzeka również była fałszywa, ale za to jej wąski „nurt” stanowił prawdziwy tunel, który w końcu wyprowadził nas na zewnątrz. Port został daleko z boku i nawet nie bardzo wiedziałam którego. Otaczał nas las, jasny, liściasty, z ledwo zauważalnym śladem ścieżki. I właśnie nią ruszył Tien.

- A zawiązać nam oczy? - Dar z pretensją przypomniał mu o obowiązkach spiskowca.

- Możecie je zmrużyć - zaproponował przewodnik kąśliwie, zgasił o ziemię już niepotrzebną pochodnię i wrzucił ją w krzaki.

- A co jak zapamiętamy drogę i przyprowadzimy do waszej tajemnej kryjówki wrogów?

- Najpierw z niej wyjdźcie - uciał jednooki.

Z jakiegoś powodu wydawało mi się, że prześladowana opozycja powinna mieszkać w głuchym lesie, w szałasach i ziemiankach, przed którymi na ogniskach piecze się dziczyzna, a obok pochmurni brodaci osobnicy starannie ostrzą topory i na kolanie strugają strzały. Ale droga stawała się coraz szersza i bardziej wydeptana, jak strumyki wlewały się w nią inne ścieżki, a las przeciwnie, był coraz rzadszy. „Tajemna kryjówka” okazała się starożytną kamienną willą na wzgórzu w pobliżu malutkiej wsi. Tien zapukał do bramy, wymienił kilka słów ze strażnikiem, po czym wpuszczono nas do środka, gdzie też nie czaiły się tłumy rebeliantów, a znajdowało najzwyklejsze w świecie podwórze, czysto zamiecione, z łożącymi luzem indykami.

- Och bogowie, Tien wrócił! - ucieszyła się kobieta wieszająca pranie, rzucając ręcznik z powrotem do kosza i kreśląc szeroki znak krzyża. - A my już miejsca nie możemy dla siebie znaleźć, poszła plotka, że trafiłeś do więzienia. Co tam się takiego stało?

Jednooki uśmiechnął się i równocześnie skrzywił - wszystkie pytania potem.

- Kerren jest w domu?

- Tak, mam was zaprowadzić? Pomóc?

- Nie trzeba. - Mężczyzna na chwilę przycisnął do ust dwa palce, a potem wskazał nimi nas.

Kobieta nie nalegała, tylko ponownie złapała za pranie, zerkając na „niedobrych gości” z potrójną ciekawością. Szczęśliwie nie udało jej się rozpoznać królowej w przygarbionej, biednie ubranej kobiecie z gołą głową. Dali się oszukać również wszyscy napotkani po drodze służący (czy może udający ich rebelianci?), z którymi Tien krótko się witał i prowadził nas dalej.

W końcu przewodnik wepchnął mnie do jakiegoś pokoju na piętrze, w pośpiechu rozkazał, że mam siedzieć cicho i niczego nie ruszać. Dara zamknięto naprzeciwko - słyszałam, jak trzasnęły drzwi, po czym Tien ruszył z powrotem.

- Rinka! - natychmiast zawył mój brat, ignorując zakazy. - Co u ciebie?

Spojrzałam dookoła. Kilka półek z drobiazgami, dwa obrazy, masywny stół na sześć osób i tyle samo krzeseł.

- Siedzę! A ty?

- Jem jabłko! Mają tu tonę kwiatów i paterę z owocami. Pewnie jakaś baba mieszka.

Zazdrośnie oblizalam wargi.

– Dobra, nie krzycz. Poczekamy, kogo Tien przyprowadzi, może nie wszyscy tu mają nierówno pod sufitem?

Czekaliśmy dłuższą chwilę. Pochodziłam sobie po pokoju, wyjrzałam przez okno, ale wychodziło na chlewik i grzebiące w nawozie świnki nie były specjalnie ciekawe. Korytarzem co rusz ktoś przechodził i za każdym razem się spinałam, ale na próżno. Moim zdaniem w międzyczasie spokojnie dało się odbyć kolejną wycieczkę labiryntem.

W końcu otwierające się drzwi mnie zaskoczyły. Jedno spojrzenie na towarzysza Tiena wystarczyło, by zrozumieć, że jest czarodziejem. Był o nieco niższy od jednookiego, węższy w ramionach, ale wcale nie wątki. Ubrany zwyczajnie, lecz solidnie i wygodnie, żeby nic nie przeszkadzało ani w splataniu zakłęć, ani w machaniu mieczem. Smagły jak wszyscy Szakkarczycy, niebieskooki, włosy miał nie tyle jaśniejsze od Tiena, ale jak gdyby siwe, tyle że nie srebrzyste, a ciemnoszare. Tak wyglądają wilki w zachodnich lasach, sąsiad-myśliwy któregoś dnia z dumą pokazywał nam zdobyte tam futro.

Mag uśmiechnął się przyjaźnie, błyskając śnieżnobiałymi zębami, po czym bezgłośnie, nie poruszając nawet powietrza, przeszedł do stołu. Tien zamknął drzwi, demonstracyjnie schował klucz za pazuchą i oparł się o futrynę.

Zaschło mi w gardle. O szakkarskiej dynastii magów-wilkołaków po Szkole chodziły legendy bardziej podobne do bajek albo nocnych straszaków. Kiedyś uważano, że daru magicznego i zdolności do zamieniania się w potwora nie można ze sobą połączyć (i dzięki bogom!), ale pewna zakochana para zaprzeczyła tej teorii. W nowym wydaniu podręczników prawdziwe wilkołaki wykreślono z listy pomrok, chociaż nadal nie dopisano do ras rozumnych.

- Proszę się nie bać. - Mag wyczuł mój nastrój. - Jeśli pani nie kłamie, to nic pani nie grozi. Proszę usiąść. Mam na imię Kerren.

- Riona. - Posłuszna skinieniu zajęłam krzesło naprzeciwko.

- I właśnie to zaraz sprawdzimy. - Głos Kerrena był miękki jak kocia łapka, która w zamyśleniu szturcha przyduszoną mysz: sama pobiegnie czy może popędzić ją pazurami? - Proszę spojrzeć prosto na mnie.

Posłusznie wbiłam spojrzenie w maga. On przeciwnie, zmrużył oczy i z jakiegoś powodu odniosłam wrażenie, że z trudem powstrzymuje uśmiech. Nic szczególnego się nie stało, tyle że zaczęła mnie straszliwie swędzić lewa pięta. Ukradkiem potarłam nią o nóżkę krzesła i wargi maga już całkiem wyraźnie drgnęły - wilkołak doskonale wszystko usłyszał i zrozumiał.

- Tak, to faktycznie nie jest Terilla - podsumował w końcu i mrugnął.

Tien się nie poruszył, a atmosfera w pokoju przeciwnie - zrobiła się jeszcze bardziej napięta.

- Czyli nam pan pomoże? - doprecyzowałam nieśmiało.

- Wrócić do własnych ciał? Obawiam się, że przekracza to moje siły.

- W takim razie przynajmniej wrócić do domu, do Kamieńca!

- Pomogę - zgodził się Kerren po chwili wahania. - O ile wy pomożecie nam.

- Ale, co ja mogę zrobić? Nie pozwolą mi przekazać wam władzy ani wrócić do zamku, pierwszy doradca mnie podejrzewa...

- Wcale tego od pani nie żądamy - uspokoił mnie wilkołak. - Chodzi o niewielką przysługę, a przy okazji ostatni sprawdzian.

Przypadkiem zwróciłam uwagę na jego ręce. Wydawały się luźno leżeć na stole na widoku, ale dla maga było to tożsame z pozycją bojową. Gdyby je połączył albo zacisnął w pięści...

Kerren poruszył palcem wskazującym („cieszy mnie, że tak dobrze się rozumiemy!”), po czym ciągnął dalej:

– Jak zdążyła się pani przekonać, nie uda wam się opuścić Szakkary morzem. Nasz człowiek pracujący dla Wiselta doniósł, że godzinę temu ogłoszono poszukiwania królowej. Oczywiście potajemnie. Doradcy jeszcze nie zrozumieli, co się stało i mają obawy przed prowadzeniem zbyt aktywnej działalności. Ochrona portu została wzmocniona, miasta są przepełnione szpiegami, którzy złapią was już w pierwszym zaułku. Krąg poszukiwań będzie się powoli poszerzał, władze będą musiały ogłosić pani zaginięcie udając, że Terilla zwariowała albo opętał ją bies - naród chętnie uwierzy i rozpocznie się wielkie polowanie. Pozostaje więc tylko jedno, poprosić o pomoc belorskiego króla. Wyjaśnić mu sytuację i hm, to i owo obiecać. Teraz, kiedy królowa wypadła z gry, moce magiczne władz i powstańców są mniej więcej równe, przekonanie chłopów do buntu też nie jest problemem. Ale cała szakkarska flota znajduje się w rękach Wiselta, co pozwala mu trzymać w strachu nadmorskie miasta, których mamy większość. Jeżeli zrównamy szanse również na morzu...

– Przecież dopiero co powiedział pan, że droga do Belorii jest dla mnie zamknięta. - Kompletnie się pogubiłam.

– Na statku tak - doprecyzował mag znacząco. - Ale istnieje szansa, mniej więcej jak jeden do trzech, że jeśli uwolnimy pani duszę, to sama wróci do własnego ciała, gdziekolwiek by się nie znajdowało.

– Czyli chcecie mnie zabić?!

– Nie-nie, co też pani mówi! - Kerren był znacznie trudniejszy w „odczytaniu” niż Wiselt. Wilkołak doskonale panował nie tylko nad mimiką, ale również nad emocjami. Nie udawał szczerego, tylko wchodził w rolę - jak wilk w ludzką skórę. Albo człowiek w wilczą. I

teraz spróbuj zrozumieć, która z nich prawdziwa. - jest pani zbyt wielkim atutem, żebyśmy mieli tak łatwo z niego zrezygnować. Nie wspominając o tym, że im młodsze ciało, tym mocniej jest ono przywiązane do duszy. Na przykład dziecku dałbym jedną szansę do dwóch. Może nawet jeden do jednego. Więc proponuję zabić pani służ..., jak pani twierdzi, pani brata, po czym poczekać powiedzmy tydzień - to wystarczający czas, by przygotować sojuszniczą flotę i wysłać ją na Szakkarę. Gdy tylko zobaczymy ją koło naszych brzegów...

- Czy wyście tu zwariowali?! - przerwałam mu z oburzeniem. - Tak między nami to mam tylko jednego brata i nie zamierzam ryzykować jego życiem, żeby sprawdzić waszą teorię! Lepiej sama umrę, już mam w tym trochę doświadczenia!

Mag przez chwilę świdrował mnie spojrzeniem, pod którym powoli kurczyłam się jak niewypieczone ciasto w zbyt wczesnie otwartym piecu, po czym odchylił się na oparcie krzesła i cicho roześmiał.

- No dobra, teraz przynajmniej w połowie wierzę, że nie jest pani Terillą.

- Ale przecież powiedział pan, że... - zatkało mnie.

- Yhym. I tak sobie po prostu, bez gestów, eliksirów czy zaklęć miałbym określić, kto przede mną siedzi? Szanowna pani, przecież nie jestem telepatą. Ale jedno mogę powiedzieć na pewno: Terilla bez wahania poświęciłaby służącą, żeby kupić sobie tydzień życia.

Poczułam się bardzo słabo. Czyli przez ten cały czas Tien czekał na znak, że kłamliwa królowa została przyłapana i czas z nią skończyć? Wbiłam w jednookiego przerażone spojrzenie. Ten chwilę pogrzebał w kieszeni i rzucił mi klucz od kajdanek.

- Przecież Kerren powiedział, że tylko w połowie - spróbowałam zażartować. Język zdradziecko się plątał i kleił do podniebienia.

- A to tylko do lewej bransoletki - rzucił Tien beznamiętnie. - I tak nie dasz rady czarować.

- Co za drań! - syknęłam, ale klucz wzięłam.

Bransoletka z wisiorkiem z antaru jest jednak lepsza niż skute ręce.

Póki ja niezgrabnie grzebałam w zamku, mag wyczarował - czy raczej teleportował skądś zawczasu przygotowany półmisek z pokrojonymi mięsem i serem, bochenek chleba, butelkę wina i trzy kieliszki. Sam otworzył, nalał i gestem zaproponował, żebyśmy się częstowali.

Tien również nieco się rozluźnił i usiadł na sąsiednim krześle. Ale nie pił, tylko zahaczył sztyletem kawałek szynki i zaczął zachłannie go przeżuwać. Ja nieśmiało sięgnęłam po ser, odłamałam kawałek i wpakowałam do ust, które natychmiast wypełniły się śliną. W brzuchu zaburczało mi niecierpliwie.

- Lubisz ser? - zapytał mnie jednooki jakoś tak złowieszczo.

- Lubię - przyznałam ze zdziwieniem. - A co?

- Terilla też lubi.

Atak kaszlu wycisnął mi łzy z oczu, więc mogłam tylko z trudem wykrztusić:

- No to co, mam teraz szczypać trawę? Czy królowa ją również uwielbiała?

- Tien, daj spokój. - Kerren wziął mnie w obronę. - Sam lubię ser i właśnie dlatego go wzięłam. I zamiast machać tym nożykiem, mógłbyś pokroić chleb. Czeka nas długa rozmowa, a ani ja, ani chyba nasza nowa znajoma jeszcze nic dziś nie jedliśmy.

Mag wielkodusznie pozwolił mi zaspokoić pierwszy głód, po czym przeszedł do rozmowy, czy raczej uprzejmego przesłuchania. Miałam odpowiadać krótko i bez namysłu - jeżeli zaczynałam się zacinać albo

dobierać słowa, Kerren natychmiast przechodził do kolejnego pytania, po czym wracał do tego pominiętego później, ale już w innym sformułowaniu. Jak brzmi moje pełne imię? Jakiego koloru był piorun? Jak ma na imię moja babcia? Gdzie się ocknęłam? Temat mojej pracy dyplomowej? W trakcie rozmowy mag obejrzał pierścionki Terilli, po czym poprosił mnie o zdjęcie niektórych z nich, przykrył serwetką, ostrożnie zawinął i schował do kieszeni.

- Dobrze - podsumował w końcu. - Na pierwszy raz wystarczy. Chyba zrozumiałem co się z panią stało... albo o czym chce nas pani przekonać.

- I...? - rozsądnie udałam, że nie zauważam drugiej części zdania.

Kerren po raz pierwszy wziął łyk ze swojego kieliszka - słaba, ale budząca nadzieję oznaka zaufania.

- No więc, Terilla była bardzo potężną czarodziejką...

- Trucizna też była niegorsza - burknął Tien.

- Dokładnie. Do zniszczenia arcy maga bojowego nada się nie każda trucizna. Po pierwsze, nie powinna mieć smaku, barwy, zapachu ani składowej magicznej. Po drugie, musi być bardzo rzadka, bo królowa piła tradycyjną złożoną odtrutkę plus jeszcze kilka takich, które stworzyła osobiście. Ale znaleźliśmy wyjście.

- Wy?!

Kerren ze spokojem skinął głową.

- Dokładnie. Pomysł, czy raczej teoria, jest mojego autorstwa. Wystarczyło tylko podrzucić ją nadwornemu alchemikowi, którego Laien już zamęczył prośbami o jakiś specyfik. Ale staruszek nie ryzykował zaoferowania mu zwykłego arszeniku czy szaleju, doskonale świadom, że w przypadku prawie pewnego niepowodzenia jego głowa spadnie jako pierwsza.

- I co wymyśliliście?

Odtrutka od odtrutki. Proszek, który jest nieszkodliwy dla zwykłego człowieka, więc można domieszać go do wspólnego kieliszka i wypić jako pierwszy, żeby rozwiać wszystkie podejrzania. A dalej pozostaje tylko czekanie, aż specyfiki w krwi złożą się i utworzą truciznę...

- I nie wstyd wam? - wyrwało mi się.

- Przepraszam? - zapytał mag ze zdumieniem.

- Truć starszą kobietę, i to jeszcze cudzymi rękoma!

- Nie, nie jest mi wstyd - odparł Kerren twardo. - To tylko w bajkach dobro może pozwolić sobie na szlachetność, bo zło jest zawsze podstępne. Proszę mi wierzyć, że każdy z naszych magów bez wahania starłby się z Terillą w uczciwej walce, ale przecież ona prawie nie wyściubiła nosa z zamku! Za to bez najmniejszych wyrzutów sumienia rabowała i mordowała ludzi: wieszła, rozpinąła na kole, wbijała na pal... I tak w zasadzie to również truła.

- Przepraszam - zawstydziłam się. Mag miał rację, tu nie bardzo można myśleć nad środkami, najważniejsze to osiągnąć cel. - Ale w takim razie, po co wysłaliście do mnie... znaczy do królowej... Tiena? Żeby zbezczęścić ciało?

Jednooki parsknął z urazą:

- Czy ja wyglądam na świra?

Omiał nie palnęłam: „Tak!”.

- Uznaliśmy, że trucizna nie zadziałała - wyjaśnił Kerren spokojnie. - Ale słyszeliśmy o tym, że królowa jest chora, więc pomyśleliśmy, że to najlepszy moment, by wprowadzić w życie plan zapasowy.

- Szczerze mówiąc, to plany macie łagodnie mówiąc oryginalne. - Przypomniałam sobie latający w powietrzu puch i nerwowo zachichotałam. - Tylko kompletny idiota mógł wpakować się do sypialni arcy maga z nożem!

- Po pierwsze, nie idiota tylko patriota - poprawił mnie z godnością Tien. - Po drugie, celowo go udawałem, żeby uśpić czujność Terilli. Po trzecie, z naszych obliczeń wynikało, że mieliśmy jedną szansę na dwadzieścia. A po czwarte, obstawialiśmy raczej pozostałe dziewiętnaście.

- Jak to?

- Królowa od dawna szuka naszej kryjówki i za nic nie pogardziłaby możliwością, by podnieść teleport ze śladu. Tyle że wysyłano mnie do niej z porzuconej kopalni, która została natychmiast potem zawalona. Terilla po przeniesieniu na zawsze wtopiłaby się w skałę. Chyba żeby jakiś krasnolud za kolejną setkę lat dotarł do dziwnej korononośnej rudy...

- Wróćmy do waszej historii - przerwał Kerren. - Trucizna zadziałała i Terilla nie żyje. Sądząc z oznak, nie żyje również służąca, na której królowa sprawdzała dania i dekokty - albo głupia baba sprzątając w komnatach dopiła wino, albo Terillę tamtego dnia próbował załatwić jeszcze ktoś.

„To dlatego na porannej tacy były dwie filiżanki - zrozumiałam. - To ile w tym zamku zmarło służących, że dziewczyna tak się bała zaproszenia do „dotrzymania pani towarzystwa”?

- Pewnie królowa jednak poczuła, że coś jest nie tak - ciągnął mag. - Bo w przeciwnym razie ocknęłaby się pani w łóżku, a nie na podłodze. Możliwe, że nawet udało jej się zneutralizować działanie trucizny, bo inaczej w ogóle by się pani nie ocknęła. Ale za późno. Terilla desperacko trzymała się życia, nie chcąc odchodzić z tego świata, więc w chwili jej śmierci nastąpił mocny wyrzut magii, który połączył się z burzą. Dalej było nieostrożnie odbite zaklęcie, piorun - i królowa ze służącą zajmując cudze ciała, wyrzucając z nich prawowitych właścicieli. Ale wy tym

bardziej nie macie ochoty umierać, w końcu was nikt nie otruł! Więc wasze dusze jak woda po wytyczonym kanale ruszają w przeciwną stronę, zajmując opustoszałe „lokale”.

– I co mamy teraz zrobić? - spytałam bezradnie.

Kerren skubnął kawałek chleba i z namysłem zwinął w kulkę.

– Riono, będę z panią szczery. Po prostu nie mogła pani wybrać gorszego czasu, miejsca i ciała dla siebie.

– Jak gdyby ktokolwiek mnie pytał o zdanie!

– Ale ja to doskonale rozumiem. - Mag pstryknięciem puścił chlebową kuleczkę w podróż po stole. - Tylko proszę zobaczyć, wyspa stoi na progu wojny domowej, a Terilla jest kością w gardle dla obu stron. I najprościej ją...

Tien przyklepnął kulkę dłonią. Niezbyt mocno, stojący obok kieliszek ledwo drgnął, ale ja poczułam gęsią skórę chyba nawet na piętach.

– Przecież mówił pan, że jestem wielkim atutem - przypomniałam mu cienkim głosem.

– Pani głowa - poprawił mag. - Kto ją okaże, ten uratował ojczyznę. Przy pozostałych warunkach identycznych. Ale to, co opowiedziałem pani o flocie, jest prawdą. Jeżeli zaczniemy powstanie teraz, to władze z łatwością je stłumią, a nieżyjąca królowa zostanie ogłoszona męczennicą. A jeśli pani trafi w ręce tajnych służb, to zostanie z patosem ścięta na centralnym placu w stolicy, zaś królem zostanie Laien.

– Ten mięczak? Przecież go otrują już pierwszego dnia!

– Nie. Przeciwnie, będą o niego troskliwie dbali. Jakkolwiek trudno byłoby w to uwierzyć, w Laienie płynie królewska krew, chociaż mocno rozcieńczona.

- Nawet wiem czym - burknął Tien. - Terilla przynajmniej była pewną siebie chwybą. A Laien to tchórz bez cienia honoru, który nie może się doczekać, by się odegrać za sińce od jej obcasa.

- Nie wierzę własnym uszom - parsknął mag. - Czyżbyś znalazł dobre słowo dla królowej?

Jednooki zawstydził się i dodał pół tuzina niedobrych.

- Laien jest takim samym symbolem władzy jak stara korona - doprecyzował mag. - Może cisnąć i uwierać, ale i tak nikt się go nie pozbędzie. Nawet Terilla to przyznawała.

- I wy również? - Jak na obrazku wyobraziłam sobie Tiena w sukni ślubnej twardo ściskającego łokieć przystojnego małżonka.

- Szczęśliwie mamy kogoś lepszego - odparł Kerren z lekką satysfakcją w głosie.

- Ducha?

Ku mojemu zdumieniu wilkołak spuścił oczy, a jednooki przeciwnie, rozpląnął się w złośliwym uśmiechu.

- A co będzie z nami? - spytałam w końcu, nie doczekawszy odpowiedzi.

- Nie mam pojęcia - przyznał Kerren uczciwie. - Muszę wszystko dobrze przemyśleć i obgadać sprawę z pewnymi ludźmi... Riono, ja bardzo wam współczuję, naprawdę. Ale ojczyzna jest dla mnie ważniejsza.

Dla mnie osobiście ważniejsza byłam ja i wielki cel, któremu miała posłużyć, ta ofiara kompletnie nie budził natchnienia.

- Dobra - westchnął mag, wstając. - Proszę iść odpocząć. Poleciałem, żeby przygotowano pani pokój. - Proszę nie mieć pretensji, nie ma okien, ale ma zasuwę. Tymczasem my porozmawiamy sobie z pani bratem.



Tym razem Tien poprowadził mnie w dół schodów. Zdążyłam z rezygnacją wyobrazić sobie wilgotną piwnicę z drewnianą pryczą, ale moja cela okazała się czysta i przestronna. Ściany i podłogę miała obite brzożowymi deskami, z sufitu zwisała klatka z pulsarem, a w niszy stało wąskie łóżko, przykryte jaskrawą ręcznie uszytą kapą. Ale najwięcej ze wszystkich rzeczy ucieszyła mnie balia z gorącą wodą. Wzdłuż niej stał rząd flakoników i szczotek, a na krześle leżał ręcznik.

- Umyj się - rozkazał jednooki, jak gdybym była stepowym orkiem, który robi to wyłącznie od wielkiego święta. A jeśli rok akurat był nieudany, to szaman święta odwoływał. - I sukienkę masz...

Tien ze wstrętem potarł nos.

- A to już po wypraniu - odcięłam się. W ciągu drogi materiał zdążył wyschnąć, ale nie dodało mu to urody. - Jak ci się nie podoba, to przynieś inną!

- Aha, już pędzę! - burknął jednooki, zatrzaskując drzwi.

Złapałam za oparcie krzesła czując się wyciśnięta jak krążek twarogu. Strasznie chciało mi się płakać, ale łzy nie leciały, a nie miałam sił na suchą histerię. Prawie nie wątpiłam, że nie czeka mnie nic dobrego. Obrońcy ojczyzny, ich mać! „Patrioci”, którzy nie żałują ani siebie, ani innych! Teraz pewnie zastanawiają się, jak najlepiej wykorzystać moją śmierć. Zacierają rączki z radości, że tak duża ryba sama do nich przypląnęła...

Rozsądek podpowiadał, że na miejscu Tiena i Kerrena również nie ufałabym głównemu wrogowi i nie rzucałabym się mu na pomoc. I przez to było mi jeszcze gorzej.

Żeby tylko Dara puścili wolno...

Jednak załkałam raz czy dwa, kiedy się rozbierałam, ale łzy jednak nie poleciały. Potem miałam na głowie ważniejsze rzeczy: w gorącej wodzie wszystkie zadrapania, sińce i skaleczenia zaboląły tak, że podsłuchujący pod drzwiami człowiek uznałby, że w środku dzieją się prawdziwe bezceństwa. Ale kiedy w końcu puściło, to poczułam się lżej również na duszy. Po umyciu głowy i nasmarowaniu włosów gęstym aromatycznym balsamem oparłam się o burtę balii, zachłannie chłonąc ciepło. W pokoju lekko zalatywało psem i po dokładniejszym przyjrzeniu odkryłam na deskach głębokie zadrapania. Prawdziwe wilkołaki nie wpadają w szal w czasie pełni, ale zbliżanie się do wracającego z ciężkiej bitwy maga jest niebezpieczne dla zdrowia i życia, póki się nie prześpi. Czyli to nie ceka tylko „leże” właściciela. W żaden sposób nie zmieniało to istoty sprawy, ale myśl, że nie zamknięto mnie w piwnicy, tylko odstąpiono własne komnaty, była znacznie przyjemniejsza.

Już zamierzałam wyłazić z ostygłej wody, kiedy wrócił Tien. Ku mojemu zdumieniu jego „pędzę” okazało się nie złościwością, tylko obietnicą. Przyniósł aż trzy sukienki, do wyboru. Niedbale rzucił na łóżko, złapał stojące przy balii buty, odwrócił się i wyszedł. Nawet nie zdążyłam podziękować.

Wybrałam możliwie prostą i luźną sukienkę, i wlałam pod kołdrę wprost w niej. Na zewnątrz pewnie było już ciemno albo po prostu dzień był aż tak ciężki, ale wystarczyło, bym zwinęła się w wygodny kłębek, kiedy poczułam jak gwałtownie zapadam w sen, a może nawet gdzieś głębiej...



Dom... taki kochany, przytulny, znany do ostatniej deski w podłodze. Jak bardzo go kocham, jak bardzo się stęskniłam!

Noc mamy jasną, wzdłuż korytarza ciągną się dwa szeregi okien - zwykłych i księżycowych. W dzieciństwie celowo kroczyłam tylko po jasnych kwadratach, ale teraz trzymam się w cieniu, jak gdyby obawiając, że mnie sparzą. Wymijam gościnną sypialnię, za nią jest należąca do babci...

Chrap, chrap, wstrętne stara kłodo!

Kolejne drzwi. Zamknięte? Nie, poddają się.

Komnaty ojca, sypialnia i gabinet, są rozdzielone tylko paskiem podłogi pomiędzy dywanami. Tata przekonuje, że po obudzeniu przychodzą mu do głowy najcenniejsze pomysły, więc kluczowe jest odpowiednio szybkie dotarcie do papieru i pióra.

Stół. Są tam, czuję nawet od drzwi.

Powoli, delikatnie wysuwam środkową szufladę. Podnoszę wieczko stojącej w niej szkatułki. Tata cały czas używa artefaktów w pracy i lubi, by leżały pod ręką. Zamyka je w schowku tylko, kiedy na długo wyjeżdża z domu.

Stary kretyn.

Duża fioletowa broszka fosforyzująco lśni w mroku, pozwalając obejrzeć resztę klejnotów. Różnobarwne ślepia kamieni w powiekach oprawek, węzowy splot łańcuszków z wisiorcami. Żółty wężyk-bransoletka, którą nosiła mama.

Kompletnie pozbawiona smaku. I sensu również. Lepsze będzie to...

Koniuszkami palców głaszczę szary kamyk-kroplę - takimi usiane jest każde morskie wybrzeże. I właśnie tam w zeszłym roku go znalazłam, a ojciec dostrzegł pod skromną powłoką cenne właściwości i zamienił go w materiał dla zwiniętego w sprężynę zakłęcia.

Kamyczek jest zimny, gładki, śliski. Jak żuk ucieka między palcami i głucho skacze po podłodze do łóżka.

Ojciec wzdryga się i unosi na łokciu.

- *Riona!*



- Rinka! - brat szturchnął mnie w ramię, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, siadł mi na plecach i potrząsnął wystającymi spod kołdry kosmykami jak wodzami. - Obudź się, już rano!

- Czego chcesz? - jęknęłam, czując się starą kłaczą pod rycerzem w pełnej zbroi. - Daj mi umrzeć w spokoju...

- Za nic, pragnę podziwiać twoje męczarnie! No już, otwieraj ślepka, zaraz nas będą karmili.

- Przed szlachtowaniem? - Uszczypnięciem spędziłam brata z łóżka, usiadłam i odrzuciłam włosy za ramiona.

- O w mordę...! - zakrztusił się docinkiem, który chciał rzucić w odpowiedzi i wbił we mnie przerażone spojrzenie.

W pośpiechu złapałam za twarz. Nos chyba miałam na miejscu, policzki również, nic mnie nie swędziało...

Tien, który wpuścił Dara do pokoju i nie zdążył daleko odejść, ponownie otworzył drzwi i zajrzał do środka.

- O w mordę...!

- Czego stękacie oboje jak babki na stypie? - rozzłościłam się, zaczynając powoli panikować. - Co ja mam z twarzą?

- Nic - powiedział Tien po przełknięciu śliny. - Normalna twarz... ładna...

W pośpiechu wyrwałam mu kieszonkowe lusterko w skórzanej oprawie. O w mordę...! Z okrągłej ramki patrzyła na mnie dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia. No dobra, może dwudziestopięcioletnia

- takie wielkookie brunetki zawsze wyglądają młodziej. Gładka jedwabista skóra, gęste rzęsy, pulchne wargi...

- Mamusiu! - szepnęłam po obmacaniu tego bogactwa i przekonaniu się, że odbicie nie odbiega od oryginału. - Gdzie jest Kerren?!



Maga odmłodziła Terilla z jakiegoś powodu nie ucieszyła. Tyle dobrego, że „mordę” zatrzymał dla siebie. Wilkołak przygryzł wargę i powoli obszedł mnie dookoła, mrużąc coś z niezadowoleniem i pocierając podbródek.

- No i co? - nie wytrzymałam.

- W zasadzie to nic zadziwiającego... Powiedziałbym nawet, że powinniśmy się tego spodziewać: duch jest ponad ciało, jak uczą adeptów już na pierwszych zajęciach. Wczoraj również wyglądała pani młodziej niż zwykle, nawet nie od razu panią... znaczy Terillę poznałem. Ale złożyłem to na karb... eee... fryzury i ubrania.

- Czy raczej ich braku - doprecyzował Tien bez skrupułów. - Też zauważyłem, że nie jest do siebie podobna, nawet jeśli porównać z postacią z rana. I dlatego zaryzykowałem, by ją tu zabrać.

- Ale dlaczego z moim bratem nic się nie dzieje? - Chyba nawet głos mi się zmienił, był bardziej miękki, niższy i zniknęły z niego starcze drżące nutki.

- On jest jeszcze dzieckiem i zmienia się rok po roku. Dla niego to naturalne. A pani już od siedmiu lat jest dorosła, dusza zdążyła „zapamiętać” swoje siedlisko i teraz próbuje dostosować nowe do poprzedniego stanu. - Mag z kwaśnym wyrazem twarzy ocenił wynik.

- A co w tym złego?

- Riono, ale pani rozumie, że i tak nie zmieni się w tamtą belorską dziewczynę? - wyjaśnił Kerren cierpliwie. - To niemożliwe, materia również ma swoje prawa i ograniczenia. Zostanie pani młodą Terillą, smagłą i czarnowłosą.

- No i dobrze. - Wzruszyłam ramionami. - Bycie staruchą i tak jest gorsze. Przynajmniej ludzie przestaną przede mną uciekać.

- Koleżanko! - Mag zaczął tracić cierpliwość. - Przecież skończyła pani Szkołę Magii! Czy pani naprawdę nie rozumie, czym jej to grozi?

- Nie - przyznałam już z przestraszeniem. - A czym?

- Kiedy dusza wygodnie urządzi się w tym ciele, zerwie wszystkie powiązania z poprzednim. Bo i po co je utrzymywać? Tu też będzie miała jak w domu. I zwrócenie jej na miejsce będzie wymagało znacznie większych wysiłków i umiejętności.

- Przecież wczoraj odmówił pan pomocy - przypominałam mu, czując, jak ponownie budzi się we mnie nadzieja.

- Powiedziałem, że teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie - Kerren potarł czoło i odniosłam wrażenie, że tej nocy nie spał. Ni to się do rana naradzał, ni to przeciwnie, gdzieś biegał i coś wywąchiwał. - Ale jeśli jakimś cudem sytuacja zmieni się na naszą korzyść, to obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Przynajmniej teraz macie już całkowitą pewność, że nie jestem Terillą - westchnęłam. Magowie mogą spowolnić proces starzenia, niektórzy nawet go zatrzymać (Doskonałym tego przykładem jest pani Katissa Łabska, dokładnego wieku której nie znają nawet siwobrodzi starcy, ale pamiętają, że była z niej taka sama su... znaczy śliczna, mądra i potężna magini), ale nigdy odwrócić wstecz. Z tego właśnie powodu nie istnieją arcyomagowie wyglądający młodziej niż na trzydziestkę -

przed osiągnięciem pewnego wieku nie mają jeszcze kontroli nad magią tego poziomu.

- Niestety - potwierdził Tien z rozczarowaniem. - W tej postaci jest pani dla nas kompletnie bezużyteczna.

„Czyli można się mnie spokojnie pozbyć” - dokończyłam w myśli, czując zimne dreszcze.

- Cóż, mogę spróbować ją ponownie postarzyć - zaproponował mag z namysłem. - Przy okazji naładujemy kilka artefaktów, niedługo będziemy ich potrzebować...

Mężczyźni drapieżnie spojrzeli na mnie, skuloną w kątku, i wybuchli śmiechem. Ja równocześnie poczułam zawstydzenie i złość. Też ich się zarciki trzymają! Tu bez żadnych zaklęć można osiwieć! Ojej...

- Czyli moje prawdziwe ciało teraz tak samo gwałtownie się starzeje?

- Mało prawdopodobne - zdecydował Kerren po chwili namysłu. - Mimo wszystko Terilla jest arcymagiem. Raczej sądzę, że złapała się ponownie odzyskanej młodości wszystkimi znanymi sobie zaklęciami. Swoją drogą, jak się pani dziś spało?

- Paskudnie - powiedziałam uczciwie. - Jak gdyby całą noc jeździły na mnie mrakobiesy, jakieś paskudztwa się śni...

Zacięłam się, a potem z oburzeniem popatrzyłam na współczującą minę maga.

- Ja tak widzę, że pana to można serem nie karmić, tylko pozwolić kogoś otruć!

- Nie otruć, tylko napoić. - Wilkołak nie był ani trochę zawstydzony. - I to absolutnie nieszkodliwym specyfikiem. Fekstę daje się nawet pięcioletnim dzieciom.

A, tak, oczywiście, „katalizator zdolności”. Czasami używa się go, żeby ustalić wydział albo katedrę. Feksta wywołuje żywiołowy wyrzut daru i robi się oczywiste, ku czemu dany czarodziej się skłania: magia praktyczna, przepowiednie, leczenie... Wczoraj z radością zgodziłabym się na każdy sprawdzian, ale teraz, kiedy i tak wszystko było już oczywiste...?! Ghyrowi spiskowcy.

- Może dla zielarza jest nieszkodliwe, dla maga bojowego w kajdankach z antaru również, a mnie teraz głowa pęka jak na ciężkim kacu!

- Przecież jest pani pytią - wypomniał Kerren z pretensją. - Proroctwo więcej, proroctwo mniej, co to za różnica?

- Duża! Wyrzuciłam nawet szkolne notatki, żeby mi nie przypominały o tym paskudztwie!

- No nie - burknął Tien. - Królową być nie chce, pytią również... W takim razie kim? Do ślubu siedzieć tatusiowi na karku, a potem mężowi?

- To... długa historia. - Spuściłam wzrok. - Tak ogólnie to po jednym wypadku rozczarowałam się co do wybranego zawodu.

- Riono, zawodu maga nikt nie wybiera - przerwał mi Kerren gwałtownie. - Czy raczej mamy wybór, ale inny: przyjąć dar z wdzięcznością i spróbować wyciągnąć z niego możliwie najwięcej pożytku czy uczynić swoim przekleństwem. Tulić je, karmić, narzekać na zły los i budzić w otoczeniu litość.

- Nieprawda! - Zaczerwieniłam się. - Nigdy się nikomu nie skarżyłam, sami leżeli z wyrazami współczucia!

- A co pani teraz robi? Wścieka się, że miałem czelność rozbabrać jej wymyśloną ranę.

- Nic pan nie rozumie! Przepowiedziałam własną śmierć! Widziałam ją tak samo wyraźnie jak teraz pana!

- I co z tego? - Kerren wzruszył ramionami. - Też widziałem swoją śmierć. I to na jawie. Mojego najlepszego przyjaciela ćwiartowano na centralnym placu stolicy, a ja stałem dziesięć sążni dalej, słyszałem jego krzyki, czułem zapach krwi... I nie mogłem nic zrobić. Terilla obiecała, że tak umrą wszyscy spiskowcy nie później niż za miesiąc. I wie pani, uwierzyłem jej. Nieudany wypad, błąd, przypadek, pułapka, zdrajca w naszych szeregach... Ledwo miesiąc. I co teraz, mam spędzić go w piwnicy z jękami „ojej, dlaczego ja zostałem magiem bojowym” drąc grimuary na wstążki? Czy lepiej jednak nie marnować czasu na uzalanie się nad sobą, tylko zrobić coś dla innych? Tyle, ile zdołam.

Mag chwilę milczał, wyrównując oddech, po czym spokojnie, jak gdyby nie było żadnej kłótni, zapytał:

- Czyli mówi pani, że coś jej się śniło?

- Tak - poddałam się. - Ale to nie było proroctwo tylko wizja.

Kerren ze zrozumieniem skinął głową. Proroctwo jest tym samym co ślizganie się po nitce czasu do węzła-wydarzenia, a im jest mniejszy, tym wyższy jest poziom pytii. Adeptka w najlepszym razie „zauważy” trzęsienie ziemi (które są już dawno rozpisane na pięć wieków do przodu i na podstawie tych notatek prowadzi się zaliczenia u młodszych roczników), ale arcyipytia potrafi wyciągnąć „supetek” z jutrzejszym deszczem: spadnie, nie spadnie... Natomiast wizja to takie spojrzenie w bok. Czasami trafia na coś ciekawego, ale częściej łapie obrazek, który jest ważny dla przyszłości, ale sam z siebie kompletnie nieszkodliwy. Na przykład kotka, która z dumą ciągnie wyrzucone przez rzekę truchło szczura - za tydzień przybrzeżną wioskę zaatakuje dżuma. Albo strażnik, który pije wino z kumplami - w nocy zaśnie na

posterunku, a z miasta ucieknie żebraczka z dzieckiem, któremu pisane jest zostanie wielkim władcą... albo przeciwnie, zostałoby nim, gdyby go nie uprowadzono.

Skupiłam się - wczesna pobudka i zamieszanie, które nastąpiło po niej, kompletnie wybiły sen z mojej głowy i przypomniałam sobie „paskudztwa”.

- Co? - zapytał Dar z rezygnacją. - Znowu czyjaś śmierć?

- Nie! Gorzej! Ona chodzi po domu! Po naszym domu!

- Kto?

- Ja! Czyli Terilla!

- Cóż, gdyby chodziła po jakimś lesie, byłoby to znacznie gorsze. - Mag próbował mnie pocieszyć. - Tak przynajmniej wiemy, gdzie jest i możemy odetchnąć spokojnie.

- Wy tak, ale tam jest mój ojciec! I ta paskuda weszła do jego sypialni!

- Po co? - Na twarzy Tiena zobaczyłam bardzo nieprzyzwoitą wersję.

- Żeby go obrabować oczywiście! W naszym domu przechowywana jest duża kolekcja artefaktów, poza tym ojcu cały czas ktoś je pożycza do badań. Chyba niedawno nawet od Ksandra wyblagał jakiś pierścień.

- A co ukradła? - Teraz zaniepokoił się również Kerren.

- Nie wiem, tata się obudził i ją przestraszył... - Ugięły się pode mną kolana, ale ponieważ nikt nie wpadł na to, by przysunąć krzesło, musiałam usiąść na podłodze. A czy na pewno przestraszył?! Oczywiście, tata też jest arcymagiem, ale teoretykiem. Nie da rady zaatakować bez namysłu, tym bardziej własnej córki.

Za to Terilla się nie zawaha.

- Musimy natychmiast wrócić do Belorii! - Dar wyprzedził moje myśli. - Czy na pewno nie ma żadnego sposobu?

Mag ze smutkiem pokręcił głową:

- Widzieliście go?

Brat z niezrozumieniem zmarszczył brwi, ale ja skinęłam głową. Szkarłatna plama pośród fal, która błyskawicznie rozrastała się w płonący okręt... i zniknęła bez śladu sto sążni od statku handlowego.

- Co to takiego?

- Łowca. Twór Terilli i jej doradców, który nie pozwala uciec z Szakkary ani uchodźcom, ani „zdrajcom”. Kiedy statek wchodzi do zatoki, odgradzające ją zakłęcie „zapamiętuje” ludzi na pokładzie i wypuści z wyspy tylko ich. A jeśli rachunek nie będzie się zgadzał, to zaczyna działać zakłęcie bojowe, któremu towarzyszy przerażające widowisko: szkarłatny statek-duch, który przechodzi przez ofiarę, nie zostawiając nikogo żywego. Oczywiście jest to iluzja, ale robi znacznie większe wrażenie niż zwykła kaźń.

Nic dziwnego, że marynarze byli na nas tak wściekli. Całą załogę czekała śmierć z powodu chłopki i chorej staruchy, które ni to nie miały nic do stracenia, ni to głupio liczyły na przysłowiowy „nuż i widelec”?!

- A jeśli wypływać nie z portu? - nalegał Dar. - Powiedzmy dotrzeć na pełne morze w łodzi rybackiej, a tam przenieść się na statek?

Kerren skrzywił się: czy ty, przybłąkany dzieciaku, naprawdę uważasz, że jesteś mądrzejszy od szakkarskich arcymagów?

- Zakłęcie tworzy zamknięty pierścień dookoła wyspy. Poza portem działa jeszcze sztywniej - rybacy mają zakaz oddalania się od brzegu dalej niż na wiorstę, a statki - podpływania bliżej niż na dwie. Żeby ustawić to paskudztwo, Terilla sięgnęła do nekromancji: złożyła w ofierze jedną z uwięzionych magiczek, więc dla zdjęcia potrzebne są takie siły, że na późniejszą bitwę nie zostanie nic a nic. Nie wspominając o tym, że od razu się zdradzimy, przyłaż i bierz...

- Ale czy wy naprawdę nie macie swoich ludzi wśród marynarzy i kupców? Skoro nawet w tajnej służbie się jacyś znaleźli?

- Oczywiście, że mamy. Już się z nimi skontaktowałem, poinformowałem o was, o fałszywej Rionie i poprosiłem o pomoc. Ale statek handlowy potrzebuje trzech dni, by dotrzeć do Belorii, a flota nie zbiera się w jednej chwili... Jeśli Naum w ogóle będzie chciał się wtrącać.

- Będzie. Tylko czeka, żeby Terillę ktoś zdjął!

- Nie mylcie królewskich życzeń i polityki. Czekanie jest prostsze od ryzykowania statkami. Ale przynajmniej przytrzyma fałszywą Rionę. Tak że jesteście w znacznie lepszej sytuacji niż my...

- Wstawaj. - Tien wyciągnął do mnie rękę - Pójdziemy zjeść śniadanie. Chociaż obawiam się, że wszystko już wystygło.

Niezgrabnie spróbowałam podnieść się sama. Antarowy łańcuch z obręczą brzęknął o podłogę i rzuciłam magowi pytające spojrzenie.

- Mnie wczoraj też założyli, zobacz! - naskarżył brat, pokazując bransoletkę. Ale on przynajmniej miał cienką, nawet rzeźbioną - ozdóbką, a nie łańcuchy.

- Riono... - Wilkołak się zawahał. - A one pani bardzo przeszkadzają?

- W zasadzie to nie bardzo - zlitowałam się. - Mogę póki co ponosić dla waszego spokoju.

Kerren z wdzięcznością skinął głową.

- A ty? - zawołał przyjaciela Tien.

- Potem. - Ten zbył go gestem. - Trzeba zwołać ogólną naradę. Nadszedł czas na zdecydowane działania.



- Kogoś ty mi, dziecko, przypominasz. - Kucharka podejrzliwie zmrużyła oczy. - Czy przypadkiem nie...

- To moja kuzynka - przerwał jej Tien. - Z Przybrzeża. To co z tym śniadaniem?

- Wstawiłam do pieca, bo ja was znam! Póki się zbierzecie...

Kobieta jeszcze raz spojrzała na moją twarz, potem na jednookiego. Też mi się krewniak znalazł. Tyle dobrego, że się ogolił. Krytycznie poszukałam zapowiedzianego podobieństwa i niespodziewanie odnotowałam, że Tien wcale nie jest aż taki przerażający. Normalny mężczyzna, nawet sympatyczny, jeśli nie zwracać uwagi na opaskę, sińca pod okiem i krwiaka na policzku.

Ale kucharka zostawiła mnie w spokoju, za to ściągnęła z miejsca „służącą”, by ta pomogła nakryć do stołu. W ramach wdzięczności Dar otrzymał burkliwe: „Chodź, kochana, nakarmię cię w kuchni, niechaj się brat ze siostrą nagadają”, obraził śmiertelnie i ogłosił, że w takim razie to Tien powinien zniknąć. Kobieta nie zrozumiała nic a nic i wbiła w jednookiego zdumione spojrzenie, ale on uprzejmie wyprosił z jadalni ją samą.

Brat z satysfakcją pokazał jej plecom pięść i rzucił się na jedzenie. Ja tymczasem nie mogłam przełknąć nawet kęsa, mimo że kotlety były bardzo dobre, z ryby, z cebulą i drobno krojoną zieleniną.

- Terilla nie zabije waszego ojca. - Tien spróbował mnie niezgrabnie pocieszyć. - Nie jest głupia, żeby tak banalnie się zdradzić. Beloria to nie Szakkara, macie tam Konwent Magów i króla... Skłamię coś, że niby miała atak bezsenności i chciała się podleczyć artefaktem.

- Nie umiem korzystać z artefaktów - przyznałam chmurnie. - Nawet nie dam rady określić, który jest do czego potrzebny.

- No to szukała ukochanej broszki.

- W biurku ojca?
- A może cierpi na lunatyzm - zasugerował Tien już mniej pewnie.
- Jeszcze jak cierpi! - ożywił się brat - Na przemian łązi po dachach i kradnie kładnie z mojej skarbonki.

- Nie kłam, masz tam samą miedź!
- Właśnie! A skąd niby o tym wiesz?

Straciłam dar mowy i błagalnie spojrzałam na Tiena. Ten uśmiechnął się ze współczuciem, ni to dla mnie, ni to dla mego brata.

- Dar, a ty się nie martwisz o ojca?
- Martwię - zaprzeczył z urazą. - Ale bohatersko nie daję po sobie poznać i w miarę możliwości zbieram siły do walki ze złem.

Na pokaz zaczerpnął gigantyczną łyżkę sałatki i władował do swojego talerza. Po chwili namysłu również sięgnęłam po poczęstunek.

- Tien, a jak się wydostałeś z lochów? - wymlaskał Dar z ciekawością.
- Wyciąłeś tamtym sztyletem całą ochronę?

- Patrzcie. - Mężczyzna złapał jedną ręką za nasadę ostrza, a drugą za jelec i z wysiłkiem przekręcił. Rękojeść okazała się wydrążona i z niej na dłoń Tiena wypadł cienki grafitowy patyczek.

- Co to jest?
- Amulet do otwarcia teleportu. Jednorazowy, dopiero co poprosiłem Kerrena o nowy.

- Ale przecież zamek jest chroniony przed teleportacją?
- Tyle że jakoś trafiłem do środka - uśmiechnął się Tien. - Nasi magowie znaleźli dziurę w obronie i błyskawicznie z niej skorzystali. Wystarczy złamać ten drobiazg i z dowolnego punktu wyspy przeniosę się na środek labiryntu. A jeśli ktokolwiek spróbuje wskoczyć za mną, to znam jaskinie jak swoje pięć palców, więc po chwili kluczenia ucieknę przed każdą pogonią. Mam tam nawet parę schowków.

- Z kajdankami?

- Yhym. I jeszcze innymi czarodziejskimi zabaweczkami na wypadek, gdyby mag chciał udawać niewidzialnego. Tak więc znalezienie was było banalne. Nie wspominając o tym, że widziałem przez szczelinę na wyższej kondygnacji, jak malowniczo leccie ze statku.

Szturchnęłam widelcem trzeci z kolei kotlet, zdecydowałam, że jednak nie dam mu rady i przyznałam się:

- A myśmy z początku cię wzięli za zjawę.

- Za zombi! - poprawił mnie Dar z oburzeniem. - Swoją drogą, pokłóciliśmy się z Rinką ostatnio: czy ten wasz król jest duchem czy jednak chodzącym trupem?

Tien spojrzał dookoła, jak gdyby duch mógł nas podsłuchać i półgłosem obiecał:

- Zaraz opowiem. Tylko się nie śmiejcie! I nie wspominajcie więcej o sprawie przy Kerrenie. On nadal to przeżywa.



- Tien, znalazłem go!

Ręka drgnęła i sztylet, mający trafić Terillę w czoło, wylądował w lewym dolnym rogu portretu.

Tien z pretensją obejrzał się na niezwykle wzburzonego maga.

- Kogo?

- Dziedzica! Prawowitego! I nawet bliższej krwi niż Laien!

- Kłamiesz! - wyrwało się jednookiemu.

Przystojny brunet był drugim z kolei atutem Terilli po flocie. Bo portret władcy to za mało, trzeba posadzić na jego miejsce kogoś godnego. Albo przynajmniej prawowitego.

- Pamiętasz, że ojciec naszego króla miał siostrzenicę? Malarkę?

- Lesse? Ja bym miał nie pamiętać. - Tien wzdrygnął się. Płótno „Strzyga i dziecko” było najbardziej obrazoburczym eksponatem muzeum Szakkary. Urażone w swoich świętych uczuciach matki żądały wyrzucenia paskudnego obrazu won, a jeszcze lepiej spalenia. W końcu, kto ucieszyłby się na myśl o tym, że twoje delikatne czarujące maleństwo może z niewinnym uśmiechem wpakować komuś w oko osikową rączkę grzechotki?

- No więc, wyszła za mąż i urodziła dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Chłopiec ożenił się z Winnessanką i przeniósł do teściów, a dziewczynka została na Szakkarze. I znalazłem jej syna! Teraz ma dwadzieścia trzy lata i jest wspaniałym chłopakiem - mądrym, poważnym, pomocnym. Nieco nieśmiałym, ale królowie się z tego szybko leczą.

- Czekaj, chyba ja go znam - powiedział Tien z pewnym niepokojem. - Taki ciemny blondyn o lekko końskiej twarzy, prawda? Ale przecież jest przybranym synem, po jednej ze służących - oba małżeństwa pani Kliwy były bezpłodne.

- Właśnie o to chodzi, że rodzony! - z satysfakcją ogłosił mag - Tyle że urodzony długo przed ślubem. Sam rozumiesz, szesnaście lat, wiosna, romantyka, przyjezdny rycerz i takie tam. Więc „takie tam” zostało na trzy lata oddane piastunce, a potem „adoptowane”. W zeszłym roku chłopak został podwójnym sierotą, bo zmarła zarówno pani Kliwa, jak i piastunka, ale matka służącej doskonale wszystko pamięta. Spędziliśmy z nią właśnie bardzo miłe dwie godziny przy herbacie i ciastkach. Babka nienawidzi Terilli i podejrzewa, że tamten sztorm to jej sprawka.

- Ale dlaczego uważasz, że starucha nie kłamie? Może po prostu ma ochotę zobaczyć swojego wnuka na tronie. - Tien rzucił ostatni sztylet, tym razem dokładnie w środek, czyli w nos Terilli. - Albo w ogóle już wpadła w demencję.

- Ona wie, że jestem magiem i sama zaproponowała, żeby to sprawdzić - zaprzeczył wilkołak. - A do tego trzeba zaledwie dwóch kosmyków włosów.

- I skąd masz zamiar wziąć królewskie?

- Oczywiście z grobowca.

- Łatwiej będzie złapać Laiena i go ostrzyc.

Królewskiego grobowca pilnowano nie gorzej od skarbcza - z trumien można było zeszkrobać co najmniej pud samych złocień, a potem jeszcze wydłubać worek kamieni szlachetnych. Nie wspominając o tym, że koronowane trupy zwykle nie udawały się na tamten świat z pustymi rękoma.

- Laien się nie nada - odpowiedział mag, krzywiąc się i Tien zrozumiał, że jego przyjaciel już ocenił i odrzucił taką możliwość. - On właściwej krwi ma może napaśtek, a ja potrzebuję wzorca.

- Można podkupić opiekuna grobowców - zaproponował jednooki, powoli zaczynając wciągać się w pomysł.

- Nie podoba mi się. - Kerren pokręcił głową. - Dwulicowy człowieczek, obawiam się, że na nas doniesie Wiseltowi albo wyjmie włosy z pierwszego lepszego sarkofagu. Będę musiał sam.

- I jak zamierzasz dostać się do środka?

Kerren sceptycznie ocenił najeżony sztyletami portret i nie mogąc się powstrzymać dołożył coś od siebie. Pulsar trafił w brzeg ramy, dymiące płótno zaczęło się błyskawicznie zwęglać i rozpadać na czarne strzępki.

- Krzywe masz łapki - parsknął Tien dobrodusznie. - Ja bez żadnej magii trafiam dokładnie w cel.

- Ale masz znacznie łatwiej, nie trzeba mrużyć oka. - Przyjaciel oddał szpilkę. - Chyba się wybiorę do dajna.

- Na spowiedź? - zdumiał się jednooki.

- W celu wymiany doświadczeń. - Kerren wyszczerzył się zagadkowo. - I innych takich.



Królewski grobowiec znajdował się w parku zamkowym - w najdalszym rogu, żeby żywi i martwi nie niepokoiili się nawzajem. Miejsce nie cieszyło się specjalną popularnością, w końcu mimo wszystko trupy, trochę strach. Chociaż poświęcone zostało dokładnie jak należy: dajn z centralnej miejskiej świątyni codziennie przychodził modlić się za nieboszczyków. Co jakiś czas do wnętrza grobowca próbowali dostać się złodzieje, ale dwójka strażników w zupełności wystarczała, by złapać albo przestraszyć szkodników. Była tu również magiczna ochrona, mniej więcej trzeciego poziomu: dyletantów z amuletami odławiała już na wejściu, początkujący magowie za progiem tracili dar, a ci średniej klasy wpadali w pułapki. Bakałarz pierwszego albo wyższego stopnia dałby radę, ale ze sporym hałasem - znacznie bardziej prawdopodobne było, że prędzej rozwali grobowiec, niż go obrabuje, a przy okazji z pewnością ściągnie na siebie uwagę nie tylko tutejszych strażników, lecz również tych z zamku. Chociaż któregoś razu taka próba zakończyła się powodzeniem - bezczelny nekromanta poczekał na pełnię, będąc u szczytu mocy, przełamał ochronę, odwrócił uwagę strażników ruszającymi się w grobach nieboszczykami, zgarnął

ze ściany wążące pełen pud złote godło dynastii ze szmaragdami i rubinami, po czym nawiał. Delikwenta ostatecznie nie znaleziono, a godło na wszelki wypadek zmieniono na gipsowe pomalowane.

Ale w tej chwili był sam środek szarego zimowego dnia, więc strażnicy na posterunku byli zdecydowanie znudzeni. Ruszyli się wyłącznie na widok kroczącego w stronę grobowca dajna.

- A co, dziś już mamy sobotę? - szeptem zapytał strażnik kolegę. Tamten myślał chwilę, ale w końcu skinął głową.

- Yhym. Rano była teściowa. Przywiozła paszteciki.

- Dobrze?

- Z rybą - skrzywił się drugi strażnik. - Ona zawsze piecze z rybą. Już na nie patrzeć nie mogę.

- No to byś poprosił o jakieś inne.

- Już ze sto razy prosiłem. Właśnie dlatego upiekła.

- W takim razie powiedz, że w końcu doceniłeś i lubisz. Niech przyniesie jeszcze, byle więcej. Jakby coś, to ja zjem.

- Hm... - zastanowił się jego towarzysz. - Całkiem niezła myśl!

- Niechaj łaska bogów będzie z wami - przywitał ich sługa boży, zatrzymując się na granicy śniegu i czarnej ziemi przed wejściem.

- Hej... - zdziwił się szczęśliwy posiadacz pasztecikowej teściowej. - Nie jesteś dajnem Awminem!

- Ano nie jestem, synu - potwierdził pokornie gość, odrzucając na plecy kaptur ciepłej zimowej szaty. Nieznajomy był młody, ale już posiadał solidną brodę i brzusek. W rękach trzymał wyświechtany i dobrze strażnikom znany modlitewnik, w rogach udekorowany czterema szmaragdami. - Wielebny Awmin jest chory i prosił mnie o odprawienie mszy za duszę nieżyjącego króla.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego? - zmartwił się szczerze strażnik.

Starego kapłana lubiano, umiał znaleźć słowa pocieszenia i wsparcia dla każdego, od zrujnowanego kupca do zrozpaczonej wdowy. Na jego spowiedzi nawet przestępcy łkali ze skrucą i przysięgali, że nigdy więcej nie naruszą prawa - a przynajmniej nie w obecności dajna.

- Wszystko w rękach pana - westchnął brodac, nakreślił święty znak nad posłusznie pochylonymi głowami i ruszył w głąb korytarza.

Na szczęście dla Kerrena grobowiec zaczęto wypełniać od wejścia, więc trumna z ostatnim władcą znajdowała się prawie na końcu, w głębokiej niszy po prawej stronie. Po jej bokach płonęły dwie olejne lampki - od śmierci króla minęły zaledwie cztery miesiące. Za rok zostanie tylko jedna, jak przy każdym z przodków.

Mag zerknął na strażników. Jeden z nich nadal pilnował wejścia, ale drugi pewnie z nudów w pół obrotu pilnował gościa. Półmrok grobowca pozwalał mu dojrzeć jedynie zarys sylwetki w odblaskach płomienia (tu wilkołak miał przewagę, nie tylko widział wyraz twarzy przeciwnika, ale też słyszał jego - jeszcze - równy oddech). Ale jeśli „dajn” wstanie z kolan i zacznie dobierać się do trumny, to zdecydowanie wzbudzi ciekawość.

Sztuczna broda niemiłosiernie drapała w podbródek, fałszywy brzuch cisnął jak najprawdziwszy. Mag przekartkował modlitewnik („ślubna”, „skrucy”, „oczyszczająca”, „na dobry urodzaj”, „na drogę”) i wybrał coś, co wydało się pasować do okoliczności. A przynajmniej zaczynało się słowami „Ochrońcie, Najwyżsi, spokój tych, co odeszli od nas w głąbię ziemi...” Strażnika po chwili znudziło słuchanie monotonnego mamrotania i w końcu się odwrócił. Tymczasem Kerren doszedł do słów „...strąć stwory śmierdzące z powrotem do mogił...” i z

przerażenie zrozumiał, że trafił ma modlitwę dla uspokojenia nawiedzonego cmentarza. Ale było za późno by przerywać.

- „...niech wyciekną ich oczy, odpadną członki, a ciało zgnije na proch...” - mamrotał mag z rezygnacją, oglądając wieko. Było dokładnie takie jak być powinno - marmurowe, ciężkie, zamknięte na sześć zamków: dwa po długich bokach i jeden na krótkim. No co za pech! Kerren liczył, że wystarczy je zwyczajnie odsunąć. Oczywiście nawet zaczarowane zamki nie stanowią żadnej przeszkody dla doświadczonego maga, ale będzie to wymagało czasu. I jak dobrać się do tych, które są przyciśnięte sarkofagiem do ściany niszy? - „...i mrakobiesy uniosą przeklętego nekromantę do piekieł...”

Wilkołak zaciął się i w myśli sklął od kretynów. Zamki i biżuteria nieboszczyka były zaklęte, ale przecież on nie miał zamiaru niczego kraść. A kosmyk włosów można wyciągnąć bez większych problemów.

Kerren złożył palce w szczyptę i zaczął powoli przeciskać przez ściankę sarkofagu, mniej więcej na poziomie głowy nieboszczyka. Nie było to łatwe, srebrzysty marmur wydobyty w kamieniołomie sąsiadującym z kopalnią antaru bardzo słabo ulegał czarom, ale jakoś szło. Modlitwę musiał przerwać: chwilowa utrata skupienia i mag zostanie bez ręki - i to nie od razu, a dopiero gdy strażnicy skończą znęcać się nad pechowym złodziejaszkiem i „uwolnią” go przy użyciu miecza.

Aha, już. Teraz czuł dotyk marmuru tylko na nadgarstku, a palce trafiły na coś miękkiego. Kerren ostrożnie rozprostował je, pomacał dokładnie i z trudem stłumił mdłości. Ale nic to, może tak będzie się lepiej urywało... Przesunął dłoń wyżej i w końcu wyczuł pod nią włosy. Złapał, ile się dało, odetchnął i zaczął wyciągać rękę z powrotem. Łokieć wyszedł, połowa przedramienia, nadgarstek...

Głowa nieboszczyka stuknęła o bok sarkofagu. Wilkołak drgnął, mimo że był jedynym zdolnym do usłyszenia tego dźwięku.

To, że strażnik dokładnie w tej samej chwili się odwrócił, było czystym przypadkiem.

– Hej, co ty tam robisz?!

Nerwy wilkołaka, i tak napięte do ostateczności, nie wytrzymały. Zamiast udać, że stracił równowagę i oparł się o sarkofag ręką albo rzucić jakimś innym kłamstwem, Kerren wyszczerzył się i warknął na strażników tak, że nogi same zanosły ich pod ścianę. Szczęśliwie zdążył wyciągnąć rękę i z marmuru sterczał tylko kosmyk włosów. Wilkołak przeciągnął po nich ostrym pazurem, wpakował zdobycz za pazuchę i zwierzęcym skokiem znalazł się na trumnie. Nie patrząc, rzucił pulsar wzdłuż korytarza i błyskawicznie zapieczętował niszę magią.

W tym momencie zadziały wszystkie pułapki na raz: przejście zalała fala ognia, która po chwili została zgaszona przez obfity grad. Podłoga pokryła się lodową skorupą, nad którą gwizdnęły wypuszczone ze ścian bełty. Niektóre z nich trafiły w tarczę, powodując, że pokryła się siatką pęknięć - zaczarowane, żeby je...! Sądząc z nieprzerwanych przekleństw strażników, oni zdążyli paść na podłogę wcześniej.

Kerren nigdy nie dowiedział się, co tam jeszcze czekało złodziei włosów. Wyciągnięty z kieszeni artefakt rozżarzył się w jego palcach - mag wcale nie miał ochoty tracić cennego drobiazgu, ale nie miał wyboru, żeby tylko starczyło mocy! - z niszy błysnęło mlecznym lśnieniem, teleportując go do samego serca nadmorskich jaskiń. Wilkołak w pośpiechu splótł kilka zaklęć, zacierając ślady teleportu - choć nawet arcyomag nie potrafiłby teraz znaleźć go pośród magicznego bałaganu, który w tej chwili panował w grobowcu.

- Niczego sobie! - gwizdnął Tien, cierpliwie czekający na przyjaciela w umówionym miejscu.

Kerren spojrział w dół i uświadomił sobie, że nadal ściska kolanami sarkofag.

- I cała przygotowana, dokładnie wyważona propaganda, jaka powinna natchnąć lud do walki, poszła się utopić w najbliższym jeziorze! Teraz powtarzają tylko tę głupią historię o kradzieży królewskiego trupa, do której doszły wymysły o duchu, a powstańcy w tym wszystkim prezentują się ni to jako nekromanci, ni to zwykli idioci.

- Przesadza pan - pokrzepił go Dar fałszywie. - Wcale nie wyglądacie na nekromantów.

- A trumna? - Spiesznie zatuszowałam nieuprzejmość.

- Stoi w piwnicy Kerrena. Jakbyście na nią trafili to bogowie was uchowaj przed otwieraniem! Bo faktycznie się tam unosi... duch.

- Tien, pomóż mi wylać wodę z balii! - doleciał zza drzwi głos kucharki.

Jednooki przeprosił i wstał zza stołu. Dar odprowadził go zamyślonym spojrzeniem, odwrócił się do mnie i zazdrośnie stwierdził:

- Ten typek się chyba do ciebie zaleca.

- Że co?!

- No zobacz, jak czaruje!

- Co za bzdury, po prostu próbuje dodać mi otuchy! I w ogóle, Tien chyba należy do szlachty. Etykieta mu nakazuje flirtować z damą.

- Oj-oj-oj, jak my go już bronimy! Rinka, z kim ty się spierasz? Jakbym mało Witki kawalerów odstraszała... w sensie widział! Terilla pewnie gryzła palce, że z takiej ślicznotki zmieniała się w paskudną staruchę.

- Każdy wiek ma swoje zalety - broniłam się słabo.

- O to-to, i dwadzieścia pięć lat ma ich znacznie więcej! Żebyś widziała, jak kusząco on gryzie jabłko, patrząc na twoje...

- Przestań!

- ...dolne zalety - dokończył spokojnie Dar, uchylając się przed widelcem.

Nie zdążyłam rzucić łyżką, bo Tien wrócił. W dłoni nadal ścisnął jabłko, które już zmniejszyło się do całkiem nieprzyzwoitego - po uwagach Dara - stanu.

Mężczyzna uśmiechnął się. Ja przeciwnie, spłonęłam rumieńcem i wbiłam spojrzenie w talerz.

- Co? - zapytał jednooki z niepokojem.

- N-n-nic - wymamrotałam. - Zakrztusiłam się chlebem, khe-khe.

Dar złośliwie chichotał do wnętrza serwetki udając, że wyciera nos. Ot paskuda, on nakłamał, co ślina na język przyniosła, a ja teraz będę w każdym gościu Tiena podejrzewać, leszy wie co!

- A dlaczego widelec leży na podłodze? - Mężczyzna podniósł go, ze zdziwieniem obrócił w palcach i odłożył z powrotem na brzeg stołu.

- Spadł. Pewnie gość do nas śpieszy - rzucił Dar bezczelnie.

- I to niejeden. - Tien już nie siadał, tylko zasunął swoje krzesło i przeszedł po pokoju, niecierpliwie spoglądając przez okna.

Musiałam w pośpiechu dojeść sałatkę łyżką.

- A tamten chłopak okazał się prawdziwym dziedzicem?

- O tak, jak najbardziej królewskiej krwi. A potem wyszło na jaw, że pałacowy cyrulik przechowuje cały woreczek królewskich włosów jako relikwię i sprzedaje po szczypcie każdemu chętnemu, więc musieliśmy zbiorowo uspokajać Kerrena.



To królewskich ministrów i członków Konwentu trudno zebrać do kupy: jeden wydaje za mąż córkę, drugi ma pogrzeb ciotki, trzeci dostał ataku korzonków, a czwartemu się zwyczajnie nie chce, więc przysłała na radę zastępcę, tępego jak but.

Spiskowcy zebrali się w przeciągu jakiejś godziny, i to w komplecie. Mieliśmy tu magów, szlachetnych rycerzy (bez zbroi, ale z tak pełnymi natchnienia i heroizmu minami, że można z nich było teraz już malować obrazy) i barczystych chłopów w zwyczajnym ubraniu, poza tym parę krasnoludów, półelfkę wyglądającą na mocno lekkich obyczajów, a nawet jednego trolla. Wątpliwe, żeby tak bardzo cierpiał wraz z ludnością Szakkary, raczej wynajęto go dla czyjejs ochrony.

Nas również wpuszczono - miałam mocne podejrzenia, że nie z powodu wielkiego zaufania, tylko po to, by nie zostawiać bez dozoru.

- A to nasi belorscy sojusznicy - skłamał Kerren na pytające spojrzenia kolegów, krzywiąc się cierpiętniczo.

Miejsca przy stole dla wszystkich zabrakło, więc służący przynieśli kilka ławek, ustawiając je w drugim rzędzie. Ja i Dar skromnie przycupnęliśmy z brzeżku. Na podstawie opisu Tiena błyskawicznie znalazłam następcę tronu - chłopak faktycznie miał coś końskiego w twarzy, ale nie w kształcie tylko raczej w oczach - wielkich, brązowych, otoczonych długimi rzęsami. Wyraźnie nie czuł się najlepiej, siedząc u szczytu stołu, ale mężnie to znosił.

Zebranie otworzył Kerren jako gospodarz domu. Opozycja nie miała przywódcy jako takiego, a wyłącznie królewskiego potomka w charakterze dumnie powiewającego proporca. Mag przywitał się z szacownymi zebranymi, przeprosił ich za niespodziewane wezwanie i z miejsca wszystkich zastrzelił:

- Przyjaciele, w końcu udało nam się usunąć Terille.

W pokoju zaczął się harmider: „Jak?! Czy to jakiś dowcip? Jesteście pewni? A gdzie dowody?” Ludzie zerwali się z miejsc. Krasnoludy również, chociaż raczej na tym straciły, niż zyskały. Nawet troll udał lekkie zaciekawienie, odczepił od pasa manierkę i z bulgotaniem przyssał się do szyjki.

- Jestem pewien. - Wilkołak mimowolnie spojrzął na mnie, - Szczegóły później, ale zaręczam, że w tej chwili nie ma jej na wyspie i przez najbliższe trzy do czterech dni na pewno nie będzie. Uważam, że lepsza okazja do powstania nam się nie trafi. Królowa zniknęła, doradcy są zagubieni...

Jeżeli przedtem w pokoju buszował sztorm, to teraz zaczął się huragan. Nie, nikt nie miał problemów z pomysłem powstania jako takiego, ale propozycja, by zacząć je tu i teraz kompletnie spiskowców zaskoczyła.

- A co się stanie za trzy dni?
- Nie zdążymy schować kobiet i dzieci do lasów!
- Przydałyby się jeszcze dwa dni, magiczne tło jest dość niskie...
- Ale przecież wrogom też się trudniej czaruje!
- W zasadzie mam dwadzieścia kusz... oraz czterdzieści włóczni...
- Czyli wychodzi na to, że trzeba wycofać chłopaków ze Smoczych Piasków, a oni będą dopiero wieczorem!
- Czy nie zapomnieliście o flocie...?
- Najpierw trzeba zdobyć zamek, a potem można w nim rok trzymać obronę!
- Zależy przed kim...
- A co, jak wyślemy do bramy grupę wojowników przebranych za magów i niech rozpraszą uwagę, a potem rozwalimy tylny mur, na przykład „płomiennym kołem”?

- Ale co mamy zamiar zrobić z flotą?

Słowo „flota” powtarzało się coraz częściej i bardziej pytająco. Ludzie powoli dochodzili do wniosku, że tak w zasadzie to można powstać, ale jak rozwiązać główny problem?

Kerren poczekał, aż wszyscy usiądą.

- No więc, co mamy? - zapytał retorycznie sam siebie i sam wyłożył na stół wyświechtany kawałek pergaminu, gęsto pokreślony węgielkiem: kółka, kreski, pojedyncze runy. Niedbale machnął ręką. Doniesienie szpiega zmieniło się w barwną przestrzenną iluzję: szakkarski port ze stojącymi przy nabrzeżu statkami, od stoczni do wyjścia na otwarte morze.

- Dwadzieścia dziewięć statków z uwzględnieniem okrętu flagowego - wyjaśnił mag. - Nie licząc drobiazgu w rodzaju małych żaglowców, barek i łódek. W tej chwili na każdym ze statków znajduje się trzydziestoosobowa załoga. Na okręcie flagowym pięćdziesięciu ludzi. W przypadku alarmu ta liczba w ciągu godziny się potroi, a nasze szanse odpowiednio spadną. No więc, panowie, zastanówmy się nad tym, jak wyłączyć flotę z gry przed jej rozpoczęciem?

Przez kilka minut w pokoju panowała pełna namysłu cisza z werblami palców stukających o stół. Na wpół przezroczyste stateczki tańczyły na falach, po pokładach kręciły się miniaturowe ludziki.

- Podpalić - rzuciłam nieśmiało.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie, onieśmielając jeszcze bardziej.

- Nic z tego - uciął jeden ze starszych magów. - Jeżeli Szakkara zostanie bez floty, to natychmiast zainteresuje się nią ktoś z sąsiadów. Nawet i wasz Naum.

Przypomniałam sobie dyskusję z premierem i westchnęłam z poczuciem winy.

– Można załadować barkę kamieniami, poprowadzić do wyjścia z zatoki i zatopić, przegradzając wyjście - zaproponował Tien.

– Tak, ale podnosić ją potem też będziemy my - zauważył rozsądnie mężczyzna o opalonej twarzy i żółtych od tytoniu zębach doświadczanego żeglarza. - Bo chcemy przejąć flotę, a nie na zawsze zamknąć ją w zatoce.

Troll otarł usta łapą, beknął i leniwie doradził:

– To załadujcie ją gównem, ono się po jakimś czasie rozpuści i barka sama się uniesie.

Spiskowcy zamilkli z namysłem, trawiąc świeży, ale mało apetyczny pomysł.

– Tylko sobie wyobraźcie - szepnął Dar z zachwytem. - Pod jaką nazwą to powstanie przejdzie do historii!

– O nie! - Kerren skrzywił się. - W naszej historii i tak mamy dość... eee... barek. Nie wspominając o tym, że wyjście z zatoki jest szerokie, jedna barka tu nie wystarczy, a nikt nie pozwoli nam ustawić ich w łańcuszku. Jeszcze jakieś sugestie?

– A co jak naślemy na załogę zaklęcie paniki, żeby rzucili broń i skoczyli za burtę? - zapytał jednooki z nadzieją. - Dałbyś radę?

Mag sceptycznie pokręcił głową.

– Tien, ich jest za dużo. A na każdym statku pracuje mag pokładowy który zrozumie co się dzieje i wystawi tarczę.

W pokoju zrobiło się bardzo smutno. A po mojej głowie tymczasem kręciła się absolutnie głupia myśl, której nawet wypowiedzieć się nie dało bez chichotu.

– A jeśli rzucicie je nie na ludzi?



Mgłę, która opadła na morze w okolicy wieczora - w tych rejonach sprawa zupełnie normalna - niespodziewanie, jak gdyby wiatrem zdmuchnęło. A to już było coś, co mieszkańcy wyspy widzieli po raz pierwszy w życiu, szczególnie w sytuacji kompletnego braku wiatru, kiedy zasłona mgły zwykle tylko rozszerza się i umacnia. Niebo pozbawione szlafroka zrobiło się bordowe ze skrępowania. Powierzchnia morza odbiła je o ton ciemniejsze.

- Ze też komuś nie szkoda marnować mocy na takie bzdury - burknęła pogardliwie Heina, magiczka z okrętu flagowego. Była niesamowicie znudzona stercząc na przycumowanym statku, ale królowa raz już zjawiała się w porcie z kontrolą, po czym wymieniono magów na jedenastu statkach i kapitanów na dziewiętnastu. Heina zwyczajnie miała szczęście, poprzedniego dnia również uciekła do miasta na jarmark i wróciła na pokład po północy, tuląc tak samo pijanego elfa. Elfa bosman wywalił (mimo jego wrzasków o szlachetnej krwi i wybranym narodzie), magiczki się nie odważył (choć ona wyrażała się nawet dosadniej). Z kapitanem Heina pożarła się od razu po otrzymaniu przydziału, więc był zadowolony, że nie łązi po okręcie i nie szuka dziury w całym. Ale teraz bała się nawet skoczyć do karczmy w porcie po wędzonego kalmara. A jedzenie na statku budziło mdłości.

- Ech, taka pogoda to niedobry znak - wymamrotał kok, wyglądając z kambuza. Zachodzące słońce wydawało się dziesięć razy większe niż powinno - mgła chyba rozwiła się tylko nad zatoką i przy horyzoncie nadal tworzyła krwistą aureolę.

- No fakt - potwierdził przyboczny admirała. - Mam wrażenie, że zaraz trąba powietrzna przyleci albo jakaś inna cholera.

- Bzdura - ucięła magiczka. Nie lubiła kłócić się z pospólstwem, ale takie głupoty każdego mogą wyprowadzić z równowagi. - Po prostu któryś z czarodziejów manipuluje atmosferą. Może królowa się bawi.

Żeglarze ucichli. Z wyjaśnień Heiny zrozumieli jedno: zamiast cholery będzie dzuma. Ale będzie na pewno.

- Żeby jakiś wiaterek zawiał albo coś - szepnął kok tęsknie, zerkając na smętnie oklapnięte flagi. - Nie lubię martwej wody, nawet i w porcie.

- Będzie sprawa, będzie wiatr - ucięła Heina. Co za kretyni... Może powinna wysłać wiadomość do Wiselta? Ale nie znała go wystarczająco dobrze, żeby dyskutować o pogodzie. A żadnego zagrożenia nie było widać.

Kok wylał do morza cebrzyk resztek i wychylił się przez burzę, krytycznie badając wynik.

- A co, kilki już zmigrowały?

Małe złote rybki, które zwykle niezliczonymi chmurami kręciły się dookoła statków, teraz gdzieś zniknęły. Resztki majestatycznie opadały na dno, nieruszone ogryzki chleba powoli znosiło do burt.

- Jeszcze za wcześnie..., dopiero tydzień temu otworzyli łowiska. - Adiutant przeszedł na rufę i również zaczął wyglądać rybek. - Nie, zobacz, tam są! Zaraz wyczują i przyplyną.

Pięć sążni od statku poruszały się brzegi nierównej plamy ławicy, zakreślonej ciemnymi kreskami-grzbietami. Kok pogrzebał w cebrzyku, wydłubał przyklejony ogryzek i rzucił „śmieciarzom”. Ławica poruszyła się, rozsunęła w miejscu, gdzie upadł poczęstunek, ale jej nie tknęła.

- Rozpieszczone jak nie wiem co! - ni to się zdziwił, ni to oburzył bosman, dołączając do towarzystwa.

- Albo to my jesteśmy aż tak niewybredni - burknęła magiczka, tłumiąc paskudne beknięcie.

Niespodziewanie rybki się ożywiły, woda zawrzała podrzucając kromkę jak wrzątek ziarnko pieprzu.

– Aha, załapały - skonstatował kok z zadowoleniem, nie zauważając, że kromeczka nie zmniejsza się nawet o okruszek.

Za to Heina zerwała się ze skrzyni, jakby ją kto ugryzł.

– Co za...

Koniec zdania utonął w hałasie ulewy. Kilki zaczęły wyskakiwać z wody tak gęsto i z głośnym pluskiem, jak gdyby zaatakowały je tysiące rekinków. Trzepoczące złote rybki ze stukotem uderzały o burty lub z płetwami rozłożonymi w wachlarz dolatywały do pokładu i skakały po nim jak monетки.

Większość spadała z powrotem do wody - żeby po paru sekundach ponownie unieść się w powietrze.

Niebo nad zatoką pociemniało od ptasich skrzydeł i zadrżało od wrzasków. Mew było tyle, jak gdyby zleciały się tu z całego szakkarskiego wybrzeża. Ale zamiast łapać ogłuszone rybki, ptaki jak ślepe krążyły nad masztami. Heina złapała się za ramię, potem za głowę, zawyła z wściekłości i uciekła, by schować się pod żaglem. Mewy i nietoperze z nadmorskich jaskiń chyba miały wspólnego przodka.

Ponieważ każdy ptaszek miał tylko jeden ładunek, ostrzał szybko dobiegł końca, a ptaki po ulżeniu sobie zaczęły miotać się dwukrotnie szybciej i wrzeszczeć dwa razy głośniej. Na pokład wyskoczyli kapitan oraz admirał (ten ostatni nadal odruchowo ścisnął w dłoni delikatną filiżankę z kawą), a do burt na przemian przykleili się żołnierze i marynarze.

– Co tu się dzieje?!

O filiżankę coś brzęknęło, admirał z trudem utrzymał ją w ręku. Z niezrozumieniem zajrzał do środka, skrzywił się, pogroził spóźnionej

mewie pięścią i wręczył filiżankę adiutantowi.

Heina, nastroszona i czerwona z wściekłości, zapomniała nawet, jak powinna zwracać się do dowódcy.

- Jacyś kretyni zaczarowali wszystkie ryby i ptaki!

- No to proszę temu przeciwdziałać. - Kapitan uniósł brwi, czerpiąc wyraźną satysfakcję z pohańbienia swojego wroga. - Przecież jest pani pokładowym magiem.

Heina zacisnęła usta. Uspokojenie zwierząt, które szalały nad całą zatoką - od trzydziestu sążni nad wodą po ghyr wie, ile pod - zdecydowanie przekraczało jej siły.

Admirał i kapitan zachowywali pełen wyższości spokój - w życiu zdarzało im się trafiać w większe tarapaty, żołnierze również próbowali nad sobą panować, ale za to załoga wpadła w popłoch.

- Ale po co komuś jest potrzebny ten... spektakl? - Admirał patetycznie wskazał ręką zapaskudzony pokład.

- Może próbują obudzić morskiego potwora? - rzucił przypuszczenie kucharz, który był wielbicielem strasznych morskich opowieści. - I to on przeraził ryby?

- A co z mewami?

- Pewnie widzą go z góry.

- Głupstwa! Ktoś po prostu próbuje was - Heina wypowiedziała ostatnie słowo z naciskiem - nastraszyć!

- Marynarzy straszy się nie skaczącymi rybami, a uciekającymi szczurami - zauważył słusznie kapitan. - A akurat one niespecjalnie się przejmują.

Szczur, który spokojnie strugał zębami upuszczony przez kogoś kawałek suchara, z poczuciem winy położył po sobie uszy i uciekł za beczkę.

- Oczywiście, bo statek mogę osłonić tarczą, ale przecież nie całe morze! - Magiczka rozpaczliwie próbowała określić, skąd pojawiło się zakłęcie, ale bez skutku. Chyba było przygotowywane przez kilka godzin, z różnych punktów wybrzeża i teraz nastąpiła aktywacja.

- Hej, widać tam coś?! - zawołał sternik wartownika w bocianim gnieździe. Marynarze nadal czuli spory niepokój w związku z teorią o budzącym się potworze.

- A ghyr go tam wie! - zabrzmiało z góry po chwili pełnego napięcia wypatrywania. - Chyba widzę coś ciemnego... albo białego...

Wzburzona przez kilki woda faktycznie spieniła się jak w czasie burzy.

- Mam przygotować harpuny? - zapytał sternik rzeczowo.

- Nie zaszkodzi - zdecydował kapitan.

Na pokładzie zapanowało lekkie zamieszanie: na zgodne skinienie admirała żołnierze również przygotowywali miecze i łuki.

- To po prostu czyjś głupi żart! - wrzasnęła Heina, próbując przekrzyczeć hałas. - Nie ma tu żadnych potworów! Zaraz spróbuję coś zrobić...

Marynarze zamilkli, nadal promieniując niedowierzaniem jak zamknięty kibel zapachem. Szczególnie że ani ryby, ani ptaki ani myślały się uspokajać: nawet jeśli magiczce udawało się zdjąć panikę z części ławicy, to po upływie sekundy stadne zwierzęta zarażały się nią od towarzyszy.

Zdesperowana Heina złapała za amulet, mimo że czarodzieje z innych statków na pewno ją wyprzedzili. Tam działało się dokładnie to samo: ludzie biegali po pokładach, krzyczeli do siebie, co chwila wyglądali za burtę. A to co za paskudztwo?! Magiczka z wściekłością potrząsnęła kryształem. Jacyś dranie zablokowali połączenie z

zamkiem! Ciekawe, na co oni liczą? Jak nie magia to wypuszczony przez szpiega gołąb powiadomi Wiselta nie później niż za pół godziny. A w tym czasie dwa i pół tuzina magów i prawie tysiąc marynarzy i żołnierzy mogą przez kilka godzin utrzymać statki nawet przeciwko przeciwnikowi równemu siłą (bo niby, skąd miałyby się tu wziąć przeważające siły wroga?) albo wyprowadzić je w morze.

Ale chwilowo nikt ich nie atakował ani nawet się nie pokazał. Tylko tłum na brzegu był coraz gęstszy, a strażnicy nawet nie próbowali go rozpędzić, bo gapili się sami. Niektóre roztropne osoby wlażyły do wody po kolana i próbowały łapać skaczące ryby rękoma i koszulami. Części z nich się to nawet udawało.

– MÓJ LUDU!

Głos przetoczył się nad portem jak grzmot. Zrobił wrażenie nawet na rybach, które w jednej chwili zniknęły pod wodą. Mewy nadal krążyły i się darły, ale ciszej i rzadziej, powoli osiadając na masztach i morzu.

A z szarego płótna nadbrzeżnych skał wyłoniła się lśniąca postać trzy razy wyższa od człowieka. Białe płaszcz powiewał jak skrzydła boskich posłańców, w lewej ręce miała berło, w prawej miecz, a nad głową koronę. Brwi surowo zmarszczone, orle spojrzenie wbite we wszystkich i w każdego, budząc strach w duszach wrogów, wstyd w tchórzliwych sercach i odwagę w wiernych.

Właśnie takim lud pamiętał swojego króla, kiedy udekorowany paradnym portretem kondukt przejeżdżał po stolicy, zbierając ostatnie kwiaty i łzy.

– STARCZY JUŻ CIERPIENIA POD WŁADZĄ NIEGODNYCH! - ciągnął duch, kiedy już doczekał się ogólnej uwagi. - WYPROSTUJ SIĘ, ODRZUĆ STRACH I STAW GODNY OPÓR UZURPATOROM!



Magowie królewskiej floty nie byli najlepszymi na Szakkarze. Zresztą, najgorszymi też nie - ot, doświadczona klasa średnia drugiego, trzeciego stopnia, zdolna wyczarować odpowiedni wiatr albo wypuścić na wroga huragan pulsarów. Niczego więcej od nich nie wymagano, akademicka sztuka wyższej magii nie jest specjalnie ceniona w czasach wojny.

- Na flagowcu w ogóle jest praktykantka - skomentował szeptem Tien. Nie bardzo było przed kim się chować, ale echo w jaskiniach nasilało każdy pisk do ryku. - Znaczą najważniejszym morskim magiem podobno jest Wiselt, ale on pojawia się w porcie dopiero na alarm bojowy. Panienska tam robi za stracha na wróble - pod nieobecność gospodarza ptactwo odgania. Próbowaliśmy ją zwabić na naszą stronę, ale gdzie tam!

- Co, tak bardzo oddana Teriili?

- Przeciwnie. Marzy o zajęciu jej miejsca na tronie, ale nigdy nie będzie miała ku temu ani zdolności, ani rozumu. Ale za to arogancji aż nadto. Leszy z takimi sojusznikami...

Magowie na statkach opamiętali się i zaatakowali zjawę tak gwałtowną lawiną zaklęć, że na kilka minut zniknęła za zasłoną z iskier. Sensu w tym było niewiele, tylko skały się stopiły i na tle spalenizny królewski duch zrobił się nawet bardziej wyraźny. Niektórzy byli mądrzejsi i walili nie pulsarami czy egzorcyzmami, tylko zaklęciami przeciwko fantomom, ale iluzja była tak szybko odnawiana, że niewtajemniczeni widzieli tylko lekkie migotanie, całkiem pasujące do istoty z zaświatów. „Króla” podtrzymywali najsilniejsi magowie opozycji, więc pobicie ich liczebnością nie szło najlepiej. („Zniknie tylko

razem z nami!” - oznajmił wilkołak z lekkim patosem). Poza tym pewien wpływ miało doświadczenie w tworzeniu jaskiniowych potworów, w czym jeśli wierzyć Tienowi, z Kerrenem po prostu nikt nie mógł się równać.

- A gdzie jest Dar? - zorientowałam się. - Dawno go widziałeś?

- Z domu wychodził z nami - przypomniał sobie jednooki. - I chyba do labiryntu również włąził..., może został z tyłu na którymś zakręcie?

W skałach po tej stronie zatoki istniały cztery „okienka” obserwacyjne - długie wąskie szczeliny, niewidoczne od strony morza. Magowie podzielili się odpowiednio - jedna grupa odpowiadała za pogodę i panikę, druga, największa, za „króla”, trzecia - za blokowanie telepatii i „odstrzał” posłańców. Przy czwartym zalegliśmy my i jeszcze para obserwatorów. Miejsce dla ducha wybrano na przeciwnym brzegu, bliżej floty - i słusznie, bo wrogie pulsary już zdążyły strzaskać skałę.

Wejść do jaskiń pilnowali kusznicy, chociaż jeżeli królewscy magowie dotrą do portu, zanim zadziała nasz plan, niespecjalnie się oni przydadzą. Spiskowcy postawili na jedną kartę wszystko i naraz, w przypadku niepowodzenia pozostawało im tylko rozpierzchnąć się haniebnie bądź przyjąć beznadziejną walkę, bo po „dowcipie” z iluzjami magowie będą bardzo osłabieni.

- Raczej poszedł za Kerrenem - powiedziałam z irytacją. - Mimo wszystkich zakazów. Nie rozumie, że będzie im tylko przeszkadzał!

- Dzieciak - uśmiechnął się Tien. - I co mu zrobisz?

- Lanie, jeśli znowu się w coś wpakuje!

„Król” zakończył krótką natchnioną przemowę i gestem dowódcy, wzywającego wojsko do bitwy, uniósł w górę rękę z mieczem. Koniuszek klingi załśnił, puszczając po niebie złote kręgi.

Ludzie na statkach i brzegu patrzyli po sobie, targani dzikimi wątpliwościami. Czyli król jednak zmartwychwstał? Czy magowie na statkach jednak mają rację i to jedynie toporna podróbka (ale w takim razie, dlaczego ciągle nie mogą sobie z nią poradzić, co?). I gdzie są główni królewscy czarodzieje? Gdzie jest Terilla, dlaczego nie śpieszy flocie z pomocą? Nie żeby ta ostatnia była jej jakoś specjalnie oddana, ale służba to służba, a poza tym żołd zawsze płacono w terminie: ani jeden władca, nawet ten najokrutniejszy, nie będzie zadzierał z własnym wojskiem.

Napięcie sięgnęło szczytu, kiedy wybuch albo następuje, albo już nie ma co na niego czekać. Ja i Tien mimowolnie złączyliśmy ręce i w tym momencie duch odezwał się ponownie. Jego głos był lekko zmieniony, powiedziałabym, że jakiś taki kobiecy, ale nadal brzmiał jak grzmot:

– RADUJCIE SIĘ, MOI DOBRZY PODDANI! KRÓLOWA ZOSTAŁA POKONANA, ZNISZCZYŁEM SAMOZWANKĘ I WYRWAŁEM JEJ SERCE!

Wargi „króla” się nie poruszały (choć akurat to lud odebrał bez większego zaskoczenia, w końcu duch!) i dalej wisiał przy skale jak pomnik, ale skądś z niebios spadła ciemna grudka, która z gwizdem przecięła powietrze i upadła na pokład flagowca, wprost do stóp admirała. Ten schylił się, wyciągnął drżącą rękę... i padł obok.

– Precz z tyranią przeklętej wiedźmy i jej sługusów! - wrzasnął kok w szokowane twarze żołnierzy, nadal nie wypuszczając cebrzyka.

Kapitan odkaszlnął, hamując ludzi i równocześnie przypominając im, kto tu rządzi. Długo i uważnie wpatrywał się w twarz bladego buntownika, a następnie zwrócił w kierunku pierwszego pomocnika i surowo rozkazał:

– Spuścić flagę! I podnieść prawdziwą, królewską. Przyniesz ze skrzyni pod moją pryczą, jest zawinięta w starą koszulę.

Heina głucho pisnęła - ktoś zwinnie narzucił na nią worek i zaczął owijać sznurem.

A ludzie faktycznie się radowali.



- Dar, skąd wzięłeś to paskudztwo?!

W kierunku baby, płuczącej w wodzie zakrwawione ręce, z wściekłością sunęłam nie tylko ja, ale też reszta uczestników nadprzyrodzonego przedstawienia. Ostrzał przeciwnika częściami ciała Terilli nie występował w naszych planach, więc psotnego improwizatora czekała poważna bura.

- Z rzeźni - odparł Dar ze spokojem, wycierając ręce o fartuch. - O tam, koło wejścia do portu. Póki wy się przygotowywaliście, ja po nie skoczyłem.

- I od kiedy to sprzedają tam ludzkie serca?!

- Tak w zasadzie to poprosiłem o wieprzowe. - Dar wzruszył ramionami. - Ale świeże.

- A jeśli jakiś rzeźnik zauważy oszustwo?

- I dobrze. Kolejny dowód na to, że Terilla była bardzo niedobłą kobietą. Tak więc powinniście mnie nie rugać, tylko podziwiać! Gdyby nie ja, to nic by wam nie wy... Oj-oj-ej-ej!

Okazało się, że nie wszyscy magowie mają aż takie skrupuły, by czekać, aż dziecko osiągnie wiek, w którym można je wyzwąć na pojedynek. Tien chętnie dotrzymał Kerrenowi towarzystwa i z satysfakcją, przypominając Darowi wszystkie jego poprzednie kawały, wytargali nicponia za uszy.

- Rinkaaa! - kwiknął jak prosiak, podkulając nogi. - Powiedz im, żeby mnie puścili!

Mężczyźni wstrzymali egzekucję i pytająco spojrzeli na mnie.

- Kerrenie, proszę, puść go! - poprosiłam żarliwie. - Nie-nie, Tien, ty trzymaj! Teraz moja kolej!

- Oj-oj-jooooo!

- Ku twojej wiadomości - poinformował Tien Dara. - Mieliśmy w tłumie swoich ludzi. Powinni byli jako pierwsi zakrzyknąć: „Niech żyje król!” i „Precz z Terillą!”, prowadząc za sobą ludzi, ale przez to głupie serce zaniemówili.

- A co, jakby naród nie dał się poprowadzić bez serca? - wydukał mój brat przez łyżę. - Aj-aj-ajjj!

- Dobra, starczy tego dobrego. - Kerren przerwał nam tę przyjemną chwilę. - Czas do portu, Wiselt będzie tam z minuty na minutę.

Jak bardzo by się spiskowcy nie śpieszyli, czarodzieje jednak potrzebowali trochę cennego czasu na odnowienie sił - bakałarze na opustoszenie przygotowanych zawczasu kolektorów WJM (Amulet do zbierania i przechowywania czystej mocy magicznej, która liczona jest we względnych jednostkach magii), arcyomagowie na medytację, by zbierać rozsianą w powietrzu moc. Młodzież, która była kompletnie wyczerpana i niezdolna do rzucania czarów przed jutrzejszym porankiem, najpierw wysłano do domów, ale oni obruszyli się i stwierdzili, że dzięki bogom użycie miecza nie wymaga magii.

Potem powstańcy podzielili się na grupy - mag i kilkoro wojowników i zaczęli zgodnie, jedna po drugiej, teleportować się.

- A was Tien odprowadzi do domu - powiedział Kerren, kiedy polana przed jaskinią opustoszała.

- Dlaczego?! - obruszył się Dar, czerwieniejąc opuchniętymi uszami.

- Ponieważ wojna to nie jest miejsce dla kobiet i dzieci - odparł mag i zniknął, zanim ktokolwiek z naszej trójki zdążył powiedzieć słowo sprzeciwu.

Na Tiena żal było patrzeć. Niańczyć się z głupimi babami, kiedy jego towarzysze staną do tak długo wyczekiwanej walki o wolność! Ale któregoś z wojowników i tak trzeba by było zostawić, a pozbawianie oddziału maga miało jeszcze mniej sensu.

- Chodźmy - warknął, od razu rozwijając taką prędkość, że rozkaz powinien brzmieć „biegnijmy” albo wręcz „lećmy”.

- „Odprowadzi” przecież nie znaczy „i będzie pilnował do naszego powrotu” - rozmyślał na głos Dar, sapiąc. - A „odprowadzi i zamknie” też nie powiedział. Hej, Tien, a czy dom znajduje się w drodze do portu?

- Nie.

- No to po co robimy ten hak? Przecież i tak idziemy tam.

Mężczyzna nic nie powiedział, ale po jakichś dziesięciu sążniach bez uprzedzenia skręcił ze ścieżki. Dar z triumfem puścił do mnie oczko. W odpowiedzi pokręciłam palcem przy skroni. Kompletnie nie miałam ochoty dołączać do powstania. Zresztą, na siedzenie w piwnicy też nie... chyba nawet w większym stopniu.

Nachmurzony przewodnik z zaciśniętymi zębami prowadził nas na przełaj przez las (prawdopodobnie najkrótszą drogą), co jakiś czas podając mi rękę, by pomóc przejść nad leżącym pniem albo przeskoczyć strumień. Na dnie płytkiego parowu trafiliśmy na cztery wilki, rozprostowujące łapy przed wieczornym polowaniem, ale zwierzęta spojrzały na nas i uznały, że nie będą się pchać.

- A co jak tam się już wszystko skończyło? - jęczał brat.

Zza lasu i skał nie dolatywał żaden dźwięk, niebo z jednej strony poczerniało, a z drugiej pozostawało krwawoczerwone - zachód?

Pożar? Odblaski bitwy?

Ale kiedy po pół godzinie, zziajani i obsypani sosnowymi igłami wypadliśmy na piaszczystą plażę, „tam” nic się nawet nie zaczęło. Tylko tłum zrobił się dziesięć razy większy, połykając zebranych w porcie mieszkańców oraz wojsko ze statków. Szesnastu związanych magów zniesiono na brzeg, trzynastu zeszło na własnych nogach z wyrazem skruchy na twarzy („już dawno byśmy rzucili tę parszywą służbę, ale nie mieliśmy wyboru”) i przyłączyło do powstańców. Dokoła panował taki harmider, że krzykliwe mewy by pewnie ogłuchły. Kompletnie nieznani sobie nawzajem ludzie łapali się za rękawy i wypytywali o najnowsze informacje, natychmiast relacjonując je nowo przybyłym.

Duch zniknął, ale jego rolę przejęli powstańcy. Krzyczeli „Do zamku!” „Do zamku!” i machali flagami oraz mieczami. Tłum odpowiadał pełnym poparcia rykiem, śpiesznie rozdzielając pomiędzy siebie przywiezioną na wozach broń: włócznie, topory, okute żelazem pałki. Szybko zapadał zmrok, ale na placu robiło się tylko jaśniej: powstańcy zapalali pochodnie i pulsary.

Wiselt ostatecznie się w porcie nie pojawił. Ani on, ani reszta królewskich magów, ani nawet straż miejska.

Przepchaliśmy się do Kerrena i otoczyliśmy go pierścieniem. Drgnął, skrzywił się, ale nie powiedział nic odnośnie do złamania zakazu.

- No i jak wam się to wszystko podoba?
- Co dokładnie?
- Właśnie ja też nie rozumiem, co Wiselt planuje?
- Może nadal nie wie o powstaniu?

Kerren z emfazą wskazał port. Wzięcie tego za święto ludowe z okazji dobrej pogody faktycznie było cokolwiek trudne.

- Zbiera wojsko? - spytałam drżącym głosem.

- Jakie? Żołnierze, gdy tylko się dowiedzieli, że flota przeszła na naszą stronę, to poszli za jej przykładem.

- Czyli wychodzi na to, że już wygraliśmy? - zapytał Dar z radością.

- Nie mam pojęcia, co z tego wychodzi - burknął wilkołak. - Wiselt ma jeszcze straż zamkową i kilkudziesięciu bardzo dobrych magów, którzy doskonale rozumieją, że nie będziemy dla nich łaskawi. I żeby tak po prostu oddali nam Szakkarę? W życiu w to nie uwierzę.

Było już za późno, żeby się cofać - tłum w końcu wyruszył w kierunku zamku. Najpierw powoli i bojaźliwie, ludzie patrzyli po sobie w poszukiwaniu wsparcia, a potem jednym porywem, jak szarańcza na jeden jedyny burak na środku pola. Nawet słyhać było nie tupot, a równy miarowy marsz.

Na czele niesiono „serce Terilli”, uroczyście nadziane na lancę.



Pojawił się księżyc, z ciekawością sunący po niebie za powstańcami. Spacer w chłodzie był znacznie przyjemniejszy i szybszy, po drodze dołączali do nas ludzie, czasem całymi wsiami. Bałam się, że zanim dotrzemy na miejsce zapal bojowy tłum zgaśnie, ale trzygodzinny spacer w dobrym towarzystwie tylko dodał wszystkim animuszu.

Zamek powitał nas nieprzyjaźnie. Czy raczej nie chciał witać w ogóle: most nad fosą był uniesiony, kraty opuszczone, a wszystkie ognie wygaszone.

- Taaak - mruknął Tien paskudnym tonem.

Szerokość słabo lśniącej fosy nie przekraczała dziesięciu sążni, ale nikt nie miał ochoty na mierzenie jej głębokości.

Po bramie zagruchotały kamienie. Magowie już zamierzali dołożyć coś mocniejszego, ale w tym momencie na pałacowym murze pojawiła się samotna postać z pochodnią.

– Czego? - nieśmiało pisnął strażnik.

Sądząc z ryku, jaki usłyszał w odpowiedzi, goście mieli ochotę na wszystko i natychmiast, a najlepiej ze szczególnym okrucieństwem.

– Sprawiedliwości! - podsumował przyszedł król. Głos miał głośny i przenikliwy, jak końskie rzenie. - Już mi zaraz spuszczaście most i otwierajcie bramę!

– A nie będziecie nas bili?

Tłum wybuchnął krwiożerczym śmiechem. Strażnik stropił się jeszcze bardziej i schował za krenelażem.

– Gdzie jest Wiselt? - zapytał surowo Kerren, który chyba żywił do głównego królewskiego maga jakąś osobistą urazę.

– W skarbcu - wybeczał ktoś zza muru.

– A co on tam robi? - to wilkołaka nieco zaskoczyło.

– Kto ich tam wie...? Już od ponad godziny stamtąd nie wyłażą.

– „Ich”? A kto jeszcze tam siedzi?

– Wszyscy... znaczy się doradcy z pomocnikami i jego książęca mość.

– Otwierajcie! - rozkazał z mocą jakiś starszy czarodziej. - Sami ich... zawołamy.

Most zaczął ze szcękaniem i zgrzytami opadać w dół. Po krótkiej naradzie powstańcy wydelegowali do rozmów z pół tuzina magów i tyle samo wojowników. Pozostali mogli już tylko niecierpliwie przestępować z nogi na nogę nad brzegiem fosy - kto ich tam wie, a jeśli zapędzone do kąta szczury wpadną na pomysł, by zwalić pałac na głowy powstańców?

Nas nikt nie zapraszał, ale skoro Tien i Kerren poszli, to zostawanie ze wściekłym tłumem było znacznie bardziej przerażające. Mężczyźni również to rozumieli, więc nas nie odganiałi. Wspierani okrzykami przeszliśmy przez most, poczekaliśmy, aż uniosą się wszystkie trzy kraty i wkroczyliśmy na dziedziniec. Magowie musieli stworzyć jeszcze kilka pulsarów, by go oświetlić w całości. Żadnych wojsk, żadnych potworów. Strażnicy jak myszki kulili się po kątach, niektórzy niepewnie oddawali nam honory.

Kiedy dotarliśmy do ganka, drzwi otworzyły się, a nas powitały chleb i sól. Trzymająca je służąca uśmiechała się od ucha do ucha.

- A czy to nie za wcześnie? - zapytał Tien z oszołomieniem, nie tykając gościńca.

- A co, jak już nie wyjdziecie? - odparła pannica.

Goście przesądnie wymięli chleb i sól wzdłuż ściany.

- A gdzie tu jest skarbiec?

- O tam - pokazał jeden z naszych magów, najstarszy i równocześnie wyglądający na najgroźniejszego. - W górę schodami i na prawo.

- Koło galerii obrazów?

- Dokładnie. - Mag spojrzał na mnie podejrzliwie. - A skąd pani wie?

- Ja tu... e-e-e... pracowałam. - Spuściłam oczy. - Króciutko.

Skarbiec znajdował się na końcu długiej, z dwoma zakrętami, odnogi korytarza. Nie było w nim okien, a pochodnie z jakiegoś powodu również się nie paliły. Stanęliśmy pięć kroków od podwójnych mosiężnych drzwi z wrytym wzorem z paskudnych pysków: ni to potwory chroniące królewski skarbiec, ni to grymasy powieszonych złodziei. Tak czy siak rabusie mieli się przerazić i cofnąć.

- Nawet straż przegonili - zdziwił się starszy mag. - A byłem pewien, że to ich ostatni bastion.

Miejsce wyglądało nie tylko na niepilnowane, ale w ogóle całkiem porzucone. Zewnętrzny zamek-zasuwa zwisał jednym końcem do podłogi, wielgachna otwarta kłódka bujała się w pętli na futrynie. Tien dotknął najbliższej pochodni.

- Spalona do cna i zdążyła wystygnać. Chyba dawno nikt tędy nie przechodził.

- A jakie rozkazy dostała służba?

- Twierdzą, że żadne. Magowie zabronili niepokojenia ich, nawet jeśli na wyspie zacznie się trzęsienie ziemi.

- Na wyspie zaczęliśmy się my, a to znacznie poważniejsza sprawa - stwierdził Kerren zdecydowanie. - Riono, poproszę pani kajdanki. Mamy tu osoby, które potrzebują ich znacznie bardziej od pani.

- Z wielką przyjemnością.

Dar przeciwnie, ze skrępowaniem schował ręce za plecami.

- A ja swoją już tego... zbiłem kamieniem. Bo niby jak miałem w przeciwnym razie podrobić głos i dorzucić serce do statku?! - dodał z wyzwaniem.

- I co z nią zrobiłeś?

- Rzuciłem gdzieś na brzegu. - Brat na wszelki wypadek osłonił opuchnięte uszy dłońmi.

- Najpierw ich stamtąd wyciągnijcie. - Tien wsadził kajdanki za pas. Ja z rozkoszą pomasowałam uwolniony nadgarstek. - Do skarbcza nawet w czasie pokoju za ghyra nie wejdziesz, a w sytuacji kiedy drzwi od środka trzymają dwa tuziny magów...

- A oni trzymają? - Dar podszedł, by przytulić się do nich uchem, ale starszy mag w ostatniej chwili złapał głupią babę za pas i wymierzył jej szturchańca.

- Pierwsza pułapka to same drzwi - powiedział pouczająco. - Ponieważ każdy złodziej zacznie od tego, że spróbuje je omacać i opukać, próbując znaleźć słaby punkt.

- Skąd pan wie?

- Sam stawiałem tutejszą obronę, jeszcze na rozkaz króla. Co prawda Terilla natychmiast przerobiła ją pod siebie i dodała jeszcze to i owo, ale nie miała potrzeby zmieniać ogólnego konceptu, bo przecież wszystko przez dziesiątki lat pracowało bez najmniejszych problemów.

Powstańcy nie zważając się odeszli od drzwi.

- Dobra, spróbujmy myśleć logicznie - zaproponował Kerren. - Co mogą robić w skarbcu dwa tuziny magów?

- Zależy co się tam przechowuje. - Jego kolega wzruszył ramionami.

- No chyba oczywiste, że to skarbiec. A więc złoto, srebro... Klejnoty. Artefakty - nie te najlepsze, ale w dużej ilości.

- Czyli mają dość mocy, żeby nie tylko rozwalić zamek, ale też utworzyć na jego miejscu jezioro - podsumował starszy mag.

- Nie rozumiem - przyznał Tien uczciwie. - Po co im to? Jakoś wcześniej nie zauważyłem w Wiselcie skłonności do bohaterских czynów. Zgadza się, jest mądry, przebiegły, zdecydowany, ale zawsze poszukuje osobistych korzyści, a nie kieruje się zasadami. i czym oni niby zamierzają nas szantażować? Ze wysadzą zamek? Potrzebny on nam jak nie wiem co, możemy nawet sami rozwalić, żeby nie był solą w oku...

- No coś ty, zamku nie można w żadnym razie! - przeraził się Kerren - Przecież to rodowe gniazdo królewskie, niechby nawet lekko zapaskudzone tą... paskudą.

- Ale i tak gra zdecydowanie niewarta świeczki. Hej, Wiselcie i towarzystwo! Wyłaźcie, mamy do was sprawę!

Za drzwiami panowało uparte milczenie. Albo po prostu były dźwiękoszczelne.

- Dobra - zdecydował w końcu starszy mag. - Czy tam jest pułapka czy nie, ale musimy wejść. Nawet jeśli zginiemy, nie bardzo można zostawić w zamku to gniazdo żmij.

Po naradzie cała szóstka magów podeszła do drzwi i długo w skupieniu wodziła nad nimi dłońmi, półszepem wymieniając komentarze.

- Być nie może! - wyrwało się w końcu najmłodszemu.

- Co? - spytałam zachłannie.

- Właśnie że nic. Nie ma tu żadnej magii. Nawet zwykłe zakłęcie ochronne jest zdjęte.

- To na pewno pułapka - szepnął Dar z rezygnacją. - Pewnie rzucają jakieś paskudne zakłęcie i obce tło magiczne im przeszkadza.

Kerren z irytacją zerknął na niego żółtymi oczami i sięgnął klamki, ale Tien stuknął go w nadgarstek.

- Chodź lepiej ja, ty potrzebujesz rąk do czarów.

Palce jednookiego dotknęły gałki. Zgodnie drgnęliśmy, ale nic się nie stało. Mężczyzna wyczekał kilka sekund, zagryzł wargę i bardzo powoli pociągnął drzwi na siebie.

- Ot leszy! - wyrwało mu się.

- Co? Pali?!

- Nie... otwiera się! Nawet nie są zamknięte.

- Jednym pociągnięciem - poradził wilkołak tragicznym szepem.

- A co, jak stamtąd uderzy płomieniem? Nie, najpierw zajrzę...

Tien przytulił się do otwartej szczeliny i jak gdyby skamieniał. A potem... zaczął przeklinać. I to tak wymyślnie, z pasją, że towarzysze nie wytrzymali, odepchnęli go na bok i otworzyli drzwi na oścież.

Przekleństwa przeszły w chóralne.

W skarbcu nie było nikogo.

Ani niczego.

Póki powstańcy zbierali siły, władze pakowały majątek.

- Nawet miedziaki zabrali, dranie! - Tien zgarnął z podłogi pęknięty woreczek, z którego słabym strumykiem posypały się drobniaki, i ze złością rzucił nim o ścianę.

- No i tyle - burknął młodziutki mag. - Nawet nie trzeba było wyciągać mieczy. A ludzie czekają, że nam tu zaraz wszystko zacznie się iskrzyć i walić...

- No to może pobijmy się pomiędzy sobą - odciął się Kerren. - Ot, paskudy! Oczywiście, po co niby mieliby z nami walczyć i ryzykować swoimi parszywymi łbami. Kotek zdechł, to myszy złapały ser i w długą!

- Dzieciaki - usadził pobłaźliwie ich obu starszy mag. - Skarbiec, przygody... pieniądze się uzbiera, niech ci dranie się nimi udławiają. Najważniejsze, że Szakkara jest wolna, a my nie straciliśmy nawet jednego człowieka!

- Oni również. - Młody nijak nie chciał się uspokoić. - Ale gdzie zamierzają schować taką hałdę skarbów? I jeszcze sami się schować?

- Przecież my się jakoś chowaliśmy - zauważył Tien sprawiedliwie.

- Ho! Nas z honorami witano w każdej chacie, a Wiseltowi zostaje chyba tylko ucieczka do przygranicznych lasów.

- Wątpię - stwierdził Kerren. - O co się założymy, że zakłęcie dookoła Szakkary zostało zdjęte? Bo czasu mieli dosyć. Teleportowali się ze skarbami na pusty brzeg, zawołali posłańcem statek z portu - przecież kupieckich nikt nie śledził, najważniejsze, że flota stoi w miejscu - wsiedli i spokojnie sobie odpłynęli.

- No to trzeba szybko ruszać w pościg!

- Za późno. - Kerrenowi również trudno było pogodzić się z myślą o przegranej, ale próbował trzymać się w ryzach. Mimo to, co jakiś czas wyciągał pazury. - Już jest noc, a my nawet nie wiemy, kiedy i w którą stronę odpłynęli. Trzeba by całą flotę podnosić. Po stronie wroga mamy wypoczętych magów z kupą artefaktów, a u nas dobrze jak dwóch będzie robiło za jednego.

Zasmuceni opuściliśmy skarbiec.

- Tak. O zaginięciu skarbcza nikomu nie wspominamy - stwierdził zdecydowanie starszy mag, zamykając drzwi i opieczętowując zaklęciem. - Gospodarze zamku uciekali w przerażeniu, dla ludowego święta to wystarczy. Mam nadzieję, że spichlerzy nie okradli? Zaraz rozkażemy wytoczyć beczki, niech ludzie świętują. Najważniejsze to przypilnować, by nie rzucili się do rabowania. A jutro rano zaczniemy podliczanie strat.

- Hej... - niespodziewanie powiedział Tien, kiedy już zbliżyliśmy się do schodów. Na dole cierpliwie czekał chleb z solą. Panna patrzyła na nas z przerażeniem i nadzieją. - Przecież zwyciężyliśmy!

Powstańcy spojrzeli po sobie, próbując ogarnąć tę wiadomość.

- Hurra! - zawołał Dar jako pierwszy, potrząsając nad głową złączonymi rękoma.

- Hurraaaa! - dołączyli pozostali. Służba również nie chciała pozostać z boku, radosne zawołanie wytoczyło się na podwórze i przeleciało nad pałacowymi murami.

Na zewnątrz radosnym rykiem odezwał się tłum.



Po północy chłopci z okolicznych wsi rozeszli się po chatach, zabierając ze sobą rodzinę, a czasem też nowych przyjaciół. Ale ludzi dookoła zamku znacząco nie ubyło - dotarli spóźnieni i ci, którzy za późno dowiedzieli się o całej sprawie. Nie mieli ochoty na nocną wycieczkę z powrotem do miasta, szczególnie, że tu też trwała dobra zabawa. Okoliczne lasy cierpiętniczo stękały pod toporami, dostarczając opału na ogniska. Kiedy zamkowe składziki opustoszały, na pomoc przyszedł spichlerz z mąką. Upieczone na kamieniach placki były przypalone i przasne, ale nikt się nie skarżył: byle by było czym popić, a beczek akurat starczyło. Po chwili nad obozowiskiem zabrzmiały piosenki, a kilka ognisk połączono w jedno i urządzono dookoła niego tańce z przyśpiewkami.

*Był minister nasz złodziejem
I potężnym czarodziejem
Tak wspaniałym, jego mać
Że nie możemy odszukać*

- Uuuch! - wtórował tłum z gotowością. Do kręgu wyskoczył troll i tupiąc butami niemuzykalnie wydarł się:

*A jak zaczął mości król
Nam się zjawiać duchem
Królowej wyrwał serce,
A Wiseltowi...*

Końcówka utonęła w lubieżnym rechocie. Z zamkowej fosy wychylił się omszały pysk, obejrzał ten bałagan mętym spojrzeniem, zatkał

uszy ogonem i zanurkował z powrotem.

Uznałam, że pójdę za jego przykładem i po chwili bezskutecznego szukania Dara wróciłam do zamku. Organizatorzy powstania nie pozwolili sobie na relaks tylko przeszukali budynek od góry do dołu, nie znaleźli nic podejrzanego i teraz naradzali się w byłym gabinecie Wiselta. „Zbroje” z korytarzy zniknęły i w ogóle nie napotkałam żywej duszy - służba dołączyła do świętujących, a usłużnych dworaków albo uwięziono, albo wygnano. Zastanowiłam się, filozoficznie wzruszyłam ramionami i poszłam w kierunku królewskiej sypialni.

Oho!.. Ciekawe, czego Wiselt tu szukał? Też artefaktów? Szuflady z biurka były powyciągane, zwoje rozrzucone po całej podłodze, obicie fotela rozprute, szafa wypatroszona. Nawet łóżko odsunęli z dawnego miejsca. Zgarnęłam naręcze poduszek i urządziłam sobie królewskie legowisko w rogu: na wszelki wypadek, gdyby ktoś po pijaku uznał, że to królowa, jak gdyby nigdy nic śpi sobie w łóżku.

Ale znowu nie dane mi było się wyspać. Jeszcze nie wszystkie gwiazdy zgasły, kiedy ktoś niezbyt głośno, ale natrętnie zapukał do drzwi.

- O co chodzi? - wymamrotałam, z całego serca mając nadzieję, że ktoś pomylił pokoje i można będzie z satysfakcją wysłać go na ghyr.

- Riono, proszę otworzyć. - Głos Kerrena był zupełnie trzeźwy i poważny. - Musimy porozmawiać.

W jednej chwili obudziłam się i odciągnęłam od drzwi krzesło z nawalonymi na nie szufladami.

- Co się stało?

- Wszystko w porządku - uspokoił mnie mag. - I właśnie dlatego pani szukam. Co powie pani na morską przejażdżkę?

- Już w tej chwili? - spytałam niepewnie.

- Tak. Riono, bardzo bym chciał, żeby pani została na koronację..., a moi przyjaciele mają do pani wiele pytań. - Sądząc z tego, jak Kerren się zawahał, pytania nie należały do przyjemnych. - Ale im szybciej wróci pani do domu, tym lepiej. I tak już mocno się pani zmieniła, a do Belorii są jeszcze trzy dni drogi. Więc ryzykujemy, że proces stanie się nieodwracalny albo, co gorsza, dotknie też umysłu - szczególnie u Dara. Mózg urodzonej idiotki nie jest przystosowany do myśli bardziej skomplikowanych niż „co by tu zjeść” i obawiam się, że za chwilę pani brat zacznie błyskawicznie głupieć. Nie wspominając o tym, że poważnie niepokoi mnie Terilla...

- Oczywiście. Nie musi mnie pan przekonywać, sama wszystko doskonale rozumiem! Możemy jechać nawet w tej chwili, tylko muszę znaleźć brata.

- Tien powiedział, że gdzieś go przed chwilą widział i poszedł zawołać. Tak więc proszę zebrać rzeczy i wyruszamy.

Dopiero teraz zrozumiałam, co oznacza dobrze wypchana podróżna torba, którą Kerren zostawił w progu.

- A... co z...

- Po prostu też opuścimy koronację. - Mag obojętnie machnął ręką - Niewielka strata.

- Ale wydawało mi się...

Kerren roześmiał się, i znowu zgodł.

- Ze bez nas wszystko tutaj się rozsypie? Riono, bogowie z panią, jestem tylko jednym z dziesiątków szakkarskich magów, i to nawet nie najlepszym. A Tien tym bardziej nie ma ochoty pchać się w politykę. Jego ojciec był jednym z ministrów za starego króla, Terilla zamordowała go w noc przewrotu. Więc odprowadzimy panią, przy

okazji załatwimy pewne sprawy i spokojnie sobie wrócimy. Zgadza się pani?

- Oczywiście! I... dziękuję bardzo.

- To my dziękujemy. - Wilkołak spuścił oczy. - Akurat my zachowaliśmy się niezbyt godnie, a pani nam bardzo pomogła - zarówno z Terillą, jak i jej sercem... Tylko proszę nie mówić bratu! I nie kłócić się z nim, jest wspaniały.

- Nie kłócić się?! - Uniosłam ręce do serca w udawanym przerażeniu. - Co pan mówi, przecież wtedy oboje umrzemy z nudów!

Nie miałam nic do palcowania, chyba że liczyć zebranie roztrzepanych włosów w kucyk. Mag zaproponował wybranie czegoś z ubrań i klejnotów Terilli, ale z drżeniem odmówiłam. Wzięłam tylko buty, najprostsze i najmocniejsze, bo wybłagane od kucharki uciskały. Wróć do domu i od razu wsadzę je do pieca.

Dar i Tien czekali na nas na ganku. Wyglądało na to, że obaj się nie kładli, ale jeśli zmęczony mężczyzna chętnie zająłby moje miejsce na poduszkach, to mój brat mógł hasać bez chwili wytchnienia przez kolejną dobę, a może nawet dwie.

- Teleportujemy się? - zapytał jednooki tonem na wpół twierdzącym. Kerren ze zmęczeniem potrząsnął głową.

- Godzina czy półtorej nie będą miały specjalnego znaczenia, a po dzisiejszej nocy kompletnie nie mam sił. Rozkazałem, żeby nam zaprzęgli cztery możliwe najzwagsze koniki.

Zajechała karoca: stara, skrzypiąca, oblazła ale z właściwym herbem. Ta staruszka pewnie sumiennie służyła królowi, a przez ostatnie kilka lat cichutko paczyła się gdzieś w rupieciarni. Nikt jakoś nie był w stanie jej wywalić, a naprawianie nie miało sensu.

- Bałem się brać którąś Terilli - wyjaśnił skrepowany woźnica. - Bo jeszcze obrzucą kamieniami.

- Słusznie - poparł go Kerren trochę niepewnie, otwierając drzwiczki. Wyraźnie zapachniało myszami. - Zapraszam damy.

- Dziękuję bardzo - powiedziała z uczuciem, unosząc sukienkę i włączając do środka. Karoca skrzypnęła przeraźliwie i przekrzywiła się jeszcze mocniej. - A nie macie zwykłego wozu?

- Mamy parę, ale one znaczy się tego, od nocy pracują: wożą z rzeki wodę do ognisk. - Woźnica próbował się tłumaczyć. - Bo z fosy sobie nie naczepiesz, tam mieszka obronna potwora.

- Taka wściekła?

- Nie, ona już jest stara i leniwa. Tylko bardzo paskudzi. Więc wozów ni ma. Chyba, żeby wziąć ten do trumien, on w ogóle nie ma herbów.

- Chyba jednak nie, poradzimy sobie z karocą! To tylko tak, z ciekawości spytałam.

Do portu dotarliśmy szybko i bez przygód. Po drodze ostatecznie się obudziłam (karoca trzęsła się jak w przedśmiertnej agonii, przez niezliczone szczeliny dmuchał wiatr, w skrzyni pod siedzeniem coś ni to skrzypiało, ni to piszczało - dobrze jeśli zwyczajna myszka), ale pozostali przeciwnie, zapadli w drzemkę. Tien, który we śnie opuścił głowę na ramię Dara (a po chwili po prostu spełzła ona na obfite piersi baby), wyglądał szczególnie rozczulająco.

- Hej, szanowni państwo, jesteście! - Woźnica postukał po dachu batem.

Otrząsnęliśmy się i zaczęliśmy wyłazić z karocy. Ostatecznie nie odważyłam się zajrzeć do skrzyni. Już zaczęło świtać, białe niebo bez cienia chmurki i czarne nieruchome morze wydawały się stać przy ołtarzu czekając, aż połączy je wieniec słońca. Ciszę zakłócało tylko

ledwo słyszalny szum fal na piasku. Port wydawał się wymarły: ci co nie poszli do zamku, jeszcze spali.

Tien spojrzał dookoła i wskazał nam niewielki trójmasztowiec, który nieuchwytnie przypominał smukłego gończego psa o ostrym pysku. Stojąc koło flagowca, wydawał się delikatną zabawką.

- Pocztowy - wyjaśnił jednooki. - Najszybszy we flocie, a przy okazji nie przyciąga niepotrzebnej uwagi - na nadbrzeżnych wodach belorskich trafiają się piraci.

- Czy pocztą naprawdę nie wozi się nic cennego? - zapytał Dar ze zdziwieniem.

- Oczywiście, że się wozi. Ale najczęściej dostarcza ważne, czasem poufne wiadomości, chronione zaklęciami, więc przy próbie abordażu może wylecieć w powietrze razem z przeciwnikiem. No więc piraci zwykle omijają pocztowce - papiery, na dokładkę tak niebezpieczne, nie są im potrzebne.

Załoga stateczku składała się z dwóch tuzinów ludzi i jednego kota (gdyby nie on, to starczyłaby połowa, ale rozpieszczony zwierzak cały czas plątał się marynarzom pod nogami, przeszkadzając w pracy). Po naradzie z kapitanem Kerren wyczarował wiaterek - chwilowo niewielki, żeby tylko odcumować. Stateczek wypełznął z gęstego szeregu towarzyszy, odwrócił się i ruszył do wyjścia z portu, powoli rozwijając białe trójkątne płatki żagli.

Mag przekonał się, że wszystko idzie jak należy i dołączył do nas, podziwiających fale za burzą.

- Matko, ale mi się chce spać - przyznał z szerokim ziewnięciem. Dar z bezpośrednią ciekawością zajrzał mu do ust, mając nadzieję zobaczyć kły. Wilkołak śpiesznie zatrzaskał paszczę.

- No to idź się położyć - doradził Tien przyjacielsko. - Ja chyba również zaraz padnę.

- Najpierw wyjdźmy z zatoki. Jednak nie jestem magiem morskim, więc mam pewne obawy odnośnie do zostawiania zaklęcia bez kontroli. A na otwartym morzu mnie w razie czego zdążą obudzić.

Kiedy statek wypłynął za skałę z latarnią, marynarze zauważalnie poweseleli. Chyba do ostatniej chwili wątpili w zniknięcie granicy.

- No to teraz można dodać wiatorku - uznał kapitan. - Jakoś do pięciu węzłów i dwa rumby na północny wschód.

- Eee...

- Mocniej z półtora raza w o tamtym kierunku. - Marynarz pokazał palcem.

- Dobra - zgodził się Kerren ze skrepowaniem. - Zaraz zrobię.

Plusk za burtą zabrzmiał głośniejsz, pasmo fal, w którym płynął statek, wydłużyło się i poszerzyło. Tylko żagle załopotwały z pewną niechęcią.

- No, to nie jest byle lepienie duchów - zażartował Tien szeptem.

- Nie szkodzi - wysapał w odpowiedzi czarodziej, próbując sprawić, by wiatr się możliwie wyrównał. - Douczę się trochę i zatrudnię jako mag na flagowcu.

- Pomagać Heinie?

- Patrzcie, statek! - wtrącił Dar, wskazując białą plamkę daleko po prawej.

- Aha - potwierdził Kerren z roztargnieniem. - Pewnie kupiec idzie do portu.

Ale kapitanowi cudzy okręt z jakiegoś powodu się nie spodobał. Długo i w skupieniu oglądał go przez lunetę, obracając ją tak i siak. Nawet uniósł się na palce.

- Nie, stoi w miejscu.

- Rybacki? - podsunął pomocnik.

Kapitan przekazał mu szkło.

- Nie wygląda.

- Hm... - Marynarz z niepokojem cmoknął językiem. - Wiatru nie ma, a żagle niepodniesione. I na pokładzie żywej duszy.

- Trzeba tam podpłynąć i spojrzeć.

Kapitan niepewnie zerknął na maga. Statek pocztowy nie powinien skręcać z kursu, ale dziś wiózł wyłącznie ludzi, a morskie prawo jest ważniejsze od królewskiego rozkazu: dziś uratujesz brata-marynarza, a jutro on ciebie.

Kerren w milczeniu zmienił kierunek wiatru. Statek przechylił się tak, że kot z wyciem przejechał od burty do burty, bezskutecznie próbując wbić pazury w deski.

- Jako pomocnik pomocnika - podsumował Tien, podnosząc się z pokładu. Załoga zakręciła się dookoła żagli, naprawiając szkody wyrządzone przez nieudolnego czarodzieja. - Z okresem próbnym długości roku.

Po chwili już bez lunety zobaczyliśmy, że ze statkiem coś było nie tak. Szczególnie niepokojące były mewy siedzące na burtach i takielunku. W miarę jak się zbliżaliśmy, ptaki podfruwały, ale nie odlatywały, tylko zaczynały z oburzonymi krzykami krążyć nad masztami.

- Coś mi się to nie podoba. - Pomocnik na wszelki wypadek nakreślił ochronny znak - Flagi nie ma.

- Przecież tam wisi - zdziwiłam się. - Niebieska w paski.

- Ale nie ma białej. Nie chcieli prosić o pomoc, czy nie zdążyli?

- Mówi pan, że wcześniej niczego podobnego nie widzieliście?

- Właśnie o to chodzi, że widzieliśmy - burknął kapitan. - Nawet dwa razy. Rok temu, jak łowca dopiero się pojawił i ludzie jeszcze nie zdążyli w niego uwierzyć.

- Ktoś próbował uciec z wyspy trochę nie doczekawszy cofnięcia zaklęcia? - zasugerował Dar.

- Niekoniecznie. Może tu pływać już od tygodnia albo i od miesiąca. Nosi go wiatrem w tę i nazad... - Pomocnik się wzdrygnął.

- Ale łowca łapie ofiarę na środku zatoki, z brzegu by to ktoś zauważył.

- Czyli odpływali nie z portu. Mamy tu parę miejsc, w których kiedyś przemytnicy cumowali. Chociaż wszyscy nasi wiedzą, że to jeden ghyr - tam mogą chodzić tylko łodzie rybackie, a i to wyłącznie wzdłuż brzegu.

Statki zbliżyły się i nasze zgadywanki ustały.

- Wiselt! - wrzasnęłam, chowając się za Tieniem.

- Gdzie?!

- Tam! Leży!

W zasadzie na pokładzie leżało wielu różnych ludzi: i w ubraniach marynarzy, i w podróżnych płaszczach z kapturami, ale ciemny kaftan ze srebrnym haftem na ich tle rzucał się w oczy jak tuszka kani wśród zestrzelonych kaczek.

- A czy on przypadkiem nie udaje? - Dar przełamał złowieszczą ciszę.

- Przed mewami?

Kerren bez uprzedzenia rozpędził się i lotnym zwierzęcym skokiem przedostał na cudzy statek. Pochylił nad doradcą, dotknął jego szyi i z niepozostawiającą wątpliwości bezceremonialnością obrócił na plecy.

- Nie żyje - potwierdził mag i przeskoczył z powrotem, póki statki się nie wyminęły. Zdążył w ostatniej chwili, pasmo wody pomiędzy

burtami osiągnęło pięć sążni.

Załoga obserwowwała go z otwartymi ustami. Jako pierwszy opamiętał się kapitan:

– Wracamy do portu?

– Szkoda tracić czasu. - Mag zastanowił się, spoglądając na przemian na horyzont i na wyspę. - I nie ma co zostawiać go tu niepilnowanego, jednak królewski skar... zbyt cenne znalezisko. Lepiej poczekajmy, aż dotrą inne statki, zaraz wyślę posłańca do kolegów. Ma ktoś kawałek pergaminu?

Magiczny wiatr się uspokoił i statki zastygły sto sążni od siebie.

– Ale co im się stało? - Kapitan ponownie uniósł lunetę, szczególnie oglądając trupy. - Ani krwi, ani śladów bitwy...

Niespodziewanie zakręciło mi się w głowie, więc musiałam cofnąć się pod maszt i przytulić do niego plecami.

– Rinka?

– Tam - wyszeptałam bezradnie, unosząc drżącą rękę. Dar bez zrozumienia prześledził mój palec.

– Ale tam nic nie ma!

...Statek rozkwitł na horyzoncie...

– Zaraz będzie - zapewniłam go z rezygnacją.

Wynurzył się z wody jak płetwa rekina - tyle że jaskrawo szkarłatny, widoczny z daleka nawet w świetle dnia. Które zresztą zaczęło błyskawicznie gasnąć pod nadciągającymi znikąd chmurami.

– Łowca! - rozległ się desperacki wrzask ze szczytu masztu. - Dziesięć wiorst po prawej burcie!

Kerren wypuścił niepotrzebny już pergamin i skoczył do relingu.

– Ach ty stara, ghyrna, przebiegła chwybo! - zaklął z głębi serca.

– Mówisz o losie czy jak? - nie zrozumiał Tien.

- I o nim również! Ale tak w zasadzie to o Terilli.

- Trzeba szybko wracać do portu! - spanikował ktoś z załogi. -
Rozkażcie zawracać!

- Nie zdążymy. - Kapitan trzeźwo ocenił sytuację. - Zobacz, jak pędzi,
jakby w ogóle nad wodą. Złapie nas jeszcze przed wejściem do zatoki.

Burzowe chmury rozpełzały się po niebie jak kapiąca na wodę krew,
połyskując błyskawicami. Wiatru nadal nie było, ale fale biegły przed
łowcą jak psy myśliwskie i pierwszy już otworzył na nas spienioną
paszczę.

- Kerr, możesz cokolwiek zrobić?!

- Trzymajcie się!

Ręka przypomniała sobie palące odczucie zanim złapałam się
najbliższej liny. Ale nie bałam się: wiedziałam, że zdołam ustać. I
pamiętałam, co będzie dalej.

Morze ze wstrętem wypluło obśliniony statek.

- Nie! - kaszłąc wrzasnął mag. - Skoro już Wiselt z pomocnikami nie
dali rady...

- Ale przecież zdjęli zaklęcie!

- Zaklęcie zdjęli. Ale wygląda na to, że królowa spodziewała się
zdrady doradców i zamknęła łowcę na sobie! A magowie jedynie
spuścili go z uwięzi, więc teraz lata po morzu i rzuca się na wszystkich
jak szalony!

Połowa załogi nie wytrzymała i wyskoczyła za burtę - w płonnej
nadziei, że łowca trafi tylko statek. Pomocnik walczył z mokrym,
wrzeszczącym i drapiącym kotem, nie pozwalając mu wychylić się z za
pazuchy.

- Ale przynajmniej spróbuj!

– Nie ma sensu! Potrzeba tu bardzo skomplikowanego i długiego zaklęcia, nawet nie zdą...

Statek zalała nowa fala. Tien, który bezskutecznie próbował dotrzeć bliżej przyjaciela, prawie wyniosło za burtę.

„Od razu widać, kto tam jest magiem, a kto wojownikiem - przemknęła mi przez głowę kompletnie niezwiązana myśl. - Jeden zaczyna od sprawdzenia, czy wiszący na szyi amulet nadal jest na miejscu, drugi łapie za pas z mieczem”.

Po pokładzie zabębniły krople, ale fale już nie miały nic do rzeczy. Nie wypuszczając sznura osiadłam na podłogę. Obliziałam wargi - deszczowa woda wydała się słodka jak eliksir do przepowiadania. I zimna jak dachówki na zamkowym dachu.

...Burza, góry, morze... spojrzenie stojącego naprzeciwko mnie człowieka - i klinga przeszywająca pierś...

– Tien, który dziś jest?!

Jednooki ze zdumieniem wytrzeszczył oczy na przemoczoną idiotkę: człowiek jest w takim stanie, że może własnego imienia zapomnieć, co dopiero daty!

– Bardzo cię proszę, przypomnij sobie!

– Siedemnasty... - Mężczyzna spróbował się skupić. - Czy może osiemnasty?

– Siedemnasty - potwierdził kapitan, który jako jedyny stoicko znosił ciosy losu i fal. - Wczoraj mieliśmy z żoną rocznicę ślubu.

– A ja mam dziś urodziny.

– Gratulacje - burknął Tien i zamiast kwiatka zdjął z ramienia i rzucił mi pod nogi brunatną wstęgę wodorostów.

– Mam już dwadzieścia pięć lat - ciągnęłam wyobcowanym głosem. Wspomnienia i rzeczywistość nakładały się na siebie jak dwa witraże,

tworząc nowy, nieprzewidywalny - chociaż przepowiedziany! - wzór. Tak doskonały i jedyny słuszny, że rozbicie go byłoby bluźnierstwem. - Wyciągaj miecz!

- Że co? - zgubił się Tien.

- Masz mnie zabić!

- Po co?!

- Widziałam to we śnie...

- I co z tego? Mi się kiedyś przyśnił własny nagrobek, to co, mam biec do rzeźbiarza i sobie zamówić?

- Ale przecież ja jestem pytią! Wszystko co przepowiadam jest do czegoś potrzebne i istotne!

- Riona ma rację - wtrącił Kerren niespodziewanie. - W celu stworzenia łowcy Terilla zabiła młodą czarodziejkę, więc jeśli spróbować upleść z podobnej śmierci klucz...

- No to sam ją morduj! - Tien próbował wręczyć miecz przyjacielowi, ale ten cofnął się z oburzeniem:

- Przecież ja się zastanawiam czysto teoretycznie! Czemu robisz ze mnie jakiegoś Wiselta?

- Chłopaki, nie kłóćcie się! - rzuciłam błagalnie. To dopiero żart losu: przez dwa lata uciekałam przed tym proroctwem jak pies przed rzepem na ogonie, a teraz sama proszę, by wcielili je w życie. - To żadne morderstwo. Przecież Kerren mówił, że mam szansę wrócić do swojego ciała.

- Tak, ale skłamałem odnośnie jednego do trzech. - Mag spuścił oczy. - Nie mam pojęcia, ile wynosi prawdopodobieństwo. Może być, że jeden z dziesięciu albo w ogóle ze stu...

- Wszystko jedno! - przerwałam mu zdecydowanie. - Tutaj nie mamy nawet jednej na tysiąc. Zabijajcie!

- Rinka - załkał Dar. - Ja...

- Nawet na to nie licz, szkatułki nie oddam! Wrócę i od razu schowam w innym miejscu.

- To może ja - niespodziewanie wtrącił się kapitan. - Przecież łowca też nie oferuje łatwej śmierci. Niech już będę miał na duszy ten grzech niż całą załogę.

- Dwie wiorsty...!

Kerren podjął decyzję, upadł na kolana i zaczął błyskawicznie kreślić na pokładzie znaki wysuniętym pazurem. Zadrapania powoli nabierały szkarłatnego zabarwienia, jak gdyby deski broczyły krwią. Kapitan ostrożnie wyciągnął miecz spomiędzy zaciśniętych palców Tiena, który nieprzerwanie patrzył mi w twarz.

Trzymałam się tego spojrzenia do końca, jak kiedyś masztu.

- Gotowe - rzucił mag.

Ból był silny. Znacznie silniejszy niż we śnie.

Ale krótki.



Obudził mnie przenikliwy wrzask, zachwiałam się i prawie upadłam. Co to za ghyrnia?! Jakaś ciemna sala... nie, szopa, w rogach i wzdłuż ścian leżały worki, pachniało sianem. W jednym ręku ścisnęłam nóż, w drugim jakiś amulet na sznurku, a na podłodze, w pentagramie z płonących świec, rzucał się związany dzieciak, w którym nie od razu poznałam Dara - przez te zaledwie parę dni zdążyłam odzwyczaić się od jego wyglądu.

Co prawda brat natychmiast sflaczał, zamknął się i podejrzliwie zapytał:

- Już jesteś Rioną czy jeszcze Terillą?
- Nie mam pojęcia - przyznałam uczciwie. - A jak wyglądam?
- Jak czarny cień, a na górze biała plama z trzema dziurami. Jak się pochylisz do świec albo zapalisz pulsar to powiem dokładniej.

Przerzuciłam przez ramię kosmyk włosów - miękki, jasny. I ręce też wydawały się moje - blade, o cienkich nadgarstkach, na prawym ukochana bransoletka, wspaniale chowało się za nią ściągę na egzaminach. Uff!

- Ty nie sap, tylko uwolnij rodzzonego brata! - obruszył się jeniec, wierzgając nogami tak, że jedna ze świec upadła i zgasła. - Już mnie wszystko boli i swędzi, zaraz w ogóle zaczniesz odpadać!

- Ech, przydałby się malarz - powiedziałam ze zmęczeniem i kucnęłam. - W celu uwiecznienia dla potomności tej wspaniałej sceny. Jeszcze by na tobie zwycięsko postawić nogę.

- Aha, taki w rodzaju Lessy Szakkarskiej, żeby ukazał twoją prawdziwą istotę: tryskającą jadowitą śliną strzygę!

Terilla naostrzyła nóż całkiem sumiennie, sznury rozpełzały się pod nim, jakby były zrobione z ciasta.

- O bogowie! - uświadomiłam sobie. - Czy wyście też zginęli? I zabicie mnie było na próżno? A jak Tien z Kerrenem i załoga...

- Nie mam pojęcia. - Dar również się zamyślił. - Ostatnim, co pamiętam, jest jak padasz na pokład i równocześnie ciemnieje mi w oczach. Straciłem przytomność z roz... radości, czy może jesteśmy w jakiś sposób powiązani - razem się przenieśliśmy na Szakkarę i razem wróciliśmy?

- Lepiej, żeby to drugie. - Z nienawiścią rzuciłam amulet w mrok, odganiając wizję dwóch martwych statków. Ghyrowa królowa, nawet po śmierci robi świństwa przyzwoitym ludziom! - Dar, ja chcę ci

powiedzieć pewien sekret, ale nikomu nie powtarzaj i w ogóle postaraj się możliwie szybko zapomnieć.

- Hę?

- Bardzo cię kocham. I niesamowicie się cieszę, że żyjesz.

Brat w milczeniu przytulił się cło mojej piersi. Przez kilka minut siedzieliśmy objęci słuchając zgodnego bicia naszych serc.

- Rinko...

- Tak?

- A chcesz ja też ci się do czegoś przyznam? - szepnął Dar tonem spiskowca.

- Hę?

- Pamiętasz ten twój słoiczek z kremem do twarzy, taki zielony w żółte kwiatki? Zakopałem w nim karalucha i z góry wygładziłem palcem. Więc lepiej będzie, jak go wyrzucisz albo oddasz babci.

- Kretyn! - Ze śmiechem odepchnęłam nicponia. - Kerren słusznie powiedział, że straciłeś w tej babie resztki rozumu.

- Co za życie - obraził się brat. - Ja jej mówię o najistotniejszych sprawach, a ona się przeżywa! Też mi się znalazła ukochana siostra...

Ledwo zdążyliśmy się podnieść, kiedy drzwi z przeraźliwym hukiem wyleciały z futryny, a do szopy wpadła czwórka strażników i jeden bal.

- Rzuć nóż, czarownico! - wrzasnął jeden i - chyba dając przykład - wypuścił z rąk taran, w zamian łapiąc za miecz.

Uwolniony kawałek bala natychmiast ruszył w dół, a przeciwny koniec w górę, uciekając ostatniemu strażnikowi. Dwójka stojących w środku nie dała rady utrzymać ciężaru i z przekleństwami skoczyła na boki, próbując uchronić nogi. Wnioskując z barwnego słownictwa, nie udało im się.

- A co się tu właściwie dzieje? - zapytał Dar rzeczowo, wychodząc naprzód.

Strażnicy popatrzyli na nas. My na nich, robiąc maksymalnie niewinne oczy.

- Ona cię porwała i chciała zamordować - rzekł niepewnie dowódca.

- Ho! By tylko spróbowała.

- No to czemu się darłeś jak Świnia w rzeźni?!

- Mrakobies podkusił - odparł mój brat. - Byłem nim tragicznie owładnięty i tylko siostra odważyła się wyzwać go do walki na śmierć i życie o moją nieśmiertelną duszę. Ale teraz już ze mnie wyszedł, więc znowu jestem zdrowy i zadowolony z życia.

Strażnik opuścił miecz.

- Wszystko jedno - stwierdził zdecydowanie. - Wyście tu przestraszyli całutką okolicę i zniszczyli cudzą własność, więc na wszelki wypadek was aresztuję. A później niech się dowódca w tym grzebie.

- Magowie, ich mać! - zaklął cichutko jego towarzysz. - Zawsze coś sknocą i zwieją. Oni się bawią, a zwykli ludzie...

- Nie dali wam dopić piwa? - zasugerował Dar niewinnie.

Strażnik odruchowo przeciągnął dłoń po wąsach, mimo że piany tam już dawno nie było, jedynie wysoce wymowny zapach. A mnie niespodziewanie olśniło: czyli to tak zmarła baba-sprzątaczką! Terilla wtedy również próbowała oddać jej życie w miejsce własnego, ale zamiast tego zabrała ze sobą. Ciekawe, co próbowała osiągnąć tym razem? Naładować amulet? Stworzyć albo przywołać jakąś pomrokę, żeby ta pomogła jej wrócić na Szakkarę? Niestety, nigdy już się tego nie dowiemy: rozgniewani strażnicy starannie zatarli wszystkie nakreślone przez królową znaki, a świece wrzucili do worka jako dowody.

Wyszliśmy na dwór, padał drobny, ale gęsty deszcz z całkowicie zachmurzonego nieba. Z rozkoszą nadstawiłam twarz pod krople. Kochana Beloria! Rodzinna paskudna pogoda, której nie da się pomylić z żadną inną!

- Czego się tak uśmiechacie? - zapytał strażnik podejrzliwie.
- Jak opowiemy, to pan nie uwierzy! - odparłam z uczuciem.



„...dane otrzymano na podstawie stopniowej analizy czterokrotnie powtórnego snu z wariantowością drobnych szczegółów do 0,32, z czego możemy równorzędnie wywnioskować...”

- Rinka, starczy tego mazania!
- Aha - odparłam z roztargnieniem, kończąc zdanie i dmuchając na atrament. - A cukierka już zjadłeś?
- Zjadłem zarówno cukierka, jak i drożdżówkę z serem, jabłko w miodzie i kogucika na patyku, nawet uczciwie przyniosłem dwie menki reszty, a ty nadal siedzisz na tym wozie i skrzypisz piórem jak minstrel, którego muza dziabnęła w tyłek!
- Miałam myśl!
- O tak, to wyjątkowe wydarzenie! Rzadsze i bardziej zadziwiające jest wyłącznie przybycie Dziadka Mroza.
- Oddawaj resztę, żarłoku. - Z irytacją wyciągnęłam dłoń. W zasadzie to dałam bratu srebrnika na „idź kup sobie ciagutkę, a ja w tym czasie zapiszę parę słów”, ale zbyt mnie poniosło, więc parę razy zbyłam Dara słowami „tak, tak, oczywiście, tylko mi nie przeszkadzaj”.

Brat uroczyście wręczył mi cukrowego kogucika na patyczku.

- Co to jest?!

– Reszta. Handlarz nie miał drobnych, więc oddał mi drugiego za połowę ceny.

Pokręciłam patyczek. Kogucik zdecydowanie przypominał Katisę Łabską - pewnie odlano go w formie, która została po wiosennym turnieju magów. Święto plonów w Kamieńcu obchodzono mniej hucznie niż w Starminie, ale w tym roku jarmark był naprawdę wspaniały: obrodziło zarówno w Dogewie, jak i w Szakkarze, więc do miasta zjechali przyjezdni kupcy, którzy woleli nieco taniej sprzedać towar u nas, niż trzy dni ciągnąć go do stolicy. Za to spekulanci ze Starminu nie mieli najmniejszych oporów przed wycieczką, więc targi były bardzo żywiołowe. Ale nas i tak jarmark niezbyt interesował: tata jak zwykle dotrzymywał towarzystwa burmistrzowi, pomagając w organizacji święta (było to mniejszym złem, bo od dawna próbowano wymusić na nim objęcie stanowiska naczelnego miejskiego maga, a on dość zasadnie uważał, że nawet praca przy wychodkach byłaby przyjemniejsza), Dar wyrywał się na tradycyjne szranki rycerskie, a ja uznałam, że po prostu się przespaceruję i przewietrzę głowę. Niestety wyszło aż za dobrze - już od godziny nie mogliśmy dotrzeć na drugi koniec placu.

– Będiesz tyle żarł, to to ciało też ci się zmieni w beczkę - zagroziłam, liżąc „resztę”.

– Ho-ho! - odparł pogardliwie mój chudy jak szczapa braciszek. - Ja żywię mózg, nie ciało.

– Czyli to z niego idzie aż tyle gówna!

Plac już przygotowywano do zawodów: wypędzano wozy, ogradzano słupkami z czerwonym sznurem i zamiatano.

Naczelnik straży miejskiej surowo wydawał podwładnym ostatnie polecenia:

- Wszystkich rycerzy, niezależnie od pochodzenia i papierów przeszukiwać do gaci, i żeby żadnych amuletów. Nawet jak będą się zaklinać, że to pamiątka po nieżyjącej mamusi. Z broni uczestnicy mają mieć przy sobie miecz i tarczę, a jak konni, to dwie lance - lekką i ciężką. Cała konfiskata do worków, opieczętować i nie oddawać do końca turnieju. Jak znajdziecie jakiegoś wampira...

- To na pal? - Strażnik z nadzieją wszedł mu w słowo.

- Popędzić na kopach! Bo te dranie znowu zgarną wszystkie nagrody, dokładnie jak w zeszłym roku.

- Jasne... - mruknął podwładny ze smutkiem.

Dar spróbował przeleźć pod sznurem, ale syknięto na niego i popędzono miotłą, więc musieliśmy obejść naokoło.

Przy koniowiążie niecierpliwie rżały rycerskie konie, czując nadchodzącą zabawę. Młodzi giermkowie wypinali chude piersi i puszczali oczka do ślicznych mieszczanek. Sami rycerze bez większego napięcia gadali pomiędzy sobą, wiedząc, że po turnieju wszystkie baby i tak będą ich: zwycięzców należy uhonorować, a przegranych pocieszyć.

Trochę dalej pozbawiony gotówki nekromanta sprzedawał świeżo zdechłego konia, gwarantując nowemu właścicielowi pięć dób nieprzerwanego truchtu w cieniu i trzy w słońcu. Ale póki co zainteresowanie wyraziły wyłącznie muchy.

W tłumie kogoś lano: najpierw z okrzyków wynikało, że złapanego złodzieja, ale po chwili okazało się, że tego, kto jako pierwszy za złodziejem pogonił. Dar zwinnie prześlizgiwał się pomiędzy ludźmi, a ja obiema rękami przyciskałam do piersi teczkę z papierami po cichu ciesząc się, że zostawiłam sakiewkę w domu, a jedyną posiadaną monetę brat już roztrwonił.

Ostatecznie udało nam się przepchać pod pomost dla muzyków, z którego burmistrz orlim wzrokiem patrzył na miasto, przy okazji dziobiąc podwładnych, jeśli akurat przynosili złe wieści.

- Riono! - Ojciec z naganą spojrział na sterczący z moich ust patyczek od karmelka. - Przecież prosiłem, żebyś przypilnowała, by Dar nie kupował tego paskudztwa, które uwarzono z Leszy wie czego. A jaki ty mu dajesz przykład?

- Koszmarny - potwierdził brat z ciężkim westchnieniem. - I tak właśnie zaczyna się palenie, pijaństwo i deprawacja...

Z mlaśnięciem wyciągnęłam kogucika, złapałam Dara za kołnierz i wrzuciłam obślinionego cukierka do środka, gdzie dość fortunnie spadł do samego pępka i tam się przykleił. Brat z wrzaskiem pełnym wstrętu zaczął go wydłubywać.

Strażnikom udało się jednak wykryć wampira - w pełnym tego słowa znaczeniu, zdzierając z niego płaszcz i odnajdując parę tego zwiniętych skrzydeł. Teraz bezlitośnie wypychali krwiopijcę z placu. Wampir stawiał niemrawy opór (bo inaczej miał szansę oberwać), wydając tragiczne okrzyki odnośnie do arogancji władzy i dyskryminacji rasowej. Strażnicy byli milczący i pochmurni - gdyby nie rozkaz, to chętnie pokazaliby bezczelnemu draniowi, co to prawdziwa dyskryminacja.

- To chyba poseł z Arlissu - powiedział ojciec, uśmiechając się pod nosem. - Pewnie się z kimś założył, że da radę wyminąć strażników.

- A ja nawet wiem z kim - burknął burmistrz.

Ruda dogewska wiedźma na czarnej kobyle z ciekawością obserwowała awanturę z przeciwnego krańca placu.

Dar uniósł się na palce i przyłożył rękę do oczu.

- Rinka, a tam masz Tiena i Kerrena! - zachichotał.

- Kłamiesz! - Najpierw podskoczyłam, by sprawdzić, ale potem przeciwnie, zrobiłam krok w tył i schowałam się za ojcem.

- Etam. Zaraz sama zobaczysz, idą tu. Oj, patrzcie, jaka czerwona jak burak!

- Wieczorem przybyła do nas szakkarska misja dyplomatyczna - potwierdził burmistrz. - Ze Starminu, w drodze do Dogewy, ale uznali, że zostaną na święto. Czyli to są ci pani odważni powstańcy?

- Riono, a czego się tak boisz? - zapytał ojciec ze zdziwieniem. - Przecież chyba wymienialiście listy. Idź się przywitaj i przyprowadź ich tu.

- T-tak, oczywiście - posłusznie ruszyłam na spotkanie gości, ale gdy tylko ojciec i brat zniknęli z widoku, zupełnie niehonorowo zboczyłam z drogi.

Nie, nie bałam się Tiena ani Kerrena. Znaczą, bałam się..., ale nie byłam pewna czego. Udawanej radości ze spotkania? Obustronnego skrępowania? Bo przecież nie zdążyliśmy zostać ani przyjaciółmi, ani nawet dobrymi znajomymi... i mało prawdopodobne, by to się w ogóle dało. Jednak to żadna przyjemność - przy każdym spojrzeniu na mnie przypominać sobie Terillę. A teraz w ogóle byłam nieznaną dziewczyną, wobec której nie bardzo wiadomo, jak się zachować.

Tak, wymieniliśmy parę listów. Nic osobistego: ja opowiedziałam, że Terilla nie zdążyła za bardzo nabroić, bo dwa dni spędziła w łóżku po uderzeniu pioruna, a „Dar” w ogóle był nieprzytomny. Fałszywej Rionie nie udało się też ukraść artefaktów. Tien zgadł, złapana na gorącym uczynku udała rozpaczliwy płacz i zaczęła zapewniać, że nie ma pojęcia, jak i po co znalazła się w gabinecie - a po historii z dachem ojciec już niczemu się nie dziwił. O prawdziwym przebiegu wydarzeń dowiedział się dopiero po naszym powrocie. Okazało się, że Terilla zdołała

zachować we właściwym stanie nie tylko moje ciało, ale również Dara, doskonale świadoma, że jeśli dzieciak zacznie się zmieniać, to przerażony ojciec pobiegnie z tym już nie do lekarza, tylko do Konwentu. Złodziejce nie udało się też ponownie włamać do gabinetu: „braciszek” w końcu się ocknął i zaczął gadać takie bzdury, że królowa musiała uciekać, zabierając ze sobą służącą. Wybrała odpowiednio odosobnione, bogate w moc miejsce na skraju Kamieńca i spróbowała równocześnie pozbyć się świadka i coś wyczarować, ale nie zdążyła. Miałam szczerą nadzieję, że tym razem szczęśliwie dotarła do piekła - czy to bezpośrednio z Belorii czy jednak dając Tienowi możliwość spojrzenia w jej gasnące oczy.

Szakkarczycy z kolei poinformowali, że łowca szczęśliwie się rozwiązał, skarbiec udało im się wyłowić, koronacja poszła jak po maśle, lud jest szczęśliwy i pracowity, pogoda wspaniała i czy może chcielibyśmy ich odwiedzić? O nie, nawet jakby mi za to mieli zapłacić! Odniosłam wrażenie, że tylko się ucieszyli.

–...o moich losach można napisać całą książkę, gorzką i smutną...

Prawie wpadłam na stos koszy z kurami. Ale nie, uszy mnie nie oszukały, chyba żeby na spółkę z oczami. Z obfitego, wielobarwnego i pachnącego klombu dam sterczała wyłącznie potylica, ale spokojnie dała się rozpoznać.

– Jestem ofiarą represji politycznych! - tragicznie perorował dobrze mi znany osobnik. - Dziedziczny książę krwi, który nie szczędząc sił walczył o wolność i dobrobyt swojego kraju! Zdobyłem zaufanie królowej i cierpliwie znosiłem wszystkie poniżenia, by choć odrobinę polepszyć byt zwykłych ludzi. Tak, musiałem udawać drania i skurwysyna! Ale tam, gdzie ja spaliłem jeden dom, kto inny zrównałby z ziemią wioskę! A człowiekowi, który dostał ode mnie baty, odcięto by

głowę! Niestety spóółstwo nie umie przewidywać przyszłości i pamięta tylko to co złe... A tak między nami to właśnie ja ryzykując życie wsypałem do królewskiego pucharu truciznę, po której Terilla zwariowała, a potem zmarła! Ale nikt nie docenił mojej odwagi: błyskawicznie znaleźli jakiegoś tam pastucha-bękartę, domyli, nauczyli stawiania krzyżyka pod królewskimi proklamacjami, a mnie poczęstowali kopniakiem w tyłek...

Damy słuchały z głębokim współczuciem. Jedna z nich, najgrubsza i najbrzydsza, ale za to mająca na sobie ciężką szmaragdową kolę i złote bransoletki, pozwalała patriocie-męczennikowi „z roztargnieniem” głaskać się po sflaczałej rączce.

Pokusa okazała się silniejsza niż nieśmiałość.

– Witaj, mój ty słodziutki zajączku!

Laien odwrócił się i poszarzał na twarzy, jakby zobaczył ducha. Oczywiście popielata blondynka w zwykłej jedwabnej sukience zupełnie nie przypominała podstarzałej odpicowanej brunetki. Ale czuły uśmiech Terilli oraz jej spojrzenie i intonacje zdecydowanie mi się udały.

– I co, naprawdę kopniakiem? - doprecyzowałem zaintrygowana. - Bo myśmy myśleli, że nawiałeś razem z ministrami Terilli i zginęłaś śmiercią tchórze. Ale nie martw się, nie zostałeś zapomniany! Akurat pojawili się posłowie z Szakkary, sądzę, że z przyjemnością przedyskutują z tobą temat ofiar i dziedziczenia korony...

Ale bohater wolał pozostać nieznanym.

– To jest jakaś wariatka! - wymamrotał, wypuszczając złotonośną rączkę i wwiercając się tyłem w tłum jak rak do nory.

Damy rzuciły na mnie odpowiednie spojrzenia i schowały za wachlarzami, a grubaska skoczyła za swoim „księciem”. Trudno, sama

sobie wybrała takie, a nie inne szczęście.

Jeszcze chichotałam, kiedy na moje ramię spadła ciężka ręka.

– Przepraszam najmocniej - uprzejmie powiedział ktoś za moimi plecami. - To pani może jest Riona Rudniczna?

Stłumiłam pokusę wrzaśnięcia „Nie!”, wyrwania się i rzucenia do ucieczki, i powoli odwróciłam się ze słowami:

– Witaj, Tien.

Mężczyzna również się zmienił, i to znacząco. Dobrze ubrany, gładko wygolony, o dokładnie przystrzyżonych i ufryzowanych włosach, nie przypominał rozbójnika, który wdarł się do sypialni Terilli. Nawet aksamitna opaska na oku wyglądała jak ozdoba, a nie konieczność.

– Czyli to taka jesteś - mruknął z namysłem.

– Jaka? - spytałam podejrzliwie.

– Eee... młoda i piękna - wykręcił się Tien. - A gdzie jest Dar?

– Z ojcem. Tam, na pomoście - wskazałam kierunek w takim pośpiechu, że teczka wyleciała mi z rąk.

Tien schylił się, podniósł ją i oddał. Zmrużył oko, próbując odczytać nagłówek.

– Moja praca dyplomowa. „Proroctwa i ich wpływ na tok historii”. - Podniosłam teczkę wyżej, by miał wygodniej. - Z częścią praktyczną.

– Ponownie wzięłaś się za przepowiednie? - zapytał ze zdziwieniem.

– Tak. Przecież nie mogę cały czas „siedzieć ojcu na karku”.

Zapanowało niezręczne milczenie. W myśli wyklinałam się od najgorszych, Tien z poczuciem winy spuścił wzrok.

– Widziałam Laiena - rzuciłam po to tylko, żeby powiedzieć cokolwiek.

– Gdzie?! - Mężczyzna wyraźnie się ożywił.

– Tutaj, dosłownie chwilę temu! Czarował damy.

- Ot, spryciarz! - Tien ni to się oburzył, ni to zachwycił. - Pewnie przesiedział powstanie pod spódnicą jakiejś przyjaciółki, a potem uciekł z wyspy na jednym ze statków kupieckich.

- Ale przecież on chyba rabował skarbiec wraz z resztą doradców? - przypomniałam sobie.

- Tak, ale nie znaleziono go wśród ciał na statku. Pewnie magowie potrzebowali go tylko w celu zdjęcia zaklęcia z drzwi, bo ono jest powiązane z królewską krwią. Miał szczęście, że go nie zabili! Pewnie uciekł na czas. - Tien uśmiechnął się złowieszczo. - Zobaczymy, czy mnie i Kerrenowi również nawieje. Oczywiście nie teraz, tylko w nocy....

- Aha, czyli to jest Riona? A ja myślałem, że masz ciemne włosy!

- Witaj, Kerrenie!

Jakoś od razu przeszliśmy na „ty”, mimo że na Szakkarze z jakiegoś powodu nam nie wyszło. W odróżnieniu od Tiena mag zapuścił niewielką bródkę, a włosy zebrał w lekkomyślny kucyk. Na piersi zamiast zwykłego amuletu miał znak poselski na złotym łańcuszku.

- Przecież nie chcieliście się pchać w politykę - zauważyłam z żartobliwą naganą.

- Ale bardzo stęskniliśmy się do starych przyjaciół. Szczególnie on. - Kerren z psotnym uśmiechem szturchnął Tiena łokciem. - Oho, a co to jest, praca dyplomowa?

- Nic takiego, luźne notatki - zawstydziłam się. - Dopiero miesiąc temu zatwierdzili mi temat.

- Sama wybrałaś?

- Tak. Wiesz, kiedyś wydawało mi się, że im mniej wiesz, tym mocniej śpisz. A potem sobie nagle pomyślałam... przecież ktoś, kto ma oczy, nie skarży się, że widzi drogę pod nogami. I jak zacznę udawać ślepa, to jamy pod nogami nigdzie przez to nie znikną. Zobacz jak to

dobrze wyszło: gdybym nie przewidziała „łowcy”, to nie próbowałabym się przed nim chować w skałach. A gdybym nie była wcześniej przygotowana na śmierć, to nie znalazłabym w sobie męstwa, by złożyć się w ofierze. Czyli nie tylko widzimy przyszłość... ale też dostajemy możliwość, by na nią wpłynąć! Chociażby w niektórych przypadkach... - Wyciągnęłam teczkę i natychmiast odnalazłam właściwą kartkę, najbardziej wyświechtaną. - A dokładniej, w trzydziestu siedmiu procentach przypadków dla wydarzeń drugiego rzędu, dziewięćdziesięciu jeden dla trzeciego i niżej, ośmiu procentach dla kluczowych i siedemdziesiąt cztery procent względnych dla klęsk żywiołowych.

- Względnych? - zdziwił się Tien.

- Dokładnie, przecież takiemu wybuchowi wulkanu nie zapobiegiesz, ale możesz zdążyć uciec z tamtej okolicy. To są na razie wstępne dane, dopiero zaczęłam pracę, ale wyniki są dość budujące. Jeżeli uda mi się wyprowadzić formułę dla wyliczenia spełniania proroctw - z uwzględnieniem działań samego obiektu, czasu do wydarzenia, użytego przez pytię eliksiru...

- Aa, Rinka znalazła sobie nowe ofiary! - zawył grobowym tonem Dar, podbiegając do mnie od tyłu i łapiąc za talię. - Uciekajcie, póki ją trzymam, bo zamęczy was na śmierć tym swoim traktatem!

- I oto ono - skonstatowałam, czując się już całkiem ośmielona. - Moje przekleństwo rodzinne.

- Domyśliliśmy się - odpowiedział Kerren z uśmiechem.

Brat wypiął pierś i wyciągnął do maga rękę. Ten poważnie ją uścisnął.

- Jak tam u was? - zapytał Dar zachłannie.

- Wszystko dobrze. W kraju spokój, zebraliśmy dobre plony, król się powoli oswaja, już zaczyna kłótnie z doradcami. Trzeba mu przyznać, że słuszne. Zawieźliśmy do waszego Nauma kilka umów o handlu i współpracy - zwykła formalność, ministrowie już dawno przedyskutowali wszystko telepocztą i przez posłańców. Teraz chcemy się zapoznać z władcą Dogewy - może też się w czymś dogadamy. Mamy Lesk tuż obok, możemy puszczać statki albo wynajmować.

- A wasz król... Ojej, nawet nie wiem, jak on ma na imię! - sumitowałam się.

- Trij. Na cześć dziadka. On...

- A co się stało z moją babą? - wtrącił Dar.

- Ocknęła się, gdy już wchodziliśmy do portu. Najpierw się darła, że ją mordują, potem spojrzała dookoła i zaczęła ryczeć ze szczęścia. Nadal pracuje w zamku. Jest tępa jak but, ale nadworny mag traktuje ją z sentymentalną sympatią, więc służący się obawiają ją gnębić jak wcześniej.

- A kto jest tym czarodziejem?

- Tamten starszy mag, który chodził z nami do skarbcza. Pamiętasz, jak cię odciągał od drzwi?

- A zwróciliście sarkofag na miejsce?

- Od tego zaczęliśmy!

Wszyscy oprócz Kerrena wybuchnęli szczerym śmiechem. Ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że z Szakkarczykami gada się łatwo i przyjemnie, i wcale nie muszę desperacko wyszukiwać tematu do dyskusji, bo pytania same zlatują z języka. Ostatecznie dźwięk trąb wzywających widzów na plac przywitany został zgodnym jękiem rozczarowania.

- Może spotkamy się po turnieju? - zapytał mag z nadzieją. - Gdzie można będzie was znaleźć?

- W zasadzie zamierzaliśmy... Czekaj, po co szukać? Może po prostu obejrzymy go razem, poznam was z ojcem i siostrą. Czy...

- Doskonały pomysł - zgodzili się mężczyźni skwapliwie.

Tien zaproponował mi ramię, Kerren zajął miejsce po drugiej stronie i poprowadziłam ich do pomostu, próbując ignorować natrętny szept Dara:

- No i tak zawsze, najpierw poznajemy się z ojcem, a potem człowiek musi ganiać! Rinka, miej na uwadze, że nie wezmę mniej niż kładnia...

W niebie dla odmiany świeciło słońce, do następnego przepowiedzianego przeze mnie paskudztwa zostawały jeszcze trzy miesiące, ale kompletnie się tym nie przejmowałam...

Może się jeszcze upiecze.